ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE
Literatury Polskiej
W ZARYSIE

...sacy, mądrze a ener-
...ając, nie drażniąc niepotrzebnie,
...dawna, a świeżo i w Krakowie, rzą-
...niując się z nikim i niczem, lecz w grun-
...mi się zadowalając i zawsze drugie kroki
...iając; tylko w Wilnie nie tykano dawnego sa-
...ych granicach. Po rozgorączkowanem życiu lat
... nastąpiła cisza cmętarna; w zupełnej prostracyi leżał
... nie pomny dziejów i znaczenia; on cały teraz, zdawało
...wedle owej maksymy: niech drudzy za łby chodzą, ja się
...wuję. Kataklizm, który Francyę do góry dnem wywrócił, omi-
ął go; cieszyła się szlachta, że ani Jakobini jej wywłaszczeniem
ni farmazoni kultem mądrości nie grozili, że, choć kłótni i bójek
ejmikowych a klamki pańskiej już nie było, przy prawach nad chło-
em, przy religii, przy majętnościach ją utrzymano. I używały je-
nostki; Berlin dostarczał lekkomyślnym kredytu, ile żądano; bawio-

PEDAGOGICZNA
Biblioteka Wojewódzka
43585
884(09)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Сентября 1902 года.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

KLASYCYZM WARSZAWSKI.

Nowy wiek i jego widoki. Oznaki życia. Puławy. Wilno; Śniadeccy. Krzemieniec; Czacki. Warszawa; Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Kierunki i przedstawiciele literatury: w poezyi (Koźmian) i w dramacie (Feliński); Woronicz. Niemcewicz. Fredro. Romans. Historya; sympatye słowiańskie; Lelewel; historya literatury. Istotne zasługi „klasyków".

Ponuro wschodził wiek dziewiętnasty. Po upadku Rzeczypospolitej w Warszawie zagospodarowali się Prusacy, mądrze a energicznie ku właściwym celom zdążając, nie drażniąc niepotrzebnie, przedwcześnie; we Lwowie oddawna, a świeżo i w Krakowie, rządzili Austryacy, nie ceremoniując się z nikim i niczem, lecz w gruncie rzeczy samymi pozorami się zadowalając i zawsze drugie kroki przed pierwszymi stawiając; tylko w Wilnie nie tykano dawnego samorządu w pewnych granicach. Po rozgorączkowanem życiu lat 1788 — 1794 nastąpiła cisza cmętarna; w zupełnej prostracyi leżał naród, niby nie pomny dziejów i znaczenia; on cały teraz, zdawało się, żył wedle owej maksymy: niech drudzy za łby chodzą, ja się dziwuję. Kataklizm, który Francyę do góry dnem wywrócił, ominął go; cieszyła się szlachta, że ani Jakobini jej wywłaszczeniem ani farmazoni kultem mądrości nie grozili, że, choć kłótni i bójek sejmikowych a klamki pańskiej już nie było, przy prawach nad chłopem, przy religii, przy majętnościach ją utrzymano. I używały jednostki; Berlin dostarczał lekkomyślnym kredytu, ile żądano; bawio-

no się w Warszawie i we Lwowie do upadłego. Wyrok śmierci naród sam ratyfikował. W istocie nie było śmierci, ani letargu nawet, tylko chwilowe odrętwienie; niby narkoza, w której organizm amputacyę przeboleje i w nowe warunki się włoży; nawet Pod Blachą nie o zabawach tylko myślano.

I ruszało się niebawem życie wszędzie. Niby na wiosnę, porysowały się skorupy śniegu i lodu, zaczęły się sączyć nici wodne, aby się coraz wzmagać i spływać. Samo przyjęcie, jakiego wędrująca teraz trupa Bogusławskiego we Lwowie, Warszawie, Poznaniu na święty Jan doznawała, entuzyastyczne, choć rzeczy wystawiane pod żadnym względem na entuzyazm nie zasługiwały, dowodziło, jak ceniono na razie choćby słowo narodowe. Prawda, literatura milczała, publicystyka upadła zupełnie, po r. 1795 i marne książczyny przestały wychodzić. Nie odezwała się była literatura na ostatnie wypadki nigdzie: tylko w rzadkich odpisach krążył Czartoryskiego (syna) „Bard Polski“, wymowna nie tak opowieść chwil kilku, jak skarga, zwrócona przeciw Opatrzności, ukojona korną ufnością, przekonananiem o własnych błędach i winach, nadzieją osobliwych, górnych przeznaczeń. A podobnych głosów, acz mniej wymownych, a bardziej wymanierowanych, było więcej: inny anonim farbami i tonami Junga malował przejścia od nadziei do rozpaczy i zwątpienia, i ciskał bardon, aby za broń chwycić.

Za broń chwytało rzeczywiście wielu. I niedobitki dawnego wojska i młodzież gorętsza śpieszyli pod znaki francuskie, zwiastujące ludom europejskim wolność; powstały więc we Włoszech zawiązki i kadry legionów polskich i wypełniały się coraz nowymi szeregowcami. Literatura, z kraju niby spłoszona, jak ptak wędrowny, na ich spuściła się znaki i, jak przed trzydziestu laty między Barszczanami, powstała teraz poezya legionów, anonimowa, bez kunsztu, naiwna, patryotyczna, bez cechy religijnej jednak, bez kultu Maryi—w wojskach dyrektoryatu nie było już miejsca dla niego; przed legionami samymi spadły te piosenki do kraju. Nie brak jednak zupełnie nazwisk tej literaturze: najbardziej znany, to **Cypryan Godebski,** poległy pod Raszynem roku 1809, wydający w Mantui „Dekadę“, mieszczącą nietylko rozkazy dzienne i wiadomości polityczne; po powrocie do kraju pisywał więcej, powieść o „Grenadyerze - filozofie“, niby o sobie samym, rozczarowany co do Francuzów, którym rzeczywiście w stroju republikańskim i dziś jeszcze nie bardzo do twarzy, wynosząc tem wyżej Szwajcarów, po-

wieść ciekawa tem, że zamiast bujań sentymentalnoerotycznych przejścia i myśli zgorzkniałego obserwatora dawała. Wznowił „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ (samymi tytułami nawiązywano porwane nici przeszłości) bez sukcesu, jak wszystkie inne ówczesne próby literackopublicystyczne; zamieszczał tam wiersze satyryczne i czułe, czy się do „legiów“ czy do niewiast polskich zwracał; im bardziej mężczyźni sami zawiedli, tem więcej rosło znaczenie ogniska domowego, rola kobiet.

W kraju obok Warszawy zdetronizowanej, schodzącej do rzędu miast prowincyonalnych, wybijały się inne ogniska ruchu literackiego i ducha narodowego. Puław kataklizm ogólny nie dotknął: jeżeli one już za czasów Stanisławowskich odrębnem życiem stały, teraz wpływ ich wzmógł się nadzwyczaj. Młodzi książęta bawili oddawna, w Petersburgu, gdzie między cesarzewiczem - następcą tronu a księciem Adamem zawiązywały się stosunki szczerej sympatyi; generał ziem podolskich pisywał, jako Dantyszek, cenne uwagi o autorach i pismach polskich; panie zwracały się i ku literaturze ojczystej dla dzieci, kobiet i chłopków, i ku zbieraniu pamiątek ojczystych. Świątynia Sybilli, domek gotycki, mieścił rzeczy najrozmaitsze, cenne nieraz tylko nazwiskiem czy pamiątką, jakie z nimi łączono; ważniejsze były zbiory rękopisów i książek puławskie, które później, pomnożone zakupnem Poryckich, w osobie Łukasza Gołębiowskiego znakomitego miały pozyskać bibliotekarza.

Myśl, zwrócona ku przeszłości, ocalająca jej resztki, cechowała ludzi, jakby odwróconych od teraźniejszości, żyjących wspomnieniami; Jan Tarnowski w Dzikowie, Tadeusz Czacki w Porycku, a na jeszcze większą skalę Józef Maksymilian Ossoliński we Lwowie, oddawali się ze znawstwem i zapałem bibliomanii, tem potrzebniejszej, skoro największy księgozbiór krajowy, bibliotekę Załuskich, za zbiorami Nieświeskimi, Kodeńskimi i innymi, do Petersburga wywieziono. Obok tych utytułowanych zbieraczów krzątali się drobniejsi, ks. Juszyński, radca Chyliczkowski i inni.

Puławy przedstawiały typ staropolskiego dworu magnackiego, Białostoku, Nieświeża czy Wołczyna, chociaż sarmatyzm obcy był Czartoryskim już od dwuch generacyi; już kanclerz i wojewoda, którzy „familię“ na szczyt jej znaczenia wynieśli, we francuski się polor włożyli, tem bardziej generał ziem podolskich i feldmarszałek austryacki; najmniej w najmłodszej generacyi, u synów i córki. Nowego nabrały Puławy znaczenia, gdy syn najstarszy został ministrem

spraw zewnętrznych i kuratorem okręgu naukowego wileńskiego. Wprawdzie karyerę dyplomatyczną książę Adam rychło skończył, lecz urząd kuratorski przez lat dwadzieścia sprawował, skarbiąc sobie największe zasługi.

Młody cesarz, którego wstąpienie na tron, jakby rozkwit wiecznej wiosny, witano, otoczony szeregiem mężów wolnomyślnych i patryotycznych, sam uczeń republikanina i najszczytniejszych marzeń pełny, zaniedbanemu zupełnie szkolnictwu nadzwyczajną przypisywał wagę. Osobnemu ministeryum oświaty poddano okręgi naukowe, między nimi wileński, obejmujący szkoły na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Pod kuratorem stanął uniwersytet Wileński na czele magistratury, łącząc obok szkoły uczonej obowiązki nadzoru szkół świeckich i liczniejszych klasztornych, bazyliańskich czy dominikańskich, czego wizytatorowie jego dopilnowywali. Był to czas najwyższego blasku i znaczenia szkoły wileńskiej, czas krótki, lecz płodny w następstwa.

Reformy Komisyi edukacyjnej, w braku drugiego Kołłątaja, nie przyjęły się były należycie w Wilnie; musiała i nowa reforma walczyć z dotkliwym niedoborem sił umiejętnych; niektóre katedry nie były obsadzone, np. historyi (po zgonie sędziwego ks. Husarzewskiego, który historykiem nawet nie był) lub polszczyzny; uczonych ziomków, jak Jundziłł (botanik), było mało, i uniwersytet rozszczepił się dlatego na polski i łaciński (obcy). Życie jednak naukowe w murach szkoły Batorowej, oddziałało na młodzież, skupiającą się już roku 1805 w Towarzystwie (pierwszych) filomatów, później nawet na szerszą publiczność — zjawiali się i sędziwi wiekiem i damy na wykładach. Między uczącymi byli, szczególniej na wydziale medycznym, liczni Niemcy, Lobewein, Szpicnagel, Bécu i inni; Groddeck, znakomity znawca filologii klasycznej, a niezgorszy polszczyzny, służył godnie nauce, odradzającej się świeżo z polihistoryi i antykwaryuszostwa do prawdziwej umiejętności; najznakomitsi i najbardziej wpływowi byli dwaj Wielkopolanie, bracia **Śniadeccy.**

Publicznie występował starszy, **Jan,** matematyk, astronom, geograf (jego podręcznik geografii tłumaczono i na rosyjskie), natura energiczna, nieco arbitralna—tak sarkano nań w Krakowie, gdzie przy reformie Kołłątajowej się odznaczył. Większe dowody sprężystości złożył, jako rektor Wileński, przez lat osiem, reprezentujący

szkołę i wobec Aleksandra I i Napoleona, wprowadzając w życie nową ustawę, czuwając nad szkołą i kierunkiem.

Inaczej, niż koledzy krakowscy, dbał on o poprawną, nawet wytworną formę nietylko przemów oficyalnych, ale i prac naukowych; umysł nieco suchy i formalistyczny, w myśli filozofii oświecenia i sensualizmu, wielbiciel jasności, wróg wszelkiej mglistości, mistycyzmu, a choćby metafizyki, przynajmniej niemieckiej. Brat **Jędrzej** roli Jana w życiu publicznem sobie nie uzurpował, chociaż jako samodzielny, głęboki uczony, chemik i fizyolog, w dziejach umiejętności o wiele więcej zaważył, a i sprawom społecznym pióro swe oddawał.

Mimo przerwy, jaką zaburzenia wojenne wywoływały, w pracy nie ustawano; całe wychowanie szkolne nabrało jednolitości, spójności, kierowane w duchu narodowym i lojalnym zarazem. Aby stanąć o własnych siłach, wysyłano młodzież, rokującą nadzieje, za granicę dla dalszego kształcenia; drogą konkursów wynajdywano w kraju zdolniejszych, Euzebiusza Słowackiego, Lelewela i innych; obok generacyi starszej stanęli rychło ci młodsi, profesor poezyi i wymowy (Słowacki, potem Borowski), historyk Lelewel, filozof Gołuchowski i inni. Gdy we Lwowie był, niekompletny zresztą, uniwersytet niemiecki, gdzie dopiero w dwudziestych latach za podnietą Ossolińskiego katedrę literatury i języka polskiego ustanowiono i licho obsadzono; gdy się w Krakowie uniwersytet czas jakiś między niemieckiem a polskiem nauczaniem ważył i wobec szczupłości środków i niepokaźności sił naukowych siły przyciągającej nie wywierał; gdy się w Warszawie tylko na liceum, nie na uniwersytet, zdobyto, stanęła szkoła wileńska, jako ognisko wiedzy europejskiej na Litwie i skomplikowanemu zadaniu swemu znakomicie wydołała.

Obudzenie duchowe nie uszanowało naturalnie murów uniwersyteckich, szerzyło się na miasto i prowincyę; wzmagały się zajęcia literaturą i teatrem (owacye dla Bogusławskiego); pojawiły się czasopisma, Dziennik i Tygodnik wileński; zawiązało się „Towarzystwo Szubrawców", niby *les gueux,* mających kraj z zastoju, z przywar i nałogów: nietolerancyi, ignorancyi, dumy rodowej, próżniactwa i t. d. oczyszczać. Byli to „farmazoni",—nazwa, która i do Rosyi przeszła, ale, jak wszystko w Polsce, nawet Jezuici, tak i wolnomularze, przybierali cechy narodowe, co ich od kosmopolitycznej braci, niemieckiej i rosyjskiej, wyróżniało; ostrze kierunku nie prze-

ciw kościołowi ani wyznaniu zwracali, lecz przeciw „obskurantyzmowi“, łącząc z tem cele humanitarne i filantropijne. Były to już ostatnie lata znaczenia wolnomularstwa: początkami sięgało ono jeszcze czasów saskich, Mniszchów i Brühlów; za rządów „brata masona“ (Stanisława Augusta) rozwielmożniło się, mimo zakazów papieskich i interwencyi nuncyuszów, nietylko w stolicy, gdzie niemal jawnie występowało, lecz i w dalekiej prowincyi, gdzie loże, nawet z kobiet złożone, powstawały, w Żytomierzu i t. d., garnęło się niegdyś i pod imieniem Katarzyny; główną podporę w Potockich miewało. W literaturze znamiennie nie wystąpiło, poezye i przemówienia mularskie drukowano rzadko; polemiki żywej nie toczono; ani liczne ani zbyt ostre napaści duchownych paraliżowało jawne niemal podtrzymywanie „sekty“ przez ludzi najwybitniejszych i najpopularniejszych.

Wolnomularze - Szubrawcy uderzali na zastój, pod jakąkolwiek się formą ukrywał: czy pod pychą z drzewa genealogicznego, sięgającego fantastycznie w niebiosy, a zacieniającego wszelkie faktyczne niedobory, czy pod gorliwą opieką propinacyi i jej Żydków, czy w pastwieniu się brutalnem lub głupiem nad służbą i poddanymi, czy w bezmyślnem trawieniu zasobów i czasu; celom Szubrawców, którzy i mitologię litewską do niesłychanych zaszczytów wznieśli, podszywając się pod jej nazwy, służyły „Wiadomości Brukowe“, pismo, bronią satyry, nieraz wcale dowcipnej (bibliotekarza uniwersyteckiego Kontryma, Jędrzeja Śniadeckiego i in.) zwalczającej „obskurantyzm“. Przeciw wolnomyślnemu kierunkowi wileńskiemu oddziaływał tylko słabo „Miesięcznik Połocki“, organ Jezuitów białoruskich, ocalałych z pogromu pod egidą Katarzyny i Pawła. I zdawało się, jakby oświata, nauka i literatura przeniosły penaty nad Wilię.

Obok Czartoryskiego i Jana Śniadeckiego stanął **Tadeusz Czacki,** pisarz polityczny za czasów Stanisławowskich, uczony prawnik i historyk o szerokim widokręgu, stylista tylko nie bardzo szczęśliwy. Samoistny, nie harmonizował on zupełnie z kierunkiem wileńskim; roku 1803 zamianowany wizytatorem szkół wołyńskich, podolskich i kijowskich, w urządzeniu ulubionego swego „liceum“ w Krzemieńcu kierował się zasadami własnemi i radami Kołłątaja. Jak u sensualistów XVIII wieku, jak u Staszica, przeważał u niego kierunek praktyczny w wychowaniu, nie dla szkoły, lecz dla życia obywatelskiego, do którego młodzież winna się natychmiast

aplikować; więc Krzemieniec jego uwzględniał „talenty“ towarzyskie, tańce i języki obce, nie odcinał młodzieży od świata, lecz ją w świat wprowadzał, i rozszerzał kurs gimnazyalny o przedmioty nauki uniwersyteckiej; dobór nauczycieli, hojne środki, szafowane na bibliotekę (dziś uniwersytetu włodzimierskiego) i gabinety, odległość od Wilna, zapewniły mieścinie wołyńskiej świetną kartę w dziejach umysłowości polskiej; z nauczycielami i uczniami spotkamy się jeszcze nieraz.

Obok „kuratora“ Czackiego, niby pieszczącego się gniazdkiem, jakie dla nauki za pomocą obywatelstwa i rządu uwił, był jednak niestrudzony uczony Czacki, znający, jak nikt inny, wewnętrzne dzieje Polski, jej prawodawstwo, jej różne warstwy, aż do Żydów i cyganów. O nim myślano w pierwszym rzędzie, gdy przerwane dzieło Naruszewicza dalej prowadzić miano. A na to zanosiło się w Warszawie.

Warszawa Stanisławowska nie zdobyła się na uczone towarzystwo czy akademię, chociaż krzątał się około tego już referendarz koronny, Załuski, urządzając to „akademie“, gdzie odczytywano własne prace (ich płodem niby był jego „Zbiór wierszów żyjących pisarzów“), całkiem na wzór włoskiej Crusca i t. p., to towarzystwa miłośników książek, sprowadzających je z zagranicy i korzystających z nich po kolei. Jabłonowski, historyk, heraldyk (próżności własnego domu) i wielbiciel Kopernika, niefortunną obroną historyczności Lecha zrazić się nie dał i formował uczone towarzystwo, chociaż nie w Warszawie, lecz w Gdańsku; w końcu założył i wyposażył je w Lipsku, gdzie do dziś istnieje; do takich secesyi zagranicznych Polacy zawsze skorzy, na szkodę własną. Mimo tych prób nie przyszło do zawiązku akademii w Warszawie; nie zastąpiły go ani obiady czwartkowe, skupiające pod przewodnictwem królewskiem najwybitniejsze siły umysłowe dla dyskusyi i odczytów; ani Towarzystwo literatów, które w ciągu lat kilku kilkanaście bardzo pożytecznych książek, tłumaczeń autorów klasycznych, Minasowicza, gramatyki Szylarskiego i t. d. wydało, powstałe również za inicyatywą jeszcze Załuskiego; ani podręczniki rozmaite, podjęte pracą zbiorową, np. „Historya polityczna państw starożytnych, od pewnego towarzystwa napisana“ (r. 1782, na którą się Wyrwicz, Naruszewicz, Skrzetuski i in. złożyli); najbardziej towarzyscy z ludzi, najmniej jednak zdolniśmy do pracy zbiorowej. Dopiero rozbiory dokonały, czego za kwitnącej Rzeczypospolitej nie przeprowadzono:

chęć ratowania się, ocalenia języka, od zagłady, wspomnień dawnych od zatracenia, połączyły grono ludzi dobrze myślących; za inicyatywą byłego podstolego koronnego, Stanisława Sołtyka, popierającego gorliwie i interesy ekonomiczne krajowe, ujęto dyskusye nad sprawami literackiemi i naukowemi, odbywające się na zebraniach u Sołtyków, w karby pewne, i 1 listopada roku 1800 zgromadziło się po raz pierwszy „Towarzystwo Przyjaciół Nauk", liczące 30 członków, wykluczające z zasady dyskusye polityczne i religijne, obejmujące wszystkich niemal członków byłej Komisyi edukacyjnej.

Celem Towarzystwa były: „przykładanie się do rozszerzenia *nauk i umiejętności* w polskim języku" — *literatura* figurowała tylko między innemi w dziale ostatnim; przedruki dzieł dawnych, tłumaczenia dzieł dobrych, samoistne artykuły i prace, odczytywane i omawiane na posiedzeniach, drukowane w Rocznikach, wysławianie pamięci członków zmarłych, przypuszczanie młodzieży, zaprawiającej się do nauk i szerszej publiczności na posiedzenia publiczne — to były środki do dostąpienia owego celu. Między członkami wyróżnił się Tadeusz Mostowski, który drukarnię własną urządził i najdotkliwszemu brakowi, uniemożliwiającemu poznanie skarbów dawnej literatury, zaradził, drukując od roku 1803 — 1805 „Wybór celniejszych pisarzów polskich" (Kochanowskiego, sielankopisarzów, Górnickiego, historyków) i dając tem początek późniejszym wydawnictwom podobnym, choćby Gałęzowskiego, Bobrowicza, Wójcickiego, Turowskiego, Wierzbowskiego, Akademii krakowskiej, wobec rozproszenia, rzadkości ksiąg polskich dla nas nadzwyczaj ważnym. Najzasłużeńsi byli obaj przewodniczący, najpierw historyk, ks. biskup Albertrandi, pochodzenia włoskiego, pomocnik niegdyś Naruszewicza i w wydawaniu Zabaw i w zbieraniu materyałów historycznych, malutki i szczuplutki staruszek, nadzwyczaj ruchliwy i wytrwały w zyskiwaniu coraz nowych środków i członków, choćby między wysoką biurokracyą pruską ich szukając, w kreśleniu programów, w nawoływaniu do pracy, w wystąpieniach publicznych, gdzie zawiłą i ciężką polszczyznę efektownemi cytacyami ze starożytnych autorów przeplatał; po jego śmierci Stanisław Staszic, łożący znaczne ofiary materyalne dla Towarzystwa, nudzący może odczytywaniem ustępów z prac poetyckich własnych, z ciężkiego przekładu „Iliady" i z jeszcze cięższego wykładu „Rodu Ludzkiego", w zamian udzielający

Towarzystwu nieco swej własnej niezmordowanej czynności, nie unikający kolizyi, nie ustawający w budzeniu ospałych i leniwych. Dalej Sapiehowie, szczególniej ks. Aleksander, którego hojny dar stworzył podwaliny cennego zbioru ksiąg i rękopisów, przewiezionego po r. 1831 do Petersburga.

Od wydawnictwa jakiegoś czasopisma (prócz Roczników), od krytyki bieżącej uchylało się Towarzystwo z zasady, nie narażając autorytetu swego na żadne szwanki, komunikując się z szerszą publicznością tylko na posiedzeniach publicznych. Na tych wyróżniły się, prócz referatów fachowych, pochwała Szymanowskiego (zmarłego r. 1801) przez Stanisława Potockiego, nadzwyczaj wymowna, przypominająca świetne stanowisko polskie w gronie narodów słowiańskich, upominająca się gorąco za nauką i językiem; pochwała Krasickiego przez Dmochowskiego, pierwsza sprawiedliwa i tkliwa ocena zasług jego, znakomita formą i myślą, kończąca świetnem porównaniem Naruszewicza i Krasickiego; głównie zaś rozprawa Jana Śniadeckiego o Koperniku, odczytana przez Czackiego 16 listopada roku 1802, odpowiedź na temat konkursowy, ogłoszony przez Towarzystwo: pierwszy wielki sukces literacki wieku; posiedzenie „było całe w uniesieniu, a ledwo połowa przytomnych znajdować się na niem mogła, dla niezmiernego ścisku"; rzecz samą, pierwszy znaczny postęp w ocenie i biografii Kopernika, tłumaczoną rychło na obce języki, zakończył Śniadecki przypomnieniem zasług Komisyi edukacyjnej.

Nie brakło Towarzystwu i zaczepek, np. od „przyjaciela rozsądku", w drukowanej odezwie „Do prześwietnego Towarzystwa", ironizującego oportunizm i lojalność Albertrandego; większe trudności sprawiało, prócz początkowego braku sił i środków, ulegalizowanie Towarzystwa, stworzenie dla niego urzędowego, dyplomowanego stanowiska, co się jednak w końcu udało. I zogniskowano rozstrzelone dotąd usiłowania; znaleźli się na spólnym gruncie Tadeusz Czacki, Szaniawscy, Skrzetuscy i inni zasłużeni mężowie z epoki poprzedniej, a grono ich miały niebawem nowe, młode siły powiększyć.

Towarzystwo nie wytykało sobie celów wyłącznie naukowych: chodziło mu tak samo o popularyzacyę i o przystosowanie nauk, jak o wynalazki pożyteczne i podniesienie gospodarstwa domowego; dzieje ojczyste i język wysuwały się jednak mimowoli na plan pierwszy. Więc postanowiono dzieło Naruszewicza poprowadzić

dalej i dla rychłego a pewniejszego uskutecznienia rozdzielono między członków pojedyńcze panowania; niewielu uiściło się z zobowiązania, Niemcewicz i inni; z tych zajęć wynikły i podręcznik dziejów polskich i Śpiewy historyczne Niemcewicza; podejmowano i inne plany, historyę legionów i t. d. Nad postępami wielkiego słownika Lindego, który całą przeszłość języka Rzeczypospolitej miał objąć, czuwano z niekłamanem zajęciem; w ostatnich latach przystąpiło Towarzystwo nawet do uregulowania pisowni, która i dziś jeszcze nieco u nas chroma — nie jedyna rzecz, której Towarzystwo wykończyć nie zdążyło. Rzetelne te trudy nie wydały same nic genialnego, ale stworzyły środowisko, z jakiego geniusze nauki i literatury wychodzą. Gdy Towarzystwo nowy, Staszicowy, gmach zajęło, a mimo protestów niemieckich posąg Kopernika przed nim stanął, stanęła stopa polska silnie w gmachu nauki europejskiej.

Rozbudzenie życia umiejętnego wyprzedziło właściwy ruch literacki. Dmochowskiego a później Osińskiego „Nowy Pamiętnik Warszawski“ walczył z obojętnością ogółu i nastąpiły lata, gdzie w szczęku broni, ruchu marszów i kontrmarszów, w ściąganiu kontrybucyi i dostarczaniu furażu Muzy umilkły, a jeśli się odzywały, to tylko na nutę oficyalną: stawiano bramę tryumfalną z napisami na mieście, sztukę okolicznościową w teatrze galowym, odę gratulacyjną na posiedzenie Towarzystwa: w tym kunszcie celowali Osiński i Koźmian; ze zmianą akcesoryów na scenie zapomniano jednak o tym entuzyazmie robionym, we fraku i żabotach, i tylko jeden z tych wierszów okolicznościowych przetrwał wszystkie okoliczności: hymn do Boga Woronicza.

Szlachta i mieszczanie nie czytali nic, prócz gazetki, kłamiącej często z urzędu, prócz nakazów płatniczych i liwerunkowych, prócz manifestów, goniących jeden drugiego, pruskich, austryackich i innych; nie było czasu i interesu dla rojonych dramatów i romansów, gdy wstrząsały Europą, a raziły świeżutkie Księstwo Warszawskie tragedye, jakich świat nie widział, choćby moskiewska roku 1812. W końcu jednak minęły te burze; z Księstwa wyłoniło się, w kontr dyplomacyi europejskiej, dzięki inicyatywie cesarza Aleksandra, Królestwo Kongresowe, autonomiczne i konstytucyjne.

Kraj, zawsze ubogi, teraz całkiem wyniszczony, ze zrujnowanymi finansami, ze strzępami armii, z zadłużonem po uszy obywatelstwem i jego sumami bajońskiemi, bez rękodzieł, przemysłu i fabryk, bez zbytu dla swych produktów surowych, należało podnieść, zaludnić, oświecić; należało stworzyć dogodniejsze warunki życia społecznego i umysłowego, a że tego dokonali warszawscy „klasycy“ i „sensualiści“, to najwalniejsza ich zasługa. Dowiedli oni, co Polacy potrafią, jakie ich ziemia, w stałym związku z ogólną kulturą europejską, wydaje płody.

Oni postawili szkolnictwo wysoko; odezwały się tradycye dzieła Komisyi Edukacyjnej, które kiedyś Prusacy sami wychwalali; teraz rozszerzono pieczę i na szkoły początkowe, do czego Komisya nie wydążyła; nie zapomniane zasługi położył Stanisław Potocki: gust jego w rzeczach literackich mogły krępować przepisy, za to ministeryum oświaty sprawował on z takim skutkiem, jakim niełatwo inny minister mógłby się poszczycić. Liceum warszawskie, szkoły prawnicze (nieodzowne wobec zaprowadzenia kodeksu Napoleońskiego i trybu biurokracyi francuskiej) i lekarska (choćby dla felczerów w armii) uwieńczono uniwersytem aleksandrowskim: brakło mu wprawdzie Śniadeckich, tradycyi, zasobów na razie, ale rychło rosła jego biblioteka (zasilana bibliotekami klasztornemi, zwożonemi do Warszawy, ocalonemi, gdy biblioteki klasztorne poznańskie zmarniały zupełnie; rękopisy warszawskie, każdy z kartą, wyliczającą obszernie a sumiennie zawartość rękopisu, pisaną drżącą ręką bibliotekarza Gołębiowskiego, są dziś w Petersburgu), a niebawem pojawiały się i siły, których i Wilno zazdrościćby musiało: Brodziński, Skarbek, Hube, Maciejowski i in.

Ruchowi umiejętnemu, reprezentowanemu przez Lindego, Bandtkiego (znakomitego badacza dziejów prawa polskiego), Lelewela i in. mniej odpowiadał publicystyczny; Bentkowski nie umiał „Pamiętnikiem Warszawskim“ zainteresować szerszej publiczności, i inne próby niezrażonego żadnemi niepowodzeniami hr. Kicińskiego, tłumaczącego wszystko, nawet Byrona i Waltera Skota, i in., nie udawały się; wybitnej gazety politycznej naturalnie nie było; na te czasy przypadają tylko narodziny „Kuryera Warszawskiego“, Dmuszewskiego, z powołania aktora i autora, jak niegdyś Bogusławski; o farsach dawno zapomniano — lecz Kuryer przetrwał trzy generacye.

Teatr warszawski, dzięki Bogusławskiemu i zięciowi jego, Osińskiemu, który z dyrekcyą berło krytyka, a później i profesurę uniwersytecką (literatury porównawczej) połączył, dalej dzięki Dmuszewskiemu, Żółkowskiemu (uprawiającemu komizm nietylko na

scenie, ale i w literaturze) i in., podniósł się znacznie i zajął żywo publiczność, ziewającą na tragedyach klasycznych, garnącą się na melodramaty i sztuki grubosensacyjne, w rodzaju bandyty Abellina i t. p. Repertuar obejmował wszystko możliwe, od Woltera do Szylera, od Moliera do jednoaktówek albo fars Dmuszewskiego i Jasińskiego, ale i „Barbara“ Felińskiego czy „Geldhab“ Fredry, znajdowały tu pierwszą a nieraz i najlepszą interpretacyę. W Warszawie, nabierającej powoli znowu dawnego, dominującego znaczenia, cała ówczesna literatura skupiać się poczęła.

Inne bowiem miasta polskie i prowincye z Kongresówką i Warszawą dłużej spółzawodniczyć nie mogły. Lwów wydany był na łup germanizacyi: w niemieckim uniwersytecie, przed niemieckimi dziennikami i niemieckim teatrem polska katedra literatury, polskie „Rozmaitości“, polski teatr, tolerowany raczej, niż protegowany, ustępowały na drugi plan. Galicya spała jeszcze snem błogosławionych; po dworach żyło się dawnym, szumnym trybem; na miastach, szkołach, urzędach wyciskały swe piętno rządy niemieckie; tylko jednostki podtrzymywały jakiś ruch: zasłużony Kamiński, jako dyrektor teatru, mniej, jako tłumacz, najmniej, jako pisarz ballad i sonetów; Chłędowscy, bibliografowie i poeci; świeża instytucya narodowa, Ossolineum, po oślepnięciu i zgonie fundatora walczyła o byt z gubernium lwowskiem i z własnym niedostatkiem, a dyrektor zakładu, ks. Siarczyński, historyk, energią nie celował. Kraków uzyskał niepodległość, jako Rzeczpospolita *en miniature,* licząca się na każdym kroku z reprezentantami ościennych mocarstw; zwrócony ku przeszłości, stawał się miastem drogich pamiątek, przechowywał tradycye, i uczeni jego je pielęgnowali, Sołtykowicz w obrębie dziejów uniwersyteckich, Jerzy Bandtkie porządkując, opisując, publikując z dawnych zabytków jej książnicy; i tu zawiązało się, za przykładem warszawskim, Towarzystwo Naukowe, z zakresem działania w pierwszych dziesięcioleciach nadzwyczaj skromnym; uniwersytet sił wybitnych na razie nie liczył. Poznań chyba ze Lwowem rywalizował o palmę w ospałości, chociaż warunki rozwoju były na razie korzystniejsze, cenzura łagodniejsza, przeobrażenia głębsze, mianowicie rozwiązanie kwestyi włościańskiej w jedyny racyonalny i sprawiedliwy sposób, do czego się nigdzie indziej nie zabierano, mimo że konstytucya Księstwa Warszawskiego poddaństwo samo zniosła.

Literaturę przedstawiał tu ks. Gorczyczewski, z czasów Stanisławowskich jeszcze, przerabiający obce satyry na ład polski; publicystykę—„Wiarus“ i „Mrówka“, która w ciągu kilkuletniego istnienia uzbierała niemało cennych artykułów, poświęconych przeszłości i jej zabytkom; interesom umysłowym prowincyi służył gorliwy zbieracz ksiąg i rękopisów hr. Edward Raczyński, szerszej jego inicyatywie stawiano jednak przeszkody; brat Atanazy urządzał galeryę obrazów; z Edwardem spółzawodniczył niebawem hr. Działyński, w Kórniku swoim nagromadzając zbiory bogate, z których już wtedy Muczkowski zamierzał korzystać—na razie skończyło się wydaniem wierszów Szarzyńskiego.

Tak rozstrzelała się literatura w rozmaitych ogniskach; za to duch jej był jednolity, jak rzadko. Duch to był francuski, klasyczny. W burzach rewolucyi i epoki Napoleońskiej roztrącono na zawsze formy dawnego świata, odżyły one jednak w literaturze, brodzącej jeszcze ciągle po pustyni klasycznej, w powijakach reguł i tradycyi, — poczwarka, nie motyl. Francuska, a za nią literatura polska ignorowały poprostu, jak niejeden autokrata niemiecki, olbrzymi przewrót, nawiązywały do *ancien régime,* jakby Wersale i Ludwiki z strzyżonemi parkami i perukami, z menuetem i etykietą dworską, z berżerami i pejzażami rokoko, niepodzielnie panowali: literatura, wybiegająca zwykle przed wiekiem, tu się o cały spóźniała. W porównaniu ze Stanisławowską zubożała raczej, zwężyła się, powtarzając te same tematy na ten sam ład; straciła jeszcze bardziej na sile wyrażenia, zato gładkość, jasność wyrobiła nadzwyczajną. Chociaż dworu nie było, była to literatura dworska, arystokratyczna, dyletancka; żaden z jej przedstawicieli nie uważał jej za cel czy pracę wyłączną; każdy był ministrem, referendarzem, generałem, dyrektorem, profesorem i tylko chwile wolne poświęcał, jeden dumaniu, drugi pisaniu; tylko ośmieszeni lub śmieszni, Molski, autor Stanislaidy, lub Marcinkowski, autor wszystkich możliwych poematów, od Rzek polskich do Gorsetu i dramatów, byli wyłącznie poetami. Spółzawodnictwo, zawiść, walki ustawały w przedsionku tych muz: wstępowano tam w stroju i minie odświętnej; witano się grzecznie, roztaczając i odbierając hołdy, racząc się przydomkami polskiego Rasyna, Kornela, Horacego, Wergila, Delila; na tę manię chorował zresztą już wiek Stanisławowski, polskim Pindarem był wtedy Trembecki i t. d.; zachwycano się nawzajem gładkim zwrotem, antytezą, porównaniem, rymem dobranym, chociaż dla rytmu

słuchu jeszcze nie miano; jeden list poetycki, oda a sama zapowiedź epopei czy poematu opisowego upoważniały do wstępu na parnas; z niewyczerpaną cierpliwością, radząc i pomagając nawzajem, ciesząc się z każdego nowego wiersza, czekano na „Ziemiaństwo“ Koźmiana, unoszono się nad „Barbarą“, delektowano się odami Osińskiego. Retoryka, nie śmiesznie wydęta, mimo to próżna, zastępowała uczucie i prawdę; reguły natchnienie; sucha opisowość wszelką malowniczość; pokost jednostajny dla wszelkich indywiduów i sytuacyi; w żalu bezbrzeżnym i w upojeniu najwyższem sadzono się na te same, mdłe i płaskie, ale poprawne zwroty. Najbardziej, nie zapalonym, gdyż ta literatura wykluczała wszelki zapał, lecz zacietrzewiałym stronnikiem tego klasycyzmu, nie skłonnym nigdy do żadnych ustępstw — Wężyk i Osiński zdradzali nieraz w teoryi klasycyzm, chociaż w praktyce przy sztandarze jego niezłomnie wytrwali — był radca stanu i kasztelan - senator, **Kajetan Koźmian,** pracujący nad referatami lirycznymi, wedle „szymla“ — aby użyć wyrazu biurowego — francuskiego, wedle Russa i Etienna; zasłużony na tem polu przeszedł do biura poezyi opisowej i dwadzieścia lat nad dwutysięcami wierszów Ziemiaństwa strawił, nad Georgikami polskiemi, jak satyry Horacego lub Boala do polskich stosunków naciągano: z góry zarzekał się rymotwórca oryginalności, jaką przecież materya sama wymagała i w pewnej mierze nawet Koźmian osiągnął, w epizodach mianowicie, nie pozbawionych siły i wdzięku, choć wołał:

Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
Bym chciał sięgać po wieniec Wirgilego chwały,
Żaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie,
I dla świata on śpiewał, kiedy śpiewał w Rzymie;

sam przyznawał, że w całości znać więcej dzieło pamięci, niż ducha własnego, chociaż tylko zbytnia skromność to twierdzić mogła. „Ziemiaństwo“ miało być ostatnią kotwicą, którą miotany burzą romantyczną klasycyzm miał r. 1830 wyrzucić, lecz pojawiło się dopiero roku 1839, gdy o klasycyzmie i o autorze już zapomniano. W długoletniem zaciszu piotrowickiem pokusił się autor i o epopeę narodową w guście francuskim, jakby nie dosyć było nieskończonych tłumaczeń „Henryady“, „Wojny Chocimskiej“ Krasickiego, „Pułtawy“ Muśnickiego, „Jagiellonidy“ Tomaszewskiego, którą to

w literaturze uwieczniło, że się na niej początkujące pióro Mickiewicza zaprawiało, chociaż spółcześni poezyę Targowiczanina nad jej zasługi ocenili. Tomaszewski łapciastą Litwę na bohaterów starogreckich wystrajał, igrzyska i pienia olimpijskie w Trokach urządzał, porównań od bitwy lipskiej zaciągał; smak Koźmiana był wytrawniejszy. Ale i dla niego pozostała „cudowność, główną sprężyną tego rodzaju poematu“, i tak powstał „Stefan Czarniecki, poemat w *dwunastu* pieśniach“, urobiony wedle reguł „mistrza sztuki rymotwórczej“, toczący się w czasie nieprzerwanym (lat pięć!), na jednem miejscu (Polska w swych granicach! raz wychyla się bohater i poza tę *jedność,* lecz przykład Eneasza i Henri Quatre rozgrzeszał autora), z jednym bohaterem—poemat mimo starannej i zwięzłej dykcyi nużący, chociaż dla tendencyi jego patryotycznych Krasiński nim się zachwycał i do wydania naglił. W literaturze pozostaną po Koźmianie tylko pamiętniki jego, obfite w szczegóły, stronne w sądzie (np. o pedancie - jakobinie Lelewelu), sięgające z wielkiemi przerwami, całkiem luźne przy końcu, aż do roku 1855.

Nie Wergil polski, lecz Rasyn zyskał najgorętsze poklaski. **Alojzy Feliński,** wsławiony autor hymnu narodowego, przyjętego oficyalnie z woli naczelnego wodza W. Ks. Konstantego, („Boże coś Polskę“), tłumacz Delila i tragedyi francuskich, porwał publiczność warszawską, zachwycił i krytykę, „Barbarą Radziwiłłówną“, wypełniającą tak gruntownie reguły rzemiosła, że się sama, nietylko jej przedmiot, „uleżała jak tytoń, jak figa ucukrowała“, nim na świat wyszła. Nie był to ani pierwszy ani ostatni pomysł udramatyzowania nieszczęsnych ślubów Zygmunta Augusta, z których tylko srogiem pogwałceniem prawdy (biernego oporu króla, a naturalnej śmierci Barbary), konflikt dramatyczny wykrzesać można. Pogwałcił więc i Feliński historyę; olśnił za to publiczność szlachetnością dykcyi i maksym — o palmę pierwszeństwa w niej ubiegali się wszyscy jego bohaterowie, wystawieniem głośnych postaci z czasów najświetniejszych Rzeczypospolitej, obrobieniem tematu narodowego w guście najwytworniejszym, stworzeniem polskiego Cyda czyli Cinny raczej; pięknie utoczone wiersze, mądre sentencye okupiły brak życia dramatycznego i niejasność zawikłania.

W sali zamkowej dowiadujemy się tylko z relacyi posłów i innych osób o akcyi, toczącej się zewnątrz, o zamachu Kmity i rozprawach sejmowych; i akcya i osoby wymyślone najdowolniej; histo-

ryczne były tylko ich nazwiska, jak np. w „Demetryuszu“ Szylera; konwencyonalność, wymuszoność, nienaturalność osób i ich uczuć (najfałszywiej pojęta bohaterka sama, ona, jej familia, ich dzieje, urojone zupełnie, z bajki tysiąca i jednej nocy, nie z Gasztołdowego Wilna powzięte), pokryta grzmiącemi frazesami i nieskończonemi tyradami, ciągłymi zwrotami do Polski, od pierwszych słów Izabeli „o Polski przeznaczeniach“ aż do ostatniego okrzyku Zygmunta: „o Polsko, jakże trudnej wymagasz ofiary“!

Nie brakło nawet aluzyi politycznych, jeśli np. Zygmunt godził się na myśl „Zbracić pod słodkiem berłem naszej Katarzyny Niepodległych Polaków z bitnymi Rusiny“. Szlachetnością tryskały wszystkie postaci rodzime, tylko cudzoziemka (Bona), to wcielony fałsz i obłuda, mściwość i podstęp; Barbara nawet otruta pociesza się: „ginę zbrodnią, lecz ginę nie z Polaka ręki“; nawet Kmita, co się Bonie za nos wodzić daje, na jej „anszlaki“ się wzdryga, bo „Polak nie jest zrodzonym do nikczemnej zbrodni“ i dumne czoło przed królem schyla, przyjęty okrzykiem Zygmunta „król z tobą i ty zawsze bądź z królem i krajem“. Wszystko więc toczy się w najprzyzwoitszym, najpatryotyczniejszym duchu, od nieco dziwacznej intytulacyi „Szanowna Izabelo“ aż do ostatniego, króciutkiego aktu, wedle najlepszej recepty dramatycznej, wymagającej nawet w każdym akcie jakiejś całości. Szczyt poezyi — bo wedle kanonu estetycznego tylko tragedya go tworzyła — był nareszcie osiągnięty; taką to najcelniejszą tragedyę klasyczną, i dziś dla popisu w deklamacyi i giestach odgrywaną, odumarł jednak rychło jej autor, i na teatrze i w Krzemieńcu jak meteor, nie jak gwiazda stała, zabłysnąwszy.

Koźmian i Feliński podzielili się wawrzynami; inni, Osiński, Wężyk, próbowali sił na polach rozmaitych. **Osiński** zaczął był jeszcze w wieku ubiegłym, za przykładem Karpińskiego, Zabawkami wierszem, sielankami i satyrami, karyerę literacką; lirykę uprawiał i później, z ramienia i w duchu Towarzystwa Przyjaciół Nauk; rzucił się do dramatu, ale tylko w przekładach najlepszych tragedyi francuskich (Cyd, Horacyusze, Cynna i t. d.); próbował się w publicystyce, wydając „Pamiętnik Warszawski“, czem ugruntował sławę krytyka, a w końcu, jako profesor, i teoryę literatury zgłębiał: nic gruntownie ani samodzielnie, wszystko z elegancyą i smakiem. W walce klasyków z romantykami i jego imię stało się hasłem,

jemu to podsuwano wszelkie złośliwe ucinki i drwiny z „młodych“.

Większym talentem literackim odznaczał się **Franciszek Wężyk**, większą też samodzielnością sądu: tłumaczył on obok klasyków i Szylera; wady tragedyi francuskiej odczuwał dokładnie. Sam w jej duchu tworzyć nie przestawał, chociaż Atalię ostro skrytykował, poczem Towarzystwo (Koźmian i Osiński) rozprawy jego nie ogłosiło w „Rocznikach“, jako „powstającej przeciw uznanym już powszechnie prawidłom“. Tragedye jego,—obok niezbędnej „Barbary Radziwiłłówny“ jeszcze i „Wanda“, również nie pierwsza ani ostatnia w nieskończonym różnych Wand szeregu, i inne historyczne (innych nie uznawano)—wrażenia nie robiły; najlepiej wsławił poetę poemat opisowy, „Okolice Krakowa“, dla treści urozmaiconej wspomnień przeszłości, szczerszego uczucia. Jak Koźmian, i on nawet u schyłku długiego życia pracy literackiej nie rzucał, kusił się o nowe próby dramatyczne, w tragedyi i komedyi, podobał się nieraz w wierszu okolicznościowym, lecz najtrwalszy po nim pomnik, nie w księgach, lecz w murach pozostał — jak Staszic Warszawskiemu, tak Wężyk Krakowskiemu Towarzystwu Naukowemu gmach wystawił.

Od „poetów“ takich i gorszych roiło się na tym parnasie: byli to najczęściej tłumacze, kierujący się i w wyborze przekładów również „uznanemi powszechnie prawidłami“, czy do opisowej, czy do dramatycznej sięgali literatury; z oryginalnych prac chyba się „Ludgarda“ Kropińskiego wyróżniała. Lepiej powodziło się na niwie poezyi drobnej — bo poezya klasyczna stopniowała produkcyę literacką — w stylu lirycznym i komicznym. Wobec sztywności muzy poważnej uciekano się chętnie do sielanek i dum, do dumek i śpiewek i melancholiczne czy rzeźkie ich nastroje znachodziły poklaski. Odznaczyli się tu i Krakowianin przybrany, dzielny żołnierz Wincenty Reklewski, ofiara wielkiej kampanii, z „pieniami wiejskiemi“, z Krakowiakami między niemi, gdzie maszkarada sielankowa zbliżała się poraz pierwszy do życia prawdziwego, wychylając się ostrożnie z pod zwojów mitologii, różu i fałszu; i inna ofiara tej kampanii, Andrzej Brodziński (brat starszy Kazimierza z Królówki), z Zabawkami wierszem i prozą, echami sielanki niemieckiej, Gesnera i Kleista; inny żołnierz, Antoni Górecki, Wileńczyk, którego imię żywe Krakowiaki najdalej rozniosły, piszący i dumy i elegie, żoł-

PEDAGOGICZNA Biblioteka Wojewódzka

nierza polskiego z pod Samosierry, jako Szubrawiec w satyrycznych i politycznych bajkach szczególniej cięty; Kantorbery Tymowski, kolega po broni i piórze, później referendarz stanu, czy to dumał „w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem“ i chwałę legionów opiewał, czy też pieśń do porteru lub odę do brzucha (o niepokonanej mocy głodu, naśladując niby sławną odę do bizuna Bohomolca jeszcze) układał; tłumaczył i liryki Szylera i ody Horacego i domagał się prócz rymów wierszów miarowych: kwestye prozodyi i rytmiczne, mianowicie zaś rymu męskiego, wdzierającego się do śpiewek, do liryki, nie uznawanego z początku, potem dopuszczonego, traktowali Królikowski, Okraszewski i muzyk Elsner.

Zgłaszali się i pierwsi poeci prowincyonalni, melancholiczny Tymon Zaborowski, wieszcz miodoborski, sławny swojemi, w gruncie bezbarwnemi całkiem, dumami podolskiemi i również bezbarwnemi tragedyami, wystawianemi w Kamieńcu, Krzemieńczanin, w „Ćwiczeniach Naukowych“ prace samych niemal Krzemieńczan skupiający; nie odbiegający od rutyny klasycznej, chociaż głębokie, nieukojone uczucie miłosne życiem przypłacił; przyjaciel jego, Stanisław hrabia Starzyński (Staś z Zamiechowa), liberał i demokrata, więc w ciągłych kolizyach z duchownymi i sąsiadami, których dowcipnie wyśmiewał, teatroman, słynny satyrycznemi piosenkami (Niech się żeni, kto bogaty; Co już przeszło, to nie wróci; Paciorek, niby zeznanie wiary, gdy go o libertynizm oskarżano i t. p.).

Ubiegając się za *couleur locale,* mimowoli odświeżali oni zatęchłą klasyczność, chociaż utartych torów nie rzucali ostatecznie. Takich zaściankowych znakomitości bywało więcej, np. polski Beranger, marszałek zasławski, Jakób Ciechoński, sławny piosenkami humorystycznemi, i inni. Wydostawali się jedni na szerszą widownię, np. Ferdynand Chotomski, z niezrównaną werwą parodyujący (nicujący) „Eneidę“, nie w krótkim wierszu Blumauera i Kotlarewskiego, lecz w aleksandrynach, wplatając przysłowia, słowa przestarzałe, najstraszniejsze anachronizmy, igrając z dźwiękiem słów: o Kumie swojej (t. j. sybili z Kum), co w piwnicy miała wina, węgra i maderę, które w głowie sprawiały zaraz czeremere; Eneasz sam zaczynał smutną opowieść: infantko (infandum etc.) chociaż może na śmierć się zapłaczesz i t. d. Inni ugrzęźli w prowincyi, np. Jan Onoszko, słynny satyrą o wódce (Pijem, kiedy się żenim, kiedy

się rozwodzim, Pijem, kiedy się bijem, pijem, gdy się godzim i t. d.); Rysiński i inni.

Dla zwiększenia efektu komicznego używano już i gwary ludowej, np. sowietnik, później wicegubernator Mańkowski pisał „Enejdę na iznanku“ (wywrót), gdzie białoruski Eol na słowa Junony „zatknuw za pojas kacatych (druty do łapci), Zwaliwsia z pieczki w adin mih“ i t. d., sławną przed wiekiem po wszystkich jarmarkach mohilewskich i witebskich.

Do przeszłości sięgał Rajmund Korsak; bezecnik Bakę z śmieci odgrzebał, o własne rymy tegoż kroju powiększył i w świat puścił; również „Bibejdą“ się wsławił; inni innemi epopeami humorystycznemi.

Po nad rojami niesfornej tej dziatwy Apolinowej wznosili się wysoko, otoczeni czcią powszechną, w której i nieco późniejsi romantycy szczery udział brali, ludzie wyższego natchnienia i większego talentu, Woronicz i Niemcewicz; nad nimi stanął najmłodszy, jedyny wielki talent czy geniusz komiczny, wtedy i długo jeszcze niedoceniony, Aleksander Fredro. Ci trzej, w nierównej mierze i dla przyczyn całkiem odmiennych, przetrwali i epokę warszawską i cały klasycyzm, a jeden z nich żyje i błyszczy do dziś, i na złożenie jego z tronu komicznego wcale się nie zanosi.

Jan Paweł Woronicz, typowy syn polskiego wieku odrodzenia, eksjezuita i ksiądz, jak inni, dążył i w literaturze torami Naruszewicza, w sielankach, jak odach, sławiąc panów i króla; rychło jednak spoważniał proboszcz liwski, wymowny kaznodzieja warszawski, trafiający jeszcze wymowniej do serc maluczkich; po rozbiorze kraju w sferze puławskiej przebywał, z niej zewnętrznych pobudek do nowych tworów czerpał. Katastrofa dziejowa zasępiła mu umysł, wyrobiła w nim pesymizm, nieufny i ku zwrotom pomyślniejszym, wszędzie dopatrujący źródła nowych zawodów. W ciężkich, bolesnych rozmyślaniach doszukiwał się Woronicz przyczyn upadku:

> Więc gdy Bóg nas nie może karać bez przyczyny,
> Los nasz być musi płodem własnej winy;

stąd wynikała otucha, że pokutą, skruchą, poprawą błogosławieństwa niebios znowu okażem się godnymi. Od poniżającej teraźniejszości ulatywał wzrok jego w przeszłość świetną i ogarniał coraz dalsze przestwory, gdzie Polska się rozlewała w Słowiańszczyź-

nie, z pomroków dziejowych występującej. Osobliwsza historyozofia, wysokie wymagania moralne, silna nuta słowiańska stanowią cechę niezwykłej poezyi Woronicza; w myślach i formie styka się on nieraz ze Staszicem; język twardy, obfitujący w nowotwory: po długim zastoju sadzili się wszyscy klasycy, aż do „księcia wymowy“ Stanisława Potockiego, na wzbogacenie języka: niektórzy błądzili przeciw najprostszym regułom składni, inni pisali raczej z francuskiego lub zakrawali na łacinę, mimo to kuli wszyscy nowe, nieraz wcale niekształtne wyrazy.

Historyozofię wykładał Woronicz w obszernych, pseudoepicznych poematach; wykończył (a później i wydać pozwolił) tylko „Sybilę“, tytuł jej i wstęp od „Sybili puławskiej“ zapożyczywszy. Prócz wstępu i zakończenia, poświęconemu domkowi gotyckiemu i Czartoryskim, jest to historya polska, włożona w usta Kazimierza Wielkiego, idealnego, i Jana Kazimierza, wieszczącego proroczo przyszły upadek, skreślony w pieśni czwartej. Krócej a dobitniej wyłożył to samo ksiądz biskup w „Hymnie do Boga“, który usunięto z programu publicznego posiedzenia Towarzystwa, „ulegając okolicznościom teraźniejszym i stosunkom“ (pruskim, r. 1805).

Od tak silnych zwrotów odwykła była poezya polska, odhartowana w miękkiej dłoni Krasickiego. Coraz bardziej zatapiał się Woronicz w obrazach wielkiej, bajecznej przeszłości; nie wahał się sięgnąć aż do kolebki narodów, w „Assarmocie“, mitycznym Sarmatów praszczurze, wieszcząc rozrodzenie plemion, u których: „cnota naszym żywiołem, a rzemiosłem sława“. Zstępował potem do „Lecha“, ażeby, osadzając go w Gnieźnie a wywodząc z Henetów, dzieje bajeczne, mity i podania wyłożyć, wplatając wszędzie groźne proroctwa i przestrogi. W „Sejmie wiślickim“ znowu Kazimierza Wielkiego i panowanie prawa, nie człowieka, wysławiał; w „Jagiellonidzie“ już tylko plan epopei nakreślił. Obok tych obszernych dzieł poetyckich myślał Woronicz o pieśnioksięgu, choćby dla ludu, moralnym (złożonym z psalmów i t. d.) i historycznym, coby i same pieśni ludowe obejmował, ów skarb, „który w ustach niewygubnych pokoleń nie boi się pożaru i oręża...; aby nietylko język, ale i sławę narodową niepożytem narzędziem na rozwalinach świata wyżłobić“; wychodził on z jedynie słusznej zasady, „że odmiana rządu i składu politycznego bynajmniej narodów nie umarza“.

Gdy cesarz Aleksander listem do prezesa Ostrowskiego o przyjęciu tytułu króla polskiego doniósł, odezwał się Woronicz, niebawem biskup krakowski, „Hymnem do Boga“:

Panie Zastępów, Twa święta opieka...
Dziś nam się w całej swej pełni stawia,
Polskę objawia...

Zesłałeś Panie Twego namiestnika...
Co razem łączy dwa bratnie narody,
Które świat poznał i z męstwa i cnoty...
Niech mężnych Słowian pobratymskie plemię
Nieszczęsnej Polski odtąd broni ziemię...
Władzca zaś, co nas pod swój puklerz kryje,
Niech wiecznie żyje!

Wtórował mu Staszic: „jeden tylko (z władców Europy) błogosławiony od wszystkich ludów, wzór sprawiedliwości i ludzkości, w sercach Polaków nieśmiertelnej pamięci Alexander I stanął obrońcą praw tego narodu i zachował mu właściwą, nadaną od samego Stwórcy narodowość, a przez tę łącząc go z pierwotną jego słowiańską rodziną... w braterstwie z Rosyanami, w złączeniu się w wielkiej naszej pierwotnej sławiańskiej rodzinie, nie zapominajcie nigdy, kochani współrodacy, tych moich do was słów ostatnich: łączcie się i oświecajcie się“. „Opiekuna i Przyjaciela“ (słowa Cesarza na przemowę Węgrzeckiego) witały hymny i adresy; od Towarzystwa Przyjaciół Nauk przemawiał Staszic, na ten sam temat o „dwuch braciach starszych wielkiej Sławian rodziny“.

Nie było danem Woroniczowi wytrwać w pracy poetyckiej; sławnego kaznodzieję za czasów Księstwa, czy przy poświęcaniu chorągwi polskich czy przy otwarciu pierwszej sesyi sejmowej, obowiązki urzędu od niej oderwały; lecz jeszcze, jako biskup krakowski, polecał Stachowiczowi odtworzenie przeszłości narodowej w obrazach dla pałacu biskupiego. Znękanego wiekiem i cierpieniami głos coraz słabiej się odzywał; jako prymas, zszedł już po roku do grobu.

Rzewna miłość świetnej przeszłości, głęboki żal za jej zmarnowaniem, otucha niezłomna w wyroki Opatrzności, okupowały, co obrazom jego poetyckim barwy i wyrazistości, słowom wdzięku i harmonii brakowało; ze czcią dla poety łączyła się cześć dla kapłana i człowieka, gardzącego „pajęczemi pasmami bezsilnych skarg“, cnotą, rozumem i męstwem zdobywającego niebo.

Równie popularny i czczony, nierównie wszechstronniejszy i żywszy, a głównie aktualnością swą uznanie zdobywający, to **Julian Ursyn Niemcewicz;** nadmierna wrażliwość stanęła mu nawet na przeszkodzie, nigdy wszystkich sił nie skupił, nie zdobył się na cierpliwość i wytężenie środków artystycznych, zadowalał się pierwszym rzutem, do żadnej pracy nie powracał, wykończoną byle jak, od niechcenia, na zawsze zarzucał. Talent był nadzwyczajny, rozległy; umysł głównie ku potrzebom chwili zwrócony; z zawodu polityk i publicysta, nawet w poezyi, bajką, satyrą, komedyą, romansem aktualności służył. Adjutant Kościuszki, towarzysz niedoli z pod Maciejowic i w twierdzy petersburskiej, obywatel amerykański wracał do kraju z głośnem nazwiskiem literackiem, wplecionem w wawrzyny wielkiego sejmu; odtąd rosła tylko jego popularność, w Puławach i Warszawie szegółniej między damami, w Towarzystwie Naukowem, którego prezesem po Staszicu został. Najobfitsza czynność jego przypada właśnie na te czasy, od r. 1807 do 1830; na emigracyi, w Paryżu i Londynie jeszcze lat dziesięć spędził, lecz już tylko „Pamiętniki czasów moich“ układał, sięgające aż do lat dziecięcych, chociaż dawno przedtem historyę spółczesną (np. Księstwa Warszawskiego) spisywał, rzeczy, które się dopiero do druku dostają.

W Towarzystwie odkrył talent czy zamiłowanie do dziejopisarstwa; nietylko wykonał obraz panowania Zygmunta III, spółzawodnicząc z ks. Siarczyńskim, lecz pierwszy zabrał się do zbierania i ogłaszania autentycznych zabytków przeszłości, mów, relacyi, opisów podróży, pamiętników, wierszów historycznych; wydał pięć tomów takiego „Zbioru pamiętników historycznych o dawnej Polsce“ (1822 — 1830) i przysłużył się tem nadzwyczaj, zainaugurował cały bogaty, ważny dział piśmiennictwa historycznego, wyprzedził Grabowskich (Ambrożego i Michała), Raczyńskich, Przeździeckich, Balińskich i tylu a tylu innych, którzy, w jego ślady wstępując, pamiętniki i inne źródła ogłaszali. Z prób ówczesnych (przed r. 1830) należy choć „Sandomierzanina“ wymienić, który pod redakcą Ujazdowskiego w dwu tomach bynajmniej Sandomierzem i Chęcinami się nie ograniczył, lecz dla dawnej literatury i historyi wiele cennych przyczynków źródłowych ogłosił.

Przed tą systematyczną pracą dziejopisarską, nie obliczoną na szersze warstwy, wykonał Niemcewicz, o czem Woronicz tylko zamyślał, ów pieśnioksiąg marzony—w „Śpiewach historycznych“, pi-

sanych za Księstwa, wydanych roku 1816 (już r. 1819 wydawano je po raz trzeci, i popularność ich nie ustała, chociaż, jak dla „Bajek“ Krasickiego, zmieniła się ich popularność i tylko młodzież je czyta). Z formą ballady i pieśni historycznej, nie istniejącej dla kodeksu francuskiego (pseudoklasycznego), zapoznał się był Niemcewicz w literaturze angielskiej, gdzie Percy'ego ballady historyczne (ludowe) nadzwyczajnej zażywały sławy; tłumaczył i „dumami“ przezywał ballady angielskie, przeróbki sławnej królowy Ballad, Lenory, aż trzy, „Alonzo i Helena“, „Malwina“, „Cień Eweliny“; zachwycał Towarzystwo Przyjaciół Nauk r. 1804 „Michałem Glińskim“, potem innymi, „Zamkiem Jazłowieckim“, „Żółkiewskim pod Cecorą“ i t. d. Z takich zawiązków urosł plan, odtworzenia jakiegoś ciągu, uwiecznienia świetniejszych czy rozstrzygających chwil dziejowych pieśniami o czynach i mężach, od Lecha aż do odsieczy Wiedeńskiej.

Tak stworzył Niemcewicz poetycki podręcznik dziejów polskich, w notach uzupełniając tok wierszów; tak spławił on pierwszy szlachetny kruszec tych dziejów i na monetę obiegową przekuł. Wrażenie było nadzwyczajne; echem odbiło się daleko, i w Rosyi, gdzie Rylejew na ten sam ład swoje „Dumy“ w duchu obywatelskim wyśpiewał.

Wierności historycznej było tam mało, a poezyi jeszcze mniej; jak „Barbara“ Felińskiego, jak ryciny dodane pseudoklasycyzmem tchnęły, z widokami wystylizowanymi, ze zbrojami i postaciami teatralnemi, dekoracyjnemi, pseudorzymskiemi, podobnie i tekst charakterystycznych różnic, odcieni, rysów nie uwydatniał; w tych samych barwach i słowach czasy pogańskie i Czarnieckiego lub Sobieskiego wystawiał; w sentymentalność wpadał, na same przemowy bohaterów, na ich patos retoryczne, główną kładł wagę. Za to popularyzował po raz pierwszy dzieje ojczyste, jak nikt inny dotąd; nuty i śpiewność zapewniły to powodzenie, na które rzecz, choć w patryotycznym najbardziej duchu wykonana, dla samego wykonania tego nie zasłużyła.

Na wielki poemat epiczny się nie porywał, trafnym instynktem wiedziony; za to od dydaktycznego nie stronił i obszerne „Cztery pory życia ludzkiego“ (nie drukowane dotąd w całości) zostawił; o wiele piękniejsze były jego „Dumania w Ursynowie“, gdzie z obserwacyi świata roślinnego i zwierzęcego (np. mrówek) porów-

nania i obrazy wysnuwał, tęsknotą, marzeniami je przetykając, niewymuszone, naturalne i tkliwe.

Najbardziej celował w bajkach, tradycye Stanisławowskie nawiązując; popłacały one niegdyś nadzwyczaj, u Minasowicza i Jakubowskiego, sięgających jeszcze czasów saskich; u Naruszewicza i Krasickiego, Kniaźnina i Trembeckiego, u Tetmajera na początku wieku i innych. Niemcewicz, inaczej niż Krasicki, uprawiał bajkę pełną aluzyi aktualnych, politycznych, towarzyskich (na Ledy, które już nie łabędzie, lecz indyki na amantów biorą); zaczął niemi podczas Sejmu długiego, a wrócił do nich w Puławach i Warszawie; czasem data sama świadczy, w co, a raczej w kogo Niemcewicz mierzył,—na wojska sprzymierzeńców, ogładzających kraj (koty, zamiast szczurów, tępią zasoby śpiżarni — niby to tłumaczenie z niemieckiego; jak i w ówczesnej literaturze rosyjskiej, podawano umyślnie niejedną rzecz oryginalną za tłumaczenie z nieistniejących obcych autorów lub dzieł, aby zacierać poszlaki; robili tak Rylejew i Puszkin, robił i Niemcewicz przed nimi). Bajki bardzo trafne, np. przeciw cudzoziemskiemu wychowaniu (bobrów u papugi, na co to wyszło); przeciw fircykom, pysze nadętej, głupcom bezczelnym, krytykom niepowołanym, gasicielom światła; „Mrowisko“ z roku 1815 radziło święcie a mądrze kontentować się małym, rzucać niepłodne marzenia, dziękować królowi za niespodziewaną łaskę i brać się do pracy. Najbardziej szkodzi tym bajkom ich nadmierna rozwlekłość; do nich dołączył, jak Lafontaine, i powiastki, nieraz bardzo niemoralne, inne smutne i tragiczne, owe przeróbki Lenory i t. p.

Jak wszyscy literaci - pseudoklasycy, i Niemcewicz muzie dramatycznej najusilniej hołdował: komedye pisywał, chłoszcząc przywary narodowe (małpowanie francuszczyzny, politykomanię i t. p., „Pan Nowina czyli dom pocztowy“; „Samolub“; „Podejrzliwy“); tragedye wybierał nie z oryentu i starożytności, lecz wyłącznie z dziejów narodowych, a więc „Władysława pod Warną, Jadwigę, Piasta, Zbigniewa, Kiejstuta“: temperament nawskroś polityczny i w dalekiej przeszłości aluzyi do stosunków warszawskich nie unikał, rewolucyę potępiał, jakby fatalny rok 1830 przeczuwał, na zausznych doradców i pochlebców sarkał, jakby o koteryi na zamku myślał; znajdziemy więc np. w „Kiejstucie“ (niewydanym za życia; z cenzorem Szaniawskim darł koty gorąco kąpany poeta), że Kiejstut umierający dowiaduje się, iż „pospólstwo, sprawiedliwą zemstą

uniesione sprawców wszystkich swych nieszczęść skarało śmiercią“, i wybucha:

Jakaż praw świętych ohyda!
Za czyimże wyrokiem? Jakże zapalczywość
Pełni, co pełnić winien sąd i sprawiedliwość;
Jestem obrońcą ludu, lecz lud często błądzi —
Nie uniesienia jego, niechaj prawo rządzi!
Śpiesz (do Witolda), niechaj twoja czujność zuchwałość ukraca,
Niech tron będzie bezpiecznym, niech spokojność wraca!

A jeszcze dotkliwsze są aluzye do „prędkiej odmiany niepewnej młodości“, do prawideł ludzi władzy chciwych (oddalać od rządzących prawdę i poddanych skargi) i t. p. Ze wszystkich prób dramatycznych podobały się najbardziej wodewile, „Giermkowie króla Jana“; „Jan Kochanowski w Czarnym Lesie“, gdzie w ustach dworzanina, prawiącego o Janie, poeta siebie samego miał na myśli: poeta, wedle niego,

Jest to stworzenie, niby coś nakształt człowieka,
Z tem wszystkiem różniące się zupełnie od ludzi,
...patrzy przez godzinę na kwiat jasnej róży...
Rzuca łoże, by widzieć, jak jutrzenka wstawa...
Rozpamiętywa przeszłość, lub w przyszłości ginie,
Wielbi wdzięki natury, ustronia osobne,
Jakąś wolność, swobodę, i głupstwa podobne.

O przyszłości miewał Niemcewicz nieraz dziwne pojęcia czy obawy, np. gdy „Rok 3333“ kreślił i w nim Warszawę - Moszkopolis, gdzie ostatki chrześcijan, potomki Zamojskich, Żydom wodę i cegły wożą. Powieściami i romansami wpływał — obok „Śpiewów historycznych“ — najbardziej na publiczność; lecz o tych wspomnieć należy osobno.

I na tem nawet nie kończy się jego bogaty dorobek literacki: pisarzem politycznym okazał się w „Listach litewskich“, komentujących wymownie wypadki roku 1812, i w innych broszurach; swą ziemię przebiegał w dłuż i szerz i opisywał co widział w „Podróżach historycznych po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828 odbytych“ (wydanych później); o pamiętnikach własnych, z bardzo ciekawymi ustępami, mówiliśmy już wyżej. Nie ubiegał się on wyłącznie o górne wawrzyny; od patosu przechodził aż do komiczności, ale, jak siłą mowy i polotu i wielkością obrazów nie dorównał

Woroniczowi, tak i w służbie muzie komicznej daleko w tyle za Fredrą pozostał.

Tej muzy, jak eposu komicznego; farsy, jak trawestyi, nie cenił kanon klasyczny, lecz kamień, odrzucony przez klasyków, stał się węgielnym, i scena narodowa nie o Barbary i Wandy, lecz o komedye **Aleksandra hrabiego Fredry** się oparła.

Po licznych, dzielnych, w żelazo zakutych rycerzach - granicznikach, co Podola i Rusi piersią swą strzegli, wysilił się ród znakomity w wieku XIX na generacye nie mniej dzielne, może mniej hartowne, artystyczne bardzo, obdarzone niezwykłą bystrością obserwacyi, którą już antenat - statysta, Andrzej Maksymilian, celował: nie próżno też z „Przysłów“ jego praszczur późny motta do swych komedyi dobierał; dalej wyobraźnią plastyczną, niewyczerpaną *vis comica,* lubującą się i w śmiechu dla śmiechu, jowialnością staropolską.

Gdy oręż Napoleoński bracia zawiesili na kołku, gdy „święte“ przymierze pokój na zawsze Europie zapewniło, gdy w Galicyi ówczesnej prócz wspomnień z kampanii, zdobyczy serc niewieścich, polowań, hulanek i gospodarstwa trzypolowego, niezmiennego, nic nie nęciło ani zajmowało, wylał się temperament żywy młodego Aleksandra na tworzenie scen i postaci; żyłkę dramatyczną, obudzającą się wcześnie, wierszomanię już obozową wzmogły pochwały i zachęcania przyjaciół, a kierunek im nadał wpływ, jaki na nieobeznanego dotąd z teatrem, muza dramatyczna w Paryżu wywarła, nie tragiczna, Talmy, z patosem i przesadą, lecz Talija, ludzi żywych łudząco, wiernie a charakterystycznie, na scenie w ruch wprawiająca,; usilna lektura Moliera i Goldoniego dokonały reszty.

Próba pierwsza, napisana od niechcenia, zachęciła do dalszych; gdy teatr lwowski, walczący z kłopotami finansowymi, w nich nie gustował, udał się Fredro do Warszawy, i leniwy do nowych rzeczy i autorów Osiński wystawił nareszcie „Geldhaba“ w lutym roku 1821. Odtąd miał Fredro zapewnione powodzenie u publiczności, trafiając u dyrektorów teatru na obojętność, u recenzentów i krytyków na złą wolę. Borykał on się z nimi, t. j. nie dawał się im odstraszać, i do roku 1835 wyroiły się z dworku szlacheckiego w Jatwięgach i Bieńkowskiej Woli sztuk ze dwadzieścia. Chociaż już w Paryżu przekonał się Fredro, że utwór sceniczny dopiero w przedstawieniu wykończenia i życia nabiera, o wystawienie swych

sztuk sam nigdy nie dbał, za kulisy nigdy nie chodził, teatrowi obcy pozostał. Również unikał „aktualności“ fabuły czy osób; nigdy żywych portretów na scenę nie wyprowadzał i sztuki chętnie w Warszawie wystawiał, aby w Galicyi nie dobadywano się oryginałów; tylko w „Jowialskim“ Bogu ducha winnego staruszka z sąsiedztwa sportretował, w którym późniejsza krytyka niewiedzieć co za bohatera czy symbol upatrywała.

W roku 1835 dał się, niestety, Fredro, na całe lat piętnaście, zrazić od swego powołania, nie tak głupiej krytyce Goszczyńskiego, oskarżającej go o niemoralność i płochość, o ślepe naśladownictwo, o niedołężne cieniowanie charakterów, jak absolutnemu milczeniu powołanych, z których nikt się słówkiem za ciężko skrzywdzonym nie ujął; jak u nas zawsze bywa, wybryk jednostki odcierpiał ogół; tym razem skrupiło się na literaturze narodowej.

Niechęć krytyków demokratycznych obudzał Fredro już samą sferą, w której się jego komedye głównie obracały, salonową i szlachecką — jakby on inne znał, malując, co na około widział! Niechęci tej nie rozbrajały zacne, obywatelskie tendencye autora. Fredro nie pisał tylko dla śmiechu, nie żeby „dudków bawił“, i gniewało go, gdy sztuki jego tylko dla ich wesołości ceniono; i on uważał się za satyryka i występował świadomie przeciw najbardziej zakorzenionym wadom owej sfery, przeciw jej cudzoziemszczyźnie bez ładu i sensu; przeciw marnotrawstwu i karciarstwu, grasującemu strasznie właśnie w Galicyi; przeciw płochości mężczyzn i kobiet; przeciw dorobkiewiczom i ich pysze nadętej, owym Geldhabom, porosłym w pierze na liwerunkach, i ich Florom, polującym na mitry książęce, a dostawało się przytem i owym mitrom samym; żyłce do satyry folgował i w powiastce. I krytykę i publiczność zbijało chyba z tropu, że obok takich zakusów satyrycznych wystawiał Fredro i farse najpociesznieszje, gdzie wybuchy nieco grubego, rubasznego śmiechu wszystko zagłuszały, a nadzwyczaj żywe tempo akcyi i dyalogu z góry powagę rozbrajało, porywało widza, myśli głębsze płoszyło.

O temat, intrygę, genialny dyletant nie dbał wiele; brał, jak Moliere, co się nawinęło, czy nowelę niemiecką, czy „Don Kiszota“ czy „Sarmatyzm“ Zabłockiego; nad zawikłaniem i rozwikłaniem węzła dramatycznego głowę tem mniej łamał, skoro trzymał się z zasady reguł francuskich, jedności akcyi, miejsca i czasu; nawet subretkami - pokojówkami nie gardził; nie przebierał i w materyale

komicznym, z *qui pro quo,* z głuchoty i t. d. korzystając. Typy, coraz odmienne, brał z obserwacyi.

Od typów roiło się około niego: na wsi dogorywały niedobitki sarmatyzmu, przedpotopowcy jacyś, trzymający się święcie nietylko wiary i zwyczaju przodków, ale i ich przesądów; inni zrzucali już ze strojem polskim narodowość samą, przebijającą jednak z pod obcych naleciałości; nowe pokolenie wyrobiło się w epopei napoleońskiej, oficerowie starsi, do rygoru nawykli, bardzo drażliwi na punkcie honoru; młodsi, używający świata, z energią niewyczerpaną, szarżujący wczoraj Samosyerę, dziś serca niewieście; podkomendni, służbiści wąsale, z politowaniem czy pogardą na wszystko, co nie wojskowe, co nie służba, patrzący; były i pasorzyty, owi Geldhaby i inni. Damy sentymentalne, do miłostek skłonne, niewiary tragicznie nie biorące, wyrażające się frazesami, dziś niemożliwymi, z tkliwych romansów ówczesnych wykrojonymi. Obok złotej młodzieży, fircyków Zabłockiego, hulaków, poczciwych z gruntu, serca najlepszego, wykolejonych pobłażaniem, wyłamujących się z każdego rygoru, i mężowie nie lepsi, z amorami w głowie, i żony również płoche, ale poważnych zawikłań nie znosi scena; czasy ciężkie, na wyrzuty już nie pora, więc choć na scenie rzuca się troskami o ziemię i bawi w najlepsze. Tak pojmowała to przeciętna publiczność i z nadzwyczajną wdzięcznością witała śmieszka, niewyczerpanego w coraz lepszych pomysłach.

Śmieszek ten wyrósł pod ferulą pseudoklasycyzmu; od Francuzów zatrzymywał nazwy konwencyonalne, Orgonów i t. p., lub etykiety, Raptusiewiczów, Milczków i t. d.; za Francuzami popisywał się w wyłącznej komedyi typów, chociaż sam najlepiej czuł, że nowoczesna scena czegoś innego już wymaga. W „Jowialskim“ prawił przecież poeta przez usta Ludmira, że „komedya Moliera koniec wzięła, skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni, trzymał ręce w kieszeni, teraz sknera sknerą tylko w kącie, troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota i ubogiego hojnie obdarzy, byle świat o tem wiedział... niema wydatnych zarysów... w każdym człowieku dwie osoby“.

Mimo słusznej teoryi stoją komedye Fredry tylko „wydatnymi zarysami“; zazdrośny u niego tylko zazdrośny, cudzoziemszczyzna tylko cudzoziemszczyzną. Zrywał się jednak Fredro do nowego lotu i pod innym względem: rozdarcie nowożytnego człowieka, pragnienie niezaspokojone ideału, rozdźwięk ze smutną, płaską,

podłą rzeczywistością, odczuwał i wystawiać umiał, choćby w krótkim szkicu, przełamując wąskie szranki komedyi francuskiej, w „Odludku i poecie“ najbardziej, za Szylerem już krocząc, gdzie publiczność tylko dawną sentymentalność odczuwała, niby gruchanie Filona do Laury, chociaż to się nowy świat, romantyczny, otwierał. Z komedyi francuskiej zachował Fredro nawet jej sentencye i tyrady nieskończone, rywalizując z Felińskim. Ale ani Moliere, ani Kotzebue nie wyczerpywali jego zasobów; do wzorów, ramek, treści obcej przystępowała własna werwa, żyła komiczna niewyczerpana, genialna; duch czyli instynkt nadzwyczajnej swojskości.

I tak stworzył Fredro jedyną, jak dotąd, komedyę historyczną polską. W „Zemście“ historycznych nazwisk i akcyi, miejsca i czasów, niema żadnych, ale i Cześnik i Rejent, Raptusiewicz i Milczek, to dawne typy polskie w dawnem otoczeniu, do których się i ociężały Dyndalski i frant Papkin dostrajają; szarży komicznej, czy to w scenie, gdy wobec im skrytszego, tem niebezpieczniejszego Milczka hardy Papkin ciszej wody i niżej trawy się odmienia, czy to, gdy mozolisty kułak Dyndalskiego z piórem i sensem się boryka, prześcignąć nie można. A w repertuarze Fredry nie jedyne to sceny komiczne; dziwacznyż pomysł w „Pierwszej lepszej“,—wziąć za żonę, która się nawinie, by, wybierając, nie wpaść gorzej, ale wobec Litwinki ze śpiewnym akcentem i przedpotową karetą i Heraklit-by dalej płakał, tym razem od śmiechu. Cóż mówić o „Damach i Huzarach“, z ich licznemi kontrastami, od owych herodów - bab aż do kapelana wojskowego z niezmiennem „Nie uchodzi“, o owem nieprzewidzianem wtargnięciu świata damskiego w tryb kawalersko-wojskowy, kapitulujący po nieudałej obronie; i w najmarniejszej farsie, takim „Nowym Don Kiszocie“, są sceny tak komiczne, że zapomnieć ich czy oprzeć się im niepodobna. Ale pióro Fredry nietylko dla szarży i farsy stworzone; już w „Mężu i Żonie“, gdzie cztery osoby trzy akty wypełniały i temat drażliwy najdyskretniejszej akcyi, wyłącznego dyalogu, wymagał, zajaśniał kunszt Fredry w prowadzeniu tego dyalogu i w cieniowaniu jego; temat był ten sam, który niegdyś Lipski aż w dwu komedyach traktował, kończył się również pomyślnie, chociaż obnażał płochość nadzwyczajną, francuską, nie sarmacką: że wszyscy z ogniem igrali, że wszyscy się nawzajem oszukiwali, że najgrubiej oszukany mąż sam sztuki

oszukiwania przyjaciela wyuczał, bawiło widza nadzwyczaj i głębszego namysłu nie dozwalało.

Prześcignął się Fredro w „Ślubach Panieńskich czyli magnetyzmie serca“, przyciągającym przeciwne bieguny, chociaż wątpić można, czy ckliwy i miękki Albin energicznej Klary nie znudzi, a łagodna Aniela nie uprzykrzy się tak dalece szaławile Gustawowi, że on — tym razem na seryo jednak — listy do Klary sam pisywać zacznie; lecz i takie skrupuły nie powstają w widzu, zajętym typowymi, kontrastowymi okazami młodzieży polskiej, głównie serdecznym, pustym, prędkim, szlachetnym w gruncie Gustawie, który w Radosta, srogiego na zewnątrz, miękkiego istotnie, z czasem się przerodzi; w widzu, olśnionym żywością i błyskotliwością dyalogu, wytwornością i finezyą słów i uczuć; porwanym scenami genialnemi, np. owem pendant do listu Dyndalskiego, listem dyktowanym przez Gustawa, najbardziej ujmującą sceną z całego repertuaru Fredrowego, szukającą równia w literaturze dramatycznej świata całego. W „Panu Jowialskim“, pomysł prastary, jeszcze przez Barykę niegdyś próbowany, urozmaicony parą staroświecką, obywatelską, którąby niemal również do typów historycznych zaliczyć można.

Teatr Fredry nierówną ma wartość. Przeważają farsy, melodramaty, drobiazgi, gdzie jedna scena lub jeden typ widza zabawi; pierwszy lepszy pomysł wykonany jakby od niechcenia; żeby się uśmiać do syta, nie waha się autor przed niemożliwością czy nieprawdopodobieństwem. Ale komik, z którymby tylko Gogola między Słowianami porównać można, gdyby sfera ich nie była tak odmienną, gdyby Gogol zbyt, choć mimowoli, nie narabiał satyrą, obcą w tej mierze Fredrze i jego czasom; komik ten ma serce tkliwe, więc ubolewa nawet nad niskim stanem ówczesnej literatury; ust mu nie wykrzywia sarkazm, nie karci on, nie znęca się tem mniej, nad płochymi, słabymi, nierozumnymi; nie przeciąga więc zawikłania nigdy aż do groźnego konfliktu — „nie wódź mnie na pokuszenie, ojców moich wielki Boże“! woła niby i on sam, jak jego Raptusiewicz. I wieje od jego dzieł, nawet mimo nazw obcych i wzorów, duch szczeropolski, objawiający się nietylko w języku, którego wszystkie tajniki znał, jak ongi p. kasztelan lwowski, choć, jak ów od łaciny, tak ten od galicyzmów wcale nie stronił, ale w samych postaciach, w ich sposobie myślenia i działania, z ich słabostkami i dzielnością, przymiotami i przywarami. Narodowej tragedyi, rzeczy łatwiejszej, nie stworzyła klasyczność warszawska; daremnie próbował się w niej i inny Fredro, Jan Maksymilian, który naturalnie i „Wandę“ popełnił; narodową komedyą za to uwieczniła się pamięć doby „warszawskiej“ w dziejach literatury. O polskości tej typów świadczą choćby obaj bohaterowie „Zrzędności i Przekory“: Fredro lubił ten sam typ, skąpca, zrzędy, anglomana i t. d. w podwójnych okazach wystawiać i mimowoli je indywidualnie zabarwiał. Za dowcipem słownym się nie uganiał, kalamburów unikał, za to na śmieszności w myślach używał, szczególniej sławny jego angloman Radost.

Nawet zagranica uznawała zalety Fredrowe, i przyswajały sobie jego rzeczy scena niemiecka i francuska, czeska i rosyjska; nie zawsze się nawet do tego przyznawano, i „Labiche“ figuruje, gdzieby „Fredro“ położyć należało. Wobec komedyi Fredry (przed rokiem 1835) inne jego próby literackie całkiem ustępują, tak samo jak w obec jego komedyi komedye innych, dziś całkiem zapomniane.

Do śmiechu Fredro w komedyach był skłonny, chociaż sam nietylko pustym i płochym nie był, ale jak Gogol, jak inni wielcy humoryści, głębokość uczucia, tkliwość serca, wrażliwość nawet nadmierną (czego rok 1835 dowiódł) pod maską komiczną ukrywał; z uczuciem nie wylewał się na zewnątrz, ogrzewał niem, prócz niektórych postaci swych sztuk, kółko najbliższe, rodzinne, a niby trzpiot na scenie był najprzykładniejszym obywatelem w życiu, publicznem i domowem. Dzieło, poczęte przez Zabłockiego, dalej i wyżej poprowadził; jemu zawdzięcza teatr polski pierwsze i na długi czas jedyne, trwałe sukcesy — naturalnie, cały jego repertuar nie utrzymał się, poodpadały rzeczy błahe i słabe, ale w dziejach teatru u Słowian stanął na wyżynach; mimowoli nasuwają się podobieństwa i jeszcze silniejsze kontrasty między nim a Gogolem, kontrasty sięgające o wiele głębiej, niż wszelkie indywidualne różnice.

Drugi, coraz potężniejszy czynnik literatury pięknej, od „klasyków“ jeszcze mniej ceniony, skoro „reguł“ dla niego wcale nie było, spółzawodnik teatru, który z nim razem wydziedziczyć miał i usunąć zupełnie wszelkie do niedawna tak cenione rodzaje, i lirykę i satyrę i epos i poema opisowe — romans, teraz dopiero pierwsze kroki stawiać poczynał. Wiek XVIII obywał się nie zbyt nawet licznemi tłumaczeniami; w XIX i te poustawały i rozpierała się sze-

roko francuszczyzna, rugująca książkę polską z rąk szczególniej czytelniczek, wychowaniem samem na pastwę francuszczyźnie oddanych, odwykających od polskiego pisma, a nieraz i języka. Pierwsze romanse polskie wywołała niemal wszystkie chęć patryotyczna przeciwdziałania zgubnemu nałogowi; miały one dowodzić, iż i nasz język zdolny wydać „tkliwe uczucia delikatnej miłości", że monodolu na to francuszczyzna nie posiada; miały dać zasmakować w rodowitej mowie i tem ją ochronić od przemożnego wpływu obcego języka, za którym i inna obczyzna się wciska. Największe zasługi zaskarbił sobie i na tem polu Niemcewicz. Prawda, jego „Nieszczęścia Występnej Zalotności" nie ujrzały światła dziennego—wrażliwy nad miarę autor dawał się byle jakim kolizyom z Szaniawskim odstraszać: romans, w listach naturalnie, w formie od Russa i „Nowej Heloizy" uświęconej, odgrywał się na tle wypadków roku 1812, wolny od ckliwej sentymentalności, zalewającej karty Kropińskiego, ks. Wirtemberskiej, Bernatowicza, chociaż i on „występną zalotność" Herburta dla Porajowej, „kanalską słabość" Chapkiewicza dla swej Puttchen, stałość i wierność głęboko skrzywdzonej Herburtowej, prawą miłość Mieleckiego i Zofii kreślił: niegodziwy Chapkiewicz, Biurowicz, sprzedający się *plus offerenti*, Puttchen, wojująca z ortografią i gramatyką, panie zcudzoziemczałe tworzyły kontrast do galeryi patryotycznych mężczyzn i niewiast, owej Zofii np., której właśnie Mielecki pisanie romansów dla ćwiczenia języka polskiego polecał — niby Niemcewicz sam księżnie Wirtemberskiej.

Był to więc pierwszy polski romans obyczajowy; pierwszy historyczny, jeszcze przed wpywem Walter Skota, to — „Dwaj Panowie Sieciechowie" (1815), parlalela dwuch pokoleń, dziada-sarmaty z czasów saskich, gardłującego za *Liberum Veto* i niepłaceniem podatków, a wnuka-letkiewicza z czasów Księstwa, sfrancuziałego napoły, lecz przytomniejącego, gotowego do ofiar pieniężnych i poświęcenia osobistego; każdy z nich prawił o sobie swoim właściwym językiem.

Publicysta i kwestyę żydowską, gdy na porządek dzienny wypłynęła, w romansie omówił: „Lejbe i Siora" (1821, znowu w formie listowej) kreśliły walkę, prześladowania, nienawiść ortodoksyi żydowskiej przeciw oświeceńszym spółwiercom, którzy jednak nie ulegają i hasła postępu, obywatelskości, ogłady przykładem swoim szerzą. Najgłośniejszy, chociaż najsłabszy w gruncie, romans historyczny, pierwszy narodowy, przykładem czyli epidemią naśladowniczą (Waltera Skota) wywołany, „Jan z Tęczyna" (1825) — niby „Barbara" romansu, akcesoryami, nie duchem i treścią historyczny, szablonowy, ale nadzwyczaj popularny, nęcący samą epoką świetności jagiellońskiej, doniosłością nazwisk, choćby Kochanowskiego; powodzenie „Śpiewów historycznych" i „Jana z Tęczyna" zagłuszyło niemal rzetelniejsze zasługi. Niezmordowany publicysta, satyryk (bajkopisarz), historyk i beletrysta należał do tej generacyi, jeden z najświetniejszych jej przedstawicieli, której wysoka kultura i niewyczerpane zasoby, fizyczne i moralne, Hercenowi tak imponowały.

Romanse Niemcewicza rychło tłumaczono; obok nich stanęła roku 1816 „Malwina" czyli domyślność serca", księżny Maryi z Czartoryskich Wirtemberskiej, chciwie pożerana, często tłumaczona, nie dla przebłysków obserwacyi, sytuacyi spółczesnych, lecz dla sentymentalności pary kochającej i nadzwyczajności jej awantur. Tej samej sentymentalności, narzuconej jednak XVI wieku, hołdowali Ludwik Kropiński (autor „Ludgardy) i Feliks Bernatowicz; pierwszego „Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru", napisane już roku 1811, wydane zbyt późno, 1824, i wtedy już bez uroku świeżości; drugiego „Nierozsądne śluby" (1820) mniej fantastyczne, więcej urozmaicone, o realny konflikt, wyznaniowy, oparte.

Kobiety, które do zawodów literackich w odzie, eposie i tragedyi jeszcze wcale nie stawały, rzucały się na łatwiejsze pole popisowe, powieściowe; jeszcze przed księżną Wirtemberską próbowała swych sił w opisywaniu okropnych, strasznych przygód Mostowska; o sentymentalną powieść kusiła się i Łucya z Giedrojciów Rautenstrauchowa (Emmelina i Arnolf, 1821, z zawikłaniami najniedorzeczniejszemi), więcej zasłużona opisami podróży krajowych i zagranicznych; celowała w nich Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska („Zofia i Emilia", 1827; „Wieczór adwentowy"; „Pierwsza miłość — pierwsze uczucie", 1828), o skutkach wychowania, temperamentu, pierwszego nazawsze decydującego uczucia, trafnie i mądrze rozprawiająca; dotykająca stosunków na wsi i miasteczku, krusząca nawet kopie za ludem; malująca charaktery nie zbyt wybitne; wolna od przesady, tkliwa, jednak przed rozczarowaniem ostrzegająca.

O wiele głębsze ślady wyryła działalność, nie tylko już literacka, ale i pedagogiczna, innej autorki, Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Panna Tańska, własnem doświadczeniem, przez wychowanie wyłącznie francuskie, i radą mądrej matki kierowana, przyłożyła się walnie do usuwania braków, w wychowaniu zcudzoziemczałem, niepraktycznem, na polor zewnętrzny, na „talenty towarzyskie“ (t. j. francuszczyznę i garstkę wiadomostek, choćby z mitologii; na robótki; na muzykę i tańce) jedynie się wysilającem. Na razie oddawała się panna Tańska pracy pedagogicznej; stworzyła pierwsza literaturę dla dzieci i panienek, wydając i „Pamiątkę po dobrej matce“ (przeróbkę z niemieckiego) i „Rozrywki“, czasopismo dla dzieci (1824 — 1828) i rugując niemi, za natchnieniem Brodzińskiego, „Wieczory zamkowe“ i powieści pani Genlis; gruntu tradycyjnego, rodzimego trzymała się oburącz, myśli o emancypacyi były jej obce, chociaż sama się wyemancypowała, uzyskawszy posadę rządową, jako inspektorka zakładów żeńskich. W beletrystyce zasłużyła się „Listami Elżbiety Rzeczyckiej“ (1824) i „Dziennikiem Franciszki Krasińskiej“ (1825) — pamiętnikami, na poły autentycznymi, życia polskiego XVIII wieku, po dworach i dworkach, żywymi i barwnymi, trafnymi, choćby autorka nie wszędzie jeszcze znaczenia kreślonych objawów dopatrywać się umiała; z szacunkiem i miłością dla przeszłości, nie zakrywając przecież i jej wad.

Były to skromne napozór i drobne, nieco szare (gdyż od wszelkiej fantastyczności i nadzwyczajności stroniące) powieści więcej historyczne, malowały trafniej obrazy nie zbyt dawnej przeszłości, którą Tańska z tradycyi i listów się przejęła, niż wszelkie inne spółczesne romanse historyczne, od „Jana z Tęczyna“ począwszy.

Walterskotyzm szerzył się gwałtownie; po tłumaczeniach barda szkockiego przyszła kolej na produkcye oryginalne w tym samym guście. Gust ten w wieku XVIII był zupełnie nieznany, szczególniej u nas, którzy niemieliśmy nawet tych olbrzymich romansów (głównie niemieckich), rozpychanych erudycyą antykwarską, już z końca XVII wieku, tłumaczonych nawet na rosyjskie (Azyatycka Baniza i in.), u nas nieznanych. Pod piórem Waltera Skota odmienił się ten zapomniany już kierunek zupełnie; pogłębiono wymagania „historyczności“ aż do szczegółów życia, obyczajów, ubioru, aż do charakterystycznej mowy, aż do prawdziwości krajobrazów, aż do prawdopodobieństwa fabuły, którą do dat i imion historycznych na-

wiązywano, chociaż nie samych bohaterów dziejowych na pierwszym jej planie umieszczano. Ta nowość zasłoniła sobą zupełnie próby oryginalne powieści (pseudohistorycznej, u nas np. Tadeusza Bułharyna, zachowującego wraz ze swoim Piladesem, Greczem, do roku 1830 jako tako pozory przyzwoitości), powieść o Esterce (on pierwszy obrobił tę, dotąd, szczególnie po dramatach grasującą u nas baśń o żydowskich miłostkach ostatniego Piasta) i pseudohistoryczne zakusy Kropińskiego i in.

Po „Janie z Tęczyna“ wzniosła się najwyżej „Pojata, córka Lezdejki albo Litwini w XIV wieku, romans historyczny w czterech tomach przez Feliksa Bernatowicza“ (1826). Żmudzin mimowoli dał się pokierować w wyborze przedmiotu ściślejszą ojczyzną, zacofaną wobec Polski, jak Szkocya wobec Anglii, mimo to narzucającą jej swych władców, malowniczą; jak bard szkocki, wysilił się i on na oddanie najdokładniejsze tła, nie poskąpił na to trudów, zwiedził pieszo, z ołówkiem w ręku, okolice Krewa, Trok, Kowna, wschłuchiwał się w mowę ludu, chwytał cienie jakiejś tradycyi; nie rzucając stylu retorycznego, cechującego, jak spółczesnych wszystkich, autora „Nierozsądnych ślubów“, stworzył całość, bardziej łudzącą historycznością i plastycznością, niż dzieła spółczesnych, chociaż i ona się bez wymysłów ultraromansowych (obraz Jadwigi i t. p.) nie obywała, przypominając „Jagiellonidę“ Tomaszewskiego. Pojata cieszyła się więc największem powodzeniem, jeszcze roku 1898 przedrukowano ją po raz szósty; tłómaczono ją na cztery języki.

Na mniejsze powodzenie zasłużył, i słusznie, bo nie wykonany z równą starannością, „Nałęcz“ jego (1828 r. i częściej), z Kazimierzem Wielkim i nieodzowną Esterką; dalszej czynności (w powiastkach i romansie, tym razem z XVII wieku i najazdu szwedzkiego) położył kres rozstrój umysłowy; tkliwość nadmierna przerodziła się w melancholię i apatyę.

Ku powieści historycznej zwracali się i starzy i młodzi, i swoi i obcy: Franciszek Wężyk, klasyk niezdecydowany, sprzeniewierzał się parnasowi, uznającemu tylko tragedyę historyczną, „Władysławem Łokietkiem“ (1828) i „Zygmuntem z Szamotuł“ (1830), chociaż ani czasów zbyt odległych i zbyt mało znanych, ani charakterów kreślić nie umiał; Zygmunt Krasiński i młodzi jego spółpracownicy jaskrawością tematu zagładzali braki historyczności i wątku, prawdy dziejowej i psychologicznej; nawet uczony profesor ekonomii politycz-

nej w uniwersytecie Aleksandrowskim, hrabia Fryderyk Skarbek, hołdował tej manii (Tarło; Damian Ruszczyc, 1827, jeden z czasów saskich, drugi Sobieskiego), chociaż naturalny dowcip, dar spostrzegawczy, przykład angielskich powieściopisarzów obyczajowych, Fieldinga, Goldsmitha i Sterna, na pole powieści humorystycznej, satyrycznej, społecznej go przewabiły. Największy sukces odniósł też jego „Pan Starosta“ (1826), dziewosłęb ubogiego szlachcica, nadstawiającego braki imienia i majątku bohaterską służbą wojskową: obrazy życia szlacheckiego wiernie tu oddane; w innych („Podróży bez celu“) bawił się profesor to w sentymentalność, to w humorystykę, a nawet i w filantropię, skoro nawet do więzień jego „Pan Antoni“ trafiał; w istocie był to gawędziarz, mądry a nawet dowcipny (objaśniał i przysłowia narodowe), nie powieściopisarz.

Obok swoich i obcy łatwe tryumfy święcili, głównie Aleksander Bronikowski, oficer pruski, polski, saski, w Dreźnie osiadły i romansami z historyi polskiej Niemce zawadniający; wszystkie z nich pojawiały się i równocześnie w przekładach polskich; niektóre dożyły do naszych czasów, np. przedrukowywany nieraz „Jan III Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII wieku“. Bronikowski bujał po wszystkich czasach i dzielnicach polskich, od Gopła i Myszej Wieży aż do Marysieńki; najlepiej udawały mu się rzeczy XVI wieku, z konfliktami wyznaniowymi, w „Hipolicie Boratyńskim“ i w „Zawieprzycach“, aż dwukrotnie na polskie tłumaczonych. Opowiadał on żywo i zajmująco, historyi nie fałszował, wprowadzał najrozmaitsze charaktery, stąd sukcesy jego u Niemców i w Polsce. Zainteresowanie się historyą, podawaną w sosie romantycznym, było tak wielkie, że się i do fałszerstw, acz niewinnych, udawano, np. Kajetan Majeranowski w „Pszczółce Krakowskiej“ umieszczał niby ze starych rękopisów opisy zabaw, wesel, święconych, które jako autentyczne za nim Gołębiowski i Wójcicki powtarzali; jego opis „Konika zwierzynieckiego“ i wytłumaczenie romantyczne zwykłej zabawy cechowej reminiscencyami z napadów tatarskich dotąd kursu nie straciły. Gorsze były fałszerstwa innych, kronik średniowiecznych Prokosza, Kagnimira i tym podobnych luminarzów, przypominające fałszerstwo aryańskie jeszcze, listu Połowczyka, Smery, o chrześcijaństwie, lecz nie miały powodzenia.

Jak za czasów Krasickiego, podejmował się i teraz pseudoromans szerzenia lepszych pojęć o gospodarce i obowiązkach obywatelskich; „Pan Podstoli“ wywołał „Pana Podstolica“ Massalskiego, kreślącego w pięciu tomikach stan wiejski, czyli nędzę jego, szlachecki, bezmyślne trwonienie wszelkich zasobów, miejski czyli brak jego i „ideały“ czyli możliwość poprawy i reformy: „romans administracyjny“ ten, a nawet ortograficzny — gdyż Massalski uzasadniał w przedmowie nową pisownię — mimo formy dyalogicznej i kilku obrazów romansem nie był, równie jak i prototyp jego, kontynuował tylko postępowe i obywatelskie dążności „Dziennika Wileńskiego“, a w przypiskach zrywał zupełnie z formą powieści i najlepsze i najnowsze wynalazki, maszyny, doświadczenia (agronomiczne) z przytoczeniem źródeł i opisów wykazywał.

Klasycyzm tolerował romans, chociaż go nie uznawał — nie wymyśliliż przecież reguł dla niego ani Arystotel i Horacy, ani Boileau i Dmochowski; tak samo podkopywał on podstawy swego istnienia, forytując, z przyczyn wcale nie literackich, historyę i jej badania. Rzecznicy klasycyzmu, w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, pielęgnowali, jak język, tak i dzieje, w celach patryotycznych; sam Albertrandi, chociaż o narodzie, już w inne bryły przetopionym mawiał — zwrot ten niefortunny silnie zaczepiano — głównie na tem polu pracował i Towarzystwo do kontynuacyi „Naruszewicza“ skutecznie nawoływał; badania jego i członków Towarzystwa obracały się zawsze jeszcze w kierunku XVIII wieku, poświęcone panującym i dziejom zewnętrznym, uwzględniające raczej ubocznie dzieje kultury, szczyt dziejopisarstwa w wykładzie pragmatycznym wzrostu i upadku państw uznające.

Osobliwsze tory, jakimi się dzieje polskie potoczyły, należało jednak uzasadniać plemiennemi czy rasowemi właściwościami, i mimowoli wciągnięto w dzieje polskie czynniki pierwotne, prasłowiańskie, i odwojowano dziedzinę, dotąd tylko poetom, Trembeckiemu i Woroniczowi, przystępną; wyrozumowano na tle nowem i nowe sympatye słowiańskie. Rzecznikiem ich na polu politycznem, idącym najdalej, był Staszic, biadający nad rozerwaniem wyznaniowem, nad wzajemnem nieznaniem się, rwący się dla antagonizmu niemieckiego ku punktowi ciężkości słowiańszczyzny, wynoszący z uwielbieniem niekłamanem monarchę słowiańskiego; i Woronicz skłonny był nawiązywać legendowe dzieje polskie do słowiańskich; wyprzedził ich był archeolog Jan Potocki, piszący po francusku, śledzący Słowiańszczyznę aż do Marchii i Meklenburga, skąd nową seryą fałszywych bóstw prylwickich świat uczony uszczęśliwił, za-

służony jako specyalny a znakomity badacz czarnomorza i jego dziejów pierwotnych, scytyjskich i greckich.

Podróżnik i naturalista, ks. Aleksander Sapieha, skierował swe kroki na Bałkan, wtedy jeszcze *terra incognita* dla Europy; zasłużony pracownik w Towarzystwie Warszawskiem, wydał roku 1811 pierwszą część swych „Podróży po krajach sławiańskich, odbywanych w latach 1802 i 1803", zajęty nietylko własną specyalnością, geologią, lecz i gościnnym szczepem, nietkniętym wtedy w swej pierwotności, i literaturą jego ludową: on pierwszy z Europejczyków, po *abbate Fortis,* na większą skalę spisywał dumy, jakie w XV i XVI wieku ponury Serbin rzępolił w Polsce, która nie mając żadnych własnych, serbskiemi (o Warneńczyku) i ruskiemi dumami się zadowalała. Niestety, drugi, ciekawszy tom jego Podróży jeszcze do dziś nie ogłoszony. Linde w Słowniku uwzględniał wszystkie języki i narzecza słowiańskie, od cerkiewnego do „windyjskich" i „iliryjskich", z wielkim mozołem, i dzieło jego stanowiło epokę nie w słownikarstwie polskiem, lecz w słowiańskiem, służąc jeszcze Miklosiczowi, po pół wieku, za niewyczerpaną kopalnię.

Znamiennem było wystąpienie ks. biskupa wileńskiego, Kossakowskiego, jeszcze za czasów pruskich, z uświetnieniem i przypomnieniem roli Czechów dziejowej i literackiej w odczycie o literaturze czeskiej i związku języków słowiańskich (1803); tego odczytu do Austryi bano się przewozić. Odkrycia, a raczej pseudoodkrycia czeskie, Hanki, witano radośnie; Dobrowski, znakomity filolog czeski, ojciec slawistyki, Hanka, w patryotycznem uniesieniu aż fałszerstw *ad maiorem Bohemorum gloriam* się dopuszczający, należeli od dawna do Towarzystwa, wraz z uczonymi i literatami rosyjskimi, Dzierżawinem, Karamzinem i in.; Towarzystwo popierało badania początków słowiańskich, i członkowie jego odznaczali się na tem polu niepomiernie; Walenty Skorochód Majewski, „O Sławianach" (bo wtedy i długo popłacała ta mylna, grecka, nie słowiańska forma) i ich pobratymcach, 1816, przed Franciszkiem Boppem, ojcem lingwistyki aryjskiej, wykazywał blizkie związki języka „samskredamskiego" (sanskrytu) ze słowiańskimi i innymi europejskimi; Rakowiecki w dwu tomach „Prawdy Ruskiej" (1820 i 1822), nietylko objaśniał tekst tego najdawniejszego pomnika prawodawstw słowiańskich, lecz wciągał do dzieła i teksty staroczeskie (Hankowe) i staropolskie; Wawrzyniec Surowiecki, autor cennych

dzieł z dziedziny ekonomicznej, dawnej i dzisiejszej, wydał i „Śledzenie początków narodów słowiańskich" (1824), które, większy od niego, Czech P. Szafarzyk na niemieckie rychło wyłożył i później, we własnych „Starożytnościach Słowiańskich", pogłębił i rozszerzył.

Zwrot ten ku dziejom pierwotnym wywołał z konieczności zwrot ku badaniom ludowym, początki etnografii naszej. Program jej kreślił już Kołłątaj, jeszcze roku 1802, zwracając uwagę na znaczenie różnic i osobliwości w narzeczach, obyczajach, ubiorach i t. d., żądając ich zbierania: pojawiały się też pierwsze tego próby; wszystkie prześcignął entuzyasta - romantyk, Adam Czarnocki (Zoryan Dołęga Chodakowski), należący do etnografii polskiej i ruskiej. Rozprawka jego „O słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej" z roku 1818 była i sygnałem bojowym i odkryciem niespodzianem, czarownem; zapatrzony w swój przedmiot, w zachwyceniu niemal, kreślił w śmiałych, wielkich rysach niewyczerpane, dotąd nieznane, pomiatane jako baśni bogactwo, starej tradycyi słowiańskiej, głęboko w narodzie uśpionej, istotnej cechy jego, powołanej przez badacza do życia, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej, po zdarciu obcej, narzuconej gwałtem, wszystko rodzime zakrywającej szaty chrześcijańskiej.

Słowa natchnionego apostoła tradycyi słowiańskich oblokły się niebawem w czyn; zasilony przez Czartoryskiego i Rumiancowa (kanclerza państwa, wielkiego miłośnika słowiaństwa i jego zabytków) odbywał pielgrzymki od sioła do sioła, od horodyszcza jednego do drugiego, zbierając pieśni i podania, dobadywając się pierwotnej organizacyi słowiańskiej, opierając ją o „stare - sta". Nigdy już potem nie odznaczały się u nas badania słowiańszczyzny równą intensywnością; nigdy nie dostarczały one równie bogatej podniety i płodów zarazem; nawet historyę prawa polskiego, którą Bandtkie (na podstawie tekstów łacińskich), a Lelewel (polskich) traktowali, rozszerzono w pracach Kucharskiego, wysłanego umyślnie dla tych badań do braci Słowian, do Pragi i na Południe, wydającego po raz pierwszy najdawniejsze pomniki prawne słowiańskie; w rozprawach Maciejowskiego i Hubego dano jej te niezbędne podstawy porównawcze, do których ona dopiero dziś znowu w pracach O. Balcera powraca. Rok 1831 przerwał i ten kierunek, jak inne prace.

Rok 1831 rozłamał i intensywną czynność **Joachima Lelewela** na dwie nierówne co do treści i znaczenia doby. Poseł żelechowski, a potem niefortunny członek rządu rzucał z krajem i bogate swe zbiory i prace o historyi polskiej; pozbawiony ich i bibliotek polskich opracowywał na emigracyi, gdy niewdzięczną politykę w końcu porzucił, obce rzeczy średniowieczne, *Numismatique du moyen-âge, Géographie du moyen-âge* i t. d., rzeczy wielkiej, źródłowej wartości, dowód nadzwyczajnej erudycyi i bystrości; dopiero po roku 1841, za wezwaniem księgarza poznańskiego, Żupańskiego, wrócił do rzeczy polskich, ale w wielotomowym ich zbiorze („Polska, dzieje i rzeczy jej"; ostatnie tomy wydano już po śmierci autora) umieszczał rzeczy, przed rokiem 1831 napisane, teraz chyba dopełniane i poprawiane; lecz znalazły się tu i nowe przyczynki, treści politycznej, humorystycznej (Wieca królowej polskiej w Sokalu), autobiograficznej (Przygody) i historycznej (pierwotnej, np. Narody na ziemiach sławiańskich).

Już przed rokiem 1831 powstały więc owe prace, w których Lelewel nowy pogląd na dzieje polskie, obowiązujący niemal przez pół wieku, z którego się Moraczewski, Szmitt i inni nie otrzęśli, przeprowadził.

Warszawianin — „Mazurem" się stale przezywał i do Litwy (Wilna) ekspatryować się nie zamierzał—od lat chłopięcych trawiony głodem historyi, z początku badaniom antykwarskim, o Eddzie skandynawskiej albo o „dawności litewskich narodów i związkach ich z Herulami" (r. 1808), się oddawał, chociaż Adam Czartoryski od tego go nawoływał „do filozoficznej części dziejów, aby zostać dziejopisem... do czego nikt u nas dotąd nie doszedł". Zwrócił się do badań kronik dawnych, szczególniej mistrza Wincentego (Wzmianka o nim i Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa, przetłumaczone na niemieckie przez Lindego; w owym biskupie krakowskim, rozmówcy z trzech pierwszych ksiąg Wincentego, widział ich autora, co mylne, uprzątał za to bajki o Lechach i t. d.) i rozwinął czynność zdumiewającą. Porzucił wąskie tory dotychczasowej nauki, sięgał do sag północnych i do relacyi pisarzów arabskich, do geografii i numizmatyki, do genalogii i heraldyki, do historyi prawodawstw i ich zabytków, polskich i litewskich, do kronik średniowiecznych i pisarzów starożytnych; już wcześnie uwydatnił ten uniwersalny zakrój swych badań, którym dotąd nad naszymi historykami góruje, zasklepiającymi się z reguły w dziejach domowych.

Nie rychło zabierał się on do tworzenia większej całości, chyba w wykładach uniwersyteckich (wileńskich), ogarniających całość dziejów starożytnych i nowszych; chętnie zapuszczał się w kwestye metodyczne, o Historyce, o rozgałęzieniu i metodach badania. Ogłaszał najrozmaitsze opracowania („Dzieje starożytne Indyi i in.), i z nauk pomocniczych, np. i dziś jeszcze ciekawe „Bibliograficznych ksiąg dwoje" i „Dzieje powszechne bibliotek"; nikt mu nie dorównywał w uczoności i bystrości; styl był niefortunny, chropawy, z nowo kutemi „dziejbami" i „zdziełcami" — trzebaby je tłumaczyć na język polski, żartował kolega wileński, Daniłowicz. Oprócz rzeczy specyalnych, np. „Badań starożytności we względzie geografii", chlubnie ocenianych — w tłumaczeniach — przez mistrzów nauki, Rittera i Humboldta, należy wymienić zwięzłą a wyborną „Historyczną paralelę Hiszpanii z Polską w XVI, XVII i XVIII wieku", tłumaczoną na obce języki, i „Dzieje Polski" potocznie opowiedziane (czyli Dzieje, które stryj synowcom opowiedział, doprowadzone do roku 1795, później do roku 1831, dziewiąte wydanie r. 1859). Pogląd jego na dzieje polskie różnił się dyametralnie od dotychczasowych, był w oczach klasyków, jak autor sam, jakobińskiej, rewolucyjno-republikańskiej natury: sympatye ludowe, do gminowładztwa słowiańskiego, reprezentowanego przez gminowładztwo szlacheckie, nienawiść ku arystokracyi, nieufnośc ku monarchizmowi. Całości, ani dziejów uniwersalnych ani polskich, Lelewel, walczący po r. 1831 ze strasznym, chronicznym niedoborem materyalnym dobrowolnie i z zasady, nie stworzył; w szczegółach, nieraz się mylił w wywodach etymologicznych, słabej stronie badań naszych starożytniczych po dziś dzień.

Za to zgłębił dzieje polskie, jak nikt przed nim; do prawdy docierał niezmordowanie; zebrał materyał olbrzymi, zużyty i w dziełach, które jego nazwiska nie noszą, czy to w „Zbiorze praw litewskich" Działyńskiego, czy to w pierwszym tomie „Herbarza" (Niesieckiego, wydania Bobrowicza — spis dygnitarzów chronologiczny jego pióra). Niepodzielny, półwiekowy autorytet jego u nas (tylko Röpell się z pod niego wyłamał) był więc rzetelnie zasłużony; w przywiązaniu do kraju i dziejów jego nikt go nie przewyższył.

Gdy etnografię i studya słowiańskie dopiero za czasów warszawskich wskrzeszano, historya literatury, już jako część historyi kultury (np. w Obrazie Siarczyńskiego), początkami swymi aż w czasy saskie, do Jabłonowskich i Załuskich, sięgała. Ogranicza-

ła się ona wtedy wyliczaniami poetów i dzieł ich drukowanych (u Jabłonowskiego w przedmowie do „Placyda"; w „Musaeum" Załuskiego); potem głównie historyków uwzględniano, i p. Dubois w swojej książce francuskiej, i Mitzler w Bibliotece Warszawskiej (niemieckiej, dającej wyciągi z „Fasti Radiviliani" i podobnych dzieł) i Załuski sam w swej białym wierszem pisanej Bibliografii, z której właśnie tylko część o historykach z przypisami Minasowicza Muczkowski roku 1834 ogłosił: rzecz bardzo ciekawa i ważna mimo niemożliwej formy.

Inni, Krasicki i t. d., dawali krótkie rysy pojedyńczych działów, aż Feliks Bentkowski w dwu tomach „Historyi literatury polskiej", całokształt jej objął (1814), chociaż i tu bibliografia rozumowana, z nadto pochlebnemi wzmiankami, lwią część dzieła zajęła; Bentkowski charakteryzował tylko całe epoki ogólnikowo; zresztą wyliczał dzieła, swojskie i tłumaczone.

Dykcyonarz poetów polskich wydał ks. H. Juszyński, przytaczając, prócz prób tekstowych, szczegóły głównie bibliograficzne: materyałem rozporządzał olbrzymim, niejednego, z czego korzystał, najciekawszego (pieśni średniowiecznych, dyalogów pobożnych), dziś już nie posiadamy.

Najwyżej stanął Ossoliński, w czterech tomach „Wiadomości historyczno - krytycznych", (z tych dwa poświęcone Orzechowskiemu) omawiając z nadzwyczajną erudycyą i gruntownością szereg ciekawych postaci, innowierczych (aryanów), uczonych (lekarzów) i innych, w języku, choć ciężkim i nieco dziwacznym, ale poprawnym; lecz nie wśród poetów wybierał on swych bohaterów, raczej między historykami i teologami.

Zamiast prac historycznych (teoretycznych było nadzwyczaj mało, najobszerniejsze Stanisława Potockiego o wymowie, w czterech tomach) sprzyjała doba wydawnictwom dzieł samych, szczególniej poeci Stanisławowcy doczekali się wydań zbiorowych, od Krasickiego aż do Dmochowskiego, w którego ślady syn wstępował, nie bez powodzenia, z tłumaczeniami, tragedyami i recenzyami, aż Mickiewicz jego kredyt poderwał.

Czasopiśmiennictwo nie zdobyło się na próbę wybitną, rozpraszało się w ponawianych coraz przedsiębiorstwach, najliczniejszych, choć nie wytrwalszych, w Warszawie; większość pism tych, „Pamiętników", „Ćwiczeń", „Sybil", „Astrei", czy jak się tam one nazywały, hołdowała umiarkowanemu klasycyzmowi; przynosiła

rozprawy estetyczne, moralizujące, historyczne; beletrystykę reprezentowały w nich i noworocznikach, almanachach, wiersze. Pisma fachowe, jurydyczne (Temidę i t. p.) pomijamy.

Tak dobiegał klasycyzm do schyłku, ale nie było mu danem zamrzeć w spokoju ani zdawać służby publicznej na wdzięcznych dziedziców; łuna nocy listopadowej zaświeciła nad jego straceniem, doraźnem, nieodwołalnem.

W tych czasach, kiedy on panował, najpierw niepodzielnie, potem, po r. 1820, z coraz liczniejszymi i znaczniejszymi uszczerbkami, zmieniła się postać literatury, warunki jej i kierunki, doszczętnie. Najpierw ześwieczczyła się ona; gdy za Stanisława dziewięć dziesiątych piszących byli duchowni, teraz wycofali się duchowni zupełnie niemal z literatury, przynajmniej z nadobnej; utrzymywali się między historykami, bio- i bibliografami, a zasilali głównie teologię; wyjątkowo w polemikę się wdawali, gdy fanatyczny Surowiecki (Karol) antiklerykalną alegoryę, bardzo przezroczystą, „Podróż do Ciemnogrodu" ministra oświaty Stanisława Potockiego, w „Świstaku wygwizdanym" napadał lub inni przeciw wolnomularstwu wojowali. Ich monopol gruntowniejszego wykształcenia dawno ustał; ze szkół, coraz wyłączniej świeckich, szczególniej w Królestwie, wychodziła młodzież świecka, zdolna i ruchliwa; duchowny *panis bene merentium,* niegdyś tak obfity, teraz skurczony i obcięty strasznie, potrzeby samego kościoła opędzał, nie służył więcej jako nagroda za satyry czy sielanki. Pozbywała się literatura tonu moralizującego, kaznodziejskiego najzupełniej i coraz się w niej uszczuplało miejsca dla księdza.

Jeszcze rychlej i gruntowniej pozbyła się ona nastroju panegirycznego. Nie było dworu, nie było i poetów-szambelanów; uznanie i nagrody rozdawała wielka publiczność; krytyk czy recenzent bywał jej organem. I po dworach magnackich zabrakło domowych poetów; magnat podtrzymywał odtąd literaturę, gromadząc zbiory, dla których potrzebował uczonych bibliotekarzów, łożąc koszta na wydawnictwa, których księgarz - przedsiębiorca podejmować nie mógł. I zdemokratyzowała się literatura; literat zaczął nawet marzyć o tem, by żyć z pióra, nie kłaniając się nikomu, by oddać się zupełnie zawodowi swemu, nie obciążając się zbyt inną, zyskowniejszą czy tylko pewniejszą pracą obowiązkową, i przestawał parnas być miejscem swobodnej towarzyskości, wzajemnej admiracyi, najgładszego obejścia; walki koteryjne przy-

bierały odtąd mimowoli ostrzejszy charakter. Ale zawód był każdemu otwarty; w miarę ustępowania duchownych wzmagała się liczba mieszczan i szlachty najdrobniejszej; literatura pospolitowała się i rubaszyła, a zyskiwała na przypływie sił nowych, oryginalnych, choćby nie zawsze wysoko kulturalnych. I wydzielali się powołani od rzemieślników, a choćby partaczów, i krytyka czuwała nad tem, wyróżniała jednych od drugich, chociaż na razie sama z powijaków pseudoklasycznych oswobodzić się nie mogła.

Literatura stawała się coraz bardziej potrzebą, nie rozrywką, już nie niepróżnującem próżnowaniem. Od razu straciła ona najwybitniejszą cechę poprzedniego okresu, satyryczną; zamiast pisania satyr zabierano się do raźnej pracy na każdem polu. Osiągano zadziwiające rezultaty: nawet w najniekorzystniejszych warunkach, za Księstwa Warszawskiego, podskoczyła np. liczba szkółek elementarnych miejskich i wiejskich ze 137 (w roku 1807) na 1491 (w roku 1814), zasługą Dyrekcyi Edukacyjnej i Stanisława Potockiego.

Ileż to przybyło potem szkół wyższych i specyalnych, — uniwersytet Aleksandrowski, szkoła agronomiczna w Marymoncie, leśnicza, górnicza, instytut czyli szkoła politechniczna (ze Staszicem naturalnie, jako prezesem), wojskowa i t. d. — tak raźnym krokiem postępowało oświecenie.

Czynność spotęgowana ogarniała wszelkie pola, brakowi przemysłu i rękodzieł miały zaradzić sprowadzanie obcokrajowców, nęconych przywilejami, wysyłanie zdolniejszych za granicę, budowa fabryk (Żyrardów), ułatwianie kredytu wszelkim przedsiębiorstwom; szczególniej zakrzątnięto się około górnictwa; nawoływania Staszica, składającego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk wyniki swych badań geologicznych, nie pozostały bez skutku; utworzono i uposażono w Kielcach Dyrekcyę główną górniczą i dodano jej szkołę. O gospodarce finansowej Lubeckiego świadczą najwymowniej cyfry: skarb niemal już zbankrutowany, z niedoborem strasznym, wobec kraju wycieńczonego i wobec moratoryum, jako ostatniego ratunku, przy końcu roku 1830 i deficytów się pozbył i sumą 50 milionów złp. rozporządzał. A wszystko szło drogą jawną, legalną i lojalną.

To są istotne zasługi „klasyków“ warszawskich, nie na polu literatury nadobnej zdobywane; energia jednostek wysoce kul-

turalnych zbudziła poczucie obywatelskości, otrząsła społeczeństwo z marazmu i zastoju, postawiła je na własne nogi, zaczęła skutecznie pracę organiczną na każdem polu, zreformowała administracyę, sądownictwo i szkołę, zreorganizowała i postawiła wysoko młodą armię. Wzorowała się na instytucyach francuskich, z kodeksem napoleońskim i biurokracyą, z jej departamentami i porządkami; ujmowała w karby całe społeczeństwo. Cóż dziwnego, że przenosiła metodę, tak zbawienną w życiu publicznem, i na rzeczy „przyjemności i smaku“, że nie opuszczała mody paryskiej i w rzeczach literatury, że w błogiem poczuciu doświadczeń z dwuch tysiącoleci, metrem francuskim, jednościami, wymierzała płody „geniuszów“ i, nie czytając, zasądzała wszystko, co się z pod metru francuskiego wyłamywało.

I spała szczęśliwie literatura piękna, naśladownicza, przestarzała na obie uszy, przez sen tylko odganiając muchy niemieckie i angielskie, niestety coraz dokuczliwsze! A przecież i na tem polu zdobyła zasługi, niegłośne, ale trwałe: przerwane tradycye Stanisławowskie nawiązywała, stworzyła znowu publiczność dla książki polskiej; oświata, jaką szerzyła, spulchniła twardą dotąd rolę, i ziarno już było rzucone: ze szkół klasyków zawziętych wyszli bohaterowie romantyzmu.

Wyprzedziło też Królestwo kongresowe wszystkie dzielnice polskie, i Warszawa, jakby za czasów Stanisławowskich, znowu środowiskiem literatury, gustu i smaku, zajaśniała, nie umiejąc nawet zawsze z przywileju tego należycie korzystać — czego np. nieszczęśliwy Malczewski doświadczył.

Zabiegliwemu konserwatyzmowi i wydatnej jego pracy obywatelskiej, coraz płodniejszej i ważniejszej, zarówno jak i nieruchomej klasyczności wykopały jednak nagły grób utopie rewolucyjno-polityczne i romantyzm literacki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

POCZĄTKI ROMANTYZMU.

Brodziński. Mickiewicz w Kownie i Wilnie; ballady i romanse; Dziady. Sonety. Konrad Walenrod. Naśladowcy. Szkoła ukraińska: Gosławski, Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Padurra. Walka z klasycznością.

Mimo wszechmocy klasyczności coraz się mnożyły zjawiska, obce i swojskie, wieszczące rychły jej upadek; z obcych literatura niemiecka, a w dalszym rzędzie angielska, pozbawione od dawna więzów pseudoklasycznych, musiały działać na ościenną, polską, skoro i Francuzi sami, przez usta pani de Stael, na nią uwagę zwracać poczęli, a szkoły pruskie i austryackie z oryginałami zapoznawały. I zaczął się po raz pierwszy objawiać wpływ literatury niemieckiej na polską.

Dotąd nie znano go zupełnie. Uczono się u Niemców (ich przedstawicielami byli tacy ludzie, jak bracia Bandtkowie, Linde, Grodeck, Kaulfuss i inni), tłumaczono ich dzieła, agronomiczne albo lekarskie (Hufelanda), lecz i w podręcznikach przeważały francuskie; nie znano zupełnie ani ceniono ich poezyi i prozy; w przekładach utykano na Hallerze i Kleiście, na Gellercie i Gesnerze, na gramatyce Gottscheda; teatr tylko, głównie niedzielny, nie zamykał się przed nimi; p. Kotzebue grasował w Warszawie, jak w Petersburgu; o Lesyngu, Szylerze i Getem — prócz rzeczy dramatycznych, nic nie wiedziano. Późno zaczęły się i z nich pojawiać przekłady,

luźne, nie zapowiadające jeszcze żadnego przewrotu. Nawet o metafizyce niemieckiej zaczęto rozprawiać, i już Józef Szaniawski polecał (r. 1805) czytanie filozofów niemieckich, a krakowski profesor filozofii, Jaroński, śmiał nawet Kondyllakiem i jego logiką pomiatać.

W obronie filozofii szkockiej i encyklopedyi francuskiej wystąpił Śniadecki (Jan) z rozprawą „O metafizyce“ (1814), którą kuglarstwem literackiem nazywał, o prawdziwym spisku na zaćmienie umysłu ludzkiego prawił, wprowadzającym na miejsce myśli prostych i jasnych język ciemny, niezrozumiały i mistyczny. Niebawem miał Śniadecki, na polu mniej sobie znanem, wiele ostrzej wystąpić.

Klasycyzm sam grób swój wykopał, choćby tylko powtarzaniem szablonu, datującego od lat niemal dwutysięcy, zakuwaniem ducha żywego w formy martwe. Gdybyż ten szablon i te formy zadowalały w czemkolwiek wymagania uczucia i fantazyi! Świat nowoczesny odmienił się najzupełniej: osadzonym wyłącznie na ziemi i bycie doczesnym ideałom poganina, gardzącego ręczną pracą, jako poniżającą człowieka, przewodzącego niemiłosiernie nad niewolnikami i nad kobietą, uznającego wśród otoczenia tylko ziomków najbliższych za ludzi i bliźnich, wśród władz umysłowych—rozum jedyny, przeciwstawiał on ideały chrześcijańskie, braterstwa ludów, swobody i równości płci i stanów, poszanowania pracy, uznania praw uczucia i serca; odrywał się od więzów ziemskich; upadały szranki antyku, roztkliwiały się serca, delikatniały uczucia, np. honoru; obok człowieka wystąpiła i przyroda, dla której antyk zmysłu nie posiadał, traktując ją wyłącznie jako dekoracyę. Na miejsce szablonu antycznego, kosmopolitycznego i jednostronnie intellektualnego, realistycznego, domagały się ludy czy indywidua, psychicznej analizy głębszej, poszanowania przeszłości własnej, zniesienia klątwy, ciążącej na wiekach „średnich“, urozmaicania cechami swojskiemi myśli, obrazów i mowy, skruszenia bałwanów płytkiego realizmu i mądrości zdawkowej, dążenia ku ideałom choćby nieziemskim, ku celom wszechbytu, badaniu rzeczy niezbadanych. Samem wyrafinowaniem kultury, ujednostajniającej wieki i strefy, dawno gardzono: oddalano się od niej, do niewymuszonej, naturalnej prostoty i szczerości; sama miłość ojczyzny przybierała inne formy, z miłości kraju i ziemi przetwarzała się w miłość ludu

i gminu, niedawno nieuznawanego za ludzi, w miłość, tradycyi i języka własnego.

Wzbierały krępowane uczucia i fantazya; klasycy, jak Russo i Makpherson, jeszcze w połowie niemal wieku nowe wskazywali tory; za nimi wychylał się Szekspir i Włosi, a z klasyków nawet, oryginalni, Grecy, zasłaniali i przyćmiewali zupełnie Rzymian — naśladowców. Zwrot ku narodowości, niezadowolenie formami życiowemi, pragnienie ideału, rozdarcie i tęsknota duszy nowoczesnej, tęskniącej ku sferom nadziemskim, obce i wrogie równowadze spokojnej a płytkiej antyku, musiały się wynurzyć w literaturze pięknej. I sprzeniewierzyli się wszyscy, ruchliwsi, gorętsi, głębsi, bożyszczom klasycznym, rychlej czy później, bez walki lub po walce zaciętej, której starzy choćby środkami policyjnymi (np. we Francyi petycyami do króla o ochronę Parnasu) napróżno tamę przeciwstawiać chcieli.

Najłatwiej porzuciła literatura niemiecka, która w pseudoklasycznym kierunku ani Rasynem ani Popem się nie uwieczniła, ten kierunek na zawsze i stworzyła w Getym i Szylerze, niemówiąc o Lesyngu, ich zwiastunie krytycznym, nową klasyczność, szczytniejszą, bardziej narodową, chociaż na greckich wzorach wyrosłą, a tem samem wywołała kroki dalsze, do zupełnego rozwichrzenia romantycznego, do przesady fantastycznej, do uczuciowości nadtkliwej, do jednostronnego uwielbienia wieków średnich, do szukania ideałów, „kwiatu niebieskiego".

Ważniejszym stawał się wpływ innej literatury germańskiej, angielskiej. Ani rwący się ku ideałom Szyler ani Olimpijczyk Gete, unoszący się w pozornej harmonii wszechbytu, głusi na krzyk sumienia i ślepi na otaczającą nędzę, niesprawiedliwość i podłość, oddzielający ściśle świąteczną sferę dumań i pragnień od życiowej, codziennej, nie mogli zhołdować natury słowiańskiej, gorętszej, rwącej się do czynu, nie zaspokojonej owym rozdziałem pedantycznym między rzeczywistością a marzeniem. Oddziałał na nią głębiej, wszechstronniej Byron. Barwność i tajemniczość opowiadań jego, piorunujące wzywania do boju w imię ideałów, szyderstwa i skargi na ospałych i obłudnych, jawne rozdarcie duszy, niezadowolenie straszne, do pesymizmu ostatecznego i zwątpienia prowadzące, porwały młodzież, odczuwającą głęboko to rozdarcie i tę tęsknotę czy to dla przejść i walk osobistych czy dla jawnych niesprawiedliwości społecznych i politycznych, gardzącą spokojem

i równowagą stróżów porządku i rozsądku, czcicieli jedynej maksymy: miary. Szyleromania ustąpiła byronomanii, tkliwa idealizacya namiętnym wybuchom skarg i żalów, a najazd ten na warszawski parnas klasyczny dokonał się nie bez przygotowania, przechodził pewne fazy.

Nie ze szkół poznańskich, lecz z galicyjskich wyszli obaj **Brodzińscy,** znawcy i miłośnicy literatury niemieckiej, od Hallera i Herdera ją datujący. Starszy, **Andrzej,** tłumacz „Dziewicy Orleańskiej", poległ już roku 1812, lecz młodszy, **Kazimierz** z „Królówki", został Janem Chrzcicielem romantyzmu: i jego głos przebrzmiewał na puszczy, gdy zjawił się ten, któremu nie był godzien rozwiązać rzemyków obuwia jego.

Tkliwy, sentymentalny Brodziński, niby spotęgowany Karpiński, za wpływem brata i Reklewskiego oraz ich sielanek, wcześnie do poezyi się zwrócił i wierszem na pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego ogólną uwagę wywołał. Potem pisywał do „Pamiętnika Warszawskiego" wiersze oryginalne i tłumaczone; pierwsze poświęcał świeżym jeszcze dziejom (Legionista i in.) lub wsi polskiej (Pieśni rolników; sielanka Oldyna, gdzie tylko imię jest konwencyonalne, skarga włościanki zaś bardzo realna,—za mężem-żołnierzem, co z rąk braci zginie); ujmował się o skarb najdroższy, mowę ojczystą (Żal za polskim językiem, gdyż my „po francusku spór wiedziem o polskich pisarzów").

Lecz dopiero „Wiesławem" (1820 r.) u starych i młodych entuzyazm wzbudził; była to największa i najdoskonalsza sielanka polska. Od wczesnej młodości znał i kochał Brodziński lud wiejski i po innych próbach w „Wiesławie" go wyidealizował: niby to „Herman i Dorota" Getego, przeniesiony z miasteczka nadreńskiego na wieś krakowską, zniżony o kilka tonów, więcej zmanierowany; uchylał poeta wszystko, coby „prostactwem" tchnęło, z Maćków Wiesławów robił i tem uznanie klasyków zdobył; tworzył jednostronne wskutek tego, a przecież piękne i rzewne obrazy, oddychające swojskością i rodzimością,—cechami, za któremi wyłącznie się ubiegał.

Z idyli życia wiejskiego ozłoconego słonkiem, omajonego zielenią, rozbrzmiałego śpiewem ptasząt, wybrał on moment najdramatyczniejszy, — zrękowiny, pozwalający wystawić lud w śpiewkach i tańcach, ochoczy do zabawy, zapominający o ciężkiej trosce i pra-

cy; wprowadził cały szereg znamiennych postaci, drużbę Jana, bywalca, z miodopłynną wymową, godzącego zwaśnionych; dziarskiego Krakowiaka, Wiesława, co i wojakowi z drogi nie zejdzie, a jak pokocha, to całem sercem; poważnego Stanisława, hamującego wymowę babską, Bronisławy i Jadwigi; uroczą, zapłonioną, zadumaną Halinę; nawet fabułę dramatyczną, z uprowadzonem dziecięciem, wśród zaburzeń krajowych, i rozwiązanie jej szczęśliwe wymyślił. Cały obrazek tchnął spokojem, łagodnym i cichym, wieczoru wiejskiego; żadna fałszywa nuta nie mąciła ładu wsi wesołej, wsi szczęśliwej.

Z sielanki tej biła skrycie, w innych wypowiadana jawnie, jedyna namiętność Brodzińskiego: przywiązanie do rodziny i ziomków. Już w liście do Dafny o poezyi (r. 1816) sformułował on program, któremu życiem i pismami wiernie służył:

Na jakiej ziemi, z jakim ludem żyjesz razem,
Takiego twoje pienia niech będą obrazem.
Niechaj inni śpiewają arkadyjskie gaje...
Ty, ceniąc wszędzie piękność, własną śpiewaj ziemię...
W ziomkach ucz się znać ludzi, z nich czerpaj natchnienie,
Ich uczuciem wzbudzone im poświęcaj pienie...

a w kilka lat później, gdy z Włoch wyjeżdżał (1826), nie nęciły go ani przyroda, ani dzieła sztuki auzońskie:

Nie zajrzę wam swobody ani wonnych gajów:
Pójdę żyć wspomnieniami do rodzinnych krajów,
Pójdę żyć jej nadzieją i dla niej poddany...
Choćby przyszło z trapiącym kochać ją milczeniem —
Byle w niej, byle dla niej z czystem umrzeć tchnieniem;

zrezygnowany żołnierz wielkiej armii powtarzał:

Czulej w naszej północy kochają swą ziemię,
Choć tam skąpiej natura posaży swe plemię;
Mniej darów, ale duszę więcej mają tkliwą,
Rzewniej się jakoś kocha matkę mniej szczęśliwą.

Jak u spółczesnych, od Staszica i Woronicza aż do Chodakowskiego, szerzyła się ta miłość ziemi i ludu mimowoli na całe „jednoszczepne plemię“, tak i Brodziński wtórował Czechom, Kollarowi i Czelakowskiemu, dawał się natchnąć sniełkom (sonetom) „Slawy dcery“ i w wizyi „Pobytu na górach karpackich“, „długoramiennej straży sławskiej niegdyś ziemi“, „bard“ (osyańskiej pamięci, przeniesiony bez braku na piewcę „sławskiego“) Bojan zawodził skargi:

Już nad Labą, Wezerą i wśród tylu krajów
Przebrzmiał język, ślad starty dawnych obyczajów;
Jeszcze przestwór ogromny północy i wschodu
Uchował bratni język i znamiona rodu,
Lecz i ten wrychle cechę naszorodną straci,
Jeśli zapomni spólnych i ojców i braci.

I uwielbiał i okraszał Brodziński ten świat słowiański; jako przymioty jego, upatrywał „miłość natury, umysł pogodny i wesoły, rezygnacyę, jedyny entuzyazm, miłość swej ziemi, wrodzoną skromność i obyczajność“, a przywarę ich główną: najskłonniejsi są do naśladowania szczególniej tego, co im jest najmniej wrodzone i przyzwoite.

Bolejąc nad zaniedbaniem (u nas) dziejów słowiańskich, przywodząc długi cytat z Herdera, odnajdywał w rozsypanych kurhanach o nieznanem znaczeniu tkliwsze wspomnienia, niż w klasycznych rumowiskach, w religijnych i rodzinnych obchodach słowiańskich, niż w igrzyskach rzymskich; miłością przejmowały go spokojne ludy, uprawiacze roli, nie znający oręża fanatyzmu i zaborów, nie zaś oburzające średniowiecze rycerskie; nawet mitologii słowiańskiej obca była krwiożerczość normandzka. Nie dziw więc, że młodzież gorętsza sarkała na wyłączną idyliczność w tych „ciemnikach słowiańskich“ i że wybuchnął Mickiewicz cierpką satyrą:

Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi,
Śpiewać naprzykład wiejskich chłopców zalecanki,
Trzody, cienie — Słowianie, my lubim sielanki.

Znając literatury nowsze, inaczej niż klasycy, którzy się sami z nieznajomości ich chlubili — szydzono przecież z Koźmiana, jakoby mawiał, że po Horacym niczego nie czytał, aby smaku nie zepsuł — wiedział Brodziński, że pochód nowej poezyi nie uszanuje blokady warszawskiej i z góry się o porozumienie starał, w rozpra-

wie programowej „O klasyczności i romantyczności, tudzież o duchu poezyi polskiej“ (1818). Wystawiał on na pierwszy plan, co i inni przed nim, żądanie narodowości, oryginalności: nie bądźmy echem cudzoziemców; dzielił literaturę, zbyt ogólnikowo, na romantyczną (naiwną, bezpośrednią, bohaterską, mistyczną, ludową) i klasyczną (wyrozumowaną i wyrafinowaną, dworską); dowodził prawa istnienia i jednej, i drugiej; wykazywał, dla czego polska, zrywając z przeszłą, narodową, ani jedną ani drugą wyłącznie być nie powinna; zwracał uwagę na znaczenie ludu i pieśni jego. Protestował przeciwko narzucaniu poezyi polskiej, fantastyczności, mistyczności, okropności, kultu rycerstwa — bo wszystko to obce i dziejom i gustom polskim; przestrzegał równocześnie przed wpływem francuskim, dla nas nieodpowiednim, przy naszych skromniejszych obyczajach, serdeczniejszym charakterze, swobodniejszym języku. Pytał, czyż prastary szczep słowiański, najobszerniej ziemię osiadający, „nie powinien równie odznaczać się duchem właściwym w guście i płodach geniuszu, tak jak się od niepamiętnych wieków językiem i charakterem nigdy nieodmiennym piętnuje? Czuć powinniśmy naszą przeszłość, naszą potęgę słowiańską“.

Rozprawa ta wywabiła rzecz Śniadeckiego: „O pismach klasycznych i romantycznych“ w Dzienniku Wileńskim, 1819, sławną przez to, że wyrazy jej niektóre powtórzył niebawem Mickiewicz w „Romantyczności“. Bał się były rektor, że Brodziński nie dosyć stanowczo potępił „polubienie i naśladowanie przywar sąsiedzkich“ i wystąpił z hatyszeryfem sułtańskim: romantyczność, wedle niego, chce bawić przywołanemi z XVI wieku bredniami zabobonu i wywietrzałymi dubami prostactwa. Uciekajmy od romantyczności, jako od szkoły zdrady i zarazy. Przedrzeźniając Szekspira, cofamy oświecenie o dwa wieki, niszczymy smak i naprowadzamy ludzi na niedorzeczności. Śniadecki myślał albo raczej udawał, że dopełnia zamiaru Brodzińskiego, kiedy ten w istocie coraz ostrzej przeciw klasyczności stawał, z całym spokojem twierdził, że np. jej tragedye, sławne dla swych tyrad, „w oczach myślącego żadnej nie mają ceny“, a nowy (romantyczny) kierunek, mimo naśladowania Niemców i Anglików, witał, jako mający „w sobie coś więcej wzniosłego, coś nawet więcej narodowego; przebija w nim duch filozofii i religijność, bez której niemasz poezyi, przebijają szlachetne uniesienia, wynoszące człowieka nad zmysłowość“.

Teoryi Brodzińskiego nie odpowiadała jego praktyka; wiersze jego własne, nawet sielanki i późniejsze fraszki, w stylu klasycznym pisane, przypominają Karpińskiego; tłumaczył sam właśnie tragedye, nie mające „żadnej ceny“, Ducisa i Raynouarda; z Szylera i Getego wybierał rzeczy sentymentalne i zmanierowane, rycerza Toggenburga w Alfreda i Malwinę przechrzcił, za to i „Cierpienia młodego Wertera“ przełożył; wyżej wzniósł się w przewierszowaniu „Księgi Hioba“ i „Pieśni nad pieśniami“. W tej powodzi tłumaczeń ginęły nieco wiersze własne: najciekawszej, idyli szlacheckiej, pendant do Wiesława, „Dworu w Lipinach“, nie wykończył. Zasłużył się w poezyi, prócz Wiesława, najbardziej tłumaczeniami pieśni ludowych, najrozmaitszych, aż do litewskich, szczególniej naturalnie słowiańskich, które „prędzej na prawdziwszą drogę poezyi naprowadzić zdołają, aniżeli podania romantyczne, niż pieśni ludów germańskich“.

O wiele większe zasługi położył, jako teoretyk i historyk literatury, którą najpierw u Pijarów na Żoliborzu, potem w uniwersytecie wykładał. Licznych słuchaczów nie zwabił, szeroko nie działał, z uszczerbkiem dla przedmiotu; gdyby wykłady te wcześniej ogłoszono, historya literatury, nie bibliografia, dawnoby po pewniejszych torach kroczyła, tak sumiennie i umiejętnie traktował były porucznik artyleryi swój przedmiot; spółcześnie drukował tylko krótsze rozprawki, listy i t. p.

Życie literackie pojmował wyłącznie w związku z politycznem i z oświatą; „działać przez literaturę na pomyślny stan narodu jest to przez miłość ojczyzny wszystkich ludzi ukochać“; literatura była mu i źwierciadłem i żywicielką narodowości; miłość ojczyzny winna poprzedzać miłość sztuki. Przy tak szczytnem pojęciu literatury, jako służby narodowej, usuwał nawet kwestyę oryginalności na drugi plan; na pierwszy stawiał użytek i szerzenie się oświaty najdalsze: „nie życzyłbym nigdy narodowi swojemu ani mnóstwa filozofów Grecyi, ani erudytów niemieckich, ani wierszopisów paryskich, niech ma kiedyś imię, jako naród zamożny i moralnie wykształcony“. Więc odstręczała go klasyczność już jako poezya dworacka, zabawa klas uprzywilejowanych, która nie stanie się uciechą ani wyobrazicielką całego narodu; „posuwać naród do rzetelnej oświaty“, nie mogło być jej dziełem; osiągało się je w zespoleniu religii, kultury, narodowości, w ich rozłączeniu upadła Polska; gdy się zaś osiągnie kiedyś cel nauki i kultury, prostotę, oszczędność, miłość

pokoju, mądrość praktyczną, odrzuci się księgi, jak balast nieużyteczny, jak masy aktów po ukończeniu długiego procesu.

Nie dziw więc, że się od klasyczności ku romantyczności skłaniał; kazał jej szukać, nie w fabułach minstrelów i minezyngierów, nie po ponurych zamkach ze zwodzonymi mostami, nie w harcach wiedźm i szatanów, lecz w kościołkach naszych modrzewiowych, śpiewach dziewic i modłach kapłanów, w cichym chrzęście kłosów dostałych, pod czerwonemi dachówkami miasteczek naszych.

Romantyczność jednak kroczyła swoimi, odmiennymi torami, i coraz bardziej oddalał się od niej, z coraz większa cierpkością wyrażał się o niej Brodziński. „Jak dawniej mierni poeci tworzyli nudnosłodkich idealnych pasterzów, tak dzisiejsi tak zwani romantyczni tworzą najwięcej jakichś ludzi, z Bogiem i światem, a podobno rzeczywiście z rozumem pokłóconych... wolałbym z mniejszą hojnością bogactw poetycznych i w mniej krzykliwych farbach widzieć w poematach Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarneckiego, niż wszystkich Nalewajków, niż Tatarów, którzy walczą dla rozbojów, kochają wolność, ale tak jak dzikie zwierzęta". Najbardziej potępiał umyślne egzaltowanie młodzieży, widział w tem jaskrawe nadużycie poezyi i oskarżał recenzentów romantycznych: „zjawiło się w Warszawie od niejakiego czasu kilku, zapewne młodych, zapewne z prowincyi przybyłych pisarzów, którzy ogłaszają wyobrażenia o poezyi tak nowe i górne, że miejscowym prostakom w tej sztuce pozostaje tylko usta otworzyć i milczeć... teraz kto ma rozum, ten tylko rymuje, kto zaś nim gardzi, jest poetą". Sam dotknięty taką krytyką przerwał wydawnictwo pism swoich krytycznych na pierwszym tomie; wiersze już dawniej pisać zaprzestał.

Było w tem wiele nieporozumienia; i jego, schorzałego i złamanego, porwała noc listopadowa, już nie do broni, lecz do pióra, i zsolidaryzował się z tą młodzieżą, niedawno oskarżaną, i sam ją przepraszał. Wystąpił jeszcze na mównicy, na ostatniem publicznem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk i, chociaż z emigracyą nie wyszedł, duchem do niej należał: tęskno mi do muz waszych, sam pisał. Owa mowa jego o narodowości Polaków i późniejsze posłanie do braci, improwizowane w Krakowie, dzielą pojęcia o wybranym losie wybranego ludu, Kopernika świata moralnego, co odkrył, że nie świat około narodu, lecz narody około wyższego celu w porządku moralnym się poruszać winne; posłanie nastrojone całkiem na ton „Ksiąg pielgrzymstwa", w stylu bi-

biljnym, z przypowieściami, z idealizacyą, z mistycznym wykładem znaczenia ofiary.

Powstawał tu silnie na waśni emigracyjne, na tych, co u obcych z niedorzecznemi na szlachtę polską rozwodzą się słowy... biada wam, czyniącym rozbrat z ... przeszłością, co o jakiemś jej przerodzeniu marzycie. Zestawiał, jak nieco później Krasiński w „Przedświcie", stan ludzkości dzisiejszy z poprzedzającym przybycie Mesyasza.

Nim rzecz tę Witwicki w Paryżu wydrukował, zgasł jej autor przedwcześnie. Należał on do tych, o których sam wspomina, co „przy skąpszych darach natury odebrali od niej piękne wynagrodzenia: serce, bijące dla wszystkiego, co dobre, i tę jedyną wyższość nad miernych, że nie tracą nadziei przyłożyć się w jakiejkolwiek cząstce do ogólnych dążeń cnotliwych ludzi". Jego wiersze obudziły w Tańskiej chęć służenia mowie ojczystej; jego nawoływania do poezyi ludowej, tej krynicy odmładzającej, nie przebrzmiały bez echa; jego prace literackie były wzorem zrównoważonego sądu, uwzględniały warunki tworzenia, tło dziejowe i obyczajowe, wpływy obce; wszędzie biły tylko na fanatyzm, nawet u Skargi, którego on lepiej oceniał, niż późniejsi wielbiciele. W rzeczach estetycznych radykalnie sobie nie poczynał nigdy, wprawdzie żądał w dramacie zarzucenia jedności; z komedyi chciał uchylić satyrę, jako scenie polskiej mniej odpowiednią po katastrofie narodowej, i stawał się rzecznikiem farsy, której śmiech w ciężkich czasach potrzebny i zdrowy.

Te i inne zapatrywania bywały nieco stronnicze, zbyt utylitarne, ale dyktowały je i miłość braterska i doświadczenie niezgorsze i instynkt trafny. Czasy nie były po temu: brakło mu energii, wielkiego talentu, żeby porwał za sobą niechętnych czy uprzedzonych; we wrzawie polemicznej cichy, równy głos jego łatwo zakrzyczano. Sympatye młodzieży, antypatye starszych kierowały się tam, gdzie nie teoryą teoryę zwalczano, gdzie zwycięsko zatknięty sztandar wabił każdego, co to wolał wcale nie być klasykiem,

Jeśli mam to przytłumiać, com otrzymał w darze,
Jak głupie echo dawne przedrzeźniać pisarze...
Ukraść wiersz Horacemu lub myśl Tacytowi.

Tego, czego się Brodziński obawiał i o czem marzył, dokonał wieszcz litewski. On sam, jak Mojżesz, patrzył tylko tęsknem okiem w kraj obiecany, w literaturę narodową i ludową zarazem; nieraz zwątpił: „chcemy narodowości, ale to jest duch, o którym wszyscy mówią, a który się nigdzie w swojej postaci nie pokazuje... wszystko jest narodowem prócz narodowości"; lecz już się zbliżał Jozue tej narodowości, i runąć miały mury Jerycha klasycznego; pogrzebały one jednak nie klasyczność samą, i sprawdziły się przestrogi, że płody romantyczne, co Niemców ledwie rozruszają, w Polsce gorejący wzniecą pożar.

Litwa wydała **Adama Mickiewicza,** w którym obie cechy narodowości, polskiej i litewskiej, dziwnie utemperowane, do kresu doskonałości docierały. Potomek szlachty drobnej, okolicznej, mazowieckiej pochodzeniem i dopływem krwi, osiadłej na ziemi czarnoruskiej, w rdzenną Litwę klinem wpadającej, łączył on spokój, powagę, głębokość, namiętność Litwina, wzgardę wszystkiego, co błyskotliwe, krzyczące a próżne, zaciętość jego i upór przy serdeczności i dobroci, słodyczy nawet, przy zaparciu się i poświęcaniu, — z polską ruchliwością, werwą, fantazyą, z głęboką religijnością, z miłością ojczyzny, z wielkiem poczuciem obowiązku.

Rozwijał się on jak najprawidłowiej, na łonie rodziny, w zapadłym kącie litewskim, śród żywej tradycyi narodowej, w którą się już dziecko chciwie wsłuchiwało, w owe opowiadania starszych, o ludziach i zwyczajach, głęboko zapadające w poniku, aby po wielu latach potężnym zdrojem napowrót wybuchły.

Życie szkolne, u Dominikanów nowogródzkich, szczerych przyjaciół młodzieży, upływało podobnym, tradycyjnym trybem, i, choć nauka świetną nie była, kwitły cnoty, otwierała się myśl, w chłopcu, stroniącym od zabaw hałaśliwszych, zatapiającym się w dumaniu i czytaniu „Eneidy" czy „Jerozolimy Wyzwolonej", próbującym niebawem własne wrażenia stylem owym wypowiadać; przewierszował on nawet trybem ówczesnym „Numę Pompiliusza" Floryana — Staszica.

Przeskok od dzieciństwa „sielskiego, anielskiego", do młodości „górnej i chmurnej" był nieco nagły; dokonał go w Wilnie, dokąd dla przygotowania do stanu nauczycielskiego, najpierw na dziale fizykomatematycznym, potem na odpowiedniejszym, filologicznym, wyruszył.

Wpływ nauczycieli, zawołanego filologa Groddecka, młodego historyka Lelewela, profesora wymowy i literatury Borowskiego, umiarkowanego klasyka, nie hołdującego wyłącznie francuszczyźnie, oczytanego w obcych autorach, działał korzystnie; nie zrywał młody uczeń z dawnemi zapatrywaniami, z dawną estetyką i wymową, uczył się cenić mistrzów słowa, Trembeckiego przedewszystkiem, i w ślady jego rychło wstępował.

Poezya opisowa nastręczała najłatwiejsze tryumfy, więc opisywał „zimę miejską", jak ją spędza salonowiec, w przeciwstawieniu do głuszy wiejskiej, ze starannie dobieranemi parafrazami poetyckiemi, które właśnie poezyę stanowić miały, gdyż tylko w formie jej szukano, owe „z chińskich ziół ciągnone treści" (herbata) i „wytoczone słonie" (kule bilardowe).

Brał się i do rzeczy większych; nie darmoż obowiązujący i w Wilnie *Cours de littérature* Laharpa, uwagę nowoczesnych poetów ku wyprawom Kolumba kierował, więc powziął myśl poematu heroicznoopisowego, w dwu częściach: pierwsza, poważna, poświęcona na ziemi wyprawie samej, wystawiała upadek serc u załogi, niezłomność i ufność wodza, na niebie zaś walkę o tę wyprawę, wytaczała argumenty za i przeciw, aż rozstrzygnął pożytek, jaki kartofla amerykańska ludzkości przyniesie; więc w drugiej, opisowej części, uprawa jej i sceny wiejskiego życia treść wypełniały; mitologia chrześcijańska zastępowała klasyczną. Z tych samych poglądów wynikały i prace prozą, ocena „Jagiellonidy", świadcząca o korzyści, jakie recenzent z kursu literatury wyniósł; powiastka („Żywila"), niby w guście Floryana, tylko bardziej zwięzła, w szatę dawnego języka ubrana i nadzwyczaj patryotyczna a romansowa.

Gdy tak z lekcyi uniwersyteckich głowa się zasobiła, na życie wewnętrzne wywarło koleżeństwo wpływy nierównie głębsze; i Mickiewicza świetlane apostolstwo Tomasza Zana za sobą pociągnęło. Spotykali się oni i na niwie literackiej, gdzie Zan w wierszach opisowych i komedyjkach wrażenia z otoczenia poetyzował i dramatyzował, nie stroniąc nawet od Olimpów i Jowiszów; rozstrzygało zaś zbliżenie i zespolenie na gruncie życiowym, przejęcie się temi samemi zasadami, czcią cnoty, miłością ojczyzny, szacunkiem pracy. Równie dostroiło się kilkunastu innych z młodzieży i spotykania ich przyjęły w końcu—czas sam parł ku różnym związkom—formy towarzystwa, — filomatów, zjednoczonych w imię braterskiej przy-

jaźni i pożytecznej pracy; zebrania wypełniali pieśniami, odczytami, dyskusyą, obok Zana i Mickiewicza, Jan Czeczot, białoruskich śpiewek znawca i naśladowca, Jeżowski, klasyk, jurysta Malewski i in.; program poetycki związku nakreślił Mickiewicz w aleksandrynach, tchnących jeszcze Trembeckim, chociaż niebawem rewolucyi literackiej dokonał.

W zaśniedziałej i zaskorupiałej klasyczności wytrwać nie było sposobu dla tych, co w Wilnie literaturę Bürgera, Szylera, Getego i Jean Paul'a znali i przykład Żukowskiego, melancholicznego śpiewaka „Ludmiły" przed oczyma mieli; wołanie Brodzińskiego o narodowość w poezyi, o wyrażanie własnej treści i własnego ducha, musiało również oddziałać. Królowa ballad (Lenora, Bürgera, sama z obcego źródła wzięta) stoi u podwojów nowej rosyjskiej i polskiej literatury; opracowywał ją Żukowski, jego tłumaczył Zan, z nią spadała się „Ucieczka" Mickiewicza.

Właśnie w latach po wyjściu z uniwersytetu (1819), tworzył poeta ballady i romanse, chociaż bynajmniej nie zerwał odrazu z dawnym trybem: pisywał wiersze dydaktyczne, w „Warcabach" rywalizując z „Szachami" Kochanowskiego i Widy, nie kusząc się nawet o dotworzenie do nich ramek powieściowych; albo (r. 1822) „Wiersz do Joachima Lelewela" (gdy po raz drugi w Wilnie na katedrze zasiadł), o zadaniu i znaczeniu historyi, tchnący znowu Trembeckim, od samych wierszów początkowych (O długo naszym modłom będący na celu, Znowuż do nas koronny znidziesz Lelewelu); odwdzięczył się i Lelewel, piastując, ku większej zgrozie klasyków, muzę romantyczną, ile sił stawało.

Pierwszy tomik „Poezyi Adama Mickiewicza" (1822) zawierał owe ballady i romanse. W kraju, nie znającym ani teatru, ani epiki ludowej poezya romantyczna tylko w balladach i romansach objawiać i zaczynać się mogła; formę dawały wzory obce, treść podania ludowe. Należało i przed publicznością się usprawiedliwić i nowy program wygłosić; stąd urosły przedmowa prozaiczna i wiersze o pierwiosnku i o romantyczności. Pierwszy to alegorya: to sama poezya ten pierwiosnek, któremu „lepsza w kwietniu jedna chwilka, niż w jesieni całe grudnie", boć to „wiosny młodej aniołek"; drugi kruszył kopie przeciw Śniadeckiemu, jego prawdom martwym, ufności oku i szkiełku, za prawdami żywemi, za cudem i sercem. Następowały ballady, fantastyczne i humorystyczne, legenda i romanse, czułe aż nadto.

Ludowemi ich nazwać nie można; treść tylko — i to nie zawsze — od ludu pożyczona, dowolnie rozszerzona i zastosowana, z przewagą elementu erotycznego, w romansach całkiem sentymentalnego; ton ich był zupełnie nie ludowy; poeta igrał z przedmiotem; w Tukaju Fausta przypominał (wielka mądrość wielkie imię, wielki nic, rozum czczy dymie); w „To Lubię" używał motywu (wzruszenia kochanki), którego w „Historyach rzymskich" czy „Bokacyuszu", nie u ludu dosłyszał; w „Świteziance" próbę wierności nadto naiwną ułożył. Ależ już to samo było niesłychanem pronuciamento literackiem, występować, nie z przyczesanym i przebranym ludkiem sielanek à la „Wiesław" czy „Oldyna", lecz z jego klechdami, baśniami, straszydłami, upiorów i zbójów wprowadzać, nie dbać w języku o gładką poprawność, lecz o wyrazistość; nie pytać, co kumoszki oświecenia o tych dubach i bredniach pomyślą, lecz wystąpić śmiało w imię fantazyi i czucia. Stąd to wrażenie głębokie, nie na „starych", lecz na młodych; krytyka mogła o tomiku przemilczeć, lecz balladomania rozsrożyła się natychmiast, Witwicki, Odyniec, Chodźko i in. aż sprofanowali i skarykaturowali cały gatunek, zniecierpliwili mistrza, uradowali klasyków, sami niebawem z siebie szydzili, jak w owej balladzie Odyńca i Słowackiego o psie i biesie.

Przewaga żywiołu erotycznego, skargi na niewierność czy chłód, nie były przypadkowe; już w „Pierwiosnku" zabrzmiała, a powtarzało się w innych imię Maryli. Poznał był i pokochał poeta, skromny nauczyciel kowieńskiej szkoły powiatowej, romansową pannę z zamożnego domu obywatelskiego, która się nim również zajęła, lecz w końcu rękę hrabiemu oddała. Epizod ten przebolał i przechorował poeta; życie mu zbrzydło i obowiązki i z myślą o śmierci się nosił i równowagi straconej odzyskać ani chciał, ani umiał.

I on, jak Gete, zawody i bóle odtworzył w poezyi; jak Gete jednak, nie pozbył się ich; nurtowały w nim tylko tem głębiej. Hasło ludowości odbiło się jednak i na poemacie namiętności osobistej, na „Dziadach" drugiego tomiku (1823); dramat fantastyczny, jaki poeta planował, wstawił on w ramki ludowe. „Cierpienia młodego Wertera", „Walerya" pani Krüdener, uśmiercały bohaterów; więc i „Gustaw" Mickiewicza na życie się targnął, lecz pojął go poeta, jako przestrogę młodym, kazał mu się więc po śmierci objawić, przybyć upiorowi w noc „Dziadów", kiedy duchy

powstają i na ziemi przelotnie goszczą, podejmowane i raczone przez lud; przeżyć godziny szału, obłędu i kary dla siebie, przestrogi dla innych.

Pomysł nie był najfortunniejszy; część czwarta wyłamuje się zupełnie z ramek ludowych; między „drugą“ a „czwartą“ (zamiast I i II) nie brak niczego, a ballada wstępna o upiorze dowodziła chyba, że poeta obawiał się zbytnio, czy też go publiczność należycie zrozumie; sam obrzęd ludowy, służący za tło, aż nadto rozszerzył, stypę dla umarłych przekształcając w rodzaj sądu nad umarłymi, egipskiego raczej, niż białoruskiego; obrazek męczarni pana, dla którego niema litości po śmierci, gdyż on jej za życia nie znał, odpowiadał humanitarnym nawoływaniom „Szubrawców“. Przy końcu tej sceny ludowej, stawał nie poddający się żadnym egzorcyzmom upiór, który w głównej (czwartej) części, dzieje serca i życia opowiada, w olbrzymim monologu, przerywanym modlitwą, westchnieniem, prośbą czy radą księdza - nauczyciela, przyjmującego tę spowiedź byłego ucznia, całkiem jak w eposie byrońskim, tylko nie w celi zakonnej i pozgonną.

Ten monolog, z ciągłemi przejściami, od samooskarżań do biczowań kobiety i ludzi, od urojonego upojenia krótkotrwałem szczęściem do skarg, rozdzierających serce, od ekstazy do zwątpienia i rozpaczy, stawał w kontr całej dotychczasowej literatury polskiej, bladej, niemej i bezsilnej wobec tej namiętnej spowiedzi i skargi, tych zachwytów i upadków, tej rzewności, smutku, nienawiści. Takiego hołdu dotąd żaden poeta swej bogdance nie składał; tak srogich przekleństw i żalów nie rzucał żaden ani na zniszczone marzenia ani na sprawczynię mąk i boleści; była to pieśń nad pieśniami miłości i jej zawodów; wobec dotychczasowej ckliwej sentymentalności Laur lub pustej zalotności Chloi anakreontowych — innych tonów erotyk polski jakby nie znał — był to rozdzierający krzyk uczucia osobistego, targającego się na wszystkie konwenanse: w obywatelskiej poezyi polskiej, szanującej ogół i jego pożytki, pierwszy to silny, namiętny protest indywidualny.

Składał więc młody poeta ofiary i na ołtarzu „ludowości“, mamiony „narodową“, ludową sztuką, chociaż ta wcale powołaniem jego nie była, i występował, niesłychanie silniej, w poezyi egotycznej. Jakby *antidotum* tego szału rozhukanej namiętności, tej powodzi skarg i żalów, dołączył on do prób lirycznych i niby dramatycznych, epiczną, siląc się na spokój, dokładność, pełnię — chociaż wzór sam (powieść poetycka byrońska, w literaturze polskiej dotąd w przekładach prozaicznych tylko znana) cechy te właściwie wykluczał; wobec wygórowanego egotyzmu Gustawa, dla którego ojczyzna i sława, to tylko słówka piękno-brzmiące, niby groch o ścianę miotany, poświęcała Grażyna bez namysłu szczęście i życie, swoje i męża, tym słówkom piękno-brzmiącym. Temat, jakby w owej „Żywili“, tylko tam kara za popełnioną zbrodnię i zdradę, tutaj już katastrofa, nim jeszcze do zbrodni przyszło: zbrodnią zaś tu i tam — mszczenie uraz i zniewagi osobistej o każdą cenę, nawet łączenia się z wrogiem.

Zarazem występowała po raz pierwszy Litwa w poezyi: kiedy niedawno nie umieli Litwini nic innego prócz „Wandy“ i po litewsku o niej śpiewali, teraz Litwin śpiewem o swoich bohaterach poklaski zrywał: jak ze Szkocyi, balladami i powieściami szkockiemi, angielską poezyę wskrzeszono i unarodowiono, podobnie Litwa na widokrąg poezyi polskiej wypłynąć miała.

I stworzył poeta pierwszą powieść polską, z ludźmi średniowiecznymi, z krajobrazem nowogródzkim, z oświetleniem ponurem; znowu jednak obawiał się, że nieprzygotowana publiczność „w żmudnem zaplątaniu wątku nie schwyta“, zniżył się do jej poziomów i dodał — zbędny — epilog wydawcy, gdzie luki byrońskiego opowiadania szczegółami z Floryana podopełniał. Kontrast był nadzwyczajny: w „Dziadach“, młodzieniec, którego niegdyś ze snu budził tryumf Milcyada, strawił się najmarniej sam w sobie, jako lampa w rzymskim grobie; „piękna“ (Grażyna) poświęciła się za ojczyznę i wieki przetrwała pamięć Litewki, niewiasty z wdzięków, bohatera z ducha. Od żywiołowego wybuchu liryzmu „Dziadów“ odskakiwały epicki, chociaż pozorny, chłód i linie poprawnego rysunku; Grażyna silnego wrażenia też nie wywołała.

Muza Mickiewicza święciła i na innem polu tryumfy. Wyjazd do Kowna nie zerwał stosunków wileńskich, gdzie koło filomatów pierwotnych rychło się rozszerzyło. W „promienistych“ i ich majówkach brały udział tłumy młodzieży, chociaż nie wszyscy do teoryi promionkowej Zana (o własnym afekcie, promieniem wzroku trafiającym do serc czułych) i jego wzniosłej etyki się dostrajali; tworzyły się nowe, kółka filaretów. Jak dla filomatów, pisywał Mickiewicz wiersze programowe i dla filaretów na temat ojczyzny, nauki i cnoty, a najznamienniejszym z nich to „Oda do młodości“, wyzwanie martwych porządków świata w imię tryumfującej młodo-

ści, wylatującej nad poziomy, przenikającej ogromy ludzkości, jednością silnej, rozumnej szałem, z orlą lotów potęgą, z ramieniem piorunowem sięgającej, gdzie wzrok nie sięga, łamiącej, czego rozum nie złamie, bryłę z posad świata nowemi pchającej tory; pieśń wobec idealizmu Szylerowego, z którego wypłynęła, który miejscami przypomina, iście rewolucyjna, o najwyższem napięciu ducha i uczucia.

„Prysnęły nieczułe lody", zawitała jutrzenka poezyi ludowej i romantycznej zarazem. „Poeci narodowi" lubili, wedle twierdzenia przedmowy do tomiku pierwszego, ballady gminne zbierać, poprawiać albo na ich wzór podobne tworzyć, nie oddalając się od ich naturalności i prostoty; poszedł za nimi Mickiewicz, w „Dziadach" do najtajniejszych i najoryginalniejszych objawów tej ludowości docierając.

Proteusz poetycki nie zadowolił się naśladowaniem tonu gminnego i w tychże „Dziadach" z Werterem rywalizował, potęgując cierpienia miłosne do szału, do którego pan Jeruzalem, zniechęcony światem i dla innych jeszcze przyczyn, dostępu nie miał: samem wyłączeniem wszelkich względów ubocznych, samem skoncentrowaniem jednego uczucia, żar jego wzmógł się niesłychanie. Jednocześnie, niby dla klasyków, „Warcaby" ogłaszał, a w „Grażynie" ton i koloryt czasów średnich i ludzi litewskich utrafiał, przenosił się, na co klasyków nigdy nie stawało, zawsze wiernych tylko sobie samym, w zamierzchłe doby i z nich żywych ludzi, uczucia, walki wykrzesał. Pieśni filareckich narazie poza Wilnem nie znano.

I podważył Mickiewicz od jednego zamachu, od tych dwu szczupłych tomików, cały gmach klasyczności z jej dwutysiącoletniem doświadczeniem, i nie pomogła trusia jej polityka, jaką nasi konserwatyści zawsze uprawiają, nietylko w literaturze. Klasycy warszawscy publicznie ignorowali inwazyę litewską na parnas, chyba na obiadach u jenerała Krasińskiego, w korespondencyi prywatnej, po salonach wreszcie, mścili się czy protestowali zasądzaniem w czambuł, parodyowaniem wierszów, wytykaniem prowincyonalizmów czy usterek językowych. U młodzieży samem milczeniem wszelki kredyt tracili i ku zgrozie Kozmianów i Osińskich przenosiła się młodzież do obozu romantycznego, który niebawem w samej Warszawie w najlepsze się roztasował.

Że natchnienie było szczere i głębokie, że studya poważne spoufaliły poetę z ludźmi i wiekami dawnymi, że używał umiejętnie kontrastów światła i cieni, że, i instynktem wiedziony i w pocie czoła pracując, ludowości szukał, że przemawiał językiem nowym, śmiałym, barwnym, że próbował z powodzeniem dróg najrozmaitszych, a nie zasklepiał się w żadnej — na to klasycy nie zważali, a zapominała o tem młodzież, naśladująca, co najwięcej w oczy padało, okładki wydania, rymy męskie, wykrzykniki i dźwięki naśladowcze.

Poeta sam zdawał się obojętnym na sukces literacki. Trawił go dalej zawód miłosny; on sam jątrzył ranę sercową, wyolbrzymiał swe cierpienia, oddany melancholii, niesmakowi życiowemu, podtrzymując się w nich lekturą rzeczy Byronowych, odpychając i starania przyjaciół i widoki pogodniejsze; umysł spustoszony, niby las od pożaru, zatrważał czuwających nad nim, podejmujących starania o urlop dla niego i wyjazd. Wyleczenie przyszło skąd inąd. Gdy się jeszcze Czeczot 19 maja roku 1823 przed Malewskim na stan nienaturalny Mickiewicza, nadwerężone zdrowie, skrzywiony umysł skarżył, dostał się nauczyciel kowieński 23 października t. r. do celi bazyliańskiej i tu odnalazł zdrowie i pogodę umysłową; tu zapomniał Gustaw o Maryli, odrodził się Konradem. Pomimo, że Zan, Czeczot i Suzin główną winę na siebie przyjmowali, że wszyscy poetę jak najmniej obarczali, i on musiał kraj na zawsze opuścić, 24 października 1824 r.

Lata wędrowne Mickiewicza liczą rozmaite etapy; najpierwsze były najkrótsze; Petersburg i Odessa, Odessa i Moskwa, Moskwa i Petersburg zmieniały się szybko; 27 maja roku 1829 za granicę podążył. Plon tych półpięta roku na liczbę był nieznaczny, przewrót umysłowy olbrzymi: z nowogródzkich wspomnień, kowieńskiej doliny i sal wileńskich, z jednostajności i ograniczoności wrażeń, rzucono poetę w świat daleki, nowy i same porównania ludzi, stosunków zbogaciły niesłychanie wrażliwy umysł.

Niedoszły nauczyciel odeski a czynownik moskiewski poznał Rosyę wdłuż i wszerz; pozawiązywał stosunki, z rodakami, z klasykiem, tragikiem, Chodkiewiczem, bolejącym, że „Konrad Wallenrod" ani liczby ksiąg, ani stałej rubryki estetycznej nie zna; z jeszcze liberalnym na pół Bułharynem; z Rzewuskimi, hrabią facecyonistą i piękną siostrą jego; z Rosyanami, począwszy od przyjaciół w Petersburgu, młodzieży - idealistów, aż do literatów moskiewskich,

z Puszkinem, Wiaziemskim i Polewym, i do mecenatek, jak księżna Wołkońska, i Polek artystek, jak Szymanowska. Oderwany od tła litewskiego zapomniał o piosenkach gminnych i poezyi ludowej, a oddał się całkiem indywidualnej. Krystalizowały się najrozmaitsze wrażenia; życie „paszy“ odeskie; widoki Krymu, imponujące, wobec których bladły krajobrazy litewskie, drobne i smętne, przejścia myślowe i doświadczenia życiowe, a ślady wszystkiego pozostały w poezyi.

Pamięć miłości litewskiej wygluzować się nie dała, choć głuszyły ją miłostki odeskie: z obu spowiadał się poeta w „Sonetach“, jeszcze i w Wilnie pisanych, a dołączył do nich odeskie i krymskie. Sonety miłośne utrzymywał w zwykłym ich tonie, obowiązującym od czasów Petrarki, którego naśladował i przekładał, różniły się od siebie co do siły i szczerości, niektóre z nich żartobliwe, aż do satyry, inne płoche, aż do swywoli, inne pełne żaru i bólu — nowe były raczej formą, od której poezya polska dawno już odwykła. Za to krymskie i treścią całkiem odmienne, niezwykłe, podziw wzbudziły i, jak przed paru laty, ballady balladomanię, tak sonetomanię ostrą wywołały. Niepospolity był to artyzm, w ciasne ramki sonetu wtłaczać imponujące krajobrazy, widoki i wrażenia, lądowe i morskie, a wszystkie nie trafem zebrane, lecz do walk i przejść wewnętrznych dostosowane, wyrażające je z mocą niesłychaną, czy o myśli - kotwicy w niezmierność głębiny ciśnionej, czy o falach-namiętnościach, roniących za sobą nieśmiertelne pieśni, czy o polipie - hydrze pamiątek, w sercu spokojnem zatapiającym szpony. Sonety te zaważyły i tem, że wprowadziły oryentalizm do literatury polskiej i nic go odtąd na długo wyplenić nie miało.

Pomimo styczności Polski z Oryentem bezpośredniej, choćby przez Ormian własnych, znajomości języków, ścierania się ciągłego, osiadania nawet licznych Tatarów, od czasów Witoldowych, którzy cudem, niepojętym dla Polaków, w szlachtę się w końcu przedzierzgnęli, dotąd nie oddziaływał Oryent na literaturę polską; wczesne i piękne tłumaczenie „Giulistanu“ pozostało bez wpływu i śladu.

Jak z literaturą niemiecką przez Francyę, tak przez Anglię, Byrona i Moore'a, zapoznawała się poezya polska ze Wschodem i zdobywała nowe środki, miary i treści, lecz przykład Mickiewicza dopiero, i tam i tu, porwał nieufnych. „Polski Walter - Skot“ — bo po balladach i „Grażynie“ na ten epitet zasłużył — otworzył widoki piękna wschodniego; na razie sam poeta myślał, że „Sonety Krymskie“, to niby tylko wysłane na zwiady, że jak za „Balladami“ ukazał „potworne Dziady“, podobnie za Sonetami miał zamiar „coś obszerniejszego w guście oryentalnym wypracować“ i już się kopał w Hammerze i zabierał się do „Indyi“ Schlegela — nie przyszło jednak do tego, choć poeta i później do ołtarzów wschodnich przystępował, obleganych zresztą przez Witwickiego i Chodźkę. Sonety były jednak i dla klasyków tryumfem: o „Grażynie“ mogli powiedzieć, że „Gryzelda“, jakby Litwinka-poganka bez włoskiego chrztu obejść się nie mogła, „nudna“; mogli „Dziady“ ośmieszać, „głupio było, głupio będzie“, albo na „a kysz“ wyjeżdżać, albo z cienia cieniów drwić; teraz mieli jawną racyę za sobą: „wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie“: pienił się stary Koźmian; „paskudztwo“ wołał Mostowski; należy to na polskie tłumaczyć, abyśmy rozumieć mogli, drwił Andrzej Koźmian; tylko Franciszek Morawski, z żywszem uczuciem każdego piękna, unosił się wobec Koźmiana nad wierszami, godnymi Byrona, np. w jego (morza) szumach gra światło jak w oczach tygrysa, lub (o świątyni w gruzach): gdzie już Bóg nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

Poeta sam, gdy go swoi i obcy (sonety znalazły właśnie w Moskwie gorące uznanie), wielbiciele i wrodzy, w jakiem nowem wschodniem przebraniu odnaleźć się spodziewali, rzucał, jeszcze w Odessie, i minarety i mułłów i na obczyźnie, do Litwy, do pytań dręczących, do koncepcyi wielkich, powracał. Muzie jego skrzydła w Kapui - Odessie opadły, lecz otrząsł się poeta i choć na wyjezdnem, ślubował sobie: lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu; ślubu dotrzymał do zgonu!

Jak w „Balladach“, „Dziadach“, „Sonetach“, znowu o sobie śpiewał, najbardziej egotyczny ze wszystkich poetów i przez to najbardziej prawdziwy, o własnych uczuciach i myślach, marząc tylko o tem, aby „własne ognie przelać w piersi słuchaczów“.

Rzecz, którą świeżo podjął, była trudna do wykonania i kosztowała go wiele mozołu; nad „Konradem Wallenrodem“ pracował nie wiele krócej, niż nad „Panem Tadeuszem“; na początku roku 1827 go jednak ukończył. Ułatwiał i pracę i przedostanie się jej na widok publiczny nacisk na historyczność tematu. Powoływała się przedmowa na słowa Szylerowe: co ożyć ma w pieśni, ginie w życiu, i zapewniała, że Litwa jest już całkiem w przeszłości, więc

poeta, opiewający dawne jej dzieje „samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników“; więc i motto skombinowane na początku i wkładanie w usta wajdeloty tego, co sam poeta od siebie prawić zamierzał, odnosiły do przeszłości, usuwały posądzenia.

Wszystkich nie usunęły, i doczekali się klasycy nowego tryumfu, że o Wallenrodzie i Mickiewiczu - Herostracie dyskusyi publicznych zabroniono, dyskusyi tem gorętszych, im dłużej Konrada oczekiwano, coś wyższego nad „Iliadę“ zapowiadano — u nas bez hyperbol nic się nie obejdzie; — Osiński zawyrokował: z wielkiej chmury mały deszcz, i obaj Koźmianie temu przyklasnęli; jak „Gryzelda“ nudna była, tak „ani Konrad ani Aldona nie wzbudzają interesu“; ma poema „mniej poezyi, ale też mniej dzikości, mniej szusów — może być nawet chwalone“. O „poezyi“ sądził inaczej znawca wyborny, Puszkin, tłumacząc kawałki „Konrada“.

Jakiż był plan i zamiar poety i jak go wykonał?

W kronikach i dziełach niemieckich o historyi zakonnej natknął się autor „Grażyny“ na postać niejasno, dziwnie oświetloną, zagadkową, mistrza wielkiego o pięknie brzmiącem nazwisku, na Konrada Wallenroda, oskarżanego o przyczynienie się do walnej klęski zakonnej, otoczonego podejrzanymi przyjaciółmi, na zgon jego tajemniczy i złowieszczy. Wskrzesała ta postać w rozpamiętywaniach celi bazyliańskiej i nie opuszczała już poety; czy trafem, czy umysłem, odnalazł (czy stworzył) poeta klucz tej zagadki, walenrodyzm.

Tajemnica wyjaśniła się mu: Wallenrod umyślnie gubił Krzyżactwo, nie był Krzyżakiem; Litwin, przybrawszy imię obce, został mistrzem, i nowy Samson obalił sklepienia krzyżackie, pogrzebał moc zakonu i życie własne pod niemi. Jego Grażyna użyła podstępu — pierwszej i ostatniej zdrady — i przypłaciła to życiem, ocaliwszy męża i kraik; Konrad poświęcał wszystko, szczęście własne i istot najdroższych, wiarę i sumienie, cześć i spokój, aby od ojczyzny zgubę oddalił; uczył więc, jak kochać ojczyznę — po nad wszystko, miłością choćby pogańską.

Dziś jeszcze odzywają się głosy, oskarżające Mickiewicza jakoby idealizował zdradę — jakby „Dziady“ idealizowały sztylet, którym się Gustaw zabija, jakby „Intryga i Miłość“ apoteozowała truciznę! Rosyanom, zachwycającym się tym poematem—Puszkin

nie był jedyny — nawet myśl taka nie przyszła, raczej oskarżali poetę o bajronizm, o naśladownictwo; nawet stary Koźmian, szydzący z „waryata i pijaka“ Konrada, ośmieszał tylko głowę pińską, rojącą, „w jak szlachetnym sposobie Litwini kochają ojczyznę“. Nie zdradę i jej tragiczność, apoteozował Mickiewicz i nie zdradę chciał on wszczepiać w piersi słuchaczów. Ale była to miłość ojczyzny, wygłoszona tak namiętnie i porywająco, z takiem czarodziejstwem słów i obrazów, że pozostawiała daleko za sobą i hymny i skargi miłości, wyśpiewanej w Kownie; wyżej nie wzniosła się już poezya polska; cudowi poezyi nawet zaskorupieli klasycy odmówić nie mogli uznania.

Żar, bijący z poematu, sam Mickiewicz przygaszał; kończył okrzykiem Aldony - Paryzyny, jakby pieśń jego była o Aldony losach: niechaj ją anioł *harmonii* w niebiosach, a *czuły* słuchacz w duszy swej dośpiewa, jak we wstępie: *„serca* kochanków złączą się znowu w pieśniach wajdeloty“; w całym poemacie czułe skargi kochanków wobec grozy położenia zbytnie zabierały miejsce, chociaż i służyły za przestanek, niby wypoczynek przed burzą i katastrofą.

Byrona przypominał nietylko ów okrzyk Paryzyny; były i inne oddźwięki, w postaci bohatera, w prowadzeniu powieści, urywanem, zbywającem krótkiemi napomnieniami główną akcyę, w rozlewie liryzmu. Kompozycya, dla względów od poety nie zależnych, niedomagała; uczta jedna pochłonęła niemal połowę poematu i nadto wiele w nią zbito: skazy drobniutkie, okupione sowicie cudownemi pięknościami, rozsianemi hojną garścią rozrzutnego poety, od wstępu z apostrofą do Niemna, od pieśni Halbana o Wilii, od pieśni Aldony z wieży, aż do pieśni przy uczcie Halbana i Konrada; do pochodu wojska upiorów, tonącego w zaspach śniegu (rok 1812!); do skarg i wyrzutów Konrada. Pomysł był nadto romantyczny, śmiały, nadzwyczajny; wykonanie prześcignęło oczekiwania. Wiek minie i nikt od Konrada zdrady nie przejął, ale kto wyliczy, ile się z nim górnych chwil przeżyło?

Mickiewicz, chociażniebawem od Konrada dla siebie imię miał pożyczyć, nie był Wallenrodem; poprzestawał dla siebie na roli wajdeloty, który żyć zapragnął, aby ze sławą tego czynu obiegł Litwy wsi, zamki i miasta — gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci. Potęga tej pieśni olbrzymiała i w skardze Konrada:

Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
...wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny...
Słuchałem pieśni za nadto niestety!

najcudowniej wyśpiewał ją sam poeta, w owych wierszach o wieści gminnej, którym równia w literaturze świata niema.

Jej wysławieniem miała się powieść poczynać, od tej straży narodowego pamiątek kościoła, przylegającej do gruzów, wywołującej kształty i dźwięki; piastunką jej pierś poety, gdzie tlą iskry zapału, strzelająca brzmiącemi słowy do serca spółbraci — uczcie się Litwini! Następowało opowiadanie o porwaniu Alfa na rejzie zakonnej i wychowaniu w zakonie, gdzie go Halban od zniemczenia ustrzegł; jak Walter-Alf zbiegł na Litwę, Aldonę pojął i, gdy widoki obrony wszystkie runęły, myśl piekielną powziął. Każdy szczegół był u różnych osobistości historycznie umotywowany: z Montego i chrzest nie zmył nienawiści ku zakonowi; poeta na jedną osobistość wszystkie rysy skupił. Następował obiór; sceny u wieży; uczta, gdzie Konrad, podniecony przez Halbana, w balladzie mauryjskiej inny przykład zemsty nad wrogiem wystawił; wojna i pożegnanie.

Zmieniał się ton, rozmiar, rym wiersza, zmieniały się obrazy, nastroje, szczegóły, co raz inne, co raz piękniejsze; sztywność czy chłód, wiejące od Grażyny, ustąpiły już nie ożywieniu epicznemu, ale liryzmowi, wybuchającemu skrami, kolorami, tęczą; uczucia miłośne, wykluczone z Grażyny, rycerskie, patryotyczne, aż do inwektyw szyderczych przeciw duszom podłym, znalazły wyrazy potężne: obrazowość poety, dźwięczność wysłowienia, panowanie nad formą wiersza walczyły o lepsze z bogactwem fabuły, urozmaiceniem tła, pogłębieniem uczucia, i znowu pozostawiał daleko w tyle poeta naśladowców wierszem i prozą.

Zresztą tworzył mało, rozpraszał siłę w licznych improwizacyach, tworzących i całe dramaty (o Zborowskim; z niego zrysował Puszkin improwizatora swych „Nocy egipskich); zbierał wzorki do satyrycznego „Ustępu“, którego część wielka na miejscu powstała; pisywał wiersze okolicznościowe, z których najpotężniejszy—„Farys“, elegia (kasyda), poświęcona emirowi Rzewuskiemu, niby oda do młodości, transponowana na nutę Arabistanu. Dziwny człowiek i dziwna poezya. Bohater, syn Targowiczanina, mąż osoby, nienawidzącej jakobinizmu i „wolności“ (jej matka padła ofiarą „terroru“), uciekał przed hańbą ojcowską i nienawiścią żony do Arabii, między szejchów i ich namioty, zbierając księgi i pieśni, broń i wierzchowce, słynny jako jeździec nieustraszony, prowadzący potem na Ukrainie, hetman złotobrody, między swoimi kozakami żywot niby atamana - mołojca.

I wystawił Mickiewicz takiego jeźdzca szalonego, wyzywającego i żywioły i sępa złowrogiego i samum - niszczyciela do walki, kruszącego wszelkie zapory, głuchego na przestrogi, pędzącego coraz w dal, niepowstrzymanego, dumnie ku gwiazdom patrzącego, myślą w otchłaniach błękitu się zatapiającego, pean żelaznej woli i siły ludzkiej, któraby i świat z posad ruszyła.

Vous nous l'avez donné fort et nous vous le rendons puissant, twierdził słusznie ślepy poeta - romantyk, Kozłow (jemu owa kasyda poświęcona) o Mickiewiczu do Odyńca. Ważniejsze jest świadectwo Puszkina, po latach złożone, gdy katastrofa fatalna przepaść nieprzebytą między obu poetami wyżłobiła: „wśród nas on żył, śród plemienia obcego; w duszy swej ku nam nie żywił on złości, my go kochali; cichy, błogo usposobiony odwiedzał on nasze zebrania. Z nim podzielaliśmy i czyste marzenia i pieśni — natchniony on był z nieba i z wysoka na życie spozierał. Nieraz mawiał on o czasach przyszłych, kiedy ludy, zapomniawszy o waśniach, w wielki ród się zjednoczą. Chciwie słuchaliśmy poetę. Ku Zachodowi on uszedł i błogosławienie słaliśmy za nim“. Nie mniej uczcił Polak pamięć wieszcza rosyjskiego, przyjaciela: „ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody“. W „Borysie Godunowie“, w tłumaczeniach i w „Jeźdźcu Miedzianym“ ślady Mickiewicza utkwiły. Cenili go przyjaciele w Moskwie od Wiaziemskiego do Polewoja; gdy go żegnali, dzielili jakby tęsknotę i drżenie serca jego; otwartością swoją, szlachetnością postawy i mowy, myśli i serca jednał on sobie wszędzie zwolenników i wielbicieli; teraz rwał się, jak Farys, za słońcem na Zachód.

Na parnasie polskim panował już niepodzielnie, otoczony zgrają naśladowców, dyskredytującą chyba mistrza, jak ów zasłużony dyrektor teatru, a niefortunny sonecista, Kamiński; możnaby o nim chyba myśleć, że parodyował sonety (od parodyi, nawet Farysa, Baszy i t. d. roiło się i wtedy i później), gdyby słynne „Wypi-

łem duszą duszę kałamarza“ albo „Okropny powóz jedzie w mojej duszy“ nie w najlepszej intencyi było pisane.

A takich prób czy przedrzeźniań było więcej. Witwicki, Krzemieńczanin, sam niebawem tępił dwa tomiki „Ballad i romansów“, które roku 1824 jeszcze zbroił, przesadzając w przesadzie; potem „Edmundowi“ kazał, jak Gustawowi, ginąć z własnej ręki, tylko tło romantyczniejsze, bo szwajcarskie wybrał, za to umotywować i deklamacye i cierpienia zapomniał.

Drwiliż klasycy z tych dziwolągów, i romantyczność odpowiadała za szaleństwa „gąsiąt i osiołków“, a Mickiewicz, wystawiany jako mistrz „szkoły litewskiej“, co z niego wyszła, choć się do niej wcale nie przyznawał, zaczepki, krytyki, insynuacye milczkiem pomijał. Po czasie dopiero, jakby zazdroszcząc wawrzynów Byronowi, zerwał się do odpowiedzi „O krytykach i recenzentach warszawskich“, gdzie właściwie plac ostrzelał, bo przeciwnika nie zastał i na najmniej winnym z klasyków, na Franciszku Dmochowskim, wenie polemicznej pofolgował; Dmochowski też obszernie, całą książką, odpowiedział, ale w niej nie klasyczności, tylko pamięci ojca bronił.

Dowcip, tryskający z listów poety (i z utworów spółczesnych prozą, lecz te zaginęły) i w tej polemice zwyciężał: miał to być wstęp do rozpraw; poeta to chciał szerzyć myśli, cudze wprawdzie, ale u nas nowe, to rozbierać zasługi różnych chwalonych autorów, przestraszony zacofaniem warszawskich szpisburgerów „(Kleinstädters“), gorszem, niż w literaturze ościennej. Wyjazd zagranicę temu przeszkodził; pozostał ów niby wstęp, chłoszczący nieuctwo, jałowość, powtarzanie oklepanych frazesów i etykiet, „hatiszerif literacki, napisany z dziwną zarozumiałością, z impertynencyą nawet — już oni (klasycy) podeptani od Litwinów wraz z Potockim“ wołali Koźmianie. Lecz na sukurs nikt nie śpieszył.

Nie od Litwy jedynej i „szkoły litewskiej“ szło romantyczno-ludowe odrodzenie literatury; i Ruś, ukrainna i podolska, kijowska i kozacka, stawiła się na parnasie z niewyczerpanymi zasobami podań i pieśni, szczegółów i motywów, barw i dźwięków. Na Rusi tej, obfitej w ziemię, bogatej w dostatki, toczyło się życie polskie innym torem, niż na piaskach wielkopolskich i mazowieckich, czy na błotach pińskich — „bywszy w Rusi, do domu musi“, mawiano o „dniach Aranżuezu“, „i na Rusi robić musi“ pocieszano się filozoficznie.

Życie to polskoruskie, im dalej ku ukrainom i stepom, tem silniejszego, oryginalniejszego nabierało rozmachu; nie zmiótł go nawet huragan „ruiny“, nie zatopiły fale hajdamaczyzny. Składały się na nie tradycye świetne kozactwa; jego urokiem pociągnięci nawet magnaci zbliżali się albo całkiem zlewali z ludem. Panie Kochanku na Litwie chyba szlachcie imponował; Starosta Kaniowski jest dziś jeszcze bohaterem ludowym, umarł przecież unitą w celi bazyliańskiej, a srożył się za życia przeciw pankom i Żydom; Dymitr Jabłonowski schłopiał zupełnie, a Emir z kozakami swymi pod Daszów pociągnął; tradycye kozackie, obce zupełnie ludowi polskiemu i litewskoruskiemu, żyły wśród Rusi, bandurzyści śpiewali o siczy, o Chmielu i Nyczaju, jak walczył z Polakami, z Panem Potockim, o Goncie i Żeleźniaku: wobec spłowiałych legend litewskich, głuchych podań i mętnych bajań, biło tu żywo, jaskrawo, w pierwotnej dzikości i smętku, źródło poezyi ludowej; należało się tylko schylić do niego, ukochawszy przyrodę bogatą, lud dumny, ziemię uroczą.

Za to też antagonizm narodowy, wyznaniowy i socyalny, występowały tu nieskończenie silniej. Na latifundyach wielkopańskich rozsiadła się drobna szlachta — komisarze, dzierżawcy, pisarze, ekonomowie, za nimi Żydzi po arendach i karczmach, panowie bawili za granicą lub w Warszawie; wyzyskiwano więc niemiłosiernie lud, a to prowadziło do strasznych wybuchów, obcych innym ziemiom.

Po ich stłumieniu popłynęło życie dawnym trybem, na dworach wielkopańskich (stąd ruszyli Targowiczanie) i po dworkach szlacheckich. Targowiczanie nie wracali, za to ich adherenci, ów Tomaszewski, sam autor manifestu, w wierze najlepszej działający, potem niemogący wyrzutów sumienia ukoić, najmniej w pobliżu swego pana, rozjeżdżającego bezcelowo albo dumającego ponuro w Hamburgu — pracujący literacko, nad przekładami i oryginalnymi tworami, z powodzeniem; nad rehabilitacyą Targowicy, bez powodzenia; witający nową erę; albo ów Hulewicz, „bard polski“ (Henryka Rzewuskiego), bezecnik w mowie i facecyach, wstydliwy i skromny w życiu, niezdarny tłumacz Owidyusza. Były i oryginały: Ścibor Marchocki, zaprzątający fantazyę Słowackiego, pan Ladawy, czciciel Cerery i konstytucyi ladawskiej; niefortunny statystyk Podola, Marczyński i inni.

Dla romantyka otwierały się tu widoki poetyckie, innej doniosłości i rozmaitości, niż litewskie; za przykładem od Wilna, pod ożywczym promieniem Krzemieńca i szkół humańskich, powstawał tu nowy rnch poetycki. Po pierwszym, tonącym w powijakach klasycznych, z Zaborowskim i Starzyńskim, nastąpił romantyczny, lecz nie ujęty żadną silną ręką — Ruś czerwona i ukraińska anarchią od XIII wieku żyła — rozproszył się; mówią wprawdzie o „szkole“ ukraińskiej, ale „uczniowie“ jej szli całkiem luzem, tło wybierając spólne, „ukraińskie“, lecz pielęgnując każdy swoję odrębność.

Krzemieńczanin **Maurycy Gosławski,** zdawało się, nie żywił wyższych aspiracyi, miał powiększyć grono pisarzów prowincyonalnych, pozostać piewcą Podola. Zrazu bowiem pisywał humorystyczne i satyryczne piosnki, bajki, w „Balladzie i ja“ wyszydzał poecików i recenzentów, opisywał kary, jakie ich w piekle czekają, wyśmiewał Marczyńskiego; sentymentalizmowi folgował, tłumacząc tragedye sentymentalne Ozierowa. Rzeczy te jednak, trącące piżmem klasycznem, tak zarzucił, że ich między swe dzieła później nie włączył.

Nęciła go idyla Wiesława, ale jeszcze bardziej rozdarcie romantyczne, skargi na utraconą młodość, miłość i wiarę w ludzi Więc wyśpiewał, łącząc oba motywy, swoje „Podole“, najpierw jego piękności, i krajobrazy; potem, całkiem na etnografa schodząc, opisał ludowy dramat weselny, obrzędowy, ze śpiewkami i zwyczajami; trzecią pieśń poświęcił „klęskom Podola“, podaniom o dżumie, o napadach tatarskich; powtarzał nieraz sam tekst pieśni ludowej, każdy szczegół obrzędowy, aż do mieszania „korowaja“; czwarta pieśń odskakiwała całkiem od tego tła sielskiego spowiedzią autorską, o niewinnem dzieciństwie, o burzliwej młodości z jej altruistycznymi zapędami, owianej byronowskiemi zwątpieniami i goryczami, tęsknotą i smutkiem.

I później „szukał z dziedzin ojczystych pokrewnych utworów“, wiódł swe wzroki „na zarośle, na bezdroża, na czahary, na obłoki, to na synów Zaporoża“, żałując „błogich czasów“, śpiewał „Dumę o Nyczaju“, „Oblężenie Niemirowa“, „Bondarównę“ (zaginione po części). Wypadki wykoleiły ułana i obrońcę Zamościa z Podola i poezyi podolskiej; po pieśniach lirycznych tworzył powieści romantyczne, dawniej jeszcze „Tęsknotę“. niby pendant do Kordyana, gdzie wieśc o wojnie rozpaczającego nad zmarłą kochanką w żołnierza przeradzała; potem „Odstępcę“, wieszczącego i usprawiedliwiającego przyszłych Sadykbaszów, z wycieczkami przeciw poetom, „co za Polskę walecznie umierali w rymach, bez rozlewu krwi drogiej, po Dreznach i Rzymach“, osobnoż wzywał on i Mickiewicza do walki; „Banko“, z gryzącą ironią o wojnie i wodzach, z wycieczkami przeciw cnocie, knutowi ludzkości, której bałwochwalczo łzy-ofiary znoszą, bo trzy młode piękne serca, co dla szczęścia biły, owiał oddech trucizny w święte imię cnoty (Władysław, mimo zmienionego uczucia, w imię cnoty wytrwać musi przy niekochanej). Czynny, jak Goszczyński, zgorzkniały i zwątpiały, umarł niebawem, i tylko kilka „Podolanek“ i pieśni („Gdyby orłem być, lot sokoli mieć, lotem orlim lub sokolim Unosić się nad Podolem“, duma z „Odstępcy“) przeżyło pamięć, co rozwiała się, jak ów wiatr, opiewany tylokrotnie przez niego. Dziwaczna, ultraromantyczna była i forma owych utworów, mieszana, liryczne i opisowe kawałki z „działaniami“, t. j. z dyalogami; gryząca ironia i szały uczuciowe wikłały się kolejno; brakło artyzmu, nie siły.

Od etnograficznego Podola Gosławskiego odbijała zupełnie „Marya“, acz „powieść ukraińska“, **Antoniego Malczewskiego:** Ukraina tu, mimo wiersza pierwszego, z pędzącym na szybkim koniu kozakiem, i ostatniego („I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie“), była tylko tłem i akcesoryami, lecz bohaterem i treścią ani ona, ani kozacy, czy boje tatarskie, czy duma magnacka, czy złość ludzka: śmierć za to, co „na tym świecie wszystko zmiecie“, robak, co „się lęgnie i w bujnym kwiecie“. Wszystko tu smętne, posępne: i autor i poemat — samo imię Marya, fatalnie wróżące, umyślnie dobrane, wedle znanego przesądu, kołującego już w XVI wieku — lecz śmierci fizycznej oszczędził los nienawistny Wacławowi, aby go wydać męce stokroć gorszej.

I nie wiedzieć, z kogo boleśniej los zadrwił, z człowieka, z pisarza, czy z bohaterów jego? Bogaty i urodziwy młodzian, wykwintnie wykształcony, bywalec w świecie, Don Żuan rozmaitych romansów schodzi przedwcześnie do grobu, nieznany, w największym niedostatku, z obcą żoną - kamieniem u szyi; pisarz, lecz o nim nawet i ten się nie odezwał, któremu poemat — ostatnią nadzieję, jedyną deskę zbawienia—poeta ofiarował; i milczała o nim krytyka, a publiczność ani słyszała nawet; a jakie dzieje autora-człowieka, takie i pienie jego.

I Malczewski, jak Gosławski, jak Mickiewicz, na ład klasyczny zaczynał, lecz sam do Byrona trafił, którego i znał osobiście,

i, jak powiadają (bajek krąży u nas co niemiara) temat do Mazepy mu nasunął. Krzemieńczanin, którego sam Czacki ufnie władzom polecał, starłszy w szkole dopiero ślady domowego, francuskiego wychowania, czuł pociąg do pióra, a po różnych opisach i próbach, gdy nad nim samym horyzont życiowy groźnie się zasępiał, wziął przed się kanwę smutnego wypadku, aby na niej tem smutniejszych refleksyi dosnuwać.

W domu Targowiczanina—Targowicy zawdzięczał ojciec szlify jeneralskie — młodzieńcza awantura Szczęsnego i Gertrudy była dobrze znana: awantura komiczna, gdyby się przypadkiem nie kończyła arcytragicznie. Instynkt, takt i smak artysty odrzuciły wszystko co osobiste i anegdotyczne, płaskie i trywialne fabuły; cofnęły ją o wiek cały, podłożyły tło heroicznych walk Polski, przedmurza chrześcijańskiego, zmieniły okolicę, pogłębiły różnicę.

Wacław, tu byrończyk się zdradzał, ze zniechęcenia i niesmaku życiowego wypłynął, zyskawszy serce i rękę Maryi, córki miecznika, „równego“ szlachcica; lecz ojciec, dumny wojewoda, stracił syna, cel życia, niesyty coraz nowych honorów i koligacyi świetnych, i postanowił swobodę jego odzyskać i ze zdradą szatańską, obcą polskiej naturze, plan wykonał; udał pogodzenie, syna z teściem na taniec tatarski wyprawił, a niewczesnej nieco, bo kulikowej, zapustnej, nie letniej maszkaradzie - czeredzie Maryę porwać i utopić kazał, licząc widocznie, że syn stratę przeboleje i sam mu kiedyś wdzięczny będzie: o miecznika nie dbał, kto ani króla ani prawa się nie obawiał, a w końcu, gdyby nadto krzyczał, można mu było wioszczyną jedną i drugą gardło zatkać.

I nie omyliły wojewody rachuby: w życiu i w dramacie wszystko gładko poszło; miecznik ani się porwał do zemsty, tylko się na Wacławie zawiódł.

W czemże piękność, znaczenie „Maryi“? i jakiem prawem mógł w parę lat później Mochnacki, krytyk romantyczny, od niej przegląd nowej poezyi zaczynać, nazywać ją „ofiarą nieumiejętnej krytyki, jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej“, a przed nim jeszcze Grabowski twierdzić: gdybyśmy tylko mieli „Maryę“ i „Grażynę,“ mielibyśmy już oryginalną literaturę? Nawet Goszczyński, kruszący nielitościwie maczugą demagogiczną pseudoreputacye i zasługi prawdziwe, nie wahał się położyć „Maryi“ między dziełami, „jeżeli nie zupełnie narodowemi, to zbliżającemi nas wielkim krokiem do czystopolskiej

literatury“, a sądy te podziela publiczność, skoro ani wyliczyć wydań, tłumaczeń, ocen tego brylantu poezyi polskiej, chociaż nie najlepiej osadzonego.

Otóż stworzył poeta bez domieszek fantastycznych, nie wywołując ani średniowiecza strupieszałego, ani upiorów czy demonów, ani błyskotliwego oryentu czy południa — bez czego Byron się nie ruszał, czem „Grażyna“ i „Dziady“ stały — z materyałów ojczystych dramat wzruszający, prawdziwy, prosty; osób nie wiele, trzy — bo wojewoda ledwo od ciemnego tła odbija; akcya skupiona, jakby jedność czasu i miejsca zachowywał; tętno przyśpieszone, kontrasty najsilniejsze, a w szczupłe ramki — nawet „Grażyna“ liczy tylko o parę set wierszy mniej — wstawiono tyle najrozmaitszych kolorów, rysów i przejść, że i fantazya Byrona Malczewskiemu zazdrościćby mogła.

W szczegółach mógł się Byron w „Maryi“ zwierciedlić — nigdy w całości, w duchu. Styl jego przypominała pogoń Malczewskiego za przenośniami i alegoryami, dziś najbardziej czytelnika rażącemi: czapka na lewem uchu, *zniszczenie* w prawicy; gdy patrząca czujność nadzieję utraca; zapylona sława upięknia zniszczenie; przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie, i t. p. Z Byrona łaski pojawiło się owo tajemnicze pacholę, co za rycerzem w świat pogoni, nieodstępny duch jego losu czy anioł, czy szatan, który komentatorom tyle domysłów naraił: jest w druku i wytłumaczenie jego całkiem alegoryczno-polityczne—na losy Czerwonej Rusi! Nawet Wacław przypominał miejscami ulubieńców Byrona, nadludzi, z duszą zagadkową, wyolbrzymiałych nad otoczenie, z niem niezgodnych.

Już „Wacławem“ różnił się Malczewski od Byrona; ów skończył, gdzie ten byłby zaczął; dla Byrona byłby Wacław istniał dopiero od chwili, gdy w zwiędłej twarzy zamieszkała bladość, gdy w zdziczałej duszy wypleniono radość, powstała ta ponurość dzika, ta chciwość szalona krwi, krzyku, dzwonów, co zbrodnią karze zbrodnię — poeta polski ani się ważył uchylać tej ciemnej, skrwawionej zasłony.

Jeszcze więcej różnił się samą Maryą. Na bohaterów Byron nie wybierał kobiet, nie występowały one u niego po za kresy istot czy niewinnych, czy namiętnych, zawsze niewolnych, haremowych branek czy sułtanek; pierwszy ideał kobiety stworzył Malczewski. Nie znała takiego dawniejsza poezya polska, wyłącznie męska, obozo-

wa, obywatelska, księża; chyba „Barbara“ Felińskiego za taką uchodzić mogła, wahająca się między miłością i pragnieniem szczęścia osobistego, a obowiązkami wobec ojczyzny, do ofiar gotowa, podtrzymująca męża - króla: lecz nad całem gronem idealnych doskonałości ona jedna nie nadto się wznosiła. „Grażyna“ przypominała nieco amazonki, bohaterki Tassa i Tomaszewskiego, chociaż słabe jej ramię źle mieczem władało, i nie zrównoważała namiętnych skarg i przekleństw, jakie miotał zawiedziony Gustaw na kobietę, „puchu marny, ty wietrzna istoto, Postaci twojej zazdroszczą anieli, a duszę gorszą masz... niżeli...“. Pierwszą idealną niewiastę stworzył Malczewski; jego Marya, wiotka i słaba na ciele, blada i smętna, godna i ojca i męża; sama słaniająca się, jak trwożna gołębica, i ojca podtrzyma i męża na boje pożegna, spokojna i zrezygnowana, chociaż mu właśnie powtórzyła wyznania miłości, tak gorącej, tęsknej, jedynej, że się aż sama lęka, bo może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie; rozmowa jej z ojcem, gdy sama ciężko zraniona jego smutki koi, żegnanie z mężem, należą do największych ozdób literatury i okupują wysłowienie miejscami twarde czy niejasne, i pożyczki u Byrona i rysy nieco sentymentalne, nie z kresowej niewiasty zdjęte.

Lecz na kogo-by się Byron najmniej zgodził, to na Miecznika, tej rezygnacyi chrześcijańskiej nigdyby nie pojął: ten bohater, co gotów „skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje“, mignąć choćby wojewodzie pod oczy święconym w szabli obrazkiem, ten postrach tatarski i szwedzki, co liczy na raźną młodzież okoliczną — teraz: ni żalu ni skargi

> Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi,
> Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki,
> Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki

—może byłby on i u Byrona na pozór taki, lecz pewnie-by Tatarów wojewodzie w gości sprowadzał, niby nowy Bielecki. Niezmiennym wyrokom poddaje się bez szemrania, klęczy nad mogiłami, aż uśnie na wieki.

Smutek i rezygnacya, to nie udział miecznika tylko; wieją one z każdej karty, przemawiają z każdego obrazu: na los swój nie zasłużyli, nie zarobili bohaterowie powieści, zacni, szlachetni, bujni

> Ach! pytaj raczej na co dobroć się tu przyda,
> Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci,
> Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda!

Świata kołacze gorzkie i zatrute, twierdzi ów paź, co, kiedy się rozśmieje, to jak za pokutę, a kiedy będzie śpiewał, to na smutną nutę. Nuta ta przebrzmiewa ciągle; pierwszą pieśń kończy wiersz: i pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie, a drugą:

> I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie,
> I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

Słusznie też, w przedmowie (do Niemcewicza), mówi poeta o „posępnem malowidle, tęsknem i jednostajnem, jak nasze pola i jak mój umysł ciemną tylko farbą zakryśla Wam niewykończone obrazy“. Stąd te smutne przeczucia; Marya nawet szczęśliwa „szczęściem niewiast, dla których słodkie w życiu chwile są, jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle“; ona odczuła: ach, z jak okropną trąby zagrały żałobą; w Wacławie samym brzmi głos straszliwy: zdobędziesz ty trumnę i w serca głębi pisk taki, jak gołębia pod dzióbem jastrzębi. Ta ponura a tak wymowna, przejmująca jednolitość była nowym, nadzwyczajnym przymiotem dzieła.

Mimo to podnosiło ono i krzepiło ducha. Wskazywało Boga; nawet szczęście nasze pełnem nie będzie nigdy, i człowiekowi „tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba“; Marya sama do nieba należała, do aniołów grona dążyła; w ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota. Ucznia Czackiego i Krzemieńca wydawała i miłość ku ojczyźnie: jej i jej rycerstwa chwała brzmiała z zwycięskiej wyprawy tatarskiej, z ojcowskiego poświęcenia się i zaparcia siebie samego; jej imię czystym gorzało ogniem, a serce, jak w wiośnie ptak do słońca, do niego skakało radośnie! Do poematu rycerskiego, szlacheckiego, lud nie wchodził, tylko sylwetka kozaka, co „wśród wiodącej go zgrai (służalców) jak władca wygląda“, nakreślona z widoczną lubością. Wobec takiej całości, z jednego kruszcu ulanej, ginęły drobne skazy, głównie językowe, parę anachronizmów o „grafie“ Wacławie i „szwadronach“ tatarskich; lecz Warszawa, która roku 1825 wszystkiem, tylko poetycką nie była, na pięknościach się nie poznała: „u nas nikt tego nie czyta“, rzucił literat warszawski rozentuzyazmowanym Lwowianom w oczy.

Prędzej się poznali na pięknościach powieści hajdamackiej. Jak „Marya“ ludu ukraińskiego nie wprowadzała na widownię, tak „Zamek kaniowski“ **Seweryna Goszczyńskiego** bez panów się obchodził, chyba o ich winach prawił i na smętny finał Maryi odhuknął donośnie:

Piekła za wojną zatrzaśnięto bramę:
Znów tenże pokój i zbrodnie te same,

— tak uzupełniamy niedociągniony wiersz. „Zamek kaniowski“— jedyne w swoim rodzaju nokturno poezyi polskiej, oryginalne, jak jego autor. Malczewski i Goszczyński, „Marya“ i „Zamek kaniowski“ — większych sprzeczności i pomyśleć-by nie można, chociaż dzieli je tylko lat parę (1825 i 1828): panicz przystojny i bogaty, poeta rezygnacyi smętnej, aż ponurej, a „hajdamak“ ciałem i duchem, nieugięty żadną nędzą, ni głodem ni zimnem, jak z żelaza wykuty, wiecznie biedą gnany, na łonie natury raczej, pod wpływem chłopki - babki (nie stanem, lecz życiem) wychowany, niż na ławach szkolnych, na których z Padurą, Zaleskim, Grabowskim zasiadał, choć nie zbyt wiele z nich wyniósł, przejęty duchem protestu, rzucający się w wir agitacyjny. Temuż celowi i poezya jego służyć miała; do niej się na tłumaczeniach i erotykach zaprawiał, nim na swój ton trafił, i długo go nie rzucał. I ten ton był ponury i posępny, skargi jednak wybuchały gwałtowne i namiętne, na twardy los własny, na ludzi, ich wady i winy; spotęgowany lekturą rzeczy smętnych, Junga; obrazowością poety, lubującą się w dzikich, poszarpanych rysach — nawet natura nie kojąco, raczej drażniąco działa; fantazyą, piętrzącą okropność na okropnościach. Pierwszy demokrata czy demagog na parnasie polskim przekuwał wrotki swoje na broń twardą i ostrą, o estetykę nie dbał i sam się w kilka lat później (1834) uniewinniał:

O moi bracia, wam się nie podoba,
Żem wybudował poezyi bożyszczu
Świątynię, w której kapłanem żałoba,
A płomień śmierci na ofiarnem zgliszczu...
Szemrzecie na mnie, że po jej sklepieniach
Ustawna burza mroczy się lub błyska,
Że dzikie tylko wiatry brzmią w jej pieniach,
Że w niej okropność i nieład, zwaliska,

Że się w niej roją same grobów larwy,
Że w jej obrazach same czarne barwy...
O! póki ciemne słońce milionów,
Póty o bracia! niech mię nikt nie wini,
Że tak ponuro w mych uczuć pustyni...

Najtrafniejsze to motto i dla „Zamku“, gdzie poeta bez litości odkrył ranę, jątrzącą od wieków. Ze smutnych dziejów wybrał on epizod, jeden z najdramatyczniejszych, rzezi hajdamackiej. Ogólna treść jasna, ale takie ciemności zalegają obraz, że szczegółów nie wszystkich dopatrzeć się można, że pozostaje i domysłom wiele miejsca; tu-by raczej, niż w „Grażynie“, czytelnik epilogu, objaśnienia się domagał. Główne postaci, kozak pański, dzielny Nebaba, ze strony pańskiej na hajdamacką się przerzuci, gdy mu Orlikę jego rządca odebrał; on nieczynnego pijaka, Szwaczkę, z dowództwa usunie i hajdamaków na zamek poprowadzi; Orlika, ślubująca rządcy, aby brata od śmierci niechybnej ocalić, porywa się do noża, zabija męża, goniona przez kozaków, okrwawionemi rękami ślady niestarte po murach zostawia; Ksenia wreszcie, uwiedziona przez Nebabę, co z przesądu o latawcu skorzystał, i pozbawiona zmysłów z hukiem nieludzkim, sioła i pola przebiega za swoim latawcem, aż go na palu odnajdzie. Obok tych trojga inni: Szwaczka, krótko, lecz po mistrzowsku skreślony; lirnik stary, ślepy, w istocie szpieg, co Nebabę śledzi i niby jego wróg osobisty, prześladuje, jakby o Ksenię i pomstę za nią mu szło, śpiewający o niej, i inni.

Postaciom, dzikim, pierwotnym, namiętnym, akcyi przyśpieszonej, gwałtownej, okropnej, odpowiadały czas, miejsce i akcesorya, styl, porównania i obrazy. Przed oczami czytelnika przesuwały się trzy nocy; słońca w tym poemacie nie było, prócz w owem pięknem przywitaniu zachodu jesiennego na początku i w zakończeniu, gdy wbitych na palu oświeca.

Roztoczył poeta przed oczami wszystko groźne i straszne, co fantazya ludu ukraińskiego wydała: od sceny pod szubienicą, gdzie chichot pijanych szatanów kozaka otumania, z duszami niechrzczonych dziatek, jęczącemi w górze, z wiedźmami, zbierającemi z rosą pożytek, z upiorami, ssącymi krew; za uciekającą Orliką rzuca Szwaczka nóż poświęcony: „rzuć go na wicher co tańczy po drodze, a gdzie się kręcił świeżą krew zobaczysz“; Nebaba jako latawiec z Ksenią, a Orlikę całuje z takim żarem, jaki upiór w drzewie wy-

pieka, gdy niedowiarek zeń szydzi (!). To znowu mowa o górach dzikich, jak rozpaczy czoło, a nawet w pysznym ustępie o olbrzymim dębie - gadule, który i do „Pana Tadeusza“ się dostał (bo „kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa“), gdy Nebaba nań się wdrapuje, by za lirnikiem - szpiegiem śledził i dalekie widoki odkrywa:

jak w duszy jego, posępno w tym lesie,
jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.

Nadmiar ten cieniów zgęszczonych, fizycznych i moralnych trącił Byronem, szczególniej gdzie poeta w Nebabę inną już duszę wlewał:

Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica,

albo gdzie o sobie samym prawi, tułaczu „obojego bytu, ze wstrętem przesytu“: „losy piorunowały tyle, obyłem się ze zgrozą ich ciosów — i serce tyle wichrzyło, że już omdlało, czczość, mgłę zostawiło“. Nie dziw więc, że po kilku latach, w owej recenzyi o nowej epoce poezyi polskiej, sam autor wyrzekał się „Zamku“, jako jednego z licznych grzechów poezyi, spłodzonego pod nieszczęśliwym wpływem czarnej fantazyi Byrońskiej.

Spółcześni romantycy zachwycali się utworem; nawet Mochnacki policzył go „do rzetelnych ozdób literatury polskiej“, a prawdziwe tryumfy piał Grabowski, nie mogący wysławić dosyć i prologu i opisu nocy, rywalizującego z scenami „Makbeta“ i „Fausta“, w pieśni do latawca upatrywał ową prawdziwą poezyę ludową, o jakiej w naszym wieku niemal już zwątpiliśmy, a kogo rozmowa puhaczów raziła, temu od bielma klasyczności, nie zdjętego przy chrzcie romantycznym, nałajał. Żegnali się klasycy, nawet *justemilieu* Morawski sarkał, że „po lirycznych strofach pędzi brodacz Donu... puszy się Hajdamak w epopei“, że nie Kochanowskiemu „mruczały sosny piosenek żeglugi ni szczekały wiatry“ i wołał patetycznie:

Przebóg, pókiż nam będą wasze głosić wdzięki
I czułość tylu zbójców i wisielców wdzięki,
Kiedyż już wszystkie wasze zliczycie bożyszcza,
Mogiły, mogilniki, kurhany i zgliszcza?

i skarżył się na ciemności, że w nich nie rozróżnić „poety z opętańcem i z szaleństwem pieśni“. Zapomniano o nadzwyczajnej, niepolskiej (jak Mickiewicz słusznie zauważył) energii wyrazu i rysunku, tak odbijającej od zwykłego rozmazywania (i romantycznego); o trafnej charakterystyce, choćby Szwaczki i Nebaby, dumy, namiętności, a choćby i nieopatrzności, lekkomyślności, wobec grożących zasadzek; o prawdomówności autorskiej, rzucającej z ust hajdamackich i Nebaby najstraszniejsze i najsłuszniejsze skargi na polskie rządy i pany, nie cofającej się przed niczem. Język był szorstki, miejscami nie polski — co choćby dla *couleur locale* uchodzić mogło; rysunek aż do karykatury przesadzony, lecz całość była tak jednolita, jak „Marya“, choć w innym rodzaju.

Ani szlachecko - pańska Ukraina tęsknoty; ani hajdamacka protestu nie wyczerpywały poetyckich jej zasobów: inne skarby roztaczał rówieśnik i towarzysz Goszczyńskiego, mentor jego poetycki, **Józef Bohdan Zaleski,** nienawidzący niczego tak, jak właśnie Bohdana (Chmiela). W dziecięcych latach przesiąkło pacholę lasze poezyą stepową:

Z teorbanem wyrósł ja. Dniepr, Iwanhora,
Chata gdzieś w gaju starego znachora...
Śpiewałoż ptactwo tam, byle dzień biały,
I znów dziewczęta z majdanu śpiewały,
To znowu męski głos wojennej chwały —
W cześć atamanów mąciły się społem
W pieśń jedną żywą — i pieśń tę połknąłem!

Nie było to przesadą: spotykał on nieraz owych „zgarbionych wiekiem, białowłosych dziadów, co na wzmiankę o siczy iskrzyli oczyma, odgrażali się zaciskając pięści... nasłuchałem się do syta barwnych opowiadań i pieśni... mógłbym niemal dosłownie powtórzyć rapsod po rapsodzie z tej opłakanej epopei domowej“, a dum tych wtedy było więcej, i skarżył się później poeta:

Gdzie to naszych dum połowa?
Zaporoskich dziś tak mało,
A miłosna, ta lub owa,
O trzech zorzach, trzech krynicach,
Siedmiu wodzach, stu dziewicach,
Rzekłbyś, że te dumy z laty,

Przenuciwszy błogie chwile,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile.

Z poezyą słowa zawodniczyła sama poezya bezbrzeżnych stepów i głębokich jarów, Iwanhory i Humania (z Zofiówką); rozkosznie bujał chłopiec po ustroniach, cichych, pięknych, tak uroczych niemal, jak późniejszy wiersz jego harmonijny. Do wierszy rwało się wtedy, co żyło, już na ławkach bazyliańskich w Humaniu; tem bardziej w Warszawie, dokąd się poeta z Goszczyńskim rychło przeniósł, gdzie pod wpływ Brodzińskiego na razie podpadł, a z Witwickim najściślej się połączył, wezbrała wena i niebawem „fantastyk, żył tylko wierszami i dla wierszów"; w antypoetyckiej dobie życia, gdy praca nauczycielska w domu Szembeków skupiania się nie dozwalała, pogłębiał i urozmaicał choć lekturą wrażenia.

Po próbach kilkuletnich wpadł na własną nutę, odrębną od każdej innej, niezmienną. Już w owych próbach, począwszy od humańskiej jeszcze „Dumy o Wacławie", parafrazował on tematy czy teksty ludowe, niezawsze szczęśliwie, rozwlekle, z akcesoryami w tonie klasycznym, słuchając rad i uwag Brodzińskiego, rozglądając się po Słowiańszczyźnie, tłumacząc czeskie, sposobiąc się do pieśni serbskich. Fantastycznemu i romansowemu, kapryśnemu, młodzieńcowi nie było jednak przeznaczone ugrzęznąć w parafrazach i przeróbkach, dobrych dla Szyrmy i Brodzińskiego; nadto silny był talent, nadto wielkie poczucie samodzielności; dziedzicowi obyczajów i dziejów ukraińskich, na którego pieśń ludowa niby naturalną spuścizną spadała, użycza poezya sokolich skrzydeł „i jak czarnoksięskie pryzma na pochmurne, nagie i bezcelne dni moje sieje blask świetlny idealnych omamień i promieni się wszystkiemi barwami tęczy — błogo mi w śnie oczarowania".

Na poezyę tę składały się i tradycye dawne i liryzm własny. Nęciły Zaleskiego dzieje rodzime, poetyckie; w nie wsłuchał się od od dzieciństwa; na ich wzór tworzył, nieśmiało w „Januszu Bieniawskim", coraz pewniej siebie w „Czajkach", w „Dumce Mazepy", „Dumce hetmana Kosińskiego", „Zołotareńku w Warszawie", „Damianie księciu Wiśniowieckim". Jego „Kozacy i Ukraina" całkiem odrębni, z historyą nie zupełnie zgodni, dostrojeni do ideału poety, nie znającego żadnej waśni plemiennej, odnajdującego Polan kijowskich w grodach lechowych, łączącego w pieśni, co wieki w dziejach rozdzieliły.

Kozacy jego nie żyją własnem życiem; wierni to, oddani słudzy Rzeczypospolitej, marzący o swem posłannictwie, nadstawiający piersi za jej całość, walczą, piją i śpiewają, bez trosk, planów, myśli — z dziejów ich znikł Chmiel, pozostali serdeczny Konaszewicz, Mazepa i mityczni ich na poły poprzednicy; dlatego ci kozacy jednostajni nieco, zbyt wymuskani, ogładzeni. Tem szczęśliwiej oddane są szczegóły; wyraziściej, pełniej animuszu tych postaci nikt nie skreślił, obrazów barwniejszych, powabniejszych, nikt nie roztoczył, czy to czajki na morze spuszczają, czy Zołotareńko Laszkę namawia w step bezludny a zielony, czy słudzy Damianowi „dmą w piszczałki, w kotły biją i śpiewają i miód piją"; od tego „huku, zgiełku i parady" odbija smętny nastrój Damiana (u sąsiada ładna żona... mnie jednemu wieczna biada) i złowróżbne słowa starca, łaknącego śmierci, jak dżdżu kania, pytającego z trwożnem sercem, czemu zachód wciąż się krwawi, „czemu w stepie poświst dziki, popłoch szpaków, wrzask żórawi i huczące w noc puszczyki"?

Piękniejsze, rzewniejsze, chociaż wtedy może mniej cenione, były jego liryki, już wtedy odznaczające się tęsknotą za stronami rodzinnemi — „wzrok, jak pieśni... daleko, wiecznie w jednej tkwi stronie, ku niej tęsknię z wieczora, z jutrznią tęsknię i płaczę, bom pożegnał nie wczora i nie jutro obaczę", chociaż o możliwości powrotu, blizkości nawet jego, poeta wtedy ani wątpił. „Ej tyś tu tabun przypędził kozacze, i tęsknisz nazad w step zasumowany" — mawiał do niego Malczewski; miłość zawiedziona dopełniała melancholijnego nastroju, i coraz silniej odczuwał poeta potrzebę „w stepu głuszy tam na bujnych traw kobiercu, rozśpiewania w młodej duszy, zakochania w młodem sercu". Rozśpiewania dokonał sam, w „Rusałkach", lśniącej przędzy z barw stepowych, w słówkach pełnych woni, krasy, zostawiając daleko za sobą wzory, Uhlanda i Schultze'go, unosząc się, jak motylek od kwiatka do kwiatka, z czarem niewysłowionym wiersza rytmicznego, pieszczotliwego, napraszającego się do śpiewu, jakiego dotąd poezya polska nie znała.

I Zaleski wprawdzie nie uniknął wszechpotęgi Byronowej; epilog Rusałek nawet całkiem nastroił na nutę mizantropijną, prawił o głębokich zmarszczkach na czole, — od nich kochanka wzrok odwraca, o twarzy ponurej, o pochodni pamięci, rozświecającej noc wieczną, dzikich marzeń potępieńca. Za te wybryki byroniczne raczył poeta czytelnika cudami i fantazyami zaczarowanej Rusałek

krainy, roztaczał perypetye miłośne w wątku, lekkim, tęczowym, pociągającym wyobraźnię i serce; rzucał pęki poezyi i kwiecia na ołtarzu „Róży-Zoryny, i jej, nie lica, ale róży, czystej, czystej czarownicy: mnie kąpała matka w mleku, nauczała czarów siła, i co zechcę zrobię z ciebie“, odgrażała się bogdanka.

Obok tej cząstki „z długich poety w świecie fantastycznym marzeń“ pisały się i inne urywki, „Ptaszę lasze“, opowiadające dzieje z chaty Zujowej; „Kwiat paproci“, gdzie przyroda nuci w głos tęskny sierocy, a żóraw kwiat paproci — dumę rodzimą spuszcza. Do całości zrywał się liryk nieraz, lecz nie wykonywał czegoś większego, nie kończył nawet i „Wiśniowieckiego“, zostawiał go przy przygotowaniach do ślubu niewczesnego; inne plany, „poema okropnie czułe, wojenne i dziwaczne“ (o Konaszewiczu i Daniłowiczu), dramat *Coreggio,* nie przybierały wcale kształtów. I już zaczynał się poeta niby unieruchomiać; cały świat młodości otacza go dłoń w dłoni czarnoksięskiem kołem, pod nim zielone, szumiące stepy Ukrainy, a nad nim jej jasne, błękitne niebo, i odurza się i upija wirem tych najrozkoszniejszych i najsmutniejszych obrazów, w dziwnym, błękitnym świecie fantazyi, gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu morzami. Ostrego zgrzytu rzeczywistości nie słyszy; wprawdzie protestuje słusznie przeciw utożsamianiu Ukrainy z Hajdamaczyzną: sześciu milionów ludzi, co mieli długo swój byt, prawa, obyczaje, pieśni, swoich bohaterów i dziejopisów — hajdamakami przecież zwać nie można; sam jednak zasklepia się zbyt wyłącznie w jednym kierunku, i tylko niesłychana muzykalność słów jego i nieporównane wdzięki jego barw a miękkość jego rysów ratują manierę: kozacy jego zastygli już, niby figurki na etażerce, w wdzięcznej pozycyi, z uśmiechniętemi oczkami.

Z tej plejady wieszczów ukraińskich najbardziej oryginalny, bo i szatę polską zrzucił, spółpowietnik **Tomasz** (Tymko) **Padurra,** urodzony w tychże Ilińcach, gdzie i Goszczyński, Krzemieńczanin, rychło wsławiony „Łyrnykiem“, „Kozakiem“, innemi ruskiemi dumkami, zjawiający się po dworach, w Sławucie u Sanguszków, w Konstantynowie u Rzewuskich, w Humaniu u Potockich, aż ugrzązł w Sawraniu, przy emirze, w charakterze nadwornego poety. W tych jazdach swoich pogłębił znakomicie, badając archiwa, wsłuchując się w podania i pieśni, znajomość kraju i ludu; czerpał nawet ze zbiorów i wskazówek metropolity (kijowskiego) Eugeniusza (Bohowitynowa).

I posypały się dumki historyczne ruskie, i drużyna emira wyśpiewywała je i teorbanista Witort roznosił: Konaszewycz, Rożyńskij, Sirko, Tetera i coraz inne; „Ukrainki“ jak „Lejstrowy“, „Zaporożeć“, „Czarnomoreć“ i t. d., żywe i barwne, a przejęte taką tęsknotą, takim smutkiem za tą świetną przeszłością matki - Ukrainy:

Tak tut buło, jak mynuło,
Pytajte witra stepom.
Jak dywluś sam — zdajutsia nam
I diji i prawda snom:

snem też rozwiały się jego obrazy: w dzień Daszowski pogrzebał marzenia i cel życia, pana i poezyę.

Pieśni jego, jakby prawdziwego Bojana, po ustach krążyły, niektóre głęboko w pamięć wszystkich zapadły, inne po dworkach tylko dłuższe życie wiodły, o większej części zapomniano. Dopiero roku 1844 wyszedł ich zbiór (Ukrainki i s nutoju), po rusku i polsku, z muzyką Lipińskiego, przypisany (Sanguszce) Romanowi.

Wiatr, co od lasów i jezior nadniemeńskich odświeżał literaturę, łączył się z wichrem od stepu i służyła Ukraina w nowej służbie; to nieodrodne plemię dzikich stepów, potrzebne zdaje się naszej poezyi, jak przedtem w usługach Rzeczypospolitej odganiało od dziadów naszych postrach tatarskich i nogajskich najazdów, mawiał Mochnacki. Z romantyzmem zawitała wreszcie i krytyka do Warszawy, a z nią i polemika literacka.

O polemice głucho było od dawna: zwierały się w polemice literackiej stronnictwa, religijne jeszcze (Orzechowski z Fryczem i Stankarem), polityczne (w coraz nowych przejściach, za sejmu wielkiego po raz ostatni); były już i starcia gramatyczne, tylko estetycznych nie było, klasycyzm ich nie znosił. Nie było również i krytyki: powtarzanie z kursów Laharpa i innych Francuzów szablonowych sądów, ocen i definicyi nie zastępowało krytyki; nawet teatralna, mimo prób Iksów warszawskich, nie kwitnęła; wywołał ją dopiero romantyzm. Nie przez Brodzińskiego, stawiającego eklektycznie, zbyt oględnie, ogólnikowe nieco żądania; ani przez Dmochowskiego (syna, zrąbanego przez Mickiewicza od niechcenia), chociaż w „Uwagach nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej“ (niepodpisanych, z r. 1825) literaturze Stani-

sławowskiej miana narodowej odmawiał; chwalił Mickiewicza (prócz używania wyrazów zdrobniałych), Zaleskiego i Odyńca (ten tak w dumę urósł, za tak „narodowego“ się uważał, że na seryo do spółzawodnictwa o „narodowość“ z Mickiewiczem i Zaleskim stawać zamyślał, aż się Kozak z brata Litwina naigrawał); tylko poprawności żądał, aby uchronić od szkodliwej dla literatury skrajności. Najmniej przez klasyków: ci, zamiast udowadniać publicznie zgubę języka, zatratę sensu, zrywanie jednolitości, przez wygórowanie prowincyonalizmów, fantastyczności, separatyzmu, tylko prywatnie szczypali romantyków, ojca wszelkiego skażenia, Smorgończyka czy Pińczuka; jego Patrokla, Odyńca; Ordyńca, drukującego romantyków w swym „Dzienniku“; Zaleskiego, którego Dmochowski również polecał na polskie przekładać; Witwickiego, odcinającego się klasykom dosadnie w artykule „O reputacyi autorów za ich życia“ (w Gazecie Polskiej, również „romantycznej“, r. 1828), nazwisk nie wymieniając, ale koteryjność piętnując i ten dziwny stan, że szczycił się kraj sławnymi autorami, rozróżnianymi wedle etykiet (polskim Rasynem i t. d. „w rodzaju osobliwszej maskarady“), lecz ani miernych dzieł nawet nie posiadał.

Najwyższy ich tryumf, to była bajka Dmochowskiego („Cielęta“ z rozbrykanym osłem) lub Franciszka Morawskiego („Kogutek i gąsięta“, zachwycone „lubą niepewnością, czy się sam rozumie“), ale Dmochowski i w klasyków epigramami godził, a Morawski w upragnionych długo dwuch listach (Do klasyków i romantyków polskich, przypisanych sprawiedliwemu sędziemu, Niemcewiczowi, napisanych już r. 1825, wydanych r. 1829), choć geniuszkom, z infimy czy z pieluszek do grobów wzdychającym ostro przyciął, srożej z sennym „Parnasem się obszedł, gdyż na nim Feb, co się zaledwie raz na wiek przecucił, skarciwszy Osyana i Szekspira zbrodnie, chrapiącą klasycznością zarządzał swobodnie“, i zazdrościł tylko ich pewności, że nawet bez czytania potraficie sądzić. On godził zwaśnionych:

Jedno macie prawidło: bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj: polską śpiewać ziemię.

Uwagi nawet słuszne klasyków (łączyć trzeba, nie rozdwajać, nawet w literaturze) i trafne przeczucia ginęły na posadzkach salonowych;

Osiński np. przestrzegał: jeśli szczególniej dziś młodzież podziwia i sławi, czego my nie rozumiemy, czy ta ich mowa i poezya nie jest jakimś umówionym językiem, nam tylko niezrozumiałym? Niemcewicz tego rozgłaszać nie radził.

Z romantyków wyszli zawodowi krytycy i estetycy: **Michał Grabowski,** do trójki z Zaleskim i Goszczyńskim jeszcze w szkołach się dostrajający, chociaż „Francuzik“ najmniej z „Neronem humańskim“ sympatyzować mógł i, jako poeta w „Melodyach Ukraińskich“, powodzenia nie miał; chłodny i rozważny, „przeciwny grozom, radzący rzeczy wziąć na rozum“ i dlatego z konspiratorami na czas zrywający, wystąpił pierwszy poważniej w „Myślach o literaturze polskiej“ (Dziennik Warszawski, 1828); skonstatował, że piszą się arcydzieła (Grażyna i Marya), lecz krytyka milczy dyskretnie; rozprowadzał ideę pani Sand, że literatura jest wyrazem społeczeństwa, dlatego pod każdem niebem i w różnych czasach jest inną; określał poezyę wedle syntezy niemieckiej; znosił podziały jej sztuczne.

Przed Grabowskim występował **Maurycy Mochnacki,** filozoficznie wykształcony, na razie nieco górnolotnymi ogólnikami sypiący, nim (roku 1830) wydał dziełko „O literaturze polskiej w wieku XIX“. Żądał, aby naród w literaturze i w umiejętności „do uznania samych siebie w naszem jestestwie“ dochodził, czego tylko refleksyą dopnie. Kreślił pochód w naturze, od materyi aż do jej pojęcia i stosował to do narodu; nam brak idej, zaskorupieliśmy w empiryzmie; z odrętwienia budzi nas walka romantyków, tak wszędzie głośna, że nawet autor pisemka o nadużywaniu merkuryuszu w przedmowie o pogoń za oryginalnością zagorzalców romantycznych gromi. Omawia nasze tytuły do literatury narodowej, „Maryę“, „Grażynę“, „Dziady“; „Konrada“ stawia niżej — nie wdając się w „głębokie i polityczne rozumienie“ jego, dla kompozycyi błędnej, dla jego sentymentalności — cóż za anarchronizm!— dla afektacyi Aldony; „Konrad“ to upiór miłosny z „Dziadów“; dąży ku ustaleniu literatury narodowej, nie romantycznej; Mickiewicza na pierwszy plan wysuwa. Sądy jego i spostrzeżenia, mimo wszelkiego entuzyazmu, są trafne; wykład, mimo wpływu dziwackich poglądów Kamińskiego na „filozoficzność języka polskiego“, jasny i dobitny. Było to pierwsze, gruntowne, z wyższego stanowiska wychodzące ocenienie literatury narodowej.

Była to też po raz pierwszy literatura narodowa, a raczej płodne jej zadatki. Literatura dawna, płód kultury europejskiej i najwymowniejsze jej świadectwo, dążyła za Zachodem, razem z nim wzory, formy, myśli ze starożytności czerpała: zależność główną od augustowskich poetów łagodziły wpływy baroku włoskiego i regularności klasycznej francuskiej. Nawet ci, co najwięcej rodzimej treści w obce formy wlewali, Potocki i Kochowski, zawisłości od obcych się nie zapierali, nią się niemal szczycili. I pozostało w całej sile dawne świadectwo, swoich i obcych, Kromera, Nideckiego czy Ruggiera, że Polacy chętniej za gotowym wzorem idą, lenią się do torowania dróg własnych, raczej naśladują, niż tworzą.

Klasykom warszawskim, pomimo ciągłego ich szermowania „narodowością", wystarczała zewnętrzna szata, pozór narodowości, i duch obywatelski, ożywiający treść i formy pożyczone. Teraz dopiero zaczęto wyrażać znamiona i cechy odrębne, słowiańskie i polskie. Nie obeszło się bez myłek i przesady: „narodowe" pomieszano z „ludowem", chociaż i u ludu bywają takie same obce, napływowe motywy, jak w piśmiennictwie; ballady, czerpiące z „powieści gminnych", przez to narodowemi się nie stawały; romantycy sami uznali, że nie odpowiadają ballady smakowi narodowemu. Również nic narodowego nie wnosił oryentalizm, pomimo zasługi niewątpliwej, rozszerzania horyzontów poetyckich; nietylko oryentalizm z Arabami i minaretami, nawet motywy kozackie „narodowymi" nie bywały. Dramat fantastyczny, choćby i w obrzędy „Dziadów" się stroił, był również naśladowniczym.

Obok tych naleciałości obcych zrzucał jednak romantyzm zużyte formy, szukał i próbował dróg nowych, rozszerzał treść, a zbogacał formy, językowi straconą już niemal wyrazistość, świeżość i oryginalność przywracał, domagał się praw indywidualizmu, burzył przeciw kosmopolityzmowi, w imię fantazyi i uczucia powstawał na prerogatywy martwej prawdy i zimnej refleksyi, rozsądkiem przezywanej; zrywał wszystkie baryery i sztuczne podziały; wypowiadał wojnę w poezyi jej brakom; pomiatał poezyą opisową i dydaktyczną, sielanką i anakreontykiem; szukał zamiast retoryki prawdy; domagał się wierności czasom i miejscom, historyczności i malowniczości.

I nie sprzeciwiał mu się klasycyzm na seryo; walka nie przybrała ostrego charakteru; klasycy zwinęli chorągiewkę i ustąpili z placu; nie podtrzymali nawet należycie swego Cuviera - Śniadeckiego i walki literackie traciły na gruncie polskim obcą zaciętość; w Rosyi ruchawka romantyczna zwyciężyła jeszcze łatwiej.

Burzenie uczucia i fantazyi przeciw rozumowi, entuzyazmowanie młodzieży, egzaltacya jej nie ograniczały się estetycznymi, literackimi, szrankami. Czasy były osobliwsze, rozgorączkowane: na Zachodzie udawały się rewolucye, grecka, lipcowa w Paryżu, belgijska; na półwyspach i w Niemczech roiło się od spiskowców i „węglarzy"; dekabryści w Rosyi się zaawanturowali; powietrze przesiąkało elektrycznością, burza musiała się wyładować. Stan umysłów, napięty, niespokojny, podniecała literatura romantyczna, apoteoza wszelkich zakusów buntowniczych w imię praw jednostki czy ludu; najwybitniejsi przedstawiciele romantyzmu w Warszawie, Goszczyński, Mochnacki, Zaleski, byli i najzagorzalszymi spiskowcami: gdy Zaleski, niedawno sam fanatyk wierszów, ze Słowackim się spotkał, już go raziło, że „Juliusz żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach — my starsi śniliśmy już o czem innem". Stąd wycieczki młodzieży romantycznej przeciw Brodzińskiemu, z czego się Mickiewicz później tak szczerze spowiadał. „Chciałby on widzieć Polskę, cichą, spokojną, oddaną rolnictwu; odczarowany, strwożony, znękany widokiem ostatniego losu Napoleona wyrzeka przeciw entuzyazmowi, potępia egzaltacyą, sam nie wiedząc o tem, że przez to szkodzi sprawie narodowej... stał się przedmiotem pocisków młodzieży, wymierzonych czasem niesprawiedliwie, zawsze jednak z przeczucia, że w jego dziełach brał górę pierwiastek niebezpieczny". Jak bladą wydawała się tej młodzieży rozegzaltowanej jego i klasyków zasada: wzrastać w moralne oświecenie i godność narodową, by innych, co nas wyprzedzili, doścignąć, by stać się ogniwem niezbędnem w łańcuchu społecznem, „to święte, spokojne, a razem najzbawieńsze powołanie nasze".

Tak zwyciężyła romantyczność na całej linii w literaturze i w polityce. Rewolucya literacka zmiotła Osińskich i Koźmianów; polityczna pochłonęła naród i instytucye, autonomię i szkoły, Towarzystwa i biblioteki, majątki i wojsko, klasztory i kościoły, a zrobiło ją pięciu studentów, czterech podchorążych, trzech poetów i trzech oficerów — co potem, sam Bóg wie — krajowi kopią

grób; tak pisał jenerał Krasiński do syna. Z eskapadą początkową, zamiast ją zgnieść w zarodku czy zatuszować, zsolidaryzowało się w końcu całe społeczeństwo, aż do Czartoryskich, generałów, sejmu; wybuchła nierówna walka i nie podtrzymywana z nikąd, prócz przez Węgrów, którzy 30,000 huzarów — obiecali gębą, musiała skończyć, jak skończyła, mimo brawury młodego wojska, zdolności Prądzyńskiego, poświęcenia Sowińskiego i tylu innych.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

LITERATURA NA WYCHODŹTWIE.

ADAM MICKIEWICZ.

Emigracya. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego. Dziadów część trzecia. Pan Tadeusz. Towiański i Towiańszczyzna. Znaczenie Mickiewicza. Otoczenie jego: Garczyński. Zaleski. Goszczyński, Witwicki i inni.

Wychodźtwo roku 1831 jest jedynem w swoim rodzaju widowiskiem dziejowem. Jako żywy protest przeciw dokonanemu faktowi, wojsko zwyciężone broni nie składa, lecz wyrusza za granicę, a z niem Rząd i Sejm, inteligencya i duchowni, literaci i uczeni, obywatele i urzędnicy, biali i klubiści. Wraca wojsko, szeregowcy; nie wraca inteligencya, oficerowie i studenci, ludzie skompromitowani politycznie i nie znani zupełnie; kwiat narodu, do dziesięciu tysięcy, przekracza w tryumfującym pochodzie Niemcy, witany wszędzie z gorącym zapałem, i dąży do Francyi, która teraz dopiero spłaca długi, dawno zaciągnięte. Emigracya, przeważnie młodzież, nie liczy wcale na dłuższy pobyt za granicą: ptaki to wędrowne, co wrócą na wiosnę, przy ogólnym, niechybnym przewrocie, przy bliskiej walce połączonych ludów o niepodległość i swobodę; złudzeni tem oczekiwaniem nie nawiązują stosunków nowych, nie przysposabiają się do nowego życia i odmiennych warunków.

W Paryżu, a potem po „zakładach“ (dépot) na prowincyi, żyją więc, marząc o powołaniu sejmu do przerwanej reprezentacyi i akcyi, o utrzymywaniu kadr wojskowych, o przyciąganiu i musztrowaniu nowych zastępów, nowych legionów. Wybuchają między nimi spory, kłótnie, zawiści, partyjne i osobiste, jakie ich już w Warszawie dzieliły; od Honoratki i Dziurki przenoszą się do Taranu, do Towarzystw, Ogółów, Związków niesnaski i walki; tworzą się partye białych i czerwonych, arystokratów i demokratów, Polaków i Litwinów, wojskowych i cywilnych, z narzucającymi się na przewodników Gurowskimi, Krępowieckimi, Grzymałami. Trawiąca bezczynność, nędza albo kłopoty materyalne rozgoryczają walki rozmaitych chorążych bez szeregowców: coraz się wzmaga żal za utraconem, winę niepowodzenia składa jeden na drugiego, mnożą się insynuacye o zdradę, niedołęstwo, brak odwagi; to znowu podaje każdy niechybne środki ozdrowienia, postępowania nadal, pozyskania gabinetów czy ludów; ten liczy na akcyę mocarstw zachodnich i gwarantów traktatu wiedeńskiego, ów na węglarzów i masonów; ten na szlachtę, ów na lud, — i wzbiera istna powódź mniemań, spierających się coraz goręcej, ustnie w nieskończonych debatach, na piśmie w niezliczonych świstkach, drukach, gazetkach: istna wieża Babel, gdzie każdy tylko siebie słyszy, gdzie niebawem „zdań tyle, ile nóg — dzięki Bogu, że tylko po dwie mają“, aż z polityko, — adreso —, programomanii, aż z tych „niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów — utraciwszy rozum w mękach długich, plwają na siebie i żrą jedni drugich“.

Męki miały się strasznie przedłużać. Rozchwiały się ułudy i marzenia; pokazało się, że ani na chwalby i pogróżki śmiesznie nadętych Madjarów, tumaniących świat i siebie, ani na porywy niemieckie, ani — co najważniejsza — na interwencyę Francyi i Anglii liczyć nie sposób; że z każdym dniem nadzieja nowych walk, czynnego w nich udziału, uchodzi. Wysilano się daremnie na dziwaczne kombinacye, sabaudzkie, niemieckie i in.; podejmowano najfatalniejsze próby i w kraju samym, kończące się coraz groźniejszemi represaliami: tylko w Belgii, Portugalii, Afryce walczyć nie chciano, w obawie zapóźnienia się na nowy sygnał do boju za ojczyznę, chociaż z każdym rokiem wyjawiało się coraz bardziej, że sygnału już nie będzie.

Na taką odmianę, najnaturalniejszą, właśnie emigracya, najmniej przygotowana, bardzo powoli zaczęła się oswajać z trapiącą,

jak zmora, myślą, że wychodźtwo czasowe utrwali się, że należy pożegnać się z nadzieją zobaczenia swoich, wrócenia do kraju i obowiązków, że wykolejeni i wypchnięci, śród obcych, nie znając nawet ich języka, muszą się chwycić niewdzięcznej pracy; próby dalszego wychodźtwa, do Stanów Zjednoczonych, odstraszały albo zawodziły.

Wobec tych stosunków należy tylko podziwiać hart moralny wychodźców; jeżeli kogo gorszyli, to tylko siebie samych swoimi swarami, a i o tych zapominali na widok nędzy bratniej i dzielili się ostatkami; jeżeli targnęli się na czyje życie, to tylko na własne; nawet ci, którzy byliby się chętnie pozbyli „nieproszonych gości“, najpiękniejsze im wystawiają świadectwo; wysoko trzymali oni sztandar, nie splamili go nigdy i niczem; najcięższe ich przewinienia, to własne ich złudzenia, hart ich i nieugiętość spartańska.

Złudzenia te podzielał i kraj. Sam fakt istnienia emigracyi i ciągłych jej manifestacyi, adresów do izb angielskich i francuskich, debat, artykułów, audyencyi, kombinacyi, drażnił i denerwował; przy głuchem milczeniu, jakie w kraju panowało, zdawała się emigracya, nie uprawniona przez nikogo, jedyną właściwą jego reprezentacyą; ona uzurpowała przewodniczenie narodowi; w jej obozie, t. j. w jej klubach i fakcyach, była Polska; ona decydowała o przyszłym ustroju, wybierała króla czy władze republikańskie, uwłaszczała chłopów i kasowała przywileje. Fatalniejszym, niż to potrząsanie autorytetem, niezachwianym, choć utopijnym, niż to zakłócanie układającego się powoli porządku coraz nowymi spiskami i wybuchami, był sam fakt emigracyi, t. j. opuszczenie kraju przez jego inteligencyę, kwiat jego talentów i młodzieży; zubożenie jego przerażające, w chwili, gdy najwięcej sił i zasobów umysłowych potrzebował; strasznej klęski materyalnej po roku 1831 dopełniła klęska moralna i intelektualna; co zdolniejsze, niezawiślejsze, goretsze, opuściło kraj i zjadaczy chleba.

Na emigracyi znalazło się wszystko, co dotąd w kraju rej wodziło: uczeni, przeważnie historycy: Lelewel, Sienkiewicz, Szyrma, Hofman; krytycy, Mochnacki, co się natychmiast do publicystyki emigracyjnej rzucił; literaci, belwederczyk Goszczyński, żołnierze: Zaleski, Pol, Garczyński, Gaszyński, Czajkowski; senatorowie i posłowie: Niemojowski, Ostrowscy i inni; na czele kolumny sędziwy Niemcewicz, nieprzejednany; książę Adam Czartoryski, skazany z Lelewelem na śmierć, a potępiany równocześnie przez emigran-

tów samych, choć czynny wśród nich i zasłużony; „hrabiowie“, których Lelewel tak nienawidził, Zamojscy, Sapiehowie i inni. Z emigracyą łączyli się i ci, którzy w niczem udziału nie brali, ani w spiskach, wojnach czy rządach: Mickiewicz, Słowacki, Szopen, Witwicki, Jański i tylu innych; Brodzińskiemu tylko śmierć przeszkodziła; łączyli się i najprzeciwniejsi jej robotom, Zygmunt Krasiński i in.; obok swoich stawali i obcy, synowie najzaciętszych „Polenfresserów“, np. Reitzenheim. Sama ta nadzwyczajna siła przyciągająca, czysto moralna, dodawała tej emigracyi uroku niemal magicznego— a potęgowały go dzieła literackie, coraz liczniejsze i wznioślejsze, odbijające coraz jaskrawiej od apatyi i prostracyi, panującej w kraju. I wzniosła się literatura emigracyjna na wyżyny, dotąd niedostępne; poza krajem, na obczyźnie, jedynym w dziejach umysłowych ludzkości przykładem, stworzyła ona literaturę prawdziwie narodową, arcydzieła świata, nietylko polskiego i nie tylko słowiańskiego.

Same stosunki nałożyły tej literaturze cechę patryotyczną. Jeżeli emigracya łudziła się, że nada czy narzuci ruchowi narodowemu kierunek i przywódzców, że zdecyduje o przyszłości narodowej, nie łudziła się jej literatura w najznakomitszych przedstawicielach co do swej roli i zadania. Podtrzymywać i wzmacniać ducha w upadłych i zwątpiałych, lać balsam w ich rany, wskazywać ideały, dać odpowiedź na dręczące pytania, objaśnić znaczenie wszystkiego, co zaszło, wyłożyć tajemnicę przyszłości i przeznaczeń— to stało się jej celem i dążeniem. W nowych tych zapasach, gdy się walka orężna skończyła, przewodniczył ten, którego już dawniej za wodza uznano. O budzenie uczuć estetycznych, o sztukę dla sztuki, nie szło; tracił wpływ, jak Zaleski, lub nie zdobywał rozgłosu i znaczenia, jak Słowacki, kto igrzyska tylko poetyckie zawodził; poeta - sztukmistrz przemieniał się w wieszcza - proroka; czemu nie podołali wodzowie, dyplomaci, rząd pięciogłowy, sejm o nowych litewskich i ruskich posłach, to brali na siebie poeci. Stąd rola i znaczenie tej poezyi, dominujące, wszechwładne; zwraca się ona nie do sytych i ospałych, aby drażnić i łechtać ich zmysły, lecz w poście i umartwieniu, w tytanicznych zapasach z niebem samem, wydziera mu tajemnice, tłumaczy je, a dufna w potęgę słów wykreśla tory przyszłości.

I budzi się w niej inna cecha, przygłuszona dawniej zupełnie: religijna, i potęguje się aż do zachwytów mistycyzmu. Jak Konrad, mogła i emigracya o sobie powiedzieć: „dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara“; ale, jak w wielkich nieszczęściach mimowoli, szukając pociechy czy nadziei, zwracamy się do Boga, tak i z katastrofy narodowej wyłoniła się w emigracyi samej nowa wiara, wychodzili z niej byli sęsymoniści i farmazoni apostołami, ów Bohdan Jański, ów poeta Celiński, obchodzący zakłady, wzywający do pokuty i poprawy, głoszący między poróżnionymi hasła miłości i pojednania; z łona emigracyi wyszedł nowy zakon, Zmartwychwstańców, a założyciele jego, Semeneńko i wymowny Kajsiewicz, z niewierzących i libertynów wyszli.

Podobnemu przejściu uległ i Mickiewicz. Zagranicą zwiedził on Berlin, gdzie go mędrkowania Hegla odstraszały, Wejmar, gdzie chłód panteistyczno-filozoficzny Getego ostudzał; osiadł w Rzymie, zajęty rozległemi studyami, historycznemi i estetycznemi, nad pisarzami starożytnymi, nad Winkelmanem i Niebuhrem. W Rzymie ludzie tracą lub zyskują wiarę na zawsze; jak Krasiński i Gogol, tak Mickiewicz odnalazł tu swą wiarę. Głębokie jej podkłady przeczuwała dawno instynktem natura pokrewna malarza petersburskiego Oleszkiewicza, odgadującego w poecie naczynie łaski wybrane, przez które na innych spływać miała; przenikały one od dawna spokój „kryjący burzliwą duszę i dumę obojętną, pozłacającą obłokiem wnętrzne pioruny“; do tego przyczyniały się teraz stosunki z księdzem (ekszołnierzem) Stanisławem Chołoniewskim, żarliwym katolikiem, głęboko ukształconym, ascetą - filozofem na gruncie staroszlacheckim, tradycyjnym; z domem Ankwiczów, gdzie pobożność panny i p. Łempickiej nie bez wpływu pozostała; lektura wreszcie, od Dantego do księdza - reformatora, idealisty Lamennais'go. Coraz nowe wrażenia, artystyczne i towarzyskie, krajobrazy i ludzie, zapadały w umyśle, nastręczały porównania, np. posągu Marka Aurela a Piotra Wielkiego, lecz nie budziły narazie twórczości, która tylko w małych lirycznych arcydziełach, o wewnętrznych przejściach świadczyła.

To skupianie się, wchłanianie barw i rysów spokojne, przerwała nagle i na zawsze wieść listopadowa. Ani na chwilę nie łudził się poeta, który świeżo poznał i nieskończone zasoby i konsekwentną politykę państwa i prawdziwe usposobienia ludzi; potężną fantazyę wyładowywał Litwin w poezyi, w życiu fantastą nie był; realista w polityce, nie łudził się np. parlamentaryzmem i wartością jego debat, jak wszyscy inni u nas; co w Paryżu widział, nim do

granic kraju dojeżdżał, przygnębiło go do reszty. Gdy dojechał, wojna już dogorywała, i z Poznańskiego, gdzie pozawiązywał nowe stosunki, gdzie poznał i „pruskich“ Polaków w rodzaju pana Buchmana i życie tradycyjne, podobne litewskiemu, ruszył z pierwszymi emigrantami do Drezna; tu przebywał od marca do czerwca r. 1832 i wpadł w ten „ferwor poetycki“, w jakim od czasu pisania „Dziadów“ (kowieńskich) nie był. W kościele, podczas modlitwy, uczuł, „jakby się nad nim bania z poezyą rozbiła... stałem się Schreibmaschine i przez całe te kilka tygodni pióra z ręki nie wypuszczam“; 20 maja nowe „Dziady“ wraz z „Ustępem“ były już ukończone.

Z Drezna przenosił się poeta do Paryża, aby je drukować; przed niemi jeszcze wypuścił w świat „broszurę w stylu biblijnym“, „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego“, przetłumaczone na wiele języków, nawet na hebrajski i litewski; na francuski przez hrabiego Montalamberta, ucznia Lamennais'go — Lamennais sam naśladował je w *Paroles d'un croyant,* potępionych, jak i sam wzór, przez papieża; niemiecki przekład dedykował Mickiewicz narodowi niemieckiemu w oznakę szacunku i wdzięczności za braterskie przyjęcie nieszczęśliwych pielgrzymów.

Redakcya „Pielgrzyma polskiego“ (w numerze z 7 grudnia r. 1832) wypowiedziała o „Księgach“ swe zdanie, „że równego użytku książki dotąd literatura polska nie ma“. Była to szczera prawda. Już w Dreznie obijały się o uszy poety spory i waśni; w Paryżu, wpadłszy w sam wir żalów, kwasów i wyrzutów, napisał te książki, bezimiennie, i rozeszła się „Ewangelia Mickiewicza“, jak ją nazywano, w tysiącach egzemplarzów, rozsyłana bezpłatnie między wiarusów. I jeżeli były słowa w świecie, które w bezprzykładnem nieszczęściu, po zawodzie wszelkich nadziei, zwątpiałych, nędzarzów, wyrzuconych na obcy bruk, szarpanych wzajemną niezgodą, podnosić i pocieszać, krzepić i uzdrawiać mogły, musiały one być takie, jakich Mickiewicz użył; że słowa te plonu nie wydały, nie jego wina, lecz ludzi i stosunków.

Większego ukojenia, więcej balsamu gojącego, żaden poeta narodowi swemu podać nie umiał; co my w nich dziś znachodzimy przesady, patetyczności, nawet chełpliwości narodowej, a poniżania zasług czy znaczenia obcych — w chwili paroksyzmu bólu i szału niezbędne było, jeżeli działać miało. Lecz i dziś jeszcze, gdy proroctwa chybiły, losy świata innym potoczyły się torem, — i dziś jeszcze książka to odświeżająca, czysta, jak modlitwa i westchnienie.

Składają się na nią dwa nierówne działy, jeden, w stylu biblijnych ksiąg rodzaju, kreśli drogę rozwoju ludzkości, dążącej do swobody, zwichniętą służbą bałwochwalczą mamonowi i polityce, gdy wyparto się poświęcenia i braterstwa; w tem zaprzaniu się Polska udziału nie brała, w imię tych zasad ją podzielono. Na pytanie, dlaczego to wszystko, różne były odpowiedzi; Woronicz na własne winy składał; po roku 1831 dla rekryminacyi miejsca nie było. I odpowiadali Brodziński, Mickiewicz, Krasiński niemal w jednym duchu, temiż niemal słowami, mieszając politykę i moralność, porządki boskie i ziemskie, nie pomni błędów naszych, widząc tylko cierpienia niezasłużone, równowagę moralną zakłóconą, pewni, że przywróconą być musi; wspominali mimowoli o innej ofierze, o innych cierpieniach, niezasłużonych, niezbędnych w ekonomice boskiej, i porównywali jedne z drugiemi i podobnych się skutków domyślali i tryumfująco, w co uwierzyli, głosili.

Stawała się więc Polska nową ofiarą krzyżową i niosła między narody ewangelię polityki chrześcijańskiej i wysuwała swe czyny poświęcenia dla innych, pod Warną, gdzie ją Węgrowie niecnie zdradzili, pod Wiedniem, za co jej Niemcy czarną niewdzięcznością odpłacili; swe rozszerzania, nie mieczem, lecz unią, przymierzami, nie na papierze i woskiem, lecz krwią grunwaldzką opieczętowanemi. Druga obszerniejsza część odnosiła się wyłącznie do pielgrzymstwa, uczyła je postępowania, miłości, wyrozumiałości jednego dla drugich; i gdy pierwsza stylem Starego testamentu, narabiała ta porównaniami, parabolami Nowego; przypowieści poety należą do najpiękniejszych, najgłębszych, jakie kiedykolwiek stworzono, tchnące mądrością wieków, powagą i spokojem mędrca wschodniego; właśnie ta część uroku swego do dziś nie straciła, gdy pierwsza dowolnością wykładu historyozoficznego, szermująca nawet przedrzeźnianiem imion i ich znaczenia, aż do Ancillona i Casimira Perier, na wrażeniu traci.

W kilka tygodni po owej książeczce bezimiennej wyszły: „Dziady, poema (część trzecia)“, pierwszy akt trzyaktowej całości; do dalszych części, mimo podjazdowej pracy autorskiej nad niemi, już nie przyszło. Autor miał na myśli całość dziejów porozbiorowych i ich katastrofy; zaczynał od własnych, wileńskich, i bohatera ich, siebie samego, Konrada, łączył z Gustawem Dziadów kowieńskich, których „część druga i czwarta“ w przetopionej całości część drugą stanowić miała; na pierwszą przypadałyby dzieje młodości

i miłości Gustawa i dziewicy. Z Dziadami kowieńskimi łączyła drezdeńskie mimo zmienionego kompletnie tła, przedmiotu i formy, mimo scen, tryskających realizmem, zaprawionych ironią i satyrą, o zacięciu pamfletowem niemal, tak obcych niepolitycznym, fantastycznym, egotycznym „Dziadom“ dawniejszym, — nietylko główna osoba ich bohatera, lecz i sama ich podstawa: wiara we wpływ świata niewidzialnego, niemateryalnego na myśli i czyny ludzkie; tylko wobec mieszaniny tradycyi pogańskich i wierzeń chrześcijańskich, grubej nieco, chłopskiej, ludowej, tkanka świata nadprzyrodzonego teraz idealniejsza, lżejsza, ze snów i wizyi, mniej z widzialnych „materyalizacyi“ złożona. Wiara ta nie była więc świeżą naleciałością; wypowiadał ją poeta już przywłaszczając sobie dla „Ballad“ motto z Szekspira o widzeniu duchowem — tak usłyszała Mollisonowa krzyk syna przez najgrubsze mury; sam znał potęgę natchnienia, jak nikt inny, które nań schodziło, niezawiśle od jego woli — dlatego tworzył tak nierównomiernie; sam miewał widzenia, głosy prorocze, dziwnie się sprawdzające, wywierał wpływ magnetyczny — więc wiedział czy przeczuwał rzeczy, o których się „filozofom“ nie śniło. Z tą wiarą w światy nadziemskie łączyła się niezłamana wiara, górna, o sile myśli i czucia:

Człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza...
Ludzie, każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony;

o nią wsparty wyzywał Konrad i Stwórcę, sam czując za miliony, nie sobie, lecz im szczęścia pragnąc, burząc się przeciw Najwyższej mądrości:

Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną,
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną..,

żądał w jej imię władzy sercem nad duszami, aby stworzyć pieśń żywą, szczęśliwą. I gdy głuche milczenie wyzwanie to skarciło, posunął się Konrad aż do bluźnierstwa i upadł wysilony. Improwizacyą, o sile niewyczerpanej, niesłychanej, stanął Konrad tuż obok Hioba i Prometeusza starożytnych, obok Fausta i Kaina nowożytnych, chociaż różnił się od nich zasadniczo, gdyż nie badał zagadek istnienia, dla zaspokojenia dumy czy ciekawości, dla zmierzenia sił tytanicznych czy demonicznych z boskiemi, dla usunięcia

sprzeczności nierozwikłanych: tylko miłość wszechludzka, litość nad udręczonymi, uczucie dyktowały ten protest serca, nie rozumu, i wyniosły Konrada na wyżyny nadziemskie, postawiły go oko w oko z Twórcą.

Lecz od pychy demonicznej poeta sam odbieżał. Co niedostępne mędrkowi, otwiera się prostocie, upokorzonej, błagającej; nie dumny Konrad, z którym czarci igrają, lecz klecha pokorny, którego się czarci boją, ksiądz Piotr, dostępuje łaski, objawienia, schodzącego nań z wizyi; jej szczegółów apokaliptycznych później poeta sam tłumaczyć nie umiał albo nie chciał: „on ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę“, niby Towiański później; „z matki obcej, krew jego dawne bohatery, a imię jego czterdzieści i cztery“ — niby Adam Mickiewicz sam, jakby wizya podobna ze ścisłością matematyczną zgadzać się mogła; i tu występowała Polska, jak w „Księgach narodu i pielgrzymstwa“. Od fantastycznego dramatu, odgrywającego się między duchami dobrymi a złymi, między aniołami a szatanami, skreślonymi z dosadnością misteryów średniowiecznych; od snów błogich, spokojnych, niewinnych, do łechceń i udręczeń spodlonego sumienia, katowanego biczami wyobraźni, odbijały szerokie, epiczne opowiadania niesłychanej dotąd dobitności, wyrazistości, nasiąknięte krwią i łzami. W samych kontrastach toczyły się luźne całkiem sceny więzienne, balowe, śledcze; jeszcze silniej odskakiwali ludzie, od klasyków warszawskich i spiskowców rosyjskich począwszy; nad wszystkie wyłaniała się imponująca, prosta, niewzruszona, w ufności boskiej nieugięta postać księdza Piotra, wizyonera i proroka, coś z Marka, coś ze Skargi. Rym i rytmy, ton i słowa, zmieniały się ciągle, od bezwstydnej piosenki, od dwuznaczników, pamfletów i wyzwisk aż do marzeń, z kwiatów i dźwięków czystych utkanych, aż do modlitwy kornej, przypowieści groźnej, wizyi szczytnej.

I bladła dotychczasowa poezya polska wobec tych hymnów, szałów, szyderstw i próśb: „jakiemi słowy odmalować złotą nić, która przechodzi przez środek tych różnych zdarzeń i uczuć — na klęczkach czytałem drukowane i niedrukowane części poematu“, pisał Bohdan Zaleski; „jest to śliczne dzieło, szczytne, słowem wyższe nad wszystkie pochwały“, pisał stary klasyk, Niemcewicz. O samych zdarzeniach, które za tło posłużyły, należy pamiętać, że widział je i opisywał poeta przez pryzmat roku 1831.

Obok wybuchów najwyższego liryzmu cechowały „Dziady“ opisy mistrzowskie; próby ich składał poeta już dawniej, po fragmentach; kunsztu dowodził „Ustęp“, dodany do „Dziadów“, kalejdoskop obrazów i wrażeń z podróży do stolicy i pobytu w niej. Była to opisowość, jak u klasyków; lecz w nich były rymy, tu poezya; co wrażliwe oko widziało, wypowiadały wiersze nabrzmiałe uczuciem, coraz innem; przeważała nuta satyryczna; najgorsze cięgi spadały na Francuzów i Niemców. Wrażenie „Ustępu“ przejmowało i Rosyan; zachwycał się jego malowniczością i Aleksander Hercen, szczególniej opisem lasu, śniegów i burzy.

U Puszkina przeważyła narazie urażona duma narodowa: ów wiersz o Mickiewiczu, zaczęty tak godnie, w takim wysokim nastroju, kończył wycieczką przeciw gościowi-wrogowi, opiewającemu nienawiść w swych wierszach, aby dzikiej tłuszczy dogodził: z daleka dochodzi nas głos znajomy rozeźlonego poety; tu potknął się Puszkin i usprawiedliwił słowa poety w wierszu do przyjaciół; w godniejszy sposób podjął on rękawicę — choć nie przyjaciół swych wyzywał poeta — w powieści o jeźdzcu miedzianym, którą, gdyby kto alegorycznie chciał wytłumaczyć, Posąg Piotra i Mickiewicza i powódź — ale nie roku 1824, lecz 1831 — mógłby w niej odnaleźć: znakomitsze dzieła sztuki nadają się i dla alegorycznych popisów, chociażby celu tego wcale nie miały.

Po tej wyczerpującej pracy, od tych wybuchów goryczy i żalu, gdy swary emigracyjne coraz przykrzej dokuczały, poeta „drzwi od Europy zamykał hałasów i dumał, marzył o swojej krainie“ z lat dziecinnych, szczęśliwej, ubogiej i ciasnej, gdzie wszystko do nas należało, gdzie każdy kącik ziemi był znajomy. I przyjaciele (Witwicki, Zaleski, Domejko) pomogli rozmowie, i do pieśni rzucali mu słowo po słowie: jak żórawie nad zaklętym pałacem przelatując wiosną, każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił, on zrobił skrzydła i do swoich wrócił. Odnawianie to pamiątek tradycyjnych, zaczęło się w Rzymie, gdzie facecyonista Rzewuski — a i syn mieczника koronnego, Chołoniewski, tradycye znał i cenił — barwnemi opowiadaniami odświeżał ów świat staroszlachecki. W Paryżu wzmógł się, mocą naturalnej reakcyi, gdy powrót był zamknięty, a ostatnie resztki tego świata się zawalały, ten zwrot ku niedalekiej — a tak dalekiej i niepowrotnej przeszłości. Tak powstał „Pan Tadeusz“.

Ach! czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy, tylą łez brzmienne?

pytał poeta. Sam tego cudu dokonał i stworzył te „Księgi narodu polskiego“, wolne od wszelkiej przesady i przywary, nieśmiertelne, szczyt poezyi epicznej i opisowej, nie u Polaków, nie u Słowian tylko.

Praca nad niemi postępowała nadzwyczaj raźnie, mimo wielu fatalnych przeszkód, podróży i pielęgnowania śmiertelnie chorego przyjaciela (Garczyńskiego), mimo prac literackich (przekład „Giaura“, dawno zaczęty, teraz dokończony) i publicystycznych, mimo rozmaitych zgryzot i kłopotów. Już 8 grudnia 1832 roku „ukropił tysiąc wierszów z poematu szlacheckiego w rodzaju Herman i Dorotea“; swoje „poema wiejskie“ bardzo lubił, było jego pieszczonem dzieckiem; gdy pisał je, zdawało mu się, że w Litwie siedzi, żyje w lasach, karczmach, ze szlachtą, Żydami; w maju roku 1833 czwartą księgę ukończył, potem nastąpił ów wyjazd z Paryża i poeta, „nie tylko pisać ale i myśleć odwykł“; dopiero we wrześniu zabrał się ponownie do „Szlachcica“ i w lutym roku 1834 go ukończył, „pieśni ogromnych dwanaście (dziesięćtysięcy wierszów), wiele marności, wiele też dobrego — co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone naszego kraju i naszych obyczajów... ledwiem skończył, bo mnie już duch porywał gdzie indziej... możebym go był zaniechał, ale był już blizki końca“.

Tak małą wagę przypisywał autor na razie swemu dziełu; oskarżał się nawet, że należało „podnieść nastrój o jakie półtonu, poprawię się, da Bóg w innej powieści, bodaj w synu „Pana Tadeusza“, a najprawdopodobniej w dalszych częściach „Dziadów“. I na innych wrażenie nie odrazu wywarł poemat imponujące. Lekceważył go zrazu Krasiński, pisał o nim w grudniu 1834 roku: jest epopeą drobnej szlachty naszej, jest wiecznym jak „Don Quichote“, jak „Poliszynel we Włoszech“, przenosi o cztery głowy „Monachomachię“ (znawca ten, zresztą znakomity, ma nieraz sądy, jakieby ledwie Tańskiej - Hofmanowej uszły; tym razem musiał być strasznie roztargniony)—r. 1840 spotykamy jednak u niego całkiem coś innego, zdanie jedynie prawdziwe: odczytałem niedawno „Pana Tadeu-

sza", to epopea, znam trzy epopee wielkie; jedna z nich „Pan Tadeusz". Słowacki jeden z niewielu, choć i przeciw poecie (z powodu zaczepki ojczyma, doktora Bécu — w „Dziadach") i przeciw poematowi uprzedzony, od pierwszej chwili wartość dzieła słusznie ocenił. Innym praca zdawała się lekką, jak niegdyś w „Trenach" Kochanowskiego; znowu Krasiński radził Gaszyńskiemu: napisz co w rodzaju „Pana Tadeusza", np. uniwersytet warszawski ze wszystkiemi śmiesznościami swemi (jakby tu o „Porwanie wiadra" czy „Pulpit" chodziło!). Innych raziło, że poemat polski od inwokacyi Litwy-ojczyzny zaczynał; pytali, czy kto inny od powiatu czy miasteczka podobnej rzeczy nie zacznie. Tymczasem próby podobnych rzeczy nie udawały się nigdy, np. „Dworzec mego dziadka", Franciszka Morawskiego, napisany w Wielkopolsce, dokąd generał i minister wojny z Wołogdy powrócił, chociaż temat był bardzo wdzięczny; najwalniejszą część poematu stanowił szczegółowy opis dworca, rzecz niepoetyczna; do niego przypięta akcya bardzo tragiczna, fragmentarycznie raczej rozwinięta. Ostatnia z prób podobnych wyszła z pod pióra Ludwika Mizerskiego: „Lucyan Doręba", powieść poetyczna w dziesięciu pieśniach, osnuta na tle stosunków wielkopolskich (rok 1862 — 1865).

Pochód tryumfalny „Pana Tadeusza przekroczył tymczasem granice literatury polskiej. Posypały się tłumaczenia na wszystkie znaczniejsze języki, na niemiecki, aż trzy rozmaite, Spaziera, z roku 1836, chlubiącego się jakimś spółudziałem poety, o którem ten nic nie wiedział, Weissa z roku 1882, najlepszy, Lippinera, z roku 1884; r. 1891 przerobił nie najgorzej Rehbronn epopeę na dramat pięcioaktowy, „Junker Thaddaeus", zachowując, ile się dało, dosłownie przemowy osób; dalej na język francuski (Przeździeckiego i Gasztowta), włoski, hiszpański, angielski, oprócz słowiańskich (czeski pani Krasnohorskiej, rosyjski, „Gospodin Tadijo", chorwacki, Maretića); niektóre przekłady wydano tylko częściowo, małoruski, białoruski, Marcinkiewicza (Wilno, 1859; inny przekład przez A. J. we Lwowie, 1892, pierwsza księga:

Litwà, majà ajczyzna, ty zdarauju rouna,
Takwiela toj ciabiè acenić chto pażyuszy pouna,
Ciabie utraciu! Ciapier krasu twaju ja lepiaj znaju,
I apiszù, bo ciażka pa tabiè skuczaju i t. d.);

litewski ks. Baranowskiego nie wydany wcale.

W epopei tej wymyślone wszystko, i fabuła i osoby i miejscowości nawet: Soplicowa, zaścianku Dobrzyńskiego, mapy nie znają. W pieśni ożył kawałek czarnoruskiej ziemi, między Nowogródkiem a Mirem, życiem czarodziejskiem, wiecznem. Scena, wedle słów poety, dzieje się w Litwie około roku 1812, kiedy jeszcze żyły dawne podania i widać jeszcze było ostatki dawnego wiejskiego życia. Treść pierwszych ksiąg dziesięciu wyczerpuje się kilku dniami: zaczyna wieczorem lipcowym (ostatniego piątku, roku 1811), gdy Tadeusz po letnim kursie wileńskim do stryja do Soplicowa na ferye zawitał i Zosię spłoszył, nie spodziewającą się przybycia „kuzynka". Toczy się przez sobotę, gdy próbują przymiotów Kusego i Sokoła, o które się wczoraj u stołu spór pana rejenta Bolesty i asesora był rozpoczął; po śniadaniu grzybobranie; przy stole wiadomość o niedźwiedziu. W niedzielę łowy; ksiądz Robak celnym strzałem Tadeusza i Hrabiego ocala; uczta w zamku, spornym między Soplicami i Horeszkami; kłótnia wybucha, wywołana umyślnie przez klucznika Horeszków Gerwazego. Gerwazy namawia Hrabiego do zajazdu, którego w poniedziałek dokonują zapomocą szlachty zaściankowej, koty drącej z sędzią, jak to między sąsiadami. Zajazd udał się wyśmienicie; spustoszono piwnice, śpiżarnie, drób; zato we wtorek obudzono się arcy niemile, w dybach, nałożonych przez rotę jegrów majora Płuta i kapitana Rykowa, zjawiającą się w Soplicowie wraz z odsieczą szlachecką. Gdy żołnierzów spito, pogodziła się zwaśniona szlachta i na nich uderzyła; zwycięstwo opłaciła śmiercią księdza Robaka i umykaniem za Niemen, do wojsk Napoleońskich.

Dwie ostatnie księgi opisują majowy dzień roku 1812, Matki Boskiej Kwietnej, kalendarzom równie nieznanej, jak Soplicowo mapom, gdy Soplicowo wita generałów i wojsko polskie ucztą solenną, z zaręczynami Zosi i Tadeusza i par innych, z uwolnieniem włościan, ze staropolskiem „kochajmy się": „i ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem, a com widział i słyszał, w księgi umieściłem".

Życie dawne wiejskie, gospodarka i prawowanie się, przeplatane polowaniami, zabawami, zaręczynami, dostrojone do wyżyn roku 1812, roku komety,

Z którą wspomnienia wieszczów się splotły,
Z którą pieśń polska, jak sławne wina,
Fermentowanie swoje zaczyna.

O roku, który w samą wigiliją
Klęsk tęczowałeś barwami tylą
Nadziei wielkiej, złudnej niestety!

Już w pierwszej księdze „rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy“ właściwe znaczenie drobnych na pozór okoliczności odsłaniał; apoteozą roku urodzaju, wojny (i pożarów) zaczyna księga jedenasta, a kończy polonezem trzeciego maja i marszem Dąbrowskiego. I wyłonił się z ramek życia codziennego wielki obraz historyczny i powstał pierwszy wielki, na długie lata jedyny romans historyczny, chociaż autor tylko wiek męski, wiek klęski na swe dzieciństwo sielskie, anielskie wymieniać zamierzał, i niby od niechcenia tworzył, bawiąc się „niezmiernie pisaniem tych rzeczy“.

Romans ten historycznego znaczenia nie osiągnął przez osadzenie na granicie roku 1812, unikał przecież starannie wprowadzania osób historycznych; nie widzimy nie tylko Napoleona, królów i marszałków, ale nawet nie spotykamy się z księciem Poniatowskim, a choćby z młodym Dominikiem Radziwiłłem. Przepełniony on przecież samemi niehistorycznemi osobami: Jankielem, kwestarzem, wojskim, klucznikiem, rejentem, podkomorzym, znanymi nam lepiej z urzędu, niż z nazwiska; samymi niehistorycznymi faktami, procesem i zajazdem o stare zamczysko; powszedni on, jak te masy szlacheckie, Soplice, Mickiewicze, Zany, Czeczoty; wyróżniają się nieco podkomorzy - marszałek powagą obywatelską i wiekiem; hrabia majątkiem i imieniem wielkopaûskiem, ukształceniem, zdobytem za granicą, sentymentalnością; sędzia duchem szczeropolskim (Soplicowo jego to centr polszczyzny, w którym się z naleciałości i obczyzny obmyjesz), sąsiedzkim, humanitarnym (w obejściu z chłopami); ksiąd—Robak z poświęceniem bez granic, którem maże przewinienie wielkie, gorący, wypróbowany patryota, męczennik za sprawę, a potulny i cichy, dla ekspiacyi dawnego zawadyactwa, buty i pychy: właściwy bohater poematu, chociaż pokora jego na to nie zezwoliłaby nigdy, ustępujący miejsca na karcie tytułowej własnemu synowi.

Tadeusz to nie bohater w zwykłem znaczeniu słowa, utrzymany możliwie nizko, młody, krewki a niedoświadczony, zawikłany w romansik z nadstarzałą kokietką, z którego wyplątać się nie umie, rzucając się, jak ryba w matni—ale to krew lacka, chłopiec dzielny,

nie bystry wprawdzie, ochoczy i do szabli i do tańca; muśnięty nowym wiekiem, jeszcze w chłopomana się wyrodzi, na zgrozę Gerwazego. Figur tych ilość jakby nieskończona; każda żyje własnem życiem, rozprawia własnym językiem, gestykuluje po swojemu, nawet pije i bije się inaczej. A żadna nie wymyślona, wszystko znajomi, nawet cymbalista z żywego skopiowany wzoru, spotykanego w Petersburgu; i kapitan Ryków, dzielny, serdeczny, acz rubaszny i prosty, dosłużył się z szeregowca rangi generał - lejtnanta i odwiedzał poetę na prawdę, nim się do epopei dostał.

Jesteśmy w świecie staroszlacheckim, to znaczy, poruszamy się między samymi mężczyznami; w polowaniu, pieniactwie, pijatyce kobiety udziału nie biorą, zajęte gospodarstwem domowem, około nabiału i drobiu; zabawiają się ogródkiem, dziatwą wiejską, póki własnej nie mają, występują tylko dla gości, do stołu i na przechadzkę; co najwyżej romansują, a jeżeli z latami i piękność ma się ku schyłkowi, ubiegają się, by nie zestarzały się w panieństwie. Tylko Ewunia Horeszkówna jest inna, słaba, lękliwa, nie jak nasze szlachcianki silne i zdrowe; ale Zosia, ale Telimena (z sercem niezłem w gruncie, z kokieteryą niewczesną, energiczna, pani, nie żona rejenta) do przeciętnych się liczą. I niema kobiety - Polki, matki - obywatelki, w tym poemacie męskim, i brak Jackowi czy Robakowi paraleli, niewiasty silnej duchem, poczuciem obowiązków, wielkiej miłością, litością, trudami, Klaudyny Potockiej czy innej — nie nadawał się romans sam do takiej roli; Zosia serdeczna, anioł - kobieta, ale skromna, rządy nie do niej należą.

O wyidealizowaniu postaci niema mowy. Nie, jak być powinno, — jak było, rzecz swą poeta prowadził; widzimy na Radzie, jak się forytuje sprawa najbardziej osobista pod płaszczykiem *publici boni,* jak łatwo szlachta lgnie na ten lep; jakie duma i buta i nieszczerość (Stolnika) sprawiają spustoszenia; jak krótkowidzący są ci ludzie, co za optymizm i sangwinizm; jacy oni miękcy, jak opór ich kruszeje: Robak — jedyny wyjątek między nimi; Maciek góruje instynktem raczej, niż inteligencyą, chociaż radzić nie umie i półsłówkami czy kpinami wszystko zbywa,—wyrocznia sąsiedzka, nie wiadomo dokładnie, z jakiego tytułu, chyba że milczy, typ u nas częsty, po raz ostatni w „Sprawie Dołęgi“, acz w sferach innych, wystawiony. Jak ci ludzie, tak i całe ich otoczenie oddane wiernie, z życia zdjęte i na wieki utrwalone; wszystko, jak w kraju rolniczym, wedle trybu tradycyjnego, i na niebie i na ziemi zachowane-

go. Motywy domowe, aż do piosnek ludowych (o grzybach) i przypowieści szlacheckich (o Cybulskim, co żonę przegrał w maryasza); widoki sielskie, od archi - karczmy do stawów z ich rzegocącym na różne łady inwentarzem, z robotnikami w polu, z kwestarzem wjeżdżającym po staromodnemu, z domowstwem litewskim, nawet ze sernicą jego i muchami, szlacheckiemi i innemi, z niebem i lasami, z pogodą i burzą; nawet z Żydem, co zachował tradycyjne życie, lecz przejął się ideami patryotycznemi; z urzędnikami - szlachcicami, wychodzącymi z wyborów; z duchownym, raczącym braci szlachtę i tabaczką i wiadomościami politycznemi, nie wychowankiem alumnatów, lecz mnichem żebrzącym, z zakonu, co nie teologią słynął, ale się na miodzie i winie wybornie znał, ze szlachtą się rubaszył, a pod habitem z ogórkami złote serce ukrywał. Z jednolitym tym światem kontrastował chyba hrabia z żokejami, z płaszczem Almaviva i z awanturą z pod Birbanterocca, lub major Płut; świat pierwotny w swoim rodzaju, jak Homerowski, bez kultury wyrafinowanej, z głowami prostemi, sercami otwartemi, z czynem prędkim, nierozważnym; ludzie, jak dzieci, nie skryci, popędliwi, chwiejni; wierni, dzielni, gościnni; wrażliwi na honor i ojczyznę, do poświęceń gotowi, uosobione przymioty słowiańskie; żyją po staroświecku, patryarchalnie, kochają ziemię, mowę, obyczaj, żachają się przed obczyzną, chwalą Boga po dawnemu, szanują więzy rodzinne, ufni w bieg tradycyjny. Kilka lat tylko dzieli „Pana Tadeusza“ i „Eugeniusza Oniegina“: lecz co za szalone różnice! porównawcze ich studyum odsłoniłoby głębie, o których obu poetom ani się marzyło; zwróćmy tutaj uwagę choćby na jeden punkt: na brak absolutny w „Onieginie“ wszelkiej tradycyi, wszelkiego momentu historycznego, jakby ludzie jego żadnego wczoraj nie znali.

Historyczność, wczoraj, to najwybitniejsza cecha „Pana Tadeusza“ i podnosi go z rzędu sielanek *à la* Oniegin czy Herman i Dorota do Iliady i Odysei, po nad wszystkie epopeje nowożytne, romantyczne i klasyczne. Jak w „Iliadzie i Odysei“ świat heroiczny, zamierający, wskrzesał w fantazyi śpiewaka, tak odżył na wieki świat staroszlachecki w „Tadeuszu“. Nie darmoż użył poeta wyrazu „Ostatni“ zaraz na karcie tytułowej, chociaż zajazd soplicowski bynajmniej ostatni nie był i on sam w przypiskach o jakimś zajeździe z roku 1817 wspominał. Ten wyraz *ostatni* przewija się przez cały poemat; na każdym kroku odbieramy wrażenie, że patrzymy

na świat, odmienny od naszego, zamierający, kamieniejący, jak w baśni, ozłocony promieniami zachodzącego, dlań ostatniego słońca. I w tem oświeceniu każdy, najdrobniejszy szczegół, staje się znamiennym. Ostatni woźny trybunalski rozczulał i rozmarzał siebie samego wspomnieniami ostatnich głośnych procesów, a bawił czytelnika praktykami woźnego, pozwy i protesty z narażaniem własnego grzbietu wnoszącego; ostatni wojski celował w sztuce rogowej, w melodyach, jakich lasy litewskie nigdy więcej słyszeć nie miały; ostatni, co tak Poloneza wodzi, co tak się pasem okręcać umie; i cymbalisty, jak Jankiel, już niema; a któż jeszcze Scyzorykiem ciosy Mopanku wywinie? i ten serwis stołowy, i te tajemnice staropolskiej kuchni albo staropolskiego panegiryku, z tą szlachtą i jej sejmikowaniem, nazawsze się w przeszłość zasuwały. Dlatego tęskny ton przebija mimo pozornej żartobliwości, ton, który Słowackiego ucho poetyckie natychmiast uchwyciło, w którym nic „poliszynelowego“ nie było.

Nie tylko tęsknota za wspomnieniami dzieciństwa pierś poety rozpiera i rozsadza, ale i głębsza tęsknota za niebem i krajem, za powietrzem i ludźmi, za dźwiękami mowy, za ojczyzną jednem słowem, której ceny ten tylko się dowie, kto ją stracił. I wypiękniała i wyszlachetniała ona w całej swej ozdobie dla tej tęsknoty, od cichych grusz po zielonych miedzach, od pól wyzłacanych pszenicą, posrzebrzanych żytem, od ścian dworku, tem bielszych, że odbitych od ciemnej zieleni topoli, aż do opisu lasów odwiecznych, z matecznikiem, kryjówką niedźwiedzi, z puszczą, gdzie żubr brodacz sędziwy pierwszy raz w życiu, pękającego, niby piorun, granatu się uląkł.

I wyrastał w oczach poety i czytelnika eden ziemski, bez nadziei powrotu do niego, strzeżony błyszczącymi mieczami, jasny i słoneczny, niedostępny tułaczom - nędzarzom, a uczucie trawiącej tęsknoty, ciągle hamowanego, zatajonego żalu ożywiało każdy opis, tętniło w każdym wierszu.

Wzniósł się więc „Pan Tadeusz“ nad nowożytne epopeje, od samego ich Wirgiliuszowego prawzoru począwszy; nad owe „Eneidy“, „Jerozolimy“ i „Lujzjady“, co utykały na mieliznach wymuszenia, afektacyi i pozy; co rozbijały się o retoryczne ustępy i romantyczne ułudy i brak prawdy i wiary czy urozmaicenia samego; co wymęczone rozumem, wysilone fantazyą, nie stworzone sercem. Nie dbał poeta o żadne „przepisy“; w podwójnej inwokacyi i Ojczyznę i Pannę Najświętszą, nie muzy wezwał; o bohaterach i wal-

go. Motywy domowe, aż do piosnek ludowych (o grzybach) i przypowieści szlacheckich (o Cybulskim, co żonę przegrał w maryasza); widoki sielskie, od archi - karczmy do stawów z ich rzegocącym na różne łady inwentarzem, z robotnikami w polu, z kwestarzem wjeżdżającym po staromodnemu, z domowstwem litewskim, nawet ze sernicą jego i muchami, szlacheckiemi i innemi, z niebem i lasami, z pogodą i burzą; nawet z Żydem, co zachował tradycyjne życie, lecz przejął się ideami patryotycznemi; z urzędnikami - szlachcicami, wychodzącymi z wyborów; z duchownym, raczącym braci szlachtę i tabaczką i wiadomościami politycznemi, nie wychowankiem alumnatów, lecz mnichem żebrzącym, z zakonu, co nie teologią słynął, ale się na miodzie i winie wybornie znał, ze szlachtą się rubaszył, a pod habitem z ogórkami złote serce ukrywał. Z jednolitym tym światem kontrastował chyba hrabia z żokejami, z płaszczem Almaviva i z awanturą z pod Birbanterocca, lub major Płut; świat pierwotny w swoim rodzaju, jak Homerowski, bez kultury wyrafinowanej, z głowami prostemi, sercami otwartemi, z czynem prędkim, nierozważnym; ludzie, jak dzieci, nie skryci, popędliwi, chwiejni; wierni, dzielni, gościnni; wrażliwi na honor i ojczyznę, do poświęceń gotowi, uosobione przymioty słowiańskie; żyją po staroświecku, patryarchalnie, kochają ziemię, mowę, obyczaj, żachają się przed obczyzną, chwalą Boga po dawnemu, szanują więzy rodzinne, ufni w bieg tradycyjny. Kilka lat tylko dzieli „Pana Tadeusza“ i „Eugeniusza Oniegina“: lecz co za szalone różnice! porównawcze ich studyum odsłoniłoby głębie, o których obu poetom ani się marzyło; zwróćmy tutaj uwagę choćby na jeden punkt: na brak absolutny w „Onieginie“ wszelkiej tradycyi, wszelkiego momentu historycznego, jakby ludzie jego żadnego wczoraj nie znali.

Historyczność, wczoraj, to najwybitniejsza cecha „Pana Tadeusza“ i podnosi go z rzędu sielanek *à la* Oniegin czy Herman i Dorota do Iliady i Odysei, po nad wszystkie epopeje nowożytne, romantyczne i klasyczne. Jak w „Iliadzie i Odysei“ świat heroiczny, zamierający, wskrzesał w fantazyi śpiewaka, tak odżył na wieki świat staroszlachecki w „Tadeuszu“. Nie darmoż użył poeta wyrazu „Ostatni“ zaraz na karcie tytułowej, chociaż zajazd soplicowski bynajmniej ostatni nie był i on sam w przypiskach o jakimś zajeździe z roku 1817 wspominał. Ten wyraz *ostatni* przewija się przez cały poemat; na każdym kroku odbieramy wrażenie, że patrzymy

na świat, odmienny od naszego, zamierający, kamieniejący, jak w baśni, ozłocony promieniami zachodzącego, dlań ostatniego słońca. I w tem oświeceniu każdy, najdrobniejszy szczegół, staje się znamiennym. Ostatni woźny trybunalski rozczulał i rozmarzał siebie samego wspomnieniami ostatnich głośnych procesów, a bawił czytelnika praktykami woźnego, pozwy i protesty z narażaniem własnego grzbietu wnoszącego; ostatni wojski celował w sztuce rogowej, w melodyach, jakich lasy litewskie nigdy więcej słyszeć nie miały; ostatni, co tak Poloneza wodzi, co tak się pasem okręcać umie; i cymbalisty, jak Jankiel, już niema; a któż jeszcze Scyzorykiem ciosy Mopanku wywinie? i ten serwis stołowy, i te tajemnice staropolskiej kuchni albo staropolskiego panegiryku, z tą szlachtą i jej sejmikowaniem, nazawsze się w przeszłość zasuwały. Dlatego tęskny ton przebija mimo pozornej żartobliwości, ton, który Słowackiego ucho poetyckie natychmiast uchwyciło, w którym nic „poliszynelowego“ nie było.

Nie tylko tęsknota za wspomnieniami dzieciństwa pierś poety rozpiera i rozsadza, ale i głębsza tęsknota za niebem i krajem, za powietrzem i ludźmi, za dźwiękami mowy, za ojczyzną jednem słowem, której ceny ten tylko się dowie, kto ją stracił. I wypiękniała i wyszlachetniała ona w całej swej ozdobie dla tej tęsknoty, od cichych grusz po zielonych miedzach, od pól wyzłacanych pszenicą, posrzebrzanych żytem, od ścian dworku, tem bielszych, że odbitych od ciemnej zieleni topoli, aż do opisu lasów odwiecznych, z matecznikiem, kryjówką niedźwiedzi, z puszczą, gdzie żubr brodacz sędziwy pierwszy raz w życiu, pękającego, niby piorun, granatu się uląkł.

I wyrastał w oczach poety i czytelnika eden ziemski, bez nadziei powrotu do niego, strzeżony błyszczącymi mieczami, jasny i słoneczny, niedostępny tułaczom - nędzarzom, a uczucie trawiącej tęsknoty, ciągle hamowanego, zatajonego żalu ożywiało każdy opis, tętniło w każdym wierszu.

Wzniósł się więc „Pan Tadeusz“ nad nowożytne epopeje, od samego ich Wirgiliuszowego prawzoru począwszy; nad owe „Eneidy“, „Jerozolimy“ i „Lujzjady“, co utykały na mieliznach wymuszenia, afektacyi i pozy; co rozbijały się o retoryczne ustępy i romantyczne ułudy i brak prawdy i wiary czy urozmaicenia samego; co wymęczone rozumem, wysilone fantazyą, nie stworzone sercem. Nie dbał poeta o żadne „przepisy“; w podwójnej inwokacyi i Ojczyznę i Pannę Najświętszą, nie muzy wezwał; o bohaterach i wal-

kach bohaterskich ani pomyślał; wbrew Lesyngowi wstawiał opis za opisem, jeden cudowniejszy nad drugi; humorystycznie ludzi i ich zabiegi podpatrywał i kreślił, z największym realizmem, z uderzającą prawdą i barwy i dźwięki, i gesty i tony, ludzi i przyrodę naśladował.

Jak poeta całe serce w swem dziele zatopił, dowodził choćby ów epizod o Jacku Wojewódce i konkurach o stolnikównę, skalkowany wedle własnych przejść sercowych (z panną Ankwiczówną w Rzymie); nawet kasztelanic witebski nie bez umysłu tu wsadzony — kasztelanic witebski (Rzewuski) wzmógł przecież swojemi opowiadaniami ton jowialny, facecyonisty, weredyka.

Tak stała się ta epopea staroszlachecka, bez panów i magnatów, bez mieszczan i chłopów, z kwestarzem i Żydem, narodową, jak „Iliada i Odysea"; bije z niej ta sama woń oryginalna, ziemna, odurzająca, której żadna sztuka czy sztuczność nie odtworzy dla swych kwiatów woskowych i girland z kartonu. Ale właśnie dlatego, że narodowa, wykluczone jest to jej znaczenie wszechświatowe, którego „Iliada i Odyseja", bynajmniej nie dla wewnętrznej wartości, lecz tylko przez humanizm i klasycyzm i szkołę dostąpiły i dlatego tylko „Pana Tadeusza" z pieśniami Homerowemi równać nie można. Ograniczony on do czasu, miejsca i ludzi; nawet całej pełni życia polskiego nie oddał i nie to było jego zamiarem.

Dla nas ma on jeszcze inne znaczenie; najsubjektywniejszy z poetów, który zawsze i wszędzie siebie, swoje walki, zachwyty, cierpienia przedstawiał, okazał się bacznym obserwatorem wszystkiego, i gwiazd na niebie i leśnych borowików, gry na sercach i głowach szlacheckich Gerwazego i na cymbałach Jankla; z wiernością płyty fotograficznej i aparatu fonograficznego pozdejmował wszystko i pokazuje, niby obojętny, co zebrał. Nie gonił za nastrojami; przyroda żyje u niego życiem odrębnem, własnem, czy to gra chmur, czy ciepły powiew wieczoru wiosennego, czy szalony rozpęd burzy, znoszącej mosty i zatapiającej drogi, czy urok ciszy leśnej; na tle tej przyrody ludzie, nie wydelikaceni, nie sentymentalni, nie nerwowi, część tej przyrody, z nią zżyci, zdrowi i silni, na umyśle (choćby ciasnym) i ciele (choćby nie kształtnem). Otóż ten nadzwyczajny, w poezyi polskiej nie widziany realizm, u poety dotąd tylko częściowo, w epizodach się okazujący, był tem nowem objawieniem w sztuce polskiej: realizm nie schematyczny, suchy późniejszych realistów, lecz wzbierający uczuciem tak, że i sam sobie przerwie poeta, i ze łzą, westchnieniem czy uśmiechem z za dzieła wystąpi, uczuciu pofolguje, nim do dalszych obrazów postąpi. I ciągle widzi się i czuje, iloma nićmi poeta i serce splątani z dziełem, nawet bez wybuchów, jak ten:

Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna,
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

W pełni swej siły twórczej, ani przypuszczał poeta, że w „Tadeuszu" żegnał się z literaturą narodową. Złożyły się na to okoliczności zewnętrzne i bardziej decydujące, wewnętrzne przemiany. Literatura emigracyjna nie żywiła, nie zapewniała egzystencyi, tem mniej, skoro w drogim Paryżu i żona i familia przybyła i rozglądał się poeta za środkami do życia, za pracą wydatniejszą. Uśmiechały się próby w języku francuskim, naturalnie dramatyczne, jako najzyskowniejsze; zerwał się poeta do dramatu historycznego, *Les confédérés de Bar,* gdzie Franzuzom ich sympatycznego kompatryotę (Choisy) mógł wystawić. Po „Konfederatach" nastąpił zaraz i „Jasiński", z Wileńskich dziejów roku 1794, przeciwstawienie (jak w Sieciechach przedtem, a w Listopadzie później) Polski sarmackiej i sfrancuziałej; lecz Jasińskiego i nie dokończył, zrażony niepowodzeniem Konfederatów, których *Porte Saint Martin* mimo polecających pism Georges Sand i Alfreda de Vigny nie wystawiła. Dyrekcya może miała ze swego stanowiska słuszność; w technikę dramatyczną poeta się nie wżył, dramaty jego przeznaczone były z góry do czytania; więc i długa ekspozycya i nieskończone dyalogi i brak akcyi żywej i temat egzotyczny nadto odstraszały od próby scenicznej; niestety przy wędrówce dramatu od Anasza do Kaifasza zawieruszyły się trzy (ostatnie) jego akty; w ocalałych dwuch liczna galerya osób odznacza się silną charakterystyką w sposobie myślenia i mówienia.

Również nie powiodły się próby pisania prozą historyi polskiej, opowiedzianej przystępnie, trudu nader mozolnego dla poety, walczącego z lukami w opracowaniach, z brakiem materyałów nawet; w kreśleniu ich doszedł on tylko do wieku XIII; szczegóły były świetne. Wreszcie chwycił się były kandydat stanu nauczycielskiego znowu zawodu profesorskiego; w Lozannie opróżniła się roku 1838 katedra literatury łacińskiej, o nią ubiegał się teraz poeta

i po rozmaitych przejściach z powodu stanu zdrowia żony uzyskał ją. Uczeń Groddecka mistrzowi swemu na katedrze lozańskiej wstydu nie zrobił; nie tylko z wielką sumiennością i gorliwością wypełniał obowiązki, zyskał miłość uczniów i kolegów, i wykładem samym, któremu umiał nadać wyrazistość i soczystość, potrafił zainteresować.

Ledwie się z pierwszemi trudnościami uporał i w nową ziemię wkorzeniać począł, otworzyły się niespodzianie nowe widoki. Dla *Collège de France* proponował minister, a uchwalił parlament ustanowienie katedry języków i literatur słowiańskich. Coraz dobitniej wyłaniała się przecie słowiańszczyzna z dziejami i antagonizmami, literaturą i kulturą, choćby łacińską czy grecką, z przeszłością niejasną a przyszłością zagadkową; elukubracye coraz częstsze w języku francuskim, Francuzów, Rosyan, Polaków coraz większą budziły ciekawość; rozprawiano coraz częściej o nowej rasie i nowem jej słowie.

Na katedrę powołał V. Cousin Mickiewicza. Ociągał się zrazu profesor lozański; sympatya, jaką go otaczali Szwajcarowie, antypatya, jaką żywił zawsze ku Paryżowi, hałasom emigranckim, sama trudność stanowiska, niemożliwość dogodzenia partyom, nowość przedmiotu, luki wiedzy i dotkliwy brak materyałów, odstręczały strasznie. Równie silnie pociągał jednak i obowiązek; z katedry paryskiej można było prawić przed Europą o Słowianach w duchu sympatyi łacińskopolskiej, przeszkodzić, by nie zawładnęły nią tendencye przeciwne, nie uznające Słowiańszczyzny poza cyrylicę i prawosławiem wcale. Takie to i inne względy rozstrzygnęły, i wymienił profesor — poeta milczał od dawna — ciszę i sympatyczne otoczenie lozańskie, które biednego emigranta przytuliło, znowu na niespokojny Paryż. Jak lekcye lozańskie, pożerały teraz paryskie czas i siły — ale zadanie było wdzięczne, ponętne.

Zrezygnował profesor *„faire de la politique en slavon“;* za to podejmował się zadania, jakiego dotąd nikt nie poruszał; studya slawistyczne polskie z przed roku 1831 on miał i mógł świetnie zaokrąglić. Literaturę polską i rosyjską (przed rokiem 1830) znał dobrze — wiersze rosyjskie czepiały się jego pamięci, nie tylko Puszkinowskie, które i naśladował, np. w epigramie na Czyńskiego, ale i inne; literaturę samą traktował zawsze w związku z dziejami, jak Francuzi spółcześni i sens i znaczenie jej trafnie wyłuszczał; jego oceny pisarzów polskich XVI — XVIII wieku i dziś jeszcze, słusznie, Tarnowski powtarza; toż samo ruskich, Dierżawina czy Puszkina (artykuł francuski przy śmierci poety) dotyczy. Sięgał on dalej, do dum serbskich, do poezyi staroczeskich (sfałszowanych); choć je, jak wszyscy spółcześni, za autentyczne uważał, raziła znawcę ich osobliwość, którą trafnie odczuwał. Potem miał dalsze zamiary, wciągać i początki czy starożytności słowiańskie do kursu swego — lecz temu zadaniu sprostać nie mógł, etymologie, dobrze zaimprowizowane w „Księgach Narodu“, nie nadawały się dla poszukiwań seryo. Braki i luki albo intuicyą zapełniał albo ogólnemi, pysznemi charakterystykami, zapadającemi głęboko w pamięć, malowniczemi, dosadnemi zastępował. Zresztą audytoryum samo, bardzo różnorakie, nie nauki ścisłej, lecz wrażeń pragnęło.

Czteroletni „Kurs literatur słowiańskich“ (wydany nie najlepiej, ani w oryginale francuskim ani w przekładzie) nie jest dziełem jednolitem ani jednakiej wartości. Najściślej trzymają się przedmiotu tylko dwa pierwsze kursy, bogate w szczegóły, kreślące w potężnych rysach, z zadziwiającą bystrością, historyę Polski i Rusi, polityczną i umysłową; jak trafną jest np. charakterystyka XVIII wieku, dążeń Czartoryskich, przewrotów rosyjskich — na lepszą ocenę wewnętrznego znaczenia faktów i dzisiaj się nie można zdobyć. Wierny najżywotniejszym poglądom swoim wysuwał profesor na pierwszy plan to wszystko, w czem upatrywał właściwe posłannictwo Słowian, zadatki odrodzenia ludzkości przez poświęcenie, entuzyazm; liryka Barszczan, proroctwo ks. Marka zajmowały go głębiej, niż dzieła artyzmu, sielanki Naruszewicza i satyry Krasickiego; satyra nie zgadzała się, wedle jego zdania z charakterem słowiańskim, wymarzonym nieco; co zapał i wyobraźnię ostudzało, tem pomiatał czy poniżał umyślnie; zbytnie poufalenie się ze szczytną przeszłością uważał nawet za rodzaj świętokradztwa i piorunował o to na Słowackiego, choć go po imieniu nie nazywał; tylko o „Beniowskim“ myślał, gdy prawił: są pisarze, co, wyszydzając wzniosłą ideę, której ks. Marek był apostołem i męczennikiem, piszą poematy na jego pochwałę — ta cześć jest większą zniewagą, niż bluźnierstwa współczesnych przeciw niemu i t. d. Im bliższy naszym czasom, tem nierównomierniejszym stawał się wykład, dowolniejszym wybór dzieł i pisarzów, jednostronniejszą ich ocena; profesor przetwarzał się powoli w proroka żyjącego, kamieniowanego przez faryzeuszów (Słowackich), stawiających ozdobne groby dla proroków zmarłych.

Kłopotom domowym i pracom profesorskim byłby stawił czoło geniusz poetycki, gdyby nie inne, ważniejsze zmiany zaszły w umyśle poety, w pojęciach jego o posłannictwie własnem i poezyi samej. Już gdy kończył „Tadeusza", przestawała mu być poezya „rozrywką", co „zawsze mnie przenosi w młodość i wyrywa z obecnej biedy", i w lutym roku 1834 zarzekał się poeta, „nigdy już pióra na fraszki nie użyję; to tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć".

Wzmagało się coraz uczucie religijne; przewrót, datujący od pobytu rzymskiego, zatapianie się w lekturze mistycznej, od dzieł Greka Areopagity aż do uwag Bema, Anioła Ślązaka i Francuza teozofa Saint Martin, gorliwe praktyki religijne stawiały coraz natarczywsze żądania skupiania ducha, nie rozpraszania go na marności, doskonalenia siebie samego i oddziaływania na drugich. Znalazło się drobne kółko spółwyznawców, połączono się w Braci Zjednoczonych w grudniu roku 1834: obaj Zalescy, Witwicki, Górecki; pod wpływem osobistym Mickiewicza nawracali się z ultrademokratów, radykałów Sensymonistów Bohdan Jański i Hieronim Kajsiewicz; Jański założył ów „klasztorek" w Paryżu, z którego wyszli niebawem Zmartwychwstańcy. Siły i żar wewnętrzny wylewały się w modlitwach i aktach skruchy, w widzeniach, wyjątkowo w urywkach wierszowanych. Więc „pora wcale nie poetycka u nas", więc nie prędko będzie się mógł spotkać (z Zaleskim) na lutni, „śpiewaj tymczasem za nas mój słowiku", w czerwcu roku 1841 „o poezyi boję się myśleć, chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał". W miesiąc później powitał go w imię Boże **Andrzej Towiański.**

Towiański, typ litewski, jak Kościuszko i Mickiewicz, obojętny na świat i jego marnostki, nie rozpraszający swego entuzyazmu, skupiający go na wewnątrz, na udoskonalenie siebie samego, przedstawiał wybitnie ów typ ludzi, twórców religii czy sekt i dzisiaj między Litwinami, szczególniej pruskimi, nie wygasły, przypomina żywcem owego chłopa, Krzysztofa Kukata, nawróconego apostoła swoich „maldiniuków" (modlących się) i ich zborów, wierzącego w swe powołanie i objawienie boskie (i Kukata posadzono do domu obłąkanych — najniesłuszniej). Wiary głębokiej, niewzruszonej, skryty a energiczny, zatopiony w rozmyślaniach i modlitwie, do egzaltacyi religijnej skłonny, w długiej samotności, chorobą oczu spowodowanej, starał się Towiański dojść do ładu ze sprawą

boską, wyanielać swe czynności i myśli, trafiać do tonu, do łaski Ducha św., która w modlitwie nań spływała. Wyrósł on w atmosferze bardzo religijnej, w modlitwie znajdował pocieszenie, człowieka i czyny sądził i cenił wyłącznie ze strony moralnej, w duszy nosił gwałtowną potrzebę poznania prawdy; nie zaspokajał go kościół oficyalny, zaciekał się w pismach mistycznych, nawet naukach tajemnych, Swedenborga; idealista, nadmiernie uczuciowy, począł nietylko w myśli regulować wszystkie stosunki świata wedle nauki Chrystusowej, ale tak i działać; gdy się przeniósł na wieś, myślał tylko o tem, aby zostać przewodnikiem chrześcijańskim dla tego ludu, którego kierunek Bóg mu powierzył.

I przewodnictwo spełniał z widocznym skutkiem, i nazywano go czarodziejem, i upatrzył on w tem widomy znak Boży, potwierdzenie jakiejś osobliwszej misyi, nie orężnej, nie filozoficznej; przeczuwał, że wstrząśnie światem, nie jak Napoleon, którego upadek (rok 1812 widział trzynastoletnim chłopcem) do głębi go wzburzył, lecz miłością, nie inteligencyą świecką, lecz mądrością rzeczy Bożych, drogą serca i prostoty, nie rozumu—ową głupotą dla Chrystusa. I coraz bardziej uznawał w sobie tę mądrość rzeczy niebieskich, Sprawę Bożą, zdobytą niepospolitą siłą uczucia; dalej posłannictwo specyalne w imię tej Sprawy, przygotowane wypadkami postronnymi; w tym nastroju wysokim utrzymywał się coraz stalej, szedł coraz dalej; stworzył nareszcie własną doktrynę—objawienie. Niebawem nie wystarczały mu wieś litewska i kółko najpoufalszych zwolenników.

Doktryna powoli się rozszczepiała; dla niepowołanych nie zrywała bynajmniej z kościołem oficyalnym, dopełniała go tylko; wobec adeptów szła dalej, porzucała ortodoksyę. Cel ludzkości — to raj, to rządy Boże na ziemi; dlatego zstąpił Chrystus, zachwiał panowaniem zła na ziemi, lecz czasowo; złe się znowu rozpanoszyło; dla naprawy, dla nowej epoki, dla gorętszej ofiary i miłości chrześcijańskiej wezwał Bóg Towiańskiego; każda z siedmiu epok spełnienia słowa Bożego, wyrażonych w „Apokalipsie", ma bowiem osobnego sługę Chrystusowego, ducha Bożego; idzie zaś nie o uznanie tego narzędzia wezwania Bożego, ale o rozeznanie owej spółki, komunii w Chrystusie. Więc wszystkie narodowości i warstwy społeczne wzywał do zgody i miłości, którą był przejęty sam; głosił wyzwolenie chrześcijańskie kobiety, ceniąc nie jej zakusy emancypacyjne, lecz serce jej i stanowisko w rodzinie. Szeregi,

kolumny duchów, jasnych i ciemnych, oblegały mu glob ziemski, wcielały się metempsychozą, ścierały się między sobą, a wynikiem tych starć były wypadki zewnętrzne. Doktryna rozciągała się na wszystkie przedmioty i dziedziny, nawet na medycynę, jak i u „maldininków“ dzisiejszych litewskich (pruskich).

Towiański sam, ideolog i mistyk, do czynnej propagandy stworzony nie był; szukał więc, po opuszczeniu stron rodzinnych, innego autorytetu, naturalnie najpierw między swoimi, między dostojnikami kościoła, w arcybiskupie gnieźnieńskim Duninie, między żołnierzami, w Skrzyneckim — znalazł go dopiero w mężu pióra, w Mickiewiczu. Inni, pociągani z początku prostotą, szczerością, głębokością człowieka, cofali się później; wytrwali przy nim Mickiewicz i drobne kółko na emigracyi. Wybrał był Towiański czas najmniej stosowny i ludzi najnieodpowiedniejszych. Doktryna jego wykluczała z góry wszelkie usiłowania polityczne, a tylko niemi — głodnemu chleb na myśli — w śnie i na jawie żyła emigracya; musiał nawet Towiański pod owym naporem, wbrew własnej woli, Sprawę politycznie zabarwiać, i już tu kryło się przyszłe nieporozumienie między mistrzem a „kołem“, głównie „bratem Adamem“, nie zrzekającym się nigdy tej strony zewnętrznej, wzdychającym do czynnej interwencyi i roli.

Powaga Mickiewicza podtrzymywała w oczach emigracyi jakiś czas mistrza, nie zasłoniła jednak „Towiańczyków“ od coraz gwałtowniejszych napaści ultrakatolików, Witwickiego i księży Zmartwychwstańców; dla Towiańskiego zaś pozyskanie Mickiewicza było nadzwyczaj ważne, gdyż mógł liczyć na szerzenie swej doktryny z katedry profesorskiej — i nie zawiódł się.

Mickiewicz, twierdzący jeszcze niedawno: *un professeur n'est bon à autre chose qu'à faire des leçons,* pierwszy poświęcił wszystkie osobiste względy i przekształcał powoli profesurę w apostolstwo Towiańszczyzny. Pozyskał mistrz gorącego adepta nietylko przez dziwny, cudowny niemal zbieg okoliczności: nastrój podniecony, w jakim się poeta od grudnia roku 1840, od przeniesienia zwłok Napoleońskich, znajdował, gdy w jasny dzień miał wizyę człowieka, jadącego doń z Litwy na wózku parokonnym; cudowne uzdrowienie żony poety, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu dokonane; tłumaczenie wizyi księdza Piotra z „Dziadów“ i innych tajemnic — takie sztuczki czy trafy nad umysłem Mickiewicza nie długoby ciężyły. Ale „moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem

całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych“ — sercem, czuciem zwyciężał Towiański tego, który przed dwudziestu laty z nowem wtedy hasłem: „Miej serce i patrzaj w serce“, występował.

W niedoli swej, coraz rozpaczliwszej („coraz mniej we mnie energii wytrzymania“ pisał poeta w Boże Narodzenie r. 1840) spotkał się poeta z człowiekiem, pewnym siebie i misyi swojej, wierzącym, że ukoi nieszczęścia wszelkie, głoszącym szczytne prawdy, hasła miłości, ze szczerem natchnieniem, wyrzekającym się dla nich wszystkiego — mienia, ojczyzny, wystawiającym się obojętnie na szyderstwa, żyjącym tak, jak uczył, dostrajającym wszystko, co go otaczało, do tego tonu, od obuwia aż do mieszkania, rozważającym wszystko ze stanowiska Sprawy. Więc nie dziw, że już w miesiąc po przybyciu Towiańskiego „u mnie w domu kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu“ i wezwanie gorące do Bohdana Zaleskiego, aby najrychlej przybywał,

Bo wyszedł głos, i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydało płód, i stał się cud,
I rozraduje świat!

Wrażenie to z czasem potęgowało się tylko; później pisał poeta: „Bóg zesłał nam człowieka nadzwyczajnego, naczynie łask dziwnych... to jest w mojem przekonaniu największy filozof, mędrzec i polityk wieku naszego“; był mu „składem“ cudownych tajemnic Bożych; jest to „posłaniec z ramienia Pańskiego“ — przepowiadał rychłą, wielką wojnę, zmiecenie porządków starej, bałwochwalczej, zmaterjalizowanej Europy, odbudowanie ojczyzny, i, gdy poeta do Domejki (do Ameryki) pisał, upewniał go, że, zanim przyjedzie, rozpoczną się wypadki i powieją nasze chorągwie.

Już w drugim kursie Literatur słowiańskich (1841 na 1842) zaczął Mickiewicz przygotowywać umysły słuchaczów do przyjęcia doktryny, którą sam mesyanizmem przezwał; kładł główny nacisk na wszelkie objawy poświęcenia, zaparcia się, altruizmu; objaśniał z tego stanowiska dzieje polskie i ruskie, potępiał samolubstwo, materyalizm.

W następnym kursie wybierał do omawiania te tylko pisma, w których ideę mesyaniczną upatrywał: pisma Krasińskiego, „Wacława“ Garczyńskiego; zyskiwał prozelitów, choćby częściowych, na-

wet między kolegami, tracąc coraz bardziej kredytu między ziomkami, w Towarzystwie historyczno-literackiem, którego był prezesem, u księcia Czartoryskiego, Zaleskiego i innych, do niedawna sobie najbliższych, którzy, w imię ortodoksyi, doktryny się wystrzegali.

Najdalej zaszedł poeta w kursie ostatnim (1843 na 1844), gdzie pisemko Towiańskiego, „Biesiadę", jako najznamienniejszy utwór szczegółowo parafrazował i słuchaczów do wyznawania tych zasad pobudzał: zamanifestowali to Towiańczycy, obecni 19 marca 1844, a gdy 28 wniósł toast na cześć Napoleona, uniemożliwił tem samem dalsze wykłady. Wycieczki jego przeciw strupieszałemu kościołowi, wystawianie Towianizmu nie jako odnogi czy ramienia, lecz jako głównego biegu życia religijnego, wywodzenie tonu od Chrystusa i Napoleona, zapowiedź rychłych, koniecznych odmian gorszyły i prawowiernych i liberałów i orleanistów; Towiańskiego samego jeszcze przed dwoma laty rząd z Francyi wydalił; teraz zawiesił wykłady poety, biorącego urlop dla formy, nie powracającego już na katedrę. Tak stracił Towianizm ostatnią sposobność występowania publicznego, ograniczał się do kółek domowych.

Lecz właśnie w tych „siódemkach" szła Sprawa coraz trudniej; sprzęgli się w niej ludzie najróżnorodniejsi, umysłowo drobni, których z największym wysiłkiem należało na duchu—w tonie—utrzymywać; jeden drugiego dozorował i podpatrywał, i w tej wewnętrznej walce gasł powoli zapał pierwotny. Gasł tem rychlej, im widoczniej mistrz od wszelkiej inicyatywy na zewnątrz się uchylał, wyłącznie nad udoskonaleniem moralnem, nad podniesieniem się do Ducha, nad odgadywaniem Ducha w siostrze Francyi, w bracie Izraelu pracując; zamiast walki i spisków, zgadzał się co najwyżej na wysyłanie listów, do Rotszilda, do cesarza, aby ich dla Sprawy nieziemskiej pozyskać.

Nie poprzestawał na tem Mickiewicz, wywierał „ziemski" t. j. piekielny nacisk na mistrza; już r. 1845 przyszło do scysyi, roku 1847 do ostatecznego rozejścia się; mimo to — a to jest najlepszem świadectwem żywotności Towianizmu — przy „mesyanizmie", co inni (Hercen np.) z mistycyzmem mieszali, pozostał. Tylko starał się go realizować, więc gdy z rokiem 1848 wiosna narodów zajaśniała, Włochy Piusa IX w nadziejach swobody się upajały, i on do Rzymu wyruszył, aby wznowić formacye słynnej pamięci—zawiązek nowych legionów polskich. Ale poeta skazany był z góry, aby

sam grzebał wszelkie nadzieje, i rychło rozwiały się próby, przysparzające mu zachodów i trudów.

Nie lepiej powiodło się w Paryżu, tym razem z publicystyką. Po czynniejszym występowaniu z artykułami politycznymi w „Pielgrzymie Polskim" z roku 1833, wycofał się poeta zupełnie z dziennikarstwa, gdzie dla Towiańczyka miejsca nie było; teraz, po wyborze Napoleona prezydentem, on, ślepo wierzący w gwiazdę jego rodu, przepowiadający dawno jeszcze przed r. 1848 powrót do rządów, liczący na prezydenta, jako na odnowiciela Europy, wstąpił do świeżo założonej *„Tribune des peuples"*, aby w licznych artykułach występować przeciw legityzmowi i konserwatyzmowi, przeciw arystokracyi i hierarchii, przeciw burżuazyi, której całem sercem nienawidził, aby ująć się za rewolucyą, za ludem, za chłopem, od którego się najwięcej spodziewał: za chłopem słowiańskim, nie zmateryalizowanym, z wiarą tradycyjną, demokratą z krwi i kości, występował on gorąco jeszcze w kursach literatury. Na bankiecie inauguracyjnym (u Chojeckiego, w rocznicę rewolucyi lutowej) był i Aleksander Hercen obecny, chcąc wnieść toast za poetę - redaktora i przypomnieć ów toast moskiewski z r. 1844, który wniósł panslawista i poeta Chomiakow na bankiecie dla liberała Granowskiego za zdrowie „nieobecnego wielkiego poety słowiańskiego". Widział on poetę po raz pierwszy, jego wyraz znużenia, oznakę bólu wewnętrznego, egzaltacyi smutku — niby obraz losów polskich.

Na samym bankiecie zaznaczyły się różnice; Mickiewicz bowiem życzył pochodu demokracyi i swobody pod orłami napoleońskimi i przewodnictwem członka cesarskiego rodu, Ramon de la Sagra (republikanin, Hiszpan) protestował najsolenniej; chwiejność ta cechowała i sam organ, który rząd zawiesił, zanim sam upadł. Swemu gorliwemu apostołowi odwdzięczył się bonapartyzm licho; nie lubił on ogółem emigracyi, która już od samego początku istnienia, 1832, najniepotrzebniej i najfatalniej, stale się z opozycyą łączyła, zamiast od wszelkich spraw francuskich jak najdalej się trzymać. Eksprofesor kończył żywot, jako bibliotekarz Arsenału, ale nie było mu danem zakończyć go w pokoju. Wyrwały go z niego zawikłania na Wschodzie: nowa nadzieja wstąpiła w zestarzałego przed czasem; wypracowywał on memoryały polityczne, o utworzeniu legionu polskiego na Wschodzie i inne; pojechał wreszcie na Wschód, żył trybem obozowym w Burgas między kozaka-

mi Sadyka baszy, lecz niebawem uległ organizm jego zarazie; umarł w Konstantynopolu 26 listopada roku 1855; z cmentarza w Montmorency przeniesiono zwłoki jego 4 lipca roku 1890 na Wawel, i spoczęły obok trumny Tadeusza Kościuszki. Marzenie poety, że mu za „Tadeusza“ Nowogródek pomnik wystawi, nie spełniło się; pomniki jego zdobią place w Warszawie i Krakowie.

Na wiadomość o zgonie pisał Krasiński, odtrącony za życia czerwonością Mickiewicza: „on był dla ludzi mego pokolenia miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową: my z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów, podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów, ale z serc; filar to był olbrzymi, choć rozpękły sam... Największy wieszcz, nietylko narodu, ale wszystkich plemion słowiańskich, już nie żyje!“

Na takie wyżyny wstępował poeta powoli, w rozwoju normalnym. Szukał on najpierw, za wzorami klasycznymi, za Trembeckim, nadto dla samej sztuki podziwianym, poezyi w sztuczności, w dobieraniu rymów, zwrotów, obrazów; niebawem, za swej germanomanii, za ulubionym idealistą, Szylerem, w poezyi upatrywał, zamiast maniery i konwencyonalności, prawdę, uczucie, serce; nakoniec w samej prawdzie, codziennej, najzwyklejszej, poezyę odnalazł—pierwszy wielki realista u nas. Gardził wszelką napuszonością i nadętością, chociaż sam szarą prawdę życia cudownie godził z najwyższą poezyą i filozofią; uznawał za obowiązek poety odtwarzać to tylko, co sam przeżył i przeczuł. Wynikał stąd egocentryzm jego poezyi; mówił zawsze o sobie, nawet w „Balladach“ występował ten osobisty pierwiastek i dusił ludowy; w „Dziadach“ całkiem zewnętrznie utrzymywał związek między dawniejszymi a nowszymi; o sobie śpiewał nietylko w „Sonetach“, ale i w „Panu Tadeuszu“; nawet do „Wallenroda“ przemycił ustęp o swojej, kowieńskiej dolinie: ten zmysł rzeczywistości odznaczał go przed innymi. Nie wynikało z tego bynajmniej, aby nie podlegał wpływom obcym; owszem, po klasykach, po Getem [1]) i Szylerze i Jean Paulu nastąpiła brytanomania, ale nie szedł za „starym Wilem“, lecz za

[1]) Inspiracya poetycka nawiedziła Miekiewicza po raz ostatni, gdy przekład Hermana i Doroty synowi dyktować począł.

Byronem; i tu podnietę stanowiły własne przejścia, zgorzkniałego musiał pesymizm jego szatańskiwa najbardziej przekonywać.

Samodzielności swojej i wobec Byrona nie myślał się pozbawiać; mógł tłumaczyć „Giaura“, jak tłumaczył „Don Karlosa“, „Sen“ jak „Rękawiczkę“; do naśladowań nigdy nie schodził, Wschód krymski zamknął w sonety, żeby nie rywalizować z Child Haroldem, Wallenroda chciał już rzucać, bo mu Larę czy Korsarza przypominał. Gdy wielbiciele jego moskiewscy u stóp lorda go szukali, uszedł już niepowrotnie w inne sfery. Od Byrona odstręczała go własna, głęboka religijność, choć na razie uśpiona, i patryotyzm. bolejący strasznie nad ojczyzną własną,—Byron, gdy troszczył się o Włochów i Greków, nie o Irlandczyków, o potędze światowej Albionu ani wątpił, a jeżeli walczył, to z *cant*'em angielskim i nie o ojczyznę; potężne uczucie, odmienne od pychy egoistycznej lorda, uszczęśliwiającego świat swoją miłością, pod warunkiem, żeby mu hołdował; słownik Byrona terminów pokory i uległości nie znał, Konrad nie dumą i walką, lecz skruchą i pokorą, jak ksiądz Piotr, niebiosa zwyciężał. Miłość narodu, cierpienia, które w siebie wchłaniał, porwały liryzm na szczyty Improwizacyi; tą samą miłością i trawiącą tęsknotą nabrzmiała jego epopea; ta miłość skruszyła pióro poety, gdy je na czyny, na życie religijne, udoskonalenie moralne, propagandę mesyanizmu wymienić kazała. I nie były to majaki złudzenia, którym poeta dar swój boski poświęcał; co on nie ustami tylko, lecz całem życiem głosił, było poezyą, ewangelią altruizmu, życia dla celów wyższych, dla przeanielenia ludzkości, odświeczczenia jej stosunków. Żądania zniesienia wszelkich przywilejów; podniesienia niewiasty, chłopa i Żyda; zrzucenia nienawiści wszelkiej, nawet narodowej, nadającej przeciwnikowi prawo zgniecenia, zdeptania pełzającego, jadowitego gadu, to hasła, które się nigdy nie zestarzeją, to hasła, do których przyszłość należy. Gdy Mickiewicz żywot poetycki zakończył, został jako człowiek, podziwienia i naśladowania godny.

Okręt poezyi polskiej, zimujący dotąd w obcej przystani, na uwięzi ścisłej, on na szerokie morze wyprowadził i z nim na własnych brzegach wylądował. Silny był podmuch jego fantazyi; niezgłębionem było tylko jego uczucie. Fantazya nie zbyt lotna ani rozwiewna; nawet gdy o widzeniach i snach i marzeniach rozprawiał, silnych, wydatnych rysów się nie pozbywał; fantazya to całkiem plastyczna, przypominająca klasyczną, widzi w kształtach

i barwach wyraźnych. Rozum bystry, również ścisłości i określoności oddany, ku abstrakcyom ani dyalektyce nie skłonny, i próżno Śniadecki o wpływy metafizyki niemieckiej się obawiał: nie Hegel logicznością, Towiański uczuciem go zawojował. Wiedza rozległa; łatwo oryentował się w najrozmaitszych dziedzinach, rysy charakterystyczne chwytał w lot. Język nie giętki, wiersz nie śpiewny; dbał za to poeta o siłę i prostotę wysłowienia; ani rymów wykwintnych ani obrazów wyrafinowanych nie szukał; jego poezya nie dla smakoszów, estetów, dekadentów; największem jego życzeniem było:

O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy...
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste, jako ich piosenki.

Więc poezya nie celem, ale środkiem mu była, nietylko w Wallenrodzie; zamiast oręża, piórem w Dziadach szermował; marnował skarby jej —w improwizacyach. I nie wytrwał w rzemiośle poetyckiem; zarzucił je, gdy coraz wyższe wymagania sobie samemu stawiał, gdy żądał, żeby poeta - wieszcz wprzód cuda działał, nim pisał, nie pomny, że cuda — to właśnie dzieła poety.

Można go było przewyższać w szczegółach: w poprawności językowej, którą zbyt nie grzeszył — prowincyalizmów w mowie jak akcentu litewskiego, nie wyrzekł się nigdy; w formie wiersza; żyły dramatycznej nie posiadał, — prawdziwy poeta słowiański, epik i liryk nieporównany. Ale niepodobna było przewyższyć jego „gołębiej prostoty", szczerości i otwartości: „ja rymów nie szukam i wierszy nie składam, pisałem zawsze tak, jak dziś do was gadam"; tą zjednywał on każdego. Niepodobna czuć głębiej i kochać silniej: pogardy dla tłumów, znamiennej dla Byrona i jego naśladowców (Puszkina np.) on nigdy nie żywił; na potęgę uczucia swego powoływał się jego Konrad, a w osiem lat później powtarzał poeta sam: dla poety jedna tylko droga, stąd (od serca) przez miłość tam do Boga. Niepodobna ściślej połączyć realizm i artyzm, niż to w „Panu Tadeuszu" się stało. I przeskoku gwałtowniejszego trudno dokonać; on pierwszy stworzył poezyę polską — przed nim była literatura; porównaćby go można pod tym względem z Puszkinem. I ciągle nasuwa się porównanie tych dwuch olbrzymów słowiańskich, którzy się tak blizko stykali, a tak daleko rozeszli — dzielą oni na-

wet spólne słabostki, np. wyrozumiałość zbytnią dla poetów - przyjaciół.

Szczególniej Mickiewicz przeceniał zdolności, przyszłość, znaczenie swych ulubieńców, od wczesnej młodości do lat późnych. Zaczęło się to z **Aleksandrem Chodźką,** któremu prorokował: Adam gdy ginie, ty żyjesz; na jego tronie ty kiedyś siędziesz, jego się blaskiem okryjesz. Proroctwo spełniło się dosłownie, skoro po Mickiewiczu katedrę paryską Chodźko (od r. 1857) piastował, lecz Mickiewicz o poezyi myślał, którą Chodźko, oryentalista, potem slawista, rychło na zawsze porzucił. Był niegdyś tkliwy, rozmarzony, sentymentalny; te uczucia przelał na swego — „Derara", poemat uczony zarazem, gdyż w drugiej jego kasydzie ucztę Beduinów, a przy niej rozmaite próby poezyi i igraszek arabskich przedstawił: formy zachował dobrze, lecz nie ducha chyba, skoro Derarowi kazał bez walki ukochaną Azzę rzucić i nawet, rozbiwszy jej i ojca wrogów, o jej rękę się nie upomnieć; i „Endymion" jego był tkliwym pasterzem litewskiej, nie klasycznej wyobraźni; z ballad „Maliny" jego najsławniejsze; tłumaczył i pieśni nowogreckie.

Jeszcze bardziej przecenił Mickiewicz **Stefana Garczyńskiego;** najszlachetniejszy młodzieniec - uczeń podkupił przymiotami serca i umysłu sąd przyjaciela - mentora. Natura refleksyjna, oddany filozofii, jako uczeń uniwersytetu berlińskiego i Hegela, chociaż w matrykule uniwersyteckiej go nie odnalazłem, pod wpływem Mickiewicza w Rzymie do wierszów się rwał, choć wiersz melodyjności, a umysł fantazyi i obrazowości nie posiadał; dzielny żołnierz bił się potem, i jak Körner, sonety wojenne pisał, najcenniejsze z poetyckiej spuścizny jego, wygładzonej starannie przez Mickiewicza. Najobszerniejsze i najbardziej pretensyonalne dzieło jego — Mickiewicz mu go zazdrościł niemal i na czele poezyi polskiej stawiał, aby tem spokojniej o „Kordyanie" przemilczeć—to „Dzieje Wacława". Trzech kumów je do chrztu trzymało: Faust, Manfred i Konrad, lecz każdy słabostkami swemi je obdzielił. Znaczący sam wybór tematu, dziwnie odbijającego stan duszy wielu ludzi, całkiem z teraźniejszością zgodny: człowiek, wyżarty zwątpieniem, celu życia się nie dobadawszy, przeradza się z Gustawa — bo również nieszczęśliwie kocha, nie Marylę, lecz jak Manfred, siostrę — w Konrada; wskrzesiła go piosnka chłopska o naczelniku:

Tak słowo w dobrej ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła, stworzy ich, czem byli;

porwał się do czynu, ale w drogę wszedł mu Mefisto-szatan, rozumny jak u Getego, tylko... Wacław, nie Faust, niestety; więc pokazuje mu typy niby polskie, aby mu naród obrzydzić (Faustowi przynajmniej Helenę pokazano); więc w imię rozsądku burzy się przeciw warszawskim spiskom, bez pieniędzy i wojska; i tu się role pomieszały, bo ojciec kłamstwa, najświętsze prawdy prawiąc, groch o ścianę rzuca. „Dzieje“ (niedokończone) lubują się w romantycznej przesadzie, o której Konrad nic nie wiedział, w czarnych płaszczach, nocnych wycieczkach i gromkich krzykach; jest improwizacya z „Dziadów“, piosnka z Fausta — niema prawdy i poezyi, język ciężki, chociaż niejeden zwrot dosadny. Lepsze bez porównania są sonety wojenne, z pod Wawru i Stoczka, oda „Do ludów“, wybuch patryotycznego uniesienia, dumnego i szczytnego, chociaż bez mesyanicznych zakusów; umarł też młodzieniec, pełen wzniosłej ambicyi, gorącej myśli, jak wyśpiewał, w wolności wierze.

Najwyżej z tych, co się do grona Mickiewiczowego liczyli, wzniósł się **Bohdan Zaleski.** Z Mickiewiczem poznał się dopiero na wychodźtwie i mimo długich podróży do Alzacyi i nad morze (Endoûme), ścisłe, braterskie zawiązał z nim stosunki; dopiero za Towiańszczyzny rozchwiały się one i mimo późniejszego ochłonięcia Mickiewicza nigdy już nie stężniały. I Bohdana Zaleskiego przecenił Mickiewicz, czy to kiedy w liście do Domeyki jego „na czele naszych poetów“ stawiał, czy to kiedy w kursie literatury głosił: „Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich; rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego Słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, coby jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej“. Pozostał Zaleski, gdy po dłuższej przerwie do wierszowania wrócił, czem był przed rokiem 1831: lirykiem - Ukraińcem, chociaż rwał się do coraz większych historycznych, a nawet historyozoficznych kompozycyi; odrywał go od nich, jak niegdyś od Damiana Wiśniowieckiego i Kosińskiego, byle traf, byle zajęcie nowym przedmiotem, byle roztęsknienie jakie, i do przerwanego toku już wrócić nie zdążył. Ten co „Pana Tadeusza“ prześcignąć zamierzał, nie wyśpiewał nawet „Złotej Dumy“ o Hance Rużyńskiej, którą Tatarowie, rozgramiając opiekuna jej, pana Szczeniowskiego, w jasyr uprowadzili, i o poecie-kozaku Maryanie Bukacie, co ją miał odbić i dla siebie zdobyć (poetę tego własnymi rysami, autobiograficznymi, hojnie obdzielił), chociaż w treść, z roku 1650 wziętą, wsiąkały „wesele i smutek narodu —

dni moje pogodne i chmurne, wiara i miłość, jak w gąbkę i zapachną na milę“; „Złota Duma“ jemu „się rozpierzchła w rozjęku“. Dokończył, choć nie wygładził i za życia nie ogłosił, „hetmańską dumę“ —„Potrzebę Zbaraską“: sam wybór tematu charakterystyczny dla Zaleskiego. Mimowoli myślimy o heroicznej obronie Zbaraskiej 1649 roku — lecz nie o nią chodzi; wybrał poeta jakiś zamglony bardzo fakt z początków Kozaczyzny, jakąś wyprawę Daszkiewicza i Bohdanka Rużyńskiego przeciw Tatarom pod Zbaraż, rozgromienie ich i uganianie za nimi aż pod Belgrad czarnomorski i powrót zwycięski na Ukrainę; żeby się zaś ustrzedz własnego liryzmu, bróżdżącego mu zawsze w epicznych zakusach, włożył całe opowiadanie w usta lirnika - poety, owego Bukata ze „Złotej Dumy“: jak wyprawa owa, tak i ci Kozacy jacyś fantastyczni, nie historyczni. O najwyższe zagadnienia pokusił się poeta w „Duchu od Stepu“, który mu robotę nad „Złotą Dumą“ na zawsze przerwał: rywalizował niby w poezyi z prozą „Ksiąg narodu polskiego“, wystawiał ewolucyę ludzkości, od raju przez różne upadki aż do zawitania państwa Chrystusowego na ziemi i nowego zwichnięcia świetnych torów, wydeptanych pochodami krzyżowymi, pod wpływem herezyi, „pychy“ rozumowej, niemiłości i niebraterstwa ludów; kończył apoteozą ojczyzny.

W obrazach tych, po których niecielesne oko poety na wichrze od stepu buja — idee platońskie i metempsychoza odgrywają tu rolę, jakby w „Królu Duchu“ — są szczegóły imponujące, np. pochód barbarzyńców na Romę albo sielanka prasłowiańska, niby „Stara Baśń“ Kraszewskiego, albo wymowny żal nad teraźniejszością, lecz całość zadowolić nie może, dla zbyt ciasnych pojęć autora; i tego utworu wartość przecenił Mickiewicz w kursach. Mniejsze obrazki i dumy, np. „Lach serdeczny na marach“ i inne, chociaż i one nie są wolne od owych *fata morgana* kozackich, odznaczają się największym wdziękiem; one to rozsławiły Zaleskiego, wywoływały (aż po nasze dni) niezliczone naśladowania, które Mickiewicza w końcu rozgniewały, — mania, grasująca, jak niegdyś balladomania, „warto żeby ktoś napisał coś o hop! hop!, żeby tych pisarków z konia ukraińskiego zsadzić“ (roku 1835).

„Poojczystą i porodzinną tęsknotą“ przejęła się poezya Zaleskiego, i odtąd dźwięczy ta nuta, roztkliwiona, rozłzawiona, nieustannie; żalu poety za krajem młodości nic utulić nie może, a nawet w niebie pragnie swej Ukrainy. Obok tej nuty wzmaga się

i w końcu przeważa zupełnie nuta religijna; i Zaleski bowiem znalazł swą wiarę na wychodźtwie. Z licznych, nieraz rzewnych i głębokich, hymnów i modlitw wyróżnia się sielanka biblijna, „Przenajświętsza Rodzina“, cudne przewierszowanie ustępu z ewangelii o Zbawicielu — dziecięciu w kościele Jerozolimskim — tkliwe to i czułe, nie wzniosłe ani potężne, na tle przepięknego krajobrazu, choć ukraińskiego raczej, niż palestyńskiego. Jeszcze w późnych latach, około roku 1861, zrywał się poeta do większej kompozycyi, do „Wigilii godów tysiącolecia“ (ochrzczenia Polski), aby opieśnić przymierze narodu z Ukrzyżowanym, a rozbrat z czartem i grzechem, lecz i jej już nie wykonał; „mniej rozśpiewany, więcej rozmodlony“ coraz ku Panu się zwracał i na dźwięki kornej wiary już się tylko zdobywał. Zadanie poezyi pojmował zawsze nader wysoko:

Wieszcz? to wybrane, przedrogie naczynie,
To coś z wszechmocy Bożej w kruchej glinie
Darowanego ludowi na chlubę,

lecz daru tego na błyskotki zużywać nie dopuszczał i poetów-sztukmistrzów (Słowackiego np.) aż do jawnej niesprawiedliwości niedoceniał.

Dziwna jego poezya, rozśpiewana, łechcąca ucho, przymilająca się, jak owa czarnobrewa, o którą matki- Ukrainy prosił, a odzywają się w niej tony, w poezyi polskiej nie zwykłe, bo w gęśli jego obok „Boga, świata, Polski, Ukrainy“ i dla Słowiańszczyzny, za przewodem jeszcze Brodzińskiego, osobna struna napięta. Brodzińskiemu jeszcze obiecał i później dokonał przekładu dum serbskich; twierdził o sobie:

Lubuję bardzo w słowiańskim ja gwarze...
Tak, Szafarzyku! tak, tak Kopitarze!
Pieśni hej dawaj Wuku Karadziczu i t. d.,

ale i jego panslawizm był osobliwszy, nie zgadzał się bynajmniej z panslawizmem czeskim; jemu bowiem „ojczyzna lasza to wszechsłowiańska królowa“, Polanie kijowscy i kruszwiccy to jedni, więc Tarasa Szewczenkę spółpiewcą uznawał i sam nietylko „ruską nutę, polską mowę, jak dwie siostry, dwie królowe w one gody wiódł pod ręce“, lecz i pisał po ukraińsku; wsłuchaniu się w nutę ludową za-

wdzięczał też melodyjność własnego wiersza. Jedyny z poetów polskich nawiązywał on i podtrzymywał stosunki z Rusinami we Lwowie, ze Słowieńcami w Lublanie, w Pradze i Zagrzebiu.

Tęskne, smutne głosy przeważają w jego poezyi; zawiodły nadzieje i wieszczby,

Mowa nasza głuchnie wszędzie,
Mowa w sercach wykochana,
Jak anielskich strun narzędzie,
Taka strojna i ograna,
Toż do szeptów służyć będzie?

śmierć nieubłagana przerzedza tymczasem szeregi blizkich:

Kędy nie spojrzę, świszczą pustki w domach,
Bracia po pieśni ukryli się w groby,
Stoję ogromion, jak dąb zgruchotany,
Chwiejący czołem w step ponad burzany,

rozwiały się ostatnie złudzenia i wyznaje sędziwy starzec:

Duma dum moich, och! niewyśpiewana,
Niewyśpiewana duma tu drga w łonie,
Żywa, wiecowy dzwon mój po Bojanie,
W który, tuszyłem długo, że zadzwonię

w dzień zwycięstwa, lecz ten nie nadszedł.

Ciosy nie zdołały jednak złamać człowieka ani wyziębić jego wiary i miłości, i choć mu cicha, pusta przestrzeń starości nie zwabiała już pieśni na wyblakłe usta, nie zwątpił, nie zgorzkniał nigdy, zachował serce wrażliwe i czyste, pogody umysłowej ani wzrok ugasający nie zakłócił i przetrwał skupiony w sobie, rozmodlony, cichy, najdłuższe lata, rozrzewniający w swej powadze sędziwej, wzór nieskalany moralnego hartu, jeden z najszlachetniejszych przedstawicieli emigracyi i jej siły moralnej. Rychło stosunkowo wyczerpywała się twórczość, najobfitsze lata to 1836 —1841, potem coraz rzadziej się odzywał, czy to oskarżając siebie, czy ciesząc i kojąc innych, czy błagając w imieniu gromadki polskiej tułaczej, bezdomnej, zmiłowania dla Francyi, siostry miłej, miłosiernej, czy śląc z daleka krztę polskiej soli na kołacz, co wieźli Palacki i Ry-

gier. Do końca zachował ów styl brylantowy, rozwiewny przytem, urywany, przetkany wykrzyknikami, który tak łatwo spospolitować, tak trudno utrzymać na tej wyżynie artystycznej, jego dziedzinie i tajemnicy.

Inny druh ukraiński, co z nim razem, choć w stokroć gorszych warunkach, wychodźtwo dzielił, **Seweryn Goszczyński,** z którym nawet Towiańszczyzna go całkiem nie rozprzęgła, tworzył jeszcze mniej. Gdy jednak Zaleski nie rzucał jednostajnej barwy, jednostajnego przedmiotu, wypieszczonego języka, kozaków wymuskanych, salonowych, zniewieściałych — wyrzucał mu to wszystko ów druh, krytyk surowy — rozstał się Goszczyński z Ukrainą na zawsze. Nie z ludem; pod wpływem Tetmajera i pobytu górskiego zbierał, co widział, w „Dzienniku podróży do Tatrów", jednym ze znakomitszych przyczynków do etnografii polskiej, a upoetyzował w „Kościelisku"; z niego jednak tylko część pierwszą „Sobótkę" wykończył. Z podaniem o nabiegu tatarskim (od którego niby Kościelisko nazwane) związał podania o zbójniku najsłynniejszym tatrzańskim, Janosiku, i rozsypał, jak w „Zamku Kaniowskim", jeszcze hojniej tylko, wszelkie wierzenia ludowe, dziwożony jego i węże - króle i mnichy tajemnicze, po opisie sobótki tatrzańskiej, nocy świętojańskiej; on pierwszy — po nieudolnych próbach Tetmajera — poezyę gór i ich przyrody odtwarzał. Później pisywał powiastki prozą i wierszem, pokrewne sobie myślą i treścią; najbardziej odbiegała od jego posępnego sposobu tworzenia „Anna z Nabrzeża", chociaż i tu rzecz, pozornie mistyfikacyą, figlem pachnąca, wcale nie pusto się kończy; najznamienniejszy między niemi jego „Król Zamczyska", waryat Machnicki, pan na Odrzykoniu. Opowiadanie to jest nawet w szczegółaah symboliczne (o losach Polski szlacheckiej, o jej przyszłości demokratycznej) i w całości alegoryą gorzką trąci—między materyalistami, zjadaczami chleba, pasorzytami i pasibrzuchami, jedyny obłąkany rozumny swoim szałem, o duszy i uczuciach królewskich, cierpi coraz mocniej i coraz mniej jest w stanie zaradzić złemu, morowemu powietrzu zimnego rozumu; on jeden pojął myśl, której „oni" pojąć nie mogą; gorzkie są jego słowa, złowróżbne proroctwa. W spółczesnych jego wierszach lirycznych odczuwa się echo pieśni Mickiewiczowej, apoteoza uczucia. W Towiańszczyznę, gdzie obok Mickiewicza stanął, wciągnął się najkonsekwentniej; zarzucił nawet, wzgardził własną demokracyą, którą do niedawna i w wierszach i prozą („Pszonki", pisma satyrycznego w Strasburgu, wydawanego z Zienkowiczem, wyszydzającego białych) szerzył, bo widział w niej ubóstwienie materyi - śmierci na pognębienie ducha - życia i ukorzył się przed słowem Chrystusa, wiodącem na drogę prawdy.

Jeśli teraz co pisał, to dla propagandy idei, prozą; dopiero po długiej przerwie wrócił do wierszy, służąc i nimi idei — rękopisów jego późniejszych największa część jednak dotąd nie ogłoszona. Choć obaj, Zaleski i Goszczyński pomiatali zarówno bałamutną mądrością świata i tajnie ducha sławili, większych kontrastów ani wymyślić: tam miękki, rzewny, tęsknący poeta - czarodziej słowa, tu szorstki, namiętny, gwałtowny mąż czynu, prześladujący marzenie, gardzący formą i stylem; równą mieli niepokalaność charakteru i miłość ojczyzny; nie zgadzali się co do oryginalności, o którą Towiańczyk mniej pytał, niegdyś zaklęty wróg wszelkiej obczyzny, chełpiący się nieprzebranymi zasobami poezyi naszej ziemi, dziejów, narodu, chociaż ich sam wydobywać nie zdążał.

Do kółka Mickiewiczowego należał również i z powodu Towiańszczyzny stanowczo przeciw niemu wystąpił **Stefan Witwicki;** spotkał go ten zaszczyt, że w czwartej księdze Tadeusza jego wiersze o mateczniku poeta umieścił. Przed wychodźtwem, do którego się dobrowolnie przyłączył, w „Balladach i Romansach", nie tylko za Mickiewiczem poszedł: wpływ Brodzińskiego wykazywał choćby taki „Ksenor i Zelina" samemi nazwami, to znowu Żukowskiego „Świetlanę" parafrazował: wszystko wypadło arcy niefortunnie, jak i „Edmund" jego. Przerzucał się całkiem na stronę Brodzińskiego w „Piosnkach sielskich" i w „Poezyach biblijnych"; z Piosnek niektóre rzeczywiście ludowe ład i motywy powtarzały. Na emigracyi dopiero trafił Witwicki w swój właściwy ton, gawędziarza ultrakatolickiego, popularnego, w „Wieczorach Pielgrzyma", wydając bardzo ulubione książki do nabożeństwa („Ołtarzyk złoty"), pisząc niepretensyonalne „Gadu-Gadu"; już jego poezye biblijne były w istocie gawędami, prozaicznemi w wykonaniu.

Nie lepszym poetą, choć brak poezyi górnem o sobie mniemaniem wetował, był i **Antoni Górecki,** któremu farmazoństwo wileńskie tak w krew i kości przeszło, że i na emigracyi się z niego nie wyzwolił na razie i na ultramontanów zjadliwe, acz nudne, bajki i inwektywy pisywał, nim w Towianizm wsiąknął; narodowi francuskiemu na oznakę wdzięczności, za przytulenie emigracyi, „Kłosek" swój poświęcił, kamieniem więc za chleb odpła-

cił, tak twarde to wiersze, ale że po polsku, nie skrzywdził Francuzów.

Jak Puszkin, tak i Mickiewicz szkoły osobnej nie stworzył; nie stworzyli jej przed nim ani Kochanowski, ani Krasicki, choć naśladowców znachodzili licznych; ruchliwość, indywidualizm słowiański nie sprzyjają w umysłach nieco niepośledniejszych wyłącznemu poddawaniu się jednemu wzorowi. Pojedyńcze dzieła jego wpływ wywierały olbrzymi, nawet nie ustosunkowany sprawiedliwie: największą wrzawę wywołały dzieła najsłabsze, ballady i sonety, gdyż niemi zwyciężały nowe kierunki, romantyczno-ludowy i bajronizujący; o jakiejś „szkole litewskiej“ możnaby chyba przed r. 1831 prawić; w Paryżu jej już nie było, i grupowały się około mistrza, zrzekającego się niebawem poezyi na zawsze, talenty najrozmaitsze; koło to uszczupliła czy rozbiła Towiańszczyzna na zawsze. Nie poderwała ona jednak znaczenia mistrza; od Konradów i Tadeusza biło światło z siłą niezwątloną; przed jego blaskiem gasło każde inne — bez wyjątku. Najboleśniej to odczuł, napróżno się z tem za życia szamotał, inny arcymistrz słowa polskiego; dopiero za grobem dane i jemu było zwycięstwo, które wielkiego rywala za życia opromieniało.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

JULIUSZ SŁOWACKI.

Dzieła młodzieńcze. Na wychodźtwie w Szwajcaryi, Włoszech i Paryżu; tragedye i „Beniowski“. Mesyanizm i „Król Duch“. Znaczenie Słowackiego.

Jeżeli ten szczęśliwy, czyje najgorętsze życzenia los dobrotliwy wypełnia, któż nad Słowackiego szczęśliwszy? I życiem poetycznem obdarzyły go nieba i sławą pośmiertną, wzrastającą z każdym lat dziesiątkiem, a tego obojga pragnął on jedynie i od pierwszej młodości. Dary te okupił niestety za życia trapiącym, nieuleczalnym smutkiem, samotnością dolegliwą, głębokiem milczeniem spółczesnych, nieraz udanem i umyślnem, przeważnie jednak istotnem. Nie w porę bowiem przyszła jego poezya i, trudno o większą sprzeczność, niż ten czas twardy, antypoetycki, i to wcielenie samej poezyi, jakie się Słowackim nazywa, ten „największy artysta“, uznawany wtedy, gdy to słowo padło (1858 r.), wyjątkowo, może przez Klaczkę jedynego.

Kto od poezyi pożytku czy prawdy, morału czy historyi, dokładnego opisu czy refleksyi gruntownych wymaga, zawiedzie się na Słowackim; zato wzruszeń i wrażeń, obrazów i dźwięków, stylu i nastrojów nigdzie więcej nie znajdzie, niż u niego; o nim jedynym można powtórzyć, co Herburt najniesłuszniej Miaskowskiemu przyznawał, że piękności, jakich u Danta, Petrarki, Ariosta, Ronsarda,

Mediny po trosze, u niego tyle, jak kwiatów w lecie. I dziwnie go skrzywdzili spółcześni: Mickiewicz sam unikał wymienienia nawet nazwiska w Kursach literatury — wspomniał o nim tylko raz, od niechcenia, mówiąc o Sybirze i Kopeciu, a napadł nań najgwałtowniej i najniesłuszniej zarazem, wprawdzie również nie wymieniając nazwiska, lecz wątpliwości nie pozostawiając żadnej,—z powodu ks. Marka i roli jego w „Beniowskim"; nie ujął się nawet za jawnie, z powodu własnej osoby, skrzywdzonym poetą, jakby się z oszczercami jego solidaryzował.

Nawet największy Słowackiego wielbiciel, Krasiński, nie zawsze go doceniał; ten sam, co roku 1840 do Gaszyńskiego pisał: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, wy się na nim (Słowackim) nie znacie; przyjdzie czas, w którym się poznacie; wszyscy krzyczeli na Byrona, wszyscy na Fausta, wszyscy na pana Adama, że ciemny, a dziś, dzieci go rozumieją" — napisał o „Królu Duchu" w roku 1847: „Nic prawiem nie zrozumiał, jeśli dwadzieścia strof, to najwięcej; wiersz prześliczny, ale to jak w kalejdoskopie; rysunki barw pełne, lecz bez treści żadnej; dźwięki najdźwięczniejsze, ale bez myśli; albom ja waryat, czytelnik, albo autor, co pisał"; dlaczegoż nie dodał jeszcze *à la* Tańska: „mówią niektórzy, że dwa razy przeczytać trzeba, żeby rozumieć, mnie żal było czasu", chociaż „Król Duch" jest tak samo zrozumiały, jak „Lilla Weneda", a tą się przecież Krasiński zachwycał.

Skądżeż ta chwiejność w sądach albo jawna niesprawiedliwość, gorszące to lekceważenie czy ignorowanie poety, zacięte i krzyczące u Zaleskiego, twierdzącego o Słowackim, że „puszy się jak indyk, lecz ani śpiewać, ani latać nie umie... wszystko cudze i ladaco"; że dawniej błyszczało jakieś byrońskie światełko, „potem już tylko kopci knotem dymiącym"; nawet w „Beniowskim" upatrywał Zaleski brak serca i woni poetyckiej, narodowość pozorną; i Mickiewicz pisał do Zaleskiego w tonie podobnym i podobnie słusznie o biednych pyszałkach - poetach, niby dyktatorach emigranckich gryzionych troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli; cóż mówić o mędrcach z „Tygodnika literackiego" i „Dziennika narodowego"! Winy tych nieporozumień, krzywd i obelg, — w ludziach i czasach, po części jednak i w Słowackim i w jego poezyi, wyprzedzającej wiek swój, szukać należy.

Fatalny był już pierwszy występ, gdy wydał poeta na emigracyi dziełka, pisane jeszcze w kraju, w Warszawie, przed r. 1831,

nietknięte więc, ani tykające katastrofy narodowej, skazane wtedy z góry na najobojętniejsze przyjęcie. Zawierały też cierpkie nieco słowa przedmowy do trzeciego tomiku szczerą prawdę: „Nie zachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła". Inaczej być nie mogło; mówiły owe powieści i tragedye o wszystkiem, tylko nie o tem, co jedynie serca i głowy zaprzątało, a chociaż świadczyły o nadzwyczajnem wirtuostwie formy, o płomiennej wyobraźni, o bogactwie nastrojów, biły z nich jednak w oczy i przykra zawisłość od obcych wzorów, śpiewanie na cudzą nutę, i natrząsanie się niemal z rzeczywistości i jej wymagań.

Młodziutki poeta, bo dwadzieścia jeden lat sobie liczył, gdy te utwory („Hugo", „Mindowe", „Mnich", „Arab", „Bielecki", „Marya Stuart") pisał, a „Żmiję" zaczynał, odrzucił słusznie pierwociny swego talentu, sonety, dumy ukraińskie i t. d.; w r. 1828 powstał „Szanfary", ułamki poematu arabskiego, i cwałowała mu po głowie tragedya o Mahomecie; jeszcze za pobytu na Litwie mógł Mickiewicz pani Bécu prób poetyckich jej synka gratulować i wielką mu przyszłość przepowiadać. Syn profesora literatury polskiej w Krzemieńcu i Wilnie, tłumaczącego „Henryadę", piszącego tragedye „Mendoga" (pierwszą litewską, jeśli „Witenesa" Załuskiego, cud z hostyą, pominiemy) i „Wandę", autora teoryi smaku, całe lata po szkołach popłacającej — odziedziczył po ojcu zmysł i pociąg do poezyi — jak i zarodki choroby płucnej; matka, Salomea Januszewska, była kobieta niezwyczajna, o sentymentalnym nastroju, smaku artystycznym, pociągu do literatury; urodził się z nich w Krzemieńcu, nad Ikwą, 23 sierpnia r. 1809.

Całe wychowanie, niewieście (ojciec umarł już r. 1814), pieszczone, potęgowało już w chłopczyku skłonności marzycielstwa, zadumy i dumy; z latami to rosło; spotkanie i wpływ innego marzyciela (Spitznagla); pierwszy zawód miłosny, w fantazyi potem wyolbrzymiony; unikanie towarzystwa rówieśników — podsycały tylko marzenia, jakim się młodzieniec, nie znający trosk realnych, z namiętnością oddawał, czy na lekcyach uniwersyteckich, czy aplikując w biurze finansowem. I uczył się poeta lękać pospolitości, jako święconej duch zły się lęka wody, i na każdą rzeczywistość się żachał i żył coraz wyłączniej w swoim, piękniejszym, poetyczniejszym, świecie wyobraźni. Dostarczała jej coraz nowej treści obfita lektura, poetów swojskich i obcych, mianowicie Byrona,

bo dumny bluźnierca i szyderca najbardziej przyciągał: i on gardził tłumem, kłócił się z Bogiem i ludźmi, a poetycznością życia imponował. Z Anglików obok Byrona „stary Wil" fantazyę zaprzątał, podsycając skłonność ku wystawianiu konfliktów tragicznych i wszelakich okropności. Z Francuzów Chateaubriand i Alfred de Vigny, później Balzac i pani Sand, ślady w twórczości poety wyryli. Niemców znał nie wiele. Tem bardziej nęcili go Włosi, najbardziej Dante. Z autorów swojskich cenił najwyżej Kochanowskich, Piotra i Jana, dla języka i ducha; najgłębiej przejął się Mickiewiczem — każda stronica „Beniowskiego" o tem świadczy.

Zawisłość pewna od wzorów obcych, zastępujących mu własne doświadczenia i myśli — Byron i Mickiewicz kierowali pierwszymi krokami muzy poety — nie była jedyną cechą, nieodstępną i w dalszej twórczości. Twórczość tę odznaczała nadzwyczajna wrażliwość; samo imię, rzecz więc zupełnie przypadkowa, „uderzało magnetycznie na imaginacyę" i wywoływało coraz nowe obrazy. Jak imię Wallasa kazało jeszcze małemu dziecku marzyć o „czemś podobnem do burzy, która wali lasy", podobnie, pisząc nawet rapsody „Króla Ducha" zawisłym się czynił od byle brzmienia; Ruś Czerwoną od zalania krwią wywodził, Popielowi poczęcie w popiołach przysądzał, a Rzepicę (Rzepkę) Rże - Pychą tłumaczył. Wystarczało byle potrącenie, nie od świata rzeczywistego, lecz od fantazyi czy literatury, żeby rozsnuwać nieskończone wątki; wzmianka przelotna, drobny szczególik, rozrastały się w fantazyi; niby lawiną, staczając się, porywały wszystko, na co trafiały, aż wypełniły próżnią czy przepaść; nieraz bez życia istotnego, a powołane do niego, ssały mary fantastyczne zewsząd krew i soki; lotne te wątki, wiotkę pajęczynę należało dosnuwać najróżnorodniejszymi, nie zawsze zharmonizowanymi pomysłami, a tłoczą się one i roją, trafne i mniej trafne, w nadmiernej obfitości. Uderza to już w obu dramatach młodzieńczych, gdzie coraz nowe momenty widza a raczej czytelnika — nie dla sceny pisał poeta — z tropu zbijają, wnosząc coraz nowe zawikłania; to myślisz, że konflikt tragiczny w „Mindowie" na przeciwieństwie starej, rodzimej wiary ojców i nowej krzyżaków - przybłędów oparty; albo że katolicyzm wietrznicy na tronie o ponury kalwinizm jej poddanych się roztrąci, lecz niebawem przekonywasz się, że poeta dla efektu niczego nie poświęcił, że olśniewał widza scenami i dyalogami, nie pytając o spoistość wiązania, że nie wła-

dał sztuką czy krytyką skreślania rzeczy choćby najpiękniejszych, jeśli niepotrzebne.

Z zadziwiającą przenikliwością, z formalnym darem jasnowidzenia docierał on do najgłębszych konfliktów, np. podnosił trafnie u Darnleja bolesną, poniżającą sprzeczność między prawami męża do żony a bezprawnością „rejenta" do istotnej królowej (sprzeczność, jaka się w ciągu XVIII i XIX wieku na tronach austryackich i holenderskich nieraz ujawniała) — lecz targnął tą struną przelotnie, z motywu najefektowniejszego dalej nie skorzystał i nie pogłębił konfliktu. W tej pogoni za wrażeniem chwilowem, poświęcającej jasność, wyrazistość, dokładność rysunku mieniącej się barwie, nie brakował poeta również między pomysłami obcymi a własnymi: i Słowacki bowiem, jak Molière, *„prend son bien où il le trouve"*; bez najmniejszego wahania dług myśli u Mickiewicza czy Szekspira zaciągał i do tego się sam w przedmowie przyznawał. Pożyczki te rażą jednak czytelnika, ze zdumieniem dawnych znajomych w nowem otoczeniu odnajdującego, posądzającego mimowoli autora, jakoby bez szczudeł czy kijów, na własnych nogach, kroczyć nie umiał.

Uderzały fatalnie i spólne cechy bohaterów, z klasztoru średniowiecznego czy z pustyni arabskiej, z lasów litewskich czy z gór szkockich wychodzących: wszyscy bowiem pokłóceni z Bogiem i światem; wywyższeni nad ludzi pogardzają tłumami i pastwią się nad nimi — nawet i bez celu; Mindowe przynajmniej Litwinów swych grozą w rygorze utrzymuje, masę bezkształtną w formy państwowe ugniata, ale Arab mści się, jakby manjak jaki, nawet nad naturą nieżywą; zbrodniarze to jacyś, przesyceni życiem, nie porzucający go przecież, jeden, bo ma królem zostać, drugi, aby mógł innych dręczyć; wyzywają swemi zbrodniami Boga (pomysł i „Balladyny" i „Króla Ducha" — Słowacki nie tylko innych, lecz i siebie samego powtarzał)—marzyciele, mszczący się nad niewinnymi za rozdźwięk ideałów a rzeczywistości, gniewliwi na nią. I byliby oni tylko kopiami kopii Byrońskich, gdyby nie nowa, specyalna ich, a zupełnie nie byrońska cecha, smutek, tęsknota, godząca nas niemal z nimi, bo przejmująca nas głęboko.

Ich wszystkich nadgryzł robak smutku, nieodstępnego i od autora samego, nadającego ową melancholijną, Chrystusową twarz i jego postaciom i jemu samemu; niedarmoż on się w „Godzinie myśli" spowiadał: „gdy dziecię karmi się marzeniami, jak chlebem

powszednim, to smutno patrzy na świat nieznany!“ Nietylko takiemu Mindowie smutek żrze wnętrze: oto Nick, jeden z błaznów Szekspira, lecz jakżeż w końcu od nich odmienny! żaden z nich nie zginął z owym rozdzierającym okrzykiem „Matko! jak mi źle było na świecie“. Smutków takich Byron wcale nie znał; na nas czyni wrażenie nie Bielecki, poprzysięgający zemstę, do niej wszystko przygotowujący, nią się wreszcie upajający — tu Byron kończy, — lecz Bielecki z Anną, niby Edyp z Antygoną, uchodzący w smutku bezbrzeżnym; i raczej z Malczewskim niż z Byronem spotyka się autor.

„Bielecki“, choć jak wszystko, epizodycznie traktowany, z pomijaniem długich przejść i walk wewnętrznych, podobał się jeszcze najwięcej, był najprzystępniejszy; „Żmija“ — wysnuty z prostej nazwy topograficznej, wału Żmijowego, przedstawiał najwięcej zagadek, dziwną plątaninę fabuły; „Mindowe“ i „Marya“ rozbijały pierwsze u nas zużytą formę dramatu klasycznego, lecz „Mindowe“ raził niedojrzałością teki dziecinnej, z której go ruszać nie należało; „Marya“ stanęła znacznie wyżej, chociaż i ona, luźno zbudowana, właściwej żyły dramatycznej w autorze nie objawiła. Jak Byron i Mickiewicz, jak Puszkin i Lermontow, i Słowacki dramatycznego talentu nie miał i szkodziło tylko „Balladynie“ czy „Lilli Wenedzie“, gwałtowne w formy dramatyczne wciskanie; z dramatów, drukowanych, najwcześniejsze, „Marya“ i „Mazepa“, są najlepsze, bo temat sam, szczególnie pierwszej, fantazyę rwącą poety - Aryosta w karbach utrzymywał.

Trzeci tomik, zawierał, prócz kilku ślicznych liryków i dum, „Lambrę“, „dzieło obcej osnowy“ — takiem określeniem uprzątnął je Goszczyński z drogi krytycznej — znowu nadzwyczaj dla Słowackiego charakterystyczne. Korsarz i wojownik za niepodległość Grecyi, bicz boży na ludzi, przypominał bohaterów byrońskich; nawet, jak oni, jak Konrad Wallenrod trunkiem, rozmarzał się haszyszem, lecz nie, żeby zapominać o życiu: żeby przedłużać sen - marzenie, nie stykać się z rzeczywistością, nie wpadać z obrazów jasnych w ciemność myślenia; opis tych upojeń, ich gmachów nadobłocznych, tych baniek mydlanych, nie jest prześcigniony; i tam nawet smutek prześladuje marzyciela; roją się mu cienie kleftów poległych i podobny do szmerów rosnących potoku dobywa się z nich głos - wyrzut: czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali? Wyrzut ten Słowacki sam do siebie stosował.

Jak z Warszawy, uszedł on nagle i z Paryża, gdzie go wszystko, nawet klasyczna, to jest nienaturalna gra aktorów w tragedy raziła; miasta samego nienawidził; już w r. 1832 losy r. 1871 mu przepowiadał w pysznym wierszu „Paryż“. Osiadł w Genewie na lat kilka i tu, szczególniej porą jesienną, jak i Puszkin, tworzył, chociaż narazie wydrukował tylko „Kordyana“ (na początku roku 1834). Dzieło to w całej spuściźnie poetyckiej Słowackiego—prócz „Anhellego“—jedyne: z bujań po niwach obcych i czasach dalekich spuścił się poeta odrazu do otoczenia najbliższego. Osobliwsza też przyczyna nagły ten, niby nie naturalny zwrot u Słowackiego wywołała; były nią „Dziady“ drezdeńskie, krzywdzące pamięć ojczyma (doktora Bécu); gdy nie mógł na rękę, wyzwał autor na poematy domniemanego przeciwnika; żeby zaś zamiar ten nieco zatrzeć, wydał je bezimiennie pod tytułem: „Kordyan, Część pierwsza Trylogii. Spisek koronacyjny“; przecież i „Dziady“ tylko akt pierwszy dawały.

Dziwnie spotkał się Słowacki z Garczyńskim w obiorze tematu, chociaż przypadkowem może to nie było, a zresztą „Dzieje Wacława“ i „Kordyan“ (nawet imię osobliwsze Słowacki wymyślił, gardzący pospolitemi) stworzone wedle szematu „Dziadów“: młodzieniec, niedoszły samobójca z powodu zawiedzionej miłości, co zwątpił w mądrość i wiarę, przeradza się w patryotę, odnajduje cel bytu i dąży do czynu.

O Lambrze swoim Słowacki powiedział, co się do Kordyana jeszcze lepiej stosuje: „Jest to człowiek, będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czem być mogli, a o których nieznajomi mówią, że nie byli niczem“. Mickiewicz utożsamiał się z Konradem; Słowacki Kordyanowi tylko własnej młodości użyczył; potem go od siebie odszczepił, żeby mógł działającego wystawić. Czynność jego z góry na bezpłodność skazał, bo i wiek po temu: sam Bóg ręce założył, wypoczywając; uwijają się za to czarci i w nocy przygotowania spuszczają na ziemię przyszłych polskich wodzów i mężów stanu, skarykaturowanych niesłychanie, jakby piórem Czyńskiego lub Gurowskiego.

Na takiem tle wystąpi Kordyan - entuzyasta, rwący się do czynu, niezdolny do żadnego, bo brak mu woli, a rozigrana nadto fantazya ubezwładnia mu muskuły. Udzielił mu Słowacki własnego

smutku, wyżerającego wszelką energię; Kordyan zapewnia wprawdzie: „wierzcie mi, wierzcie, ludzie, jam jest wielki, mocny“; ale sam zaraz dodaje: „robak smutku mnie gryzie, tak, że mówiąc z wami, chciałbym przestać i usiąść i zalać się łzami“; nie dziw więc, że nerwy wypowiadają marzycielowi posłuszeństwo, gdy nareszcie o czyn się kusi. Czy go poeta osądził? czy nie widział w nim mimo to wielkości, w jaką Garczyński u Wacława uwierzył? jakkolwiekbądź, charakter wystawił prawdziwy, a scenę, jak rozżarzona wyobraźnia podsuwa zmysłom fantazmagorye najokropniejsze, z nieprześcignionem wykończył mistrzowstwem. Postęp był olbrzymi; wobec bladych mar dawniejszych uderzał Kordyan scenami o wybuchowej niemal sile, nie przewyższonemi i później; poeta sam niebawem znienawidził swoje pierwsze utwory; czy do nich i „Kordyana“ zaliczał?

„Kordyan“ zwrócił większą nieco uwagę publiczności na autora, bo inaczej, niż poprzednie utwory, odpowiadał „duchowi czasu“ i piękności mieścił bez porównania więcej; w dawniejszych ułamki tylko bywały śliczne, np. ów cytat z „Lambra“, powtórzony jako motto „Kordyana“. Zaraz prolog, z trzema osobami, odbijał od wszystkiego, co poeta dotąd napisał; po raz pierwszy stawał tu jego wiersz płomienny, sypiący skrami, a chociaż ciąg dalszy nie ze wszystkiem dotrzymał, co owe osoby zapowiadały, przewyższał ten utwór o całe nieba „Wacława Dzieje“.

Całej prawdy jednak i ten poeta nie dostrzegał; nie popełnił on wprawdzie tego bluźnierstwa, aby jedyne ludzkie, mądre i godne słowa szatanowi kłaść w usta, jak to uczynił Garczyński; przeznaczał je Niemcewiczowi, skrzywdzonemu i poniżonemu w „Przygotowaniu“; i jego więc uniosła fantazya od ziemi i prawdy. Skruszenie jednak Konrada jest Kordyanowi zupełnie obce; wiary swej on nie odzyskał, jak i poeta, sam nie wierzący w szczerość religijnej egzaltacyi i u innych; jeszcze w przedmowie do „Lambra“ odstrychnął się on, nieco szyderczo, od „szkoły religijnej, owej wieczerzy pańskiej polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu“; on, co wszystko do wierszów wyłącznie odnosił, pytał, czy zwrot ten „nie jest sztucznie natchnięty słowami Fryderyka Schlegla, który w religii katolickiej źródło jedyne w poezyi upatruje“; wyraźnie nie wierzył, „aby szkoła de la Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku“, i w Mickiewicza tem godził.

„Kordyan“ mieścił, jak „Dziady“, brylanty poezyi opisowej, liryzmu wysokiego, scen w szekspirowskim duchu wykonanych, mimo to ani dramatem nie był, ani na rzeczywistości silnej osadzony. Lubował się poeta w epizodach i epizodycznem kreśleniu; przeważały ozdóbki; całkiem zewnętrzny był i nagły przewrót, dokonujący się w Kordyanie: powietrze Tella i Winkelrieda owiało go, lecz wiemy z góry, że nie z nimi mu się równać, chociaż czyn Tellowski planuje. Zresztą sztukował i tu poeta własną inwencyę obcemi łatkami; jeśli „Wacława“ pominiemy, „Fausta“ przepomnieć nie podobna, nietylko w scenie przygotowania, niby parodyi z nocy Walpurgi. Lecz nigdzie nie przetopił poeta tak znakomicie obcego materyału, jak właśnie w „Kordyanie“; wszystko tchnie jego własnym duchem; pożyczki, jak stale u Słowackiego, są tylko zewnętrzne, przypadkowe, zapomina się o nich niebawem.

Na drodze „Kordyana“ jednak nie wytrwał poeta; do zapowiedzianych dalszych części nie zabrał się nigdy, jak i Mickiewicz: i obaj może byliby w ambarasie, jak poprowadzić zaczęte dzieło, przynajmniej w formie dramatycznej. Słowacki, w „Kordyanie“ niby aktualny, uleciał niebawem napowrót do dziedzin, gdzie się swobodniejszym czuł panem. Jeszcze tego samego roku (1834) otworzyła mu „Balladyna“ „nową drogę, nowy kraj, poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny“. Nie była to jedyna tragedya płodnej tej jesieni; towarzyszyły jej „Wallas“ (Słowackiemu, gdy jeszcze był dzieckiem, imię w pamięci zastrzęgło, a w samotności genewskiej wypłynęło), dziś nieznany, i „Mazepa“, o którym wprawdzie poeta raz wyraźnie wspomina, że go spalił w kominku, czyż nie przepis tylko na czysto? wydał go przecież roku 1840; przypuszczano, że braki czy załamania w układzie świadczyłyby, iż przy nowem tworzeniu niektóre dawniejsze sceny pobrózdziły, ależ i inne dramaty Słowackiego wykazują podobne załamania. Jakkolwiekbądź „Balladyna“ była jego „faworytką... z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedya jest najlepszą“, i odłożył jej druk tylko dlatego, że nie miał na razie, wobec niewracających się mu koszt ów, czem posmarować pras drukarskich.

Sam czuł i przyznawał, że, „ile razy zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła, i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć; albo gniewny“. Za to trzymał on duszę swą nakształt harfy eolskiej — słowa Krasińskiego z powodu „Balladyny“ — wy-

żej nad dłonie ludzi, śród powiewów nieba... niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej; nie przesadzał poeta, twierdząc w „Beniowskim“, że,

.. kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę,
Wstają mi z grobu mary takie ładne,
Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze,
A każda, co chce, z mego serca bierze,
Sonet, tragedyę, legendę lub odę.

Tak i „Balladynę“ z popiołów ojczyzny wygrzebał; jedna mara inne wywołała. Nęciło fantazyę, lśniącą a lotną, aby zakląć cienie zamierzchłej, bajecznej przeszłości, coś w rodzaju „Aryosta“ z mitów i legend polskich utworzyć. Pisarzów XVIII wieku, ani ciężkich Sasów ani lekkich Stanisławczyków, stać na to nie było; ani „Lechias“ ani „Myszeis“ nie odpowiadały romantycznym gustom; Słowackiemu i Makbety i Liry i Hamlety spokoju nie dawały.

Jak z samego nazwiska wału żmijowego wziął pochop do stworzenia zawiło-fantastycznej powieści, podobnie wystarczył mu wątek „ballady“ ludowej czyli raczej „Malin“ Chodźki, a za nim niewyczerpane bogactwo innych tematów się przedstawiało. W przedmowie do „Balladyny“ wyraźnie to zapowiedział: „Balladyna, wbrew rozwadze i historyi, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, *błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości...* „Balladyna“ jest tylko *epizodem* wielkiego poematu w rodzaju „Aryosta“, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych“.

Pomysł sam był świetny; za świetne wykonanie ręczył zaś talent autora. Musiałaż mieć Polska dzieje bajeczne; rąbek ich uchylały podania „narodowe“, o smoku i Wandzie, o Popielu i Piaście, o pani, co zabiła pana, o siostrobójczyni i inne. Na widownię dziejową wyszła przecież Polska cała w zbroi i pod silnym rządem Piastowiców: musiałyż jednak być czasy i przejścia, które ten rząd wydały, katastrofy, ujarzmienia, wytępiania pierwotnego narodu, dzikie okrucieństwa tyrana, co z pierzchliwych Słowian naród karny utworzył i zahartował—przecie to nie chimeryczneż, a prawdopodobne; przyjmowali je i poważni historycy, np. ujarzmienie Słowian nadgoplańskich przez Lechów, przez „sz-lachtę“. Tak wyroiły się za

„Balladyną“ i „Krakus“ i „Lilla Weneda“ i rapsody „Króla Ducha“. W „Balladynie“ i (niewykończonym, niewydanym) „Krakusie“, najwięcej obcych wątków, Szekspirowskich—„Lilla“ i „Król Duch“ są wykonane zupełnie inaczej, imponują samodzielnością. Pomylił się autor tylko co do formy: aryostowski rozprężny rodzaj nie nadawał się do formy dramatycznej; „Balladyna“ i „Lilla“ widocznie pod tą formą nieodpowiednią ucierpiały; dopiero w „Królu Duchu“, jak przedtem już w „Beniowskim“, trafił poeta na formę właściwą, którą władał nieporównanie.

Skąd to uporne pasowanie się z aniołem dramatycznym? W początkach zawodu przeplatał poeta dramaty powieściami, „Lambro“ przyszedł jeszcze po „Mindowem“ i „Maryi“; dlaczegoż rzucił się poeta po „Lambrze“ całkiem na dramat, krępujący go nadto? Formę „Kordyana“ tłumaczyły jeszcze Dziady — ale potem? Rozstrzygało stałe rozczytywanie się w „Wilu“; jego to sobie Słowacki tak przyswoił, że nawet przytępił uczucie różnicy między własnemi a szekspirowskiemi marami, obrazami, sytuacyami; może zresztą nęciło go, że właśnie w dramacie nikt z „romantyków“ („Izory“ Odyńca ani „opowiadań - działań“ Gosławskiego Słowacki na seryo nie brał) sił nie próbował, że pole było otwarte.

O „Balladynie“ pisał autor do matki — obszerne, długoletnie listowanie jego z ukochaną matką jest najciekawszą i najbogatszą kopalnią szczegółów autobiograficznych i autorskich, nęci i formą i rzewnem, tęsknem uczuciem i szczerością wyznań — że „cała podobna do starej ballady (dlatego imię), ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca“, a w przedmowie do druku „Balladyna wychodzi na świat z aryostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione“. Balladyna więc to udramatyzowana klechda i, jako taka, ani z ludźmi, ani z czasem nie bardzo się liczy; ludzie jej to już niby chrześcijanie, lecz, jak w klechdzie, świat półbóstw, nimf i dryad i duchów, jeszcze się panoszy, chociaż Peruny i Świętowici już zdetronizowani ostatecznie, chociaż te duchy same, jak w klechdzie, na zawsze już nikną; jak w klechdzie, królem zostanie ten, co

koronę - talizman przyniesie (podobny talizman, harfę, w „Lilli Wenedzie“, spotykały próżne zarzuty krytyków, że i ona nic nie pomoże Wenedom, więc niepotrzebna — przecie szczęście w Edenhall było do puharu szklanego przywiązane!); jak w klechdzie, niema różnic w stanach, rycerz Kirkor pod słomianą strzechą towarzyszki życia szuka; jak w klechdzie, głupi Maciuś - Grabiec szczęśliwy nad zasługi. Lecz w błogi i spokojny świat klechdy wmieszał się dysonans, zbrodnia, zabicie siostry, i pociągnie za sobą coraz inne, coraz straszniejsze—już nie jak w klechdzie. Balladyna sięga w końcu aż po koronę; wprzód musiała uprzątnąć wszystkich spólników, zaprzeć się matki własnej, i, gdy nakoniec, zgwałciwszy porządki moralne, nad nie się wzniosła, niedostępna teraz nikomu, piorun, jak w klechdzie, pomścił wyzwanie Boga i ładu boskiego na ziemi; ślepy traf (na początku), ironia losu, niwecząca najlepsze zamiary (w całym dramacie), konsekwencye czynu, zbrodni jednej, pociągającej koniecznie nowe, coraz większe za sobą, przygotowują owego *Deus ex machina,* ów starej estetyki *dignus vindice nodus,* który wbrew niej zawsze niedramatycznym pozostanie, czemś obcem, narzuconem, przypadkowem, nie wypływającem z założenia samego i akcyi.

Obok niedramatyczności zakończenia razić mogło nadmierne bogactwo faktów i motywów, musiało — zbytnie posługiwanie się efektami Szekspirowymi, że aż Krasiński o Balladynie twierdził, jakoby ją „Szekspir porodził w głowie Juliusza“. Rzecz miała się poniekąd, jak z owym Nickiem: pierwszy pomysł bywał obcy, jak zresztą i u Szekspira samego; Goplana to Tytania, ale wykonana całkiem w duchu Słowackiego; eterycznością i tęsknotą przewyższa ulatująca na zawsze sylfida goplańska pierwowzór angielski, płaski wobec niej i prozaiczny niemal, i pozostanie zawsze kreacyą poetyczną o niewymownym wdzięku.

Obok „Balladyny“ powstawały w owem płodnem w prace i marzenia zaciszu genewskiem i inne, niezawisłe od niej i między sobą dramaty: „Mazepa“ i „Horsztyński“ (tytuł, dany przez wydawcę, nie przez Słowackiego, co i innych wydanych po śmierci poety dzieł, np. „Niepoprawnych“, dotyczy), z XVII i XVIII wieku, chociaż nie historyczność leżała w zamiarach poety. „Mazepę“ wydał on (czy przerobił lub nawet świeżo napisał?) na początku roku 1840; tytuł, jak nieraz u Słowackiego, myli; Mazepa dał tylko podnietę do stworzenia tragedyi zazdrości, lecz dziwną ironią losu —

nie Mazepa jest jej bohaterem: wojewoda — polski Otello, polska Desdemona - Amelia, a nawet melancholijny Zbigniew - Don Carlos, zakochany w pięknej, młodej, niewinnej macosze, większe do tego mają prawo; Mazepa - Don Żuan schodzi niemal do podrzędniejszyeh komparsów, jak król-Tartuffe lub kasztelanowa - stręczycielka: od tych wstrętnych raczej postaci odbijają tamte nieszczęściem, smutkiem, namiętnością. Jak w każdym dramacie Słowackiego, są i w Mazepie dygresye i epizody, nie wiążące się z całością — żyła epiczna przeważa; mimo to odznacza się „Mazepa“ wysokiem napięciem dramatycznem, energicznem tempo (nie darmoż może napisany „we dni kilkanaście“) i wstrząsającemi scenami, chociaż niektóre motywy zapożyczone, zwyczajem stałym, u obcych, jakby fantazyi Słowackiego nie starczyło na wymyślanie własnych: dzielił on widocznie poglądy starożytnych i Szekspira, biorących gotowe zręby fabuły z mitu, noweli lub dramatu poprzedników; charaktery niektóre, również częstym trybem u Słowackiego, nie przedstawiają się z zupełną jasnością. O „Horsztyńskim“, tragedyi syna, wahającego się między miłością ojca - hetmana a obowiązkiem patryotycznym i sprowadzającym, a raczej nie uchylającym katastrofy od ojca dla tego wahania, skomplikowanej miłością ku nowej Amelii, tym razem Salomei, sąd trudniejszy, bo rękopis w rozstrzygających miejscach zdefektowany; tragedya cała nabrzmiała smutkiem i łzami; prozą, przeciw zwyczajowi, pisana i może dlatego w końcu zaniedbana, mimo głębokości i wdzięczności tematu.

Z Szwajcaryi, bogatej dla poety wrażeniami — w samych krajobrazach uderzał go nastrój, jednolitość, którą zamierzał przenosić odtąd we własne dzieła—wyjechał poeta do Włoch; spotkanie i przyjaźń z Zygmuntem Krasińskim w Rzymie, to najważniejszy epizod tego pobytu; stamtąd odbył podróż wschodnią, na Grecyę i Egipt zdążając do Grobu Zbawiciela, i po przystanku w klasztorze ormiańskim do Włoch, do Florencyi powrócił, gdzie dłużej zabawił, nim się z końcem roku 1838, tym razem na zawsze, do Paryża na nowo przeniósł.

Wynik podróży był nadzwyczajny; zmężniała i spotężniała muza Słowackiego, wchłaniającego coraz nowe wrażenia: ustały melancholijne jej skargi; nabrała wielorakości tonu, niesłychanego bogactwa i przepychu, iście wschodniego, barw i szczegółów; lubowała się w kontrastach rażących.

Płodność poety była niepomierna; lecz tylko cząstka jej wyszła w ostatecznem obrobieniu na sąd publiczny; inne, liczniejsze rzeczy, pozostawały, niemal z góry na to skazane, w rękopisach i zatracały się, nieraz w najważniejszych partyach. Do takich należy „Podróż na Wschód“, niby parodya Childe Harolda, nadzwyczaj obszerna, bo w ciągłych dygresyach odskakiwał poeta od ruty turysty i w dziewięciu pieśniach dopiero do wybrzeży greckich dotarł; błyszcząca i mieniąca się w tysiącznych barwach, to poezyą, ta wesołością i pustotą, to ironią i przekąsem, to smutkiem i tęsknotą, powagą i żalem.

I w druku następowały po sobie raźnie rzeczy świeże lub dawniejsze („Balladyna“, „Mazepa“, „W Szwajcaryi“); zgryźliwa krytyka, czepiająca się jak pijany płota, szydziła z płodności autorskiej. Najpierw wystąpił on po raz pierwszy i ostatni, z prozą, z „Anhellim“ (1838), świeżo napisanym, z najoryginalniejszym i najsmutniejszym, melancholicznym płodem, niepodobnym do niczego. Temat, poruszony w „Kordyanie“, snuł dalej poeta; prozą biblijną, jakby wedle Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Mickiewicza, przedstawiał losy nie narodu całego, raczej jego emigracyi, jej swarów, walk i nędzy; — z emigrantów tych wyróżnił siebie bohatera smutku i cierpienia, ofiarę zadośćuczynienia za naród, jak ten naród sam miał ponieść zadośćuczynienie za grzechy wszystkich; tło tych smętków i cierpień wybrał fantastyczne całkiem, i to nie realne, lecz borealne, poezyę lodów i zorzy północnej, Eden melancholijny, wystrojony w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd, ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem, aby słów Krasińskiego użyć. Są tu i alegorye, widziadła piekła emigracyjnego i moralnego zniszczenia ofiar jego, nadzwyczaj drastyczne, chociaż dostrojone do owego śnieżnego tonu całości; są i szczegóły historyczne... — zwięzłość poety, niby nowego Dantego, wymagałaby obfitego komentarza; przeważają i wspomnienia osobiste (kochanki pierwszej, nieodstępnej w myślach); jest niby i spowiedź własnego życia, niby program jego a zarazem usprawiedliwienie czy objaśnienie owego smutku, trawiącego poetę; wyrażał go nieraz spółcześnie, w owym pysznym wierszu „Smutno mi Boże“, w owej przygrywce i epilogu „Z Szwajcaryi“:

Bo i tu i tam, za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,

Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle i wiem, że źle będzie...

Smutek ten, to niby ekspiacya: nie czynem męskim, ofiarnym, nie przykładem świecącym i nauką porywającą, lecz oczekiwaniem biernem, skazanem z góry na milczenie i niepamięć, i marzeniem czegoś zaświatowego, porywem za nieuchwytnym, niewyraźnym ideałem, poetyckim naturom właściwym, dokonywa ofiary czy odkupienia Anhelli, wybrany na to od młodu, z rysami swego pożerającego smutku od samej kolebki, sam o tej ofierze przeznaczenia nie wiedzący — gdyż bez tego ofiarą by nie była. Od rozpaczliwie ciemnego tła — widzenia wygnańców i ich robót nierozsądnych, nieludzkich nawet, jak ich postępowanie z Szamanem, odbijają smętne, idealne twarze Anhellego i jego towarzyszek; czysty, jak lilia, biorąca z wody liście i kolory niewinne, pełen miłości i litości, opętany przez anioła, sam niby anioł, jak imię dowodzi, chciałby umrzeć, bo nie wie, dlaczego żyje, lecz wszystkich przeżył, sam został, jak harfa z porwanemi strunami, i ginie, wybrany na ofiarę spokojną, ofiarę serca. Doktryna rozpaczliwa, lecz z takim urokiem słów i obrazów przedstawiona, że rozbraja wątpliwości krytyczne.

Mimowoli nasuwa się porównanie Konrada, Anhellego, Irydyona — bo utwór Krasińskiego nie obcy był Słowackiemu; nawet starzec syberyjski, Szaman, nietylko Wirgiliusza (Dantego), ale i starca od pustyni, Masynissę, przypomina. Stworzył ich wszystkich spólny entuzyazm, ów podkład granitowy całej literatury emigracyjnej; lecz zadanie swe, jako wodza narodowego, każdy z poetów inaczej pojmował i przedstawiał. Niezdolny do czynu, marzyciel Słowacki, podchwycił zapowiedź, wyrażoną w Irydyonie, lecz ją po swojemu wykonał; zamiast czynów ciągłych i bez wytchnienia, zadowolił się wysychaniem serca w piersiach, zmartwychwstania nie zapragnął, nie żądał się ujrzeć wolnym synem niebios; w takiem położeniu bez wyjścia zapowiadał natomiast Konrad mesyanizm, Towiańskiego, apostolstwo nowego słowa ducha i wiary; godzą się zaś wszyscy trzej poeci w tem, że wypierają się zarówno walenrodyzmu, szamotania się z losem, manowców konspiracyjnych, zemsty i zdrady, spadających na tych samych, co się niemi posługują.

Ze wszystkich utworów Słowackiego „Anhelli“ najbardziej fantastyczny, aż do mętności i mistycyzmu; zarazem najzwięźlejszy, a przytem najwięcej skomplikowany, nęci i tajemniczością samą pomysłu i cudownem wykończeniem formy i nadzwyczajną jednolitością tonu i kolorytu: chmura gwiazd, białych duchów, które lgną na łozy, jak szpaki Danta, rzecz taka ponura a taka mleczna, mówi o niej sam poeta.

W podobnym tonie rezygnacyi i smutku, bez żadnego porywu do buntu, tak częstego zresztą u ducha - rewolucyonisty, utrzymał poeta już dawniej sielankę miłosną, „W Szwajcaryi“ (z „Trzech Poematów“, roku 1839): „tak prześlicznie idylliczne, a zarazem tragiczne, że nic podobnego o miłości *marzonej* nie znam w żadnym języku; są tam takie szklistości, przezrocza, takie bańki tęczane, wieńce z świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiej, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu kochającemu, że... trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszów po wierszach Juliusza“, pisał Krasiński.

Najpiękniejsza to dań poetycka, jaką naród polski złożył Szwajcaryi,—wymarzonej, jak miłość, o której poeta śpiewał. Mimo, że ta miłość nie realna — prócz kilku rysów, zdradzających wspomnienia pierwszej i jedynej miłości poety, do Ludwiki Śniadeckiej — stworzył on arcydzieło prawdziwego i głębokiego uczucia. Złożyły się na nie i przyroda alpejska, nastrajająca go do smutku i kochania, i tęsknota za miłością wielką, niepodobną do osiągnienia. Jest to opowiadanie epizodu życiowego, całego przebiegu od pierwszego spotkania, od miłości niewinnej, nieziemskiej, duchowej, przez rozbudzenie namiętności i szału, aż do równego, spokojnego kochania, przerwanego ciosem losu, zawistnego szczęściu ludzkiemu — podobne do opowiadania Araba o losie równie złośliwym, prześladującym niewinnego. Opowiada to poeta o sobie, w pierwszej osobie, lecz skoro to miłość wyśniona, więc całość na sen nieco zakrawa, nieuchwytny, lotny, a mimo to zdolny zwichnąć szczęście na zawsze:

odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,

za tą „marą srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich na odłamie skały stawała przede mną — cicha, czysta, biała i spokojna“: odnajdziemy ją taką samą w „Lilli Wenedzie“, kiedy, zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowie swego poświęcenia historyę, głęboko w serce raniona. Perypetye tego dramatu miłosnego, stworzonego najoryginalniej — tylko pedant najzgryźliwszy, uprzedzony z góry, wypatrzy kilka podobnych sytuacyi u Wirgiliusza, o Dydonie z Eneaszem w grocie, a inne motywy, jeszcze dalsze, u Dantego i Szekspira, a choćby z trenów Kochanowskiego — oddane z największem mistrzostwem, w najmiększych, najdelikatniejszych tonach, w konturach rozwiewnych, unikających wypuklejszego rysu: i wstydliwość pierwszego uczucia i bezgraniczny hołd męski, nie zdobywający się na słowa wyznania, ośmielony dopiero przez bogdankę do tego, i jak igraszkę niewinną, to przezrocze kryształowe dusz, pierwszy powiew namiętności zamącił na zawsze, jak w nowej harmonii zespalały się dusze, aż ugodził cios nieubłagany — do miękkich tonów uczucia dostrojona jest cała przyroda w ciszy i bieli gór majestatycznych, wyidealizowana, jak kochanka - niebianka, wedle zasady, do której się poeta sam przyznawał, stapiający, co widział, z tem, co wymarzył. Nikt cudowniejszej, czystszej miłości delikatniej i czulej nie wyśnił, ani wyraził lepiej owych przeczuć, co straszą i grożą, a pod powiewnymi obrazami romansu kryje się smutek bezbrzeżny, jak w życiu poety, niby nie wywołany niczem, a wszędzie i zawsze przytomny.

Jaką siłą poeta i rzeczywiste nieszczęścia oddawać umiał, pokazywał pierwszy z owych „Trzech Poematów“, „Ojciec Zadżumionych w El Arish“, na fakcie oparty, o Laokoonie arabskim w którego oczach potwór - zaraza jedno po drugiem z ukochanych dzieci pożera, lecz ojca przy życiu zostawia, aby się na nim tem srożej pastwić, nad niewinnym zupełnie wobec nieruchomej, obojętnej przyrody, szydzącej z cierpień, przebiegających całą skalę, od pierwszego przerażenia, od namiętnych złorzeczeń aż do zmiażdżenia, utracenia woli i myśli pod piorunowaniem losu-niszczyciela; poemat tak wymowny i wzruszający, że nie zadowalano się jego sensem dosłownym, że dopatrywano się w nim, jak i w „Balladynie“, jakiej alegoryi.

W „Wacławie“ za to potknął się poeta; nadto znaną była osobistość „grafa Wacława“ z „Maryi“, aby nie raziła dowolność, z jaką poeta dzieje jego przekształcał, fantastyczne dzieje Byrońskiego bohatera, spowiadającego się z grzechów własnych i zbrodni cudzych,

piętrzących się samemi okropnościami; jeden motyw już wtedy cwałował po głowie poety, aby się później wyraźniej wychylić, o popiołach przodków — tak intrygowało poetę imię Popiela. Nerwów czytelnika nie oszczędzał; jeszcze przed okropnościami „Wacława“ rzucił nań „Poematem Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle“, parodyą Dantego, gdzie w stylu kontuszowym, gawędziarskim, o najstraszniejszych mękach prawiono, jakby styl z treścią pogodzić się dawał.

Stylu gawędowego, Soplicowskiego, próbował poeta i w opowiadaniu prozą, od Pana Kochanku, jedynie godnego przedmiotu dla takiego stylu, przeskakując ze strasznymi anachronizmami do księcia Sierotki i jego pielgrzymki do ziemi świętej, a próbując się równocześnie w dramacie prozą z czasów Jana Kazimierza a okolic Krzemieńca, bardzo realistycznie kreślącym, obrazki cichego, szlacheckiego życia, życia żaków i mieszczan, przerwanego katastrofą ogólną; dramat ten („Złota Czaszka“) niestety nie wykonany czyli raczej zdefektowany, tak, że tylko z nadzwyczaj udatnych resztek o znacznej dla literatury stracie wnosić wypada.

Ów odmienny, właściwszy poecie, ponuro - mleczny styl „Anhellego“ i „W Szwajcaryi“ objawił się w nowym dramacie z pradziejów polskich, w „Lilli Wenedzie“; „Krakusa“, niby Henryka IV z innemi kopiami Szekspirowemi, już nie zamierzał poeta ogłosić, imiona z niego powcielał do innych swych rzeczy (Eoliona, Ślaza).

Jak wystarczyło kilka strof „Malin“, aby całą Balladynę przepoić zapachem malin i światłem księżyca, tak kilka wierszów Byronowskich o smutnych losach Julii Alpinuli, poświęcającej się napróżno za ojca, całą tragedyą zawładnęły, powołały do życia postać niebianki-dziewicy, co, nie zaznawszy innej miłości, wylała się cała, Kordelia słowiańska czy Antygona, w prostocie anielskiej, dla rodziny nieszczęśliwej, aby — napróżno — uchylić, co losy przeznaczyły.

Z tą tragedyą miłości rodzinnej wiążę się tragedya narodowa: Derwid, król Wenedów, ginie z całym ludem, wytępionym przez Lecha i jego Lechitów; niby w Meksyku Montezumy i Korteza, najeźdcy, liczbą drobni, umysłem podli, zwyciężają lud liczny i bitny, bo mają energię i serce, którego brak przeciwnikom, rosłym i silnym, lecz bladym i białym, pobitym przed samą walką. W pół wieku po „Lilli“ podobnież początki państwa polskiego z podboju przez stanice Popiela (nie Lecha) Piekosiński wyprowadzał: teoryą najazdu i Niemcy objaśniali przewagę szlachty polskiej, fizycznie nawet odmiennej od typu ludu polsko-słowiańskiego, a przed nimi i niektórzy polscy uczeni sami przełom w dziejach pierwotnych tak określali; i znowu był sam pomysł Słowackiego świetny, choć dziwny i niepokojący.

Lechici więc, obdarzeni przez poetę, szydzącego stale z wszelkiej chronologii, cechami późniejszej szlachty, nawet jej gustem „do wrzasku, do ukwaszonych ogórków, do herbów“, zwyciężają Wenedów. Są widocznie lepiej uzbrojeni (jak Hiszpani), przecież mówi Lech-karzeł o olbrzymie-Wenedzie: że ja maleńki, to on mną pogardza, a wiem, że mego miecza nie udźwignie, jakby w żelaza uzbrojeni (Lechici), nieliczni, zwyciężyć musieli i ujarzmić innych (Wenedów), gnącym się bronzem, kijcem i krzemieniem tylko walczących. Tragedye, jak owa Wenedów - Lechitów, zakrwawiały pola przeddziejowe nieraz, i pomysł Słowackiego był, jak tylokrotnie u niego, niezwykły, nowy a trafny, genialny, choć złowieszczy i przygnębiający.

Dla scharakteryzowania Wenedów użył on, prócz rysów i barw Ossyańskich, wiadomości, podanej przez kronikarzów bizantyńskich o rosłych wenedzkich śpiewakach, daleki pochód bez miecza odbywających; z innych, mniej wiarogodnych źródeł, inne szczegóły w najlepszej wierze powplatał, np. o Lelum - Polelum, i nazwą i kształtem (dwuch serc o jednych ręku) zagubę narodu, wydającego takich bohaterów — a emigracyjni byli wszyscy tej modły — z góry wieszczących. Wplątał i chrześcijaństwo, na przekorę ultrakatolicyzmowi kółek emigracyjnych, wystawiając przedstawicieli jego w arcy - niewygodnem oświetleniu; za nich to, obniżających nawet koturn tragiczny, przyjaciel od serca (Krasiński) zgromił, i słusznie. Jeden z nich łotr wierutny, podła dusza, drugi święty, lecz nie świetny; anioł - Lilla tak jest opromieniona wdziękami ciała i duszy, że i aureola chrześcijańska nic jej uroku dodać nie może. Siostra jej, krwawo-płomienna Róża, od białej lilii - anielicy odbijająca, to wcielenie żywiołowej siły ginącego plemienia, co—za przykładem mitu greckiego, znanego Słowackiemu z „Przemian“ Owidyuszowych—popiołami przodków zapłodniona, Popiela-mściciela wyda na świat; nazwę tradycyjną (od włosów), między Słowianami wcale nie rzadką, pojął poeta dosłownie. Do tych dwu wprowadził on i trzecią heroinę, Gwinonę — Słowacki sam jeden więcej typów

kobiecych stworzył, niż wszyscy nasi wielcy poeci razem — Lech, awanturując się po świecie, awanturnicę - amazonkę germańską napotkał, rywalizującą z Chriemhildami frankońskiemi w krwiożerczości i energii, gardzącą nawet w imię tej zaciętości mężem własnym i narodem jego, szydzącą z ramion rycerskich, a głowy bezmyślnej. W obec tych trzech kobiet, mężczyźni Derwid, Lech, Lelum - Polelum, schodzą z głównego planu; bohaterka Lilla trzema zawodami ojca, ofiarę bierną, niechybnej śmierci, rękom mściwej i hardej Gwinony odbija. Lecz o wiele większy efekt byłby Słowacki wywołał, gdyby to wszystko nieporównanym swym wierszem opisywał, nie na scenę realną wprowadzał.

Zewnętrznej szaty użył chameleon-poeta tym razem starogreckiej, nawet chórami się posługując, aby posągową wielkość osób „prosto a z krzykiem“ wystawił; od strasznych, odrażających scen, od katastrof, wywołanych nie winą osobistą, lecz przez nieubłagane fatum dziejowe, przygnębiających więc tem bardziej czytelnika, odbija styl klasyczny, koturnowy.

Niestety, nie zadowolił się autor niezbędnymi dla uwydatnienia idei motywami i osobami: bujnej imaginacyi folgując, przyplątał, pomiatając górnie chronologią, owych przedstawicieli chrześcijaństwa, pedantycznego Gwalberta i Ślaza (Cheilona Sienkiewicza i Falstaffa Szekspira, nie adepta nowej wiary); wyczytawszy bowiem w opisie Alpinuli, że była kapłanką, nałożył najniepotrzebniej na Lillę śluby chrześcijaństwa, szydząc chyba z ich bezużyteczności. Akcesorya te, zbędne całkiem, a psujące ton wyniosły całości; wywody słowne, na które Słowacki lgnął, jak muchy na miód, (np. Polelum, że po „Lelu“ będzie i t. p.), to wilki szkodliwe, z których pień wspaniały okrzesać należało. „Lillą“ targnął Słowacki za najskrytsze struny jestestwa narodowego i nie przypadkowo dołączył on do niej wiersze Grobowca Agamenona, chłoszczące boleśnie, dotkliwie, poczucie i godność narodową.

Fantazya Słowackiego, zawsze w okropnościach się lubująca, zwracała się i ku obcym tematom, nastręczającym ich stek, więc i ku Beatryks Cenci, ojcobójczyni w imię skalanego dziewictwa; po Shelley'owej, po dokonanej zbrodni, ją wystawił i nowe zbrodnie, bratobójstwo dodał; dramatu, zachowanego w papierach, pozostałych w całości, mimo zapowiedzi dziennikarskiej, nie wydał, bojąc się może nowych zarzutów „obcej osnowy“. Nie wydał jednak — literatura emigracyjna wracała z trudem łożone na wydawnictwa

koszty — i „Nowej Dejaniry“ („Niepoprawnych“), gdzie do najbliższej rzeczywistości sięgał, do życia wielkopańskiego i ofiar jego: hrabiostwo Respektowie poświęciliby córkę bez skrupułów; cios uchyla wmieszanie się osób innych; rozstrzyga Czerkies, poświęcając życie również bez szkrupułów, ale — własne; tragiczny przez to dramat — wmieszaniem scen komicznych w tonie nie utrzymany, również, jak Lilla — mija się niemal z satyrycznem założeniem, godzącem nietylko w Respektów, ale jeszcze bardziej w Fantazego i Idalię (niby Idealię) i ich poetycko-sentymentalne turnieje, postacie ciekawe właśnie dla romantycznej egzaltacyi główek, nie serc, których „pasz“: może wzgląd i na jawną niedyskrecyę — portrety obojga wzięte z najbliższych, najlepszych znajomych poety - Chochlika — wydania odradzał.

Chochlik - Słowacki rozigrał się w najlepsze w „Beniowskim“. Jak Mickiewicza, przyciągała i jego konfederacya barska, ostatni ruch staropolski o fantazyi szlacheckiej, z malowniczymi szczegółami i charakterystycznymi osobami, nie na miarę ludzi dzisiejszych stworzonymi, zakrywającymi niedołężność samej akcyi; nie Puławskiego jednak bohaterem obierał, lecz księdza Marka, Sawę i wplątanego w Barszczyznę Węgra, Beniowskiego. Już to rzeczywisty Beniowski, co na Kamczatce bunt, a w Madagaskarze królestwo wzniósł, chyba nieprzebrańszą kopalnię poetyckich dygresyi przedstawiał, niż sam fantastyczny Don Żuan Byrona; Rulhière'a, historyka owych walk polskich, znał i cenił Słowacki i z niego czerpał, warując sobie, jak zawsze, najzupełniejszą swobodę, w kreśleniu akcyi i charakterów.

Temat Beniowskiego zaprzątał go latami. Nadawał mu się najpierw do stworzenia polskiego Fausta: marzeniem Słowackiego było na własną paletę sprowadzać wszelkie barwy i blaski, w jakie się poezya świata mieni; Otello i Lir, Makbet i Hamlet, Ossyan i Dante, Eurypides i Kalderon mieli mu hołdować czy go zasilać. Więc nęcił również Faust - Mefistofel, ale, zamiast Twardowskiego i Krzemionek, obrał sobie Beniowskiego i Morskie Oko, przeprowadzając Beniowskiego na płaszczu Pamfila przez Ruś i Litwę Powstawały sceny nadzwyczaj efektowne, ludowe, z Litwinem i Mazurem, z Panie Kochanku i ks. Markiem — może nadmiar tej fantastyczności w końcu go zraził, gdyż nie ulegał się w formach dramatu, i przerywał go poeta sam wstawkami epicznemi. Rzucił więc formę dramatyczną; fragmenty jej przedstawiają kalejdoskop

dziwnej piękności, głębokiego czucia, najniezwyklejszych szczegółów; nie zadowolił go Faust-Beniowski, ścierający motyli pył z serca i głowy, nabywający gorzkiego doświadczenia, niewiary — wrócił on do świeżego i zdrowego Don Żuana niby, rzucającego się z dziwną otuchą, z wiarą w gwiazdę przewodnią, w wir walk fizycznych, nie myślowych. Z formą odmienił i bohatera, zrobił go epicznym, godnym braci Homerowej, tem łatwiej, że okoliczności osobliwsze zmusiły do obrania tej epicznej formy, w której niezrównany kunszt najwyższe miał święcić tryumfy.

Dziwne to były okoliczności. Od dawna drażniły poetę brak uznania, milczenie ogółu, obojętne lub uszczypliwe wzmianki starych bab krytycznych, ferujących wyroki o rzeczach sztuki najwyższej, na której się nie znały; „kruszyło się w nim serce smętne, że nikogo nie miał ze szlachetnych za sobą, że próżno słowa wyrzucał namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych, na serca zawsze wstrętne".

Gdy się przezwyciężył, gdy przystąpił ze słowami szczerego uwielbienia do Mickiewicza, gdy się do niego w świetnej improwizacyi dostroił, przedstawili to niechętni, jako abdykacyę, poniżenie jego, odmówienie mu tytułu poety, i znowu nikt się za nim nie ujął; więc sam sobie sprawiedliwość wymierzył. Oktawy Aryostowe nadawały się do ciągłych dygresyi, w jakie się wprawił, pisząc „Podróż na Wschód"; jak w niej dotarł nie daleko, podobnie i w pięciu pieśniach Beniowskiego — bohatera dopiero na progu właściwych wędrówek i awantur postawił.

Wierszem Tassa zaczął epos o czterdziestuczterech pieśniach, z góry wiedząc, że go nie skończy, gdyż, jak Byronowi w Don Żuanie, i jemu o żadną całość, o Beniowskiego wcale nie chodziło: na tej kanwie wysnuwał on swe credo polityczne, religijne, literackie; ścierał się z wrogami i koteryami, wyzywał niezdarnych recenzentów, krytykę z prymasem Grabowskim na czele, filozoficzność „Tygodnika literackiego Poznańskiego", dewocyę Witwickiego, „principia" emigracyjne, słabostki narodowe; zmierzył się w końcu z Mickiewiczem samym:

Długo po świecie, pielgrzym tajemniczy,
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła...

Różnemi drogi mój poemat wiodę...
Nie wiem, czego chce i czego dowodzi.
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił, i nic więcej.

Obok tych wynurzań i wywnętrzań, subjektywnych, złośliwych, gdzie „ten ścięty rym nieraz kąsa was aż do jelitów i płynie, jako szalone okręty", sama treść wystawiona, nadzwyczaj poetyczna i ponętna, w całej krasie wyobraźni płomiennej a niewyczerpanej, w całym czarze słowa i muzykalnego i malowniczego. Postaci zajmują, od dziwaka starego, pana Ladawy, z mitologicznymi zakusami; od wroga konfederatów, Dzieduszyckiego, podkradającego się do bogatego pana o rękę córki, aż do Beniowskiego, repliki Pana Tadeusza fantazyą i sercem, nie dalekiego ni myślą, ni doświadczeniem, bogatego uczuciem, młodością, siłą; do Sawy, ogromnego skarbu dla pisoryma, pół kozaka a pół szlachcica; do księdza Marka, górującego świętym zapałem, niewzruszoną wiarą, gołębią prostotą, energiczną myślą, natchnieniem z niebios nad całem otoczeniem; do obu kobiet, najpiękniejszych jakie literatura stworzyła, do Anieli, wstydliwej i skromnej, energicznej i ostrożnej, gotowej do ofiar i poświęcenia, niezłomnej mimo przyrodzonej wiotkości, szlachetnej i czułej; do owej Swentyny, kozaczki - cyganki, z niewysłowionym wdziękiem dziecka natury, niby „Mignon" Getego: wiatr i gołębica, poseł i anioł, ta śpiewna, czarodziejska stepowa królewna, jako duch ze mgły na słońcu różany, z ptakami srebrnymi, ubierającymi jej wysmukłe ramiona.

I mimo ciągłych przerw i odskoków toczy się wartko opowiadanie, od chwili, gdy Beniowski dom, już nie własny, wierzycielom zostawia, z Anielą się wita i żegna, aż do napadu na zamek ladawski, zamierzonego przez hajdamaków, a dokonanego przez Marka i Sawę, do walk na równinie Barskiej i wysłania Beniowskiego do chana krymskiego. Postaci wyidealizowane, od ks. Marka, mało do prawdziwego ks. Jandułowicza podobnego, do Sawy - Calińskiego i jego uroczej siostry, każda jednak utrzymana w swoim tonie, osadzona na tym granicie rzeczywistości, czego postaciom Słowackiego przedtem nieraz brakowało. A do tych lazurów wymysłu przymieszał poeta, za radą przyjaciela (Krasińskiego), trochę żółci, dał uczuć rękę, rąbał i siekał, aby, zostawiwszy trupy

na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie i gdzieindziej lecieć, „gdzie mnie z widm orszakiem

Fantazyi czeka muza, świeża, płocha,
Młodości mojej czarowna pochodnia,
Błyszcząca, razem smętna, muza wschodnia.

Rola nowa satyryka nie odpowiadała poecie; przyznawał sam: gdyby miał nie tyle wzgardy tego, co jest i będzie, więcej litości nad sobą samym, dawną dumną wolę —

Być może, lutnię szalonego barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną —

tymczasem jednak rozkoszował się w dzikiej harmonii gwaru, co czasem, jak wąż pośród ruin, syka, a czasem pobobna do aniołów swaru — odczuwając całą pełnię swej siły poetyckiej, dumny przekonaniem:

do wiersza mam, jak sądzę, prawo:
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mnie sekstyna.

I dopełnił, co zamierzał:

aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga, Nimfy miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem...

„Child-Harolda“ swego, „Podróży na Wschód“, nie przeznaczał Słowacki do druku; wcielał z niej całe ustępy i do „Lilli Wenedy“ i „Beniowskiego“, rozrzucający z hojnością królewską skarby nieprzebrane wymysłów poetyckich; Don Żuanem - Beniowskim podzielił się za to poeta z publicznością, chociaż zamiast aplauzu — gromy, nawet wyzwanie na pojedynek pozyskał. Porównanie z Don Żuanem o tyle nie wypada na korzyść Słowackiego, że jego widokrąg znacznie węższy; że sprawy osobiste, literackie,

przeciwnicy najmarniejsi, zbyt wiele miejsca i zaszczytu zabierają; że apostrofa końcowa nie Boga lub świat, lecz rywala na parnasie wyzywa. Ale olbrzymia siła poetycka występuje w szczegółach, w owym liście Anieli, równym listowi Tatyany i Elwiry; przejmującą tęsknotą, dotkliwym smutkiem całą sympatyę naszą zdobył poeta; świetną wyobraźnią, głębokiemi myślami, choćby paradoksalnemi, nas olśnił; kaprysami nawet swej muzy oczarował; widoczną nieraz przesadą nie odtrącił: wszystko okupywał czarem słowa, harmonią wierszów, przepychem kolorów: kto po nim potrafi wiersze pisać, wzdychał Krasiński.

Do najrzewniejszych ustępów należą skarga do kochanki — bo ani w Anhellim ani w Beniowskim o niej nie zapomniał, — pierwotnie do matki stosowana; do najwznioślejszych — wyznanie wiary,

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu...
Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza:
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni on nie chełza...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza..;

są najzłośliwsze ustępy o emigracyi i jej bohaterach, o Jezuitach i ich robocie. Poeta był u zenitu swej siły.

Stworzył on arcydzieło w rodzaju Aryosta czy Don Żuana; połączył rzutkość, giętkość, błyskotliwość wysłowienia z opowiadaniem samem, pełnem blasków i życia; lotna jego fantazya uplotła pasmo barwne, chaotyczne, niby z najdziwniejszych epizodów; kontrastowały „cudowna awantur girlanda“, stek przygód nadzwyczajnych, postaci wymarzonych (od Swentyny czarującej do owego milczącego brytana u Sawy), z realnością rysów i uwag; rycerskość ludzi renesansowych, bohaterów epicznych, z poziomością owego mamuta Litwina, zé słomą w butach, ze sługą Perkunasem i zawijaniem kołdunów. Obrazy niesłychanej barwności i drastyczności (scena w zamku ladawskim z przygwożdżoną ręką pana regimentarza, pojedynek Sawy i Beniowskiego; sceny w dębie, której Aryosto nie

przewyższył, lub w Anielinkach, z ich rzewnym wdziękiem) przetykał poeta to wybuchami sarkazmów, wybrykami humoru, docinkami ironicznymi, czy emigracyę o łatwowierność posądzał, czy o brak w niej charakterów (Żeby też jedna pierś była zrobiona nie podług miary krawca, lecz Fidyasza i t. d.), czy z jej doktrynerstwa się natrząsał, czy recenzentów kąsał; to przeplatał je smętnemi skargami, żalem nieutulonym, zwolna serca swego rwał kawały, zamieniał je w piorun i w twarz ludziom ciskał; hołd, złożony bogdance młodości, do pereł erotyki wszechświatowej się liczy.

Z „Beniowskiego“ ogłosił pięć a napisał czternaście pieśni; od szóstej do trzynastej opiewał głównie (nieudałe) poselstwo do chana; tem wyczerpywała się część pierwsza. Z drugiej, z „Iliady Barskiej“, tylko pieśń pierwsza wykończona — potem rwał duch poetę do innego lotu. I w następnych pieśniach znachodzimy piękności niezrównane; z dygresyi uderza hołd nadzwyczajny, złożony „Panu Tadeuszowi“, lub namiętna wycieczka przeciw Hance i mżonkom czeskim; w dalszym ciągu poeta coraz gwałtowniej i niespokojniej się rzucał, rymy i koloryt stawały się coraz dziwniejsze, harmonii było coraz mniej, coraz mniej władania nad inspiracyą, coraz fantastyczniejszą. Nie przypadek to był: podziałał tu wpływ inny, nie literacki; ten, co niedawno o sobie twierdził,

żem jest coś, jak grecki antyk,
panteista trochę i romantyk,

przedzierzgnął się nagle w Towiańczyka, r. 1842.

Z mistrzem poufaliło go najpierw wysokie znaczenie, przypisywane natchnieniu, światłu górnemu, trąceniu Duchem; któż mógł je lepiej ocenić, niż on, „syn pieśni, syn królewski“? Nęciła nauka o duchach światłych i ciemnych tego, na którego „z grobów ojczystych patrzą blade twarze“, a od którego srebrny anioł i złoty duch dobrej rady odganiają czarne Cherubinów stada. Kto mit o Popielu tworzył, ten w metempsychozę, w wędrówkę duchów, w stopniowe podnoszenie się lub spadanie z góry musiał uwierzyć. Lecz nie fantazya sama odgrywała tu rolę, kazała mu apostołować wszędzie, w łonie własnej rodziny, u Krasińskiego i innych — pod wpływem nowej wiary odmienił się cały człowiek, wylinił się z dawnych przywyczek czy nałogów. Zapomniał o sobie samym, nie dbał już o pozory, wygody, przyjemności; służył innym, pozbył się wszelkiej

wrażliwości, tak łatwo dotąd odstręczającej od niego, od podejrzliwości i próżności; nie łaknął już sławy osobistej; wszedł w siebie, spokorniał i skruszał. Przepajał się miłością do ludzi, wymagał coraz więcej od siebie, coraz mniej od innych, przeanielał się za życia. Wiarą, wyznawaną dotąd raczej ustami, fantastyczną i kapryśną nieraz, jak jego miłość ojczyzny, przejmował się coraz rzetelniej, schrześcijanił się zupełnie.

W miarę jak zyskiwał człowiek, tracił na razie poeta: umysłowo tem wyłączniej czynny, pożerający co nie miara dzieł filozoficznych i przyrodniczych, piszący nadzwyczaj wiele, pozbywał się zrazu krytyki, rozwagi, puszczał się ślepo za natchnieniem chwilowem, gorączkowem. Przejęty boskością natchnienia nie starał się zrazu kontrolować go, uważał się niby za naczynie, przez które się to natchnie nietylko przelewa: „jak szalony, piszę prędko... pisałem tak, żem się aż zmęczył i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą“. Wyznawał sam, „że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłumaczyć nie mogę, nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą“; były to improwizacye raczej, niż utwory sztuki. Wyprzedzało je tłumaczenie „Księcia Niezłomnego“; do mistyka - dramaturga hiszpańskiego przyciągało Słowackiego od dawna wiele spólnego, ów żar namiętności, wylewający się w burzy słów i porównań, egzaltowane uczucie, nadludzkie charaktery, cierpienia i czyny. Formą Kalderona przejął się teraz poeta i w niej utworzył „Księdza Marka“ i „Sen Srebrny Salomei“. Wydała je Iliada Barska; ciąg dalszy „Beniowskiego“ wylał się znowu w formie dramatycznej, do której poeta zawsze nawracał.

Ze wszystkich tych prac tylko ów przekład trwałym nabytkiem dla literatury pozostał, nie dla wierności i dokładności, lecz dla znakomitego utrzymania się w tonie namiętno-mistycznym Hiszpana, a raczej w prześcignięciu jego. Za to grzeszą oba dramaty, barski i hajdamacki, rozwlekłością dykcyi: wezbrany, mętny potok słów wylewa secinami wierszów, rozrywa wszelkie tamy dramatyczne, uniemożliwia efekt sceniczny; nieprawdopodobieństwem akcyi, piętrzącej okropności na okropnościach (odzieranie z pasów, palenie żywcem) lub cudami samymi się toczącej, jaskrawej zawsze, przerażającej; dziwacznością albo raczej brakiem motywowania, niekonsekwencyą charakterów. Beniowski, zdrowy i silny, ustąpił; miejsce jego zajęli wizyonerzy-prorocy, cudotwórcy i lirnicy-czaro-

dzieje, ks. Marek i Wernyhora; dalej tłoczą się figury hajdamackie, wrogowie konfederacyi, tępiciele buntu; od nadmiaru osób, cudów, dzikości omdlewa uwaga czytelnika, bierze go w końcu niesmak, przesyca się wstrętem tych scen nocnych, ginących w półświetle fantastycznem, przelewających się krwią i łzami, ponurych, rozdzierających nerwy. Ginęły w tym nawale grozy i przerażenia pojedyńcze, wzniosłe słowa (o wszechmocy miłości chrześcijańskiej), wymowne ustępy, porywające sceny o sile niepohamowanej, tajemnicze wywody (np. Wernyhory) i myśli głębokie, ukryte raczej, niż jawnie wypowiedziane, osobliwsze zamiary i cele.

Najniżej stanął „Ksiądz Marek“, mimo wyniesienia potęgi słowa i ducha, nie znających szrank cielesnych czy materyalnych, płodzących cudy; przez ks. Marka i Judytę działają siły nadprzyrodzone, jak i przez słowa poety: jak oni za swe czyny, tak on za swe słowa jest nieodpowiedzialny; akcya przybiera więc cechy żywiołowej, elementarnej i budzi, właśnie na scenie, porywające zajęcie — poemat ten dramatyczny jest sceniczniejszy, niż dramaty autora; sama jego akcya jest bezpośrednią propagandą towiańszczyzny, wiary w duchów i cudowność, wyrażonej owym pysznym językiem poety.

Niebawem jednak ochłonął nieco poeta z tego żaru i ostro siebie osądził, pisząc do Krasińskiego, dotkniętego postacią swego przodka w tym dramacie: „sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał, jak kochanek, który w bezsennej nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszej głupocie, podobnie ja, aż po napisaniu dramatu, obaczyłem wątłość dzieła“. Krótkim wierszem Kalderona, urywanym niby, zawładnął poeta znakomicie, lecz dawał się unosić niepohamowanemu rozpędowi słowa, do którego się godnie dostrajały uczucia najprzesadniejsze, ekstatyczni ludzie, niby zstępujący z płócien Ribeiry, orgie i szały myśli i czynów, wyłaniające się z tła najposępniejszego, tonącego w nocy ponurej, oświetlanej błyskawicami, ogłuszanej grzmotami.

W ściślejszem, mickiewiczowskiem kółku towiańskiem nie wytrwał zbyt długo poeta; nie poddawała się harda natura jego ciągłemu, nieraz niewłaściwemu podpatrywaniu tajemnic duchowych, wysilaniu się na „ton“, nadmiarowi nauk, przestróg, a choćby upokorzeń; zbyt głębokie różnice dzieliły oba duchy. Mimo zerwania z kółkiem, nie przestał Słowacki być Towiańczykiem aż do

śmierci; jak dotąd, oskrzydlał i nadal Towianizm jego pomysły, coraz dziwniejsze, a nieraz i dziwaczniejsze, chorobliwsze. Pisał nadzwyczaj wiele, chociaż nie wiele wykończył; czasem pod wpływem jakiegość wrażenia, zasłyszanego opowiadania, przeczytanego wiersza, rzucał swe nadobłoczne krainy i do rzeczywistości się zniżał, np. w przejmującej zgrozą „Rozmowie z Matką Makryną Mieczysławską“, rywalizującej z „Ojcem Zadżumionych“, albo w „Wierszu do Autora Trzech Psalmów“, zjadliwym pamflecie politycznym. Pisał we wszystkich formach, wierszem i prozą uroczystą, modlitewną czy prorocką, np. „Genesis z ducha“, gdzie pogląd na świat materyalny i jego uduchowienie stopniowe najzupełniej wyłożył: wyznanie wiary panteistycznej, pogląd na wszechświat i jego rozwój, przeładowany terminami technicznymi i szczegółami zbędnymi, obfitujący obok tego w znakomite obrazy i myśli, górujący w żądaniu czynu, t. j. ofiary, przypisujący własnemu narodowi rolę najwybitniejszą.

Inaczej, niż u Mickiewicza, uderzył towianizm u Słowackiego znowu przeważnie na fantazyę, odczepił ją od jednostki i doby, pogrążył w dociekania zaświatowe; i te brał Słowacki za natchnienia z góry i o prawdzie ich był przekonany i kończył je modlitwą: „O Panie, który kazałeś szumowi morskiemu i szelestowi wietrznych pól, bladem kwiatkiem okrytych, aby wiedzę na dnie ducha mego uśpioną obudziły, spraw, aby te słowa, westchnieniem pisane, przeszły, jak wiatr i szum morski, a przechodząc i mijając, mocy duchowe w ojczyźnie mojej uśpione z nieświadomości własnej na światło wiedzy wywiodły“. Prawem ciążenia tego świata był aksyomat: wszystko dla ducha i przez ducha, a nic dla cielesnego celu nie istnieje, i ciekawem jest śledzić, jak rozmaitemi przemianami i trójcami, wykombinowanemi nieraz świetnie, Słowacki świat i raj słoneczny i utratę jego i powrót do niego budował.

Obok traktatów, a raczej zbiorów aforyzmów, godnych ucznia Swedenborga, liczne dramaty, najfantastyczniejsze (np. o Zborowskim), wystawiały bohaterów ducha, narzędzia Opatrzności, dziwne symbole. Z dramatów tych najbardziej wykończony „Agezylaus“; bohater jego Agis, poświęca siebie, ażeby porządki Likurga, paladyum Sparty, któremu się sprzeniewierzyła, na nowo urzeczywistnić, jakby porządki Chrystusowe w naszem społeczeństwie chciał kto przeprowadzać; Agis ginie w nierównej walce z niechętnymi, z wielbicielami materyalnej siły, egoizmu, interesu, ginie ofarą

za obce grzechy i winy; obok niego staje godnie niewiasta, nie znająca innego obowiązku, prócz poświęcenia się, najpierw za ojca, potem za męża.

Od tych rzutów, scen i pomysłów, z góry zapewne nie przeznaczonych na ostateczne wykończenie, odbija wytężona praca kilkuletnia nad rapsodami „Króla-Ducha". Z głębokiej wiary w duszę nieśmiertelną, w moc Ducha, wyłoni się łatwo wiara nietylko w istnienie owej uśpionej duszy po śmierci, lecz i w przyoblekanie przez nią nowych kształtów, w jej podnoszenie się lub opadanie przez pokolenia, w urzeczywistnianie idei przewodniej w coraz nowych formach bytu.

Wodzem narodu, jego królem-duchem ten, co najpełniej, najświadomiej posłannictwem jego się przejmie i wcielać je usiłuje, albo, słowami poety samego, „podobnie, jak przed światem stworzonym, było słowo czyli duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnie poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla której następnie ludzie, w formę pewną, tej idei właściwą, skrystalizowani, pracowali; z takich to idei powstawała pewna forma agregacyjna i ta stanowiła narodowość. Idee takie... z całą pięknością ogni, ulatujących nad narodami, przelatywały i świeciły — wyobrażone nareszcie mniej więcej, usiłowaniem czynnem rasy, dla której były stworzone, przechodziły w kształt".

Otóż Armeńczyk Her — wzięty z Platona, gdyż jego "ideje" są podstawą całego pomysłu — wody letejskiej, zapomnienia, nie skosztowawszy, ujrzał w zaświcie „wid... piękność, córkę Słowa, panią któregoś z ludów na Północy"; duchy mu ją pokazały — jako świt daleki, umiłowaną odtąd i na wieki, śpiewając na harfach wietrzanych:

Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny przez dobre duchy malowane;
Żywot tysiącem żywotów zapłacisz,
A zawsze jedną tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema,
Tę jedną smętną ranę — że jej niema!

Za nią to jego dusza na nowe się wzmogła loty i nowym buchnęła płomieniem, odtąd przeznaczona do coraz nowych wcielań, o których rapsody prawić miały:

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy, wężową napełnione zdradą,
Powiem, wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte,

—a więc wyznanie wiary Towiańskiego, o kolumnach duchów jasnych i ciemnych i ich zapasach.

Pierwsze wcielenie Hera, któremu duchy „jutrzenek greckich różaną pogodę nagle ręką zasłoniły", to Popiel, syn popiołów, wydany na świat przez owa nornę-walkiryę, Różę (Słowacki, jak i Krasiński, z upodobaniem z sag północnych czerpał, zastępując niemi brak słowiańskich), aby był mścicielem wytępionych Wenedów. Przewędrował on kraj rodzinny, dostał się do króla Lecha za pachołka i niebawem wysoko stanął, gdyż rada zemsty uprzątała mu wszelkie zapory, kiedy się z duchami ciemnymi sprzymierzył, zamierzywszy się tylko myślą lub uderzywszy oczyma, usuwał rywalów czy wrogów i w końcu „w zamku cedrowym nad gopłową wodą był najpierwszym złotym wojewodą". Uwięziony przez podejrzliwego Lecha, uwolniony przez córkę jego, ducha czystego, mści krzywdy, najeżdżając z obcymi własną ziemię; Lech już nie żył, Wanda śmierć w Wiśle nad upokorzenie wybrała, lud cały strachem ohydnie znikczemniał i Popiela Lechową purpurą okrył. I zaczął się odtąd Popiel nad ludem srożyć, prześladować go, wynajdywać coraz okropniejsze męczarnie — niby postanowił niebiosa zatrwożyć, zbrodniami przedrzeć błękit i kolumnami praw, na których siedzi anioł żywota, zatrząść tak z posady, aż się pokaże Bóg w niebiosach—blady; co jednak dziwniejsza, że go ukochał lud za siłę i za strach i za męczarnie,—lud owiec, który się ku pasterzom garnie. I piętrzył Popiel zbrodnie na zbrodniach, aż miarę przebrał; ogromny znak się ukazał, przyszła z jego zgonem kometa; lecz dopełnił Popiel pierwszego zadania:

Kupiłem naród krwią i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi...

Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała [1]),

— on niby stworzył, jak duch pierwszej natury, w chmurach i piorunach, z ogni wrzących, dyamenty, bazalty i granity; *moc* słychać było w każdym jego kroku; nad nim była myśl słoneczna, złota, do niej wiodły ciemne, okrwawione wschody; on wytknął drogę ludowi, ten zawsze zwyciężył, gdy tą mocą błysnął; gdy się zaś drugą falą z niej zmieść dawał, wysadzał się tylko w kwiaty ciała bezwonne, martwe; owej dawnej trwogi nikczemnej nigdy już po sobie nie miał okazywać; okupił to rzezią i pożogami.

Taką była treść trzech pieśni, stanowiących pierwszy rapsod, napisanych roku 1846 (wydanych przy jego końcu, 1847). Szczegóły czerpał poeta zewsząd, od podań o Wandzie, od opisu pogrzebu zamorczyka - wikinga, aż do orlich piór husaryi polskiej, albo do nazwy Rusi Czerwonej („gdy stepy całe dziś w mogiłach widne wzięły u ludu nazwisko czerwonych") i do lirenki ślepego dziada. Głównie przyświecał mu Groźny; treść drugiej i trzeciej pieśni z dziejów jego i Kurbskiego wzięta, nawet ów list sławny i przygwożdżenie nogi posła do kamiennej podłogi: ten Groźny, który musiał stać na zaraniu dziejów Polski — bo skądżeżby wyszła wszechwładza Piastowska, kiedyżby rozprzęgliwe trzody słowiańskie dały się ująć w karby i stworzyć potęgę, skupioną a rzutną, jaką widzimy za Chrobrego — tego czynnika, wszechwładnego na Rusi moskiewskiej, tworzącego państwo olbrzymie, zabrakło w dalszych dziejach Polski na własną jej szkodę.

I wrócił Słowacki do myśli, głęboko zapadłej, nasuwającej się mimowoli z porównywania dziejów polskich a ruskich, odpowiadającej na najważniejsze zagadnienie, jak to z jednego, spólnego, słowiańskiego podkładu mogła się rozbiedz ewolucya rozpasanej anarchii szlacheckiej i nieodstępnej od niej niemocy państwowej, a jednowładztwa wschodniego i jego potęgi. Ponurego obrazu, tła ciemnego, przeszywanego błyskiem płomieni, odbijających się we krwi kałużach, nie pstrzyły ani psuły barwy jaśniejsze; je-

[1]) Jak chronologią, pomiatał Słowacki i etymologią; Niemen był mu Letą, bo „niemego" przypominał, Polska—na ból skałą się wydała, stworzoną przez Popiela; tak swobodnie sobie i z innemi mianami poczynał, z Rzepichą i t. d.

dnolitość nastroju utrzymana w każdym nawet rysie, porównaniu, przymiotniku: jedzie Popiel do zamku Śwityna, w czerep czarny ołowiany ukrywszy głowę, otoczon tłumem siepaczów, tych bladawców zbrodniami bladych wieńcem, sam jak trup jasny pijaka rumieńcem. Mimo to niema żadnej nużącej jednostajności: niewyczerpana fantazya, artyzm przedziwny, cudownej piękności szczegóły, rozsiane po całym poemacie, od opisu wida niebiańskiego aż do opiewania potęgi pieśniarza, dziada ślepego, któremu przyroda i groby tajemnice odchylają, lub Zoryana starego i jego lirenki, i jak ją na stosie do łona tuli i głaszcze, niby zlęknioną, białą gołębicę.

Na poemat złożyły się dzieje istotne i bajeczne, figury historyczne i mityczne, wizye własne i reminiscencye literackie; leją się z niego potężne fale barw i tonów, roją się szeregi postaci i lśniące obrazy; lecz tkwi w nim jeszcze coś więcej: nie o sameż wrażenia estetyczne, o zadowolenie ciekawości chodziło poecie w dziele, na które najwięcej czasu i siły zużył. Dla niego była „historya nauką pracy, którą duchy globowe odbyły w formach ludzkich, w agregacyach, z ducha wynikłych, z formą objawionych, które powtórzyły narodowości z celem królestwa Bożego czyli przemienienia ludzkości w przyszłe anielstwo globowe"; a więc i historya narodu własnego, jego Króla - Ducha, była tylko jednym z symbolów wewnętrznej pracy ducha, dążącego do wyzwolenia globu z pęt cielesności; nie chodziło o kronikę rymowaną, o przełożenie Wagi czy Bandtkiego w rymy dla dojrzałych, o zobrazowanie dziejów zewnętrznych, lecz o zobrazowanie działania sił mistycznych, nadziemskich, popychających ludy i ziemię ku celom finalnym; nie o syntezę historyczno-społeczną, o psychologię dziejów, szło mu o syntezę symboliczną, subjektywną. Dlatego ta nieuchwytność, głębokość, rozprężność jego symbolów, dlatego wieje od nich mistycznością; wedle własnych słów „wyraźniejsze tych rzeczy wypowiedzenie wzbronione zostało dotąd poecie, pod trwogą Boga zostającemu; trudu doznasz, czytając niniejsze poema, a walkę będziesz musiał odbyć, duchu czytelnika, z duchem poety; jeśliś leniwy, dzieło odrzucisz".

Trudu doznawał przedewszystkiem sam poeta; przyznawał się, że pierwszy rapsod leciał mu szybko, jak wiatr błyskawicy, inny się wlecze, jak wół, pracowitym krokiem, ciężko i poważnie; więc coraz zmienia plan i następstwo, więc waha się w snuciu wątku, opracowywa jeden po kilka razy.

Drugi rapsod poświęcony był Piastowi, chociaż nie w nim Król-Duch się wcielał; i on dzierżał słowo narodu, lecz wiódł go innym, niż Popiel, torami. Pierwotnie krócej się poeta z nim sprawił, w jednej pieśni opowiedział męki Króla - Ducha, skazanego na bezczynne przypatrywanie się wykolejeniu narodu za wojewodów i Popiela II i pocieszanego błogim za Piasta spokojem. Lecz i inaczej opracował te czasy, skuszony wystawieniem ducha ciemnego, Rże - Pychy, i walki jego z duchem dobrym i okradania prometeuszowego ognia boskiego, spływającego na Ziemowita, dla syna potwornego Wodana—na kraj spada zaklęcie, wszystko kamienieje— motywy, wzięte ze znanej baśni, z góry Świętopełka (Zober!) i snu jego.

Trzeci rapsod, o Mieczysławie i Dobrawnie, zapełniony po szczegółach obrzędowych, postrzyżyn i t. d., przy końcu wizyami obu, symbolami pochodu wszechdziejowego. Chrobrego pominął poeta umyślnie, zbyt jasne kontury bohaterskie nie nadawały się do przesymbolizowania żadnego, więc powiedział o nim, że

w małej dziecinie
Przyszedł ktoś wielki, lecz w wielkiej zasłonie,
Tej nie odejmę, aż świat się rozwinie.
I zacznie jasno czytać w świata łonie...

Za to obrał sobie Król-Duch Śmiałego, lecz śmierć przerwała pracę nad tym rapsodem, pełnym, jak i poprzednie, najdziwniejszych poetyckich efektów. Upornie łamał się poeta z materyą, sam, jak Prometeusz, chwytał światła nadziemskiego i samemu, jak Prometeuszowi, sępy wahania i wątpienia pierś rozrywały. Do ziemi obiecanej nie doszedł, ale wskazał owe krainy poetyckie, piękniejsze od rzeczywistych. I w ostatnich rzutach pióra podziwiamy tego języka stal damasceńską, twardą a gibką, połyskującą i ostrą; tę fantazyę, niewyczerpaną w pomysłach i obrazach; tę myśl, rozsnuwającą po swojemu wątki dziejowe. Wobec niewykończoności (ostatecznej) dalszych rapsodów, wobec urwania olbrzymiego dzieła na samych niemal początkach, trudno o szczegółach orzekać, kto jak się miał wcielać; czy było miejsce i dla innych pieśniarzów; czy się poeta za owego Króla-Ducha uważał, wodza narodu w walce duchowej na myśli i słowa, i czy miało się urzeczywistnieć marzenie z „Beniowskiego“:

pójdę gdzieindziej i lud pójdzie za mną!

Walkę poezyi ku odrodzeniu się ducha i uczucia ludzkości ukończył poeta po chrześcijańsku w dniu trzeciego kwietnia roku 1849; zgon przeszedł niepostrzeżony; dopiero w kilka lat później wystawił mu pomnik poetycki Kornel Ujejski, sprzęgając wspomnienie o śpiewaku „Kordyana“, niespokojnym, samotnym i smutnym, z „Wieścią o Adamie Mickiewiczu“:

Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło,
Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę...
Geniusz blasków, duch Tytana, serce wielkie, dumne!
Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbiera? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością okiem za nim wodził do ostatka?
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka!

Poeta to innej miary, niż Mickiewicz. Ten słusznie pragnął dożyć tej pociechy, żeby wzięły wieśniaczki do ręki jego księgi, proste, jako ich piosenki — o czemś podobnem Słowacki nigdy nie marzył. Nie dla tłumów jego poezya, im ona niezrozumiała, nie przystępna, rażąca ich i niepokojąca, nie kojąca ich trosk i bólów, ani piękna ani prawdziwa nieraz w zwykłem znaczeniu słowa, nierówna, pełna wzlotów górnych i upadków nizkich. Poeta to raczej dla nie wielu, dla wybranych, poeta dla wykształconych umysłowo, odczuwających subtelniejsze piękno, sztukę większą, natchnienie lotniejsze, rezygnujących z wrażeń i wdzięków realnych, nieraz grubych i płaskich. Ulubieńcem narodu pozostanie Mickiewicz zawsze, z poezyą czerstwą, silną, rumianą, plastyczną, zmysłową, nawet gdy w nieskończoności się gubi, z porywającą siłą uczucia; marzyciel Słowacki z rzeczywistością nie liczy się nigdy, buja w krainach urojonych, unosząc tam powolnych sobie na skrzydłach potężnego natchnienia, czarując muzyką swych słów, barwą swych obrazów, ich nastrojem smętnym, nieraz rozpaczliwym, w pogoni za ideałem, nigdy niezaspokojony na ziemi, smutny.

Melancholicznej muzy Słowackiego cechą podstawową jest właśnie ów smutek, tęsknota, żal głęboki:

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości...

Młodość przypadała na czasy, kiedy żyło się właśnie w krainie marzeń, a zstępowało tylko rzadko na padół ziemski i godziło z rzeczywistością tylko chwilowo: u Słowackiego młodość ta zaczęła się nadzwyczaj wcześnie i przedłużyła nadmiernie. Już dzieckiem „ileż to razy, patrząc na stary zamek marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, cyrcerzów, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie „niestety". A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku". Marzenia spełniły się, chociaż nie rychło.

W pomniku, który sobie Słowacki za życia, jak Horacy lub Puszkin, wystawił, zgadza się, że

Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia,

lecz kto szlachetny, przyzna:

Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

I słusznie chlubi się poeta:

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść, taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?
Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi!

Bo Słowacki sam to nie Anhelli, nie załamał rąk w bezbrzeżnym smutku, w bezsilnej rozpaczy; rwał się do czynu:

zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,

i wołał tryumfująco, jeszcze w Beniowskim: przyszłość moja i moje będzie za grobem zwycięstwo, bo lud mój,

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce, przeze mnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał;
Powiodę tam, gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał;
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar prowadzi!

A w „Królu-Duchu" zstępował wieszcz nowego ducha między nas, w płomiennej koronie, z zasłoną na licu, którą oko błyszczące przenika,

Każdy z nas w głosu jego głuchym dzwonie
Ojczyznę śpiącą gdzieś pod mogiłami,
Odzywającą się z wiekowej ciszy,
Słyszał lub sądził wyraźnie, że słyszy...

Nawet dramaty jego ożyły, o czem nie marzył, stały się podwaliną klasycznego repertuaru polskiego, bo chociaż z warunkami scenicznymi nie zawsze się godzą, należą do wielkiej sztuki.

Od ściśle przedmiotowej i plastycznej, epicznej, zrównoważonej, męskiej poezyi Mickiewicza odbija w dziwnym rozgwarze muzykalno - rozwiewna, podmiotowa, liryczna i nastrojowa, kapryśna i fantastyczna muza Słowackiego; jest w niej coś z kobiety, z wrażliwości nadmiernej, istnej mimozy, nie płoszącej tylko weny ducha lekkiego,

Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży,
A potem nagle odemknie swe łono,
Świeże i jasne, i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.

Ten feminizm Słowackiego był czemś zupełnie nowem, utrudniał jeszcze bardziej uznanie jego natchnień w czasach i stosun-

kach, antypoetyckich jak rzadko, w literaturze, której kobieta i wszystko, co jej jest, pozostała dotąd obcą. Byłyż poetki na parnasie polskim, ale śpiewały one na męski ład, na tematy religijne, dydaktyczne, poważne; obywatelska, patryotyczna cecha dawnej literatury wykluczała z góry feminizm, nie uznawała kobiety, jej nerwów i kaprysów, jej próżności i wietrzności, jej snów i marzeń; *mulier taceat in litteris,* było niby jej hasłem, jak nigdzie indziej.

Z podrzędnej tej roli nie wynosiła jej i rozpasana, lubieżna liryka Morsztynów — inni o kobiecie milczeli, nawet Kochanowski, jakby ta najpewniej „męża koroną“ być miała, o której najmniej się prawiło.

Sentymentalna literatura, hołdując miłości, choćby platonicznej, kobietę wskrzesiła, chociaż więcej się bawiła igraszką i lalką, niż się nią głęboko zajmowała.

Dopiero w romantyzmie uwolnienie czy rozpasanie indywidualności wprowadziło kobietę do literatury, natchnęło ją własnem życiem, przestało uważać zabawką czy utrapieniem mężczyzny, odwiązało niewolnicę od pręgierza czy zdjęło pieścidełko z etażerki. Taką to emancypacyą hołdował romantyzm kobiecie najgłębiej i najszczerzej; choć sie nie rozmarzał przed nią, jak za czasów kultu dam i turniejów róż i sądów miłości, uznał w niej pierwszy człowieka - siostrę, ocenił w niej godność ludzką. Tę stronę romantyzmu nie Mickiewicz jednak wyraził zupełnie; nie stworzył on znamiennego typu kobiecego, jeśli wyjątkową, amazonkę Tassa, Grażynę, albo najpospolitsze, Telimenę przestarzałą i Zosię, którą wdzięki świeżej młodości ratują, pominiemy.

Już „Maryą“ Malczewski stanął wyżej, niż Mickiewicz, malujący namiętności i skargi męskie; na słońcu przeciwnem stanął Słowacki, pierwszy nasz psycholog, malarz czy rzeźbiarz kobiety; żaden poeta polski, żaden słowiański, nie stworzył równie bujnej girlandy główek kobiecych, od wiotkich, eterycznych niebianek poprzez szeregi ziemskich kochanek, niewolnic, sióstr, aż do furyi i jędz piekielnych, do Gwinony i Rżepychy, pokrewnych sobie, do Balladyny, nie obcej im duchem. Wyjątkiem jest utwór Słowackiego bez wybitnej roli bogdanki, np. Kordyan; Beniowskiego Aniela przewyższa, a Swentyna Sawie dorównywa; w Królu - Duchu nawet, przynajmniej w dalszych rapsodach, zrównoważone są niemal płci obie. Nie przypadkiem też wiele utworów Słowacki od heroin nazwał, od „Maryi Sztuart“ aż do „Snu Salomei“.

I w nim samym, jak i w bohaterach, których tworzył, w „Kordyanie“ i innych, było coś kobiecego: bierność zupełna woli, wyobraźnia płomienna, bujająca nad światem, uczucie egzaltowane, melancholia rzewna, głęboka — nawet upojenia szczęściem nie wyraża on po męsku, jemu

> wszystkie uczucia gwałtownemi loty
> na serce spadły, jak *gołębi* chmura,
> *pić łzy* i białe w niem obmywać pióra,
> aby się czyste rozlecieć po niebie!

A były w nim i inne rysy kobiece, próżność, przyrodzona niemal, spotęgowana poczuciem własnem talentu, spółczesnem górnem mniemaniem o zadaniu i zasłudze wieszcza, więc wybujała nadmiernie, aż do chorobliwej przesady, o roli własnej w narodzie...

Nie wyczerpują rysów i znaczenia Słowackiego ani nieprześcignione mistrzostwo formy, przepych wiersza, czar słowa, blaski obrazowania; ani genialne pomysły, jakich mu każdy poeta zazdrościć musi, ani feminizm jego; ani obce słowiańskiemu duchowi lubowanie się w okropnościach, jakby przykładem Wiktora Hugo poddane; ani gonienie za efektem, za ekscentrycznością. Już to wszystko było nowe w literaturze polskiej, skromnej dotąd raczej (jak niewykwintne np. rymy Mickiewicza i proste jego słowa!), nie lśniącej w szatach wzorzystych, nie stąpającej na wysokim koturnie. Słowacki dawał jeszcze coś więcej. Wierzył on głęboko, ale religia jego była nie mniej kapryśną, jak jego estetyka; więc nie znał owczych popędów, nie szedł za tłumem, wytartą wiekami koleją, nie zawahał się Rzymu zgubą Polski nazwać, drogę, ku Tyarze zwróconą, oznaczyć, jako kłamną, Jezuitów kąsać. Za to wierzył, „że ludy płyną, jako łańcuch żórawi w postęp“, że pochodnię oświaty wysoko dzierżeć należy, wierzył w „ducha - rewolucyonistę“; od klerykalizmu, któremu się tylu poddawało, odstrychał się zawzięcie. Sam arystokrata w myśli, czuciu i słowie, demokracyi się nie zapierał, wierzył w respublik jedynaka syna — od konserwatyzmu Krasińskiego oddalał się najbardziej, poeta postępowy, chociaż burżuazyjnymi formami postępu, konstytucyami czy parlamentami, gardził nie mniej, niż Krasiński lub Mickiewicz; i w jego oczach władał niemi tylko pieniądz - interes. Tem się, co do zasad społecznych, wyróżniał, bliżej stojąc Mickiewicza, niż Krasińskiego, nie dzieląc ich kultu Napoleońskiego.

Najbardziej wyróżniał się — u Słowackiego koncentrowało się wszystko w samej poezyi, żaden z naszych wielkich nie wytrwał przy niej dłużej i stalej, niż on — jako poeta; prześcignął spółczesnych, oddźwięk znalazł, nie za życia, w dziesiątki lat po zgonie dopiero, oddźwięk, wzmagający się coraz, przygłuszający wielkiego rywala. Dziś, kiedy od obrazu nie wymaga się ani anegdoty dziejowej czy prywatnej, ani ilustracyi etnograficznej czy topograficznej, rywalizacyi z płytą fotograficzną, kiedy żąda się emocyi kolorystycznych, nastroju barwnego — i w poezyi raczej to, co Słowacki, niż to, co Mickiewicz daje, popłaca.

Czego się fantazya czarodziejska Słowackiego dotknie, pomysłu „starego Wila", czy notatki pisarza bizantyńskiego, wspomnienia z Jaszun i Czerczej, czy grobu Agamemnona i Chrystusowego, szumu morza, w konchę zaklętego, czy bezbrzeżnej tęsknoty stepowej, namiętności przerażających, czy smutku trapiącego: wszystko przetapia ona w fale i strugi poezyi, mieniącej się, jak łuski wężowe i pióra pawie, zawieszonej tęczami nad szarą powierzchnią ziemską. Słowacki to jedyny poeta, który poezyę dla poezyi cenił, który jej nie rzucał, jak ją Mickiewicz i Krasiński rzucili, któremu jego pieśni były jego czynami, któremu poezya zastępowała wszystko — i uciechy życia i szczęście trwalsze.

Mickiewicz i Słowacki, acz całkiem odmienni, przedstawiają typy najzupełniej jednolite, skończone: poeta, w którym przeważało uczucie, musiał w końcu zerwać z samym kultem słowa i formy, i Towianizm go tylko w tem utwierdził, nie oderwał go dopiero od poezyi; marzycielowi-fantaście ten sam Towianizm nowego do rojeń poddawał materyału. Obaj zespalali się całkowicie z poezyą słowa i czynu; żaden krytycyzm nie ostudzał ich uniesień; nawet na manowcach mistycznych imponują oni głęboką wiarą, poddajemy się czarowi ich osobistości, ich przekonania niezachwianego, nawet gdy słowom czy argumentom nie przyznajemy mocy. Inaczej stajemy wobec Krasińskiego; tu rozszczepienie między człowiekiem a poetą zupełne; on z góry poezyi za swe powołanie nie uznaje, rwie się do czynu politycznego; niedowierza nikomu, zwłaszcza sobie; zapatruje się krytycznie, trzeźwo, na świat, oburza się jego podłością i głupotą; jest pesymistą, z ciała, chorobami i bólami znękanego, i z duszy, refleksyą trawionej, wątpieniem wyżartej; konserwatysta i katolik, z tradycyi, z wyrozumowania,—czy i z serca? To wszystko, jako człowiek; całkiem inaczej, jako poeta: idealista,

wierzący w postęp ludzkości, w zbawienie świata, a drogi do tego jasno ma wytknięte; zdrowy i silny, wahań nie znający; pokrzepiający zwątpiałych i słabych; tylko pod względem narodowości i w życiu i w poezyi sobie wierny. Do historyi literatury należy tylko poeta Krasiński, poeta refleksyi, uzupełniający poezyę uczuciową i fantazyjną spółmistrzów, na silnym podkładzie myślowym wznoszący się ponad szranki narodowości i czasu, poeta o wszechludzkich aspiracyach, szczególniej w początkach swego zawodu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Próby młodzieńcze. „Nieboska“ i „Irydyon“. Filozofia polska, Hoene-Wroński i następcy; Krasińskiego filozofie: „Przedświt“ i „Psalmy przyszłości“. Inni pisarze emigracyjni; publicyści; Hoffmanowa; Czajkowski; Gaszyński. Młodsza generacya: Chojecki; Kalinka; Klaczko.

Gdy Mickiewicz wykazuje — nie w poezyi, chyba wyborem swych tematów, ale w życiu, — rysy litewskiego, odmiennego temperamentu, najzupełniejszem wcieleniem polskości przedstawiają się i Słowacki, chociaż kolebka jego przypadkiem na Wołyniu się znalazła, Krzemieńcowi nieśmiertelnej sławy użyczając, i **Krasiński.**

Mazowiecki ród jego piastował od XVI wieku miejscowe dostojeństwa, kasztelaństwa i województwa, płockie i inne, niby dziedzicznie, wychylając się rzadziej po za granice ziemicy, w podkanclerzu i biskupie krakowskim czy w podskarbim koronnym, a ponieważ właśnie szlachta im znaczniejsza, tem większym polorem się odznaczała, więc nie dziw, że i w literaturze, łacińskiej czy polskiej, Krasińscy już od XVI wieku występują, chociaż wybitnych talentów między tymi Korwinami nie było.

Na szerszą widownię wypłynęli oni, gdy na czele domorosłego, atawistycznego ruchu, katolickoszlacheckiego, stanęli marszałek konfederacyi barskiej, Michał, i znacznie odeń zdolniejszy brat jego,

biskup kamieniecki; syn Michała, Jan, poseł sejmu wielkiego, ożeniony z siostrą Czackiego, jeszcze bardziej zaś wnuk, Wincenty hrabia Krasiński, świetny żołnierz napoleoński, niepospolity znawca ludzi, praktyczny umysł, konsekwentny, nie obawiający się nawet, o co w Polsce najtrudniej, niepopularności, ożeniony z Radziwiłłówną (berdyczowską), rzucili nowe podkłady znaczenia rodowego. Przejął się niem i Zygmunt, urodzony w Paryżu roku 1812, ulegający również przez całe życie wpływom ojca, nawet wbrew własnemu uczuciu, nie stawiający mu nigdy trwałego, energiczniejszego oporu w imię porywów własnego serca, sam chwiejny, nie znający miary, ceniący tem wyżej życiową mądrość ojca.

Z dziejów rodzinnych przejął nietylko zasady religijne i konserwatywne, ale z nich czerpał nawet motywy do własnych utworów, dodatkowe (jak w „Nieboskiej“ z okopami św. Trójcy) czy zasadnicze (jak w „Nocy letniej“, przypominającej nieco romans Puławskiego i Franciszki Krasińskiej).

Odebrawszy staranne wykształcenie, pod wpływem otoczenia (dom ojcowski był rodzajem salonu literackiego, w którym spierali się weterani- klasycy z nielicznymi, młodziutkimi romantykami, ku największej satysfakcyi pana generała) i kolegów, w czasach, kiedy każdy młodzieniec bujał w empireach poetyckich, mając za przewodników Byrona lub Scotta, Hugo czy Irvinga — zaczął sam pisać wyjątkowo rychło; szesnastoletni, roku 1828, uklecił szereg powiastek i powieści pseudohistorycznych, spółcześnie (w czasopismach i oddzielnie) drukowanych, prócz pierwszej, „Pana trzech pagórków“; były to: „Grób rodziny Reichstalów“ i „Zbigniew“ czyli „Hanna z Ciechanowa“, ostatecznie jako „Władysław Herman i Dwór jego“ roku 1830 w trzech tomach ogłoszona; w następnych latach przybyły: „Zamek Wilczki“, „Teodoro, król borów“, „Gastołd“, „Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki“ i t. d.; zakończył ich szereg „Agaj Chan“, wydrukowany roku 1834, napisany trzy lata rychlej, odmienny w tonie.

Na powieści te złożyli się Walter Scott, Byron i kanibalska literatura francuska, „Han Islandyi“ i podobne potwory. Rozpasana fantazya lubuje się wyłącznie w okropnościach, pomiatając chronologią, historyą, a nawet prawdopodobieństwem, przenosi efekty i podania czy baśni Wchodu i Zachodu na ziemie polskie lub dorabia najromantyczniejsze przejścia do znanych faktów dziejowych, np. Wallensteina zabija Alan Reichstal—Leslie, mszcząc się na nim

samobójstwa siostry, Minny Reichstal, co się w dzień swych zaślubin z nienawistym Wallensteinem otruła; podanie węgierskie o kobiecie, kąpiącej się w krwi dziewiczej dla zachowania wdzięków, przenosi na „Joannę z Gozdawy"; Byroński demonizm, dumę nieposkromioną i namiętności fatalne uosabia mu Zbigniew, a powiernik jego, Niemiec, Mestwin (!) z Wilderthalu, przeholował zimnem okrucieństwem, pogardą ludzi i Boga, snuciem najokropniejszej intrygi à la Golo z Genowefy wszystkich potworów Byrońskich; najmniejszem jeszcze wykroczeniem przeciw duchowi czasów owych są opisy turniejów i innych szczegółów niepolskich. Najwyżej wzniósł się „Agaj Chan", ostateczne dzieje Maryny Mniszkówny po zabiciu drugiego jej męża, tułającej się z synkiem w otoczeniu romantycznego kochanka, kozaka Zaruckiego, i jeszcze romantyczniejszego rywala jego, Tatarzyna Agaj Chana, szalejącego z miłości ku Marynie, nie wysłuchanego i topiącego ją i siebie w lodach Jaiku. Nie dla treści fantastycznej, lecz dla barwnych obrazów, przepychu wschodniego i dla prozy poetyckiej, połyskującej wszelkiemi ozdobami stylu epicznego, ciekawy ten utwór: prozę tę zatrzymał Krasiński, nie rwący się (mimo prób młodzieńczych, wcale nie najgorszych) do wierszów i w późniejszych utworach, którym właśnie do najwyższej doskonałości tylko formy wierszowanej brakuje, w „Nieboskiej" i „Irydyonie", sprawiających mimowoli wrażenie, jakby je kto z poezyi na prozę przepisał.

Pod najrozmaitszemi wrażeniami dojrzewał tym czasem szybko autor, baśni owe daleko za sobą zostawiając, i czterech lat nie minęło, kiedy np. uważał swego Hermana „za nikczemne dzieło, za płód dzieciństwa, gdzie kilka iskierek ledwo że tleją wśród perzyny i gnoju—dotąd nicem dobrego nie napisał, choć daleko lepsze rzeczy od Hermana". Pobyt zagraniczny poniewolny, miłość beznadziejna targały nim boleśnie, zostawiały ślady przejść gwałtownych, nadwerężały słaby organizm, chociaż w końcu sceptyk-marzyciel (Krasiński lubował się w kontrastach) wszystkie wątpienia i pragnienia przezwyciężył, z bezsilnych szamotań się i zapasów obronną ręką wyszedł. Walki owe wewnętrzne, duchowe, wylewał on na papier, czy to w korespondencyi francuskiej z przyjacielem genewskim, Anglikiem Reeve, czy w utworach często ułamkowych, francuskich i polskich, goniących jedne za drugiemi, nie wychodzących z rękopisów, dziś dopiero wydawanych w oryginale i tłumaczeniu, wszystkie gorączką i rozpaczą napiętnowane.

Miotały nim najprzeciwniejsze uczucia. To rzucał się gwałtownie, przeklinał, nienawidził, mścił się w tyradach „Adama Szaleńca" i innych; to zwracał się do przeszłości, do dni chwały ogromnej i wspaniałej, do nieba czystego, gwiaździstego, i z nich wysnuwał obrazy dni tryumfu i żałoby, nocy pożogi i pohulanki, gdy zapadał się wschodni świat, a na jego zgliszczach zwycięzcy rozwijali chciwość i śmiałość Hiszpanów Korteza, niszczyli ten świat światła, klejnotów i kwiatów. Na tem średniowieczu bohaterskiem, gdzie wszystko tchnie siłą, cechującą wędrówki narodów, odbijał on klęski spółczesne, a Agajem Chanem zrównoważał kapitulacyę Warszawy. I po latach jeszcze kołatały w umyśle jego pieśni żałoby i zemsty, i chciał je nawet wyśpiewać z dziejów Konradyna i Jana z Procidy.

Silniej jednak zaważyły inne wpływy i myśli. W powstaniu i przywódcach jego rozczarował się rychło; listy i opowiadania, ojca, Jezierskiego, Danielewicza (przyjaciela wczesnej młodości), pokazały mu je w całkiem odmiennem świetle i wzgardził on robotą klubów; ojciec dyskredytował rewolucyę „przez pięciu akademików, czterech podchorążych zaczętą i trzech poetów, jakoż oficerów tyluż", że wszystko stu (napoleońskich!) dni nie potrwa, a co będzie potem, Bóg jeden wie; wie tylko, że grób kopie krajowi; przedewszystkiem odzierał ją z kolorów narodowych: „narodowości poznikały, dwa kolory rządzą światem, porządek i rozruch, a to na to, aby ci, co posiadają, nie posiadali, a ci, co nie posiadają, aby posiedli. Stąd ten ruch nieznośny partyi, któren w całym świecie się rozszerza, a przybiera preteksta najszczytniejsze miłości ojczyzny, by dojść do celu". Do Genewy, gdzie bawił, przedzierały się hasła walk socyalnych, listopadowego (1831) powstania lyońskiego, gdy czterdziestutysięcy wygłodniałych robotników nędza do walk ulicznych pchnęła, gdy odzywały się głosy, grożące zalewem ogłady nie przez dzicze wschodnie (*„les barbares qui mènacent la société, sont dans les faubourgs de nos villes manufactières"* słowa St. Marc-Girardina). I skierowała się myśl Krasińskiego do zagadnień ogólno ludzkich, uchodząc zmory ojczystej.

Jeszcze Mickiewicz, godzący dziwnie realność szarą życia z najwznioślejszymi pomysłami poezyi i filozofii, wyperswadował mu był w Genewie (1830 roku) że szumność jest głupstwem, że wszystkie ozdoby i kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema; że trzeba się uczyć i prawdy wszędzie szukać. Starał się nawet, pod

tym wpływem, szukać prawdy Krasiński w wspomnieniach młodzieńczych, z Ciechanowa i Opinogóry, ale „Przeora Augustyanów“ nie dokończył, snu pamięci nie domarzył, prawdy i myśli nie odszukał w poezyi rodzimej; wyrwały go z niej na zawsze okoliczności życia, miejsca i czasu, które nawet idylę Przeora skrzywiły na rapsod nienawiści i zemsty.

W rozmyślaniach samotnych — choroba ócz przykuwała go na długo do zaciemnionego pokoju — wytaczał on walkę owych dwu „kolorów“, „porządku“ i konserwatyzmu z anarchią i „demokracyą“, starał się docierać do prawdy, do myśli owych haseł, i ten, który z rewolucyą solidaryzować się przestał, przeniósł walkę w przyszłość, odczepił ją od narodowości: poeta myśli przekonany, że poezya „tyczy się rodu człowieczego całego, a nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni: ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje“, uogólnił, usymbolizował niemal zasady i ich szermierzy. Do poematu tego, przezywanego najpierw to „Hrabią Henrykiem“, to tylko „Mężem“, potem „Komedyą ludzką“ w przeciwstawieniu do „Boskiej“ Dantego, a wreszcie „Nieboską“, wplótł on jednak wiele z własnej istności.

Wobec wybuchów nienawiści społecznych pytał poeta o ostatnie ich cele i środki, a co przemyślał, złożył w fantastycznym poemacie dramatycznym, ni to Fauście, ni Manfredzie, w którym, jak w „Irydyonie“, „bardziej idee się naruszają niż ludzie“. Zdawało się poecie, że intencyą jego była „obrona tego, na co się targa wielu hołyszów, religii i chwały przeszłości“, ale nie wahał się wyznać, że przestawicielom tej religii i chwały „należy się kara, a po karze niepamięć“. Między nimi wszystkimi niema nawet takiego, coby godnie umierać umiał: wystraszeni, zblednieli będą pełzać u nóg zwycięzców, darmo żebrząc zmiłowania. Jedyny wyjątek stanowi hrabia Henryk, „mąż“, bo nieustraszony i nieugięty, choć gardzi tymi, których nie opuści — ale poświęcenie jego wyrozumowane, nie z przekonania wypłynęło, dla chimery, strzępków romantycznych, w które się stroi, jak i w hasło: „Jezus i szabla moja“, lub wołanie: „Boże i Ty Maryo, do której modliłem się tyle!“

Tak przedstawia się nicość ostatnich zachowawców, garnących się trwożliwie około Henryka w ostatnim niezdobytym jeszcze posterunku, w Okopach św. Trójcy; cóż po przeciwnej stronie? w imię jakich zasad staje ona do walki? Wymowny komentarz znachodzimy w liście poety do Gaszyńskiego: „ja wiem, że cywilizacya

nasza ma się ku śmierci; wiem, że blizkie czasy, w których *zbrodnie nowe* przyjdą *stare karać* i same się potępić w obliczu Boga; ale wiem, że one *nic nie utworzą,* nie zbudują, przejdą, jak koń Attyli, i *głucho po nich!* Dopiero to, czego ani ty ani nikt nie zna, nie pojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje, ale wtedy i moje i twoje kości próchnem gdzieś będą“.

Na czele tłumów „demokracyi“ stoi Pankracy, silniejszy od Henryka nie sprawą czy zasadą, lecz liczbą ramion muskularnych, do jednego celu wytężonych, równie słaby, jak Henryk, niewiarą we własne posłannictwo, w hasła, jakiemi zwodzi adeptów bezmyślnych i motłoch rozszalały. Henryk mu zaimponował, więc pragnie przeciągnąć go na własną stronę, kusząc i jego owemi złudzeniami, ale Henryk już się przeświadczył o moralnej wartości tej walki: „ja także znam świat twój i ciebie, patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry; widziałem wszystkie stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem, ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat, — rozpusta, zło i krew“. W tych widzeniach Dantejskich dojrzał Henryk, jak Krasiński sam w Genewie, że chodzi o użycie, że tłumy wypijają wina pańskie, zabijają woły robocze, że niebawem zapędzi ich głód do dawnego harowania i dla nierówności, fizycznej i umysłowej, wyłonią się znowu dawne „porządki“; już teraz kiełkują one wszędzie w zarodzie; pytają np. bracia żołnierza o plan zdobycia Okopów, ale on odpowiada: „chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniuszu—po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach“, i słusznie szepce Henryk ku towarzyszowi: „radzę wam, zabijcie go, bo tak się poczyna każda arystokracya“.

Nie łudzi się Henryk, zdolny do szlachetniejszych porywów, ofiarujący głowę, gdyby nią okupić można szczęście ludzkości, lecz nie, przed sto, dwieście latami „polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz wiem, teraz trza mordować się nawzajem, bo teraz im tylko chodzi *o zmianę plemienia“*. Szczęścia na ziemi niema, „daremne marzenia, kto ich dopełni? Adam skonał na pustyni, my nie wrócim do raju“.

Inaczej myśli czyli udaje, że myśli, Pankracy; zwycięstwo samo go nie cieszy, i odpowiada on Leonardowi, wtórując staremu, ślepemu Faustowi (z drugiej części): „patrz na te obszary, na te ogro-

my, które stoją w poprzek między mną a myślą moją; trza zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży, inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest" — jakby tępienie ludzi było niezbędnym warunkiem czy rękojmią zaludniania puszcz i przekopywania kanałów! Nie miał poprostu otwartości owej dziewczyny szwajcarskiej, co Krasińskiemu w oczy rzuciła: czas, byśmy wasze miejsca zajęli, od iluż to wieków na nich siedzicie! ani też śmiał się przyznać do hasła: tępmy dla tępienia, dla oczyszczenia terenu, niech potomkowie głowy nad tem łamią, co należy odbudować. Przed nim chyba tylko dawny chaos; dodatniego w nim nic niema; wyjścia on nie znachodzi. A tymczasem wyjście było i jest, i musiał się go chwycić Krasiński, nie godzący się nigdy z tem, żeby „potępienie wieńczyło dzieło", stawiający dla tego Byrona niżej od Getego, „obejmującego wszechświat, walkę złego i dobrego, temu ostatniemu w końcu przyznającego zwycięstwo"; zostawił też Gete na Krasińskim ślady wpływu, głębsze i liczniejsze, niż na innych poetach polskich.

Krasiński, wzdrygający się po roku 1831 przed wszelką rewolucyą, dostrzegł i wypowiedział, „że dzisiaj już kierunek społeczeństw na drodze wolności nie uznaje konwulsyi i rzezi, jedno uznaje konieczność rozumu i cnoty". Konieczność tę, rozwijającą się z chaosu i nowy świat budującą, usymbolizował on w ostatniem widzeniu „Nieboskiej", przed którem Pankracy, złamany, upada i ginie: zło, obezwładnione zjawieniem się krzyża, symbolu miłości i prawdy, uznaje z Apostatą zwycięstwo Galilejczyka. Zakończeniu temu, jedynie i zawsze możliwemu — minęło od napisania owego widzenia lat siedemdziesiąt, i wszystkie wysiłki ludzkości nie wydały nic lepszego — zarzucono, że zjawia się ono niespodzianie, bez należytego psychologicznego i artystycznego przygotowania. Takie nie odpowiadało jednak pojęciom Krasińskiego o zadaniu poety, syntetycznem, nie analitycznem: analiza szkodzi poezyi, poecie wystarczy podnieść ramię i ludziom wskazać: niech oni badają, ile promieni w tej gwiaździe, jak szybko jej światło ku ziemi pośpiesza. Samem wskazaniem drogi, przyszłości, zakończył on przecież i „Irydyona".

Ta walka ścierających się plemion i światów wypełniła główną, zasadniczą część dzieła, lecz nie zadowolił się poeta symbolami,

wyindywidualizował choć jednego, sercem sobie znacznie bliższego, Henryka. Henryk, nie żołnierz z powołania, stanął przecież na czele arystokracyi, powodowany żądzą sławy, mamidłem szatańskiem znęcony i wystawia Krasiński, identyfikując się z Mężem — jeszcze wyraźniej czynił to potem z Młodzieńcem — Henryka poetą. W czasie ogólnego, romantycznego uwielbiania poety, stawiania go nad ludźmi, uderza prawdziwość sądu o „poecie", wypowiadana i w listach do Reevego i w Nieboskiej. Tam zaznacza on wyraźnie, jakby przeczuł Słowackiego, że sztuka jest prawdą prawdy, uczuciem uczucia, ale nie samem uczuciem; artysta sam jest dla siebie wszystkiem; kocha swe arcydzieła, ale niczego więcej nie kocha... dlatego nigdzie spełnienia życzeń, nigdzie marzeń kresu nie znajdzie... wielki artysta nigdy nie jest ni mężem dobrym, ni ojcem. Tu mówi o poetach, „którzy nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą"; Henrykowi, gdy się unosi, entuzyazmuje, szepce sumienie: dramat układasz; w pogoni za byle jakim majakiem, piękna czy sławy, nie zawaha się on zdruzgotać szczęścia rodzinnego, zgubić żonę kochającą, i w końcu słyszy wyrok: „za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś na wieki"; on ginie też wołając: „poezyo, bądź mi przeklęta, jak sam będę na wieki!" Wędrówki błędne Henryka przedstawia Krasiński; nie wiążą się one z właściwym tematem, przygniatającym te szczególiki nawet filisterskiego życia, chyba, że w domu obłąkanych rozlegają się już hasła, które i pod Okopami usłyszymy; dziwną kreacyą jest Orcio, któremu Krasiński własne nerwy przeczulone i wzrok osłabiony i żar poetycki nadał, na którego głowę matka poezyę (jej nie daną, co przyczyną zobojętnienia jej męża), uprosiła, dar z niebios fatalny.

Poeta myśli, nie fantazyi, narzucił sobie więzy dramatyczne, zmuszające go do dykcyi zwięzłej, pełnej precyzyi, ale z luźnych scen, dramatu właściwego nie utworzył, nie o dramat też mu chodziło, i kto później sceny te rozprowadzał (Lord Lytton), osłabił tylko ich wrażenie. W dwudziestymtrzecim roku życia zerwał się genialny poeta na dzieło, jakiego literatura polska dotąd nie znała: skupiona w sobie, w potrzebach i widokach najbliższych, chyba u Staszica na ogólnoludzkie tematy się porywała. Z przedziwną intuicyą wznosił się ponad przesądy kastowe: ten, co miał „demokracyę" zmiażdżyć, wydał wyrok potępienia i na „arystokracyę"; do wywodów jego i dziś ani co dodać, ani co odjąć — i Biörnson kon-

fliktu lepiej nie wystawił, gdy po tylu latach, doświadczony dramaturg, myśliciel niezawisły, ten sam temat obierał — i retoryka Krasińskiego większe sprawia wrażenie, donioślejsza, dźwięczniejsza.

Na tych wyżynach ogólnoludzkich konfliktów Krasiński się jednak nie utrzymał; przed „Nieboską“ zakiełkowała inna myśl,—„Irydyona“; piszącemu „Nieboską“, i „Irydyon“ przed oczyma stawał (oba dramaty zbudowane podobnie, aż do drobnych szczegółów), lecz co r. 1832 już w formę słowa się przyodziało, dopiero później, za pobytu rzymskiego, właściwych kształtów, pogłębienia tła, wypukłości rysunku, malowniczości szczegółów nabrało.

Żaden z poetów polskich nie odczuwał tak poezyi miasta wiecznego, jak Krasiński. „Lubię te gruzy — pisał do przyjaciela — lubię tę karę, która spadła na miasto wieczne, na miasto ucisku i podłości, egoizmu i zbytków, słowem na ten Rzym, co był otchłanią, spożerającą wszystkie narodowości świata... na jego budowlach dziś wyryte dłonią czasu przekleństwo, jak na czole zbrodniarza, i Rzym leży zwalony, leży i gnije, leży i nie powstanie więcej... Ale razem tu jest świętszy widok, krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach, on świat ocali“. Oto i komentarz do „Irydyona“.

Jeszcze za pierwszej bytności w Rzymie, gdy towarzystwo Mickiewicza, czytanie dzieł ks. Lamennais obojętność religijną warszawską naruszyło, wyniósł on najwznioślejsze, najmilsze wrażenie w Kolizeum, „gdzie krzyż z drewna — on jeden nieśmiertelny, prosty i boski, godło zwycięstwa życia nowego nad starem stoi nad ziemią, która go prześladowała, i panuje tam, gdzie nim pogardzano“. Silny napływ fali religijnej przerwał rok 1831; nienawiść, żądza zemsty, misteryum barbarzyńskie wyrugowały chrześcijaństwo, i Anglik ubolewał, że nie poznaje przyjaciel, ile przeciwną chrześcijaństwu nienawiść, że się upiera przy tem, aby ducha zemsty za użyteczną i dozwoloną broń poczytywać. Krasiński bronił się w końcu tem: jakżeż możesz mówić *nie kochaj* temu, który kocha, a jakoż temu, który nienawidzi, *nie czyń tego?* Ale wezbrane uczucie ulegało się powoli; myśl, przecząca dziełom potępienia, brała górę, i w Petersburgu objawiło się duszy poety widzenie tęczy nad przepaściami nienawiści i zemsty; „tęcza“ ta przyoblekła się w kształty „Irydyona“.

Krzyżacy skazali Walenroda na śmierć, ale to sąd ludzki, stronniczy, zaślepiony: najwyższy sędzia nie byłby w nim uznał

zbrodniarza, byłby mu kazał winę, jaką dla miłości ojczyzny się zmazał, zmywać w poświęceniu, pełnieniu obowiązku. Tak dośpiewywał czuły słuchacz losy Alfa, ale, bogatszy świeżem doświadczeniem, wątpił z góry, czy ogółem dzieło zemsty na powodzenie liczyć może, czy dzieło to słuszne, boskie, czy nie kieruje niem ręka szatana? Zagadnienia teraźniejszości cofnął daleko wstecz, w chwilę konania świata starożytnego u stóp krzyża.

„Z tego świata, co się zżyma i kona, wycisnę myśl jedną jeszcze, w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby... ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody, ale za to w niebie dla niej miejsca niemasz?“ Myśl tę, wraz z „jękiem niesłychanej, tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei“ uosobnił on w synu Amfilocha i Grymhildy. Na ciemiężycielce narodów Grek Amfiloch upadek narodu własnego zemścić postanowił, ale z zemstą nie śpieszył, powoli wszystko przygotowywał i gdy sam jej wykonać nie zdołał, zlał ją na syna, związanego Hannibalową przysięgą.

Nad synem tym czuwa, jak Halban nad Alfem, starzec Massynisa, podsycający zemstę. Wybrali oni i porę najstosowniejszą i zapewnili sobie pomocników i sprzymierzeńców zewsząd. Na tronie Cezarów osiadł rozpustnik wschodni, trapiony trwogą przed tym Rzymem, który zrzuci niegodnego; do Heliogabala trafia Irydyon przez siostrę, która szalejącemu za nią tyranowi — brata, jako najpewniejsze ramię, zaleci; w jego ręce odda Heliogabal sygnet mistyczny, palladium Romy. Na Romę godzą w wspólnej nienawiści wszyscy wydziedziczeni, wykolejeni, ujarzmieni: niewolnicy, gladyatorzy, zwyrodnieli potomkowie szlachty rzymskiej— względy ich zaskarbia hojnością, poufałością, budzeniem nadziei Irydyon sam. Spólników znachodzi on między ludźmi, świeżymi, silnymi, nienawidzącymi ugniatającego ich Rzymu: z ich krwi wyszła matka jego, jako Sigurd - germanin między nimi się zjawia.

Najskuteczniejszej pomocy oczekuje on jednak od Rzymu podziemnego, katakombowego, chrześcijańskiego: prześladowania nie złamały go, obudziły w młodszych, gorętszych chyba żądzę zemsty, nadzieję rychłego zgniecenia antychrysta na tronie zwycięskim pochodem Chrystusowym. Wie o tem Irydyon i, jako Hieronim ochrzczony, rozżarza te namiętności i nie cofa się przed świętokradztwem: działa na duszę i zmysły Metelli, wizyonerki, której głosu tłumy chrześcijańskie pokornie słuchają; w zachwyceniu

sprzeniewierzy się ona oblubieńcowi boskiemu dla ziemskiego; w obłędzie sama z okrzykiem: do broni! poruszy katakomby przeciw Rzymowi. Zwycięstwo tem pewniejsze, że Rzym sam rozdwojony: przeciw Heliogabalowi powstaje, co w Rzymie dzielnego i mądrego, — Aleksander Severus i Ulpian, wyobrażenie i *virtus*, starorzymskiej cnoty, i dzielności, i mądrości. A jednak dzieło zniszczenia i zagłady zawodzi zupełnie, i Irydyon ginie, słysząc zapewnienia Massynisy o niezwyciężoności wroga: „żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia, by niszczyć... jak inni pracują... by kochać i błogosławić przy zgonie temu, co kochali za życia — ach, a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!“

Przedsięwzięcie Irydyona rozbija się o opór chrześcijański: wystąpieniem zwiedzionej Metelli zwieść się inni nie dali, upamiętali się na wezwania biskupa - męczennika, Wiktora, zrywającego maskę obłudy, ducha, z roboty cielesnej, szatańskiej: nie do nienawiści, do miłości ich wzywa Chrystus i państwo jego nie z tego świata, nie wcieli się ono rzezią i mordami. Opuszczają więc Irydyona chrześcijanie, ich entuzyazm młodzieńczy, na który najwięcej liczył: z resztkami sił zamachu nie dokona i dumny, nieugięty sam tylko zginie. Nie pomaga mu i Massynisa — szatan, coś z Mefistofelesa, coś z Lucyfera byronowskiego zarywający, zresztą ciekawy, potężny; on Irydyonem i spiskiem przeciw Rzymowi chciał tylko kusić i rozbić zastępy wiernych, groźnych panowaniu jego; skoro ten zamiar upadł, już nie jego rzeczą walka z Rzymem: „o miasto serdeczne moje, błogosławię tobie! o Roma, w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli, zbawiona jesteś dla podłości twojej, zbawiona jesteś dla okrucieństwa twego, żyj i uciskaj, by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu!“ Furyami gnana miłość Irydyona była więc tylko narzędziem zła i zepsucia; cel wzniosły nie uświęcił środków przewrotnych: one potępiły się same.

Lecz jak w Nieboskiej nie zadowolił się Krasiński samem przeczeniem, tak i tu wystawił i wskazał, co czynić należy, chociaż z dramatem się to nie wiąże, znowu z niego samego wcale nie wypływa, dodane, doczepione luźnie. Zachowane tylko pozory związku: wystawiona umowa Faustowska; Massynisa łudzi Irydyona obietnicą ostatecznego upadku miasta, na co ten przystaje: „mnie Rzym, tobie duszę moją!“ I przeszły wieki, i zbliżyła się chwila upragniona, w naszem stuleciu, gdy niewiara najwyżej sięgnęła,

gdy Rzym cesarski zmarniał w gruzach, a Rzym papieski w najgłębszem był poniżeniu. Wskrzesza więc Massynisa Irydyona i oprowadza go po ruinach aż do Koloseum, ale widok krzyża, opuszczonego, smętnego, znużonego, budzącego litość, nie do tryumfów nastraja Irydyona: budzi się w nim wspomnienie Metelli, żal nad krzyżem — z niebezpiecznego miejsca odrywa go zbyt późno szatan, on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy, anioł woła: on jest moim, bo on kochał Grecyę — to świadectwo i modlitwa Metelli ocalają, jak Fausta, Irydyona-Alfa, który wytrwać musi: idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choć byś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako przódy było, ale z pracy wieków i staniesz się wolnym synem niebios.

Ani podobieństwa układu: z „Nieboską“ — Irydyon, chociaż nie poeta, jak Henryk, w imię kultu piękna powstaje, bo syn Latony opromienił mu Grecyę, a czoło jej, upojone myślami, — ani podobieństwa z Faustem bliżej wykazywać nie trzeba; zato należy podnieść zewnętrzne wykonanie, świetne, porywające wiernem oddaniem życia starorzymskiego; alegorya ta mieni się nie pożyczanem światłem, sama przez się żywotna, piękna, mistrzowska; fantazya uniosła poetę w świat dawny i wyrzeźbił on z miłością każdy jego szczegół, stworzył pyszne postaci, kilku rysami nadając im wyrazistość, wypukłość zadziwiającą, czy o siostrę Irydyona, czy o zwyrodniałych patrycyuszów, czy o gorących neofitów chodzi; trzymał się nawet rysów ściśle historycznych w kreśleniu Sewera, Heliogabala i t. d.; pyszna proza poetycka nawet najbłahszą myśl odświętnie przystraja; forma była wykonana najstaranniej, wyszła nieskazitelna, posągowa. W Irydyonie, jeszcze więcej niż w Henryku, uwidocznił poeta przejścia własne, własny przełom w zapatrywaniu się na świat: z „Irydyonem“ jednak poeta igrzyska poetyczne zarzucił; przynajmniej, co na tem sam ład jeszcze pisał, tego już nie wykończył. Znajomość ze Słowackim, jego entuzyazm dla „Balladyny“ i dziejów pierwotnych czy bajecznych zaraziły i Krasińskiego: wybrał Wandę, o której Słowacki narazie nie myślał, ale prócz planu przejrzystej alegoryi i pierwszego aktu nic więcej nie wykonał: fragment bogaty w nadzwyczajne piękności, uderza wprowadzeniem figury bardzo skomplikowanej, byrońskiej, zdrajcy ojczyzny; w barwy i rysy zapożyczał się poeta u świata germańskiego,

w szczegóły i przenośnie nawet (o ptaszku przelotnym), a wprowadzał przeciw chronologii i przedstawicieli chrześcijaństwa i nie wyglądają oni u sceptyka świetniej, niż Ślaz i Gwalbert „Lilli Wenedy"; fragment nadzwyczaj efektowny, bo znowu dał się autor całkiem unieść wyobraźni, nie dał się przygnębić filozofii i refleksyi, nie skąpił szczegółów malowniczych, poetyzował byt przodków; może dlatego właśnie ochłódł poeta myśli ku płodowi fantazyi, gdyż tylko w teoryi uznawał on „rozkosze i poezyę materyalną, którą należy harmonijnie pomieszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy ją pozna i pokłon mu odda"; praktyka jego nad luźne próby nie wzniosła się.

Po tych dwu wielkich alegoryach dramatycznych, społecznej i narodowej, następowały jeszcze i powiastki alegoryczne, „Pokusa", „Noc letnia", w których wprowadzał poeta i siebie i znajomych, ale szczelnie zatulonych, tak że zamysł tylko był jasny, osoby same ginęły w półmroku; „Pokusa" zwiodła młodzieńca z drogi prostej na drogę układów i układności, ale opamiętał się w czas i, gdy kroku cofnąć nie zdołał, śmiercią uwolnił się od jego skutków; w „Nocy letniej" tryumfowała miłość nad wyrachowaniem, dziewica ofiarę z siebie dla ojca i cudzoziemca przyniosła, lecz z ręki kochanka - rodaka śmierć zbawczą przyjęła. Były to ostatnie ustępstwa, czynione fantazyi; potem chyba po przedmowach mistyfikował poeta publiczność, dokonując np. dla „Trzech Myśli Ligęzy" tego, co już dla „Nieboskiej" planował. Z „Trzema Myślami" znajdujemy się już na pełnem morzu filozofii - alegoryi Krasińskiego i po jego zaklętych wodach on odtąd nie przestanie żeglować.

Długo nie miała filozofia miru w głowach polskich; odwodziły od niej w dawnych czasach teologia i etyka, nawet aryanów polskich i Łukasza Opalińskiego czy Lubomirskiego; w nowszych czasach zagadnienia społeczne i polityczne, np. Staszica i Kołłątaja; Kant najpóźniej między Polakami znajdował adeptów, najmniej wytrwałych. Zmieniło się to dopiero w wieku XIX, Fichte, a raczej Hegel i Schelling porwali niechętnych, opornych, najwięcej między Wielkopolanami, wystawionymi na działalność nauki i uniwersytetów niemieckich, szczególniej berlińskiego. W dyalektyce Hegelowej nie upodobał sobie Mickiewicz nigdy; filozofować zaczął Słowacki dopiero, gdy Towiańczykiem został; jedyny Krasiński miał metafizycznie ułożoną głowę; lecz i on nie pojmował filozofii zupełnie abstrakcyjnie, nie uprawiał, jak Niemcy, tej sztuki dla sztuki, wcielał ją w czyn i życie.

Podobnie postępowali rówieśnicy i poprzednicy jego słowiańscy, od Hoene - Wrońskiego do Augusta Cieszkowskiego, który największy wpływ na Krasińskiego wywarł.

Hoene - Wroński, matematyk większy, niż filozof, był przekonany o blizkiem urzeczywistnieniu królestwa bożego na ziemi, mesyanizmu (od niego przejął Mickiewicz swój termin); ten pogodzi nakoniec antynomie okresu szóstego, w którym się znajdujemy, i przygotuje nadejście okresu siódmego, ostatniego, odzyskania utraconego raju; jego pisma francuskie nie znachodziły jednak u nas odgłosu żadnego.

Popularyzatorowie Hegela, estetyk Kremer (Krakowianin) i Wielkopolanin Libelt, krytyk i publicysta, kładli nacisk na rzeczy, obce systemowi; Kremer ideę, absolut, przemienił na Boga osobistego, chrześcijańskiego i duszy również osobowość, nieśmiertelność, przywrócił; Libelt dobadywał się koniecznie filozofii ludowej, rodzimej i na wyobraźni ją opierał. Dalej uszli samoistniejsi Trentowski, który jakiś czas żył z zapomogi Krasińskiego, i Cieszkowski; obaj zaczęli od publikacyi niemieckich. Obaj przejęli się metodą dyalektyczną Hegela (i poprzedników), odnajdywali wszędzie tezę (twierdzenie), antytezę (przeczenie) i syntezę, lecz w szczegółach odstępowali od mistrza; mniej Trentowski, którego „różnojednia" w gruncie odmianka dyalektyczna, a tylko ciągłe nawoływanie do samodzielności, postępu, oświaty w dziejach umysłowości polskiej dodatnio się zapisało; bardziej Cieszkowski, o którego „Prolegomena zur Historiosophie", (Berlin, 1838 r.) Krasiński twierdził, że w nich stanowisko Hegela przeskoczone. W istocie wojował Cieszkowski tą samą trójką dyalektyczną i różnił się tylko naciskiem na znaczenie woli i na przeznaczenie Słowian, jak je w „Ojczenaszu" (t. I, 1848) wystawił.

W całym rozwoju dziejowym upatrywał on dwie epoki, przedchrystusową, gdy natura panowała nad duchem, epoka bytu, zmysłu, wrodzonego zakonu natury, mocy, zastoju, Boga Ojca; pochrystusową, gdy duch przemaga nad naturą, ale jej nie pokona, epoka wiedzy, przeczenia, ruchu, myśli, wiary, zakonu kościelnego, Boga Syna. W trzeciej, przyszłej epoce, wejdzie ludzkość do świątyni prawdziwego ducha, zbawi ją potęga, zdolna skojarzyć, co się rozdzieliło: wola; ona czucie z wiedzą kojarzy i zaślubia z myślą byt,

a z małżeństwa tego rodzi się czyn, trzeci świata pan... węgielnym kamieniem trzeciego świata, epoki Ducha św., epoki miłości, jest czyn, wolne dzieło ducha, zakon woli i wolność; w tej epoce najważniejszą rolę odegrają Słowianie.

Duch świata rozwija się bowiem postępowo w różnych formach poszczególnych duchów ludowych; każdy naród ma swe przeznaczenie na ziemi; w każdym okresie pewien lud podejmuje przewodnictwo. Przewodnictwo epoki ostatniej przeznaczał naturalnie każdy własnemu ludowi, Niemiec Niemcom dla ich „obyczajności", Francuz Francuzom dla ich „społeczności", Hoene - Wroński, Cieszkowski i panslawiści Słowianom, przyczem panslawiści katolickich Słowian, jako odstępców, wykluczali. Do roli przodowniczej upoważniają Słowian „ich rodzime skłonności i obyczaje, ich pierwiastkowe prawa i podania, ich przygotowawcze cierpienia i zasługi... szczep już z natury nie swawolny, ale wolny, nie walczący, ale waleczny, ani zbrojny, ani rozbojny, ani awanturniczy, ani koczujący, pobożny i spokojny, dobrowolny i gościnny, wesoły i śpiewny, w domu zamiłowany, a do ziemi nad wyraz przywiązany, nie tratujący po jej plonach, ani też pracą około niej gardzący... *miłość chrześcijańską dotąd prywatną zamienić na publiczną* i takową do potęgi podniesioną jeszcze, *od ludzi do ludów przenieść,* jest przeznaczeniem jego".

Myśli filozoficzne Krasińskiego nie ustaliły się odrazu, pogrążały się jakiś czas to w zwątpieniu, to w panteizmie, nim popłynęły w jednym, historyozoficznym kierunku. Ślady tych wahań pozostały i w listach i w pismach, o nich to głosi on sam w wierszach „Przedświtu" (bo do rymów wrócił, gdy się z poezyą pożegnał):

Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa;
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: tu niema nadziei.

W „Trzech Myślach Ligęzy" (1840) wystawiony na czele „Syn Cieniów", Tytan, odtwarza cały system filozoficzny, niby Genezis z Ducha Słowackiego, wierszem prozaiczniejszym, niż proza Słowackiego, gdyż poezya z filozofią zlewać się mają i razem wykry-

wać prawa absolutne; końcowa „Legenda" przedstawia upadek kościoła piotrowego, papieskiego, zasypującego w swych gruzach wierną do ostatka szlachtę polską; na miejscu jego wzniesie się nowy, wyższy kościół św. Jana; środkowy utwór, „Sen Cezary" (odbicie rzeczywistego snu poety), odnosi się do własnego narodu: jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udzielą połowy? ta, co zabrała życie twoje, oddaje tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem.

Jaśniej wyłożył Krasiński swoję historyozofię w „Przedświcie" (1843), który pierwszy uczynił go popularnym, czego ani „Nieboska" (mimo głębokiego rozbioru, jaki jej Mickiewicz w kursach literatury poświęcił), ani „Irydyon" nie zdziałały. Chociaż i „Przedświt" to tylko widzenie, znaczenie jego wyraźne, pocieszające, wzniosłe. Poemat poprzedzał wstęp prozaiczny, wykazujący podobieństwo epoki naszej a epoki przedchrystusowej: tu i tam niewiara, przerafinowanie bytu materyalnego, wzajemne zbliżenie narodów (Napoleon je przemieszał, Cezar złączył), poprzedzające przyjęcie nowej idei. Nowa idea naszej epoki, to poprowadzenie dalej dzieła Chrystusowego, bez nowego objawienia; jak ludzie już, tak teraz całe ludy i ludzkość, w stosunkach międzynarodowych, muszą schrześcijanieć; że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną i że kościół Boży na tej ziemi to nie tylko to lub owo miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie stosunki, tak osobników jak narodów.

Rozumowanie prozaiczne przybiera kształty wspaniałego widzenia: nowy Dante wyłuszcza swej Beatrice, gdy w harmonii światowej jednego im tonu nie dostaje, znaczenie przeszłości, jak on w śnie, duchów o to pytał, a Czarniecki mu odpowiedział: „Łaska Boża nas wegnała w te bezdroża, niechaj będzie pochwalona!... raczej umrzeć, jak żyć podle, za to Panu wieczna chwała! Ty nie szukaj w ojcach winy, ty nie wdawaj się w szyderstwo". I wyłania się, na potwierdzenie tych słów, z ciszy nocnej, księżycowej cały łańcuch tych duchów i płynie ku przyszłości, ku zwycięstwu dobrego nad złem, gdy na świecie „wzrosną życia kształty trzecie"; nowe widzenie je uzmysłowia. I wznosi się mężnie poeta — droga przed nim długa i uciążliwa, ale zorza zabłyśnie, i wylewa się w modlitwie dziękczynnej uczucie śmiałe a pewne: „za ból ciała, za ból duszy dziękujemy Ci, o Panie! choć my nędzni, słabi, marni

z nas wszczęło się Twe na ziemi królowanie. Tak śród przedświtów lepszego poranka marzył wygnaniec, marzyła wygnanka, co czuli w sercu, rzucili w te słowa".

Imponował „Przedświt" pewnością, z jaką występował; nie proroctwa to, lecz trzeźwy niby obrachunek pochodu dziejowego, który wydać musi taki a nie inny rezultat; nie wdawał się też w żadne szczegóły czy okoliczności, jakie od wszelkich proroctw są nieodłączne. Imponował również bezwzględną apoteozą przeszłości: za jej zmarnowanie należała się ojcom wdzięczność! „błogosławcie ojców winie" wołał poeta, naśladując *felix culpa* św. Augustyna, zapominając, że co w życiu indywidualnem zbawczem być może, w narodowem, grzechem nigdy niezmazanym, winą nigdy nieodkupioną pozostaje. Trzeźwość była więc pozorna; złudzenie takie same, jak u Towiańczyków, z którymi przecież sceptyk, nie wierzący w cuda i proroków, ani na chwilę pogodzić się nie mógł; odrzucał Krasiński alotria mistyczne, ale w istocie stał na tym samym gruncie i przeciwnicy Towiańszczyzny zwracali się z trafnym instynktem i przeciwko „Przedświtowi", wywierającemu głębszy wpływ w kraju, niż na emigracyi, rozbitej, znękanej; pozorna ortodoksya jego wywodów, nawet domieszka ich erotyczna, przemycały je tem łatwiej.

Myśli zasadnicze „Przedświtu", powtarzał odtąd Krasiński w coraz nowych waryacyach, w „Psalmach Przyszłości", w „Ostatnim", w „Dniu Dzisiejszym", w „Resurrecturi". W „Przedświcie" wołał on wprawdzie: zgińcie me *pieśni*, wstańcie *czyny* moje, samego siebie do trójki zasadniczej dostrajając — co pod czynami rozumiał, to było pełnienie zakonu Bożego: „a czyn jest w każdej piersi, łaska Boża nie pomoże, każdy wysłużyć go musi; czynu powszechnego zaś nie będzie, póki *ciało z duszą* nie zlane w jednego *ducha* (znowu owa trójka) z siebie samego zmartwychwstanie — oto rozwój duchów".

O innego rodzaju czynach myślała emigracya, towarzystwo demokratyczne, z hasłem „wszystko dla ludu przez lud"; wyłożył je Henryk Kamieński w „Prawdach żywotnych narodu polskiego" (1844), wydanych pod pseudonimem Prawdoskiego, i w „Katechizmie Demokratycznym", grożąc zagładą szlachcie, występującej przeciw uwłaszczeniu włościan. Trzy pierwsze Psalmy Przyszłości „Prawdzickiego" były na to odpowiedzią: psalm wiary składał wyznanie teo- i historyozoficzne, kreślił je w rozmaitych trójkach

i uwydatniał „myśli głębokie", posłannictwa narodów, polskiego, „by o Twą (boską) piękność walczył na ziemi i był śród świata anielskim przykładem, aż nie wywalczy wyższego w ludziach pojęcia o Tobie, więcej miłości i więcej braterstwa"; psalm nadziei na troistości również oparty: „wszystkim ciała dał Jehowa, duszę wszystkim Chrystus dał, a Duch święty żywot chowa, by wraz ciało z duszą zlał".

Najwymowniejszy—psalm miłości, przeczący w jej imię zakusom radykalnym: „nie jest *czynem* rzeź dziecinna, nie jest *czynem* wyniszczenie, jedna prawda boska czynna, to przez miłość *przemienienie;* hajdamackie rzućcie noże". Na to odpowiedział Słowacki pysznym wierszem „Do autora trzech psalmów", gdzie szydził z jego obaw (krew mu się przyśniła, odbłysk czerwonej kotary go tak przeraził) i protestował w imię ducha - rewolucyonisty przeciw reakcyi. Ten wiersz (drukowany później bez wiedzy autora) i rzeź galicyjska wywołały nową odpowiedź Krasińskiego w „Psalmie Żalu", gdzie biadał nad tem, że się jego proroctwa ziściły, i wyrzucał Słowackiemu, że bierze ciągle w usta Ducha i Chrystusa, ale nie przejął się nimi. W psalmie dobrej woli za Cieszkowskim o dar ten najwyższy prosi, w słowach majestatycznych:

Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże!
A światu męscy — Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste.
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro, daj nam dobrą wolę...
Daj nam, o Panie, świętymi *czynami*
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie:

jakimi mają być czyny, określa w „Resurrecturi": „jedna tylko w świecie moc *ofiary* cicha los gniotący zgniecie, oto dziejów lew".

Dalej nie sięgnęła już myśl Krasińskiego; polityczne wyznanie złożył jeszcze w „Dniu Dzisiejszym", gdzie nad łożem umierającego odzywają się hasła partyjne, ucichające wobec zjawienia anielskiego, a jeden z przytomnych oświadcza: „nieboszczyka chwalę za to, że komunistą ni arystokratą, ni panslawistą ani demo-

kratą ni jakiemkolwiek bądź innem przezwiskiem, co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem, nie zwał się nigdy — jeśli jakim znakiem znaczyć go chcecie, zwijcież go Polakiem, bo kochał Polskę... serce jemu wrzało goręcej w piersiach, niż u innych ludzi".

Gdy tak historyozofia Krasińskiego lot swój ograniczyła, wyłącznie sprawami narodowemi zajęta, poruszył on jeszcze raz zagadnienia ogólniejsze w „Niedokończonym Poemacie", kreśląc fazy, poprzedzające wystąpienie Męża z „Nieboskiej", lata nauki i wędrówki Młodzieńca, z którym się teraz zupełnie utożsamił. Mentor nowego Telemacha, Aligier (Danielewicz), czuwa nad młodzieńcem, w wizyi nocnej przesuwa przed jego oczyma obrazy dnia dzisiejszego, jego piekła i czyśćca z wyzyskiem i uciemiężeniem ludu i kobiety — nieba niema, lecz zarodki jego uśpione w naszej piersi, wiara je obudzi, wola wzniesie, miłość urzeczywistni — przymus, złudy, traf nie odkryją innych dróg do tego nieba. W piątej i szóstej scenie wtajemnicza Aligier Młodzieńca w znaczenie postępu dziejowego, naśladując poniekąd wtajemniczanie bohaterki p. Georges Sand w praktyki związku *Des Invisibles*. Pokolenia, narody i epoki podają sobie kolejno słowo, objawienie królestwa Ducha, zwąc je światłem, potęgą, miłością; od Chrystusa żaden lud, co się stał narodem, nie umiera na ziemi; żaden człowiek, co się stał duchem, nie umrze w grobie, a Bóg, który duszą (Słowo) był jednemu plemieniu, ciałem jednego kościoła (Słowo wcielone), duchem będzie nad jedną ludzkością. Ale poza kościołem Piotrowym, który zrzymianił się, oblókł się szkarłatem i sprzeniewierzył posłannictwu (wyrzuty kościołowi oficyalnemu formułował jeszcze goręcej Mickiewicz i panslawiści), szukają nowych dróg, wiodących do kościoła powszechnego, sekty i towarzystwa tajne, aż do reformacyi, wynoszącej ciało kosztem ducha, i rewolucyi, niszczącej i burzącej, i reakcyi z jej miernością i złością — lecz wypełniły się dnie ucisku, blizki wiek pocieszyciel i godzina dopełnicielka, i Młodzieniec wstępuje między żywych duchów, śniących o nowej przyszłości, i tu odzywają się przeciw słowom wiary i miłości protesty, gwałtu i mordu, Pankracego i Julinicza (Słowackiego), ale im chodzi już tylko o szlachtę polską — z widocznem uszczupleniem rozmachu „Nieboskiej".

Były to ostatnie, słabiejące przebłyski talentu autora, piszącego listy i broszury polityczne, podającego memoryały Napoleonowi, zaznaczającego coraz silniej zasady konserwatywne i katolickie: u schyłku dni wysuwa on, odmiennie niż w „Nieboskiej", „zbawczą sprawę ojczyzn", inaczej „sprawa posiadających i nieposiadających pożrze świat" i w katolicyzmie widzi jedyny, ostatni hamulec przed rozpłynięciem się w panslawizmie; zresztą pisywał wiersze liryczne, nie przeznaczone dla publiczności, pojawiające się częściowo dziś dopiero — brak im lotności, przygniata je retoryka, choć nie obce im silne uczucie i piękne zwroty; liczne między niemi erotyki są odmienne od zwykłej faktury, nie kwilące, męskie; są i wiersze ascetyczne, parafrazy egzaltacyi i wizyi hiszpańskich; i modlitwy, rozmyślania, jakie już dawniej i prozą („Myśli pobożne") pisywał; są i polityczne.

Obok epika - klasyka, Mickiewicza, i romantyka - fantasty, Słowackiego, stanął również „wielki duch Boży i jeden z aniołów narodu naszego", Krasiński, poeta myśli, poeta - anonim (na żadnem ze swych dzieł nie podpisywał nazwiska swego, jak niegdyś Rej). Nie najpotężniejszemi, najobszerniejszemi swemi kreacyami, „Nieboską" i „Irydyonem", oddziałał on najgłębiej na naród czerpiący raczej ze szczuplejszej, mętnej nieco strugi „Przedświtu" i „Psalmów Przyszłości". Jeszcze nim się wprzągł w rydwan trójc hegelowskich i Cieszkowskiego, już w „Nieboskiej" przeczuwał on „życia kształty nowe", a w „Irydyonie" czyn-ofiarę za rękojmię zbawienia i odrodzenia uznawał, zawsze przeciw spiskom i rewolucyom występując, nie uznając drogi postępu w przewrotach gwałtownych, z latami coraz trwożliwszy.

Z poety, jakim za dni młodości był wyłącznie, przeobraził się w polityka i, jako taki, nieraz trafne poglądy wykazał, nawet wbrew pozorom, świadczącym inaczej, np. co o roli politycznej Austryi wobec Słowian mniemał i jak przed przewagą madyarską ostrzegał, wytrawniej o tem sądząc, niż politycy z powołania. Inteligencya nadzwyczajna, niezaprzeczona genialność, widoczna w utworach wczesnych, nie dotrzymały w zupełności tego, co zapowiadały; lot jego zwężał i zniżał się stale, w końcu chyba i mesyanizm sam przedstawił mu się doktryną nadto obszerną, wygórowaną, niepewną.

Ściślej, niż z imionami Towiańskiego, Mickiewicza i Słowackiego, jest związany mesyanizm polski z Krasińskim w „Przedświcie" i Cieszkowskim w „Ojcze Naszu" (którego tom drugi dopiero w roku 1901 wydano). U tamtych bowiem mistycyzm i mesyanizm, nie związane właściwie z narodowością i jej rolą sięgają daleko poza jej obręb: Towiański, zupełny kosmopolita, i między Włocha-

mi gorętszych mógł znaleźć zwolenników, niż między rodakami; Mickiewicz z Francuzami się liczył i dlatego z katedry apostołował; Słowacki w systemy kosmiczne i metempsychozy się rzucił; tylko Krasiński i Cieszkowski najściślej, najlogiczniej, najpewniej mesyanizm do własnego narodu ściągali. Idea sama przepiękna, wiecznie prawdziwa, zato przywiązanie jej wypełnienia do jednej narodowości dowolne, utrzymać się nie da.

Inni potem zapominali mimowoli o warunkach, a raczej wymaganiach, jakie mesyanizm na każdego nakładał, wpatrzeni w ową tęczę nowego przymierza, tusząc niemal, że blizka chwila, gdy raj sam zstąpi na ziemię. To było złudzeniem fatalnem i osłabiało raczej, niż hartowało, bo upajało i rozmarzało. Ale co nie było złudzeniem, co dziś, jak dawniej, obowiązuje, to ów „czyn", owa „dobra wola", do których nawoływał Krasiński, owe ofiary i poświęcenia, nie na słowa tylko, nie na chwilę jeno, to wytrwanie na drodze przykrej i ciernistej, przyświecanie przykładem, które kiedyś poruszyć musi sumienia innych, szczęśliwszych, możniejszych.

Łudził więc mesyanizm jednostronną apoteozą przeszłości (ofiara musiała być niewinną, jeżeli ofiarą być miała), ale różnił się dodatnio od słowianofilstwa, apoteozującego również własną przeszłość, tem, że o powrocie do tej przeszłości nigdy nie marzył; że nie zakuwał, jak słowianofilstwo, ludzkości i jej postępu w ciasne ramy niemożliwej doktryny; że wierzył w postęp, w udoskonalenie; że cel miał przed, nie za sobą, nie wsteczny ani fantastyczny. Łudził dalej mesyanizm oczekiwaniem rychłego przewrotu, wielkiej jutrzni odrodzenia ludzkości — ale któż w przededniu wiosny ludów (1848) tak się nie łudził? a zresztą i dla mesyanizmu sprawa bywała „tą przegraną, której cel daleki, a która w końcu wygrywa na wieki". Lecz chociaż dziś szczególniej, widząc jakim powolnym krokiem ewolucya dziejowa postępuje, bez przewrotów i skoków, iluzyi się pozbywamy, chociaż nie wierzymy już, „że, nim ten jeszcze wiek przeminie, wejdzie ludów lud jedyny", ani że „myśl Boga w twojem łonie i los świata w twym zakonie", przyznajemy żywotność samej idei mesyanicznej, wolnej od owych naleciałości, idei postępu świata, zamiaru „wylać ducha na miliony, ciałom wszystkim rozdać chleba, duszom wszystkim — myśli z nieba... do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie... bo cel światów szlachetnienie".

Na tak pojęty mesyanizm piszą się stronnicy najprzeciwniejszych obozów, i ultrakatolicki Jerzy Moszyński nie uznaje innej sprawy polskiej, i Wojciech Dzieduszycki (w artykułach „Przeglądu Polskiego" z roku 1901 „Messyanizm polski a prawda dziejów") „chwyta się jak deski zbawienia myśli, w której się nauka mesyanizmu streszcza": strzeżcie sprawiedliwości w życiu narodów i społeczeństw, a zwyciężycie wreszcie.

Nawet Stanisław Szczepanowski („Piast", „Idea polska" i t. d., 1901) stoi na tym samym podkładzie, mimo wszelkiej krańcowości wymownych i świetnych aforyzmów, mimo uniesień i potępiań, nie zawsze umotywowanych należycie; odwołuje się do takiego „mesyanizmu", do tej ewangelii narodowej *moralnego* odrodzenia, i jemu „mżonki naszych poetów tylko wtedy staną się mżonką, jeżeli ich wiara w szlachetność narodu polskiego także okaże się mżonką".

Zasługą więc było Krasińskiego, wystawiać taki cel, w płomiennych, natchnionych słowach zagrzewać do niego uśpionych, w czasach rozpaczliwych, gdy „podłość doszła nieprzebranej miary, gdy burakami i pszenicą grób zasypali", gdy panuje „spokój grobowy, a w grobie fermentacya zgnilizny i robaki, zwane zawiść, wściekłość, podłość"; gdy nieprzewidziane katastrofy (1846) ubezwładniały wszystkich. Z sztuką dla sztuki zato jego poezya nic niema spólnego; bywa ona raczej programem społecznym, artykułem dziennikarskim; opisowość usunięta całkiem, ledwie że „Okopy św. Trójcy" wedle wspomnień dziecięcych opisze lub „Przedświt" na pyszne tło jeziora podalpejskiego rzuci; akcesorya, epizody traktowane, ile do wydania myśli potrzebne, nie istnieją nigdy same dla siebie. Zato przywdziewał poeta pomysły swoje w najświetniejszą szatę słowną; zwykłe zasoby językowe nie wystarczały mu; on tworzył coraz nowe słowa, nieraz zuchwale, zawsze szczęśliwie; i u niego roi się od postaci wspaniałych, widzeń przepysznych, obrazów przejmujących zgrozą, czy marzy o złotej przyszłości, czy zstępuje w teraźniejszość, czy podziwia hart przeszłości. Oryginalny to wieszcz; kroczy drogami własnemi, spotykając się rzadko z innymi, choćby z Zaleskim w „Duchu od stepu"; walczy na wsze strony, zdziera maskę obłudy z czerwonych czy białych, wykazuje nicość i zbrodniczość zemsty i zdrady; nawołuje do miłości („hajdamackie rzućcie noże, by nie klęły

na was wieki, że cel wieków znów daleki"), przypomina Shelleya, lecz nie dziw, że społeczną i narodową stronę musiał zaznaczyć o wiele silniej, niż ów Anglik.

Nie osobą swą, lecz duchem i dziełami należał Krasiński do literatury emigracyjnej. Składały się na nią, oprócz dzieł poetów, oprócz niezliczonych publikacyi, programów i odezw, jakiemi niespokojna emigracya zalewała francuskie *dépots* i kraj (fabrykował je np. Jan Czyński, napadający gwałtownie na przywileje, na szlachtę, na kościół, choćby w formie powieściowej, np. w „Jakobinach Polskich"); dalej publikacye historyczne i beletrystyczne wszelkiego rodzaju.

Najpierwszym zadaniem emigracyi było przedstawić dzieje dni ubiegłych; ustalić, kto i w jakiej mierze odpowiedzialny za dzieło i jego rozbicie i posypały się wzajemne inkryminacye i stronnicze relacye o powstaniu i klubach.

Najznakomitsza między niemi praca **Maurycego Mochnackiego.** Ostatnie lat siedemdziesiąt widziały coraz nowe przyczynki, w kraju i zagranicą, nieraz bardzo obszerne, gruntowne, starające się o wymiar sprawiedliwości, od świadków naocznych pochodzące, takie np. Stanisława Barzykowskiego, omijające sprawy wojenne, memoryały Prądzyńskiego i innych, wspomnienia generała Kołaczkowskiego lub Andrzeja Zamojskiego dyplomatyczne negocyacye w Wiedniu, albo kasztelana Leona Dembowskiego wspomnienia (malujące zresztą więcej obyczaje, towarzystwo puławskie i t. d., niż sprawy polityczne czy wojenne); albo Kaczkowskiego (lekarza *en - chef* wojska polskiego) i t. d. W powodzi tej literatury zostałoby dzieło Mochnackiego, „Powstanie narodu polskiego", podjęte za świeża, bez głębszych przygotowań, niedoścignionem, gdyby śmierć nie przerwała wątku jego. Co napisane, pociąga nadzwyczajną jędrnością stylu i malowniczością czy plastycznością obrazów — równie barwnie nikt o tem nie pisał, tylko że to publicystyka raczej, niźli historya.

Tego samego przedmiotu jął się w dziesięć lat później Ludwik Mierosławski (po francusku i po polsku, „Powstanie narodu polskiego"), imponując obszerną krytyką działań wojennych i skarbiąc sobie sławę pierwszorzędnego strategika emigracyjnego, chociaż późniejsze wypadki jej wcale nie potwierdziły; napuszonością stylu i drastycznością szczegółów przeholował autor, który poprzednio wierszami i powieściami równej faktury zaintrygował publiczność.

Już to publicystów nie brakło emigracyi, gdzie szczególniej odłam jej demokratyczny ruchliwością i talentami swych adeptów się odznaczał; nie przebierali oni w środkach; szczególniejszą gwałtownością odznaczali się, prócz Czyńskiego, ksiądz Puławski, Krępowiecki, Gurowski (rychły odstępca), Ostrowski (przechodzący od obozu do obozu), Leon Zienkowicz (wydawca „Pszonki", ciętem władający piórem, bardziej kostyczny, niż Ostrowski); przewijają się oni coraz w epigramach Mickiewicza (parafrazującego Puszkina w wierszu na Czyńskiego), w korespondencyach ówczesnych, w strofach Beniowskiego, w powieściach francuskich i polskich Krasińskiego i Gaszyńskiego; niewinniejszym był zarozumiały o sobie Grzymała, niegdyś klasyk warszawski; poważniejszymi Heltman (autor programów Towarzystwa Demokratycznego), Podczaszyński, Alcyato, Darasz i inni.

Równie gorliwej czynniści nie rozwinęło ani wydało równie licznych publicystów stronnictwo arystokratyczne, białe, Czartoryszczyków: najwybitniejsi jego przedstawiciele, Karol Sienkiewicz i Karol Hoffman, byli raczej historykami, zbierali i wydawali cenne materyały, zagłębiali się w badaniu form politycznych narodu, lecz nie zabierali donioślejszego głosu w sprawach bieżących; najcenniejsza praca Hoffmana („Historya reform politycznych w dawnej Polsce") pojawiła się znacznie później; historya służyła mu przytem za mentora, polecającego nadewszystko zbawczość silnego monarchizmu.

Obok struny politycznej odezwała się na emigracyi i religijna; z warszawskiej i wileńskiej obojętności czy niewiary budzono się, pod osobistym wpływem Mickiewicza, Jańskiego i innych, za przykładem francuskich neokatolików (Lamennais, Montalembert, Lacordaire), wśród lektury dawnych i nowych mistyków i teozofów, do skruchy i aktów wiary prywatnych; pisano w duchu katolickim w „Pielgrzymie" Januszkiewicza (ruchliwego nakładcy literatury wychodźczej; tytuł dał pielgrzym - Mickiewicz), łączono się w „Braci Zjednoczonych" i w „klasztorku" Jańskiego. Z klasztorku wyroił się w końcu, w Rzymie, nowy zakon, Zmartwychwstańców, za głównym powodem ks. Piotra Semeneńki (niegdyś zapalonego adepta Towarzystwa Demokratycznego), szermującego piórem z niewierzącymi i mistykami, i ks. **Hieronima Kajsiewicza,** najznakomitszego kaznodziei na wychodźtwie, również nawróconego libe-

rała, niegdyś poety - żołnierza (Sonety jego, duchem wojennym nabrzmiałe). Ksiądz Kajsiewicz roztrząsaniem sumienia narodowego, niepobłażaniem hasłom popularnym, porywającą, świetną wymową wznawiał najświetniejsze tradycye kaznodziejstwa polskiego. Ci katolicy, drobna, zwarta garstka, wyszydzani przez Czyńskiego, Ostrowskiego, wzrastali wpływem, chociaż niebawem odszczepieństwo ich samych dotknęło; z łona ich wyszli Towiańczycy, nagabywani ostro przez Witwickiego, księży, Niewiarowskiego i innych: demokraci (Zienkowicz) z obu szydzili.

Wrzawy polityczne, a raczej publicystyczne tylko, i religijne nie zagłuszały innych objawów literatury emigracyjnej; obok wielkich jej wieszczów odzywały się i głosy skromniejsze, znane już dawniej, lub świeże. Pomijamy pamiętnikarstwo, popłacające bardzo: mimowoliż zwracały się umysły znękane do niedawnej, nęcącej przeszłości i wystawiały jej obrazy, tak np. Aleksander Jełowicki, później ksiądz, w swoich „Wspomnieniach“ (1839) kreślił barwne szkice życia ukraińskiego, niezapomniał o Krzemieńcu i jego „trefnisiach“, uskarżając się na niejakieś zwichnięcie idei Czackiego, ani o życiu kąpielowem kaukaskiem, o bitwie Daszowskiej, o gryzmołach Czajkowskiego, które się u niego (księgarza - nakładcy) ruski miesiąc należały, nim je od niechcenia przejrzał i odrazu się do nich zapalił.

Literatura emigracyjna wydawała za staraniem nieocenionego, zacnego Eustachego Januszkiewicza (z „Dziadów“), którego imię z „Panem Tadeuszem“, z Słowackim (Wiersz do księgarza) i z „Soplicą“, z Krasińskim, ze wszystkiemi poważniejszemi pracami emigracyi nierozdzielnie złączone — jeszcze jako „księgarz w odstawce“ wydawał on cenne dzieła historyczne — i inne dzieła.

Należała do tej literatury, raczej przypadkowo, miejscem pobytu, nie z ducha ani z treści swych dzieł panna **Tańska,** teraz żona Karola Hoffmana, nie uprawiająca już literatury dla dzieci, ale historycznemi i tendencyjnemi opowiadaniami — bo nazwa romansu byłaby dla nich zbyt ciężką — szermująca, jak dawniej, za cenieniem swojskości i za rozumniejszemi ideami o powołaniu i wychowaniu kobiety; „Jan Kochanowski w Czarnolesiu“ idealizował niewinnie poetę i czasy dawne, ale przyczynił się najwalniej do spopularyzowania wdzięcznej postaci poety i Urszulki. Lepiej udawały się powieści, nie wystudyowane tak starannie, powieści tendencyjne, gdyż autorka przyznawała sa-

ma, że niemi „daleko sobie więcej życzy nauczyć, zachęcić do dobrego, niż zadziwić lub zabawić“. „Karolina“ łączy jeszcze tendencye (o nienaruszalności małżeństwa — zawiedziona nie do rozwodu dąży, lecz o serce męża walczy i zwycięża) z tradycyą świeżą (czasów pruskich w Warszawie, dając galeryę obrazów ówczesnego towarzystwa). W „Krystynie“, emancypantce, bo stojącej o własnych siłach, moralnie i materyalnie, z własnych przejść i doświadczeń najwięcej wcieliła, tworząc kobietę rozumną i wykształconą. Hoffmanowej nie doceniano nieraz, zarzucano jej ultramontanizm i bigoteryę, gdy tymczasem ona wolna od uprzedzeń religijnych i stanowych — ona pierwsza nawołuje szlachtę, by „prócz trzech powołań, urzędu, szlif i roli“ wybierała i inne, choćby „rzemieślnika wyższego rzędu“, przez co bynajmniej rodu swego nie „upodli“; najbardziej ją martwi ciemnota ludu, i byłaby najszczęśliwszą, gdyby choć iskierkę światła między nich rzuciła; starała się o wszczepienie uczuć obywatelskich — wszystko w formie niewykwintej, prostej, ale serdecznej, miłej; jak jej program, tak jej styl był jasny i łatwy; zasłużona pracownica sensacyi i efektów ani pragnęła ani wywołała.

Tym głośniejszym stał się (wyszydzony przez Słowackiego kozak - powieściopisarz, któremu krytycy poklaski zamiast poświstów dają) **Michał Czajkowski,** Krzemieńczanin, partyzant Różyckiego, co w Paryżu na swój *genre* trafił, powieści głównie kozackie, jakiemi od roku 1837 — 1844 publiczność obkarmiał, prócz mniejszych utworów, „Wernyhorą“, „Kirdżalim“, „Stefanem Czarneckim“, „Hetmanem Ukrainy“ (t. j. Wyhowskim i jego katastrofą), „Anną“ (powieścią z czasów blizkich) i innymi.

Czajkowski, to niby polski Marlińskij, i stylem napuszonym, i bohaterami swymi, zawadyakami i rębaczami, z lulką i lubką, pokotem wrogów kładącymi, niezwyciężonymi, z najdziwniejszych przygód zapomocą cyganów i wróżek wychodzącymi szczęśliwie — bez pogłębienia tła, uprawdopodobnienia zajść, urozmaicenia przygód; i jego kozacy monotonni, w jedną stronę zapatrzeni, jak Zaleskiego, lecz mniej poetyczni, za to hałaśliwsi, prostsi, istna rozkosz dla niewybrednych czytelników i dzieci; wobec ubóstwa ówczesnego romansu historycznego szalonem powodzeniem cieszyły się te bójki i bajki i tłumaczono je w zawody na obce języki, nie podejrzywając braku historyczności; dykcya prowincyonalizmami napstrzona, rubaszny ton, szumne obrazowanie, straszna żądza

bojów, niedalekich tych bohaterów i fantastyczne ich przygody słabo maskowały. Ale sam szczęśliwy wybór tematu, w którym się Czajkowski z Zaleskim, (w Wernyhorze) z Słowackim i Mickiewiczem spotykał; silna nuta patryotyczna, drgająca w każdym utworze czy szkicu; niekłamana werwa opowiadacza, który z świeżej kampanii, niby jej szczęk broni i kurz pochodów do powieści przenosił, który sam miał coś z natury swoich bohaterów, podkupiły publiczność i krytykę.

Najciekawszy z tych romansów to „Owruczanin“, nie o kozackich bojach, lecz o świeższych zdarzeniach (1812) prawiący, jak się one w szlachcie owruckiej odbijały, częściowo z autopsyi zaczerpnięty. Jak Marlińskiego, przebrzmiała jednak i sława Czajkowskiego, chociaż utrzymał on się dłużej w pamięci czytelników; przypominał on się im coraz nowemi własnemi przygodami, odmianami, odstępstwami, jako Sadyk pasza i w innych fazach; pycha, ambicya, awanturniczość, niejasne kozacko-polsko-słowiańskie ideały uniosły go daleko.

Był on w latach czterdziestych najwybitniejszym przedstawicielem powieściopisarstwa na wychodźctwie, przemycanego do kraju; nie mógł z nim zawodniczyć ani Wincenty Budzyński, czerpiący swe powieści z czasów zamierzchłych Lechii IX i X wieków, Bolesława Chrobrego i Białej Kniehini czy wyprawy pruskiej lub zamieszek po Ryksie; ani **Konstanty Gaszyński,** przyjaciel Krasińskiego (spółpracownik niegdyś nad „Hermanem“), który romans historyczny porzucił, chociaż się jeszcze na „Kontuszowe pogadanki“ pod wpływem Paska zdobył; najpierw zdobył imię „Pieśniami pielgrzyma polskiego“, roku 1833, gdzie, trafiając nieraz w ton Berangera, rzadziej w ton ludowy, świeże wypadki ze swobodą i życiem opiewał; powieść, „Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy“, dowodziła satyrycznego uzdolnienia — szlachcic safanduła przechodzi na emigracyi od „partyi“ do partyi — którego i w satyrach wierszowanych próbował (najbardziej znana praca konkursowa, „Karciarze“, chociaż do wykorzenienia nałogu, grasującego w Wielkopolsce roku 1858, jak dziś, nie przyłożyła się skuteczniej); autor zresztą, dbały o formę, gładki, lecz ani płodny, ani silny; pisywał, jak Budzyński i inni wychodźcy, i po francusku.

Zupełnie sfrancuział w Paryżu **Karol Edmund Chojecki** (jako Charles Edmond znany w powieściopisarstwie francuskiem), należący już do młodszej generacyi na wychodźtwie. Jeszcze

w kraju pisywał wiersze (i historyczne) i powiastki; w Paryżu wystąpił z pracami o zakroju publicystycznym (Czechia i Czechowie przy końcu pierwszej połowy XIX stulecia; Rewolucyoniści i stronnictwa wsteczne w roku 1848, obie partye znał doskonale jako wydawca Tribune des peuples i ofiara policyi austryackiej); podróżował wiele i zakończył właściwy zawód autora polskiego „Alkhadarem, ustępem z życia ojców naszych“ (1854), najobszerniejszem swem dziełem, kreślącem apatyę galicyjską, a na tle jej owych „Porajów“ (niby „Firlejów“ Korzeniowskiego) innego hartu, ducha i myśli, dbałych o włościan, pracą, oszczędnością na nowe tory pchających społeczeństwo, wyemancypowanych ze zwykłych przesądów towarzyskich, lecz w końcu się im poddających; powieść o wybitnie społecznej tendencyi, mądra, lecz nie powabna, ciężka, nie naturalna w stylu, miała wskazać, „co i dlaczego ma prawo do życia, co i dlaczego powinno i musi ustąpić z pola rzeczywistego bytu“, lecz nie czytana, zniechęciła autora do dalszych prób beletrystycznych polskich.

Publicystyka emigracyjna, niegdyś tak ożywiona, dogasała powoli, lecz przed samym zgonem zerwała się na wydawnictwo, wartością artykułów, politycznych i literackich, jednolitością tonu, wykwintnością stylu przewyższające wszystkie krajowe i dlatego — nie czytane w kraju, który i Słowackiego nie znał, i od Żmichowskiej stronił, potępiane na emigracyi za obskurantyzm i jezuityzm— brak argumentów zawsze szkalowaniem zastępujemy: „Wiadomości polskie“ (przekształcone z pisemka Wrotnowskiego, tłumacza Kursów literatury Mickiewicza) wychodziły od roku 1857 do 1861 i przeszłyby — gdyby nie wrzawa kilku felietonami podniesiona — zupełnie bez śladu.

Spółpracownikami byli **Julian Klaczko** i **Waleryan Kalinka.** Pierwszy, z Niemieckiej ulicy w Wilnie pochodzący, poeta młodziutki (trzynastoletni), dopóki go krytyka Skimborowicza nie zagryzła, wykształcony wszechstronnie, oczytany, jak mało kto w kraju, w klasycznej i francuskiej literaturze, w Szekspirze i w Dantem (studya nad nim), wypłynął, jako krytyk i publicysta pierwszej próby, po kilku poprzednich artykułach, właśnie w owych „Wiadomościach“, organie hotelu Lambert. Tu umieścił on krytyki literackie i (mniej liczne, krótsze) artykuły polityczne, przebrzmiałe bez wpływu i znaczenia, choć przewyższały wszystko, na coby w kraju i Tyszyński i Lewestam, Rzewuski i Grabowski czy Kra-

szewski byli mogli się zdobyć. Wytworny smak artystyczny — tu mu nikt nie dorównał; drażliwość godności narodowej i zazdrosne nad nią czuwanie; protest przeciw obniżaniu ideałów, narodowych i artystycznych, przeciw rozwodnieniu sztuki, a płytkości morału - rozsądku; wielkie poczucie potęgi słowa i odpowiedzialności za nią; krewkość temperamentu, unosząca niemal krytyka, w miłości i nienawiści niehamującego się nigdy; styl niezrównany, francuski, przechodzący od najwyższego patosu do najdotkliwszej ironii, od zapału szczerego do sarkazmów strasznych, zawsze cięty, świeży, nigdy pospolity i blady, stworzyły te wielkie arcydzieła krytyczne i publicystyczne, jakie w ocenie „Krewnych“ i „Gladyatorów“ i w Sztuce polskiej, w Katechiźmie nierycerskim, Odstępcach i innych podziwiamy. Przypominają owe krytyki, spółczesne Czernyszewskiego i Dobrolubowa, którzy również z krytyki publicystykę czynili, nie hołdując w niej estetyce, lecz uważając ją za zmysł moralny, stosując ją do potrzeb narodowych, do uświadamiania postępu i dobra; nie dorównali oni tylko stylowi Klaczki. Krytyka bezlitośna, ale słuszna morału bajki „Krewnych“ dotknęła boleśnie, głęboko, Korzeniowskiego, który wzburzonemu uczuciu dał folgę, wprowadzając bezsumiennego pismaka, Centaurowicza (Klaczkę) w „Złotych Kajdanach“; jeszcze gorzej znęcał się krytyk nad Lenartowiczem, co się tak fatalnie wykoleił, prawiąc duby smalone i o świecie klasycznym, i o wzajemności słowiańskiej; z błotem zmieszał „Staruszkiewicza“ (Odyńca) i „zacnego, serdecznego Chodźkę“ — lecz gorzej od wszystkich potępił arlekina, Mierosławskiego, niby zapatrując się na monomachię Krasińskiego ze Słowackim. Mierosławskiego - Papkina nie przebaczyła emigracya, mimo widocznej słuszności po stronie Klaczki, protestującego przeciw bezmyślnemu burzeniu młodzieży, niegodziwemu apostołowaniu rzezi, przeciw głupiej zarozumiałości, deklamującej—jak slawofili — o zgniliźnie Zachodu. W tym samym roku (1859) dowodził Klaczko („Konspiracya i jawne działanie“), jak niebezpieczną jest broń spiskowa, że granat to, co pęka we własnych szeregach, przedsięwzięcie napozór wielkie, w istocie próżne, i kończył słowami Włocha - patryoty: wyżej nad wolność, wyżej nawet nad niepodległość, narody, chcące pozostać cywilizowanymi, cenić powinne sprawiedliwość, porządek i moralność.

Na tych artykułach, na wykładach o Mickiewiczu, wydawnictwie dzieł jego (ze świetnem studyum o nim z powodu Korespondencyi jego) kończyła się jednak niewdzięczna praca polska; od roku 1861 pisał Klaczko niemal wyłącznie po francusku, przenosząc rozmach pióra polskiego do nienaganności prozy francuskiej. Spółpracownik *Revue de deux mondes* poruszał i teraz sprawy polskie, dał np. pierwszą trafną ocenę Krasińskiego *(La poésie polonaise au XIX siècle et le poéte anonyme),* pisał o sonetach krymskich, wystawiał wymowny kontrast zaborczości krzyżackiej, a pokojowej unii polskolitewskiej w *Annexion d'autrefois* (r. 1869); lecz zwracał się coraz bardziej do wielkiej polityki, tworząc arcydzieła analizy mężów stanu i ich srodków *(Etudes de diplomatie contemporaine, Deux Chanceliers,* Gorczakow i Bismark i t. d.), a wreszcie, zrażony polityką żelaza i krwi, do umiłowanego gorąco Dantego i do sztuki renesansu włoskiego (*Causeries florentines, Rome et la Renaissance* i t. d.), którego najwymowniejszym, niezrównanym tłumaczem i znawcą się okazał, bogatą treść w pysznej formie wystawiając, chociaż nowych momentów nie przysporzył. Sława autora francuskiego (artykuły i dzieła wychodziły i wychodzą w tłumaczeniach polskich) zwróciła uwagę i na owe pierwsze występy krytyczne i publicystyczne, i, jak Słowacki, którego ukochał, zbiera i Klaczko wawrzyny zbyt późne.

Odmiennie ułożyły się losy spółtowarzysza broni, Waleryana Kalinki, którego artykuły, silnie duchem katolickim przeniknięte, formą nie świetne, spokojne, owe okrzyki na jezuityzm wywoływały. Była to druga faza w rozwoju autora „Listów z Londynu“ i „Galicyi i Krakowa pod panowaniem austryackiem“ (dzieła cennego masą dat); powróciwszy ze Wschodu, oddał się on całkiem zasadom hotelu Lambert. Dawne jego zasady były inne; i on, oddając się studyom historycznym w Krakowie czy poszukiwaniom w archiwach niderlandzkich, tchnął tym duchem demokratycznym, charakterystycznym dla ówczesnej młodzieży, wcześnie jednak zwrócił się przeciw spiskom i spiskowaniu i przylgnął zupełnie za pobytu paryskiego do stronnictwa Sienkiewicza i Hoffmana, poszedł na służbę dyplomatyczną i publicystyczną u Czartoryskich i przerwał studya historyczne. Na razie rozpraszał się w artykułach drobniejszych, które gorętszym w kraju, dla swej trzeźwości, bardzo się niepodobały; poczytywano je za bardziej rosyjskie, niż artykuły „Tygodnika petersburskiego“. Lecz jego służba emigracyjna, to tylko działanie przedwstępne.

Z pisarzy emigracyjnych możnaby wymienić, choćby dla „Żywotu Niemcewicza“, skreślonego z ciepłą miłością i szacunkiem

wielkim, choć w słowach najtrzeźwiejszych — nic zapalnego nie miał książę autor — Adama Czartoryskiego, wstępującego niemal w ślady ojca, autora niegdyś trafnych „Uwag“ o pismach polskich.

Emigracyę rzucili w końcu i Klaczko i Kalinka na zawsze; wobec zupełnie zmienionych stosunków w kraju należała rola emigracyi i jej literatury, tak znamienna i świetna niegdyś, już do przeszłości niepowrotnej. Wyjątkowo tylko wysiedlali się z kraju na zawsze tacy Olizarowski, Norwidowie, Lenartowicz i inni; oni jednak zwartego szeregu nie tworzyli, ani w Paryżu nawet się nie skupiali, rozpraszając się i po dalszej obczyźnie, po Szwajcaryi lub Włoszech.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

LITERATURA W KRAJU.

Stan umysłowy i warunki rozwoju w Galicyi, w Poznańskiem, w Królestwie i t. d. Ożywienie badań historycznych i ludoznawczych. Wybitni poeci; epicy: Pol, Syrokomla i inni; lirycy: Ujejski, Lenartowiczi inni; dramatycy: Fredro, Magnuszewski, Romanowski. Prozaicy: Kraszewski i Korzeniowski, Rzewuski i Chodźko, Kaczkowski i inni. Kobiety autorki, Gabryella i Deotyma. Tłumaczenia. Wyniki ogólne.

Poezya emigracyjna, dzięki wyjątkowemu położeniu swemu i nadzwyczajnym talentom twórczym, wdarła się odrazu na szczyty, niedostępne dotąd nietylko poezyi polskiej, ale wogóle słowiańskiej, i nikt jej nie prześcignął ani jej nawet dorównał, ani wtedy ani później. Poruszała ona najżywotniejsze kwestye; czerpała z najbliższej przeszłości sił i środków do walki, którą piórem dalej toczyła, sama zwracała się do przodków z groźnem zapytaniem:

Zaco życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,

i sama odpowiadała:

Któż, zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Jakiż naród, jakiż stan,
Wiekże jaki, z czystem czołem,
Krzyknąć może: jam aniołem,
Jam nie zadał drugim ran?

Ona nietylko tłumaczyła tę przeszłość, ale i przebijała zasłonę przyszłości, A nietylko były to olbrzymie pokłady myślowe, nie wyczerpane, była to zarazem i sztuka najwyższa, czy narodowi obraz własnego życia, tak niedawnego, a już do przeszłości należącego, rozkosznemi barwami w zadziwiającej prawdzie wystawiała, czy dobadywała się pracy duchów, ciągłej, wytrwałej od wieków najdawniejszych istnienia aż do dni naszych.

Lecz literatura ta nie miała wolnego dostępu do kraju, szerząc się kryjomo i przypadkowo; nie miała wolnego dostępu nieraz i do głów samych. Słowacki zasunął się za obłok mistycyzmu i zniknął za nim dla kraju; Krasińskiego najpotężniejsze alegorye wymagały wysiłku myślowego, i poczciwa Tańska nie jedyna żachała się na „tajemniczość“ Irydyona; piewca litewski, ukochany od wszystkich, zamilkł już po „Tadeuszu“ na zawsze. Wielka ta literatura, w stroju odświętnym, w blaskach natchnienia i wieszczenia, niepokojąca, przerywająca sen błogi, nie zaspokajała potrzeb najbliższych, codziennych; bez granic w przestrzeni i czasie, nie dopasowywała się ku wymogom maluczkich, zasklepionych w sobie, ku nizkiemu nastrojowi ogółu. A ogół ten odczuwał co raz odmienne potrzeby.

W każdej dzielnicy płynęło też życie odmiennem korytem. Na przewrót zupełny, najdonioślejszy w swych skutkach, zanosiło się powoli w Galicyi, traktowanej dotąd przez własny rząd najbardziej po macoszemu, skazanej na germanizacyę. W pół wieku po przyłączeniu do Austryi prowincya, w której praca komisyi edukacyjnej żadnem echem odezwać się nie mogła, ulegała zupełnej germanizacyi; Lwów z niemieckim teatrem i czasopismami (polskie kołatały nędzny żywot); kraj z niemieckimi urzędami, sądami, szkołą i wojskiem; miasteczka nawet z magistraturą niemiecką wywoływały łudzące pozory jakiejś niemieckiej prowincyi. Duchowieństwo było wprawdzie polskie, ale głęboko poderwane reformami józefińskiemi, osłabło tem bardziej, gdy na czele jego stawali i obcokrajowcy, obojętni dla narodowego kościoła. Szlachta zosta-

ła niby czem była, miała nawet reprezentacyę stanową i w niej stykała się z rządem; zresztą nie wstępowała do urzędów ani do wojska, żyła na wsi, po dawnemu, patryarchalnie; za młodu wyjeżdżano za granicę, potem polowano i gospodarowano, co przy pańszczyźnie trudno nie było; tylko wyjątki rzucały życie ospałe. Ludek miejski wegetował spokojnie, nie uświadomiony jeszcze, ale już wybijały się jednostki; nauka, choć niestrawna, choć niemiecka, budziła myśl.

Lud wiejski, polski czy ruski, dzieliła od „panów“ pańszczyzna; głęboka, wiekowa waśń społeczna nie dopuszczała jakiegokolwiek poczucia solidarności; rząd przez to samo, że nieograniczoną niegdyś pańszczyznę określał i władzę nad życiem i mieniem „chłopa“ odebrał, chociaż pańszczyzny nie znosił i przez swoich mandataryuszów patrymonialną juryzdykcyę pańską dalej wykonywał, w oczach chłopskich aureolą opiekuństwa się otoczył; tylko panów wina, jeżeli ojcowskie intencye jego nie wchodzą w życie; oni to uchylają czy ukrywają rozkazy cesarskie, mające dobro chłopa na celu. Z tego antagonizmu społecznego rząd, przez emisaryuszów emigracyjnych i roboty podziemne nad miarę wystraszony, skorzystał w roku 1846.

Żyd, stanowiący pokaźny procent ludności, narodowego poczucia mieć nie mógł, od wieków z dala trzymany i sam wszelkiej asymilacyi się opierający; stawał po stronie rządu i germanizacyi, od polskości stronił. I płynęło życie prowincyi różnemi strugami: najpłytsza niemiecka — dzieło kolonizacyi, planowane na wielką skalę, albo chybiało zupełnie, albo ważniejszych wyników nie dawało — wylewała najszerzej, po napisach na budynkach i kramach, po szkołach i biurach, w wojsku i między kupiectwem: nawet w przemyśle górowali obcy. Szlachta ceniła dawne życie tradycyjne najwyżej, szczególniej szlachta podgórska i sanocka; nie przypadkiem też pisarze galicyjscy, Pol i Kaczkowski, z idealizacyą jego wystąpili; o lud miejski i wiejski na razie nie dbano. Ogólne jednak zajęcie narodowościami nie minęło kraju, i właśnie Galicya okazała się wdzięcznem polem dla etnografii, łącząc oba odłamy świata słowiańskiego, zachodniego i wschodniego; myśli Chodakowskiego znalazły tu najwcześniej odźwięk. Już „Pielgrzym Lwowski“ na rok 1822 i 1823 (wydanie profesora Niemca Maussa) zamieszczał próby i oceny poezyi ludowej, i z Galicyi wyszły pierwsze obszerne zbiory pieśni ludowych.

Jeden, Wacława z Oleska (Zaleskiego, namiestnika galicyjskiego w r. 1848) „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego“, z roku 1833, upatrywał w nich właśnie „najdoskonalszą charakterystykę narodowości“, żałował, że mylną poszła drogą poezya dawna, od Kochanowskich do Krasickiego, ogółowi zawsze obca. Drugi, skrzętnego badacza i zapalonego antykwaryusza, Żegoty Paulego („Pieśni ludu polskiego“, 1838, „Pieśni ludu ruskiego“, 1839), posłużył za kopalnię dla Wójcickiego i jego „Pieśni Białochrobatów“. Nawoływania Chodakowskiego, Lacha Szyrmy i Brodzińskiego (śledź zgasłych ojców czyny, łańcuchem niezłomnym sprzęż dawną miłość kraju z plemieniem potomnem; w ziomkach ucz się znać ludzi, z nich czerpaj natchnienie, ich uczuciem wzbudzone im poświęcaj pienie) podchwycili August Bielowski, Siemieński, Goszczyński, Wincenty Pol, zbierając, tłumacząc, przerabiając pieśni ludowe.

Różnice narodowościowe na razie nie znaczyły; nieliczna inteligencya ruska posługiwała się wyłącznie językiem polskim, nawet w cerkwiach mawiano kazania po polsku; Iwan Wahilewicz, jeden z „trójcy“, co zapoczątkowała w Galicyi nową literaturę ruską, odrębną od cerkiewnej i jej martwego języka, pisywał nietylko po polsku, ale i bratał się szczerze z Bielowskim i in.; Marcyan Szaszkiewicz (wydawca „Rusałki Dniestrowej“, z Wahilewiczem i Hołowackim) pisał wiersze polskie i tłumaczył z polskiego; uprawiali oni na razie patryotyzm miejscowy, galicyjski; powoli wzmagał się ten ruch, zagarniał Ukrainę; poetycznej jej restauracyi dokonali najpierw polskoukraińscy poeci z Padurą (cenił go Szaszkiewicz—wtedy, dzisiejsi Rusini oddawna nim pomiatają); potem stawał się ten ruch coraz bardziej separatystycznym i wrogim, szczególniej po roku 1848.

Nie dziw więc, że właśnie galicyjscy pisarze, obok ludowych, słowiańskie tendencye szerzyli, zachwycali się „Rękopisem królowodworskim“, pieśniami serbskiemi, „Słowem o pułku Igorowem“, tłumaczyli je i naśladowali, szczególniej Bielowski, Siemieński, Nabielak. Ta młodzież, z oboma Borkowskimi (Józefem i Leszkiem), niebawem zasilona napływem nowych sił od Warszawy (Wójcicki, Magnuszewski, Goszczyński i inni), zakrzątawszy się żywiej, przerwała nakoniec apatyę umysłową, zadowalającą się całemi latami albo bajką Miera, albo jego wlokącym się nieskończenie przekładem Andromachy.

Prace ich skupiały się w Haliczaninie Chłędowskiego i w Ziewoni; punktem zbiorowym stało się później Ossolineum, wieczory literackie tamże urządzane przez dyrektora Kłodzińskiego; po „Rozmaitościach“, dodawanych do urzędowej „Gazety lwowskiej“, po almanachach i innych próbach nieudałych wytwarza się nakoniec za ich staraniem „Dziennik mód paryskich“ (krawca Kulczyckiego), jako pierwszy organ literacki. Koło poetów czerwonoruskich rozprzęgło się wprawdzie wcześnie, ale ruch, przez nich wzbudzony, potężniał.

Jedni, jak Nabielak, emigrant - Towiańczyk, rzucali kraj i pracę literacką; Augusta Bielowskiego, świeżo wsławionego „Pieśnią o Henryku Pobożnym“, wabiła coraz wyłączniej historya, na jej też polu miał on sobie zaskarbić największe zasługi; i tu nęciła go najbardziej przeszłość słowiańsko - mityczna, majaki macedońskich i trackich ich dziejów i bojów; wpadał on przytem na mylne bardzo poszlaki; lecz, zamiast wszystkich konstrukcyi, pozostawił jedno, trwałe dzieło: na wzór wielkiego niemieckiego wydawnictwa (Pertza), małe rozmiarami, znaczeniem wielkie „Monumenta Poloniae historica, Pomniki dziejowe Polski“, obejmujące dawne jej źródła, swojskie i obce (kronikę Nestorową w przekładzie Wahilewicza), i, chociaż nawet w wydawnictwie kronik dał się nieraz powodować niefortunnymi pomysłami, osadził pierwszy na pewnej podstawie dziejopisarstwo nasze średniowieczne; sam wydał z niego tylko dwa pierwsze tomy, dalsze wydawali inni, najpilniej i najstaranniej Kętrzyński.

Józefa Borkowskiego od pieśni nowogreckich i gazel wschodnich i t. p. śmierć przedwczesna oderwała; brat jego, Leszek, sam zarzucił lirykę i przerzucił się do satyry ciętej, literackiej, wierszowanej, w „Cymbaladzie“ (1845), przedrzeźniającej nietylko niemiłosiernie wierszokletę Józefa Pajgerta (ojca) [1]), lecz nie skąpiącej *verba veritatis* i Polowi, a sympatycznie witającej nowo wschodzącą gwiazdę, Ujejskiego; „Cymbaladę“ wyprzedziła satyra prozą na

---

[1]) „Józef z Sidorowa“ odpłacił pięknem za nadobne, „Zemstą Wandy“ (1846), najlepszem co napisał, polską Duncyadą, gdzie nietylko Breszka-Leszka, ale i całe kółko czerwonoruskich pisarzów, z Bielowskim („Długoszem“) i in., nawet ze zmarłymi, Józefem Borkowskim i Magnuszewskim, mniej dowcipnie, niż zawzięcie, pokiereszował; nie uszedł i Kraszewski, krytyk i epik (Witoloraudy), najdotkliwszych uwag.

stosunki galicyjskie, „Parafiańszczyzna“; ta wielką wywołała wrzawę, gdyż nie parafian, lecz „wielki świat“ lwowski zaczepiała, małpowanie cudzego ducha i języka, przykładne zasady świętoszków naszych, a nieprzykładne ich życie, zarozumiałość, pomiatającą niższymi, i inne wady towarzyskie; w szeregu luźnych szkiców, o nierównej wartości i tonie; niektóre z nich bardzo wymowne i ostre. Lecz były to ostatnie wystąpienia autora - obywatela na niwie literackiej; przerzucił on się potem na pole pracy politycznej i społecznej.

Siemieński porzucił Galicyę i zmienił pole pisarskie: nie próbował już tonów, jakie w „Trąbach w Dnieprze“ zanucił, lecz oddawał się popłacającym gawędom i obrazkom powieściowym (Muzameryt), nie zaniedbał tłumaczeń (Horacego, Odysei) i zasłużył się najlepszem opowiadaniem dziejów narodowych, „Wieczorami pod lipą“, pozostawiającymi daleko w tyle „Pielgrzyma dobromilskiego“, barwnością stylu i ciepłem serdecznem.

Miejsca ubywających (Magnuszewskiego i innych) zajmowały siły młode: powieściopisarz Dzierzkowski, Wincenty Pol, Karol Szajnocha, Ujejski, Kaczkowski. Straszny popłoch, wywołany rzezią lutową roku 1846, i prześladowania polityczne ubezwładniły chwilowo ruch umysłowy i propagandę demokratyczno-postępową — wszystko wynagrodził rok 1848, wiosna ludów, zapowiadająca polityczne i społeczne przewroty. Niebawem wprawdzie rozwiały się bujne marzenia; zjazd wszechsłowiański w Pradze, witany prozą i wierszami, obesłany licznie przez Polaków (zjawił się i Padura), co miał podwaliny wzajemnego porozumienia się, braterstwa ludów ułożyć, musiał się rozejść, nie usankcyonowawszy nawet ugody polskoruskiej, podpisanej przez Leona Sapiehę, Helcla i innych; bombardacyą Lwowa (gdzie spłonęła biblioteka uniwersytecka) rozpoczęła się nowa era reakcyi i represaliów. Ale pamiętny rok nie przeszedł bez głębokich śladów: można było pozawieszać wydawnictwa peryodyczne, obostrzać na nowo cenzurę, i nadzór nad szkołami, wracać do systemu germanizacyjnego, zarzuconego w roku 1848, kadry urzędnicze zapełniać Niemcami i jeszcze nieżyczliwszymi Czechami: ruchu umysłowego, politycznego i społecznego już nie zatamowano.

Obudziło się mieszczaństwo; służba w gwardyi narodowej, udziały w petycyach, adresach, zgromadzeniach, nawet procesy polityczne i zasądzania na śmierć, zamienianą na więzienia Szpilbergu i Kufsteinu, wyrobiły tylko poczucia łączności ze szlachtą, służby publicznej.

Uwłaszczenie włościan wyszło wprawdzie od rządu, ale zabliźniło najgroźniejszą ranę w ustroju prowincyi, chociaż przepaść społeczną, dzielącą lud a szlachtę, pogłębiło raczej. Ruch ruski zaczął się również wzmagać i samą jednolitością swoją zdawał się groźnym, tem bardziej, że lojalność „rutenców“ wypróbowano w roku 1848 i 1849 — Polakom nie zapomniano nawet udziału w powstaniu węgierskiem, gdzie generał polski, Bem, największe odniósł tryumfy, nawet przeciw zawiści i niechęci madyarskich towarzyszów broni, a legion polski dzielnie do końca się trzymał: frazesami, jak Madyarzy w roku 1831, Polacy w r. 1848 się nie odpłacili.

I inny trwały nabytek, największej wagi, wpłynął na dalszy rozwój Galicyi: przyłączenie do niej rzeczypospolitej krakowskiej w roku 1846. Miniaturowa rzeczpospolita przechodziła wraz z uniwersytetem Jagiellońskim niewesołe koleje od roku 1815. Szczupłość rozmiarów, środków, sił, czujny nadzór ze strony mocarstw gwarancyjnych, utrudnienie związków z innemi dzielnicami nie dozwoliły żywszego rozbudzenia. Nawet jedyna Szkoła Główna z wykładowym językiem polskim, jedyne polskie towarzystwo *naukowe,* ruch czasopiśmienniczy nieco większy, właśnie z powodu braku sił i środków szeroko się rozwijać nie mogły; honory uniwersytetu podtrzymywał jego bibliotekarz, Jerzy Samuel Bandtkie, wydając cenne zabytki, porządkując bibliotekę.

Nierównie wyżej stanął **Michał Wiszniewski,** Krzemieńczanin, profesor historyi powszechnej, czynny jako pisarz filozoficzny, o kierunku zupełnie od Kremerów i Libeltów odmiennym (wyznawca Bakona, Lockego, filozofii szkockiej, jak Śniadecki), popularnie kreśląc systemy, logikę, pedagogikę; jeszcze większy wpływ osiągnął, jako pierwszy historyk literatury polskiej, podjętej na najszersze rozmiary. W siedmiu sporych tomach (1840 — 1846) opracował całość jej do XVI wieku (w pierwszych pięciu tomach) i poezyę (polską i łacińską wraz z przekładami wierszem i prozą) okresu „złotego“ do r. 1648; roztoczył obraz kultury najobszerniejszy, na jego tle nadmiernem wystawiając nieliczne pomniki łacińskie i jeszcze o wiele szczuplejsze polskie; w XVI i XVII wieku dał się unieść masie napływającego zewsząd materyału drukowanego i przed analizą bibliograficzną (z licznemi przytaczaniami tekstów, zastępują-

cymi niemal późniejsze „wypisy staropolskie“) cofa się zupełnie wykład historyczny; później wydano z rękopisu jego jeszcze dwa tomy, obejmujące resztę literatury Zygmuntowskiej, lecz to już wyłącznie bibliografia, rozbita na działy, wyliczająca tytuły i dająca wypiski z przedmów i t. p., materyał surowy, nie przerobiony.

Zasługą pozostało, pomimo wydobycia nadzwyczajnej ilości faktów cennych (niejednego, co Wiszniewski opisał, my dziś już nie posiadamy), powiązanie ich z tłem ogólnodziejowem: oświetlenie mogło być czasem zbyt jaskrawe, przeceniało się zabytki, uogólniało zbyt pośpiesznie zjawiska zachodnie, ale cóż za postęp od suchych wyliczań Bentkowskiego, Juszyńskiego, a choćby i Ossolińskiego! Ważność literatury dla oceny ducha dziejów dopiero z jego dzieła wynikała.

Niżej od Wiszniewskiego stanęli bibliotekarz (po Bandtkiem) Józef Muczkowski, Poznańczyk, zasłużony około dziejów uniwersyteckich publikacyami źródłowemi, bardzo zmudnemi, i Karol Mecherzyński, specyalizujący swe badania (o historyi łaciny w Polsce, autor „Historyi wymowy w Polsce“, trzytomowej).

Z uniwersytetem łączyło się Towarzystwo Naukowe, wydające z przerwami swoje „Roczniki“; przewodzili w niem lekarze i przyrodnicy, najbardziej zasłużył się długoletni przewodniczący jego, uczony fizyolog Józef Majer — tylko Franciszek Wężyk równał się z nim wielką ofiarnością dla celów Towarzystwa, chociaż uznania, jako pisarz, i w Krakowie się nie doczekał, ani dramaty jego historyczne („Bezkrólewie“; pierwsze i drugie) ani komedye nie zainteresowały nikogo. Od r. 1852 odłączyło się Towarzystwo od uniwersytetu.

Kraków stworzył pierwsze miesięczniki polskie, powaeżn, „Kwartalnik Naukowy“ Antoniego Zygmunta Helcla, „Powszechny Pamiętnik Nauk“ Zienkowicza i „Pamiętnik Naukowy“ Lesława Łukaszewicza (autora podręcznika dziejów literatury), lecz dłuższego bytu im nie zapewnił. Helcel starał się najusilniej zaradzać brakom kardynalnym polskim, brakowi gruntowności i brakowi oryginalności; pomagał mu filozof - estetyk Józef Kremer, streszczający najpierw w Kwartalniku Hegela, później podejmujący obszerny „Systematyczny Wykład Filozofii“, traktujący równocześnie w „Listach z Krakowa“ historyę sztuk pięknych, z szczególnem uwzględnieniem krajowej, w formie wcale estetycznej. Na gruncie krakowskim, z najpiękniejszymi pomnikami sztuki polskiej, nietylko historya sztuki się rozwinęła: ośmiowiekowa przeszłość miasta, niegdyś placówki narodu zachodniej, później stolicy piastowskiej i jagiellońskiej, budziła uszanowanie i zamiłowanie, kierowała myślą wstecz, ku świetnej przeszłości; z Krakowa wyszło polskie starożytnictwo, zwrócenie badań dziejowych ku epokom przełomowym. Helcel sam, rzucając artykuły krytyczne i filozoficzne, zagłębił się w studya dziejowe, ale wiek upadku, XVII, ani listami Sobieskiego (do Marysieńki), ani księgą pamiątkową Michałowskiego (zbiór materyałów do dziejów roku 1648 i następnych) utrzymać go przy sobie nie potrafił: od anarchii rwał się on do czasów silnych rządów monarchicznych, do wielkiego Piasta i najznakomitszego dzieła jego, Wiślicyi. Jak Bielowski pomniki historyczne, zaczął on, z nierównie większym nakładem pracy i myśli, wydawać, „Starodawne prawa polskiego pomniki“, obejmujące w dwu tomach i podstawę ich, ustawodawstwo „wiślickie“, rozebrane po Janie Wincentym Bandtkiem krytycznie i wydane na podstawie wszystkich rękopisów; i praktykę ich, w zapiskach sądowych krakowskich XIV i XV wieku, tkwiącą. Akademia krakowska prowadzi dalej „Pomniki“, około których nieznużenie czynny prof. Ulanowski najwięcej się zasłużył.

W tym starożytniczym kierunku pracowali i inni, żołnierz-biskup Łętowski („Biskupi i kanonicy krakowscy“ — w innych pismach folgujący stylowi żołniersko-gawędziarskiemu, dosadnemu, próbujący bez powodzenia i dramatu historycznego); głównie zaś skromny i cichy zbieracz i księgarz, Ambroży Grabowski, przejęty głęboką miłością wszystkiego, co swojskie (czemu jeszcze w roku 1819 wydaniem Apoftegmatów, anegdot staropolskich, dał był wyraz, potem publikując dawne materyały w „Starożytnościach polskich“), przedewszystkiem zaś tego, co krakowskie, najwymowniejszy Cicerone swego rodzinnego grodu. Kraków właśnie stał się kolebką archeologii polskiej, piastowanej dalej godnie przez Łepkowskiego i Łuszczkiewicza, przez Sokołowskiego i Wojciechowskiego, przez Koperę i Lepszego. Z miłością przeszłości godziły się drobne rywalizacye partyjne, a raczej osobiste: najwymowniejszy ich pomnik pozostawił Wodzicki w swoich pamiętnikach.

Po włączeniu do Galicyi stał się Kraków nietylko punktem ciężkości dla zachodniej połaci kraju, lecz w przeciwieństwie do młodszego, ruchliwszego, skrajniej usposobionego Lwowa, strażnik grobów królewskich i chwały narodowej, w imię przeszłości i jej

wymownych pomników, wyrażał stale zasady konserwatywne. Na razie występowały te różnice chyba w teoryi, ale dnie rządów absolutystycznych były policzone; klęski włoskie sprowadziły w Austryi zupełną odmianę, przygotowały powrót do rządów parlamentarnych, nadawały konstytucyę państwu, a autonomię prowincyom; centralistyczne zakusy wiedeńskie odrodzenia narodowego Galicyi powstrzymać nie zdołały.

Odrodzenie publicystyczne i literackie szło w nieprzerwanym ciągu od roku 1848, kiedy to wszelkie tamy naraz zerwano, kiedy wysypały się, jak z rogu obfitości, dzienniki, broszury, wiersze, polskie i ruskie, Pola, Jabłońskiego i innych. Były to jednodniówki, ale ślad zostawiły. Teraz nie wystarczały już „Rozmaitości“ i „Dziennik mód“; Jan Dobrzański, nabrawszy wprawy redaktorskiej przy owym dzienniku, stworzył poważniejsze pismo literackie, najpierw „Nowiny“, potem „Dziennik literacki“, w których się beletrystyka lwowska znakomiciej prezentowała, i utrzymał znaczenie ich, nim się do politycznego dziennikarstwa zwrócił, nie przebierając nawet w środkach, czego „Kółko Rodzinne“ doświadczyło, mimo znakomitych spółpracowników, ulegające r. 1860 jego bezwzględnej polemice. Kraków podobnego czasopisma nie stworzył, zato jego „Czas“, organ ziemiański, zachowawczy, urosł w najpoważniejszą gazetę polityczną polską, dzięki zdolnościom redaktorskim Manna i innych (później Stanisława Koźmiana). Rolę felietonisty literackiego objął tu eksdemokrata Lucyan Siemieński, który o „czerwonej“ przeszłości i poezyi zapomniał i krytyce i studyom literackim zupełnie się poświęcił, wprowadzając pierwszy nowy rodzaj szkiców, sylwetek czy „portretów“ literackich. Przed nim, historya literatury bywała sobie bibliografią rezonowaną, dawała z wielkim trudem uzbierany materyał w formie surowej, wznosiła się do ogólnikowych poglądów; on pierwszy zręcznie i dowcipnie, daty życia, wpływy otoczenia, oceny dzieł czy stanowiska połączył, oświetlił i całość, w szczegółach nie zawsze ścisłą, ale zawsze zajmującą, ukazał. Nie sięgał on zbyt w przeszłość; pisarzów spółczesnych — nie zawsze bezstronnie—dawniejszych, w znakomitym „Obozie klasyków“, Stanisławowskich wreszcie (Trembeckiego i innych) wyłącznie niemal uwzględniał; i dziś jeszcze czyta się te studya, pisane nadzwyczaj lekko, z zajęciem i korzyścią; bo i sąd był trafny i smak wybredny; przewyższał głębokością studyów Bartoszewicz, ale formą celował Siemieński.

Czem się Siemieński stał dla historyi literatury, pozbawiwszy ją pedanteryi, drobiazgowości, sam jednak nie skupiający sił dla wydania całości, myszkujący po różnych jej działach, tem został dla historyi narodowej **Karol Szajnocha.** I historya dotąd poczytną nie bywała; liwiuszowska retoryka Naruszewicza, zawiły styl Lelewela, ciężka erudycya „Troga Pompeja“ (Bielowskiego, który tylko w „Żółkiewskim“ swobodniej oddychał, przejęty uwielbieniem dla swego bohatera, i w „Szymonowicu“ niezgorszy portret życiowy wykonał) mogły przeciętnego czytelnika nie zająć, chyba odstraszyć. Popłacały wprawdzie studya historyczne, roiły się monografie pojedyńczych rodów, wypadków, zawikłań; Maurycy Dzieduszycki pisał i „Skargę“ i „Oleśnickiego“ i „Lisowczyków“, obszernie i gruntownie, zato z silną przymieszką tendencyi ultramontańskich, uwielbiając swoich bohaterów i tam, gdzieby na ich zasługi należało wcale sceptycznie patrzeć, bolejąc bardzo, że różnowierstwa nie zgnieciono odrazu; Henryk Szmitt idealizował demokracyę szlachecką w „Rokoszu Zebrzydowskiego“ i innych dziełach; Kazimierz Stadnicki badał genealogię Jagiellońską; ks. Sadok Barącz dzieje zakonu kaznodziejskiego i Ormian w Polsce, tworząc w ślad za Minasowiczem nieco ryczałtowo z Polaków, spółwyznawców swej nacyi oryentalnej; lecz Szajnocha pierwszy historyę poczytną, ponętną zrobił, ciężkie rozprawy bez uszczerbku dla treści uczonej, gruntownej — lekkimi, nieraz wytwornymi szkicami zastąpił.

Próbował on sił, i jako poeta, szczególniej w dramacie, społecznym i historycznym, zanim do historyi przeszedł całkowicie; pierwsze jego „opowiadanie“ o Bolesławie Chrobrym (1849) wykazało zalety jego pióra, wykształconego na wzorach francuskich, Thierrego. Szkice jego krótsze i dłuższe i dzieła nawet wielotomowe (Jadwiga i Jagiełło; Dwa lata dziejów polskich) są rzeczywiście opowiadaniami, czyta się je jak romans historyczny, wprowadzają w epokę samą, między ludzi średniowiecznych czy na dwory polskich królewiąt, rozwiązują zagadkę czy nieporozumienie dziejowe (o brodach krzyżackich, które z buńczuków urobiono i t. p.), wytaczają ciekawą kwestyę, zapoznają z sympatyczną czy znakomitą osobistością.

Pod jego piórem nabierają te postaci nowego życia; on wmyślił się w nie i odczuł je i umie barwnie, zajmująco wyłożyć, co ze źródeł wykombinował. Kiedy folgując w modzie archeologicznej o początkach Polski prawił, potknął się, zato jak wypukło przedsta-

wiają się ludzie i czasy w „Jadwidze i Jagielle“, król, możnowładztwo i kozacy w „Dwu latach“! Nie unikając rzeczy drobnych (legendy o Oświęcimach i t. d.), wybierał przeważnie tematy ważne, ścieranie się Słowiaństwa z Niemcami, walki Polski ze Wschodem muzułmańskim, lecz rzeczy o Sobieskim dla utraty wzroku nie dokończył, a zmarnował go, w więzieniu, dokąd za zakusy historyczne się dostał, i nad słownikiem Lindego, pilnując nowego wydania, i nad rękopisami i drukami w Ossolineum. Poruszał i tematy literackie: on wprowadził pierwszy Wacława Potockiego (ktorego „Wojnę Chocimską“ właśnie bibliograf i biblioman lwowski, Stanisław Przyłęcki, był wydał) do panteonu ojczystego, oświetlił znakomicie postać Krzysztofa Opalińskiego i t. d. W idealizacye nie wpadał żadne, służył prawdzie, ale hołdował i pięknu. Naokół zmieniało się wszystko; nauka polska — po chwilowym zastoju, spowodowanym nawet w Krakowie samym przez złożenie z urzędu najwybitniejszych profesorów polskich — stawała na silniejszej podstawie; na katedrze lwowskiej ukazał się Antoni Małecki i, oprócz monografii literackich, studyom gramatycznym wywalczył nowe stanowisko, odpowiedniejsze wymaganiom nowoczesnej umiejętności, datującej w Austryi od Dobrowskiego, Kopitara i Miklosicza, filologii słowiańskiej; stawały pierwsze gimnazya polskie i t. d.; ożywił się teatr pod nowymi kierownikami sceny (Smochowskim i Nowakowskim); ożyła głównie belletrystyka, wierszem i prozą, i skupiła liczne, wyłącznie jej oddane siły. Tak przechodziła więc Galicya z dawnego odrętwienia w Beocyi i Abderze umysłowej, do ruchu i życia, chociaż wolnym, ale stałym krokiem, z każdym nowym dziesiątkiem lat na nowy, większy postęp się zdobywając.

Innymi, zygzakowytymi torami rozwijało się życie umysłowe i literackie w dzielnicy poznańskiej, która, jedyny raz w dziejach polskich, na chwilę na czele tego życia w kraju stanąć miała. Owej zupełnej prostracyi umysłowej, cechy dawnej Galicyi, nie było tu właściwie nigdy; cenzura pruska była o wiele łagodniejsza; sprawę włościańską zaczęto już w roku 1820 regulować; nie krępowano z zasady ruchu społecznego; uniwersytety, berliński i wrocławski, oddziaływały na młodzież wielkopolską; po gimnazych byli liczni nauczyciele Polacy, pracujący i literacko (bracia Poplińscy i Cegielski, autorowie bardzo dobrych wypisów prozą i nauki poezyi). Znaleźli się i mecenasi, zamożni, światli, patryotyczni; hrabia Edward Raczyński nietylko uposażył i publicznemu pożytkowi po-

święcił w Poznaniu bibliotekę wielką, bogatą przeważnie w rzeczy polskie, lecz łożył znaczne koszty na najrozmaitsze wydawnictwa, źródłowe (kodeksy dyplomatyczne, materyały XVIII wieku, Paska i t. d.), przekłady (klasyków łacińskich), archeologiczne (Wspomnienia Wielkopolskie), numizmatyczne i t. p. (Gabinet medalów polskich). Z Raczyńskim, którego szersze plany jednak, szczególniej po roku 1831, na przeszkody niezwalczone trafiały, zawodniczył hr. Tytus Działyński; nie przeznaczał on wprawdzie bogatych zbiorów kórnickich dla publiczności, jednak równie znaczne koszty łożył na wydawnictwa dziejowe („Acta Tomiciana“, sprawy kancelaryi królewskiej Zygmunta I; pisma w sporze polskokrzyżackim, „Lites ac res gestae“; dyaryusze sejmowe) i językowe (Zabytek dawnej mowy polskiej, najznakomitszy przyczynek po wydaniu psałterza floryańskiego hr. Stanisława Borkowskiego i slawisty Kopitara); na bibliotekę matematyczną i t. d.

Szczególne zasługi położył bibliotekarz Raczyńskiego, Józef Łukaszewicz, badając dzieje umysłowe, w czterotomowej „Historyi Szkół w Polsce“, obejmującej całość, aż do upadku Rzeczypospolitej, i w „Dziejach Kościołów wyznań obcych“ (braci czeskich, Kalwinów, które dotąd, bez tych źródeł, chyba Waleryan Krasiński opowiadał — po angielsku); on uporał się pierwszy z dziejami swego grodu, Poznania (Lwów wydawał w lichych przekładach dawne zapiski Zimorowica, nim się Rusin Zubrzycki na tendencyjną kronikę zdobył; Kraków i Warszawa do dziś podobnego dzieła nie mają). On też zasilał Leszczyńskiego (albo, jak oddawna, acz mylnie, mówimy Lesznieńskiego) „Przyjaciela Ludu“, pismo skromne formą, bogate treścią, czerpaną wyłącznie z dziejów ojczystych, popularyzujące je; sam, szczególniej w rzeczach wyznaniowych, liberał (wróg Jezuitów), zwalczał jednak postępowców, zszeregowanych około Antoniego Wojkowskiego i jego „Tygodnika Literackiego“.

„Tygodnik“ hołdował pierwotnie umiarkowanemu postępowi; zasilali go historyk Jędrzej Moraczewski (autor „Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej“, doprowadzonych w dziewięciu tomach tylko do abdykacyi Jana Kazimierza, pisanych w duchu Lelewelowskim, republikańskim, i encyklopedyi „Starożytności Polskich“) i filozof-estetyk Karol Libelt, zdolny publicysta, znakomity stylista, mniej fortunny, jako pogromca filozofii niemieckiej i samowładztwa rozumu, usiłujący go wyobraźnią zastąpić — opierający się na ludzie,

narodowości, przechowującej pierwiastki przyszłego rozwoju. Lecz od roku 1841 zwrócił się Wojkowski, któremu dzielnie wtórowała żona Julia, pierwsza emancypantka polska, ku skrajniejszym kierunkom; jej pieśni ludu wiejskiego dyszały antyszlachecką nienawiścią; emancypacyę kobiet szerzyła namiętnie, wysławiając panią Sand; zresztą czciła trzeźwy rozum, potępiała egzaltacyę. „Tygodnik“ upadł wreszcie, nie pod strzałami „Orędownika“ (Poplińskiego i Łukaszewicza); towarzystwo poznańskie odwróciło się od niego dla nietaktu redaktorów, dla ich mniemanego odstępstwa. Poważny „Rok“ Moraczewskiego dłużej nie wytrwał, i po roku 1846 obumiera rozbudzony ruch czasopiśmiennictwa poznańskiego; na pierwszy plan wysuwa się organ ultrakatolicki i ultrazachowawczy, „Przegląd Poznański“ Jana i Stanisława Koźmianów. Zawiązuje się wprawdzie jeszcze Towarzystwo Przyjaciół Nauk; poprzedziła je wytrwała czynność doktora Karola Marcinkowskiego, założyciela Towarzystwa pomocy naukowej (istniejącego do dziś, nader dobroczynnego dla uczącej się młodzieży wielkopolskiej). Tak to Poznańskie tylko przez jedno dziesięciolecie pracy umysłowej narodowej przewodniczyło, chociaż oryginalnie nie tworzyło; traktowało z wielką swobodą kwestye, których gdzieindziej nawet nie poruszano; publikowało u siebie i oceniało krytycznie (przez Małeckiego i innych) nawet literaturę emigracyjną. Nie wytrwało na tem stanowisku; po stłumieniu ruchu w roku 1848 do rozległej, postępowej pracy umysłowej tu już nie wrócono.

Wychodźtwo sił wybitnych, co się jeszcze w XVIII wieku było zaczęło, powtarzało się stale; przenosili się do Galicyi Małecki, Osowski, przed nimi Muczkowski; po nich Przyborowski Józef, Mierzyński, i cały szereg profesorów, powołanych za Wielopolskiego do Królestwa; w ostatnich lat dziesiątkach, znowu do Galicyi, przechodzili Morawski, Ćwikliński, Milewski i inni; osłabiało to znacznie pozycyę umysłowości i nauki polskiej, podtrzymywanej coraz mniej licznemi i wybitnemi siłami; prócz lekarzów i przyrodników, filozof Cieszkowski (długoletni przewodniczący Towarzystwa Naukowego Poznańskiego, odwracający się od dalszego ciągu „Ojczenaszu“ i słabnącej weń wiary do badań historycznych) i historyk czasów saskich, Jarochowski, byli najznakomitszymi.

Jarochowski występował już w latach pięćdziesiątych z treścią i myślami, jakim do końca życia wiernym pozostał: niby uczeń Moraczewskiego i Lelewela nie sprzyjał królom, panom i Jezuitom;

podziwiał naród szlachecki i jego zdrowy instynkt, acz nieuświadomiony; czasy Augusta II lub sprawy polskopruskie (Kalksteina i t. d.) rzucał wyjątkowo, np. w cennem bardzo studyum o literaturze poznańskiej z pierwszej połowy wieku. Ale zastęp pracowników zmalał nadzwyczaj; nie wzmogły go ani panie - powieściopisarki, Paulina Wilkońska i Emma z Kurowskich Puffke; dzielnica cofnęła się niebawem, chociaż jej właśnie największe niebezpieczeństwo groziło i ostatnie siły wytężać należało. Tu bowiem uszczuplała się sama podstawa narodowości przez rosnącą po miastach i miasteczkach germanizacyę, przez przechodzenie majątków ziemskich w ręce niemieckie, przez coraz usilniejszą działalność szkoły.

W zamian za ten ubytek powolny budziło się poczucie narodowe w zapadłych kątach dzielnic piastowskich i pruskich. Śląsk, wytrącony od wieków z kolei dziejowej polskiej, zniemczały nietylko w wyższych sferach doszczętnie, lecz i w ludzie samym, w dolnej i średniej połaci (stosunki narodowościowe nie zmieniły się znaczniej od końca XV wieku), w górnej wykazał siłę odporną znaczną, ale zacofany, zapomniany, żył gwarą domową, w kościele i szkole, nie wychodząc z nią poza najskromniejsze żądania. Nowa szkoła pruska (po przyłączeniu Śląska) stawiała sobie wręcz cele germanizacyjne, tak że tylko kościół ostatnią warownią języka narodowego pozostał, tem bardziej słabnącą, im liczniejszy był żywioł niemiecki w wyższem duchowieństwie: biskupi wrocławscy nie znali wcale języka najliczniejszych, najgorliwszych swych owieczek. Z duchowieństwa jednak i nauczycielstwa wyszedł ruch nowy, odrodzenie ludności polskiej na Śląsku zwiastujący; prócz najelementarniejszych potrzeb duszpasterstwa odzywały się sentymentalne, romantyczne tęsknoty za zagrodą domową i jej gwarą, za wspomnieniami dzieciństwa; sława literatury polskiej, wpływ i przykład „Pana Tadeusza“ pociągały; zaczęto pracować dla ludu w języku piśmiennym.

Skromne to były początki księży Fietzeka, Bogedajna, Bączka, nauczyciela Lompy i innych; kalendarze, czasopisma ludowe, zbiorki powiastek i t. p. składały się na nową literaturę śląską; najwyżej stanął ks. Bączek w „Starym kościele Miechowskim“, opowiadając w stylu epicznym, wzorowanym na „Panu Tadeuszu“, dzieje odbudowy kościoła w Miechowicach, prostoty wiejskiej, stosunków szkolnych i kościelnych; próbował sił swych i w przekła-

dach (z literatury niemieckiej) i w wierszach lirycznych. Ruch ten przeniósł się później i na Śląsk austryacki, do Cieszyna i Opawy, gdzie odnawiano dawną literaturę polską protestancką, wydawano np. w przedrukach postyle Rejową i Żarnowczyka, postarano się o „Kancyonał dla chrześcijan ewangelickich“ — najbardziej zasłużyli się ubodzy nauczyciele, walczący z niechęcią władz i brakiem środków, Paweł Stalmach i Andrzej Cinciała, rodem włościanie; ich „Tygodnik Cieszyński“, późniejsza „Gwiazdka Cieszyńska“, stworzyły podstawy dla czytelni i towarzystw polskich, zapewniły postęp narodowy, broniły go wobec niemieckich (i czeskich nawet) uroszczeń.

Jak na Śląsku, tak i w Prusiech, wschodnich i zachodnich, obudziło się życie. Kolonizacyjny ruch mazowiecki był tu od dawna wstrzymany; Mazurzy pruscy, ewangeliccy, w wieku XVIII zaniedbywali język zupełnie; nie powtarzały się już świetne czasy XVI wieku, kiedy sam książę, dbały o szerzenie słowa Bożego w języku narodowym, o księży i książki polskie się starał, Seklucyana, Kwiatkowskiego, Maleckich do pracy pobudzał. Dopiero wiek XIX przerwał to uśpienie; duchowni i nauczyciele, Gizewiusz i Giersz na czele, wydawaniem „Przyjaciela ludu łeckiego“ i innemi książkami budzili miłość i pieczę języka. W Prusiech zachodnich i między Kaszubami kościół katolicki narodowości ginąć nie dawał; Kaszubowie pomorscy, protestanci, zalani falą niemiecką, już nie odżyli; ich kronika narodowa zapisuje tylko daty wymierania języka, najpierw w szkole, potem w kościele; niedobitki, ostatni Mohikanie, dotrwali do dni naszych, i z nimi schodzi do grobu książka, mowa i narodowość polska; za to Kaszubowie pruscy, katolicy, liczniejsi znacznie, oparci o ścianę polską, o język kościelny, nie ustąpili z pola — i między nimi wznowił się ruch, który nawet zapalony demokrata, doktór Cenowa (Wojka syn), separatystycznie zabarwiał, marząc o jakimś odrębnym języku „kaszebskim“, chociaż odrębność najbardziej w samej pisowni się przejawiała, chociaż już w wieku XIV sądownie stwierdzono, że język pomorski i polski — to jeden, chociaż już w wieku XI Nestor to samo twierdził. Tak wskrzeszało na „Ukrainach“ polskich, dawno uważanych za stracone, poczucie przynależności plemiennej i duchowej. Tylko badania etnograficzne pozostawały bardzo w tyle; Wielkopolska — prócz Berwińskiego — wybitnego zbieracza rzeczy ludowych nie miała, a luki tej Lipiński ze swoim zbiorem pieśni nie wypełniał; u Mazurów i Kaszubów (prócz Cenowy, zbierającego „frantówki“ i przysłowia) jeszcze mniej o to się troszczono.

W Królestwie stosunki układały się inaczej. Zamknięto na zawsze Towarzystwo Przyjaciół Nauk, zbiory jego powędrowały do Petersburga; zamknięto uniwersytet Aleksandrowski, znaczna część i jego zbiorów rękopiśmiennych, z bibliotek klasztornych, zwiezionych niegdyś, za inicyatywy ministra Potockiego, do Warszawy, również do Publicznej Biblioteki nadnewskiej się dostała; bogato rozwinięte czasopiśmiennictwie skarlało odrazu do najskromniejszych rozmiarów; wszystkie siły wybitne opuściły kraj, aby po przerwach, dzezdeńskiej czy galicyjskiej, we Francyi się osiedlić, uczeni i poeci, profesorowie i literaci; nieliczni pozostali, jak Brodziński i Gołębiowski, albo ci, co wracali, jak Wójcicki, nie mogli sił rozstrzelonych skupiać. Dziesięciolecie pierwsze po roku 1831 przedstawiało największy upadek, zupełne zubożenie umysłowe całego kraju. Poważniejszego czasopisma nie było; wszelkie próby (Dzierożyńskiego i innych) zawodziły; noworoczniki z wierszami i prozą dam, Jutrzenki, Wianki, Pierwiosnki (Pauliny Krakowowej), Niezapominajki i t. d., ciąg dalszy „Meliteli“ romantycznej pamięci, lecz nigdy jej nie dorównywając, zaspokajały skromne potrzeby umysłowe; nawet „Magazyny Powszechne“, „Muzeum Domowe“ (Dmochowskiego), „Panoramy literatury krajowej i zagranicznej“ nie mogły się utrzymywać. Dopiero w roku 1841 założona „Biblioteka Warszawska“, zasilona znaczniejszym funduszem wydawniczym, składkowym (Przeździeckiego i innych), pod redakcyą Szabrańskiego, potem Wójcickiego, przy spółpracownictwie sił najrozmaitszych (Zielińskiego, Tyszyńskiego, Chojeckiego i in.) stanęła na czele pism poważnych, belletrystyczno-naukowych i do dzisiejszego dnia na niem się utrzymuje.

Do najruchliwszych pracowników na niwie literatury ojczystej należał tu Kazimierz Wójcicki, chociaż żadnem z licznych swych dzieł i niezliczonych (a powtarzających się) artykułów wybredniejszym wymaganiom nie odpowiadał. Wcześnie nęciła go etnografia; pobyt galicyjski utrzymał go w tym kierunku; niebawem skierował go na pole historyczne, do tradycyi domowych, do dziejów kultury, teatru i literatury narodowej. Nie uczony to ani krytyk, kompilator raczej, zszywający jako tako uzbierany byle gdzie materyał, podający go w najrozmaitszych sosach; dziś nikt bez nie-

ufności nie korzystałby ani z jego „Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi“ (Białochrobaci, mityczna nazwa, przeniesiona na Małopolskę), ani z jego „Klechd, starożytnych podań i powieści ludu polskiego i Rusi“, ale jego „Zarysy Domowe“, „Teatr starożytny“, „Biblioteka starożytnych pisarzów“ (wybrana również dowolnie, przypadkowo), zawierały cenne dla rzadkości rzeczy, chociaż robiły z nich nieraz straszną siekaninę, zamiast dawać całości, popularyzowały (szczególniej też jego „Historya literatury polskiej w zarysach“, szereg wypisów) wiadomości o rzeczach i dziełach dawnych, budziły dla nich cześć i miłość, zaciekawiały nowelistycznym zakrojem, dawały obrazki obyczajowe nie bez wartości.

Najtrwalszą zasługę położył Wójcicki, jako pamiętnikarz; znający dawną Warszawę (przed rokiem 1830), zżyty z późniejszą, tradycye jej posiadł wszystkie i opowiadać umiał czy o Kawie literackiej czy o klasykach i romantykach, czy o towarzystwie Warszawskiem na początku wieku (1800 — 1830), czy o nagrobkach powązkowskich. Na podobnej niwie, mniej ruchliwie jednak, a głównie mniej popularnie trudził się człowiek rozległej wiedzy, wielkiej pracy, nie zbyt jasnych myśli, Wacław Aleksander Maciejowski, prawnik z zawodu („Historya prawodawstw słowiańskich“, w sześciu tomach, swego czasu bardzo zachwalana), potem historyk literatury i kultury, o ile się ona z broszur i druków wyczytać dała. Jego „Piśmiennictwo polskie“, czterotomowe, objęło ten sam przeciąg czasu co i dzieło Wiszniewskiego, lecz wykluczyło literaturę łacińską; nieskończenie ono bogate w informacye bibliograficzne, w notatki i wypiski — Maciejowski zbierał sam wszędzie materyał, od Kórnika aż do Petersburga. Podkreślał wyłącznie narodowość, więc z humanizmem i łaciną pogodzić się nie umiał, za to jedyny w Warszawie reprezentował ów kierunek słowiański, który nawet w Galicyi niebawem zamarł, cóż dopiero w Królestwie; dla tej predylekcyi słowiańskiej niemiał on miru u swoich, i Mickiewicz nie zawahał się go, obok Gurowskiego i Sękowskiego, postawić i mianem zdrajcy napiętnować (w Kursie literatury), niesłusznie.

Od niewykończonej historyi literatury wrócił on do studyów prawniczohistorycznych, lecz nie stworzył już niczego trwałego, chociaż się i historyą miast i włościan i dziejami pierwotnemi zajmował; najznakomitszem pozostało pierwsze jego dzieło, inaugurujące nową umiejętność, u wszystkich Słowian bardzo cenione, do

póki go prace specyalne i nowe publikacye źródłowe nie zasłoniły; najbardziej szkodziły zawiły styl i wązkość oczywista doktryny demokratyczno-słowiańskiej poczytności i wpływom prac jego; wpadał on też zbyt łatwo w suche wyliczania (Wójcicki te same przedmioty o wiele barwniej przedstawiał) i analizy bibliograficzne; nadto był również skory do wyciągania daleko sięgających wniosków z premis byle jak rzuconych — nie utrzymały się też jego rezultaty, chociaż je nieraz zbyt lekceważono, zapominając, że on jedyny nie zasklepił się w polszczyźnie, zachował łączność i baczność na wszystko, co słowiańskie.

Dzieła umiejętne pojawiały się ogółem bardzo rzadko; brakło pracowników, gdyż szkół nie było; najzdolniejszym i najczynniejszym był Julian Bartoszewicz, najbieglejszy znawca ludzi i czasów XVIII wieku, rozszerzający swe badania i na całość dziejów umysłowych; jego „Historya literatury polskiej“ stanęła wówczas najwyżej; niestety, praca jego rozpraszała się zbyt często na luźne artykuły i szkice (Znakomici mężowie XVIII wieku i t. d.; wydawał on i cenne materyały, pamiętniki np. Zawiszy i inne). Byli i mecenasi, najzasłużeńsi z podolskich i ukraińskich stron przybyli, Konstanty Świdziński, nieznużony zbieracz, ratujący od zagłady rękopisy i druki; jego zbiory i fuudusze stanowią jądro Biblioteki Ordynacyi Krasińskich, chociaż dopiero po śmierci urzeczywistniono zamiary fundatora, uprzystępniając zbiory publiczności i podejmując cenne publikacye umiejętne (głównie z działu historycznego). Obok biblioteki Krasińskich stanęła druga ordynacka, Zamojskich; lecz Stanisław Zamojski zbierał tylko, nie myślał o wyzyskiwaniu zbiorów, i biblioteka, acz bardzo zamożna w rzeczy polskie, dotąd z własnemi publikacyami, mimo takiego bibliotekarza i uczonego, jak Józef Przyborowski, nie występowała.

Ruchliwszym był hrabia Aleksander Przeździecki, nie tyle dla własnych prób powieściowych i dramatycznych, ile dla wytężonego ślęczenia nad rzeczami polskiemi w domu, w podróży malowniczej po Podolu, Ukrainie i Wołyniu (1841 r.), i zagranicą, w Szwecyi czy Dreźnie czy Rzymie. Jemu zawdzięczamy trzy wielkie wydawnictwa: „Jagiellonki Polskie“, w pięciu sporych tomach, krótkie charakterystyki i najbogatszy materyał dla historyi obyczajowej XVI wieku (Józef Szujski w znacznej mierze do wykonania dzieła rękę przyłożył); dalej wydanie zupełne dzieł Długosza, dług honorowy, który nareszcie pamięci najzasłużeńszego patryoty - historyka spła-

cono: myśl rzucił był Włodzimierz Plater, zajęty sam wydawaniem bogatych materyałów historycznych; wykonanie ciągnęło się przez lat kilkadziesiąt; do łacińskiego tekstu „Historyi Długoszowej“ dodano i piękne, ale nie zawsze wierne tłumaczenie jej, Żegoty Paulego; wreszcie razem z baronem Rastawieckim wydał on „Pomniki Polskie średniowieczne“. Podejmowano i inne prace: kodeks dyplomatyczny średniowieczny, wydanie dzieł Kopernika i t. d., ale powstawały one luźnie; ludzie dobrej woli zaprzęgali się do dzieła, lecz atmosfory naukowej, w której prace dojrzewają, nie wytworzyli. Przyczyniało się do tego i nadzwyczajne rozproszenie sił polskich; najzdolniejszy prawnik np., człowiek o nadzwyczaj szerokim widokręgu, obznajmiony ze wszystkiemi gałęziami prawa, lecz najbardziej z jego historyą, Romuald Hube, wykładał i pracował w Petersburgu; tu położył nadzwyczajne zasługi, jemu winna nauka ocalenie, t. j. spisanie obyczajów prawnych narodów syberyjskich wymierających; on znał *coutume'y* francuskie i badał prawo salickie; najbardziej pociągało go prawo polskie, Kazimierz Wielki i ustawodawstwo jego; on wyłożył dawne stosunki prawne polskie, trzymając się skrupulatnie samych źródeł, nie dopuszczając konstrukcyi, dochodząc do odmiennych od Helcla wniosków; i on badał stosunki słowiańskie, jeszcze przed Maciejowskim ważność studyum porównawczego wykazując; jak i Maciejowski dożył on w rzeźkiej sile umysłowej lat Nestorowych: pierwsze jego rozprawy pojawiały się równocześnie z Getego artykułami w tym samym czasopiśmie („Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik“ z roku 1829), ostatnie, o sześćdziesiąt lat późniejsze, liczyły się z Brunnerem, Lamprechtem, Kowalewskim, chociaż ich poglądów autor nie dzielił.

Wcześniej, niż naukowe, rozbudziło się życie literackie. Przeciw „Bibliotece Warszawskiej“, jako konserwatywnej, stanął „Przegląd Naukowy“ Edwarda Dembowskiego (syn kasztelana, autora pamiętników swego czasu, niedawno dopiero wydanych), odgrywającego w Warszawie rolę Wojkowskiego w Poznaniu, namiętnego adepta filozofii hegelowskiej i postępu społecznego, wyniesienia ludu. Pisał bardzo wiele, nie szczędził jaskrawości w stylu, stawiał wysokie żądania, jako krytyk, bywał stronniczy w swych ocenach; młody na młodych silnie działał; w Poznaniu, dokąd się niebawem przeniósł, napisał pierwszy historyę literatury „Piśmiennictwo polskie w zarysie“, gdzie o dziełach i myślach, nie o ludziach i książkach z wielkim hazardem rozprawiał. Miejsca jego w Warszawie

na razie nikt nie zajął, ani spółwydawca „Przeglądu“, Skimborowicz, bibliograf raczej, niż publicysta, ani młody, uzdolniony Majorkiewicz, który się rychło na śmierć zapracował, demokrata, jak Dembowski, lecz wstrzemięźliwy w słowie i sądzie; i on, jak Dembowski, wystawił „Literaturę polską w historycznem rozwinięciu“, z wiedzą i talentem, chociaż uogólniania jego zawodzą. Organ reakcyi katolickiej przeciw „pysze rozumu“, „Pielgrzym“, wydawany przez kobietę - filozofa, Eleonorę Ziemięcką, powodzenia niemiał; „Biblioteka“ jedyna utrzymała się na placu, przetrwawszy napady z lewa i prawa.

Krytykę uprawiali głównie Tyszyński, później i Lewestam; Aleksander Tyszyński rozpoczął powieścią - krytyką, „Amerykanką w Polsce“ (1837) i niebawem odzierżał berło krytyki warszawskiej, pisując do „Biblioteki“ recenzye z powieści, poezyi i t. d., z wielką bezstronnością, stylem nieco ciężkim; czynił i ekskursye w dawniejsze dzieje literatury, wszędzie znaczną wiedzę ze starannem przemyśleniem kwestyi i dokładnem jej wysłowieniem łącząc. Mniej systematyczny i gruntowny, zato dowcipniejszy i więcej rzutki był Fryderyk Henryk Lewestam, kuszący się i o wielkie kompilacye („Historya literatury powszechnej“), lecz tylko w drobiazgach, w ciętych recenzyach i wycieczkach satyrycznych („Wolne żarty“, z których się wyłoniły czasopisma humorystyczne), znakomity. Lewestam pisywał do dzienników — właśnie dziennikarstwo, po długim zastoju, najlepiej się rozwijało. Inicyatywę i przykład dał hr. Henryk Rzewuski, zakładając „Dziennik Warszawski“, skupiając najlepsze siły, starając się o znakomity felieton (Wacława Szymanowskiego); początkowej wziętości „Dziennika“ sam znowu najbardziej zaszkodził, lecz nauka w las nie poszła, „Gazeta Warszawska“ Lesznowskiego i o belletrystykę i o sprawozdania teatralne się starała (felieton jej prowadził Niewiarowski, nie pośledni powieściopisarz), a jeszcze wyżej stanęła „Gazeta Codzienna“ czyli „Polska“ (za świetnego redaktorstwa Kraszewskiego; jej felietonista Miniszewski, również powieściopisarz).

W kraju Zachodnim zniesiono uniwersytet i liceum; Wilno i Krzemieniec oddały swoich profesorów, swoje zbiory, w końcu swoich uczniów innym zakładom w Cesarstwie; zasilały się nimi Kijów (z świeżo założonym uniwersytetem Włodzimirowskim) i Charków (tu uczył prawa brat Adama Mickiewicza — inny Litwin filaret, uczył geologii — w Chile i t. d., tak obejmowała litewska

diaspora cały świat); w szkołach nastał odmienny tryb nauczania; unię skasowano. Ruch naukowy i literacki, jaki bił od Wilna, od „Dziennika Wileńskiego“, od publikacyi wileńskich, nagle ustał; „Kuryer Wileński“ zawierał tylko drobne informacye; po Noworocznikach, rozmaitych Zniczach, Borutach, Bojanach, Rusałkach i t. d., kryły się wiersze i prozą; jedyne „Wizerunki i roztrząsania naukowe“ walczyły z obojętnością publiczności, nie gustującej w surowym materyale historycznolokalnym, jakim ją okarmiano. Do nich przybyły później i „Ateneum“ Kraszewskiego i „Rubon“ Bujnickiego, ciąg dalszy jezuickiego „Miesięcznika“ Połockiego, co do treści, ducha i spółpracowników (Borchów, Platerów i innych Inflantczyków) — i one żywszego udziału nie znalazły. Ten byłby zdobył „Pamiętnik nakowo-literacki“ Romualda Podbereskiego (1849), zasilany przez postępowych autorów (od „Gwiazdy“ kijowskiej) i prowadzony w duchu liberalnym.

Wpływ uniwersytetu i nauki jego nie ulotnił się jednak od razu; pojawiały się obszerne dzieła, poświęcone nietylko dziejom ziemicy; „Obraz Litwy“ Jaroszewicza i „Litwa“ Kraszewskiego, kompilacye raczej, ustępowały wobec Teodora Narbuta olbrzymiej „Historyi Litwy“, chociaż i ona co do początków grubo niekrytyczna, uwieczniła ową pseudo-mitologię litewską nowymi wymysłami. Mikołaj Malinowski zato przekładał i objaśniał kronikę Wapowskiego i brał udział z hr. Przeździeckim w wydawnictwie cennych materyałów; Michał Baliński i Śniadeckiego albo Wolana biografię obszerną i historyę akademii wileńskiej pisał i wydawał pisma Łaskiego (żołnierskie) czy listy Radziwiłłów; etnografią i archeologią trudnili się hr. Tyszkiewicze (wyposażający muzeum zbiorami, a literaturę opisami wzorowymi, np. powiatu Borysowskiego — dopiero w kilkadziesiąt lat później doczekał się inny, oszmiański, podobnego opracowania).

Najdonioślejszem byłoby wydanie „Obrazu bibliograficzno-historycznego literatury i nauk w Polsce od wprowadzenia do niej druku po rok 1830 włącznie“ Jochera (u znanego nakładcy wileńskiego, Zawadzkiego), gdyby na tę samę obszerną skalę było i wykonane; trzy tomy (1840 — 1857) objęły tylko filologię i teologię, imponując olbrzymim materyałem, uzbieranym przez Sobolewskiego i innych, obszernymi wypisami z najciekawszych partyi starych ksiąg i broszur.

I tu nie brakło owego etnograficznego zamiłowania ku zbieraniu powieści i podań i pieśni ludowych, o którem świadczyły „pieśniozbiór“ Chrapowickiego i in., niedrukowany, drukowane „Piosnki wieśniacze z nad Niemna“ (i Dźwiny, Wilno, 1837 i 1839), filomaty Czeczota, „Pieśni ludu pińskiego“ Zienkiewicza (z przekładem polskim) i inne publikacye aż do „Bajarza polskiego“ Glińskiego, zastępującego nam Hausmährchen braci Grimmów. Próbowano opisów etnograficznych kraju i tworzenia w jego narzeczu (Rypiński na emigracyi i Białoruś opisywał i ballady białoruskie, „Niaczyścik“ i in., pisywał); najoryginalniejszym produktem białoruskiej ziemi, niby jej Padurrą, był Jan Barszczewski, ubogi szlachetka, uczeń szkoły Połockiej, najpierw klasyk - wierszokleta, potem, od dworku do dworku wędrując, i piosenki i opowiadania białoruskie tworząc, np. o „Rabunkach Mużyków“ (z roku 1812), gdy „francuskaja siła“ nastąpiła, a mużyczki panami sytuacyi się ujrzeli: Pierwszy Minka (lokaj pana Malinowskiego) sieu za stoł, U kuty hladzić jak sakoł, Na kreśle, hdzie siadzieu pan... Pomniu ja tyje wieki, Jak żyli panou predki, Nas u niekruty nie brali, Ach szto za pany bywali! Chać na łbie wałos i niet, Da wżoż usy na uwieś świet; dwa rukawa mieli krasnych, Jeszcze dwa z zadu zapasnych, Z adnej poły u tych panou Siemioro paszyu sztanou! A hety (dzisiejsi panowie) i nas pajeli I sami użo zhaleli, Pały sabie abrezali, Chwasty z zadu padsiekali I ciapier użo usiakaj Kusoj z zadu i t. d. i t. d., więc niby „Pan Tadeusz“ białoruski na wywrót, jak Eneida Mańkowskiego. Barszczewski bywał i w Petersburgu, tam „Niezabudkę“ wydawał i „Szlachcica Zawalnię czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach“ (od jeziora Nieszczorda, 1844 — 1846 r., z przedmową o literaturze białoruskiej Podbereskiego): w obu są jego naśladowania legend i pieśni ludowych, np. w balladzie „Wrożka rusałka“ prosi chłopiec, jak u Mickiewicza: Husańki, lebiodańki, Skińcia mnie pa pioruszku, Ja z wami paleczu; albo wdowa płacze nad świeżą mogiłą mężową, a na wieczór śpiewa: sława tabie, Chryste caru, Czto moj muż na cmentaru I biady pozbyła sia I harełki napiła sia; na Kupałę śpiewa: Iwan da Marija, Na hare kupalnia, Hdzie Iwan kupausia, Bierah kołychausia, Hdzie Maria kupałaś, trawa razściłałaś. Równego mu oryginału nie było w innych stronach, ale i na Wołyniu i Podolu opisywano kraj i zbierano materyał ludoznawczy (Steckiego „Wołyń“, Marcinkowskiego - Nowosielskiego — „Lud Ukraiński“ z nieco fantastyczną

okrasą i in.) i archeologiczny (Grabowski na Ukrainie, Kirkor — Jan ze Śliwna—w Wilnie i t. d.). I na właściwej Litwie-Żmudzi odzywał się ten ruch i nabierał nawet separatystycznego zabarwienia, mniej u Ludwika z Pokiewia (ks. Jucewicza), co zbierał, upiększał, a w danym razie i tworzył podania żmudzkie, więcej u innych, szczególniej u Szymona Dowkonta, tłumaczącego na litewskie i piszącego oryginalnie, Budas Senowiu i t. d. (starożytności i dzieje litewskie, w języku od wydań wileńskich bardzo odmiennym); był on niegdyś towarzyszem pracy księdza biskupa Wołonczewskiego, który po żmudzku historyę swego biskupstwa od początków wypisał (niedawno na polskie przełożoną, Żemajcziu wiskupiste i t. d.); prace Dowkonta pozostawały w rękopisie lub dla odmiennego języka mało się rozchodziły — Litwini amerykańscy przedrukowali niedawno Budas.

Popularniejszym był Iwiński, wydawca kalendarzy litewskich. Zanosiło się i na czasopismo litewskie, prowadzić miał je „chłop z Mariampola", Akielewicz, który później na emigracyi znajomość litewszczyzny spożytkował, lecz do wykonania zamiaru już nie doszło.

W skutek zmienionych okoliczności wyprzedzał teraz Petersburg Wilno; Polacy tu, stale czy czasowo osiedli, zaważyli w rozwoju literackim całego kraju. Nie możnaby tego twierdzić o Tadeuszu Bułharynie i Sękowskim, ludziach smutnej pamięci, w dziejach literatury rosyjskiej głównie a niekorzystnie zapisanych, przewijających się u Puszkina, Gogola, Bielińskiego; Bułharyn, powieściopisarz i publicysta, odstępstwem swem, jak Puszkin szydził, Polaków od łotra uwolnił, a Rosyan przyjaźnią napiętnował, Walter Skot albo prosto „Skot", wedle tegoż Puszkina; Sękowski, oryentalista i publicysta, właściwie klown cyrkowy (baron Brambeus), który chyba sam nie wiedział, kiedy drwił, a kiedy łgał. Gdy publicystyka wileńska upadła, wzmogło się znaczenie „Tygodnika Petersburskiego", założonego przez Malewskiego (przyjaciela Mickiewicza) i Przecławskiego; „Tygodnik", zrazu nikłe pisemko, stał się potęgą literacką pod ręką „pentarchii", gdy prymas krytyki, Grabowski (gdzieindziej byli wiceprymasi, np. Dobrzański we Lwowie), Rzewuski, ks. Hołowiński (rektor akademii teologicznej petersburskiej), Sztyrmer i Kraszewski, acz niepewny kantonista, to lgnący do „Tygodnika", to stroniący od niego, nim zawładnęli i gromy ciskali na demokracyę i wolnomyślność, na filozofię i rewolucyę, na wszystko, co się wymykało z pod feruły tradycyjnej i wszelakiej chińszczyzny. Tego znęcania się nad postępem młodzież w końcu nie zniosła; w Petersburgu, później w Kijowie wychodząca „Gwiazda" (Fisza i Jurkiewicza, z głównem spółpracownictwem „Gryfa" — Marcinkowskiego) stawała w obronie myśli, filozofii, demokracyi, lecz światło jej rychło zagasło; w końcu upadł jednak i „Tygodnik", gdy najwybitniejsi, jak Rzewuski, zasilać go przestali.

Obok „Tygodnika", drukującego powieści („Listopad"; Sztyrmera, Kraszewskiego i t. d.), krytyki i t. d., złośliwe uwagi redaktora (Przecławskiego), będącego zarazem organem urzędowym, wychodziły w Petersburgu i liczne poważne publikacye, żeby tylko wspomnieć o wielkiem wydawnictwie „Dziejopisarzów krajowych", obejmującem w polskich przekładach najcelniejsze pomniki dawne, np. Rudawskiego, Heidensteina, Orzelskiego dzieje bezkrólewia (w przekładzie Spasowicza) i t. d.; obok Zawadzkiego w Wilnie stanął godnie Wolff w Petersburgu. Szczególniej przy końcu lat pięćdziesiątych wzmógł się ruch publicystyczny i literacki w Wilnie i Petersburgu; „Kuryer Wileński" (redaktor Odyniec) rozszerzył swe łamy, obok niego występowała „Teka Wileńska" z poważnemi pracami; miejsce „Tygodnika" zajęło „Słowo" — ale oba wydawnictwa ulegają zawieszeniu rychłemu, i „Pismo zbiorowe" Józafata Ohryzki zawiera ich pokłosie, artykuły Małeckiego (o Morsztynie) i inne cenne prace. Dnie tego życia były już policzone.

Tak rozmaicie ukształtowało się tło, na którem między rokiem 1831 a 1863 rozwijała się literatura piękna. Mimowoli nasuwa się myśl, czy nie należy i faz tej literatury i działaczy jej, wedle dzielnic grupować; cyganeryi warszawskiej, demokratów poznańskich, poetów krakowskich nie podobna przecież odrywać od tła specyalnego, jako objawów lokalnej natury. Ależ właśnie literatura jedyna, jak zawsze, tak i teraz, łączyła, nie dzieliła; obok lokalnych przedstawia ona zjawiska znaczenia ogólnego, to, co było najlepszego, najżywotniejszego; te same prądy ożywiały ją wszędzie, ludowy, przed i około roku 1848, historyczny wtedy i potem; wzory też bywały spólne, nieśmiertelna epopeja litewska czy płomienna książka Słowackiego; nie rozstrzyga nawet ta okoliczność, że wytwór tego samego prądu nad Wisłą a nad Niemnem inaczej się przedstawiał, że np. pienia Lenartowicza a Syrokomli musiały być zupełnie odmienne.

Pomimo różnic i granic dzielnicowych wymiana myśli, dzieł, nawet ludzi była stała i znaczna; Galicyanina Pola drukowano w Petersburgu, dramaty Korzeniowskiego dawano na scenie lwowskiej przed warszawską; odwiedzano się wzajemnie (Syrokomla; Ujejski w Warszawie i t. d.) lub przenoszono nawet penaty zupełnie; co najważniejsza, niektórych pisarzów, Kraszewskiego czy Korzeniowskiego, nie sposób na tle jednej, jakiejkolwiek dzielnicy wyobrazić; ów, Wołynianin rodem, Litwin wyborem (przez czas niejakiś) zawsze był tylko Polakiem, Korzeniowski, choć w Krzemieńcu czy Charkowie siedział, zawsze ku Warszawie ciążył.

Literaturę tę krajową, w przeciwieństwie do emigracyjnej, odznacza, pominąwszy miarę i skalę talentów, nierównie węższy widokrąg, mimo całej jej romantyczności. Nie obce jej rozczochranie romantyczne, sadzi się ona nieraz umyślnie na najdziwaczniejsze pomysły, mimo to pełza ona zwykle po ziemi; ciąży na niej kwestya włościańska, nierozwikłana; obarcza ją balast historyczny; wyjątkowo tylko wystrzeli ona słowem wieszczem, Skargami Jeremiego. Za to kwitnie w niej powieść i komedya, czego wielka poezya emigracyjna ani tykała, a których ludek czytający i repertuar miejscowy najbardziej łaknęli; uzupełnia więc poprostu literatura krajowa zagraniczną, i w tem jedna jej wielka zasługa: upowszechnia ona przez to potrzebę książki polskiej, codziennej, przystępnej każdemu, ciekawej; mniejsza jej zasługa dla repertuaru polskiego. Inna zasługa, ujmowanie się za ludem wiejskim, silnie i wprost lub choćby nawiasem i oględnie — nie są to już piękne frazesy Krasińskiego o szlachcie i ludzie; tu starają się winy wiekowe zagładzać, nie ignorować. Niezgorszą też zasługę położyła ta literatura około uświadomienia narodowego, osobliwości zasług dziejowych, życia dawnego— w formie belletrystycznej uprzystępniła dawne tradycye, dawne dzieje nawet, a z drugiej strony nie zapominała o teraźniejszości, o hasłach modnych; o wymaganiach chwili. Z chwilą tą przybierała sama charakter rozmaity: gdy się wzmogła na siłach po roku 1840, zaczęła powoli zatracać czy osłabiać cechy postępowe; w najgłębszą reakcyę ponurzyła się około roku 1850, aby się potem znowu powoli wznosić. Tak odbijały się i na niej prądy europejskie.

Najbardziej typową jej postacią, wyrażającą najpełniej wahania się epoki od stanowiska czerwonych do białych, przejścia od samobiczowania do bezwzględnej apoteozy przeszłości, od szerokich widokręgów do trwożliwego zasklepiania się w domu ślimaczym, to

Wincenty Pol, niegdyś aż nadto popularny, potem popularność utracający, radośnie witany, a żegnany obojętnie. Szeroki rozgłos zdobyły mu „Pieśni Janusza“ (r. 1833, wydane za namową Mickiewicza, Odyńca, którym w Dreźnie próby przedstawiał). Nie były to pierwsze płody jego muzy, wzorującej się nietylko na Mickiewiczu, lecz i na Szylerze, próbującej nawet przekładów pieśni ludowych polskich na niemieckie („Volkslieder der Polen“, w tym samym roku 1833 wydane). Utrapienia sercowe dyktowały pierwsze wiersze, erotyczne, sentymentalne, mdłe; koleje życia, udział w walce, wszystko, co widział i radośnie lub boleśnie odczuł, skrystalizowały się w „Pieśniach Janusza“, nie wytoczonych na ład książkowy, jak choćby pieśni Gosławskiego czy Gaszyńskiego, zato jędrnych, dobitnych, śpiewnych, o niewybrednej formie i myśli, tem przystępniejszych dla ogółu, nie dla „ludu“, o jakim poeta wciąż mówił:

pieśń ojczysta, narodowa,
prosta, rzewna a surowa,
jak nasz lud i czas...
więc o Lachu, o orlęciu
i o krzywej szabli cięciu
przynosi wam śpiew.

Nie były to liryki wojenno-patryotyczne, jak Körnera i Garczyńskiego; były to nieraz szkice, obrazki, opowiadania, słowa zadumy i żalu, a choćby przymówki ostrej, zwrócone przeciw sztabowcom i paniczom, w ustach wachmistrza Dorosza, 'skarżącego się:

oj, nam obu źle tu pono —
pójdź mój koniu, źle w tej stronie;
klątwa kraju na niej leży;
tutaj piorun w nich uderzy,
albo ziemia ich pochłonie,
że tak służą tej ojczyźnie.

Żywość dykcyi, barwność obrazków, przedstawiających wszelkie przygody żołnierskie, aż do smutnego przekraczania granicy, bratanie się szczere z każdym, kto kocha szczerze „czy to w dworze czy w klasztorze, na słobodzie czy w gospodzie“ (rymy ks. Baki ulubiona forma Pola) zjednały mu serca wszystkich. Najwyżej stanął on w miłości i szacunku powszechnym „Pieśnią o ziemi“

(1843), której pod względem kompozycyi wszystko, dla idei przewodniczej nic zarzucić nie można. W wędrówkach po ziemiach byłej Rzeczypospolitej poznał bystry spostrzegacz, widocznie uzdolniony do podchwytywania znamiennych rysów i ludzi i krajobrazów, wszelakie stosunki i Cicerone poetycki, chciał dać młodzieży pojęcie o dawnym kraju i jego mieszkańcach, jakaż to ta

ziemia sławna z zboża,
z wiary, z męstwa, z gościnności,
i z nieładu i z wolności.

Wędrówkę zaczął na Północy, zbiegł szybko ku nizinom, wzniósł się ku Karpatom (górali znał blizko, ludzi i przyrodę cenił nadzwyczaj), a od nich znowu się spuścił ku równinom krakowskim, sędomierskim, kujawskim; więc nawet całości nie objął, Wielkopolskę pominął — o Śląsku i Prusiech było i tak głucho. Zbyt się w szczegółach nie gubił — chwytał znamienne rysy i śpieszył dalej; wysławiał lud i jego zalety, dom staropolski i gościnność jego, krasę niewiast polskich; ostro przytykał „szlachcie znarowionej", nie zawahał się przed wierszami, jak np.

smutna bywa ludu dola,
bo pan twardy i niewola —
nie pocieszyć się tem dobrem,
kędy praca lezie ziobrem;

w oczach jego „gorszy, niż pan na Wołyniu, jest półpanek na Podolu", te szumowiny narodu, na ich głowach cięży wina XVIII wieku. Nic bardziej znamiennego dla późniejszego Pola, jak i własna cenzura tych wierszy w wydaniu późniejszem, opuszczonych, zeszpeconych, osłabionych (zamiast *swobodny* czytamy *spokojny;* zamiast *poczciwy, rycerski* — już on nie powtórzy, że wypadnie „nie jedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować"). W podobnym nastroju, jak pierwotna „Pieśń o ziemi", utrzymane i wcześniejsze utwory, „Historya szewca", pierwsza „epopeja" mieszczańska, z wysławianiem bohatera prostego, a piętnowaniem magnatów, „Szejne Katarynka", niby nowe wydanie „Śpiewów historycznych" Niemcewicza, obrazki dziejowe, nie doszły nas w całości. Od tej poezyi dydaktycznej, demokratycznej odciągały jednak Pola rychło wspomnienia młodości i nowe otoczenie.

Jakby przeznaczenie jakieś od rannej młodości nęciło Pola tradycyami minionej na zawsze przeszłości, z coraz nowych, pełniejszych źródeł czerpanemi. Chłopca okarmiał niemi w zamku złoczowskim, ze wspomnieniami o Sobieskim, kozak stary, podaniami i pieśniami; w Mostkach odwieczny pasiecznik opowiadał inne dziwy; w Tarnopolu, na stancyi u Imp. Benedykta Winnickiego, co to sam niegdyś z Krakowca od pana Cetnera do księcia wojewody posłował, niewyczerpywały się tradycye i facecye szlacheckie; staroszlachecki świat ten odżywał w wieczorach kalenickich, u Krasickiego, majora Kościuszkowskiego, gdzie się spotykało z Załuskim i innymi ludźmi starego autoramentu. I przylgnął Pol całą duszą do tego świata, do jego zasad i moralności, jego wiary i patryarchalności, gdzie więzy rodzinne, poczucie honoru, szacunek klejnotu hamowały najnamiętniejszych, skuteczniej i prawdziwiej, niż wszelkie paragrafy prawne i rygory karne, gdzie kochano się szczerze, pito na zabój, rąbano dzielnie, wszelkie nowości odganiano niechętnie i nieufnie; świat zasunięty jeszcze dalej w głąb, niż świat „Pana Tadeusza", i w dali tej świecący jeszcze jaśniej. Już w „Pieśniach Janusza" trafiał Pol w ów ton rubaszny, jowialny, gawędziarski, odznaczający późniejsze opowiadania: „Proklamacya chorążego" i „Wieczór przy kominie" (o fantazyi p. Puławskiego) fakt w gruncie nieznaczny wyprawiły owym nieporównanym stylem kontuszowym, stylem Paska, zamaszystym, nadającym pozorne znaczenie, ciekawość i błahemu zajściu. Tak powstały (roku 1839 ogłoszone) „Przygody Imp. Benedykta Winnickiego w podróży jego z Krakowa do Nieświeża roku 1766 i powrót w dom rodzicielski", do nich przyłączył później „Zgodę Senatorską" i „Sejmik w Sądowej Wiszni". Pierwsza najlepsza, późniejsze (a jest ich więcej, „Stryjanka", „Czarna Krówka" i t. d.) coraz słabsze. Dziwni ci ludzie i czasy: młodzika, co trzy lata u Radziwiłła, czekając na odpowiedź, zmarnował, wita ojciec za nieszanowanie ubioru, figury przydrożnej, powagi rodzicielskiej i postu, dyscypliną i kozą; matka nie śmie nawet jego gniewu przebłagać, dopiero ksiądz proboszcz przy lampce wina p. Benedykta ratuje. Albo szlachta sanocka wojuje między sobą, bo Bal - Capulet Mniszchów — Montecchi'ch Mniszkami (nb. tak się nazywali i nie wiem, kto im owe *ch* wymyślił) przezwał, ks. biskup warmiński kleci zgodę przypowiastką. To znowu burda wszczęła się w kościele, gdy opiłej partyi przeciwnej zeskamotowali Czartoryszczyki rano ubranie i przekreskowali ją, lecz

ksiądz z sanctissimum rozbraja wrogów. Treść innych gawęd jeszcze bardziej błaha i anegdotyczna, ale opowiedziane to z takim animuszem szlacheckim, z taką pewnością siebie, z taką wiarą we wszelkie nieocenione przymioty tego wieku, z takiem zaślepieniem na jego jawne braki i grzechy, że czytelnikom, Paskiem i Soplicą zepsutym, mimo krytyki i sądu trzeźwego, trafiał autor w uczucia, porywał za serca, że nie zdawali sobie sprawy z nałogów wiekowych, prywaty, bezprawia, tkwiących na dnie objawów, wypoetyzowanych, wyidealizowanych.

Pol był na tej samej drodze, co Rzewuski, ale mówił obrazami, nie paradoksami, i przebaczano mu ostre zwroty przeciw czasom i stosunkom nowożytnym, stronnicze wychwalanie przeszłości, wystawiania jej maksym (czy bezmyślności), jako panaceum dla naszych ułomności, ograniczania narodowego życia do staroszlacheckiej normy. Powoli jednak odcierpiała i popularność Pola; już wcześnie odzywały się tu i owdzie niechętne głosy; Borkowski w „Cymbaladzie“ nazwał go talentem „lśniącym, jak kwiaty kąkolu; łudzące blaskiem *pustych* malowideł“ i szydził z jego gotowości całowania i ludzi i dyabła „byle się tylko od *przeczeń* uchować“; inny krytyk wspominał o jego „przesądnej i złośliwej niechęci ku postępowi“; najostrzej napadał poetę roku 1860 Kornel Ujejski (w „Listach z pod Lwowa“), formułując głównie oskarżenie przeciw poecie, co się państwem oparzył, apoteozował najgorsze przywary szlacheckie, frymarczył poezyą, jak towarem, pisał byle co, byle jak dla autorskiego zysku! Namiętność Ujejskiego z wyrazami i zarzutami nigdy się nie liczyła.

Życie nie układało się Polowi zbyt pomyślnie; najboleśniej odczuł on głęboki zawód, jaki go w bliższem obcowaniu z ludem spotkał; przejścia osobiste, pastwienie się nad niewinnym rozhukanego chłopstwa, dopełniły tylko miary goryczy; już przed r. 1846 stracił on wiarę w lud i przyśpieszył tem ów nawrót ku tradycyom i szlachecczyźnie. W „Obrazach z życia i podróży“ wyśpiewał on swe zwątpienie, smutek i gorycz; pierwsza ich część („z podróży“) kreśliła jeszcze przyrodę tatrzańską i życie górskie, krajobrazy po „Sonetach Krymskich“ (z któremi motto dzielą) najpiękniejsze, swojskie, nie oryentalne, z większą prostotą wykonane; druga nabrzmiała skargą i łzami, pyta, „czem się będzie ten lud bawił, gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił, już w dziejach świata wyrósł na Kaina?“.

Rok 1848 i w nim budził nowe świetne nadzieje: gorąco witał zjazd praski (wierszem „Słowo a Sława“), silnie uwydatniając powołanie Słowian; przestrzegając ich przed „cudzymi rozumami“, przed tem, „co się z księgi w obcych narodach wyprzędło“; nawołując do zachowania dawnego trybu, wiary, swobody; wieszcząc im przyszłość, nie wojowniczą, ale wprowadzającą w życie słowo prawdy i sprawiedliwości.

Od gawęd staroszlacheckich i rzewnych, ujmujących prostotą wysłowienia, a głębią uczucia liryków przeszedł Pol do tworzenia epopej. Szereg ich zaczął „Mohortem, rapsodem rycerskim“ (1852), napisanym za profesury krakowskiej, lecz zaczerpniętym z opowiadań „wieczorów kalenickich“ Ksawerego Krasickiego, co bohatera znał osobiście. Rapsod sam zbudowany całkiem luźnie; szereg to szkiców z życia rycerza stepowego, zaciągającego straż na pograniczu, oddanego całą duszą tej służbie niewdzięcznej a niebezpiecznej, zrosłego ze stadem swem i pasieką, z klasztorem bazyliańskim, w którym doroczne rekolekcye w wielki post odbywał, nie przyjmującego awansu, któryby go ze stepem i służbą rozłączył. Postać tego rycerza, czujnego jak żóraw, silnego jak lew, z gołębią prostotą, z sercem złotem, uosabiającego wszelkie cnoty staropolskie, w swej skończoności i nieruchomości (dopiero w przedostatnim „obrazie“ dowiadujemy się o tragicznych przejściach, co go w step, na kresy, wygnały) nie nadto plastyczna, wystawiona na potępienie nowego świata i jego marnych rycerzów, uczy, jakiej wysokiej bezinteresowności, jakiego oddania się czy wylania na służbę ojczyźnie zdolni byli przodkowie; na grobli borysowieckiej zasłania bohater swem ciałem odwrót wojska polskiego i ginie. Około niego wiążą się obrazy i tradycye najrozmaitsze; opisy wykonane prześlicznie, rywalizują z opisami „Pana Tadeusza“, ale całość epiczna przez to nie powstaje; nie o nią też chodziło artyście, który we wstępie do rapsodu zgromił świat nowoczesny z jego fałszywemi bóstwami, z jego wyszydzaniem i skalaniem wszelkich pamiątek i przeszłości; lecz spostrzegł się świat w bolu i biedzie, że ta droga nie wiedzie do celu, i wraca do wiary, do obyczaju domowego.

Zwężeniu myśli, zdziwaczeniu morałów towarzyszyło osłabienie twórczości, artyzm wykonania, najświetniejszego właśnie w Mohorcie. W „Wicie Stwoszu“ (1855) tylko pojedyńcze ustępy są mistrzowskie, odczucie piękna gotyku, co Pol pierwszy u nas wyraził,

trwogi i dreszcze, przejmujące artystę, ale kara, jaka Stwosza, gardzącego przywilejem szlacheckim, spotyka, nieszczególnie umotywowana. Wszelki zmysł kompozycyi opuścił Pola w „Pacholęciu Hetmańskiem"; jakby nawracał do owej, szczęśliwie zapomnianej maniery XVII wieku, wierszującej zawzięcie wszelkie opisy i kroniki. Bohaterem poematu miał być człowiek, mały wzrostem, a wielki sercem, siłą i głową, Tarnowski, lecz bał się autor, może pamiętny nieudałego Czarnieckiego (Koźmiana), może przeczuwając złożoną naturę człowieka Odrodzenia, na którą go stać nie było, samego hetmana wprowadzić do działania; więc o nim pacholęciu Różance (był Różanka lekarzem hetmańskim) opowiadać każe, ponieważ zaś Różanki pod Orszą, Obertynem i Starodubem nie było, niby w aneksach czy ekskursach o tych akcyach rozprawia! W istocie ani Różanka, gorący wielbiciel swego starego pana, ani Tarnowski nie są bohaterami tego rapsodu: koń węgierski, który umknął i po roku z doborowem stadem wrócił; zegar misterny z obrotami sklepienia niebieskiego i tym podobne ciekawostki dla antykwaryusza, opisane szeroko, wysuwają się na czoło.

I nie dziw, że ginęło znaczenie Pola, że skarżył się rzewnie, wymownie na niewdzięczność, na napaści: Smutno mi Boże! smutno nad pracą, bo nożem złości świat mi serce kraje, Nie to mi dają, co ja z duszy daję, ale z niewagą stare służby płacą! A trudu wielkiego właśnie rapsod ów, słusznie przezwany *„Dyaryuszem* Walentego Rożanki, dworzanina niekiedy Imp. Jana z Tarnowa", go kosztował, gdyż starał się i o język archaistyczny i wprowadzał wiele osób czyli raczej mask i dekoracyi nie żałował. Niżej jeszcze zeszedł poeta w „rapsodzie rycerskim z wyprawy wiedeńskiej", rzeczy okolicznościowej, dla pięciuwiekowego jubileuszu uniwersyteckiego napisanej: w Żółkwi, wśród pamiątek po Sobieskim, wspomina autor o owym uczniu akademii, o błogosławieństwie rektora nad ruszającym pod Wiedeń, o suplikacyach po kościołach krakowskich — wymienianych, jakby kto Pruszcza „Klejnoty" w wiersze przesadzał.

Powtarzał się poeta: niegdyś w „Pieśni o ziemi" wysławiał dom polski, rosnący w miarę, jak gości przybywa, teraz stworzył osobną „Pieśń o domu naszym", tylko bez świeżości owej pierwszej pieśni, z moralizacyą rozwlekłą — morały umieszczał Pol zwykle po wstępach i niemi publiczność obruszał, jak Rzewuski przypiskami. Wydawał rzeczy dawniejsze, np. „Pieśni Janusza",

do których część drugą („Szajne Katarynkę" i in.) i trzecią („Obrazy", „Z Podróży", „Z Życia", „Z Więzienia") dodał. Próbował się i w dramacie („Powódź" z tradycyi poleskich, o walce z rozpasanym żywiołem).

Szybko dogasał wzrok jego, duchowy i fizyczny; już ociemniały, jeszcze do tradycyi, myśliwskich tym razem, nawracał, poświęciwszy dotąd tylko pobieżne wzmianki najulubieńszemu sportowi narodowemu, w „Staroście Kiślackim" rewolucyę w psiarni wybuchłą opisał — przyczynki do „psychologii" psa, jak przedtem konia, przed Dygasińskim dając; prozą „Rok Myśliwca", zajęcia, przygotowania i t. d. wedle miesięcy skreślił. Ta ostatnia nie była jego jedyną pracą prozaiczną; dawniej próbował sił i w belletrystyce i w literaturze naukowej, uważając geografię za swą gałęź specyalną, odtwarzając ręką artysty krajobrazy; ciekawsze były jego odczyty lwowskie, szczególniej o nowszej literaturze polskiej.

Obok epika Pola staje **Syrokomla Władysław** (właściwie **Ludwik Kondratowicz** herbu Syrokomla), jak Pol fanatycznie przywiązany do ziemi i jej przeszłości, jak on szczery i kochający, zresztą całkiem odmienny. Ze wszystkich poetów sam sobą typ słowiański najpełniej wyraził Syrokomla. Bez nadzwyczajnych darów umysłowych, z marną nauką — luki później, jako tako, dopełniał — z sercem złotem, nieopatrzny i lekkomyślny, spuszczający się na „jakoś to będzie", gościnny, z własnym znacznym uszczerbkiem, dobroduszny i szczery, skromny jak rzadko, nienawidzący form i obłudy wielkiego świata: tak wrosły w swą ziemię, że mimo rozpaczliwego położenia ze swej Litwy ukochanej żadnym widokom wywabić się nie dał; demokrata z krwi i kości mimo herbu; mimo zaściankowości, w jakiej wyrósł, od wszelkiej zaściankowości daleki, jeśli kogo z obcych przypomina, to chyba Burnsa, i życiem i sztuką.

Pieśniarz to ludowy, jak Burns, ale w odmiennem znaczeniu — lud jego to drobna szlachta, szaraczkowa, okolice szlacheckie, odróżniające się mniej trybem życia, raczej mową, wiarą i tradycyą od chłopów, uprawiacze roli, jak niegdyś, lecz już nie, jak niegdyś, potrzebni panom, więc nieraz na gorzką poniewierkę skazani, niewdzięcznością płaceni; jako rolnicy, patryarchalnym, tradycyjnym porządkom oddani, wsłuchani w przyrodę, z nią zżyli, zrezygnowani, cierpliwi, uporni a przecież pokorni, nie bez smętnych wspomnień innych, lepszych czasów. Wyrósł nad nich Syrokomla,

objął sercem i chłopa, myślą i całą przeszłość i w pieśni, co uczuł, wyśpiewał. Nie silił się na bogaty, dziwaczny wymysł: pod mikroskop połóżcie, mówił do pieśniarzy, co łaska i wola,

Główkę motylą lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola,
A rozpowiedzcie sumiennie a święcie
Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu —
A pieśń już sama utworzy się snadnie,
A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie,
Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu,
A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla żniwiarzy!

Tych zasad trzymał się ściśle; szczerze wyznawał, że inaczej nie potrafi:

kiedy biorę ołówek
I, nie wiedząc co kreślić, błędne stawiam kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościołek wioskowy lub dworek litewski.
Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał z całej mojej duszy;
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze;
Chciałem kreślić gmach pański,—ołówek się kruszy.

Więc, kiedy mu przyszło gwarzyć „w pieśni czy w dyalogu“, zawsze to było „o Panu Bogu, o moich braciach, o mojej ziemi“, a przytem „zawszem miał pamięć na ziarno żywota“; dydaktyczność, moralizacye cechują jego, jak Pola, chociaż innego one rodzaju.

Odczuł on brak poezyi domowej, pomników jej uchwytnych, zazdrościł stanom szczęśliwszym:

Ej boleśno, boleśno — czemuż to mój Boże,
Lirników i gęślarzów miało Zaporoże?
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy?...
My domowe pamiątki kamieniami znaczym...
Ejże, jako żywo! lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiejszej doby...

Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa;
Z każdej ludziom nauka, płacz albo zabawa,
A pamiątka i pieśnia przywiązana do niej,
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

I był przekonany o niewyczerpanem bogactwie podań litewskich:

Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Albo, widząc, nie widzi, a słysząc, nie słucha,
Kto rodzimem powietrzem nie napoił ducha.

Czego zaniedbali inni, dopełniał poeta, gdy nareszcie w swoje powołanie uwierzył. Z wierszami nosił się oddawna, lecz skromność nie dawała z nimi występować publicznie; rozczytawszy się w literaturze Wiszniewskiego (którą skrócił i popularnie przerobił) i polubiwszy łacińskich poetów, Janicyusza i innych, przewierszował ich po polsku, pozostawiając oryginały daleko w tyle co do kunsztu; wystąpił wreszcie z własnemi gawędami.

Od pierwszych, nieraz nieco niepokaźnych, bladych legend i opowiadań gminnych, „Pocztyliona“ i t. d., wyroiło się ich mnóstwo; najobszerniejsza, wydana roku 1853, pisana o wiele wcześniej, „Urodzony Jan Dęboróg, dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opowiadane, a rytmem spisane“ i t. d., najpiękniejsza „Kęs Chleba“. Dęboróg przesiąkł autobiografią; bieg szkolnego życia, rozrywki wiejskiego, opisał poeta własne; stąd nadzwyczajna świeżość i szczerość tych wierszów; fabuła sama nieco romantyczna, o rodach od wieków zwaśnionych, pogodzonych, jak w „Stryjance“, jak w „Panu Tadeuszu“, ożenkiem Dęboroga z Brochwiczówną; sens moralny, jak zawsze, jasny: *redde quod debes;* postaci, dobrego, mądrego ks. definitora, starego, upartego Dęboroga, skreślone znakomicie, jak żywe; nie brak i tej uwagi, że stary „wierzył mocno w katechizm jedyny, że szlachcic stworzon z innej, a chłop z innej gliny“. „Kęs Chleba“ podyktował poecie los własnego ojca: starego Łagodę wykwitowano z dzierżawy i majątku i z torbami puszczono; lecz przyroda sama mści się jego krzywdy, bo gorzkie rodzi się na polach Zabory zboże i trująca z niego mąka — myśl podobną Radiszczew w swej podróży sentymental-

nej jeszcze w XVIII wieku wyraził i z rozmów mógł ją poeta pochwycić. Co najpiękniejsze tam, to opisy skromnego, pobożnego życia wiejskego i przesiąkł cały poemat urokiem stron nadniemeńskich, rozgwarem ich pieśni, aromatem ich łąk; morał ten sam niemal, co w pokrewnym treścią, wcześniejszym napisaniem „Zaścianku Podkowie"; przygrywek równie piękny, jak przed „Dęborogiem" (o Niemnie i sercu Litwina).

Podania gminne i szlacheckie przewijają się; zlewają się za to całkiem w „Janku Cmentarniku" i w „Ułasie": Janek z panem na obczyźnie wojował, a gdy siły sterał, pana pochował, po czterdziestu latach do rodzinnej wioski wrócił, z nowymi ludźmi ładu nie dopytał i na cmentarzu dopiero między swoimi się ocucił — alegorya dosyć wyraźna; Ułas życie za panów poświęcił, kryjówki Czartowego Ostrowu nie wydał, Oksenę jego o zdradę posądzili i zabili, ale ten Ułas i ta Oksena, to właściwi bohaterowie poświęcenia, i tu morał wypowiedziany: łza chłopska i szlachecka spłynęły się razem, a w tej łzie (o czem szlachta wątpiła od wieka) był tylko jeden, wspólny pierwiastek - człowieka. Inne gawędy i opowiadania, np. efektowne bardzo „Stare Wrota", „Chodyka" (i replika jego szlachecka, „Spowiedz pana Korsaka" — w obu dobrowolne przyjęcie kary za grzech) zahaczają o historyę. Nie koniecznie jednak o historyę, znaną z kronik i dziejów; jest inna, nie wciągnięta w roczniki i pamięć narodową, a mimo to prawdziwa i żywa, ot np. takie przysłowia „historyczne", wyszedł jak Zabłocki na mydle; tłucze się, jak Marek po piekle; wyrwał się, jak Filip, z konopi; o hrabi na Wątorach i t. p.; ułożył je lud, który o Cezarach, Chrobrych, Napoleonach nie wie, tem silniej Marków i Filipów pamięta — a komentarz dorobił poeta, komentarz dowolny, na który się paremiograf nie zgodzi, świadczący najlepiej o sercu i myśli poety. Marek za życia łasił się około panów, po śmierci i ci go nie przyjęli i swoi odrzucili; Filip za pociągiem głowy i serca zawsze się w niewczas odzywał, już chłopcem, gdy chrześcijanin przeciw mitologii w szkole protestował, mężem, gdy Żydów prześladować nie dawał, obywatelem, gdy przeciw kandydatowi służbodawcy swego wotował, posłem, gdy równouprawnienie chłopów i szlachty (i w płaceniu podatków) wnosił, na łożu śmiertelnem, gdy księdzu obowiązki zamiast dziesięciny wytykał, wszędzie wyśmiany, wysieczony, wyrzucony i opuszczony.

Przeszedł Syrokomla i do dziejów właściwych, nie zawsze z korzyścią dla swej sztuki, która wielkich zawikłań, namiętności, obrazów wystawiać nie umiała. Przeszłość pojmował on inaczej, niż Pol, jej wad nie przemilczał, kiedy to:

> Na królów twarde włożono pęta,
> W pasterzach znikła gorliwość święta,
> Senatorowie poili braci,
> Szlachta się ciągle konfederaci,
> Żołnierz jął gnębić tych, których bronił,
> Kupiec przez lichwę bogactwa strwonił,
> Kmiotek niewolnik zmarniał na dworze —
> Anioł zatrąbił na sądy Boże!

albo: „Długo stare zegary... nad głową waszych ojców biły w ekscytarze, budząc ich myśli i czyny, brzęk puharów, gwar śmiechów tłumił ich gderanie, aż Pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie, aż pękły rdzawe sprężyny". Z przeszłości tej wybierał też motywy, o któreby się Poł nie kusił, wystawiając np. w „Kanoniku Przemyskim" (Orzechowskim) walkę między uczuciem a powołaniem, w „Zgonie Acerna" (Klonowica) niedolę wieszcza narodowego, w „Studzieńskim" rozterk między szlachtą a mieszczaństwem, nieznośną pychę pańską w „Hrabi na Wątorach", prywatę możnowładczą, gubiącą kraj w „Zofii, księżniczce Słuckiej" (obie ostatnie w formie dramatycznej). Całości udatnej jednak nie stworzył; jedne rzeczy rzucał niedokończone, np. „Kanonika" (mimo ślicznych ustpów) i „Sejm Lubelski"; w innych, „Staroście kopanickim" np., głębiej wzruszyć czy zająć nie potrafił. Najwyższego mniemania był o „Margierze, poemacie z dziejów Litwy", o obrońcy bohaterskim zamku Pullen, pokonanym zdradą, obierającym śmierć nad niewolę; poeta cieszył się, że bez uprzedniego zamiaru znalazło się w poemacie wszystko, czego krytyka od epopei bohaterskiej wymaga: inwokacya, jedność akcyi, przeszłość daleka, maszynerya epicka — wszystko było, prócz ducha epickiego, prócz siły słowa i blasku kolorów; Margier z Czarnieckim, nie z Wallenrodem do pary stawał, z bohaterami kartonowymi, sentymentalnymi i romantycznymi.

Większy efekt, niż Margierem, wywołał poeta dramatem historycznym, „Kasprem Karlińskim", skuteczną obroną Olsztyna roku 1587 przed Niemcami, okupioną śmiercią własnego dziecka, po-

święconego przez ojca mimo błagań matki i własnych wahań strasznych; dramat uczył miłości ojczyzny. Tegoż samego uczył, z mniejszym znacznie powodzeniem „Wyrok Jana Kazimierza“ (tu własny ojciec zabija syna - zdrajcę) i owa Zofia Słucka w „Możnowładcach i sierocie“, poświęcająca się dla zabezpieczenia pokoju ojczyźnie. Kwestyi społecznych dotykali „Wiejscy politycy“; pana Nowinę (niby z komedyi Niemcewiczowej wyjętego) wywłaszczają wierzyciele, lecz chłopi ratują pożyczką dobrych panów; kwestyi tych, stosunku do dworu, życia wiejskiego dotykały od dawna liczne poezye, np. „Lalka“, której skarży się panieneczka na niegrzeczność chłopów, co tatkowi smaczny sen rykiem o chleb przerwali — i słuszne plagi za to wzięli, ale sumienie, obawa przed Panem Jezusem, co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie, przed dziadami, co się przyśnią i jeszcze do torby zabiorą, podszeptywa jej coś innego:

Już ja, kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Fazy kwestyi włościańskiej śledził poeta pilnie i zawrzał oburzeniem na niewczesny akt szlachty wileńskiej:

Przecież się stało... Kraju mój rodzony,
Wieniec twej cześci odarty w tej chwili.
Ojcowie twoi własnemi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili...
O wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem,
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Nie dramaty i epopeje, ale owe serdeczną prostotą tchnące gawędy i coraz liczniejsze liryki stanowią zasługę i chwałę Syrokomli. Nie udawały się wycieczki po za światek najbliższy, ale własne uczucia bolu i zawodu, troski i wątpliwości wyśpiewywał poeta, czem bardziej się życie kruszyło, czem nieznośniej bolało, tem tkliwiej i głębiej; śmierci pragnąc, zdobywał się na najwymowniejsze, najrzewniejsze pieśni; „Śmierć Słowika“, to najwierniejszy obraz przejść jego własnych; im głębiej zasuwał się w grób, tem wyżej wznosiła się pieśń jego; w końcu nawet i z siebie żartował i pogrzeb własny nędzarza opisywał z humorem. A chociaż fizycznie ginął, dumny, czoła nie ugiął przed nikim: dzieła jego, wywołane doskwierającą nędzą, wyśpieszone strasznie, nie ogładzone — nie splamiły się żadnym cynizmem, pochlebstwem, przymilaniem się do gustów JW. publiczności — mogą być niedoskonałe formą czy kompozycyą, nie wznoszą się na niebotyczne wyżyny myśli, nie oślepiają blaskami czy efektami, nic w nich romantycznego, ale zawsze czyste, zdrowe, orzeźwiające, jak zdrój kryniczny; wyszły z tradycyi litewskich, przesiąkły powietrzem lasów i niw nadniemeńskich, ale obeszły cały naród, i nic w nich prowincyonalnego — chyba w języku. Powoli, przebojem zdobywał sobie poeta uznanie i oklaski, ale konał z pieśnią na ustach, po śmierci otoczony tą opieką, której za życia zabrakło; i nie skarżył się ani miotał nieszczęśliwy.

Obok formy nowej, utworzonej przez Pola i Syrokomlę, nie prześcignionej przez nikogo innego, toczyły się rydwany epickie i starymi torami, wyżłobionymi przez Byrona, przez szkołę ukraińską, przez „Pana Tadeusza“. Ale byronizm krajowy, po r. 1831, tytanicznych zapasów się zrzekał, karlał, rozmarzał się w pogoni za ideałem; szkoła ukraińska schodziła coraz bardziej na etnograficzną zabawkę, na przewierszowywanie nieraz dosłowne całych podań czy pieśni ludowych; „Pan Tadeusz“, na pozór tak do naśladowania łatwy, najmniej znachodził naśladowców, przecież nie gawędom z nim się mierzyć było.

Jeszcze przed Polem wystąpił **Tomasz August Olizarowski,** Krzemieńczanin, w obu kierunkach; Ukrainy samej nie znał, ale na Wołyniu pokochał „serdeczny lud ruski, z ludzkiej na oko odarty cechy“, i w „Zawerusze“, w krótszych powieściach, w wierszach różnych obrabiał tematy ludowe. Najobszerniejszy—„Zawerucha“, na którym odbiła się znajomość i z „Zamkiem Kaniowskim“ i z Goszczyńskim samym: morderstwa, przeczucia chaty i sprzętów, że utracą gospodarza, znachor i czarownica, to fantastyczne akcesorya, niezbędne dla powieści ukraińskiej, jak i pogoń za chmurą Zaweruchy — podobało się to swego czasu, nawet Grabowski przyznawał pomysłowi rozmowy ławki, ścian i t. d. „wykonanie zręczne i we wszystkich szczegółach poetyckie“; znamienne było, że Zawerucha nie z dali, lecz w teraźniejszości wystawiony; i w innych powieściach nie przeważał żywioł historyczny; „Wojewoda Czjorcz“, z czasów Bony, w tonie Aryosta - Beniowskiego utrzymany. Fatalniej wypadł „Bruno“, „dzikich marzeń potępieniec“, skłonny do odludztwa, zabijający z zazdrości przyjaciela, potem z upiorem

najlepszą komitywę wiodący; upiór wyleczy go nawet ze smutku, przekona go, że Kamila go kochała, ale, zmuszona przez matkę, za bogacza wyszła; upiór ten w salonach tak swobodnie się przechadza, jak u siebie na mogiłkach.

Przebrał więc poeta wszelką miarę; dalszy ciąg poematu, w którym upiór znowu męża Kamili o jej wierności przekonywa, jeszcze dziwaczniejszy. I pieśni nie lepsze, ani „snielki“ (sonety, czeska parodya nazwy włoskiej), ani „padwanki“ (termin staropolski), chociaż szczytne miał poeta wyobrażenie, tamtoczesne, o powołaniu wieszcza: chodził on po nie do nieba i przez straże piekła przedrze się do serc i wywoła w nich sprawiedliwości i ludzkości ducha. Sam wyrobił sobie, jak Goszczyński, zasady katońskie, żył ideałem aż do zrzucenia ziemskiej cielesności, ale pieśni jego „nic nie mogły lub nie wiele więcej od szumu wiatru lub piosnki dziecięcej“. Powstawały one, jak i inne obszerne dzieła, niedrukowane po wielkiej części; powieści poetyckie („Złote jabłka“) i dramaty historyczne, na emigracyi; tu przełożył on też wierszem polskim prozę francuską „Konfederatów Barskich“.

Żywsze nadzieje budził witany przez Grabowskiego, jako talent największy, **Aleksander Groza,** spółuczeń Zaleskiego i Goszczyńskiego niegdyś, i „Starostą Kaniowskim“ (1836) i innemi powieściami. „Starosta“, zakrojony na większą skalę, opowiadał o bondarywnie, co zalecankami starosty wzgardziła, za co ją tenże w porywie gniewu zastrzelił — lecz skomplikował poeta prosty wątek ludowy, zato w innych trzymał się go dokładniej lub całe ustępy tłumaczył. Próbował się i w dramacie ludowym, „Hryć“: pan przebiera się za Hrycia, aby poznać życie ludowe; widzimy go na dożynkach, przy pieśniach kupalnych; rozkochał w sobie dziewczęta, i jedna z nich, straciwszy jego łaskę, ziołami czarownemi go truje— lecz w dramacie za wiele pieśni i za długie tyrady; po latach napisał „misteryum z podań narodowych“, Twardowskiego, idąc za klechdą Wójcickiego. Inni ten sam temat opracowywali w Guście „Fausta“, np. Julian Korsak, żeglujący jeszcze ciągle po falach byronizmu, dziwnie jednak płytkich. „Twardowskiemu“ Korsaka życie brzmi w harmonii świata, „jak nuta niesforna w muzykalnym chórze“, lecz ideały jego nie wysokie, inkomoduje on aż szatana, bo „chciałby już pojąć żonę, ją w pożyciu tkliwem uszczęśliwić i przez nią żyć potem szczęśliwym“ — dyabeł przecież dopiero

trzecią żonę nasyła; marny epizod z Gretchen - mężatką staje się główną treścią dramatu.

W powieściach poetyckich, dawnym „Bejramie“, późniejszym i udatniejszym „Kamoensie“ znalazł on choć niektóre silne słowa dla odmalowania losu poety, wlokącego żywot marny. Zresztą tłumaczył wiele; pierwszy „Boską Komedyę“ całą przyswoił językowi naszemu, chociaż nawet formy oryginału zachować się nie starał i rozwlekłością grzeszył — lepszy późniejszy przekład Stanisławskiego, wierszem białym, zachowującym ściślej kontury oryginału.

Prócz Grozy i Korsaka i **Gustaw Zieliński** „Czarnoksiężnika Twardowskiego“ w pseudodramatycznej formie wystawił; za nim kusili się inni o tę postać, o której w dawnej literaturze i podaniach dosyć głucho, gdyż najzwyklejsze to uosobienie „czarnoksiężnika“, na którego przenoszono obiegające bezimiennie bajeczki, od żartów sowizdrzalskich aż do znanych bajek o dyable, pierzchającym przed żoną - megierą. Ostatni Leopold Staff „mit“ obrobił; ale jego mistrz z rodziny Faustowskiej, od Krzemionek tylko imię pożyczył.

Nie fragmentom „Twardowskiego“ ani byronizującemu „Samobójcy“ zawdzięczał jednak Zieliński popularność: unieśmiertelnił go wydany roku 1842 „Kirgiz“, po „Sonetach Krymskich“ pierwszy oryginalny poemat wschodni u nas — gdyż Derary czy Bejramy poza słabe naśladownictwo Byrona czy Moore'a nie wychodziły. Przypomina na początku poematu szalona jazda Kirgiza nieco Farysa, chociaż tło odmienne, urozmaicone; i z jego piersi wyrywa tęsknota pieśni „melancholijne, jak te płaszczyzny, dzikie, jak krwawej zemsty pociski, rzewne, jak tęskność do pól ojczyzny“; burza zmusza go do przyjęcia gościnności aułu stepowego, Bija, wroga swego; pokochał córkę jego, Demelę, i z nią uszedł; — gdy pogoń ich doścignąć nie może, każe Bij step zapalić; — daremne ich wysiłki: „i przeszło przez nich morze płomieni, przeszło, a w miejsce zgasłych pożarów dziś znowu cisza pośród obszarów i jeszcze bujniej step się zieleni“. Cenność „Kirgiza“ polega na prawdziwości, dokładności, malowniczości opisów stepu, życia Kirgizów, ich obyczajów; nie salonowi to stepowcy, Demeli włos kruczy w siedmiu plecionkach na twarz płynie, Kirgiz, „na stepowe bacząc zwyczaje, najlepsze kąski sam w palce bierze i z uprzejmością, jak sąsiad blizki, posyła do ust młodej Kizgizki“.

Opisowość była silną stroną talentu Zielińskiego, wykazał ją np. w „Stepach"; ciekawa fabuła, silny wyraz namiętności, nie konwencyonalnej, nie retorycznej, nie wylewającej się w słowach i gestach, lecz milczeniem samem wymownej, gwałtownej, dzikiej zapewniły „Kirgizowi" powodzenie u swoich i obcych (liczne są jego tłumaczenia). Lecz Zieliński talentu już nie próbował, pracował na roli i między obywatelstwem, zbierał w Skępem cenną bibliotekę, którą dziś Zielińscy ogółowi ofiarowali.

Jak „Kirgiz" wyróżniał się nowością tematu i plastyką wykonania z całej powodzi powieści poetyckich, legend i dum kozackich, podobnie wypłynęło w dwadzieścia lat później, chociaż dotąd nie tak powszechnie uznane ani wedle wartości ocenione, „Dziewczę z Sącza" zgasłego przedwcześnie **Mieczysława Romanowskiego.** Pisywał on wiersze wcześnie, pozował w nich na byronistę; zwątpienia i goryczy pozbył się w otoczeniu kolegów; pod ich wpływem pisywał liryki, sonety i t. d., a za przykładem Pola i Syrokomli tworzył gawędy, dobierając wątków z czasów walk Kazimierzowskich, niewyczerpanej kopalni awantur rycerskomiłośnych i dzielnych czynów. Z jego „Łużeckich" (1856) jeden, dumny, wyniosły naraża wojsko na klęskę, siebie na niesławę; drugi, cichy i pokorny, walczy na ochotnika, zwycięża i imię uświetnia.

O wiele wyżej stanęło „Dziewczę z Sącza". Pierwszy to i na długie lata jedyny poemat mieszczański, jeśli tendencyjnego wiersza Pola tu nie wliczymy; wobec przewag szlacheckich zapomina się o mieszczańskich zupełnie, a przecież konfederacyę tyszowiecką wyprzedził godnie przykład Nowego Sącza, gdzie Szwedzi pierwszy, dotkliwy szwank ponieśli. Oficer szwedzki Oskar chce z rzezi uplanowanej ocalić kochankę Basię i każe jej Sącz opuścić; Basia zdradza się niepokojem wewnętrznym, w ekstazie wykrywa tajemnicę, i mieszczanie (z góralami) wyprzedzają Szwedów; Oskar i Basia giną. Całość rozgrywa się — szlachta z Wąsowiczem i górale to tylko komparsy — między mieszczanami, w domu i gospodzie, w kościele i rynku, między rzemieślnikami (próżno wzdycha cieśla Bartek do Basi, on jej potem trumnę robi) przy radzie i w bitwie — i w tym drobnym światku fakcye i tu wielka rozmaitość charakterów, uczuć, osób, odmalowana trafnie i dobitnie, chociaż dyskretnie; niby to „Pan Tadeusz", na mniejszą znacznie skalę i mieszczański do tego.

Po tej powieści napisał Romanowski jeszcze obszerny dramat, „Popiel i Piast" (1862 roku); na scenie, mimo próby lwowskiej, nie przyjął się, mimo to wyróżnia się on wartością pomysłu i wykonania z liczby naszych, najczęściej nieudałych, dramatów historycznych. Zamierzchłą, podaniową przeszłość ożywił poeta konfliktem, istniejącym w pełnej grozie tak na zaraniu dziejowem, jak w wiekach średnich i dziś jeszcze, konfliktem słowiańskogermańskim, kontrastem charakterów, zamysłów, sposobów, przeprowadzonym konsekwentnie przez wszystkie sytuacye dramatu, uosobionym w kapłanach, rycerzach i niewiastach, zwierciedlącym się w nawracaniu ogniem i mieczem czy w apostolstwie miłości, w zakusach despotycznych czy w obronie wolności, w intrygach służalczych czy w prostocie szczerej a łagodnej. Popiel ma w sobie nieco z Popiela i Mindowy Słowackiego, wróg Niemców z Niemcami się wiąże, gdy oporu i buntu przełamać nie może, nawet ginąc królem być nie przestaje.

Anachronizmów nie brak, nawet ów Zaodrzanin Żóraw, zgadzający się na wszystko, byle naród ginący ocalić, o wiele za przedwczesny (a raczej nigdy go nie było), za to nader efektowny; i owi apostołowie chrześcijaństwa, pater Fuks a św. Metody; te i inne przeciwieństwa (wojewodów a kmieci) szczęśliwie uchwycone. Wielość osób, rozwlekłość akcyi, przewaga epizodycznych ustępów, mimo siły języka, piękności niektórych scen, trafności głównych idei szkodzą utworowi, psują wrażenie niepospolitego dramatu, torującego sobie nowe ścieżki, mało praktykowane przez dramat polski. Romanowskiego pociągały nadzwyczaj te czasy i dzieje; opracowywał ich motywy i w balladach (Mściwoj, Geron i t. d.) i w „Wandzie", której jednak nie dokończył: z „Wandą" Krasińskiego spotykał się znacząco w roli brata-zdrajcy, zawiścią do zbrodni gnanego. Rychła śmierć przerwała jego rozwój.

Wobec gawęd i rapsodów ustępowały ballady i legendy na dalszy plan; z pod czyjego pióra one wychodziły, Chojeckiego czy ks. Hołowińskiego, Morawskiego czy Siemieńskiego, nie wspominając o innych, nie celowały artystycznem obrobieniem; pierwiastek ludowy był ich największą zaletą, takiej „Brzozy Gryżyńskiej" czy „Baszyny" czy „św. Izydora"; dążenia moralizatorskie występowały jaskrawo, nietylko u księdza-autora. Najwięcej legend zebrał Ignacy Hołowiński (jako Kefaliński tłumacz Szekspira, przez Słowackiego wyszydzony; autor i pięknego opisu podróży do ziemi

świętej), ale zebrał je nie tyle z ust ludu, ile z Niesieckiego lub kronikarzów.

Właściwy pierwiastek ludowy wybuchał inaczej; prądy demokratyczne, nurtujące w Warszawie i Poznaniu, o wiele słabsze we Lwowie i Krakowie, występowały znacząco i w poezyi; odwracano się umyślnie od pałaców i dworów, do chat i pól, a ponieważ poezya zawsze jeszcze górowała, więc powieści poetyckie, dramaty i liryka przesiąkały pierwiastkiem ludowym. Od karmazynów Pola, szaraczków Syrokomli, odbijała sukmana kmiecia innych.

Najradykalniej, acz najostrożniej, występowała młoda Warszawa ze swoją „cyganeryą", przezwaną od paryskiej *bohême,* lecz z gruntu odmienną, gdyż nie wyzywającą filistrów w imię sztuki, prawdy, ideałów, nie szydzącą z ich trybu życia i gnicia, lecz ściśle demokratyczną, chłopomańską; ideałem jej było utworzenie w literaturze — gdyż w życiu chyba krojem ubrania i pogardą rękawiczek czy konwenansów zaznaczać się mogła — obok szkoły ukraińskiej i litewskiej, mazowieckiej; więc wędrowali jej adepci między lud, spisywali pieśni i podania, naśladowali je lub tworzyli oryginalne chłopskie powieści, dyszące nieraz nienawiścią stanową. W Poznaniu o „szkole" osobnej nie myślano, za to cele demokratyczne, podniesienia ludu z wiekowego upodlenia kosztem panów, jawnie wystawiano; otwarcie grożono przewrotem, zemstą i karą.

Najjaskrawiej miotał się wielce uzdolniony, namiętny, zgorzkniały **Ryszard Berwiński;** wiersze jego ogniste płynęły z inną mocą, niż tyrady rymowane pani Wojkowskiej, chociaż nie odrazu ultraradykalna nóta w nich zabrzmiała. I on zaczął od wędrówek między ludem, spisywania klechd, ogłaszania ich w prozie i wierszem; zapuszczając się jednak w ich krytykę, w czasie dwuletniego więzienia, doszedł do nieprzewidzianych, słusznych jednak wyników, zwątpił o samobytności zabobonów, guseł, klechd ludowych, sprzeniewierzył się zasadzie romantycznej, ceniącej każdy utwór ludowy, jako objawienie psychy ludowej — specyalnie w obfitym dziale zabobonów, czarownictwa i t. d., te zapożyczenia, tę niesamoistność najłatwiej było wykazać; w czasach bezkrytycznego zachwycania się wszystkiem pseudoludowem jego „Studya o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki" (1854, dwa tomy) były walnym krokiem naprzód, wyprzedzały Niemców, Grimmów i Schwartzów i Kuhnów — było to wielką stratą dla nauki słowiańskiej, a specyalnie polskiej, że na tory, wytknięte już

przez Berwińskiego, dopiero po wielu latach nawraca; narazie przeszło dzieło jego bez wpływu; nieufność, oburzenie, jakie poeta - renegat wywołał, przeniesiono na badacza.

W przeczeniu poety tego chyba nikt nie prześcignął. Co później tak znienawidził i wyszydził, poznał najpierw sam, bawiąc się w Don Żuana, w rycerza podwiązek, hołdując wierszami bogdankom; już w tych wierszach występował jednak nastrój gwałtowny, byroński, i nie wahał się śpiewak wobec swych zawodów modlić o jedno, „ażeby sęp pamięci, krwią jego zbroczony, na głazie jej serca zaostrzał swe szpony". Ale z rojeniami miłosnemi pożegnał się rychło i na zawsze i w kontr byronowskiemu napisał „Don Żuana Poznańskiego", gdzie silił się na przepych wiersza, na malowniczość tła, wydanie harmonii otoczenia, aby podłość i śmieszność romansu podstarzałej Hery i głupiutkiego Leandra tym niemiłosierniej wyszydził. Nieudałe spotkanie nocne było jednak tylko pozorem, ramką, w którą wplatał gorzkie zarzuty narodowi samemu, jego klasom przodowniczym; zaczynały się one na samym tytule („bez końca"), bijąc w ów brak wytrwałości, co go tak strasznie razi: „herosi polscy" dnia czwartego skończyli według zwyczaju szlachecko-polskonarodowego — bo nie skończyli dla kraju, a było ich tam sto razy tyle, co owych synów Hellady... brzydko umierać, gdy pięknie żyjem z cudzych darmochów i danin; żyj więc motłochu — ta sama to nuta, co w „Grobie Agamemnona", jeszczcze więcej krzycząca, jeszcze niesprawiedliwsza.

W namiętnych przeczeniach posuwał się Berwiński coraz dalej; morzem krwi czerwonej groził szlachcie, zrzekał się wiary, ubogim w duchu rzucał w oczy:

> Ty u stopni ołtarza rozściel się w pokorze
> I czołgaj się wśród błota, jak zgniła kałuża;
> Ja chcę być, jak bezbrzeżne i bezdenne morze;
> Myślą moją uragan, a modlitwą burza.

Najzupełniej przedstawił zwątpienie swe i gorycz w „Ostatniej spowiedzi w starym kościele"; wyliczał zawody, szukania szczęścia w miłości, szukania prawdy w wiedzy („wiem, czegom nie wiedział, że między nami a prawdą jest przedział nieskończoności, w któren tylu dumnych tyle rzuciło głów wielkich, rozumnych na pomost głupstwu!"); w końcu „duch czasu do serca mu zagadał płaczem

tysiąców", ale i plac walki opuścił, bo któż sił nie straci, gdy widzi marność i hańbę i nędzę i podłą gnuśność rodzonej braci:

Znam was i gardzę, lecz tak wami gardzę,
Że lepiej niechaj zamrą na mej wardze
Te wszystkie słowa i wszystkie gorycze,
Któremi plunąć mógłbym wam w oblicze.

Przenosi się myślą w szczęśliwe lata dziecięce, lata błogiej wiary, porównuje je ze stanem dzisiejszym — „i wyż to myślicie, że warto żyć, jak żyję, i kochać to życie?"; wystawia przyszłość szczęśliwszą (gdy zbytków niewolnik wyrzeknie się dumy, kiedy głupcy przestaną walczyć na rozumy i t. d.) i kończy:

Kiedy nakoniec w ludziach sumienie się wzbudzi,
Wtedy życie ukocham — uszanuję ludzi.
Ach! wtedy może nawet z tą piersią rozdartą
Jeszczeby z wami cierpieć i żyć było warto!...

Potem kazał na zawsze swym pieśniom zginąć, lecz czynów nie wzbudził—nietylko jego „Don Żuan", i własne życie jego było „bez końca", „bo serce, co niegdyś złotych pełne omamień, dziś samo w siebie nie wierzy".

Miniaturowa rzeczpospolita krakowska wydawała i miniaturowych poetów, zapomnianych od dawna, prócz jednego, który jednak popularność swą głównie dźwiękom Moniuszki zawdzięcza. Chociaż i oni po motywy ludowe sięgają i w ich oddawaniu są najszczęśliwsi, dalekoż im, „dzieciom szału", czy do szału Berwińskiego, czy do energii Byrońskiej, czy do wcielenia poezyi ludowej.

Z trójki krakowskiej **Edmund Wasilewski** wzniósł się najwyżej; choć nie Krakowianin rodem, zrósł się z miastem najściślej. Łagodnego marzyciela w życiu i pieśni, rozśpiewanego do swej „Halki", odrywali przyjaciele (Gustaw Ehrenberg, drugi z tej trójki, poeta i literat) od jej stóp, wskazywali mu ogólniejsze, wyższe cele; więc zrywał się poeta i wołał sam na towarzyszów: „Naprzód z myślą — bo przed wami ludzkość, jak wielki step morza, prójcie spienione fale silnemi piersiami, cień nocy rozświeci zorza!" Całkiem w byrońskiej pozie przedstawia się poeta w „Dziecku szału" (1837), historyi, jakich wiele, o zawiedzionej miłości, gdzie dziewica najpierw aniołem, potem szatanem; zawód wypycha go na świat,

do walki, ginie na wygnaniu, lecz, inny w tem od Byrońskich bohaterów, siebie samego o złamane życie oskarża, bo nawet „czyn mój szlachetny, uroczy, miał swój początek w rozkoszy lub szale":

zdawało mi się, że ja jestem wszystkiem,
a przecież byłem tylko drobnym listkiem,
który podmuchy jesieni ususzą";

to poznanie własnej marności, nicości — pierwszy krok wyjścia z obłędnego koła byronizmu. Zresztą sarkał na świat, na życie (chwilę maligny między dwoma śmierciami), groził: rzućmy się na świata zręby, do rąk pochodnie i głownie, wściekłymi poszarpamy zęby starego świata warownie.

Od takich uniesień wracał jednak do łagodnej tęsknoty, właściwszej jego usposobieniu; nawet do przeszłości i w „Katedrze na Wawelu" dawał się duchowi Kmity (osobliwszego cicerone!) oprowadzać po błoniach przeszłości, coś w guście Pola czy Niemcewicza, tkliwe i wdzięczne, wówczas bardzo cenione. Ludowa nuta, pod wpływem Zaleskiego, zabrzmiała w jego najpopularniejszym a zarazem najoryginalniejszym utworze; w innych, bardzo popularnych, czujesz ciągle to „Odę do młodości", to inny wiersz Mickiewicza, zato krakowiaki jego szkoły krakowskiej nie stworzyły wprawdzie, ale rzewne i śpiewne, ochocze i wdzięczne motywy ludowe wydały doskonale, od owego pierwszego: „Wesoły, szczęśliwy Krakowiaczek ci ja", aż do ostatniego, „Zapomniane skrzypki moje". Trzeci, Franciszek Żygliński, o losie jeszcze biedniejszym, walczący z nędzą, śpiewał na tę samę nutę rozczarowania byrońskiego, wzdrygał się przed zimnym ziemi szkieletem, po którym biegają ludzie - robaki, jak głodny owad po zgniłym kwiecie — lecz od tytanicznych porywów był on jeszcze dalszy, niż Wasilewski, i w melancholijnej rezygnacyi, w łagodności spokojnej, zapatrzonej w grób, we wzywaniu świętych dokonał bolesnego, cierniowego pochodu życia.

O wiele więcej, niż w Poznaniu i Krakowie, zaważył pierwiastek ludowy w epice i liryce warszawskiej, szczególniej w gronie cyganeryi młodej. I poza cyganeryą hołdowano temu pierwiastkowi, np. najlepsze i najobszerniejsze rzeczy, które prawnik z powołania, Antoni Czajkowski, napisał, przerobił on z fantazyi ludowej („Madej"; „Baśń o żelaznym wilku") — przy poezyi jednak nie wytrwał; albo Karol Brzozowski, co i piosnki ludowe (z okolic Aleksoty nad

Niemnem) zbierał i motywy ludowe („Mężobójczyni“ i in.) opracowywał i w gawędzie przy ognisku obozowem („Noc strzelców w Anatolii“, roku 1856) wspomnienia ojczyste, antagonizmu nawet szczepowego (między Mazurem a Litwinem) wywoływał. Całkiem zanurzali się w ludzie i jego wierzeniach warszawscy „cyganie“, ów Roman Zmorski, z którym się potem Brzozowski na Wschodzie spotykał, Włodzimierz Wolski, Seweryn Filleborn, Józef Bohdan Dziekoński (medyk) i inni, grupujący się najpierw około łagodnego i sympatycznego Filleborna i jego krótkotrwałego „Nadwiślanina“, w „Jaskółce“, potem w „cechu głupców“ (gdzie Wójcicki był poważnie głupi, Czajkowski prawnie głupi i t. d.) i około „Dzwonu literackiego“ Wilkońskiego.

Znamionowały ich wszystkich żądza oświaty i podniesienia ludu, zwrot ostry przeciw obłudzie pod każdą postacią, szczególniej religijną, radykalne zakusy i protesty przeciw rzeczywistości w tonie Wasilewskiego („na świat, z chwały obdarty, wyrzućmy piorunów ognie“), a raczej Berwińskiego („Anioł Niszczyciel“ Zmorskiego; „Zapał“ Wolskiego; wiersze Anieli Dembowskiej, żony redaktora „Przeglądu Naukowego“); tylko patryotyczną nutą nie mogli się odzywać, pole ich musiało być ogólno ludzkie; w zastoju warszawskim budzili oni myśl, ruch jakiś. Już oni wpadali na pomysły, jakie o wiele później dobitniej się zaznaczać miały, np. Dziekoński, naśladujący w powieściach swoich nietylko fantastykę Hofmanna; w „Wyzwoleniu zapaleńca“ samobójca, co przeszedł te same losy, o jakich „Ostatnia spowiedź“ Berwińskiego prawi, w chwili przedzgonnej „wyjąknął modlitwę do szatana... jak on błagał czarnego ducha“ i t. d., a obok satanizmu wynurza się okkultyzm nowoczesny w jego „Sędziwoju“ (alchemiście XVII wieku, za granicą, np. u Czechów lepiej znanym, niż u nas); alchemista wystawiony tu (jak Twardowski Staffa), szukając wiedzy dla uszczęśliwienia całej ludzkości, ale służba jego nie jest bezinteresowna, gdyż i on, jak ów „Zapaleniec“, jak „Dziecko szału“ Wasilewskiego, hołdował „najślicznieiszemu“ samolubstwu, „myśląc o innych, dbał tylko biedak o dogodzenie własnym urojeniom (krytyka Byronizmu), czuł się wyższym od tłumu, co go otaczał, ale swą dumą tracił tę wyższość“. Wobec Sędziwoja, coraz upadającego dla własnej słabości i namiętności, staje mag Sethon, tajemniczy syn wieków, co wzniósł się do poświęcenia i pozyskał wiarę prawdziwą, gdyż za pomocą miłości odzyskał ów stan pier-

wotny, „w którym człowiek sam wszystko rozumiał“, na drodze ciągłych a trudnych zwycięstw ducha nad ciałem — istotnie, los owych wybrańców -adeptów był nadzwyczaj ciężki, i drogo opłacali oni każde mniemane zwycięstwo nad materyą. Dziekoński sam wyemigrował, pisać zaprzestał i umarł Towiańczykiem.

Oddalał się on może najbardziej od przeciętnego typu „cyganeryi“; wyraził ten najlepiej młody **Wolski,** którego „Ojciec Hilary“ (roku 1843, gdy autor lat kilkanaście liczył) uchodził za rodzaj objawienia: w guście Byrona, ale przeniesionego ze Wschodu dalekiego na niwy nasze, równie gwałtowny, namiętny i — nieprawdopodobny. Jak w „Giaurze“, słyszymy tu spowiedź przedśmiertną mnicha Hilarego z grzechów całego żywota; zacięcie demagogiczne już we wstępie silne:

> Ja chłop, niewolnik z imienia i rodu;
> Ojca nie znam, a matka, żebraczka zgrzybiała,
> Psom pana Podczaszego obiady dawała.
> Ja, ojcze! miałem urząd piękniejszy, dwojaki:
> Byłem zwierzę, na które panicz strzelał z łuku,
> I, jak pies, pilnowałem pańskiego ogrodu;

w podobnym duchu utrzymana jest cała powieść o nierównej miłości, o haniebnym afroncie, zemście nieudałej, zamknięciu klasztornem i ostatecznym wybuchu trawiącej żądzy zemsty; co było nowem, nie byronowskim, to że bohaterem owych strasznych cierpień moralnych, wobec których fizyczne ustępowały, był chłop. Później ochłonął Wolski z tej nienawiści, ale tematów nie zmieniał; i libretto do „Halki“ Moniuszki i „Połośka“ jego są na podobnych konfliktach osnute; lecz dobry anioł sprawia, że grzeszna pani mrokiem pokory, pokuty nocą, z duszą oczyszczoną, wraca na drogę zbożną, a chłopka przebacza straszną krzywdę: opowiadanie samo pełno gwałtownych starć i namiętnych skarg, ale ideą litości opromienione i miłością do ziemi ojczystej, wyrażoną w przedśpiewie, przejęte.

Liryk Wolski próbował się w zwykłych naówczas tonach, to sławił romantycznie moc wieszcza, to żegnał się z rojeniami miłośnemi; niema „niebianki“ (Celii), któraby czystem swem światłem opromieniła pochmurną duszę wieszcza, zstępuje on tam, gdzie panuje ucisku rozpacz blada, jego „życia pieśni... pieśń dla ziemi zaśpiewajcie, pieśń dzielniejszą, zrozumialszą, potrzebniejszą“. Ła-

godny marzyciel „czynnym ognistym szaleńcem“ był tylko w teoryi, nie miał już natchnienia do tej nowej pieśni, rzucił potem poezyę; nowele i powieści pisywał, nieraz bardzo obszerne, wzięte z życia mieszczańskiego i rzemieślniczego, np. „Domek przy ulicy Głębokiej“, gdzie je bardzo szczegółowo i realistycznie opisywał, przedtem w „Bakałarzu“ i innych powieściach wiejskie tematy obrabiał.

Nie ochłonął, jak Wolski, z romantycznych i ludowych zapałów **Roman Zmorski,** wytrwał przy nich i z równin mazowieckich nawet na mokradła łużyckie i płoniny bałkańskie je przenosił, panslawista warszawski i ludowiec. W jeszcze dziwniejszy sposób, niż Wolski, sprzęgał on byronizm pośledniejszego gatunku z ludowością, nie realną, lecz urojoną w „Lesławie, szkicu fantastycznym“ (roku 1848 wydanym, napisanym wcześniej), popsutym zupełnie przez zbędne całkiem allotrya z baśni ludowych, czarownice i wodnice, strzygonie i topielce; Lesław, niby hrabia Henryk, rozkochany w Dziewicy - Chmurze, waha się między nią a ziemianką, Heleną; owej się sprzeniewierzając, tę o śmierć przyprawia i sam w przepaść piekielną skacze; w płodzie tym rozczochranej romantyczności, z konwencyonalnymi jej atrybutami, bladością bohatera i t. d., uderzają niektóre niezwykłe myśli, o wszechnienawiści panującej w świecie („wątkiem istnienia jest nienawiść wieczna“ — cicha walka, „co się w każdej chwili na każdem miejscu ziemi z równą mocą nieubłaganej nienawiści toczy“). Gdy w „Lesławie“ ludowe motywy byrońską się pleśnią pokryły, w innych utworach Zmorski ludowy wątek, baśń czy podanie, w całości odtwarzał, np. „Wieża siedmiu wodzów“, „Dziwy“ i t. d.; po latach tłumaczył, wierniej, niż Zaleski, pieśni ludowe serbskie, epiczne, „Lazaricę“, o „królewiczu Marku“ i inne.

Obok tej epiki, na poły ludowej, wylewał Zmorski skargi namiętne w lirykach, silnych, pełnych dysonansów, jakby się umyślnie w nich lubował, w tonie Wolskiego i innych; ognia mu trzeba z piekła, gdy nie można z nieba... niech pół świata w proch obróci, byleby reszcie wolność przyniósł — pieśń jego miała kąsać pierś motłochu, aż to plemię skarlałe wściecze się z bolu całe; skarży się na myśl - upiór, co życiem ofiar żywi się i żyje i dzień i noc cię szarpie zębami tygrysa; mimo to każe gonić za światem prawdy wiekuistej, gdy ci czczy pozór wystarczyć nie może; jakby w rozkoszy smakował w boleści, ale i ten mu szalony, co za pierwszą goni,

i ten szalony, kto się drugiej chroni. Ognistym i burzliwym był on nietylko w wierszu, ale i w życiu tułaczem.

Z poety - demagoga wyrobił się Cypryan Norwid (brat jego Ludwik pisał mało, satyryczne obrazki; choć z piersią rozdartą śmiał się z ludzi, bo płakać nie warto) pod wpływem Słowackiego na poetę - symbolistę. I on, jak Wolski czy Zmorski, nienawidził samego miasta, serc i kwiatów grobu, „bo ja chłop jestem, bo moje oczy wielmożna świetność kole i mroczy“; jeszcze gorzej nienawidził filistrów — rzeźbę męczenników „reduktor“, aby ją sprzedał korzystniej, w apoteozę kapitalizmu przerobić kazał; lecz od skarg i satyry przeszedł całkiem do alegoryi i symbolów, w „przypowieści“ Quidam (z czasów Hadryana), w misteryum Krakus i innych— intrygi i węzła dramatycznego wystrzegał się umyślnie — rzucał tylko cienie postaci, wypadków, rozmów; lubował się w grze słów, zdaniach urwanych, subtelnych odcieniach wyrazów; szukał w zjawiskach prawd wiecznych, pociągało go wszystko, co nadzwyczajne, tajemnicze, dusz wędrówki czy sobotwóry. Dla ludzi ówczesnych, materyalnej poezyi hołdujących wyłącznie, np. dla Zaleskiego nawet, był więc Norwid niezrozumiały po prostu; dziś dopiero między modernistami i symbolistami zyskał on, jak i jego mistrz Słowacki, uznanie i „Chimera“ drukuje na nowo „Quidam“ i „Wandę“. Norwidowie, jak i Olizarowski, rzucili wcześnie kraj i należą właściwie do emigracyi.

Łagodnością i rezygnacyą chrześcijańską, niby drugi Żygliński, odbijał od tych namiętnych postaci Karol Baliński, twardem życiem samych cierpień i zawodów uczony. Nie tracił on nigdy pod nogami gruntu chrześcijańskiego; tylko „droga najświętsza Golgoty i krzyża“ zbliża do nieba — ostatni może napisał „Mesyadę“, „Męczeństwo Zbawiciela“, z którego ustępy drukowano — do koła warszawskiego zbliżała go nieukojona tęsknota za ideałem, wysokie cele, jakie wieszczowi wytykał („musi, jak ogień, sam siebie strawić, rozkosze ziemskie w jeden stos zwalić i własną ręką ten stos podpalić“), szczególniej w wierszu — alegoryi „Farys wieszcz“ (1844): duch tęsknotą nieba trawiony, zesłany tutaj na ciągłe boje, na ciągłych pragnień żar niezgaszony; farysów - gońców ideału zmiótł huragan — głucho na stepach, a w stepie życia, ach, smutniej jeszcze—wiatr wszystko wywiał, lecz wymodli wieszcz u stwórcy, że jeszcze z ziemi „okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy“.

Z całego tego koła warszawskiego wytrwał przy poezyi ludowej najściślej **Teofil Lenartowicz,** lirnik mazowiecki, w innem, głębszem znaczeniu „lirnik“ swej ziemi, niż Zaleski lub Syrokomla. Syrokomlę dzieliło wszystko od ludu białoruskiego i litewskiego; ani on z niego wyszedł, ani do niego mimo „chłopomaństwa“ należał; Zaleski przed teraźniejszością w kraju ułudnym się zasklepił, roztęczonym w wyobraźni i tęsknocie; tylko Lenartowicz, Mazur, z ludem się zżył, proste jego uciechy dzielił, rzadkie jego łzy ocierał. Nie odrazu znalazł on właściwą drogę; tworzył, jak „cyganie“ tworzyli, t. j. skarżył się, pragnął i dumał, wieszczył (np. w „Wierszu do poezyi“, r. 1844), jak oni. Opuściwszy ojczyste Mazowsze (w Warszawie się urodził, lecz i na wsi żył i nieco trybem młodocianym Brodzińskiego przypomina, lgnąc, jak on, do chaty wiejskiej) sam ożył i ożywił pieśń swoją we wspomnieniach wioski i ludu i wiernym im został, powtarzając, jak Zaleski, siebie samego, nadto mało urozmaicając i wątki, i formę. Same wyroki losu dla sieroty przeznaczyły nic, „jeno ubogą skrzypkę tułacką, a na niej będzie pod niebem brzmiała wiernego ludu cicha pochwała... samotny pójdzie smętny doliną, ani jego łzami, pieśniami spłyną“! Za młodu z chłopakami nocną dobą ponad Narwią konie pasał, pobratał się uściskiem ze spracowaną Kurpia dłonią; wierzbypłaczki dały mu na jęk długi gałąź na fujarę; i nadal światek jego pozostał ten mały: po drodze stare stoją chałupy... przy jednej gruszka, lipa przy drugiej, i tak tam drzemią po drodze długiej... po drodze w dali bieli się piasek, krzyż nade drogą i zaraz lasek, pod lasem woda na łące płynie, z szumem na koła spada przy młynie. Stąd przynosił on „pieśni stare, ale takie rzeźkie, jare, że, słuchając, jak we wiośnie, dusza, gdyby ziele, rośnie i świat jej się w oczach złoci, aż się cała rozochoci“. Pieśni tworzył on sam, nie powtarzał, co lud śpiewa, wdumał się w ład ludowy i nań własne pieśni stroił, o Mazurze za wołami; o Wiochnie, co na książce czytać umie i „baranka“, jak żywego ulepi; o Dziewczynie, jak malinie, co ma ręce do roboty, serce do kochania; o orylu „nad Wisłą“; o starym Józefie, gdy w niedzielę skrzypkę stroi; o Jagodzie, z której ust piosenka to żałosna, to wesoła nigdy nie schodzi; o Baśce, co jej krowę zajęli; coś tam o Kurpiach; jak to na Mazowszu i t. d.

W duchu ludowym tworzył poeta i większe rzeczy. Właśnie owa „Jagoda“ to cała sielanka o sierocie Jagusi i Janie parobku, jak się pokochali i pobrali, jak przykładnie żyją, aż się coraz z piersi

Cierpiały okrzyk wyrywa: ach, jaki ja chłop, mój Boże! ciężka próba jeszcze bardziej nauczy go cenić skarb swój, „żonę, swego człeka“. W dalszym ciągu odźwierciedla poeta nawet zaświecie, jak się w głowie wieśniaczej przedstawia; jego „Zachwycona“ i „Błogosławiona“, to niby wędrówki duszy chłopskiej, niby „Hannele“ Hauptmanna; chora wieśniaczka opowiada wizye zagrobowe dziecku, jako to w raju same jabłonie i wielkie grusze, a na nich dobre duszyczki — owoce złote; Pan Jezus owieczki na łące pasie; Najświętsza Panna wyrabia płótno ze srebrnej przędzy, wiatr je jesienią po polach roznosi; widać z nieba wszystko, co się hen na świecie dzieje; smutno w czyśccu, a w piekle i łoże Madejowe i Judasz z trzosem. „Błogosławiona“, to dopełnienie „Zachwyconej“, mniej udałe, chociaż i tu akcesoryów ludowych nie brak, jest przecież i list z nieba zesłany i świętych widzimy, jak z obrazków zdjętych. W tym samym tonie naiwnej prostoty opisał on i „Bitwę“, wkładając opowiadanie w usta chłopka - uczęstnika, z siłą i animuszem, na jaki go rzadko stać było. Póki się tego tonu ludowego trzymał, tworzył szczęśliwie, np. w „Szopce“ (r. 1849), gdzie występują w pierwszej części zwykłe figury jasełkowe, w drugiej figury z dziejów polskich, najlepiej spopularyzowane.

I nie mógł poeta oderwać oka myśli od swego Mazowsza, gdzie „po szerokiem polu modra Wisła płynie, pochylone chaty drzemią na dolinie“ i wychwalić się go nie mógł dosyć:

O śliczna to ziemia to nasze Mazowsze,
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze...
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się roześmieje tak raźno dziewucha?...
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce, moje serce do tych lasów goni:
Do Wisły, do Wisły, oj tęskno mi do niej!

I gdy mu struna „poojczystym brzękła żalem“, płynęły od niej wiersze, proste i świeże, „jak ta ziemia zrana we łzach rosy wykąpana“, i, jeśli w jego wierszach „czego niema, tego niema — ta swej ziemi pełno“; nie sobie on ani żądał ani śpiewał, przygrywał na zbudzenie miłości dobra i prawdy, cieszył się, że już coś świeci, „już rozjaśnia się w sercu słowo, nim je człowiek pojmie głową“. I w tym skromnym, pobożnym tonie wyśpiewywał szary skowronek z pod kamienia legendy o świętych robotnikach, o Naj-

świętszej Pannie Maryi Studziennickiej i widzeniu starego mularza, o świętej Zofii i męczeństwie jej trzech córek.

„Myśl moja cicha, jak moja chata, nad dym ojczystej wioski nie wzlata, oko nie sięga dalej i szerzej, jak do tych lasów, jak do tych krzyży, jak do tej wody, co płynie srebrna, czyż większa mądrość człeku potrzebna?“ Mądrości tej starczyło też na kreślenie małych obrazków rzewnych i wdzięcznych, o wierszu nadzwyczaj melodyjnym, nieraz skocznym, zawsze śpiewnym (Mazur ci ja Mazur, z pod Warszawy rodzic i in.; melodye dorabiał Komorowski i przyczyniał się tem do popularności Lenartowicza), nie sadzącym się na ozdóbki, prostym, pełnym głębokiego uczucia. Lecz ludowość Lenartowicza jest jednostronna nieco, wyidealizowana i zmanierowana; jego Mazur a kozak Zaleskiego to niby rodzeni bracia, sama dusza Mazura i istotna dola jego— nie Lenartowicza), to temat; wzrok jego ślizga po powierzchni, widzi dobrze, ale wszystko różowo, sielankowo na tym najlepszym ze światów. Ujmujący za serce optymizm poety, jego radość życia udziela się każdemu, on wyznaje szczerze: „co ja będę na złe wróżył, powróżę na lepsze, i znów chata się wystawi, opatrzy, podeprze“; z jego piosnki „w szczęśliwej godzinie może myśl dobra w dobre serce spłynie“; dysonanse rzadkie, np. owa rozpacz-otucha Maćkowa, dolaż jego kochana, gdy wszystko utracił i śpiewem i tańcem bole zagłusza — bodaj z taką uciechą! Z własnych smutków się nie spowiadał, a byłyż one dotkliwe i coraz dotkliwsze; i on, jak sierota, „całe życie goni słonko, dogonić nie może“; jego sierocie, inaczej, niż jemu, nie zbywało na niczem, a przecież wszystko to za mało, bo swojego nie miał nieba, a chciałby tak „krzynkę nieba i wietrzyka ze swej ziemi“, cóż dopiero on sam, wydziedziczony ze wszystkiego szczęścia:

kiedy tak staniesz, jako ten krzak suchy,
gdy nikt się do cię nie przyzna, nie powie:
pójdź—sam człowieku!—wtedy na mogiłki
pójdziesz wyklęczać, jak ja, ten śnieg pyłki,
i będziesz, jakby na swoim pogrzebie!

W końcu jednak powtarzają się zbyt te radosne i smętne tony i obrazki, a jeśli pierwsze większe zbiorki, „Lirenka“ (1855) i „Nowa Lirenka“ (1859) podobały się nadzwyczaj, to dodać do nich poeta nie umiał niczego.

A silił się on na rzeczy coraz większe, na które owej mądrości prostej bynajmniej nie starczyło. Człowiek z wiarą tak naiwną, że dziwił się, iż głowa chrześcijaństwa tyle pogaństwa (pomników rzymskich) około siebie cierpi, zabierał się do ilustracyi wielkich dziejowych pomysłów lub postaci; zaraz też „Gladyatorami“ obruszył na siebie Klaczkę, chociaż krytyka tegoż była stronniczą napaścią raczej, gniewała się o rezygnacyę, ton żałosny, na jaki się poeta wyłącznie umiał zdobyć; i fantazya o Napoleonie silniej do fantazyi nie przemówiła. Poeta, tułający się dotąd wszędzie, osiadł teraz na stałe we Florencyi, gdzie się i rzeźbiarstwu (a później i popularyzowaniu literatury polskiej między Włochami) oddawał; występował odtąd tylko w dłuższych przerwach z wierszami. Wątków nastręczały i wrażenia włoskie („Album włoskie“, 1870, z refleksyą nie głęboką, z trafnymi za to rysami tego, co widział) i rapsody dziejowe („Ze starych zbroic“, niby śpiewy Niemcewiczowskie, o Bolesławach, o Piotrze Duńczyku i t. d.; w „Rytmach narodowych“, 1861 r., ustępy z epopei o Sobieskim, „Ostatni Rycerz“, i inne) i motywy ludowe („Echa nadwiślańskie“, odnowione, rozszerzone dawniejsze) i żale osobiste („Cienie—na przepadłę imię“, 1883) z powodu zobojętnienia publiczności wobec „dziadory niebogiego, którego kiedyś nazywano poetą“: ja snuję, snuję, biedny pająk z siebie, a pajęczynę moją wiatr roznosi, i, kiedy innym złoty łan się kłosi, mnie, jak zmarłego, wasza ręka grzebie, słuchać nie raczą, a grzebią mnie żywcem... Pisywał rzeczy coraz obszerniejsze, wydane po śmierci dopiero np. „Sędziowie ateńscy“, (o Sokratesie, dyalog dramatyczny), albo wcale dotąd nie wydane.

Już Lenartowicz nie miał tego epicznego zacięcia, znamiennego dla Pola, Syrokomli, Romanowskiego; w mieszanym, liryczno-epicznym wierszu najwyżej się wznosił — ptak małego lotu. Wyłącznie lirykiem, napróżno się o epiczne rzeczy kuszącym, wcześnie też zamilkającym, był ostatni znaczny z grupy tych poetów-rówieśników, co i poezyę i wszystkich towarzyszów przeżył, **Kornel Ujejski.**

W otoczeniu lwowskiem, spiskującem, „węglarskiem“ mimo wszelkich rewizyi i represaliów, przejął się poeta patryotycznemi ideami; płomienna poezya emigracyjna, „Dziady“ i „Kordyan“ i „Irydyon“, kształciły mu myśl i styl; najbardziej oddziaływał Słowacki, i nie zrażał się młody poeta „przeczeniami“ jego, jak Pol. Popędu do twórczości dostarczyła najpierw miłość, naturalnie wzgardzona,

rozgoryczenie stąd płynące, wzdychanie za ideałem, ale od liryki osobistej oddzielił się Ujejski rychło. Imię dwudziestodwuletniego poety rozsławił „Maraton“ (roku 1845), chociaż najpierw tylko w szczupłem gronie lwowskiem. Wzbudzał Słowacki wspomnienia Termopil i Leonidasa, aby z narodu boleśnie szydzić; za to wybrał młody jego wielbiciel inny epizod z tej samej walki, ale nie rozmarzony w piękności świata greckiego:

wy chcecie pieśni, ni kwiatu do wieńca,
coby wśród uczty mogła was pochwalić,
a jabym pragnął wam *w ogniu rumieńca*
rozmiękłe dusze, jak zbroją, ostalić,
dawnych olbrzymów przed wami postawię
i z nimi wskrzeszę cały świat zamarły,
może choć wtenczas *przy waszej niesławie*
z wstydem przyznacie, że jesteście karły...

Więc nie o nastrój czy szczegóły epiczne dbał poeta: przemowa Milcyadesa do Ateńczyków, nie zaś walka, zbyta ogólnikowo, zogniskowała w sobie cały poemat. Od świata greckiego, od tłumaczeń tragików, pociągała ku sobie chrześcijanina biblia; ustępy jej parafrazował („Pieśni Salomona“), jej prorocy przejmowali go najgłębszem wzruszeniem, tem bardziej, skoro wedle katechizmu romantycznego polskiego wieszcz a prorok to jednoznaczniki. Już w roku 1844 nakreślił swój program poetyczny, „Gęśl Jeremiasza“: kruszył gęśl dawniejszą, bo dla siebie już śpiewać nie może, a sięgał po nową; zapierał się siebie, a wślad za Konradem wołał: cały mój naród jest moją rodziną, łzy z jego oczu, krew z jego ran czerpię, cierpiąc ból jego, chcę śpiewać. Ani przeczuwał, jak rychło słowa te ziścić się miały.

Rzeź galicyjska roku 1846 odbiła się w czternastu „Skargach Jeremiego“, napisanych tegoż samego roku. Gdy rozpacz goretszych, pognębienie wszystkich ogarnęły, wzbił się nagle nad zdrętwiałe tłumy młody silny głos, mądry wiarą i miłością, kojący, jak balsam, pokrzepiający. Nawiązując czy do modlitwy Pańskiej, czy do suplikacyi kościelnych, czy składając akt wiary, rozwiązały te psalmy usta narodu, obleciały wszystkie dzielnice, strzeliły w górę modlitwą tysiąców. Nabrzmiałe uczuciem grozy i żalu nie klęły ludu - Kaina, były dlań wyrozumiałe („lud nasz dotąd się jeszcze nie nazwał narodem; jak liść jesienny, zgromadzony w lesie, tam on

ulata, gdzie go wiatr poniesie“); nie rozpaczały mimo słów wstępu (o zniszcz nas lub podnieś), wierzyły głęboko,

żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
by całą ludzkość prowadzić ku Tobie...
że, chociaż czasem słabymi zachwiejesz,
jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem...

mesyanista wierzył w postęp ludzkości, że „miłość i wolność opaszą tę ziemię, jak wiecznie zielone powoje“. Po wierszach emigracyjnych nikt nie znalazł wyrazów tak wzniosłych, skargi tak głębokiej, nie bluźnierczej jednak, ufności tak wielkiej, nie przesadnej, korności nie udanej. I wzbił się poeta odrazu po nad rówieśników i stanął obok mistrzów; w wierszu religijno-patryotycznym nikt go nie przewyższył. Luźne na pozór ustępy składały całość artystyczną, niby „Treny“ Kochanowskiego.

Na wyżynach tych jednak nie utrzymał się Ujejski. Nie panował nad zbyt rozległymi tonami; tworzył bardzo nierównomiernie; z owymi wierszami, wrącymi jak lawa, mieszały się mdłe i prozaiczne w „Zwiędłych liściach“ i „Kwiatach bez woni“; tymczasem oczekiwano po nim rzeczy coraz większych; gdy mistrzowie poumierali czy zamilkli, on zdawało się jedyny berło ich dzierżał. Nie ze wszystkiem zawiódł Ujejski oczekiwania; w „Melodyach biblijnych“ (1852 r.), pisanych w ciągu lat kilku, odzywała się gęśl Jeremiasza polskiego, bo nie brak w nich ciągłych aluzyi do rzeczy polskich, od Jubala począwszy, którego pieśniami gardzą, lecz będą go kiedyś prosić o jedną. I siebie wystawił poeta: sławą i pieśnią nie wzleci wysoko, ale ma duszę czystą i nie świecką, serce do uczuć, do łez skłonne oko... on twoich żalów wiernem będzie echem, bo w jego kraju nie mieszka wesele, w narodzie jego każdy śmiech jest grzechem...

Następca Byrona i jego „melodyi hebrajskich“ w literaturze świata, u nas skromnego Witwickiego i jego „poezyi biblijnych“, różnił się zupełnie od obu poprzedników; nie przewierszowywał on tak czy owak ustępów biblijnych, ale własne natchnienia wylewał w formach zapożyczonych, więc największe wywołuje wrażenie, gdzie to natchnienie najsilniej bije, gdzie losy Judei splatają się niby z losami własnego narodu, gdzie te pod tamte podkłada. Jedne z tych „Melodyi“ są to więc artystycznie obrobione sielanki starego

testamentu; drugie, wyższe znaczeniem, są silne wyrazy religijno-patryotycznego nastroju.

Nosił się poeta z dramatem biblijnym, ale „Samsona“ swego tylko ekspozycyę, akt pierwszy, napisał: ciekawy i piękny, przygotowujący wystąpienie bohatera po słowach i zwierzeniach rodziców jego i służebnicy, a podejściu zdrajcy. Na nic większego już się Ujejski nie zdobywał; prób epicznych, z autobiografii (Podróż przerwana, niby legionisty, do gniazda Ujejskich w Świerczkowie), „Ustępu z powieści sybiryjskiej“, „Po latach osiemnastu“ i t. d.) również nie zaokrąglił poeta-liryk; najlepsze i w tych epikach są ustępy całkiem liryczne.

Większe bez porównania odnosił tryumfy, gdy się znowu stawał tłumaczem obcych natchnień, gdy, jak niegdyś muzykę chorału Nikorowicza we własny chorał przelewał, teraz melodyom Szopena własne słowa podkładał; z „Tłumaczeń“ tych (późniejsze, Bethovena, znowu słabsze) „Marsz pogrzebowy“ najbardziej porywa, jako wybuch rozpaczy po śmierci istoty ukochanej. Prócz „Tłumaczeń“ tylko jeden i drugi wiersz, czy dla idei demokratycznej, czy dla poruszającego do głębi tematu roznosił szeroko sławę autora, np. ów „Chato polskiego chłopa, zasypana śniegiem, podobnaś do mogiły... w niebie i w myśli jego (gospodarza) noc, a noc bez końca, a spłonie świt — w świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę“, albo jego bardziej znane „Za służbą“, z wyrazami głębokiego żalu („o ty ziemio polska, ty zawodna... o ty ziemio, ty macocho gminu... a dla większej części dzieci swego rodu o nie owoców już ani miodu, ale nie masz nawet chleba...); „Pogrzeb Kościuszki“, niby z miarowym odgłosem dzwonów pogrzebowych, i inne, między niemi i treści osobistej.

Talent słabł widocznie; poeta umierał za młodu, „z świeżą jeszcze pamięcią u mego narodu, co przy ogniu mych pieśni chętnie się rozgrzewał“, umierał, jako autor „Skarg Jeremiego“ — gdy ich wtórą część po wypadkach roku 1863 dopisywał, już posłuchu nie znalazł; wytrwał wprawdzie przy swych hasłach, ale i siła poetycka już nie dopisywała, i coraz bardziej czuł się poeta odosobnionym; świat, wedle słów jego własnych, szybko zmienił barwy, przebrał się, pobiegł naprzód, „a ja stoję, jak po wielkiej powodzi, gdy opadną fale, zapomniany, samotny zostałem na skale“. Odtąd wylewał siłę słowa i żaru nie w wierszach, lecz w rzadkich zresztą przemówieniach, czy nad grobem Grottgera, czy w odpowiedzi na uroczystość

Husową, bratając się gorąco z Czechami, wnosząc „kielich“ szczęścia „dla wszystkich“, czy w rocznicę zgonu Goszczyńskiego czy w wierszu, „Mój Orzeł“, zwalczając grzechy narodowe, pychę, prywatę, lenistwo, obczyznę, zebranych w jego „Żywych Słowach“ Jeremiego. Roli wybitnej gorliwy obywatel już nie odegrał; nie liczył się ze zmienionemi okolicznościami; nieprzejednany, republikanin, wróg Stańczyków nie wchodził w żadne kompromisy, nie paktował z nikim. Lwów uczcił pamięć jego, jak i Fredry, pomnikiem.

Liryków, jak Ujejski, ale słabszych talentem, rychło zapomnianych, liczył ten okres wielu; dla zapełnienia tła należy się słowo wzmianki, z dawniejszych, Tadeuszowi Ładzie Zabłockiemu, co niegdyś, w stylu na poły klasycznym, niby Wężyk, okolice Witebska opisywał, później z za Kaukazu, jak Janiszewski i inni, jak książę Odojewskij w literaturze rosyjskiej, łagodny smutek, rezygnacyę cichą wyrażał. Po tym białoruskim poecie, przejętym czcią dla wieszcza litewskiego, można Ukraińca, Henryka Jabłońkiego, wymienić, co, rzuciwszy Dniepr i Boh, po różnych tułaczkach, jako konsul francuski, w Zanzibarze umarł: przy poezyi nie wytrwał, chociaż o znaczeniu sztuki górne roił marzenia, szczególniej w swoim „Gwidonie“ (1855), muzyku, rzucającym dla sztuki rodzinę i kraj, bo „przez nią chce serca napełniać jasnością, ją chce uczynić anielskiem wołaniem, poznają miłość — pójdą za miłością, poznają niebo — i zatęsknią za niem: Ja zaznajomię ich z nieśmiertelnością i ziemię niebu w ucisk oddam graniem“; gdy próżne jego starania, zniechęcony rzuca świat, lecz zato ponosi karę, gdyż sprzeniewierzył się posłannictwu sztuki i z dzikiej skały Bohu odgłosem smętnych dum ludowych poruszać będzie serca, aż się urodzi mistrz, co go wyzwoli, co „z serca wygrzmi pieśń swobodną, godną ziemi i nieba“. Nakoniec Lwowianina, Adama Pajgierta, druha Ujejskiego i Romanowskiego, nie przepomnimy, co lirykami swemi i tłumaczeniami niefortunną pamięć ojca-wierszoklety zagładził.

Epika i liryka wyrobu krajowego nie mogły się mierzyć z wielką sztuką emigracyjną; żyły one niby okruchami z jej stołu i, jeżeli gdzie na samodzielność zakrawały, to chyba w nucie ludowej, chociaż i tutaj wpływ np. Zaleskiego na Lenartowicza widoczny. Na tej poezyi ludowej uwidocznia się jednak rychło i zaściankowość pewna — Lenartowicz czy Syrokomla niby każdy na swym partykularzu osiadł, rzadziej się z niego wychyla; ale jeszcze więcej razi pewna monotonność, brak urozmaicenia, te same obrazy i myśli

w coraz nowych kojarzeniach i odmiankach nieznacznych się powtarzają—rzeczywiście to — „mały światek“ i łatwo w nim zagrząść na zawsze.

Od Wiesława i Ballad niby ludowych Mickiewicza postęp był znaczny, pogłębienie widoczne; nawet język nabrał o wiele więcej cechy ludowej, Lenartowicz i przed „se“ i „kieby“ się nie żachał, Krakowiaki nie tylko melodyą śpiewki ludowe przypominały; mimo to do ludu z pod słomianej strzechy poezya ta jeszcze nie dotarła; kreśliła sielanki, o wiele wierniejsze, o wiele przez to wdzięczniejsze, ale tylko sielanki. Zresztą w liryce i erotyczny ton nie górował: za to panowały marzenia i rojenia o potędze i znaczeniu wieszczów i poezyi, tkliwe kwilenia nad rozdźwiękiem między ideałem a rzeczywistością, skargi i wyrzuty przeciw sercom kamiennym i światu zmurszałemu. Miejscami przeważał ton patryotyczny, ludowy, rewolucyjny, i teorye Towarzystwa Demokratycznego ubierano w wiersze namiętne.

Epika, zwrócona naturalnie ku przeszłości, w zawody z prozą idealizowała tę przeszłość; gawędy szlacheckie broniły właśnie tego świata, który należało burzyć wedle nawoływań Berwińskiego czy Wolskiego. A tak nie dorównała poezya rodzima obcej: literatura emigracyjna, w wyjątkowem swem położeniu, roszcząca sobie prawo i prowadzenia narodu, dla swobody swej myśli i słowa, w pierwszorzędne talenty, w geniusze bogata, wysiliła się odrazu na twórczość nadzwyczajną, chociaż nie obejmowała wszystkich pól literackich, zaniedbywała dramat i powieść. Tu stawała od niej niezawiśle literatura krajowa. Samo istnienie trzech stałych scen, warszawskiej, lwowskiej i krakowskiej (rozwijającej się dzielnie za Meciszewskiego), musiałyby na to wpływać, chociaż i tu oddziaływał rażący brak uzdolnień dramatycznych; kusiło się wprawdzie wielu, dla samego choćby naśladownictwa, o dramat, szczególniej narodowy, t. j. historyczny, lecz powołanych było aż nadto mało.

Najbardziej powołany, **Aleksander Fredro,** zamilkł zupełnie; po kilkunastu latach dopiero, gdy wszelkie rachuby czynności innej ponownie zawiodły, gdy po r. 1848 mroźna reakcya ziemię ścięła, wrócił on do muz swej młodości; nie zmienił się ani postąpił, o wymagania nowej sceny nie dbał; pisał więc po dawnemu, to znaczy, o wątek nie starał się wiele, starczyła mu anegdota, pierwszy lepszy pomysł, omyłka; po dawnemu nalepiał na typy, bo do indywiduów

się nie zniżał, etykiety Jenialkiewiczów i t. p.; zachował dawny humor, bawił się sam w najlepsze, chociaż o nauce, morale nie zapominał; zamiast wierszów jednak, ustępując czasowi, prozą się częściej posługiwał. Dowcipu wdzięcznego starczyło na stworzenie bluetek, jednoaktówek znakomitych („Świeczka zgasła“, „Koncert“, „Dwie blizny“); większych pomysłów najtrafniejszych nie obrabiał jednak należycie; np. w „Godzien litości“ wystawił Alwina, poświęcającego się na słowo, nie zrozumianego niby, ofiarę losu i ludzi—w istocie wyzyskującego bezczelnie wszystko i wszystkich, ale typ ten opisał, nie przedstawił w działaniu samem. Lepiej powiodło mu się w komedyi „Wielki człowiek do małych interesów“: jak Elwin zawsze ofiara, tak Jenialkiewicz zawsze administrator, organizator i statysta, samodzielny, wszystkiem kieruje i niechybnieby siebie i pupilów na nędzarzów wykierował, — taki w istocie niedołęga, którego każdy w pole wyprowadzi, który wiele mówi, nic nie czyni ani umie: typ, szczególniej między naszymi mężami stanu niestety nie rzadki. Nie waha się przytem autor zapożyczać najdrastyczniejszych i najbardziej zużytych środeczków jeszcze od „Natrętów“ Bielawskiego czyli od *Les Fâcheux;* jeszcze mniej, niż dawniej, skupia wszystkie siły, obmyśla wszystkie efekty — tworzy przecież nie dla publiczności, nie dla sceny, lecz dla zabicia czasu, dla własnej szufladki, w której przed okiem śmiertelników zamyka zazdrośnie swe kreacye, pozwalając dopiero po najdłuższem życiu na ogłoszenie czy wystawienie spadku, krzywdząc siebie, scenę i literaturę.

Najzabawniejszy, gdzie bez żadnej pretensyi występuje, np. w sztuce kolejowej „Z Przemyśla do Przerowa“, gdzie stadło małżeńskie, rozwiedzione i znowu się łączące, otaczają dobroduszny Gamciewicz, coraz to wszystko gubiący, Czech Kropaczek, madame Stock z podejrzaną bardzo francuszczyzną i inne typy komiczne. Nie zawahał się nawet przed komedyą zwierząt: „Brytan Bryś“ wystawia w typach zwierzęcych ludzkie ułomności. Do satyry ciągnęło go bowiem coraz bardziej to, co naokoło siebie postrzegał; nawet świeża autonomia galicyjska nie wymykała się przed uszczypliwymi docinkami, dostawało się nietylko demokratom, ale i braci szlachcie; nie brakło nawet wierszów lirycznych — ale wszystko na trzy spusty zamykał. Pisał i pamiętniki, umyślnie bez ładu, „Trzy po trzy“, jakby za przypadkowem kojarzeniem się myśli powstawały, a miał

co opowiadać — nie każdy pamiętnikarz zaczynał przecież od ordynansu przy Napoleonie.

Repertuar teatralny stał „starym“ Fredrą. Obok niego, mimo wszelkich zatargów i nieporozumień z dyrekcyą warszawską, uciekając przed nią do lwowskiej, stanął **Józef Korzeniowski,** Krzemieńczanin. Po długich wysiłkach dopiero udało się mu pierwszorzędne osiągnąć stanowisko: i w życiu i w sztuce zdobywał wszystko przebojem, pracą, usilnością — szczęście mu się samo nigdy nie uśmiechnęło. Pióra próbował przez niemal pół wieku: drukował pierwsze swe rzeczy, gdy Mickiewicz jeszcze w powijakach Trembeckiego stąpał, i był naturalnie również klasykiem; ale studya niemieckie obznajmiły go z Szylerem również wcześnie, jak z Wolterem, i w pseudoklasycyzmie zagrząść mu nie dawały. Zaczynał, jak młodzież ówczesna, odami i listami poetyckiemi, ale przerzucił się rychło na pole, gdzie konkurentów było nierównie mniej, do dramatu. I, jako dramatyk, popełnił jeszcze (raczej tylko, jako *tour de force,* wskutek zakładu?) „Pelopidów“, tragedyę deklamacyjną w guście francuskim; ale napuszoność tę porzucił był sam już dawniej, w dramaciku „Klara“, w dramatach „Aniela“ i „Dymitr i Marya“ (wątek z dziejów nie samozwańca, lecz „Maryi“ Malczewskiego); już tu widoczne zajęcie się Szekspirem, wzorowanie się na jego efektach i dykcyi (rażące szczególnie w późniejszej nieco „Pięknej Kobiecie“, napisanej prozą, z romansów angielskich); próby te ani żywszą dykcyą czy akcyą ani wybitną charakterystyką nie odznaczały się bynajmniej; wszystko toczy się równo, spokojnie, umiarkowanie. Taką samą była i podniosłość w misteryum o „Mnichu“, pokutującym Bolesławie Śmiałym, któremu duch ofiary przebaczenie przynosi — pierwszy z nieskończonego dotąd szeregu dramatów o Śmiałym.

I, jako profesor kijowski czy dyrektor gimnazyum charkowskiego, a potem warszawskiego, nie ustawał Korzeniowski w pisywaniu dramatów i komedyi, ze sfer obcych i swojskich, historycznych i spółczesnych. Z długiego szeregu dramatów wyróżnia się „Andrzej Batory“, z dziejów siedmiogrodzkich: bohater rwie się do niepodległości, lecz w nierównej walce z przewagą austryacką i niesfornością panów ulegnie ten, co z siły ma tylko pozory — rzecz bardzo rozsądnie i starannie obmyślana i wykonana, lecz chłodna i sztywna.

O wiele wyżej stanął dramat, którym Korzeniowski niezbędny wówczas dług ludowości spłacił, „Karpaccy Górale“, arcydzieło jego (z r. 1843), do dziś wysoko cenione w inwentarzu nietylko sceny polskiej, ale jeszcze bardziej małoruskiej. Hucułów i Żabie, gdzie się (najprawdziwsza) tragedya Antosia Rewizorczuka rozegrała, znał autor z wycieczek feryjnych; zaciekawił go lud rosły, odważny, tęskniący za swemi górami, do znoszenia wszelkiej krzywdy i płaszczenia się — jak lud na nizinach —wcale nie skłonny; najumiarkowańszy z ludzi stanął po stronie uciśnionych, choć się do zbrodni porwali, figury rządowe (mandataryusza i strzelca, Prokopa) przedstawił w świetle najgorszem, jako obłudników, pogardy godnych, wyidealizował Antosia i Maksyma; lud, mowę (również wyidealizowaną — o fonograficzną wierność nikt się wtedy, i słusznie, nie troszczył), zwyczaje, zabawy, pieśni, temperament wiernie odmalował; szlachetna tendencya, akcya żywa, prawdziwa, zajmująca, charaktery utrzymane dobrze — wszystko złożyło się na całość, której Korzeniowski już nie przewyższył.

Na ten sam czas przypada i stworzenie dwuch jego najlepszych komedyi, „Żydów“ (1843) i „Panny Mężatki“ (1844). W podróżach po prowincyi poznał Korzeniowski szlachtę i większą i drobniejszą — powieści miały rychło tę znajomość uwydatnić; ze stosunków jej zaczerpnął „Żydów“, tak przezywając panów i panków, frymarczących czcią i wiarą; Żyd prawdziwy, Aron Lewe, ma o wiele więcej od nich serca, uczciwości, sumienia, jak w owej pysznej scenie ze Staroświęckim, kiedy mu w imię dawnej przyjaźni i wspomnień o niej coraz po procencie opuszczał (znakomite pendant do tej sceny aż w starozakonnym Reutera ze słynnego romansu odnaleźć można); hrabia - łotr wierutny, jego żona, chorująca na francuzomanię, chociaż jej francuszczyzna strasznie nieprawidłowa, jego siostra, stara kokietka — scharakteryzowane znakomicie; intryga sama nieco banalna; obok uwag bardzo trafnych są i morały czy aforyzmy wątpliwej wartości.

Wyżej, jako całość, stoi „Panna Mężatka“, — Cecylia, udająca mężatkę, aby w Fabiuszu Kunktatorze, szczerym, ale nieśmiałym, wiecznie niezdecydowanym admiratorze jej powabów i umysłu żal obudzić i z rezerwy go wyprowadzić, co się jej też znakomicie udaje, chociaż dla salwowania przewagi męskiej i jej Adolf podobną intrygą jej odpłaca. To już nie komedya molierowska czy fredrowska, nie komedya typów, lecz charakterów; osoby jej nie uosabiają jakiejś wady, nałogu, skłonności tylko, to nie ich wykładniki,

skupiajacy wszelkie rysy podobnych indywiduów, lecz indywidua same; ludzie, nie skąpcy, obłudnicy, tchórze czy fircyki — a do tej zalety najgłówniejszej przystępowała znakomicie zbudowana akcya, dyalog żywy, humor prawdziwy; więc nie dziw, że nazwano ją „jedyną i pierwszą na scenie polskiej dotąd przedstawioną komedyą".

Przy teatrze jednak Korzeniowski nie wytrwał; i dyrekcya i krytyka, nie łaskawe na autora z dalekiej prowincyi, i coraz jaśniejsze przekonanie, że belletrystyka przyszłości w powieści utonie, sprowadzały autora do powieści i romansów, szczególniej w ostatniem dziesięcioleciu jego pracy literackiej. Sukcesów trwałych owych trzech sztuk już nie odnosił, ale powodzenie chwilowe nieraz jeszcze świetnie dopisywało, czy to sceny z życia rzemieślniczego odtwarzał, czy na farse i wodewile się zdobywał (chociaż lekkiego dowcipu nie posiadał wcale), czy wreszcie, postępując za nałogiem czasu, w roku 1852, jednostronnej idealizacyi karmazynowej przeszłości („Wąsy i peruka", gdzie tylko kilka scen, np. z Corticellim, dobrych) się dopuścił; poruszał on i hasła postępowe, nowoczesne, ale z o wiele większym sukcesem czynił to w romansach.

W dramacie społecznym próbowali sił i inni; nikt jednak nie dorównał Korzeniowskiemu, ani Syrokomla w tendencyjnych „Politykach wiejskich"; ani hrabia Kossakowski; ani Karol Drzewiecki, Krzemieńczanin, w dramatach i komedyach z życia szlacheckiego („Kontrakty", wołyńskie, i inne, wcale nie wytworne, raczej naiwne nieco, ale prawdziwe — wydane jednak dopiero po śmierci autora przez Kraszewskiego, który i pamiętniki ojca, szefa, wydał); ani Jan Chęciński, mimo gromkich aplauzów, które tyrady jego „Szlachectwa duszy" w roku 1859 osiągły. Rywalizowało ono niebezpiecznie z również wierszowaną komedyą Korzeniowskiego, „Majątek albo imię", gdzie panna Aniela, wahająca się między jednem a drugiem, wybiera za pociągiem serca, nie bogacza ani arystokratę, lecz ubogiego artystę — jedno z lepszych dzieł Korzeniowskiego dla kilku sytuacyi i charakterów, jak i dla dowcipnego słowa.

Chęciński, aktor, piszący i dla sceny i pieśni i gawędy, wybrał temat nieco spokrewniony, chociaż o wiele głębiej sięgał, broniąc przeciw uroszczeniom rodu czy pieniędzy zasług osobistych z nadzwyczajną wymową; pisał potem wiele, lecz aplauzów galerye już

nie biły, i zemścił się za to autor na recenzentach w komedyi „Krytycy".

W teatrze krakowskim miał wielkie powodzenie Władysław Ludwik Anczyc ze sztuczkami ludowemi, bezpretensyonalnemi, jak „Łobzowianie", „Flisacy" i inne; i z dwiema tendencyjnemi; dzieli je przeciąg niemal lat trzydziestu. Na zniesienie pańszczyzny w Galicyi napisał „Chłopów - arystokratów" (1849), przedrzeźniając fumy pańskie i bezradność wiekową, w nagle uwolnionych i uwłaszczonych się objawiającą, obchodzących się bez dworu, jego rady i pomocy; śpiewki tej krotochwili stały się bardzo popularne. Już nie krotochwilę, lecz dramat osnuł na zjawisku niepokojącem, na „Emigracyi chłopskiej" (1876), wykazując jej matactwa i sprężyny; i Anczyc jednak głębiej nie sięgał; ludowość jego była powierzchowna.

Górował więc Korzeniowski w komedyi i dramacie obyczajowym — naśladowano nawet jego rzeczy słabsze, np. „Wąsy i perukę"—zato w dramacie historycznym ustępował innym. Dramat taki kusił coraz bardziej; próbowali go klasycy i przynajmniej na „Barbarę" się zdobyli — romantyków w kraju i na nią właściwie nie stało. Mickiewicz sam swe dramaty czy pierwsze ich rzuty palił; Odyńcowi czynili to inni, lecz los, który „Felicytę" roku 1849 spotkał, należał się „Izorze", z misteryów zamków średniowiecznych, angielskich, nie polskich, wyjętej. „Felicyta" z czasów prześladowań chrześcijaństwa uczyła zbyt wyraźnie pokory i rezygnacyi i musiała studentów dorpackich podrażnić; na moralne autodafe naraził się Odyniec z innymi Wileńczykami roku 1859. Nie powiodło się mu wtedy nietylko proroctwo o blizkiem nadejściu królestwa Bożego, ale i wielkie poema dramatyczne w sześciu aktach z prologiem i obszernymi dopiskami, „Barbara Radziwiłłówna czyli początek panowania Zygmunta Augusta"; bohaterkę wyidealizował, podsuwając jej to o czem tylko Jadwiga marzyć zdolna była; anarchię religijną i polityczną wyszydził; z chronologią obchodził się byle jak; zato wprowadził osób mnóstwo — niby w powieści dyalogowanej, i dramatu nie stworzył.

Jeszcze raz pokusił się o dramat historyczny, napisał w dwu częściach „Jerzego Lubomirskiego czyli wojnę domową w Polsce". Potem dopiero, już jako sędziwy starzec, przysłużył się rzeczywiście literaturze polskiej swymi „Listami z podróży" i „Wspomnieniami z przeszłości": satellita Mickiewicza prowadził dziennik podróży po

Niemczech (Wejmar) i Włoszech i z niego, sztukując pamięcią, nieraz zawodną, urobił owe listy, w których wynurza się tak jasno i znacząco szlachetna postać wieszcza: zbliżył go nam Odyniec i jeszcze więcej nauczył nas go cenić. Poza tem i jako tłumacz Anglików i Niemców, literaturze się przysłużył.

Od długiego zawodu literackiego Odyńca odbija krótkie, meteorem wschodzące, Dominika Magnuszewskiego, Warszawianina, wystawiającego przed rokiem 1831 komedyjki w Teatrze Rozmaitości, potem osiadającego w Galicyi i stawianego na czele czerwonoruskich poetów. Liryki jego tchnęły romantycznością konwencyonalną — w dramatach naśladował Wiktora Hugo, „Hernaniego“ zaczął sam tłumaczyć. Spuścizna jego nie bogata; najbardziej znano go z „Niewiasty polskiej w trzech wiekach“ (1843); składają się na nią dwie powieści i jeden dramat. W „Krwawym Chrzcie“, pierwotna kobieta polska, zmysłom i chuciom oddana, gwałtowna i namiętna, występuje w znanej bajeczce o niewierności żeńskiej za epizodu kijowskiego. Druga część, dramat „Barbara Radziwiłłówna, jeszcze Gasztołdowa żona“ przedstawia po kobiecie - płci kobietę - duszę, pobożną, czułą, lękliwą Barbarę, którą Bona chciała syna tylko zająć, aby sama tem swobodniej panowała, ani przypuszczając, że silna namiętność pochłonie króla, ratując się potem trucizną; poeta lubuje się w kontrastach najjaskrawszych, sadzi się na efekty, nietylko w akcyi, ale i w samym języku. W trzeciej powiastce, „Posiedzenie Baciarellego, malarza“, pokazuje autor kobietę wyemancypowaną, zagarniającą w swe ręce i króla i kraj; walkę dwu kobiet, Grabowskiej i Lulli, o wpływy nad Stanisławem Augustem wystawił zręcznie a żywo.

Pisywał on i inne dramaty historyczne, „Radziejowskiego“, „Władysława Białego“, „Rozbójnika salonowego“ — bo i ten chyba w XVIII wieku się odgrywa; i tu nie skąpił poeta najdrastyczniejszych efektów, tylko psychologia wszystkich głównych postaci, ambitnego Augusta, który mści się odkosza w sposób najbrutalniejszy, lokajski, Anieli, ofiary niewinnej, Brunona, to wisusa, to wodza stronnictwa patryotycznego, chroma najokropniej. Mniej zwykły pomysł przeprowadził poeta w „Dramacie w naturze“ (r. 1844, już w następnym umarł): w trzech obrazach, z poranku, południa i wieczoru, występują rośliny, motyle, ptaki, żywioły i prawią ogólniki i tkliwości, symbole i podania, ale Magnuszewski nie był dosyć poetą, aby podobny temat z wdziękiem wydać, dla którego roz-

wichrzonej romantyczności, susów dziwacznych w przenośniach, porównaniach i w wyrazach samych, gwałtownych czynów i słów nie starczyło.

W dramacie historycznym próbowali sił swych najrozmaitsi, i Antoniewicz („Anna z Oświęcima“, na tle znanej legendy z miłości kazirodczej) i Drzewiecki (z obrazem szerokim ludzi i czasów, nie bez zalet, w „Wiśniowieckim“) i Szajnocha (w „Jerzym Lubomirskim“) i Przeździecki i Łętowski i Syrokomla i wielu innych, Wężyk, Kraszewski, Szymanowski i t. d.; najpoważniejsze próby wyszły z pod pióra wytrawnego filologa, zaprawiającego świeżo na przekładzie „Elektry“ własne pióro. **Antoni Małecki,** przeniósłszy się z Poznańskiego do Galicyi, profesor krakowski, później lwowski, napisał „List Żelazny“, tragedyę, i „Grochowy wieniec czyli Mazury w Krakowskiem“, komedyę, niemal równocześnie (1855), jedna z czasów Kazimierzowskich, druga z Pamiętników Paska i jego niefortunnej żeniaczki wykrojona, komedya historyczna, jak „Wąsy i Peruka“, jak sztuki Kraszewskiego i Bełcikowskiego. Odznaczały się staranną dykcyą, dobrze obmyślane, lecz nerw ich dramatyczny słaby, chociaż konflikt „Listu Żelaznego“, nadzwyczaj efektowny, wdzięczny dla deklamacyi patetycznych, niby na Dymitra Szylerowego zakrawa: Ciechanowiecki, krajczy, wojewoda potem, w przeddzień ślubu dowiaduje się, że nie jest szlachcicem, że jest wymienionym synem wieśniaczki, że więc traci prawa ludzkie i w nicość się obraca; dla miłości Heleny i ambicyi własnej nie waha się więc wydać matki na śmierć; ponurą tragedyę kończy piorun, jak w „Balladynie“. Od wiersza rozwlekłego odbija „Grochowy Wieniec“, w prozie, swobodniejszy; podobał się bardzo i na scenie się słusznie utrzymał.

Od starannego wykończenia tych dramatów, od języka ich, archaizującego szczęśliwie, od wiernego ich oddania ducha czasu i szczegółów odskakują fatalniej i owe wymienione wyżej dramaty pseudohistoryczne i liczne, najczęściej po rękopisach tylko ocalałe próby rozmaitych niezdar, udramatyzowania również historycznych, ale najświeższych wypadków, rzucane na papier byle jak, namiętnie pisane, anonimowe, przypisywane to Słowackiemu (!), to Siemieńskiemu, np. „Dwa akty“ (Szymon Konarski, poema dramatyczne, obraz I, śmierć ks. Trynkowskiego, 1845); inne nie drukowane, na „Widoki i sceny“ (w Petersburgu, Rzymie i t. d.) podzielone: są

podłe rymy, dobre chęci, niema sztuki — podobne ciągną się aż do naszych dni (Szymon Konarski, 1883, i inne).

I drama fantastyczne nie ugorowało; poezya mesyanistyczna emigracyi wywoływała oddźwięk w kraju; najsilniejszy w „Jordanie“ **Antoniego Sowy** (Edwarda Żeligowskiego), w Wilnie r. 1846 dwukrotnie wydanym. Na fakturę oddziałały i „Nieboska“ i „Kordyan“ i Byron: i tu są sceny życiowe, ironiczne i sarkastyczne; w „Salonie Marszałka Ćwika“, w „Obywatelskiem posiedzeniu“, w „Deklamatorze“ piorunuje młody, gorący autor na cynizm, gnuśność, najobrzydliwszy materyalizm spółczesnych wyzyskiwaczów cudzej pracy, cudzych darmochów i danin, truchlejących na samą myśl uwłaszczenia włościan — bo, gdy chłop, własnością być tylko przestanie, cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało? Oni rozpajają chłopa, bo inaczej na wódkę nie będzie odbytu; wszyscy ci Nowofraccy, Nowoherbscy, Zbutwieńscy, pracują wszechstronnie, „bogom ambrozyą gotują w browarach, a smołę dyabłom pędzą z swego lasu“; wszyscy prawi ludzie, bo są przeciw chłopom, a za browarami, choć niestety „dziś z prawością nieraz kryć się trzeba“. Między nimi wyróżnia się Prot, poeta, w którym iskierek uczucia owa ambrozya i smoła nie zalały do szczętu; budzi się z tego letargu zgniłego do czynu, na kraju i braci usługę, łączy się z pracującą w Pieczarach młodzieżą. Właściwy bohater, idealista Jordan, nie wprzęga się do roboty spiskowej; wymaga samo udoskonalenia, uduchowienia każdego pracownika, jeżeli czyn nie ma pozostać marnym gliny zlepkiem; owocować może tylko czyn z ducha. Są tu więc tylko akcesorya byroniczne — byronizm sam zupełnie przekroczony. Wprawdzie przygnębia zawód miłośny duszę młodzieńca; na chwilę zwątpiały pokusom szatańskim, gorzkiemu sceptycyzmowi, ucha użycza, marneż mu wszelkie usiłowania ku dobremu; lecz bez trudu zwyciężają w Jordanie duchy dobre, i z nowym zapałem i wiarą kroczy on po jedynej do zbawienia ludzkości drodze, po drodze Chrystusowej poświęcenia i pokory, z wolnej woli, działającej cuda — całkiem po szlakach myśli Krasińskiego kończy wyolbrzymieniem człowieka, gdy władze ducha w gromy wolnej woli sprzęga, płynącej ku niebu:

gdy pierś taką zagrzmi wolą,
gdy się chęci tak zespolą,
ja chcę — powiesz ty do siebie,
a Bóg: stań się, powie w niebie,

lecz ma boskiem być twe chcenie,
kiedy pragniesz doznać cudu!

Tak przygotowany miał Jordan przystąpić do czynu; czyn ten w owych czasach musiał się objawiać w przeobrażaniu opłakanych stosunków wiejskich. Drugiej tej części Żeligowski nie wydał; Zorski - Jordan występował tu całkiem, jako ludoman, uczył o znaczeniu ludu:

bo wy nie wiecie, że ludu potęga,
jak alfabetu rozprzężone dźwięki,
z których się wieku wielkie słowo sprzęga;

wedle niego, ten tylko wejdzie do kościoła przyszłości,

kto myśl ludu wypiastuje
na wzór króla-chłopa Piasta,
kto się duchem z ludem stopi...
zedrze z życia kir grobowy
i rozpocznie żywot nowy,
życie swoje walką zrobi
swoich, bratnich ułomności.

Idealizmu Żeligowskiego nie przełamały najcięższe doświaczenia życiowe; i w Orenburgu czy Petersburgu sławił Mickiewicza nie dla pieśni czaru, lecz dla życia wzoru, życia - szczebla w narodu historyi i otrzymał, o co błagał: chcę Tobie (Bogu) tylko i sobie być wierny. Poezyę Jordana i Zorskiego rozmienił potem na prozę powieści „Dziś i wczoraj“ (1858); potępiał tu bezowocne marzycielstwo, próżne uniesienia przeciw twardej rzeczywistości, mesyanizm sam nawet czyli uważanie siebie za naród wybrany, zato wydobywał prawo moralnej grawitacyi, poczucie i pokochanie *obowiązku,* ożywiającego tych, których rani, bóstwa dusz silnych, zbawcy dusz słabych, gwiazdy polarnej duszy ludzkiej: ktokolwiek cię wyznaje, bogactwo staje się temu zobowiązaniem, ubóstwo nauką, władza trudem, wolność wędzidłem — cała późniejsza poezya i prasa postępowa warszawska wymowniejszego hymnu dla pracy i obowiązku nie wyśpiewały. W myśl tych zasad pracuje bohater powieści nad sobą, nie upada w zawodach, materyalnych i miłośnych, i, gdy się nakoniec dobił znaczenia i majątku, w ostatnim rozdziale, z boleśną ironią „Bajkami“ zatytułowanym, kreśli autor jego pracę około podniesienia ludu, literatury, sił fachowych a prak-

tycznych — jego „pracę organiczną“, „niech każdy niesie swoje ziarno i głos, czy to jako mrówka lub pszczoła, czy jako gęś Kapitolu — kto kocha kraj swój całą myślą i sercem, staje się, jakby jego duchowym królem“. Zaznacza przytem autor wyraźnie sympatye słowiańskie. Poetą nie był, język ma twardy, nie wolny od obcych naleciałości, szczególniej w późniejszych dziełach pomysły nie poetyckie, nieraz sztuczne, ale wymowny idealista i gorący zwolennik ludu zwraca się pierwszy na nowe tory.

Nierównie większe tryumfy, niż dramat, święciła powieść; właściwą zasługą tej epoki stanowią dzieła, jej poświęcone, Kraszewskiego i Korzeniowskiego, Rzewuskiego i Kaczkowskiego. Dopiero pod koniec tej epoki, po roku 1860, stanął niezaprzeczenie na czele całej literatury, w kraju i za granicą, **Józef Ignacy Kraszewski.** I on, jak Korzeniowski, długo i usilnie na różnych polach się trudził, nim się uznania dobił; w wieloletniej pracy literackiej, czuły na prądy i tendencye wieku, do nich się przystosowywał i z niemi barwę zmieniał nieraz, co mu ujmy bynajmniej nie przynosi, skoroż w najlepszej wierze to czynił: dążył zawsze ku postępowi, że po różnych torach, cóż z tego? Zawodził często oczekiwania, to młodych postępowców, to zacietrzewiałych wstecznikow, ultramontanów i liberałów, arystokratów i demagogów, czerwonych i białych na przemian: gdy się zdawało, że partya czy tendencya usidliły go na zawsze, on właśnie do nowego, swobodnego wzlotu się zrywał.

Sarkano więc na jego odstępstwa we wszystkich obozach po kolei, tylko on się do żadnego nie poczuwał; płynął przecież zawsze z prądem i czasem, cóż to za wina, że, gdy jedni na jakim cyplu utkwili, jego prąd rychło dalej odnosił?! Czas i doświadczenie leczyły go z uprzedzeń czy iluzyi, godziły z przeciwieństwami; że zaś każda faza myślowa odbijała się u niego natychmiast w dziełach i szkicach, można go było z łatwością z własnych dzieł pomawiać o wszelkie skrajności; o domatorstwo, o apoteozę niemal pańszczyzny i wszelkiej patryarchalności, o krucyatę w imię wiary, o wycieczki przeciw zgniłemu Zachodowi — a takiem samem prawem można z jego dzieł wykroić apoteozę spisków, przewrotu radykalnego, zerwania z rutyną, wyrzeczenia się przesądów kastowych i wyznaniowych. Każde stronnictwo hasłami i dziełami Kraszewskiego wojować może; on do żadnego nie należy.

Obok tej proteuszowej natury, u naszych pisarzów wcale nie częstej, chociaż leży ona w naszej przyrodzonej bierności, poddającej się łatwo wszelkim wpływom i właśnie dlatego nie pewnej, nie obliczalnej, cechowała Kraszewskiego nadzwyczajna, fenomenalna, ruchliwość umysłowa. Umysł ten oddziaływał na byle jaki impuls; zdawał sobie sprawę, obserwował, porównywał, wnioskował, może zbyt pośpiesznie, porywczo; narażał się ciągle na omyłki, poprawki, bo światła czy idei, jaką zdobył, czy mniemał, że zdobył, nie chował pod korcem, natychmiast stawiał na świeczniku; nadzwyczajna łatwość wysłowienia, pióro wcześnie wyrobione, fantazya twórcza nadzwyczaj bogata, chociaż wcale nie głęboka, zamiłowanie do pracy nieprzeparte, nałóg pisania, olbrzymia masa spostrzeżeń, uwag, faktów, które wyładowywać musiał, złożyły się w ciągu niemal sześćdziesięcioletniej pracy na sporą bibliotekę, którą pióro jednego, rychło schorzałego człowieka stworzyło; rozmiarami, płodnością tej pracy nie dorównał żaden pisarz nietylko polski, ale i słowiański, Kraszewskiemu, tytanowi pracy umysłowej; trzebaby sięgać w dalekie kraje i czasy, żeby coś podobnego odnaleźć.

Wołyniak, urodzony w Warszawie, a w Wilnie studya kończący, czas jakiś koniecznie za Litwina chciał uchodzić, i dziś jeszcze można u naiwnych partykularystów litewskich z dzikim przesądem się spotkać, jakoby Polacy Litwinom Kraszewskiego (i Mickiewicza) zabrali czy zawdzięczali! Szlachcic, debiutował w literaturze opowiadaniami z burżuazyi i małomiasteczkowemi; nawet gdy w początkach swych do powieści historycznej sięgał, tumulty miejskie, wyznaniowe go pociągały. Domowe wpływy zacisznego, staroszlacheckiego, patryarchalnego, głęboko religijnego trybu i wychowania zacierało Wilno ludne i gwarne, wolnomyślne, egzaltowane; przewrót przyśpieszała lektura, poddawał się młodzieniec realizmowi Stendhala i Balzaka, gwałtowności Wiktora Hugo, fantastyce Hoffmanna, sentymentalizmowi Jean Paula, swywoli Paul de Koka.

Przymusowy dłuższy pobyt w Wilnie w roku 1831 wtrącił mu pióro do ręki, nie mogącej się na razie jąć niczego innego, i posypały się obrazy i szkice Donżuaneryi wileńskiej, knajpiarstwa, orgii małomiasteczkowych w „Panu Walerym“ (z roku 1830, pierwszej ogłoszonej powieści, gdzie w przedmowie i z klasyków i z romantyków szydził); w „Wielkim świecie małego miasteczka“, w „Panu Karolu“ i t. d., w „Kościele Świętomichalskim w Wilnie“ (kłótnie

wyznaniowe roku 1640) i t. d. Już wtedy pociągały go silnie historya, archeologia, bibliografia nawet; zajmowały pomniki dawnego piśmiennictwa; ze studyów tych urosły później cztery tomy „Historyi Wilna“, sprawozdania z historyi litewskiej Narbuta, dwa tomy „Litwy“, o ludzie i dziejach jego.

Nakoniec wyjechał na wieś i przez lat kilkanaście jej nie opuszczał; tu się ożenił i gospodarował, chociaż gospodarka nie zbyt się wiodła, ani w Gródku, ani w Hubinie; czego pługiem nie wyorał, Pegaz niebawem dostarczać zaczął. Pierwsze wrażenia pobytu wiejskiego, otoczenia szlacheckiego, ludzi, żyjących brzuchem tylko, żyłkę satyryczną podniecały; obrazki wiejskie były jeszcze jaskrawsze, niż owe miejskie, „Cztery wesela“, „Improwizacye dla moich przyjaciół“ i t. d. wystawiały w całej nagości brak serca i głowy u świeckich i duchownych, karykaturowały te sumienia i mózgi.

Młody pisarz pozował na satyryka, nietylko w tych powieściach, ale i w licznych artykułach, umieszczanych w „Tygodniku Petersburskim“, które go z Przecławskim zbliżyły, a w końcu do Pentarchii wciągnęły. Artykuły owe literackie i społeczne odznaczały się młodzieńczą ciętością, autor rąbał wszystko niemiłosiernie; w jednym, z roku 1837, „Jak się robią książki nowe ze starych książek, rzecz o kradzieży literackiej“, odmawiał literaturze oryginalności, posądzał ją w czambuł o plagiat; w drugim, „Asmodeusz“, potępiał postęp i jego mniemane zdobycze ku największemu zadowoleniu redaktora.

Nie tej satyrze i ironii jednak zawdzięczał Kraszewski pierwszy istotny sukces; powieścią „Poeta i świat“, hołdującą romantycznym przekonaniom o wzniosłej roli sztuki i losie wieszcza, twardym a niewdzięcznym, zawojował serca (1839). Temat ten sam miał Kraszewski nieraz jeszcze i głębiej i lepiej przedstawić, lecz większego wrażenia już nie wywołał, gdyż właśnie wtedy Gustaw jego, w pogoni za ideałem nie znajdujący w świecie — głównie naturalnie w miłości — zaspokojenia, był na czasie, rozdźwięk między marzeniem a rzeczywistością był aktualny; wyższy od swego otoczenia, niezrozumiany, osamotniony, zamknięty w sobie, topi zawody i smutek w trunkach; co autor sam odczuł i przebolał, wyraził w Gustawie i porwał głębokim liryzmem, wymownem słowem, głęboką ironią spółczujących.

Już wtedy, roku 1840, zastanawiał rozmach jego pióra. Obok

coraz nowych powieści roiło się od jego szkiców („Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne“; „Studya literackie“), pisanych żywo i barwnie, i coraz częstszych wycieczek na pole historyi, dramatu historycznego i powieści historycznej; nawet w wielkiej epopei składał świadectwo głębokiego wrażenia, jakie pseudohistorya litewska i mistyczne uszanowanie podań niby narodowych, samej treści i jądra narodowości, na nim zrobiły. Jego „Anafielas“ (bajeczna góra odrodzenia czy zmartwychwstania) składał się z trzech poematów, z „Witoloraudy“ („płaczu“ po Witolu), „Mindowsa“ i „Witoldowych bojów“; i autor i spółcześni przecenili strasznie tę mozolnie wysmażoną epikę; znaleźli się nawet gorliwi tłumacze, przynajmniej dla „raudy“, na litewskie i niemieckie, chociaż dopiero po latach — Kraszewski sam nie ochłódł w przywiązaniu do tego płodu poronionego, o którym sobie tuszył, jak Syrokomla o „Margierze“. Nas i „rauda“, nie mówiąc o tamtych, pozostawia tym obojętniejszymi, że sam materyał, z którego ulepiono miłostki Mildy i jej syna Witola i prześladowania od bóstw, jakie cierpią, i narodziny Lizdejki, jest całkiem fantastyczny, nie podaniowy, nie ludowy, lecz dowolnie od mitołgów za obcymi, greckimi i fińskimi, wzorami sklecony; mylił się Kraszewski, gdy apokryficzną mitologią do głębi ducha i dziejów litewskich docierać myślał. Oprócz tych studyów historycznych badał dawne pomniki literackie i obyczajowe, ogłaszał je, owych Albertusów i t. d., w zbiorkach, w „Ateneum“, które wydawał i nieraz sam zapełniał, trafiał z niemi nawet do lesznieńskiego „Przyjaciela ludu“. Przedewszystkiem zaś tworzył powieści, dramatu na razie mało tykając.

Pobyt wiejski podziałał; autor umiarkował się sam na łonie życia patryarchalnego, ochłódł znacznie w satyrycznym i ironicznym zapale, zato zbliżył się do przyrody i ludu. Poddał się cichemu urokowi pól posrebrzanych i wyzłacanych, ciemnych borów sosnowych z ich tęsknym szumem, gładkich i jasnych szyb jeziornych; szczególniej uderzyło mu tkliwe serce ku zgnębionemu ludowi. Nie zanikł odrazu pierwiatek satyryczny, jeszcze w „Latarni Czarnoksięskiej“ (1843 i 1844) rozwinął on olbrzymi obraz ludzi i stanów, ze wszystkich dzielnic, chociaż tylko to znakomicie skreślił, na co sam patrzył, na kontrakty kijowskie, zabawy i polowania wołyńskie i t. d. I on teraz hołdował ludowości, i do największych zasług jego literackich liczymy jego powieści ludowe, między rokiem 1840 a 1850 napisane, od „Historyi Sawki“ (1841, wcielonej

do „Latarni Czarnoksięskiej“), przez „Ulanę“, „Ostapa Bondarczuka“, „Budnika“, „Jarynę“ aż do „Chaty za wsią“, nieco późniejszej (1853), która z czasem Paderewskiemu wątku do libretta dostarczyć miała.

Wszystkie te powieści wykonane nader starannie, szczegółowo, z obszernymi opisami przyrody, odczutej znakomicie; nie biją one wprost na poddaństwo i pańszczyznę — byłyż to czasy, kiedy „Chaty wuja Toma“ tłumaczyć nie było wolno, bo paralela nastręczała się sama — ale ubocznie; przedstawiają, od jakich kaprysów zależy dola i niedola włościan — Ulanę, dziką różyczkę panicz zerwał, niby po drodze dla zabawki, rzucił, gdy się sprzykrzyła, że cała rodzina poszła na marne, nikogo o to głowa nie zabolała; ciężki los budnika, ni chłopa, ni wolnego, zawisłego od byle grymasu pańskiego; los utalentowanego syna chłopskiego, wyniesionego nauką nad sferę rodzimą, nad którym jednak klątwa pochodzenia z tej sfery ciąży i t. d.; w „Chacie“ ujął się nawet za paryasami wsi, za cyganami, za nieszczęsną, co pokochała cygana, za nim poszła, na wzgardę i pośmiewisko całej wsi.

Obok ludowości spłacał teraz Kraszewski dań i filozoficzności wieku; zapoznawał się z systematami, opierał się Hegelowi i Trentowskiemu, zapuszczał się w dociekania, dawniej sobie obce; spoważniał jeszcze bardziej; jak karty ludowych powieści napełniał rzewny smutek, tak nabrzmiewają nim i karty w „Pod włoskiem niebem“, w „Pamiętnikach nieznajomego“, w „Sfinksie“; temat w nich niby ten sam, co w powieści „Poeta i świat“, ale pogłębiony i rozszerzony; własne doświadczenia i przejścia malują się w nich wyraźnie. Idealiście i entuzyaście opadają skrzydła w zetknięciu ze światem, czekają go same rozczarowania w pogoni za szczęściem osobistem; rozumowaniem dochodzi do wniosku, że dla uzyskania trwałego szczęścia należy nie zaskorupiać się egoistycznie, lecz poświęcać dla dobra ogółu. Z kart wieje tęsknota, ból ukryty; wiele uwag pięknych; całość zharmonizowana tak dalece, że realistyczne postaci utrzymał w półmroku, na uboczu.

Najbardziej typowym jest „Sfinks“, historya malarza, kończącego, całkiem jak malarz Gogola, w klasztorze, rzucającego się w objęcia sztuki chrześcijańskiej, nazareńskiej (Overbecka i szkoły jego), w religijnej twórczości odnajdującego jedyny żywy zdrój natchnienia i namaszczenia zarazem. Kraszewski, sam niezgorszy rysownik i muzyk, wiele nad sztuką rozmyślał; od romantyczności przejął się

podziwianiem roli artysty, tytana, posiadającego prawdziwy sens życia, przeciw prozie światowej i tym z artystów, którzy jej dogadzając i hołdując do znaczenia i dostatków przychodzą, gdy tamci po ciernistej drodze kroczyć muszą; właśnie w „Sfinksie“ (symbolu artysty, którego skrzydła z pęt natury zwierzęcej nie uniosą) wystawił jaskrawo kontrast owych rzemieślników sztuki, a prawdziwego artysty, przeczulonego, słabego, cierpiącego głęboko, męczennika swej sztuki, swego talentu, uciekającego w końcu do zacisza klasztornego, niby jaki prerafaelita, wcielającego tam swe ideały w kształty i barwy.

Silny nastrój religijny, konserwatyzm coraz bezwzględniejszy odznaczał na przełomie owej epoki, około roku 1850, autora. Chociaż, nie dla zasad, lecz dla sprzeczek osobistych, z koteryą „Tygodnika“ się w końcu nie zsolidaryzował, z Rzewuskim wojował i nawet księdza Chołoniewskiego do sukursu wzywał, nie oparł się Kraszewski prądom reakcyjnym i nawet na własną rękę przeciw postępowcom kijowskim wyruszał; zwrot ten zaznaczał się np. w „Dziwadłach“ (1849); autor porzucał własne demokratyczne poglądy, znajdował, że wieśniacy niedowarzeni, czytający byle co, psują się; że źli panowie dawniej byli wyjątkami. I zwrócił się, zdawało, stanowczo, kn uwielbianiu przeszłości z jej niezachwianą wiarą, z jej prostotą obyczajów, z patryarchalnym stosunkiem między panem a włością; odkrywał coraz nowe cnoty słowiańskie, żachał się przed zmateryalizowanym, zżydziałym Zachodem. Wszelkie odstępstwo od toru przodków wydawało się teraz grzechem, więc bił na panów i półpanków, co małpowali cudzoziemszczyznę i wnosili zarodki zgnilizny, a choćby tylko niepokoju w błogi zastój domowy; w tem prześladowaniu obcego zepsucia i skrzywionej przez to natury dochodził do gryzącej satyry, jak w „Komedyantach“, gdzie hrabiowie Denderowie godni stanąć obok owych „Żydów“ Korzeniowskiego; już teraz formułował on poglądy w „Dwuch Światach“, które później tak świetnie w „Morituri“ rozwinął, o wyczerpaniu się i niechybnej zagładzie tej kasty. Tem bardziej idealizował szlachtę mniejszą; wprawdzie i u niej nie wszystko pochwalał, wystawił np. przesąd kastowy, zabraniający imania się łokcia i kwarty w „Ostatnim z Siekierzyńskich“, przeciwstawiał jej zacnego i mądrego mieszczanina w „Złotem jabłku“, nie ukrywał jej zepsucia i sobkostwa w „Interesach familijnych“, słabości woli i niezaradno-

ści w Szarskim z „Powieści bez tytułu“, nowej inkarnacyi Gustawów i Janów z „Poety“ i „Sfinksa“.

Mimo tych zastrzeżeń wystawiał tę szlachtę, jako nadzieję i siłę narodu, już dlatego, że przechowała wiarę, a wiara ta robi cuda; więc wylicza te cuda w „Kordeckim“, więc piętnuje odstępców od ufnej wiary przodków w „Dyable“ — piorunując na rozpasanie obyczajów za Stanisława Augusta, na reformy sejmu wielkiego, jako naleciałości cudzoziemskie — więc ona mu wywołuje przewrót cudowny w człowieku i stwarza mu świętych. Idealizował nawet poddaństwo; w sielankach wierszem i prozą, w „Wiosce“ i „Jermole“ kreślił patryarchalność słowiańską; odnalazł w niej „mir“ wielkoruski razem z Aksakowem, gdyż siedzą swobodni kmiecie na ziemi, niedzielonej zagonem ni miedzą, gdzie gromad *wspólnem* jeszcze mieniem bogi rządzą kapłanów i starców skinieniem; kreślił wtargnięcie obcych czynników i rozluźnienie zatem pierwotnej karności; w „Ładowej pieczarze“ cały ustrój dawny tak samo anielskim wystawiał, jak ówcześni „republikanci“, Lelewel, Szmitt, Wróblewski, konstytucyę staropolską, veto i elekcyę, pojmowali, i przeczył, aby dał się wymyślić lepszy ustrój, niż ów słowiański; w „Bożej Czeladce“ i w „Staropolskiej miłości“ wyidealizował nawet gracyalistów i rezydentów; tylko na wyidealizowanie ekonomów i bizuna tchu mu nie starczyło.

I coraz jawniej występował autor z morałami, z tendencyą, dostrajając się do ówczesnego, reakcyjnego ładu z Polem, Kaczkowskim, Chodźką i Rzewuskim; w „Chorobach wieku“ i „Metamorfozach“ ułudną cywilizacyę materyalizmu tendencyjnie oskarżał i wtórował piosence slawofilów, Chomiakowa, Aksakowych i innych tegoż autoramentu, o Europy „starości niedołężnej, co się poi i pobudza, aby żyła potrosze, durzy się i szaleje“, nie pomny, że sama teorya slawofilstwa urosła z najniedołężniejszych bredzeń starej Europy, że slawofilów nawet na oryginalne głupstwa stać nie było, że i w nie się musieli od zgniłego Zachodu zapożyczać.

Rola Kraszewskiego w tym ruchu — jeśli apoteozę bezruchu tak zwać wolno—była tem wybitniejsza, że wymienione właśnie powieści do jego najlepszych należą, że nigdy nie opisywał dokładniej, nie komponował staranniej, nie przemawiał rzewniej i życzliwiej; i dziś te właśnie powieści czytelnika, obcego samej tendencyi, chwytają za serce, wystawiają mu ów dawny świat w dziwnie uroczem świetle, rozmarzają go i unoszą.

Gdy tak Kraszewski szacownej przeszłości, jej cnotom, szczerości, prostocie, braterstwu, węzłom, sprzęgającym rodzinę, pana i włościanina, śpiewał dytyramby, dokonywał się w nim przewrót zupełny, wycofywał się on z ortodoksyi slawofilskiej; przekonywał się naocznie, w pierwszej podróży po Europie, że mniemana zgnilizna prezentuje się przecież wspaniale, właśnie wobec naszego zacofania i niedołęstwa — jeszcze bardziej zaś oddziałał na niego nowy prąd reform, reformy włościańskiej przedewszystkiem. I zapomniał Kraszewski o sławieniu patryarchalnych związków między dworem a gminą i wrócił do demokratycznych zakusów z przeszłego dziesięciolecia i działał na umysły współbraci nawet alegoryą, komedyą, żywem słowem w komisyach. „Historya kołka w płocie“ (1858), bardzo oryginalnie pomyślana, bardzo ładnie wykonana, przedstawiała równolegle rośnięcie wolne dębczaka i Zacharka, chłopka z duszą artystyczną, złamanego poddaństwem, waryata, co z owego dębczaka w końcu wystrugał poczwarę; „Stare dzieje“ ze sceny przemawiały za zniesieniem poddaństwa, za zbrataniem się stanów; w „Jasełkach“ (1860) Juraś rzucał salony i czuł się dopiero wtedy szczęśliwym, gdy siadał z wieśniakiem gwarzyć na mogiłach, słuchać śpiewu w lesie Bożych dzieci — chociaż zarazem karcił ostro komedyę chłopomaństwa, nowej formy dawnych nałogów, dawnego bałagulstwa; w komisyach występował Kraszewski z radykalnemi projektami i rzucił pracę niewdzięczną, gdy na opór niechętny trafiał.

Z komisyi włościańskich przeniósł swą działalność na pole pedagogiczne i umysłowe; jako kurator okręgu żytomierskiego, pośredniczył w wykonywaniu szeroko obmyślanych planów wydawniczych, urządzaniu czytelń i szkółek, lecz, gdy i tu nie wszystko szło po myśli, wycofywał się zrażony i przyjął w końcu chętnie propozycyę Kronenberga, aby w Warszawie „Gazetę Codzienną“ („Polską“) redagował.

Nęciła go Warszawa oddawna nadzwyczajnem rozbudzeniem życia umysłowego i społecznego, ścieraniem się rozmaitych prądów, głuchem wrzeniem podziemnem. Na razie pochłonęła go nowa praca redaktorska, „Gazetę“ postawił on nadzwyczaj wysoko, ilością abonentów przewyższała ona wszystkie inne dzienniki. W niej szerzył Kraszewski te zasady właśnie, przeciw którym niedawno jeszcze występował, o znaczeniu przemysłu dla dobrobytu, oświaty, równouprawnienia stanów i wyznań, niezawisłości wiedzy

ideały kontuszowe pogrzebał on na zawsze, prawda, że już r. 1856 przestrzegał on przed ich jednostronnością; wołał o samobójstwie, popełnianem przez literaturę, bo „szaleje, kto dla miłości zmarłego zakopuje się z nim w jednym grobie, chybaby sam chciał umrzeć; inna jest opłakiwać na mogile, inna do niej zstępować“ — nie przeszkadzało mu to zresztą najlepszy swój utwór dramatyczny, „Miód kasztelański“ (1860) właśnie z kontuszowej przeszłości zaczerpnąć.

Jako redaktor, nie stanął on otwarcie po stronie Wielopolskiego; odstręczała go od niego rosnąca z każdym dniem niepopularność margrabiego, u białych, nie przyznających się do niego, u czerwonych, potępiających go namiętnie; porwany wirem skłaniał się coraz bardziej ku skrajnym zapatrywaniom; wydrukował za granicą „Sprawę Polską“ i złożył w końcu redakcyę „Gazety“, musiał nawet opuścić Warszawę (1863) i przesiedlił się do Drezna, ani przeczuwając, że już nie wróci.

Pobyt warszawski w tych latach najgorętszych, dostarczał bystremu obserwatorowi najrozmaitszego materyału; widział on białych, niedołężnych nietylko do czynu, ale nawet do skutecznego oporu; czerwonych, nie zorganizowanych jawnie, tym śmielszych i energiczniejszych, nawiązujących stosunki wszędzie, w kraju i zagranicą, łudzących się doniosłością tych związków i poręczeń; potęgowanie uczucia porywającego i obojętnych, siłę wzruszenia, nie liczącego się z rzeczywistością. Nowy ten materyał opracowywał dopiero w Dreźnie.

W tej dobie twórczości Kraszewskiego romans historyczny, acz do niego ciągle wracał, znacząco nie występował. Najmniej udawały się rzeczy, sięgające zbyt daleko wstecz, w wiek XVI i XVII; ciekawsze było, co zaczerpnął z czasów bliższych, mianowicie Stanisławowskich. Stronę ich obyczajową znał, jak nikt inny, czytał w rękopisach i wydawał pamiętniki ówczesne, spotykał się, od pierwszych lat życia, z żywą tradycyą. Nie rywalizował jednak z Rzewuskim; nie wskrzeszał ani uwielbiał przeszłości kontuszowej; tłem jego malowideł była „orgia“ warszawska, zepsucie i bziki wielkich panów (hetmana Ogińskiego, Poniatowskich, braci królewskich, Branickiego), rozwydrzenie, żądza używania, zanik moralności u wszystkich. Obrazów historycznych nie roztaczał; „Maleparta“, „Dyabeł“ (jedna z najefektowniejszych jego powieści), „Macocha“, „Kawał literata“ i t. d. skreślone na tle obyczajowem, o walki wewnętrzne, reformę i t. d. wcale nie zahaczają; posiłkował się na-

wet całkiem fantastycznymi wymysłami (aryańskie podziemia z ich ofiarami!).

Wystawił więc wiek przełomowy nieco jednostronnie, zbyt czarno go odmalował, na karb moralnego zepsucia zbyt pośpiesznie wszystką winę zrzucał; za to charakteryzował świetnie panów i panie, obłudników i rozpustników, palestrę ohydną (nienawidził jej, jak ekonomów w XIX wieku) i labusiów francuskich; nie udawały się postacie dodatnie, proroków, wieszczących upadek, jednostek, żyjących starym trybem po Bożemu, ckliwych i nudnych (szczególniej w wieszczeniach „Staropolskiej miłości“).

Największą zasługą Kraszewskiego było już wtedy nie samo budzenie myśli—kołowałaż i jego myśl nieraz po bezdrożach—lecz zaszczepienie, rozpowszechnienie książki polskiej. Gdy raz w kole Podolaków hrabia Zamojski powieść jego odczytał, nie chciano wierzyć, że mogą być tak ciekawe i dowcipne książki polskie; on to, nadmierną choćby produkcyą, choćby zbyt pośpieszną i przez to w niejednym względzie niedomagającą, wyrobił uznanie dla literatury i, jeśli francuszczyzny nie wyrugował, to, dostarczając niemal rok rocznie kilka tomów powieściowych, tworzył niby repertuar powieściowy, zapełniał najdotkliwszą lukę piśmiennictwa naszego.

Nie należy jednak zapominać i o jego spółpracownikach. Najdzielniejszym okazał się zawołany dramaturg: **Józef Korzeniowski.**

Epiki nie zaniedbywał on nigdy, powieści poetyckie *à la* Byron pisywał jeszcze za młodu, potem i do prozy się przerzucał, ale prócz moralizujących powiastek niczego większego nie tworzył, zajęty dramatem. W dramacie spotykały go zawody i utrapienia, zamiast zachęty; uśmiechała się mu coraz bardziej powieść, gdzie i o powodzenie łatwiej i wzrastające jej rozpanoszenie się zalewem ostatecznym, każdej poezyi, a nawet dramatowi, groziło. I, chociaż ze sceną zupełnie nie zrywał, od sukcesów „Spekulanta“ (1846), a jeszcze bardziej „Kollokacyi“ (1847) coraz częściej w szeregu powieściopisarzów stawał i nawet teoretycznie, przeciw zasadom przestarzałej estetyki, racyi bytu powieści dowodził i bronił. Wątku do pierwszych powieści dostarczało życie szlacheckie, jakie na Podolu i Ukrainie obserwował, potem w Królestwie, w ciągłych podróżach po prowincyi wizytatora szkół, nakoniec życie warszawskie, od sfer bankierskich poprzez urzędnicze, emerytów czy aplikantów, aż do rzemieślniczego.

Obserwował Korzeniowski bystro i trafnie; opowiadał dobrze, choć nieco rozwlekle; nie skąpił miejsca na opisy, rozmowy, myśli; wstrząsających efektów unikał, jak i natur skomplikowanych, nie bawiąc się w głębszą analizę psychiczną; dowcipu miał podostatkiem. Trzeźwość, granicząca niemal z suchością; staranność, czasem aż do drobiazgowości czy pedanteryi nawet posunięta — mściła się bakałarstwa grzech pierworodny — rozsądek wielki i głębokie doświadczenie cechowały jego długie powieści. Nie porywał on nigdy ani olśniewał czytelnika, za to go prawie zawsze przekonał; wycieczki fantastyczne zupełnie mu się nie udawały, za to nie wykolejał się nigdy — jak nieraz u Kraszewskiego — sąd jego o ludziach i rzeczach. W ostateczności nie wpadał; jeśli w dramacie i powieści historyczności hołdował i uprzedzeniu o cnotach dawnego wieku, to i przelotnie to zrobił i na żadne anatema przeciw wiekowi XIX i postępowi się nie zdobył.

W powieści — inaczej, niż w dramacie — uprawiał wyłącznie tematy swojskie; kładł nacisk na wypełnianie obowiązków, liczył zamiary na siły, trzymał się silnie podstaw wiary; wszędzie zachowywał miarę, strzegł się egzaltacyi, entuzyazmów, o które u nas nie trudno. Wiał więc z jego powieści pewien chłód, odczuwano pewne rezonerstwo; ale co dawał, było zdrowe i dobre; nie schlebiał żadnej próżności, ani narodowej, ani artystycznej, tem mniej stanowej. Nie liczył zwolenników między gorętszymi; za „Krewnych“, nie za wykonanie, lecz za tendencye, napadał nań i Siemieński i Klaczko, oskarżając o sprzeniewierzanie się ideałom, o moralność kuchenną bez ofiary, bez natchnienia, i słuszniej, niż Pol, mógł Korzeniowski się żalić: nie to mi dają, co ja z duszy daję, ale zniewagą stare służby płacą.

„Spekulant“ wywodził w bohaterze, Auguście, jednego z „Żydów“ i jego zdemaskowanie. Więcej skomplikowaną, w typy bogatszą, w rysy szczerze komiczne nierównie obfitszą była „Kollokacya“, malująca ambicyę, zawiść, życie nad stan i inne wady szlachty drobniejszej, od małych udziałów do wysokich progów się pnącej; prawdziwym bohaterem powieści była mądra a energiczna Kamilla — takie panny u niego nie rzadkie. Najmniej bawiły „Wędrówki oryginała“ i „Nowe wędrówki oryginała“: tendencya ostatnich, stworzenia typu pana - obywatela, wypełniającego obowiązki wobec społeczeństwa, była bardzo chwalebna, ale Firlej raczej był manekinem, Panem Podstolim naszych czasów,

niż człowiekiem. Z artystami i z naturami artystycznemi rozprawiał się w „Wędrówkach“ (muzyk Klarysz) i w „Garbatym“ (malarze), nawołując do pracy wytrwałej, do skromności, do zachowywania granic w sztuce, niesadzenia się na oddanie tego, czego należycie oddać nie można. „Emeryt“ stał znakomitą figurą tytułową; w „Tadeuszu Bezimiennym“ ujął się — i to mu przynosi zaszczyt, jeśli zważymy, jak pod tym względem zacofane prawodawstwo nawet u najwykształceńszych narodów—losu dzieci nieślubnych; tutaj też o Krzemieńcu rzewnie wspominał z własnych, najszczęśliwszych lat życia.

Najobszerniejsza powieść, „Krewni“, wystawia losy Ignacego i Eugeniusza Zabużskich, synów szlachty dobrej, majątkowo zrujnowanej; jak Siekierzyński handlu, chwyta się Ignacy w końcu rzemiosła, nie chcąc od niczyjej łaski zależeć, lecz czasy się zmieniły, rozumni krewni nie odwodzą go już od pracy, która go na własne nogi postawi; starszy brat, Eugeniusz, wolał się czepiać klamki pańskiej, u bogatych krewnych, aż względy stracił i byłby upadał coraz niżej, gdyby nie zebrał resztek sił moralnych i fizycznych na spełnienie ciężkiej z siebie ofiary; wstąpił do wojska i w rygorze służbowym odzyskał hart woli i tęgość zdrowia i szacunku się dorobił. Nie lubił Korzeniowskł dysonansów, więc w powieści wszystko do szczęśliwego końca doprowadzał. Tendencyi się wcale nie zapierał; uczył chętnie, jakby i w powieści służbę zawodową spełniał; mimo to szablonów i abstrakcyi (prócz np. Firleja w „Nowych wędrówkach“) nie tworzył, wszystkie postaci występowały wypukle, jasno; fabuły nie gmatwał. I językowa strona powieści jego była wzorowa, odbijała od niedbałości, w której się Kraszewski, zresztą wirtuoz języka, nieraz „zabywał“, nie mówiąc o innych, o Litwinach, kaleczących język (nawet u Syrokomli rażą prowincyonalizmy, wolej zamiast raczej i in.), o poetach, w romantycznej dowolności z instrumentu językowego wcale nie harmonijne dobywających tony.

Jeżeli Korzeniowski hamował się i swoją wstrzemięźliwość aż do pozornego chłodu czy obojętności posuwał, nie wykluczało to bynajmniej głębokiego przejmowania się sprawami ogółu, bolesnego odczuwania wszelkich zawodów; świadczą o nich wymownie twory lat ostatnich. Od roku 1830 nie pisał już dla publiczności; nie przeznaczał dla niej smutnych, pesymistycznych „Trenów Przedgrobowych“ ani „Naszej Prawdy“, poświęconej wy-

padkom świeżym; „Wspomnień z własnego życia“, w Dreźnie zaczętych, nie dokończył. W inną strunę, w ton romantyczno - satyryczny, w ton Don Żuana i Beniowskiego, trącał Korzeniowski w oktawach „Fortunata“, poetyzując i ironizując własne przejścia życiowe. Jak Kraszewski, i on się malarstwem i muzyką żywo zajmował, stąd dygresye o nich w jego powieściach, szczególniej ze świata artystycznego; o wiele od niego chłodniejszy, trzeźwiejszy, żadnym ułudom porywać się nie dał, sprzeciwiał się z zasady wszelkim uniesieniom niewczesnym i zapędom; stąd na podejrzenia uwłaczające się narażał, na zarzuty morałów kuchennych, braku ofiarności i poświęcenia; jakoby zabawiał go widok naszych błędów, jakoby posuwał się aż do zaprzaństwa czy odstępstwa — dziś o zarzutach tych niesprawiedliwych zapomniano zupełnie; tem wdzięczniej wspominamy o rzetelnych zasługach dramaturga i powieściopisarza.

Nie zostawił równie pięknej pamieci po sobie inny, na razie przeceniony powieściopisarz, **Henryk** hrabia **Rzewuski:** nie potrzebował on, jak Kraszewski i Korzeniowski, dobijać się długo i mozolnie popularności: pewnego pięknego poranku obudził się on jako znakomitość literacka, i nie odrazu nawet prysnął ten czar, chociaż sam autor, ile go stać na to było, starał się najusilniej, aby ułudną swą znakomitość rozwiać i zaprzepaścić, co mu się w końcu tak powiodło, że gdy pan (na Cudnowie) dopiero umierał, autor (Rzewuski) dawno już był pogrzebany. Błyskawicowe wzniesienie się i powolniejsze, tem gruntowniejsze opadanie zawdzięczał Rzewuski jednej i tej samej tendencyi; pozostał sobie wiernym, czy kiedy „Pamiątki Soplicy“ kreślił, czy kiedy powrót do barbarzyństwa polecał; publiczność wówczas dopiero odwróciła się od niego, gdy niepoprawnego „Targowiczanina“ bez obsłonek ujrzała.

Powodzenie „Pamiątek Imcip. Seweryna Soplicy“ (wydanych roku 1839, niby bez wiedzy autora, a rzeczywiście z poprawą stylu jego) było, jeśli nie zasłużone, to konieczne, naturalne. Wiek XVIII nie zostawił po sobie żadnego barwnego obrazu, choćby takiego, jaki Pasek swojemu wystawił; najmniej mógł brak ten zastąpić pedantyczny Kitowicz. A domagał się ten wiek upoetyzowania, uidealizowania cnót, dzielności, animuszu, rzeczywistych i pozornych; swego ładu i nieładu, ruchu i stroju, prędkiego czynu i powolnej myśli, gorącego serca a niedołężnej głowy. Nie wystarczał „Pan Tadeusz“; w nim bowiem świadczyli o sobie już tylko ostatni

mohikanie tego życia, niedobitki same przeszłości, tak bujnej, że nawet krytyczniejszy Syrokomla się nią unosił:

> Bom widział, że ta przeszłość, choć zmarła, nadgniła,
> Jeszcze przy naszym wieku wyglądała butnie,
> Jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła.

Najbliżsi epigonowie tej przeszłości, wytężający ostatnie zasoby, aby fatalne jej skutki uchylić czy złagodzić, na jej podziwianie zdobywać się nie mogli, ale w następnej generacyi, im podlej było za życia, z tem żywszem czuciem zwracano wzrok tęskny ku tej zamierzchłej krainie; nie przypadek też zrządził, że dopiero z wnuków i prawnuków ludzi z saskich czasów, wszędzie, na Litwie (Chodźko), Wołyniu (Rzewuski), w Galicyi (Pol i Kaczkowski) panegiryści tych czasów urośli.

Na tego panegirystę wykierowały Rzewuskiego i tradycya rodowa (Rzewuscy najdłużej wierzyli w owe arkana, garantujące nieład polski) i otoczenie domowe (ojciec, p. kasztelan witebski, mówca i wierszopis dawnego autoramentu, wróg konstytucyi trzeciego maja) i wychowanie prywatne, jezuickie, wpajające nienawiść przeciw hasłom, wstrząsającym Europą. Na razie Rzewuski o literaturze ani myślał, pędził życie wielkiego pana, poznawał różne typy, ocalałe z pogromu XVIII wieku, wchłaniał w pamięć życiowe anegdoty i rysy obyczajowe i nawykał do tonu gawędziarskiego, staroszlacheckiego, którym zachwycał Mickiewicza w Rzymie, czego dowodem sam „Pan Tadeusz“. Już wtedy nalegano na hrabiego, żeby spisywał, co opowiadał: takie to gawędy złożyły się na „Pamiętniki Soplicy“. Mistyfikacyą zaczął i mistyfikacyą („Pamiętnikami Michałowskiego“) zakończył autor swój zawód; pierwsze jednak nie nosiły jeszcze wyraźnej tendencyi, uchodziły za im naiwniejszy, tym prawdziwszy wyraz całego pokolenia i budziły zachwyt ogólny, bezkrytyczny. Zdawało się, jakby ożyła na nowo przeszłość owa kontuszowa, hałaśliwa, dzielna, patryarchalna, znająca się na sztuce krzyżowej, nie na dyalektyce, gorąca do szabel, jak i do „kochajmy się“, wierząca głęboko a kornie, ceniąca honor i klejnot, z łbami wygolonymi, krzywemi karabelami, pasem sztucznie złożonym. W figurach, przesuwanych zręczną ręką autora, poznawał każdy coś z własnych antenatów; byli tam barszczanie, którym ks. Marek niezrównaną palił filipikę, niby ów pater

obozowy u Szylera; był tam Panie Kochanku, nowy Bakchus, choć nie z Indyi i między tygrysami, zato na beczce Nieświeskiej piwnicy wyjeżdżający, otoczony Albeńczykami, bandą, związaną uczuciami, jakieby całą brać szlachecką ogarniać miały; były zatargi Koroniarzy z Litwinami, Wołodkowicza z sądami, — wszystko z krewkości pochodzące, a jeśli granice przekraczało, karę winną przyjmujące same na się; z dworków szlacheckich, krużganków klasztornych, arkad trybunalskich, komnat nieświeskich wysypywały się roje huczne, buńczuczne; opowiadały swoim dosadnym, malowniczym językiem, z humorem i werwą, przygody własne i obce, częściej śmieszne, niż tragiczne, a zawsze zajmujące, bo tak odmienne od dzisiejszych.

Zachwycona publiczność nie pytała o odwrotną stronę medalu; nie skrupulizowała, czy owa pobożność nie wyczerpywała się nieraz praktykami zewnętrznemi; czy owa dzielność nie wyszafowywała się na burdy i zawadyactwa; czy owa równość i wolność okrzyczana nie kryła zawisłości zupełnej od magnata i jego humorów; czy tężyzna fizyczna i umysłowość nieskomplikowana nie były jednoznaczne ze strasznem zacofaniem, zupełną nieświadomością o świecie i jego biegu; czy owe złote czasy nie były złotemi tylko dla bardzo małej liczby wybranych, a odbijały się tem smutniej na ogóle; tem mniej troszczyła się ona o rozmaite niedokładności i dowolności w opowiadaniu. Głosy krytyczne milczały — tylko dla siebie zapisywała Hofmanowa, że, jeśli dawna Polska taką była, cóż za dziw, że skonała; pamiętniki rozchwytywano (liczne wydania i tłumaczenia) i naśladowano (nawet Słowacki pokusie się nie oparł).

Cześnik parnawski opowiadał niby tak sobie, od serca, ale Rzewuski sam, oszołomiony powodzeniem, wystąpił niebawem, aby kuć żelazo, póki gorące, aby propagować te myśli jawnie i konsekwentnie, którym w zarodku i jego cześnik hołdował. W „Mieszaninach obyczajowych Jarosza Bejły“ (1841 i 1843, które hr. Olizar słuszniej „Pomieszaniem Bejły“ przezwał) prawił on publiczności i krytyce (Zielińskiemu) kazania obozowe bez obwijań i zastrzeżeń — odwagi cywilnej posiadał autor aż nazbyt, przeradzała się ona nieraz w chęć drażnienia, wyzywania nawet najspokojniejszych — niby ks. Marek; mówił o rzeczach najrozmaitszych, wyszydzał inteligencyę miasta prowincyonalnego na wieczorze literackim, pasibrzuchów i samochwałów, mówił o świeżem bałagulstwie

i honorze staropolskim, o literaturze narodowej i „bardach“ polskich, trafnie i dowcipnie (choć nieraz z grubą przesadą, jak właśnie o „bardach“); o roli arystokracyi, podobnie jak Krasiński, tylko do innych docierał wyników: skoro rola jej upadła, upadł i naród sam, i próżno trupa galwanizować i daremny ruch wszelki i należy się poddać biernie wyrokom losu i skupiać się dla utworzenia potęgi moralnej, opinii publicznej, podniesienia prawdziwej oświaty, jedynej, katolickiej, około resztek rodów dawnych — propagując jakiś legitymizm beztreściowy i bezsensowy. „Mieszaniny“ podziałały niby uderzenie obuchem, oszołomiły publiczność, tak, że nawet nie odzywały się zbyt licznie głosy protestu i oburzenia (np. „Artykuł nadesłany“ ks. Chołoniewskiego, niedawnego przyjaciela Rzewuskiego, teraz antagonisty); inni znowu, cała koterya „Tygodnika Petersburskiego“ z Grabowskim na czele nie mogli się nadziwić mądrości wołyńskiej. Niebawem okazał się w łamach „Tygodnika“ romans historyczny „Listopad“, który dolał oliwy do ognia.

Romans ten miał, niby Janus, dwa oblicza; jedno, zwrócone do przeszłości, do pierwszych lat Stanisława Augusta, uchodziło za nienaganne, chociaż przeceniono je, jak i inne rzeczy Rzewuskiego; kilkanaście mniej lub lepiej udałych sylwetek owych czasów; na dwu braciach (Strawińskich) przeprowadzony kontrast staropolskiej i sfrancuziałej natury sarmackiej; opowiadanie, choć luźne (romans miłośny, walka braci o narzeczoną, o akcyę historyczną, uwięzienie króla, wcale nie zahacza), ale obszernie skomponowane, wprowadzające najrozmaitsze postaci, od króla, od Radziwiłła, od dewotki — generała Kunickiego aż do najpodrzędniejszych, Wazgirda i Skołuby: to wszystko stawiało „Listopad“ nietylko wyżej od luźnych całkiem szkiców „Soplicy“, lecz czyniło je najbardziej zajmującym romansem historycznym, opartym o ideę wcale głęboką, o ów kontrast dwu światów, temperamentów, a nawet kodeksów, honorowych i moralnych. Chociaż autor predylekcyi swych nie taił, mimo to Wersalczyka, Ludwika Strawińskiego, nie ukrzywdził, nawet mimowoli czytelnika układnym Francuzikiem więcej zajął, niż nieco sztywnym i drewnianym Michałem, perłą atawizmu, katechizmu i republikaństwa; zachował więc autor miarę aż nadto. Nie zachował jej w drugiem obliczu, przedrzeźniającem postęp, myśl filozoficzną, brak legitymizmu: w przypiskach, nie umotywowanych,

niepotrzebnych, rozwijał ponownie swoje paradoksy i bronił swojej chińszczyzny.

Przez te przypiski wywołał „Listopad“ między młodzieżą ukraińską żywą opozycyę, grupującą się w piśmie zbiorowem „Gwiazda“ (petersburska, potem kijowska); stanowili ją Zenon Fisz, Albert Gryf (Marcinkowski), Jakób Jurkiewicz (Dołęga) — szczególniej ci dwaj ostatni zwalczali ironią i argumentami rzeczowymi paradoksy Rzewuskiego — dostało się i Kraszewskiemu za stronniczą ocenę pisarza francuskiego; gdy „Gwiazdę“ zamknięto, przenieśli walkę do „Pamiętnika naukowo - literackiego“ („nieukowym“ przezwał go Kraszewski, wtedy właśnie w ortodoksyi i konserwatyzmie po uszy zagrzęzły) Podbereskiego, lecz i „Pamiętnik“ uległ losowi „Gwiazdy“. Bądź co bądź zaprotestowała młodzież z tych samych „stron“ w imię żywotności narodu i jego literatury, w imię postępu i demokracyi przeciw zbyt bezceremonialnym uroszczeniom arystokratycznym Rzewuskiego i ciasnej ortodoksyi Hołowińskiego.

Cała ta walka poderwała popularność Rzewuskiego znaczniej; w Warszawie i tak się na nią nieco krytyczniej zapatrywano (Zieliński w „Bibliotece Warszawskiej“), niż na prowincyi. Nie podniosły znaczenia pisarza późniejsze jego romanse historyczne, ani „Zamek Krakowski“, ani „Adam Śmigielski“, ani „Rycerz Lizdejko“, ani „Zaporożec“. Im więcej się Rzewuski od czasów, z żywej tradycyi znanych, oddalał, tem bardziej słabł jego talent; jeszcze w „Śmigielskim“ ratował go ton gawędziarski, dopasowany do ludzi i czasów; we wcześniejszych tracił i tę podporę. Z historyą obchodził się z lekceważeniem, np. w „Adamie Śmigielskim“, gdzie i ojcu - aryaninowi, arcytchórzowi (tak mścił się za deizm aryański) za Sobieskiego wojować kazał i syna z jednego obozu do przeciwnego przerzucił. Czasów i ludzi bardziej skomplikowanych, np. Zborowskich wieku XVI, doceniać nie umiał; najlepiej udawały się mu szarże komiczne, np. pojedynek Adasia z p. referendarzem przed Sobieskim lub role podrzędne z czasów wojen szwedzkich i z otoczenia Bogusława Radziwiłła. Kompozycya szwankowała stale, Śmigielski np., to biografia, nie powieść; o akcyę się nie troszczył. Akcyi niema i w fantastycznym „Paziu Złotowłosym“, gdzie wedle starej tradycyi wieku XVIII oryentalna powieść służyła wytoczeniu satyry spółczesnej; Skotostan romansu to Wołyń i inne szczegóły, o Bibikowie i t. d. nie mniej przejrzyste.

Powieściopisarza zabił wreszcie publicysta, chociaż i temu, jak tamtemu, szczęście z początku sprzyjało. Urzędnik zaufania przy boku księcia namiestnika zaczął wydawać „Dziennik Warszawski“ w roku 1851; postawił go na stopie europejskiej, zgromadził licznych spółpracowników (nawet niedawnych przeciwników z „Gwiazdy“), pozyskał świetnego felietonistę (Szymanowskiego), dawał liczne korespondencye, bogate informacye. „Dziennik“, podnoszący czasopiśmiennictwo na niebywały poziom, zyskał wielką wziętość i utracił ją, z winy redaktora. Przekonany, że zdobył powagę nadmierną, doszedł redaktor w artykułach „Cywilizacya i religia“ do słupów herkulesowych donkiszoteryi reakcyjnej; wypowiedział wojnę nowoczesnemu rozumowi, którego z wiarą pogodzić nie można (o co starał się ks. Chołoniewski); nowoczesnej ekonomii politycznej, troszczącej się o bogactwa, potępiane przez chrześcijaństwo; za to szlachectwo, o którem w chrześcijaństwie głucho zupełnie, apoteozował do wyżyn niedościgłych; kończył policzkiem: społeczeństwo winno się wyzbyć cywilizacyi i rozumu nowoczesnych, skażonych i nikczemnych, szukać innych przewodników, chociażby miało to opłacić kosztem nauk, kunsztów, przemysłu i powrotem do barbarzyństwa. Śmieszność ta zabiła „Dziennik“, chromający odtąd do końca żywotu (1860 r.); na długo przedtem wycofał się autor z publicystyki i powieściopisarstwa.

Smutny ten finał nie przeszkadza oddania sprawiedliwości talentowi Rzewuskiego. Słynął on z dowcipu nadzwyczaj kostycznego, próby jego mamy i w „Mieszaninach“; najlepsze obiegają dotąd w ustnej tradycyi; narratorskie zdolności miał świetne, chociaż epikiem nie był, nad anegdoty i gawędy wznosić się nie potrafił; czy te przekonania żywił, co wypowiadał, to nie pewne, chyba więcej w tem było przekory, niż otwartości czy szczerości; nadto był mądry, żeby monstrualnej paradoksalności nie dostrzegał trafnie, lecz nadto mało cenił ludzi, żeby się do niej przyznawał: strawią i tak, myślał — lecz nie strawili; paradoksami jednak zabijał i głębokie i słuszne uwagi, których nawet w owym osławionym artykule nie brak.

Przez jedno dziesięciolecie stał na czele literatury krajowej, a przykład jego działał nadzwyczaj ożywczo; lecz należy porównać właśnie naśladowców: jak odbijają żywo i barwnie od szarego ich tła, od banalnej ich konwencyonalności, postacie i sytuacye z opo-

wiadań Sodalisa - Barszczanina; niema się co mylić, pierwszy występ Rzewuskiego był zarazem najudatniejszy; ale ani „Listopad“ nawet ową żywością i barwnością nie dorównał nowelom historycznym Soplicy, najkrótszym a najlepszym, jakie literatura nasza posiada; w tych to nowelach ożył naprawdę — nie cały wiek XVIII, ale przeciętne i znamienne typy jego kontuszowców; nie odtworzył ich z równą siłą ani Kraszewski, najlepszy znawca tych czasów, bo brakło mu owej sympatyi dla czcicieli szkaplerza i klejnotu, korda i antału, jaką Rzewuski od ojca odziedziczył: twierdzili przecież złośliwi, jakoby Rzewuski nie wysnuwał swoich kreacyi z niezapomnianego ojcowskiego wątku, lecz że po prostu przepisywał pamiętnik ojca. A przyświecało Rzewuskiemu jeszcze coś innego: nie wskrzeszał on tych postaci tylko dla rozrywki, własnej i publiczności, służyły mu one za coś więcej, bo za potwierdzenie w żywych przykładach niezmiennych, wedle jego zdania, prawd moralnych i religijnych; stąd to wrażenie, jakiego same anegdoty i ilustracye, choćby najbarwniejsze, bez owej i idei i tendencyi, wywołaćby nie mogły.

A wrażenie było wówczas olbrzymie, poddawali się mu ludzie, jak Kraszewski, który dla Soplicy gotów był i Jarosza Bejłę uściskać; najfatalniejszy wpływ zaś wywarł Rzewuski na **Michała Grabowskiego,** który, mimo swej trzeźwości i chłodu, nie zawahał się przyprządz samego siebie do jego rydwanu i *urbi et orbi* chwałę Soplicy i Bejły wydzwaniać, nawet wtedy jeszcze, gdy dawna wziętość Rzewuskiego ustąpiła już zawziętości przeciw niemu. Krytyk, historyk i powieściopisarz Grabowski odpokutował i swój zapał dla Rzewuskiego i niefortunne wystąpienie z ideami ugodowemi srodze za życia; niedawny „dyktator rzeczypospolitej literackiej nad Wisłą, Wilią i Dnieprem... umysł podniośleiszy i głębszy, niż czyjbądź między literatami polskimi“ (słowa B. Zaleskiego), pełen zasług istotnych, wycofał się w pełni sił z życia literackiego, odosobnił w „samotności miejsc i oddali serc i myśli bratnich“. Wychowanek powiatówki bazyliańskiej w Humaniu (wraz z Grozą, Goszczyńskim, Zaleskim) wyniósł z niej, jak tamci, zamiłowanie do stron ojczystych i, gdy po pogromie do domu wrócił, wobec przerażającej apatyi starszych, bałagulstwa młodzieży, wegetowania literatury domowej, żyjącej nędznymi przekładami francuskimi, budził ducha krytycznemi pracami, oceniającemi „szaloną literaturę“ francuską, pielęgnującemi kiełkującą ojczystą, mianowicie „ukraińską“, podkreślające-

mi kierunek religijny, katolicki i obywatelski. Trzy tomy „Literatury i Krytyki“, 1839, „Korespondencya literacka“, 1845, zawierały wiele ocen trafnych, chociaż sympatye osobiste unosiły nieraz sąd krytyczny, a pierwsze wrażenie zbyt pośpiesznie na papier się przelewało; wstręt przeciw wszelkiej rewolucyjności, przeciw wszelkim zakusom wolnomyślnym, nie liczącym się ściśle z konserwatyzmem religijnym i społecznym, zaślepiały go na zalety literatury francuskiej, a wyolbrzymiały jej braki; ale już w krytykach Grabowskiego wybiegała ocena dzieł całkiem z dawnych formuł, uwzględniała historyę, otoczenie, indywidualność autorską, pod wpływem Villemaina i Sainte - Beuve'a.

Ulubieńcem Grabowskiego był Walter Skot; jego przykład, silny pociąg ku historyi i tradycyi miejscowej, wpływ wreszcie Rzewuskiego popchnęły krytyka ku samoistnemu tworzeniu. Nie dopisywała jednak fantazya: powieści historyczne Grabowskiego, dziś zupełnie zapomniane, i w latach 1838 — 1852 licznych nie znachodziły czytelników. Uznać należy rzetelną pracę kolekcyonisty, ceniącego każdy szczegół historyczny czy tradycyjny, wszystko, co się w okolicach Tajkur, Hulajpola czy Aleksandrówki pochwycić dało; opisywacza, który koloryt miejscowy, krajobrazy stepowe najdokładniej odtwarzał, ale ani „Koliszczyzna i stepy“ (o hajdamakach), ani czterotomowe „Tajkury“ (r. 1845, życie szlachcica wołyńskiego za zawieruchy XVII wieku) ani „Stannica hulajpolska“ ani „Starosta kaniowski“ nie wywoływały na czytelnikach innego, prócz nieokreślonego wrażenia; archeolog - powieściopisarz sam zabijał wszelką iluzyę, upewniając czytelnika, że osoby, o których tak długo rozpowiadał, nie żyły nigdy w rzeczywistym świecie; od wielkich kompozycyi powracał on do mniejszych obrazków, ale i tym brakło kolorytu i ruchu.

Wydawał on i pamiętniki obce, Borejki i Micowskiego z życia wołyńskiego, nie ciekawe (w „Pamiętnikach Domowych“, 1845); wydał i „Pana Starostę Zakrzewskiego“, powieść czy pamiętniki raczej, niby opowiadanie marszałka Ciechońskiego, ale i te nazwaćby można „sklepem gratów, czerwonych butów i żupanów“. Nie wiodło się więc „Tarszy“; lepiej zasłużył się historyk, wydając wraz z Przeździeckim i Malinowskim „Źródła do dziejów polskich“ (t. I, 1843), szczególniej zaś „Ukrainę dawną i teraźniejszą“ (1850, o najdawniejszych zabytkach prowincyi, wykopaliskach i t. d.). Najwyżej stanął, obok krytyka, polityk; oceniał trafnie sytuacye,

przewidywał daleko, ale umiarkowany głos jego głuchł w namiętnym gwarze chłopomanów i radykałów, zaprzepaszczających sprawę narodową, w której obronie on stawał:

na mnie szemrały głupich podejrzeń wyrazy,
z potwarzy rosła dla mnie obojętność głucha..,
przyszłość, teraz zakryta, komuś z nas dank przyzna,
lecz na wygranej jeden przed drugim nie zyska.

Nie wzniósł się, jako powieściopisarz, i zacny ks. Stanisław Chołoniewski, były żołnierz i dyplomata, czerpiący z szlacheckich tradycyi o sodalisach czy o księdzu Marku — te rzeczy ukazywały się dopiero po jego rychłej śmierci — za życia „Snem w Podhorcach", widzeniem, przestrzegał przed pomiataniem etyki w imię poezyi i namiętności, w innych rozmowach i listach szerzył mądre uwagi, uzupełniając czynność kaznodziejską (kazania wydał po wielu latach ks. Badeni) i obywatelską, nie krępując, jak Rzewuski i Hołowiński, rozumu, dozwalając i jemu przystępu do świątyni Pańskiej. Ani Grabowski, ani Chołoniewski tradycyi ukraińskich, ludowych czy szlacheckich (tylko te znał Chołoniewski z własnego otoczenia) wskrzesić nie potrafili; litewskie zaś nietylko u Rzewuskiego odżyły.

Obok „Pamiątek Soplicy" stanęły godniej tylko „Obrazy litewskie" **Ignacego Chodźki** (w pięciu seryach, 1840—1850) i „Podania litewskie" (cztery serye, 1852 — 1860). Chodźko, z familii, reprezentowanej w literaturze ówczesnej wielokrotnie, przechodził koleje umysłowe, podobne nieco do rozwoju Grabowskiego; i on nie stanął odrazu, jako apologeta atawizmu, bogobojności i trybu przodków, nie przeklinał zawsze „wieku oświeconego z filozofią z piekła rodem, bezbożnego niedowiarka, co oniemił ziemię dla Boga", lecz sam był niegdyś i wolnomularzem i Szubrawcem i w duchu „oświeconego wieku" powiastki pisywał, a przed romantycznością uciekał. Dopiero w późniejszych, szczęśliwych latach spokojnego życia familijnego na wsi odżyły wspomnienia dziecięce, z dworków obu dziadków, Widmonta i Chodźki, niegdyś wyniesione; opowiadania, zasłyszane o świetności Nieświeskiej, o Radziwille, Wołodkiewiczu, Łopacińskim; odtwarzając te wspomnienia, lubował się autor w roztaczaniu samych pogodnych obrazów, w szczegółowem opisywaniu miejsc i ludzi, domów i sprzętów,

dworów i dworków; myśl krytyczną odganiał, oko miał tylko dla pozorów barwnych, dla ładu rodzinnego, nie pytając, co się w kraju działo; istniały dla niego tylko starożytności prywatne ukochanej Litwy szlacheckiej. I zachwycała się publiczność prostem, rzewnem, malowniczem oddaniem czy „Dworku mojego dziadka", czy „Brzegów Wilji", czy szkoły Boruńskiej i jej Bazylianów, czy Napoleona w Wilnie, czy „Pamiętników kwestarza", czy „Dworków na Antokolu"; i jemu, jak Rzewuskiemu, rzecz udawała się tem mniej, w im głębszą przeszłość sięgał i o im większe rozmiary się kusił (np. w „Żegocie z Milanowa Milanowskim"), dlatego „Podania" nie miały już tego uroku, co „Powieści".

Chodźko jaskrawych obrazów, jak Rzewuski, nie przedstawiał; przeważała u niego tkliwa tęsknota; zapatrzony w świat przeszłości, widział go ozłoconym słońcem zachodzącem i czytelnikowi błogiego uczucia spokoju udzielał, jakby świat ten nie był bez jutra, jakby znowu miały się toczyć jego dni równe, pogodne, jasne.

Do tych przedstawicieli dawnej kultury na jej straconych posterunkach, świadczących najwymowniej o potężnem jej rozszerzeniu i żywotności, na pozór niewzruszonej, przybył inny *laudator temporis acti,* główny przedstawiciel powieści historycznej, z tradycyi wysnutej, między rokiem 1850 a 1860, gdy gwiazdy Rzewuskiego, Grabowskiego, Chodźki z zenitu już schodziły, **Zygmunt Kaczkowski.** Jak u Chodźki, wypłynęły i u niego wspomnienia dziecięce, zasłyszane np. od babki, pamiętającej doskonale Barszczan, od innych „starych bajarzy z nieznanym już dzisiaj darem obrazowej wymowy", dopiero później; na razie przygłuszał je ruch polityczny, rewolucyjny, w którym młodziutki Kaczkowski brał udział. Ochłonął z niego na zawsze, otrzeźwiał; pod wpływem strasznego rozczarowania przerzucał się nawet początkowo w drugą krańcowość świeży radykał.

Wykształcony, zdolny, żywy, pociąg do literatury czuł oddawna i, gdy droga do każdej innej roboty zamkniętą się zdawała (do gospodarstwa brakło powołania i zdrowia), chwycił się powieści, po rozmaitych próbkach wierszem i prozą, belletrystycznych i publicystycznych, w których rękę zaprawił.

Otwierały się przed nim dwie drogi: miłość tradycyi, wyniesiona z otoczenia sanockiego, podsycana studyami historycznemi, którym się w Ossolineum gorliwie oddawał, nęciła go przykładem i wzorem Pola, Rzewuskiego, Chodźki; powieść spółczesna nada-

wała się do propagandy nowych, dojrzalszych idei. Kaczkowski puścił się, niemal równocześnie, oboma torami, lecz tylko powieścią historyczną zaskarbił sobie trwałe względy czytelników; i dziś drukują jego powieści Nieczujowskie, o spółczesnych zapomniano rychło, a nawet inne powieści historyczne, nie z cyklu Nieczujowskiego, uznania nie znalazły; tylko z owego cyklu bił temperament, wybitna cecha indywidualności, których brak innym jego powieściom zaszkodził.

Do epoki, którą miał odwzorować, zabrał się autor po studyach wszechstronnych; nosił się on z myślą napisania historyi konfederacyi barskiej, zarył się w tym celu w literaturze drukowanej i nierównie bogatszej rękopiśmiennej, napiętrzył całe stosy notat, lecz ani historyi tej nie stworzył, ani nie zdecydował się na opublikowanie surowego materyału; na razie zamierzał „podmalować tło“ tych dziejów, lecz i tu zdało mu się „rzeczą najwdzięczniejszą dla sztuki, na tamtoczesne drobniejsze wypadki, charaktery i obyczaje zapatrywać się okiem i sercem tamtoczesnego człowieka, bo dziś tylko on jeden mógł je z całą prostotą brać, tak, jak były, i opowiadać z bezwarunkową miłością“ — dla krytyki miejsca nie było. Szereg opowiadań Imcipana Marcina Nieczui, zaczęła „Bitwa o chorążankę“ (1851), epizod z antagonizmów, dzielących pokrewne ziemie czy dzielnice; spółzawodniczą tu Sanoczanie a Przemyślanie — walka ta na docinki i wyzwiska, na kielichy i krzyżową sztukę, podjęta w imię zagrożonego materyalnego interesu (panny posażnej), nie licząca się z prawami gościnności, dufna w przewagę liczebną, dla nieco czulszych czytelników mogłaby wydawać się wstrętną, ale ani narrator nie skrupulizował w swej „bezwarunkowej miłości“, ani czytelnik nie opierał się naiwnie, z duszy idącej apoteozie tego barbarzyństwa. Rzecz, treścią i rozmiarami drobniutka, miała nadzwyczajne powodzenie i, jak z rogu obfitości, posypały się za nią inne „opowiadania Nieczui“.

Nie były one prostą repliką „Pamiątek Soplicy“, z litewskiego przeniesionych żywcem na grunt sanocki. Samo tło było inne; nie byłoż tu żadnego nieświeskiego słońca, krążącego wśród niezliczonych płanet i satellitów; Ossoliński, Bal czy Mniszek nie mogli się przecież równać z Panie Kochanku, więc szlachta nie była tak zahukana: w przystępie fantazyi napadła i na zamek samego wojewody; nie było tej jednostajności litewskiej; po nad strychulec szlachecki wystawały liczne głowy; było tu więcej odmiany, odrębności, poczucia godności osobistej. Na tem tle kreślił Kaczkowski inne konflikty; u Rzewuskiego wytaczały się sprawy publiczne, porwanie króla i t. d., u Kaczkowskiego wyłącznie rzeczy potoczne, nawet zabójstwo Wielkiego Kuchmistrza nie przekraczało ram sprawy domowej.

Kompozycya była też o wiele obszerniejsza; nawet drobniejsze opowiadania Nieczui przekraczały znacznie rozmiary Soplicowskie. Nie było też krzywdzących nowsze czasy i ich postęp wycieczek; chociaż i Nieczuja moralizować lubił, nie sadził się on na żadne paradoksy, nie przeklinał filozofii i rozumu „szalonego“, nie ubóstwiał głupoty. I Nieczuja wprawdzie nie wzniósł się ponad czas, jego nałogi i widzimisię; i on tkwił w atawizmie po uszy, ależ autor się z nim nie utożsamiał; miał więc wszelkie prawo, nie wybiegać poza widokręg przeciętnego szlachcica, patrzeć jego oczami; gdzie, jak w „Annuncyacie“, od siebie opowiadał, wypadał konterfet Barszczan odmiennie, bez aureoli Nieczujowskiej. Jeżeli Nieczui otwierały się oczy na straszny upadek kraju, moralny i materyalny, winił on o to, jak satyrycy XVIII wieku, nie ojców i praojców, ale napływ idei cudzoziemskich, sfrancuziałość obywateli!

Powieści Nieczui były wcale nie równej wartości. Najobszerniejsza i najciekawsza, to „Murdelio“, ów typ niezwykły, który Kaczkowski w kilkadziesiąt lat później na innem tle ponownie odtworzył, siłacz fizyczny i moralny, gwałtowny i niepohamowany, nie bez instynktów szlachetnych, zagadkowy nieco, wzbudzający mimowolny przestrach w człowieku przesądnym, pomawiającym go o związki chyba z nieczystym, poświęcający wszystko i wszystkich dla swego widzimisię, wzór owego rozbujałego iudywidualizmu, przeradzającego się w proste warcholstwo. Podobny nieco typ „Męża szalonego“ (Kitajgrodzkiego) graniczy już z niepoczytalnością: przerzuca się z jednej ostateczności w drugą, od mordów i okrucieństw do najgłębszej skruchy czy ekstazy religijnej.

Inny dziwak - ekscentryk wywiedziony w „Swatach na Rusi“; tu i w „Gnieździe Nieczujów“ stosunek szlachty do możnowładztwa wystawiony, wzajemne uściski i służby, przerywane wybuchami antagonizmu, łagodzonymi znowu czapką i papką. W „Grobie Nieczujów“ finał tego świata, miejscami wstrząsający i poruszający do głębi, chociaż brak podkładu myślowego głębszego; Nieczuja-

rozbitek w religii szuka zapomnienia straty i nowej otuchy, modli się i akty skruchy odprawia, a w ostateczności porywa się do szabli; nie przerodził się, nie przystosował się do nowych okoliczności, on i świat jego muszą zginąć.

Obok Nieczujowskich pisał Kaczkowski i inne powieści historyczne, udatne, kiedy była mowa o tych samych czasach i ludziach, np. w „Annuncyacie", historyi o konfederacie barskim, znanym partyzancie Bierzyńskim i jego miłości z Annuncyatą, niezwykłą bohaterką, ukrywającą swoje uczucia, aż wybrany jej godnym się ich ukaże; nieudatne zupełnie, gdy sięgały w czasy dawniejsze, np. ckliwa i nieskończenie długa historya o Ożarowskim, w „Sodalis Marianus", wzorze wszelkich cnót męskich, religijności i patryarchalności; refleksye i morały autorskie niszczyły tylko iluzyę i przerywały tok opowiadania.

Ten pierwiastek refleksyjny, nie istniejący wcale w opowiadaniach ostatniego z Nieczujów, szkodził powieściom społecznym, pisanym niemal równocześnie, lecz o wiele bezbarwniej i sztywniej, począwszy od „Katona" (1851), a skończywszy na „Żydowskich" (1860) i „Rozbitku" (1861). Powieści te są ciekawe dla stosunków galicyjskich zarówno, jak i dla powolnej modyfikacyi zapatrywań autorskich, powtórnego jego linienia. Walkę arystokracyi z demokracyą w „Dziwożonie", kontrast Kamila i Edmunda, przedstawicieli typowych obu kierunków, przeprowadził autor tak, że potępił demokratę, wzniosłego w słowach, nizkiego w czynie. We „Wnuczętach" wystawił miarowe obniżanie się sił żywotnych w trzech pokoleniach: najstarsze najdzielniejsze, mimo przesądów arystokratycznych (Demboroga) i wygórowanej religijności (szefa Niemiry), umie się przynajmniej wyrzec ruchów niewczesnych i jąć się pracy około gospodarstwa; w młodszej generacyi przeważają braki, niezaradność i bierność, wydobywają się na wierzch jednostki wręcz niemoralne, szkodliwe; najmłodsza, spółczesna generacya, wystawiona jako skarłowaciała fizycznie i umysłowo; ludzie nowych haseł (demokrata Drabik) nikczemni.

Jak wybrnąć z tego zgubnego zastoju, ożywić społeczeństwo, uczy Kaczkowski w „Stachu z Kępy", w „Bajroniście" i „Rozbitku": nawrócony ks. wikary przez wiarę wpływa na ulepszenie stosunku włościan do pana i księdza; nieszlachcic nabiera wszelkich cnót w pożyciu z ludźmi dobrego rodu; w „Rozbitku" wychodzi autor poza ciasne nieco koło doktryny szlacheckiej i ludowej; bohatero-

wie jego, Karol i Skiba, wytrzeźwieli po roku 1846, uznali społeczną rolę szlachty i oddają się pracy gospodarczej, po uwłaszczeniu włościan tem bardziej naglącej. Najciekawszą z tych powieści jest „Bajronista", kruszący laskę nad marzeniem bezowocnem, wyżerającem siły moralne (tu spotykał się autor z sądem Gabryelli); jego Miron żył, jak Słowacki, od młodu w świecie własnym, urojonym i skończył przedwcześnie w obrzydzeniu ludzi, książek i świata; miejsce zera tego zajmie przy boku wdowy, w majątku zrujnowanym, w gronie obywatelskiem dzielny Stefanek, wynoszący się z chłopskiego stanu. Z marzeniami liczył się i w „Kronice rodzinnej" o „Żydowskich", godząc w Ujejskiego, ale zarazem i w zacofańców arystokratycznych, wyłaniając się coraz bardziej, jako apostoł cichej, wytrwałej pracy organicznej, jako wróg demagogii i rewolucyi, liczący się z rzeczywistością, zrzekający się wszelkich fantazmagoryi. W imię tych zasad wystąpił i jako publicysta, nie zadowalając się dotychczasową swą belletrystyką tendencyjną.

Z Ujejskim znaleźli się w przeciwnych obozach. Gdy ostatki żaru lirycznego Ujejski w listy i przemówienia przelewał, Kaczkowskiego publicystyka wykoleiła zupełnie: odpokutował ją nietylko więzieniem (tu wykończył studyum obszerne, acz mało treściwe, dla braku prac przygotowawczych, „Kobieta w Polsce", o roli jej od czasów najdawniejszych), ale nawet opuszczeniem kraju i zawieszeniem wszelkiej czynności literackiej. Wrócił do niej dopiero po latach kilkunastu, do publicystyki zarówno, jak do powieści. Egzulant dobrowolny zmierzył się z „Teką Stańczyka" i stronnictwem krakowskiem, konserwatywnem, w „Tece Nieczui, posłaniu Imcip. Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie czytać mogą dla zbudowania i krotochwili" (1883). Naśladował tu wcale niefortunny pomysł i „Teki Stańczyka" (nie krępującej się zresztą tym pomysłem) i dawnych „Dyalogów umarłych", każąc p. Nieczui rozmawiać o rzeczach bieżących z cieniami literatów zmarłych; ale wadę pomysłu nagrodził wykonaniem, werwą i plastycznością języka o toku prawdziwie staropolskim, nieczujowskim, uszczypliwą satyrą, trafnymi nieraz sądami. Dziwne tu jednak jego stanowisko. Gdybyż to jeszcze Ujejski te gromy na Stańczyków rzucał, ale skąd wziął się ferwor Kaczkowskiego, stojącego na tym samym gruncie, co Stańczycy? taki sam on wróg materyalizmu i socyalizmu, jak oni, i tak samo trzyma się tradycyi szlacheckiej; odsądzanie zaś od czci i wiary, posądzanie

o najbezwzględniejszy egoizm, o szczucie na prawdziwych patryotów, nienawiść przeciw magnatom i Jezuitom—przystałyby raczej na pismaka rewolwerowego dziennika.

Jako wróg materyalizmu i socyalizmu, wystąpił był Kaczkowski już poprzednio, w nowej powieści „Graf Rak“ (1878). Początek jej obiecywał wiele; zdawało się, że emigrant opisze życie emigracyjne i wpływ jego na człowieka, lecz niebawem zwichnął się tok opowiadania, wyłoniła się najzbędniejsza i najnudniejsza krucyata przeciw naukom przyrodniczym, torującym drogę materyalizmowi, chęć dowodzenia, że wyniki ich nie przeczą dogmatom, dadzą się z nimi pogodzić, i jeszcze przed grafem-egoistą, ubóstwiającym żonę i ginącym dla jej wiarołomstwa, ginie w czytelniku wszelka ochota do czytania tej powieści do końca.

Pod wpływem, jak mówią, powodzenia trylogii Sienkiewiczowskiej, wrócił autor do powieści historycznej; jako jej krytyk, postawił był pisarzowi takich powieści zadanie zbyt wysokie, któremu Sienkiewicz w jego oczach nie podołał; sam się więc o jego wykonanie pokusił w „Abrahamie Kitaju“ (1886) i w „Olbrachtowych Rycerzach“ (1889). Żądał on mianowicie nie oddawania pewnej tylko strony i szczegółów mniej lub więcej barwnych, lecz odtwarzania samej myśli dziejowej, samego ducha czasu. „Abraham Kitaj“ to nowy Murdelio na tle groźnej anarchii, niedołężnego autorytetu państwowego, za czasów Sobieskiego; uwydatnić nadmierną wybujałość indywidualizmu, rządzenie się owem słynnem od wieków polskiem „widzimisię“, fatalne jego skutki dla całości, mimo świetnych pozorów, jakiemi fantazya i energia, buta i siła jednostki rozpasanej łudzić mogą, było zadaniem autora, lecz nie podołał mu artysta.

O wiele lepiej powiodła się druga powieść: i ona doskonałą nie jest, robi wrażenie olbrzymiego płótna akademickiego, z masą szczegółów, wystudyowanych najsumienniej, wykonanych najstaranniej — z całości jednak wieje chłód przeraźliwy; Kaczkowski wciągnął do swej powieści wszystkie stany ówczesnej Polski, od króla i rycerstwa do mieszczan i kupców, dał nawet pieśń miłosną w ówczesnej ortografii, odtworzył niby całą umysłowość epoki, ale ani jednolitego, ani żywego opowiadania nie wysnuł, pomimo niektórych scen świetnych i postaci drugorzędnych, bardzo zajmujących — te wypadały u niego, jak u Rzewuskiego, o wiele

żywiej, plastyczniej, niż bohaterowie sami, nietylko tym razem, ale już i dawniej.

Zakończył Kaczkowski czynność literacką powieściami spółczesnemi, „Wasi ojcowie“ (1892), „Zaklika“, „Święta Klara“ (1895), cennemi dla tendencyi, słabemi w wykonaniu. Ciekawsze były jego przyczynki autobiograficzne, malujące stan umysłowy Galicyi przed r. 1846; cenne jest studyum literackie, „Słowo o romantyzmie“, gdzie zerwał z dawnym, wązkim poglądem, potępiającym zwodnicze pieśni Mickiewicza i szaleństwa Słowackiego, wystawiającym romantyzm, jako szkodliwy i zgubny dla narodu: już to my jesteśmy mistrze w zwalaniu win własnych na obce barki!

Kaczkowski przypomina ewolucyą swoją nieco Kraszewskiego; umysł trzeźwiejszy i chłodniejszy chronił go wprawdzie od krańcowości, nie występują one u niego tak wypukło, są jednak nie mniej; w końcu porzucił chwiejność między radykalizmem a arystokratyzmem i w kierunku demokratycznym (z zabarwieniem szlacheckiem!) wytrwał; garnął się szczerze do postępu, a obawiał się postępów nauk przyrodniczych; Stańczyków nienawidził równie stronniczo, jak Kraszewski. Od powieści historycznej przechodził do spółczesnej, której zbytni dydaktyzm, widoczna tendencya szkodziły najbardziej; talentem znacznie mniejszy, oddał jednak niemałe zasługi, właśnie w latach zastoju budząc myśl, nietylko zabawiając czytelnika apoteozą dawnej szlachetczyzny; konsekwentnym nie był nigdy; zbyt ściśle mierzył naukę katechizmem, zbyt wązko pojmował udział sił nowych w pracy narodowej; zarazem przeważała stale refleksya i odbiła się na dziełach, tylko w opowiadaniach Nieczui wyszedł sam z siebie, dał się porwać wyobraźni, przenoszącej go w czasy, umiłowane sercem; w głęboką analizę psychologiczną nie wdawał się nigdy, nie zadowoli też czytelnika o większych wymaganiach; mimo to tyle mądrych uwag rozrzucił i rozumnych tendencyi przeprowadził, że możnaby go obok Korzeniowskiego niemal postawić, gdyby go Rzewuski energiczniej nie reklamował.

Grono tych wybitnych powieściopisarzów, czerpiących i z otaczającego życia i z kontuszowej przeszłości, działających w imię rozmaitych idei, powiększał szereg belletrystów drugorzędnych, dziś nieraz już zapomnianych zupełnie, niegdyś wcale poczytnych. Obfitowały w nich wszystkie dzielnice; tylko krakowska i poznańska świeciły pustkami; we Lwowie, Warszawie i Wilnie, produkowano tej belletrystyki tem więcej.

Józef Dzierzkowski kreślił z wielkiem powodzeniem stosunki galicyjskie, w których wyrósł, ujemne ich strony, w barwach jaskrawych i rysach nieraz przesadnych; przedstawiał głównie szlachtę i hrabiów galicyjskich, nie szczędził jednak nikogo; i figury ludowe nie wychodziły lepszemi. Zepsucie młodzieży, jej miłostki i karciarstwo, demoralizacyę ogólną, gonienie za groszem i użyciem, łudzenie pozorami, niesumienność, nie cofająca się w końcu przed kryminałem, opiekunów, zdzierających niemiłosiernie swych pupilów, szlachtę, batożącą chłopów, adwokatów, zdradzających swoich klientów, mężów, sprzedających żony, uwodzicieli, świadków fałszywych, intrygantów najnikczemniejszych wystawiają jego „Kuglarze“ (1845), „Dla posagu“, „Salon i ulica“ (1847), „Szpicrut honorowy“ (1848).

Nie brak efektów drastycznych, kopiowanych od Francuzów; dziś napiętnowalibyśmy niejedną z tych powieści mianem „sensacyjnej“ i „melodramatycznej“; wówczas służyły one agitacyi demokratycznej, otrząśnieniu się z nałogów, budzeniu sumień; autor stawał się satyrykiem - publicystą i w huku roku 1848 przerzucił się całkiem na publicystę, jako najgwałtowniejszy rzecznik demokracyi w artykułach „Gazety Narodowej“ i broszurach osobnych; namiętny ton dziennikarstwa lwowskiego, szkalowanie jego i szyderstwo, obrzucanie przeciwnika ostatniemi wyzwiskami datuje właśnie od Dzierzkowskiego i jego piorunującej prozy, przebiegającej coraz wszystkie skale od wzniosłości i patetyczności do kpin i obelg najprostszych, do szyderstw najdotkliwszych. Następstwa tego roku, udział w kampanii węgierskiej, wycofały Dzierzkowskiego na razie z literatury; powrócił on do powieściopisarstwa po r. 1850, lecz w drugiej fazie swego zawodu sukcesów np. „Salonu i ulicy“ (pierwszego wielkiego na lwowskim bruku) nigdy już nie dosięgnął; nie zrzekł się poglądów demokratycznych, pozostał dlatego ulubieńcem młodzieży lwowskiej, ale pisał o wiele oględniej, spokojniej, hołdował nawet powieści historycznej („Uniwersał hetmański“) i poruszał do łez sentymentalizmem „Wieńca ciernio-wego“.

W Warszawie cyganerya, z Dziekońskim, Sierpińskim i in., rolę Dzierzkowskiego odgrywała; stosunki specyalnie warszawskie, „dagerotypy warszawskie“, „wizerunki społeczeństwa warszawskiego“ dawali Bogusławski i Bogucki, naśladując w większych powieściach nawet „Żyda Tułacza“ i inne powieści francuskie. Największy rozgłos zyskali tu jednak dwaj humoryści, Agust Wilkoński i Albert Wilczyński. Wilkoński, Wielkopolanin, gdy strony ojczyste rzucić musiał, a na gospodarstwie wiejskiem utrzymać się nie potrafił, przeniósł się do Warszawy i zaczął kreślić od niechcenia anegdoty, szkice, ramoty i ramotki, o wszystkiem, o przygodzie szkolnej własnej (o plagach, odebranych w szkole pruskiej za narodowość Kopernika — tą ramotą zaczął zawód literacki szczęśliwie „chirurg filozofii i krzyża naturalnego kawaler“ r. 1840) i innych przygodach ziemiańskiego bytu, nawet o literaturze, o cudzoziemszczyźnie, o czytaniu romansów francuskich, o jarmarku w Łowiczu i jego praktykach, o ożenku dla grosza i t. d. Były to powiastki, proste, rubaszne, nie przebierające w wyrażeniach; dyktowało je poczciwe uczucie (złote to było serce—i dla swoich chłopków i dla nauczyciela starego, Królikowskiego, którego przygarnął, a ten do „literatury“ go nakłonił) i sąd trafny; humoru wiele nie było, zastępowały go nieraz satyryczne wycieczki (np. o pani „literaturze warszawskiej“ i jej siostrach, p. Drzymlik w Krakowie, p. Nygusowicz we Lwowie, p. Szczypalska w Wilnie, p. Krzyczkowska w Poznaniu, p. Pokutnicka na emigracyi i t. d. — o jej lokach filozoficznych z cudzych włosów, o jej chusteczce od nosa z nauk przyrodniczych, ale takiej malutkiej i t. d.), i dla tych wycieczek obawiano się i obmawiano autora, który w końcu i „Dzwon literacki“ i literaturę porzucił i humor stracił na zawsze.

Żywe ujęcie się za włościanami wyróżniało go bardzo korzystnie; istny to chłopoman; usprawiedliwiał wybór tematu, „gdy obecnie tak mało o chłopkach naszych pisują... kiedy przedmiot dla niejednego serca jest drogi“; w humoresce „Kraszewski w Warszawie“ żalił się, że „prócz Ulany narodowych poswarków nadzwyczaj skąpo — szkoda, bo Ulana jest najpiękniejsza, przedmiot najwięcej żywotny, najwięcej chrześcijański“; protestował przeciw rozpijaniu ich, przeciw pańszczyźnie i t. d.; walczył przeciw przesądom rodowym: gdy odzywa się przeciwnik, żeć i glina różna bywa, na cegły, na garnki, na porcelanę, odcina się: z cegieł kościoły budują, w garnkach jeść warzą, a porcelany używają nieraz dla bardzo podrzędnych celów. Tendencya zawsze najuczciwsza, wykonanie bardzo naiwne, słabe, niemal pedantyczne i suche, zawsze powierzchowne.

Nie z satyrą wystąpił autor „Kłopotów starego komedyanta“ — tą firmą podpisywał stale Albert Wilczyński jeszcze ostatnie swe utwo-

ry. Naczelnika komendy inwalidów w małem miasteczku znał i lubił Wilczyński, Warszawianin; opisując jego próżne zabiegi o marsowy wygląd i rygor napoleońskich (nieraz) ekszołnierzy, kreślił życie na partykularzu, tak mało dotąd w powieściach uwzględniane. O satyrze nie było tu nawet myśli; dobroduszny, jowialny nastrój panował wyłącznie, czy to, gdy porywczego wiarusa udobruchała żona, czy, gdy mu towarzysze figla wypłatali, czy, gdy córkę-sierotę pułkownika w domu przytulił; opowiadanie czepiało się tych drobnostek cichego życia, dalekiego od głębszych kolizyi, lubowało się w szczegółach pogodnych obrazków, nie wybiegało poza ów światek malutki. Niezwykłość i tematu i sposobu patrzenia nań (chyba u Chodźki nasuwały się podobne obrazy) wywołały wielkie zajęcie, popularność autorowi, tłumaczenia nawet na obce języki, rosyjski i niemiecki.

Autor sam zmienił potem tryb życia, opuścił Warszawę, gospodarował i wrócił ponownie do miasta i biura we Lwowie, jak i do zajęć pisarskich po długiej przerwie. Nie zmienił sposobu opowiadania, szerokiego nadzwyczaj, rozwałkowywał nieraz rozmiary prostej anegdoty do powieści całej, zwykle w pierwszej osobie przemawiał, z dobrodusznym uśmiechem politowania — już nie nad „komendantem“, lecz nad obywatelstwem, zaskoczonem różnemi awanturami, czy to w postaci natrętnych gości, których aż opowiadaniem o strachach pozbyć się należy, czy w sroższych przejściach strapionych ojców i matek, „dla dobra dzieci“ przenoszących się do miasta i nie mogących nawyknąć do odmiennego trybu życia, czy w innych opałach majątkowych i sercowych. Tematy wcale nie bywały równie niewinne; to mąż zapóźno flirtu niewiernej małżonki dostrzegał, to wyłaniały się fatalne niedobory moralne i materyalne, na które nie humor, ale chyba chłosta ciętej satyry spadaćby miała; do obywatelstwa przystępowali i urzędnicy, mali i wyżsi, kupcy, mieszczanie; wdowcy słomiani, rywale o rękę ładnej panny; niebezpiecznego, młodszego, odsadził starszy śmiesznością, na jaką się ów naraził i podobne motywy codzienne, drobne. Namiętności autor nie rozruszał, sfery właściwej nie opuszczał,—wołów roboczych, poświęcających się dla magnifiki czy dla krescencyi; mężów, wodzonych za nos przez kochające małżonki; wdowców, których wszyscy w zawody swatają. W środkach nie przebierał; najczęściej pisywał niby gawędy, tylko nie o dawnych ludziach ani w stylu staroszlacheckim, bez pretensyi, z uśmiechem i nad dyssonansami, wcale nie do śmiechu nakłaniającymi.

Niżej stanął Placyd Jankowski czyli John of Dycalp, poczytywany niegdyś za pierwszego humorystę; o to trudno nie było, wobec rażącego niedoboru humorystów w naszej literaturze; najwięcej humoru tkwiło w „Panu Tadeuszu“, szafowali nim i gawędziarze, Rzewuski, a szczególniej Chodźko, ale brakowało go w obrazach z teraźniejszości; humor, to produkt przeważnie miejski, a na literaturę składali się zawsze jeszcze ziemianie, bajroniści, ludowcy, pisarze tendencyjni, — gdy humor właśnie tendencyę wyklucza; nie brakło satyryków, jak i w literaturze rosyjskiej, brakło spokoju, równowagi, obserwacyi drobnej, którą chyba Korzeniowski wprowadził. Więc Jankowski, którego życie pełne niespodzianek, wcale nie humorystycznego zakroju, dyplom humorysty łatwo uzyskał, skoro śmiesznie pisać się uwziął, zaraz na karcie tytułowej dowcipkując („Komujedzie“, wedle znanego prowincyonalizmu litewskiego), albo pisząc o rzeczach, których wcale nie rozumiał. Najwdzięczniejsza jego rzecz, to wspomnienia własnej młodości, której się sprzeniewierzył.

I zaroiło się od belletrystów; od Dźwiny i od Dniepru szły na sukurs coraz nowe siły. Taki Kazimierz Bujnicki np., wychowanek jezuicki, klasyk jeszcze, jako taki do ironii i satyry skłonny, piszący źle wierszem (przekład Psałterza), lepiej prozą, powieści i gawędy, w duchu ultrakonserwatywnym, ultrareligijnym, głównie spółczesne, rzadko w dawne czasy sięgające („Pamiętniki księdza Jordana“, z apologią Jezuitów) i wielbiące je, może więcej zasłużony wydawaniem „Rubona“ (Dźwiny), pisma zbiorowego, jednoczącego siły literackie prowincyonalne, Borchów, Platerów, Chrapowickich i innych Inflantczyków. Albo Krzemieńczanin, Tytus Szczeniowski, w „Bigosie Hultajskim“ (jako Izasław Blepoński) chłoszczący wszelkie zdrożności w otoczeniu ukraińskiem, próżność, próżniactwo, lekkomyślność — też wady odsłonił, wskazując palcem, po wielu latach Bobrowski w pierwszym tomie pamiętników, na które się tak zżymano — w formie niby powieściowej, rozprawiający się i z „Mieszaninami“ Bejły, których filozoficznie wykształcony, a zarazem praktyczny i patryotyczny obywatel nie strawił, z uroszczeń legitymistycznych szydząc, przyszłość, nie przeszłość za cel dążenia wystawiając; i on, jak Korzeniowski, poświęcał Krzemieńcowi wdzięczne wspomnienia.

Jeszcze inni, Pietkiewicz (Pług), Miłkowski (Jeż), Galicyanie Zacharyasiewicz, Łoziński, stawiali pierwsze swe kroki na tej niwie,

lecz działalność ich główna przypada na epokę następną; z nich tylko Waleremu Łozińskiemu — z rodziny, której i innych belletrystów i uczonych zawdzięczamy — wczesna śmierć rozwinąć talentu nie dopuściła; strony rodzinne, światek ich drobnoszlachecki, Samborszczyznę, wystawił on w „Szlachcicu chodaczkowym"; już to opowiadanie, prócz wiernego kolorytu miejscowego, raziło efektownemi scenami; szczególniej lubowały się w nich, dla uciechy wszelkich abonentów wypożyczalni książek, późniejsze powieści, zbójeckie, na poły historyczne, „Czarny Matwij", „Zaklęty dwór", „Szaraczek i Karmazyn" i inne, z sensacyami, nie gorszemi od francuskich.

Wśród przeciętnych belletrystów i tłumaczów z francuskiego, których imię, jak i liryków ówczesnych, legion, wyróżniał się, mniej talentem, niż wyborem tematów, wojskowy, unikający jednak tematów żołnierskich — te uprawiał niezmordowany Adam Kosiński, głównie z czasów legionów czerpiąc i niewybredną publiczność niemi entuzyazmując — pułkownik **Leopold Sztyrmer**, pisujący pod imieniem swej żony Eleonory. Pierwsza powieść, „Pantofel, historya mojego kuzyna" (1841), określiła jego sposób ulubiony: ani opowiadał, ani rezonował, ale cieniował subtelniej, wszechstronniej, naturę swoich bohaterów, uprawiał ich psychologię gorliwiej i wytrwalej, niż Kraszewski i Rzewuski, z którymi przekonania konserwatywne i spółpracownictwo w „Tygodniku petersburskim" dzielił, chociaż, jako „Gerwazy Bomba", właśnie na Kraszewskim ząbki krytyczne ostrzył. Bohater pantoflowy, bez woli i energii, był jego pierwszym typem bardzo udatnym; i pomysł i wykonanie opuszczało zwykłe tory, celowało oryginalnością. Wszystkie następne typy wybierał Sztyrmer z domów zdrowia, „Frenofagiusza i Frenolestów" z domu waryatów, „Duszę w suchotach" (analizującą wszystko, oschłą całkiem), „Kataleptyka" i t. d. Z analizą psychologiczną czy psychopatyczną łączył jednak pułkownik wycieczki przeciw duchowi czasu, postępowi, wszechwładzy (mżonkom) rozumu i młodszych do protestów wyzywał, a skoro humorystyczny ton jego i satyryczne wycieczki braku obfitszego wątku powieściowego zastąpić nie mogły, więc popularność jego rychło zblakła; przecież i analiza psychologiczna człowieka o umyśle arcytrzeźwym, nie zdolnym do odczuwania nieskończonych falowań psychicznych, wybredniejszych nie zadowolała; był to coś niby polski

Amadeusz Hoffman, tylko o wiele uboższy fantazyą, pedant i burżua wobec owego romantyka - cygana z płomienną duszą.

Łatwość formy powieściowej; rosnąca z dnia na dzień popularność, wpływowość, zapotrzebowanie powieści; przedewszystkiem nowe hasła, pierwsze kroki emancypacyjne kobiet; nakoniec brak bujniejszego życia umysłowego u mężczyzn — lichą ich naukę równoważyły niemal „talenty towarzyskie" naszych pań, a wrodzona ich żywość gardziła ową ospałością, owym letargiem lat trzydziestych i czterdziestych w kraju, skąd najdzielniejsi wyemigrowali — złożyły się na pojawienie pierwsze liczniejszego, poważniejszego grona autorek. Pań, piszących dla wprawienia języka, w celach dydaktycznych i moralizujących, wznoszących się do sentymentalności, a choćby i fantastyczności, nie brakło i dawniej; niektóre sięgały nawet głębiej w zagadnienia spółczesne czy w dzieje dawne, jak Nakwaska, Jaraczewska i Hofmanowa, ale była to literatura kobieca, nieco blada, bez własnego wyrazu przynajmniej w rzeczach nie specyalnych, trzymająca się ziemi, rutyny, dogmatów nietylko religijnych, ale i towarzyskich, nie wychylająca się z uświęconych norm życiowych.

I tu podziałał przykład francuski; namiętne obrazowanie, energiczne ujęcie się za prawami kobiet, oswobodzenie instynktów indywidualnych kosztem przesądów czy dogmatów, gorące apostołowanie tych nowatorstw przez panią Sand zelektryzowało i kobiety polskie; trudno sobie dziś wyobrazić wpływ czarodziejski niemal, jaki właśnie męczące nas tyrady i nieskończone jej dygresye na ówczesnych wywierały; romantyczka Sand nie mniej, jak Balzak, utorowały drogę kierunkowi realistycznemu, chociaż wpływ bezpośredni pani Sand w naszej literaturze jest nierównie słabszy, niż np. w rosyjskiej; ukazuje się głównie w autorkach, nawet takich, które z najzwyklejszego szablonu, w życiu i w twórczości, nie wykraczały. Np. taka Paulina Wilkońska, wdowa po humoryście, już za życia męża pisująca, redagująca z nim „Dzwon literacki", później próbująca sił, jako prawdziwa literatka, na najrozmaitszych polach, głównie jednak w powieści, uprawiając ją na gruncie poznańskim, poruszając więc tematy specyalne dzielnicy, np. zaborczość germanizacyjną („Obrazek poznański", 1857), zresztą opowiadając najrozmaitsze przygody, rozwlekle, blado, brak inwencyi opisowością sztukując, przez lat z górą trzydzieści (1841 — 1874): pracę jej cenić należy dla uczciwej tendencyi, dla ujmowania się za ludem, występowania

przeciw uprzedzeniom kastowym, sarkania na konwencyonalne małżeństwa; cechował ją duch demokratyczny, bardzo umiarkowany, — antypodem jej była Wojkowska, wielbicielka pani Sand, jako tej, która obudziła kobietę do samodzielności, wyzwoliła z pod ohydnego jarzma jednostronnej opinii, a nieodarła z uroku i poezyi.

Do autorek dawnego autoramentu należała panna Günter na Litwie, talentu bardzo drobnego; wyżej stanęła Ewa Felińska, matka arcybiskupa, chociaż się później pióra chwyciła. W długiem jej życiu (1793 — 1859) przesunęły się najrozmaitsze odmiany ludzi i stosunków, więc gdy „Pamiętniki z życia“ kreślić zaczęła, doprowadziła je zaś do r. 1821, umiała opowiadać o życiu dawnem domowem na Litwie i Wołyniu wszystkich warstw, wiele znamiennych szczegółów; „Wspomnieniami z podróży do Syberyi“ poprowadziła znacznie dalej ową literaturę, umiała patrzeć szerzej i głębiej, niż np. Kopeć; przed temi dziełami, z autopsyi zaczerpniętemi, pisywała powiastki i obszerne powieści, osnute na doświadczeniu własnem, obfitujące w zacne i mądre myśli, acz nie obrobione artystycznie.

Żywszy ruch wzbudziły „entuzyastki“ warszawskie, z najznakomitszą, najoryginalniejszą, najgłębszą **Narcyzą Żmichowską** (Gabryellą) na czele. Były to „piękne dusze“, jakby je Gete wymarzył, uprawiające kult entuzyazmu, idealizowania miłości i sztuki, dyskutujące o najwyższych zagadnieniach ludzkości. Publicznie występowały z poezyami programowemi w „Pierwiosnku“ Pauliny Krakowowej, z powieściami i rozprawkami w „Przeglądzie Naukowym“; najwymowniejszą i najwpływowszą ich rzeczniczką była właśnie „Gabryella“. Na razie, do r. 1850, szła ona torami Słowackiego z „Anhellego“: rozmarzona, w marzeniu najwyższy, najpiękniejszy cel pokładała, rzeczywistością gardziła, a im bardziej jej samej uczucia miłosne niedostępnemi się stawały, tem ogniściej o nich śniła. Zaczęła wedle mody ówczesnej wierszami, z nadmiernym kultem poezyi i wieszczów; „być poetą to światu wielkiemu dumnie panować i gwiazdy nocy, poranku zorze, ciche strumienie, wzburzone morze według swej woli kierować“. Potem sławiła potęgę marzenia, jej Maina to niby Anhelli czy Mieczysław Słowackiego, śniąca sny prześliczne, uśpiona przez dobroczynnego Kościeja w marzenia, napróżno do życia przez siostry, Krasę i Bogutę (niby Martę z ewangelii), budzona, „bo kto ma serce tylko do

czucia, do pieśni, ten niech całe życie prześni, tego zostaw w pokoju“; siły Słowackiego jednak, aby ten świat marzeń, tę kopułę myśli tęczową wystawić, bynajmniej nie posiadała.

Do najdalszych krańców egzaltacyi doszła poetka w prozie poetycznej „Poganki“. Opowiadanie to najfantastyczniejsze, nie liczy się z żadnym warunkiem czasu czy miejsca, narodu czy otoczenia, snu czy rzeczywistości, a raczej plącze wszystko, idealizując artystę, rozgrzeszając go z każdej zmysłowości, tworząc z niej „formę najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiej natury w pełność bóstwa z duchem i ciałem“. Fantazyi, rojeniom artystycznym i miłośnym, związanym nierozdzielnie; kultowi natur demonicznych, wyższych nad przesądy i obowiązki; uczuciu, pochłaniającemu człowieka całego, czyniącemu go niezdolnym do życia celowego, moralnego — poświęca rozmarzona entuzyastka wszystko; cóż znaczą typy płaskie i szare rodziny Beniamina wraz z ich równowagą moralną i spokojnością, wobec tych zachwytów, w jakie wpada autorka na widok twórcy - artysty (Cypryana), bakchantki miłości (poganki Aspazyi), kapłana uczucia (Beniamina)?

Z gorączkowych tych snów ochłonęła poetka nieco w (niedokończonej) „Książce Pamiątek“ (1847), chociaż i w niej impuls „Poganki“ widoczny, przystosowany jednak do Warszawy i jej życia artystycznego i salonowego, przynajmniej w pomyśle. Tym razem Marya Regina, owa egoistka - poganka, która w bracie Romualdzie artystę kocha i poświęca mu z najzimniejszą krwią ofiary serca, byle talent jego nowemi wrażeniami podsycać; ta entuzyastka w teoryi, a wyrachowana spekulantka w życiu, mimo całej „piękności duszy“, czyni wstrętne wrażenie; Romuald, bez woli, jak Beniamin, a mniejszy, niż Cypryan, artysta, sztucznie się podniecać musi do tworzenia i bez mentorki swej zaraz u wstępu swej karyery artystycznej zwichnąłby ją na zawsze; inne osobistości to komparsy, ciekawsze w istocie, niż bohaterowie sami, szczególnie z wdziękiem oddana Helusia, jedna z tych ofiar sercowych. Autorka postąpiła: nie roi już z zachwytem o artyście, depcącym wszelkie uczucia, który, „żeby wyśpiewać piosenkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastraja do gry krwawe żyły *cudzego* serca i przebiera po nich palcami marmurowymi, dopóty dopóki mu artystycznego nie dadzą dźwięku“; wyrzeka już na marnowanie uczucia — „piękne dusze“ poświęciły świeżość miłości dla swych rojeń i przegrały stawkę życiową, zwęziły się i spodliły do-

szczętnie — i kończy wymownym zwrotem: „nie bawię się po dawnemu w subtelności romansowe, nie prawię moim słuchaczom o zorzach na niebie i archanielskich wizyach — czuję, że gwałtowniejsze cisną nas potrzeby, rozpaczliwsza dokucza nam nędza“.

Ten zwrot ku rzeczywistości, uwydatniający się już w niektórych ustępach „Książki Pamiątek“ (np. w przelotnym obrazku z życia złotej młodzieży, kradnącej społeczeństwu procent od swoich zdolności, rodzinie utrzymanie kosztowne, kobietom dobre imię, a jedni drugim pieniądze przy zielonym stoliku), spotęgował się znacznie w czasach większej reakcyi po r. 1850, gdy należało bronić religii przeciw obłudzie i formułkowości, swobody rozumu przeciw deklamacyom o „pysze jego“ i karze za nią, gdy należało walczyć z rezygnacyą, zobojętniałą na wszystko, z brakiem przekonań, z martwotą i apatyą, wśród chaosu pomyłek, kłamstw i zwątpień. W nowej tej fazie zasługi Gabryelli są istotniejsze, czy to, gdy ze swoim Adeodatem fantastycznym, niby z nowym Asmodeuszem, odprawia wędrówkę po salonach i domkach, wszędzie na obojętność trafiając, a mimo to nie rozpaczając: „bracia moi obojętni i uporni, kochać was będę wszystkich, was, co umrzeć zepsuciu, odżyć wyrokiem Najwyższego musicie“; czy to, gdy podań z przeszłości używa, by dowieść, że w czasach najstalszej wiary nie ustrzegano się przed zbrodniami.

Najciekawszy jej utwór to „Biała Róża“. I Biała Róża, jak Marya Regina, żyje podwójnem życiem; zaskorupiła się w skrupulatnem przestrzeganiu „tego, co wypada“, wymagań towarzyskich, nie zdradzała najmniejszego odstępstwa od *comme il faut* — bo tego ją od wczesnego dziecięctwa uczono, wyśmiano i wytknięto każdy śmielszy poryw jej czucia czy myśli — ale to zrzeczenie się praw człowieczych, tę martwą obojętność salonową wynagradzała sobie bujaniem w świecie myślowym, stworzonym w jej główce, rozświetlonym błyskami subtelnej ironii, urozmaiconym najbardziej fantastycznem marzeniem. Lecz nie zadowoliła się autorka wystawieniem takiej dwulicowości, potępiła ona bezwzględnie kardynalne błędy towarzyskie społeczeństwa naszego, przesadę, egzaltacyę, romans, i kapłanka niedawna marzenia z największą gwałtownością bożyszcze swoje rozbiła: „wolę wszystko, co jest śmieszne, zdrożne, zaczepne“, niż marzenie; marzenie jest „szkaradnym nałogiem, jest prostem pijaństwem ze wszystkimi skutkami pijaństwa, lubo

z trochę na pozór odmienną przyczyną... marzenie w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, w nieszczęściu jest niedołęstwem, w zepsuciu jest zagłuszonem sumieniem... w nas, siostro, jest utratą nieba dla kilku chwil martwej rozkoszy“. „Tyle jest do roboty, tyle jest do wyrzucenia z siebie, do odratowania w bliźnich, do wydarcia przyszłości, do odpokutowania z przeszłych grzechów, do zasłużenia cnotami... a ludzie marzą!“

Zdolność wmyślania się w istoty skomplikowane, cieniowanie subtelne wszelkich faz uczucia i myśli, nie obserwowanie zewnętrznego świata i wystawianie większych obrazów, cechują Gabryellę. Zwykły element powieściowy ginie u niej zupełnie, chociaż i w „Książce Pamiątek“ i w „Białej Róży“ nakreśliła ciekawe sylwetki osób i wprawiła je nieraz w ruch żywszy; przeważa zupełnie analiza subtelna, element dydaktyczny, moralizatorski. Czytelnika, rozczarowanego treścią, nie zajmującą w zwykłem znaczeniu słowa, oczaruje tem bardziej styl Gabryelli, oryginalny, pełny finezyi i precyzyi zarazem, wyrzeźbiony, zdradzający potężną osobistość, budzący swego czasu rzetelny podziw (w entuzyastycznych wierszach Balińskiego np.); zajmą jego myśli, głębokie i trafne (np. w owym liście brata do siostry na zakończenie „Białej Róży“); obrazki, acz drobne, ale dosadne owej martwoty z czasów około 1850 r.; zajmie wysoki cel, przyświecający późniejszej jej pracy, udoskonalenia samego siebie, wypracowania dla swej osobistości najbliższego z Bogiem podobieństwa. O porywach emancypacyjnych właściwie nawet mowy nie było; żądania ograniczały się na pdniesieniu poziomu umysłowego kobiety.

Około tego pracowały obok Gabryelli i inne, żadna z taką siłą i głębią, jak ona; nie brak było i rzeczniczek reakcyi; właśnie z szeregu kobiecego piorunowano najgwałtowniej na „pychę rozumu“, w „Pielgrzymie“ Eleonory Ziemięckiej, pierwszej naszej filozofki, która poznała filozofię niemiecką, aby ją zwalczać, aby rozum i wiarę pogodzić, aby „Zarysy filozofii katolickiej“ utworzyć — lecz i ona nie wytrwała w skrajnej negacyi, zdobyła się nawet na tłumaczenie dzieła „O godności rozumu ludzkiego“.

Do żadnego obozu nie należały inne autorki, których późniejsza, długoletnia czynność znacząco już w tym okresie wystąpiła. Najznakomitsza między niemi—**Jadwiga Łuszczewska** (Deotyma), słynna improwizatorka, bogata w obrazy, rymy i słowa, darem tym chętnie się popisująca już od wczesnej młodości. Zbiory jej im-

prowizacyi i poezyi wychodziły od r. 1854: tematy ich ogólnikowe, refleksya przeważała, z głowy one, nie z serca czerpane; brakło im czucia ciepłego, którego retoryka zastąpić nie mogła. Autorka sięgnęła niebawem po temat wielki, o który się od dawna, od czasów klasycznych jeszcze, zawsze na próżno kuszono: jej „Polska w pieśni“ miała opiewać przełomowe chwile i postaci dziejów ojczystych. Na nieszczęście jednak sięgnęła ona zbyt daleko wstecz; pierwsze dwa tomy (z r. 1859 i 1860) objęły tylko „Lecha“, „Wojnę Olbrzymów“, „Wyszymira“ i „Dwunastu Wojewodów“. Są to wszystko postaci, nie realne, historyczne, nawet nie podaniowe, wymęczone przez kronikarza dla zapełniania luk, nic nie mówiące same przez się — goła tablica.

Kogo stać na głębokie idee i świetne, poetyczne ich przeprowadzenie — Słowacki może się śmiało o nie kusić i historyę - alegoryę tworzyć, bajeczny świat wskrzeszać; mniejsze talenty zawsze pod niewdzięcznem brzemieniem upadną; ich retoryczność i fantastyczność nie zastąpi braku myśli i motywów. Więc taki Wyszymir np. będzie tylko męską repliką Wandy, i polski Rytygier do morza skoczy; z Lecha, z fałszywej formy wysmażonego od erudytów bohatera - eponima, powstanie mglisty jakiś „ojciec przyszłości“ z czołem, jak niebiosa, olbrzymiem i podobnemi amplifikacyami. I nie o wiele lepszy dalszy ciąg: „Gonitwy w dolinie Prądnika“, trylogia dramatyczna o Krakusie i Wandzie (wydane dopiero w r. 1887), pomimo wysiłków autorki, nawet tło przyrody na podstawie własnych wycieczek górskich, jak najdokładniej oddać. Panuje tu ta sama fantastyczność operetkowa i ta sama retoryczność, szafująca nowożytnemi ideami, aż do emancypacyi kobiet i szalbierstwa kapłanów; w jednym punkcie jednak postęp widoczny: ciężkie przejścia, osobiste i krajowe, pogłębiły nadzwyczaj uczuciowość sympatycznej autorki, przez słowa jej przebija żal i żar sercowy, gorętsze one, namiętniejsze.

Największe dowody talentu złożyła Deotyma w najpóźniejszych swych utworach, w prozie i wierszu. Powieści, szkice z podróży, literackie, pisywała ona od dawna — czytelników zdobyły tylko jej wielotomowe „Branki w jassyrze“ (1889). Nie o jassyrze tatarsko-ukraińskim tu mowa, ale o owym pierwszym, mongolskim, gdy wylew z Azyi środkowej Wschód europejski zatopił. Studya do dzieła robiła autorka bardzo wszechstronnie, i historyczne — dzieje mongolskie, urządzenia i t. d. opowiedziano z nadmierną

nieraz dokładnością,—topograficzne — drogę do Bajkału, którą jej branki odbywają, sama przecież za ojcem poznała: właśnie opisowość stanowi jej siłę. Temat jedyny w swoim rodzaju, daleki od ubitych torów naszych powieściopisarzów, wzniosła myśl przewodnia o cudach poświęcenia i wytrwałości, efektowne opowiadanie o ofiarach zarazy i cudownem ich wyleczeniu powieści tej na długo powodzenie zapewnią.

A podobnie wzniosła się ona i w epopei; porzuciła zamierzchłe czasy, bo w ich bezbrzeżnej pustyni poeta się mimowoli gubi, a zwróciła się do ostatniego przebłysku rycerskiej przeszłości i wyśpiewała „Sobieskiego pod Wiedniem“ (tom pierwszy w r. 1895 wydany). Całość rozpada się na pojedyńcze śpiewy, tonem i treścią odrębne; pierwszy przypomina Kochowskiego; treść jego waży się „między niebem a ziemią“, alegorya to walk Wschodu i Zachodu, występują aniołowie - opiekunowie państw przed tronem Wszechmocnego i rozpierają się nawzajem: pomysłami teologicznymi nie gardziła poetka.

Inne śpiewy za to całkiem ziemskie, realne, opisują, stylem niemal gawędowym, z makaronizmami w mowie, szczerze a jędrnie, co się „pod Hollabrunem“ i „w Stetteldorfie“ działo; nie idealizują one przedmiotu, nie ukrywają wad i śmieszności i działają tam skuteczniej. Po wszystkich nieudałych obrazach ostatniego rycerskiego dzieła europejskiego — najpiękniejszy to, przemawiający do fantazyi i serca; czego Pol ledwie tknąć śmiał, Lenartowicz próżno próbował, dokonała autorka, zajęła miejsce wolne na Parnasie; ona i Konopnicka stworzyły obie najudatniejsze epopeje w czasach poromantycznych, które właśnie o epopei zupełnie zwątpiły.

Wobec Deotymy, jej świetnego języka i wielkich pomysłów, wydają się nam Seweryna Duchińska (Pruszakowa) i Marya Ilnicka ptakami bardzo drobnego lotu. Spólna im praca długoletnia, wytrwała, choć skierowana na pola odmienne. Duchińska zaczęła „Powieściami poetycznemi“ (1855) w guście ówczesnym, reakcyjnym (sarkania na pychę naszego skromniutkiego rozumku) i gawędowym, nawet kontuszowym; tok języka i wiersza, gładki i poprawny, szlachetne zasady, prostota wymysłu i wystawienia jego ujmowały niewybrednych; niżej stały jej „Obrazki dramatyczne“ i „Powieści naszych czasów“. Potem dopiero, inaczej, niż Hofmanowa, oddała się literaturze dla dzieci, spoczywającej u nas stale w ręku

kobiet, i wydawała „Rozrywki dla młodocianego wieku“ (1856 — 1863); przesiedliwszy się do Paryża przestała tworzyć oryginalnie, oddała się tłumaczeniom z obcych języków, przeważnie romańskich (Antologia poetów francuskich XIX wieku i liczne inne) i przez długi szereg lat (1870 — 1900) umieszczała w korespondencyach z Paryża do „Biblioteki Warszawskiej“ obszerne sprawozdania z ruchu umysłowego francuskiego, streszczenia ksiąg i t. d., dokładne i obfite, chociaż wybór jej nie zawsze na najważniejsze objawy padał.

Całkiem na redaktorkę wyszła Ilnicka, prowadząc „Bluszcz“ od r. 1865, począwszy swój zawód tłumaczeniami z Walter Scotta, Longfellowa, Ossyana i t. d., powieściami, wierszem i prozą, dramatami. Obie panie pracowały więc pierwotnie w tym samym kierunku: wyszły od życia wiejskiego, z zażyłości między dworem a gminą patryarchalną i motywy wiejskie, ludowe opracowywały z lubością; Duchińska próbowała własnemi „Jasełkami“ zastąpić ludowe dramaciki Gwiazdkowe; Ilnicka w „Illustrowanym Skarbczyku polskim“ pragnęła dzieło Niemcewicza w tonie więcej ludowym wznowić. Ideałów nie szukały po za sobą; oddawały się ścisłej pracy, Duchińska sama układając materyał powieściowy, historyczny, literacki dla swej młodzieży, Ilnicka dla „anielskiego“ Bluszczu własne pisząc, a obce pociosywając *(ad usum Delphini)* powieści; Duchińska stanęła wyżej wykonaniem niejednej trafnej sylwetki literackiej, o Drużbackiej, Brodzińskim, Maryi księżnie Wirtemberskiej, Zaleskim i in. Nowe prądy ani entuzyastek niegdyś, ani emancypantek potem—nie oderwały ich od gruntu rodzimego; nie sprzyjały one fantazyi romantycznej; czepiały się ziemi, ludu, przeszłości, służyły prawdzie, miłości, nadziei. Duchińska stanęła i w tłumaczeniach wyżej, sięgając nietylko po pieśni o Rolandzie i o Cydzie, lecz nawet do Petőfiego i do Kalewali.

Cały ten okres bogaty właśnie w tłumaczenia, rozszerza znacznie ich okrąg. Dotąd wciągano weń tylko literaturę klasyczną i francuską; o jedną i tą samę tragedyę Rasyna czy Woltera kusiło się kilku naraz tłumaczów, a rzeczy stokroć cenniejsze leżały zupełnie odłogiem. Z rutyną tą zerwał romantyzm; jedną z jego celniejszych zasług było właśnie rozszerzenie widokręgu polskiego na literatury germańskie, romańskie, wschodnie, na przyswajanie rodzimemu językowi skarbów Byrona i Moore'a, Szylera i Getego, Petrarki i Dantego, pieśni nowogreckich i gazel arabskich; Mickiewicz sam (tłumacz Giaura i ustępów z Szylera i t. d.), Odyniec, Korsak i inni, aż do skromnego ks. Ślązaka, Bącyka, występowali tu raczej dorywczo; inni systematyczniej pracowali, klasyków greckich przekładali: Małecki, Zygmunt Węclewski, Siemieński, Kaszewski; Krajewski i Ludwik Jenike, wydawca długoletni „Tygodnika Ilustrowanego“, tłumacz Getego (Torquato Tasso, Ifigenia i in.). Szekspira tłumaczył licho ks. Hołowiński (Kefaleński, wyszydzony w „Beniowskim“), lepiej Komierowski i Paszkowski; Kalderona Słowacki i Baliński i t. d. — nie mówiąc o tłumaczeniach belletrystycznych, rzucających się na wszystko, na Dikensa i Takeraja, na Fryderykę Bremer i Andersena, na Azeglio i Edgara Poe. Znajomość literatur obcych wzrastała szybko, chociaż duchem ich właściwie się nie przejmowano, od swojskości nie odstępowano; zgorzkniały pesymizm Heinego i Musseta znajdował mało oddźwięku, np. u Syrokomli; zbogacały się za to język i formy.

Tak kończył się najświetniejszy okres literatury. Postęp jej nadzwyczajny przechodził najśmielsze marzenia; od r. 1801 i jego rozpaczliwego położenia, bez wyjścia niemal, wzniosła się ta literatura w przeciągu tylko dwu pokoleń, 1830 i 1861 roku, do niesłychanej wysokości. Pierwsze z tych pokoleń przygotowało raczej wytężoną pracą kulturalną, zaczepiającą o najżywotniejsze tradycye, ziemię dla bujnego plonu; drugie go wydało. Co zaś było nadzwyczajnem, co się nigdzie w świecie nie powtórzyło: emigranci, walczący nieraz z nędzą materyalną, nie podtrzymywani ani zachęcani przez nikogo, na obczyźnie, stwarzają literaturę narodową, świetną, jakiej najszczęśliwsze, najbogatsze narody zazdrościć muszą, a nie tylko od dzieł, lecz i od samych twórców bije blask siły moralnej niespożytej. W kraju, przy mniejszych talentach, mniejsza i zasługa, ale rzetelna: z odrętwienia chwilowego, przerywającego pracę owocującą, otrząśnięto się zupełnie i już po połowie okresu, po r. 1845, przeszła rola dominująca z emigracyi napowrót na grunt rodzimy.

Literatura, dotąd zawsze na cudzym pasku wodzona, zdobyła odrazu samoistność; wyraziła ducha narodowego w całej pełni, stanęła po raz pierwszy równolegle obok każdej innej literatury świata; żeby ten postęp należycie ocenić, należałoby literaturę tę porównać z innemi słowiańskiemi. W twardej szkole zmężnieli, zahartowali się pisarze nasi; rezygnując ze szczęścia osobistego, oddani swej służbie, wytężyli fantazyę i uczucie i stworzyli dzieła nieśmier-

telne. U podnóża tego Parnasu pracowała literatura w kraju, skromniej, bez wysileń tytanicznych; wykuła za to ów podkład niezbędny; wywołała i zaspokoiła sama potrzebę książki polskiej, czasopisma, dzieła scenicznego; w ślad za literaturą powstawała po raz pierwszy i rodzima sztuka polska.

Żeby uprzytomnić sobie cały ów postęp olbrzymi, należałoby porównać stan literatury około roku 1830, ze stanem w trzydzieści lat później: *quantum mutatus ab illo,* zawołalibyśmy z Owidyuszem! Nie o mnogość wydawnictw, czy autorów, ani o rozmaitość ich stanowiska i form tu chodzi; rozstrzyga to, że ich sztuka o najwyższe, ogólnoludzkie zagadnienia się kusi, nie tracąc charakteru narodowego; że w żywym związku z prądami europejskimi, w sztuce i nauce panującymi, nie tylko dla uprzystępnienia ich swoim pracuje, lecz sama myśli, tematów, form przysparza; że, zacząwszy od naśladownictwa, zawisła od potrącenia z zewnątrz, wydaje uczniów, którzy mistrzów w tyle zostawili; że dowiodła w nich rasa słowiańska, jakie wyżyny ducha i artyzmu są jej dostępne. Gmach literatury narodowej odrazu wzniesiono do nadzwyczajnej wysokości, nie prześcigniętej nigdzie; pozostało zadanie — rozszerzać go, dobudowywać w szczegółach, stosować odmiany, jakich wymagał duch czasu, chronić go od szwanków wszelakich.

Duch czasu zmieniał się jednak szybko. Z szałów i zapałów romantycznych otrząśnięto się zupełnie: wypadki same przyczyniały się do tego najbardziej. Co raz wyraźniej zaznaczał się przewrót, z którego pierwszymi objawami spotykaliśmy się już w dramacie i powieści spółczesnej, ów zwrot ku prozie życiowej, ku obserwacyi dokładnej, ku stosunkom, ludziom i konfliktom codziennym, ku realizmowi w sztuce i w poezyi, temu samemu, co zawładnął już myślą i wiedzą, gdzie od wielkich konstrukcyi filozoficznych, od svstematów i teoryi, przeszło się do badania życia samego we wszystkich jego objawach, do badania praw, rządzących przyrodą i człowiekiem. Obok pozytywizmu i realizmu, materyalizmem przezywanych, zgłaszały się coraz uporczywiej dążenia socyalne, polepszenia bytu, podniesienia materyalnego, bez którego moralności niema. Nie tylko w nauce i życiu społecznem nurtowały te prądy; wystąpiły one i w literaturze pięknej; one stanowią też cechę doby następującej, najnowszej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

LITERATURA NAJNOWSZA (1864 — 1903); JEJ TŁO; PROZA HISTORYCZNA.

Rozwój umysłowy w Galicyi, w Poznańskiem i w Królestwie. Historya, dzieje literatury i krytyka.

Nową katastrofę wywołały polityka romantyczna, wcielająca poezyę w życie, nie licząca się z siłami, kusząca się z motyką na słońce, idąca łatwowiernie na lep każdej ułudzie; fatalny zbieg okoliczności; przyczyny inne, głębsze. Z katastrofą polityczną i jej klęskami nieuchronnemi splotła się wielka reforma włościańska, zmieniająca od razu podstawy ekonomiczne naszego społeczeństwa. Wobec tych ciosów i zmian musiały, gdy pierwsze przygnębienie minęło, wziąć górę reakcya krytyczna, obliczanie się z pozostałemi siłami i z nowymi warunkami; rozstanie się z ułudami, z zasadą „im gorzej — tem lepiej"; praca, mniej głośna, wytrwalsza za to i wszechstronniejsza; porównywanie, w swym wyniku bardzo smutne, naszego rozwoju z rozwojem narodów ościennych, wykazywanie jego niedoborów, pragnienie gorące wydobycia się z zastoju i zacofania. Równocześnie nieraz w całkiem odmiennym duchu i kierunku, odbywa się i rewizya ubiegłego procesu dziejowego, trwa praca nad wzmożeniem sił narodowych; literatura nau-

kowa i artystyczna walkę tę żywo odczuła, kierowała nią i dotąd się nią przejmuje.

Wprawdzie zwęziła się znacznie podstawa tej literatury; zaczęła się ona wycofywać z dawnych kresowych pozycyi, uszczuplały się rozmiary jej pola działania; za to wzmogły się napięcie i wydatność tej pracy.

Wzmogły się one najrychlej i najbardziej w Galicyi. Nowe klęski państwowe podcięły w roku 1866 na zawsze centralizm austryacki, rozwiały złudzenia hegemonów wiedeńskich, zniszczyły zakusy utrzymania blichtru niemieckiego w kraju odwiecznie słowiańskim. Pożegnano się więc z nimi na zawsze i wcale szybkim krokiem dokonało się za rządów Agenora Gołuchowskiego ukrajowienie urzędów, szkoły, administracyi niemieckiej; tylko w wojsku ostała się niemczyzna, chociaż i tu uczyniono ustępstwa konieczne. Obok polskiego przyznano i językowi małoruskiemu prawa w szkole i urzędzie, dano mu sposobność i pole do rozwoju. Autonomia prowincyi, wolność prasy i stowarzyszeń, życie parlamentarne wywołały nadzwyczajny ruch polityczny z zabarwieniem społecznem coraz wyrazistszem; niebawem zarysowały się ostro partye, konserwatywna i postępowa, których zarodki r. 1848 sięgały, z przeciwieństwami stanowemi, szlacheckiem i mieszczańskiem; stronnictwo postępowe rozwijało się w coraz bardziej radykalnym, wreszcie socyalistycznym kierunku, aż nastąpiło rozszczepienie.

Konserwatywne koła krakowskie łączyły się z „podolskiemi"; przeciw nim stawały głównie Lwów, miasta, potem i gminy wiejskie. Najzdolniejsi rzecznicy konserwatyzmu, Stanisław Koźmian, Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, zespolili się w „Czasie" i w „Przeglądzie Polskim" na arenie publicystycznej, nie gardząc i bronią satyry, kiedy tymczasem w boju politycznym zakulisowym wodził rej Grocholski. Najznamienniej wystąpiła trójca krakowska w „Tece Stańczyka", i od niej całą partyę Stańczykami przezwano; szereg to listów luźnych, wydawanych w „Przeglądzie Polskim" roku 1867, walczących na kilka frontów, tak przeciw demagogom i rewolucyonistom, jak i przeciw karyerowiczom; listy, dowcipnie, nieraz z gryzącą ironią pisane, chłostały i nasze Egerye polityczne i wybryki lwowskie i *liberum conspiro,* pod alegoryą, aż nadto przejrzystą, albo i bez obsłonek. „Tygrysów" odgryzał się, jak mógł, ale ciętością nie dorównywał; pozycya Stańczyków nie była

łatwą do zwalczenia: przemawiali oni w imię rozsądku i rozwagi i nieobawiali się niepopularności, wyzwisk od „straży pożarnej", od gasicieli ducha narodowego.

Dziennikarstwo lwowskie walczyło z sobą w imię rozmaitych programów, a raczej rozmaitych osobistych antypatyi; próby zaszczepienia liberalizmu w Krakowie samym długo się nie powodziły, równie, jak i konserwatyzm we Lwowie nie prosperował; tu ostatecznie pisma demokratyczno - narodowe, „Słowo Polskie" i „Kuryer Lwowski" (ten z odcieniem radykalnym) wzięły górę i na czele dziennikarstwa galicyjskiego kroczy dziś „Słowo Polskie", liczące nad 12,000 odbiorców; powagi i wpływu „Czasu" w Krakowie jednak nie obalono. Dawnej politykomanii, kombinacyi wielkich, nikt już nie uprawia; pisma służą wyłącznie interesom krajowym, rzeczy zagranicznych uwzględniają mało (najwięcej jeszcze „Czas"). Osobnych tygodników — nie licząc dodatków belletrystycznych, np. Tygodnika do „Słowa Polskiego", redagowanego starannie przez Kasprowicza, hołdującego modernizmowi — ani miesięczników (prócz „Przewodnika", dodatku do urzędowej „Gazety Lwowskiej") nie stworzono, mimo kilku prób („Tydzień" i in.) we Lwowie; w Krakowie utrzymał się do dziś, pod redakcyą Tarnowskiego, potem Mycielskiego „Przegląd Polski", i polityce i teatrowi (krakowskiemu) poświęcający wiele miejsca, zaniedbujący nieco dział belletrystyczny (prócz w recenzyach), bogaty za to w rozprawy literackie, historyczne i ekonomiczne, „Przegląd Powszechny" Jezuitów w Krakowie uwzględnia i rzeczy wiary i kościoła; dział belletrystyczny uprawia jeszcze mniej.

Równie, a raczej jeszcze silniej ożywiło się życie naukowe; dwa uniwersytety i do godności Akademii Umiejętności wyniesione dawne Towarzystwo Naukowe krakowskie kierują niem teraz. Akademia krakowska warsztatem pracy naukowej polskiej, oczem Szujski zawsze marzył, rzeczywiście się stała; wydała po pracy trzydziestoletniej 472 tomy i z 660 instytucyami zagranicznemi stały utrzymuje stosunek; najruchliwszy w niej wydział, historyczny, ogłasza, prócz rozpraw i dzieł, dawne korespondencye dyplomatyczne (Witolda, wieku XV, Zebrzydowskiego, Hozyusza i t. d.); dyaryusze sejmowe; akta prywatne i publiczne Sobieskiego czy domu św. Barbary (Jezuitów); urządza wycieczki naukowe do Rzymu i t. d. Wydział filologiczny uprawia w pierwszym rzędzie dzieje języka

i piśmiennictwa, wydaje latynistów polskich przed Kochanowskim, bibliotekę dawnych pisarzów polskich.

Uniwersytet krakowski, chwała niegdyś narodu i zasługa jego, znalazł gorliwych zbieraczów materyałów i historyografa: skrzętny Żegota Pauli, niezmordowany w gromadzeniu i wypisywaniu zewsząd najcenniejszych rzeczy, przygotował pierwsze tomy kodeksu „dyplomatycznego"; Władysław Wisłocki wciągnął się całkiem w dzieje szkoły, jej instytucyi i magistrów; ze skrupulatną pilnością, z wielką bystrością i znajomością odległych czasów, dzieł i ludzi, wydał on i katalog jej rękopisów i inkunabułów i wykładów rocznych — najwymowniejsze świadectwa ruchu i ducha, ożywiającego niegdyś szkołę narodową; opracował zapiski sądów rektorskich z XV i XVI wieku: najciekawsze źródło życia potocznego, nieraz wielce burzliwego, mistrzów i scholarów. Zadanie historyografa, budującego z materyałów, dostarczonych głównie przez innych, objął filolog, Kazimierz Morawski (Poznańczyk); jego „Historya uniwersytetu" obejmuje tylko epokę świetności szkoły, lata 1400 — 1520, nie wyczerpuje i tu wszystkiego, ale napisana z taką miłością przedmiotu, z wiedzą i smakiem, na tle tak obszernem, że wznosi się wysoko ponad miarę przeciętnych dziejów uniwersyteckich. I Lwów zdobył się na dzieje swojej szkoły, późnej, skromnej, przez długie lata obcej.

Największego postępu, przewrotu doczekały się studya historyczne. Młodzi pracownicy — a przyświecali im Helcel w pojmowaniu, Szajnocha w przedstawianiu epok — nieraz wyszkoleni u najznakomitszych mistrzów zagranicznych, zaciągnęli się w długim, coraz rosnącym szeregu do gruntownego zbadania dziejów ojczystych. Nęciły najrozmaitsze widoki: jeśliż historya *magistra vitae,* toć dla zwyciężonych i osłabionych nauki jej, podwójnej wartości być muszą; nęciła sama świetność tych dziejów, tem widoczniejsza, im bliżej je poznawano; pokazywało się, że niewyczerpane tu pole dla sprostowania fałszerstw (np. dokumentów krzyżackich) lub najrozmaitszych baśni, które po różnych wrogich nam mózgownicach się wylęgły nato, aby nieopatrzni Polacy sami, z Długoszem na czele, za prawdę je przyjmowali, np. baśń o złamaniu przysięgi przez Władysława Warneńczyka, bo Węgrzy nie tylko króla swego bohaterskiego na rzeź wydali, ale i pamięć jego zelżyli, aby własną winę jakoś ukoloryzować; należało wyjaśnić

przeszłość, ocenić jej zasługi i winy. Na czele historyków stanęli **Józef Szujski** i **Waleryan Kalinka.**

Szujski zerwał się wcześnie do wydania obszernych dziejów polskich; w pierwszym tym ich, czterotomowym zarysie nie uwolnił się jeszcze od panującego (z łaski Lelewela, Moraczewskiego i Wróblewskiego) „republikańskiego" nastroju, od którego go dopiero świeże wypadki i pogłębienie studyów odwiodły. Potępił on teraz, jako działacz polityczny, ruchy niepolityczne, wybujały indywidualizm, brak silnego rządu, wszystko, co do katastrofy końcowej wiodło — zabrnął nawet zbyt głęboko, bo pociągał do odpowiedzialności, składał winę i na humanizm, który miał odhartować charaktery, i na reformacyę, podkopującą jedyną niezachwianą powagę Kościoła. Z nowego, „stańczykowskiego" punktu widzenia całości dziejów już nie wyłożył obszerniej, ponieważ jego „Ksiąg dwanaście dziejów polskich" zbyt nato treściwe i zbite; ale w szeregu studyów i odczytów myśli nowe przeprowadzał; forma świetna porywa, każe zapominać o paradoksie, jednostronności, stronniczości. Gdy się tak Szujski na szkice rozpraszał i z dziejów świeższych do dawniejszych, do wieków potęgi i chwały, do Kazimierza Wielkiego, jak Helcel się cofał, obrał Waleryan Kalinka, już ksiądz (Zmartwychwstaniec), właśnie chwile gasnącej rzeczypospolitej, „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta" i „Sejm Czteroletni" (którego już nie dokończył) do wystawienia wielkiego obrazu. Zwolennik monarchizmu i katolicyzmu, starał się zrehabilitować króla, umniejszyć zasługi przywódców polityki przeciwnej, sprawdzić wyrok, wydany przez obrońców Konstytucyi Trzeciego Maja. Dzieło to, oparte na gruntownych badaniach archiwalnych, acz wszystkich tajemnic i sprężyn ukrytych nie odsłoniło; acz się ogranicza do skreślenia akcyi politycznej, domowej i zagranicznej, a nie bada stanu społeczeństwa; acz się z predylekcyami nie ukrywa i morałów nie skąpi,— imponuje świetnemi charakterystykami ludzi, spraw i stronnictw, trafnymi wywodami, znakomitym stylem; nie oszczędzało ostrej prawdy i niejednę iluzyę rozwiało.

Od nich obu — a przyczepiano do nich i niezdarę, Antoniego Walewskiego, niewczesnego obrońcę lojalizmu, chorującego na legitymizm i bigoteryę i dyskredytującego tylko Kraków — wywodzono początek osobnej „szkoły krakowskiej", która całą przeszłość rozpatrywała z punktu upadku państwowego, w całej przeszłości szukała tylko momentów, osłabiających wiązadła państwowe, i nie

objektywnie, lecz owem z góry narzuconem kryteryum mierzyła sprawy i ludzi.

Najjaskrawiej wystąpił, najżywsze też protesty wywołał Michał Bobrzyński „Dziejami Polskiemi w zarysie“ (kilka wydań i tłumaczeń); widziałby on chętnie Polskę silną i rządną, więc bezwzględnie każdy ruch, stronnictwo, osobistość niemal, tylko z tego punktu oceniał; jego zarys to nie przedmiotowe przedstawienie, jakim Szujskiego zarys być zamierzał: z pod pióra prawnika i polityka wyszedł niesprawiedliwy raczej akt oskarżenia ludzi i czasów, *post festum* do tego. Inne jego rozprawy dotyczą wyłącznie osób i dzieł prawników i polityków, Włodkowica, Ostroroga, Zaborowskiego; najpiękniejszą rzecz, o Długoszu, razem ze Smolką napisał, na zakończenie Długoszowego wydawnictwa pomnikowego (hr. Przeździeckiego).

Dzieła innych historyków krakowskich tych uprzedzeń nie dzielą. Tadeusz Wojciechowski większej całości dotąd nie utworzył; oddaje się badaniom specyalnym, od początków społeczeństwa, śledząc je nawet w imiennictwie osad, aż do dziejów katedry krakowskiej, posługując się ulubioną swoją metodą odwrotową (od znanych do mniej znanych czasów); studya jego, nie przeznaczone dla szerokich kół, odznaczają się nadzwyczajnym darem kombinacyjnym; drobne szczegóły, pomijane przez innych, wiąże autor i rozświeca nimi zamierzchłe czasy.

Stanisław Smolka, po pierwszem świetnem dziele („Mieszko Stary i jego wiek“) pisał już tylko szkice, ciekawe treścią, wykwintne formą, głównie z przełomowych czasów XIV i XV wieku; w „Mieszku“ sięgnął był w wiek XII i odtworzył nie same dzieje książęce, lecz całą epokę, wyzyskując najlżejsze napomknienia kronik czy aktów, dorabiając do nich tło obszerne, malownicze.

Najruchliwszym między nimi jest Franciszek Piekosiński, niestrudzony wydawca dzieł heraldycznych, genealogicznych, aż do zapisek sądowych wielkopolskich, dyplomataryuszów małopolskich i krakowskiego, rachunków dworskich Jadwigi i Jagiełły. Imię jego rozgłosiła najbardziej teorya najazdu, pokutująca od wieku u naszych i obcych historyków, coraz inaczej pojmowana. W krzyżach, podkowach, strzałach naszych znaków herbowych odkrył on znaki runicznego futorku (alfabetu) i kazał szlachcie polskiej pod „stanicą“ Popielową z nad Łaby przed naciskiem Sasów i Karola Wielkiego nad Gopło i Wisłę wyruszać i tubylców podbijać — pod-

trzymywał tę teoryę najrozmaitszymi argumentami, nie zauważył jednak, że podobne, jak w Polsce piastowskiej, stosunki panowały i na innych ziemiach słowiańskich, np. u Czechów, gdzie się jednak bez teoryi najazdu obchodzą; gdyby nawet rzeczywiście Jastrzębcy, Pobogi i Leliwy runiczne znaki na swych pieczęciach nosili, możnaby to zawsze jeszcze wytłumaczyć czem innem, np. związkami z nordmannami dawnymi — wielki Kanut jest przecież synem Świętochny Mieszkowej, nie koniecznie najazdem tych, którzy niby Polskę zdobyli, a siebie samych bronić nie umieli nigdy.

Innych zasłużonych historyków i prawników krakowskich, Wincentego Zakrzewskiego, pracującego nad dziejami XVI wieku, nad Batorym i reformacyą; Bolesława Ulanowskiego, niestrudzonego wydawcę źródeł najrozmaitszych, głównie do dziejów kościelnych; Wiktora Czermaka, zwracającego się w swych „Szkicach“ (z czasów Jana Kazimierza) i do szerszej publiczności; Karola Potkańskiego, studyującego czasy przedhistoryczne i średniowieczne, możemy wspomnieć tylko pobieżnie.

Z filozofów wymieniamy Stefana Pawlickiego, niegdyś wolnomyślnego docenta warszawskiego, księdza potem, dziś prawomyślnego profesora filozofii, badacza jej dziejów w starożytności, znakomitego stylistę i głębokiego jej znawcę, nieuprzedzonego nadto, nawet gdy o Renanie pisał; i najzdolniejszego apologetę, ks. Maryana Morawskiego, Jezuitę, w „Wieczorach lemańskich“ i w „Filozofii“ gruntującego, w poważnej treści i wykwintnej szacie, nieomylność katolicyzmu, jako jedynej kotwicy zbawienia.

Ale w Krakowie nie sami księża filozofię piastują; wprawdzie jej profesor drugi, Maurycy Straszewski, badający głównie stosunek filozofii (dotąd wschodniej) do religii, prawowiernością i księży prześcignąćby zdołał; za to Wincenty Lutosławski, wychowanek i docent uniwersytetów rosyjskich, póki w Krakowie wykładał, zupełnie niezawisłe zajmował stanowisko. On jedyny między filozofami polskimi — bo pomimo obojętności rasowej przeciw wszelkiej abstrakcyi i mimo dawnych i modnych szyderstw pozytywistów-społeczników i materyalistów-przyrodników przeciw wszelkiej metafizyce, dziś o filozofach polskich, nawet w Warszawie, mówić możemy — na samoistny zupełnie pogląd na świat się zdobył, na system monad wyższych, podnoszących niższe. Pracuje on w dwu kierunkach, to oddany głębokim badaniom nad Platonem, cenionym głównie (i wydanym) w Anglii, to szerząc „eleute-

ryę“ indywidualistyczną, apostołując dla niej po kraju i w Szwajcaryi, godząc niby mesyanistyczne poglądy (w których ze Szczepanowskim - Piastem się styka) z kampanią przeciw alkoholowi; jego „Wychowanie narodowe“, jego pisma i odczyty, zataczają coraz szersze koła, mimo protestów fachowych ludzi, ale „Seelenmacht“ jego i w krytyce niemieckiej z uznaniem się spotykała. Lecz bliższych szczegółów o filozofii i o innych naukach, geografii i t. d., nie uwzględniając, wymieniamy jeszcze tylko prof. L. Birkenmajera, rozjaśniającego z wzorową pilnością i głęboką wiedzą zapomniane dziś postaci, niegdyś sławne, matematyków i astronomów krakowskich, Króla, Bylicy, Brudzewskiego, Wapowskiego; obecnie dokonywa Birkenmajer dzieła biograficznego o Koperniku.

W historyi literatury, obok zasłużonego monografisty Puław, L. Dębickiego (spółpracownika „Czasu“, gromadzącego w „Tece Dziennikarza“ szkice, barwnie pisane), wystąpił towarzysz jego przekonań politycznych i społecznych, **Stanisław Tarnowski,** zarazem pisarz i działacz polityczny, uczeń niegdyś Klaczki i Kalinki, spadkobierca stylu Klaczki i tłumacz jego „Wieczorów florenckich“, po Józefie Majerze prezes Akademii Krakowskiej. Przez politykę wszedł on do literatury: najpierw zbadał on dawnych pisarzów politycznych, XVI i XVII wieku; opracowywał dalej biografie (Kalinki, Kochanowskiego, Krasińkiego i in.), pisywał znakomite recenzye (np. o Słowackim Małeckiego), wygłaszał swietne formą, a poważne treścią odczyty (o Fredrze w Warszawie, w Poznaniu o Słowackim i t. d.), zanim wykłady uniwersyteckie w obszerną „Historyę“, dotąd pięciotomową i do roku 1850 sięgającą, którą i dalej prowadzi, przerobił. Tarnowski to najświetniejszy stylista; jego dzieło o literaturze pięknej (wciągające do niej i literaturę polityczną, bardzo obszernie, i historyczną) samo jest dziełem sztuki, mimo arcyluźnej budowy; opowiada żywo i barwnie, wznosi się do patosu, jak i do ironii, celuje trafną analizą estetyczną i szerokim widokręgiem, chociaż, jak to u nas bywa, ze szkodą dla historyi i literatury; autor innych Słowian nie uwzględnia: literatura polska zyskuje zaś właśnie, najbardziej uwydatnia się jej wielkość i potęga i znaczenie, gdy ją z rosyjską, czeską lub chorwacką porównywamy, nie tylko zawsze o porównaniu i wpływach, rzadkich niemieckich, o wiele ważniejszych francuskich i angielskich, a niegdyś i włoskich, myślimy. W sądach swych kieruje się Tarnowski stale wrażeniem piękna, chociaż nie docenił

Słowackiego, a przecenia Krasińskiego; i co do innych pisarzów, np. Kraszewskiego, można się z nim spierać. Mimo to pozostanie „Historya“ najpiękniejszym obrazem naszej literatury; porywa ona formą wytworną, uczuciem gorącem, miłością wszystkiego, co polskie, urozmaiceniem wykładu znacznem; ona nauczy najlepiej cenić i kochać tę literaturę, chociaż jej autor nie zrzeka się bynajmniej predylekcyi czy uprzedzeń, głównie politycznych, ale i estetycznych; Rejowi nie przebaczy gorliwego protestantyzmu, Goszczyńskiemu i innym demagogicznych czy rewolucyjnych zapędów.

Obok Tarnowskiego, którego liczne i ważne pisma polityczne pominąć musimy, wymieniamy Józefa Tretiaka, autora pięknego dzieła o młodości Mickiewicza, kowieńskiej i odeskiej, i szkiców literackich, głównie XVIII i XIX wiekowi poświęcanych, i Maryana Zdziechowskiego, jedynego u nas znawcę literatur słowiańskich, kreślącego szerokie obrazy, Mesyanizmu i Słowianofilstwa, albo wpływu Byrona na literatury słowiańskie, albo odrodzenia literatury chorwackiej; specyalnością jego pozostaje wiek XIX; odznacza się on pięknością formy i przejęty ideą religijną „przeczeniów“ nie znosi, szuka ducha wierzącego w literaturze francuskiej i entuzyastycznie go wita... Literaturę niemiecka studyuje i ocenia J. Flach.

Dalej—znakomity badacz dziejów dawnego teatru, Stanisław Windakiewicz, dawną literaturę na najszerszem tle europejskiem studyujący, bystry spostrzegacz i wytworny stylista; Tadeusz Grabowski, uwzględniający zaniedbaną u nas historyę krytyki literackiej, znawca literatury francuskiej; bracia mazanowscy, Antoni, autor studyum o „Młodej Polsce“, nie upadający u stóp jej w zachwyty ani miotający się na nią z pianą w ustach; Kurpiel (znawca literatury XVIII wieku, szczególniej Krasickiego); Czubek (zasłużony biograf Kochowskiego, Potockiego W. i Paska). Józef Kallenbach, profesor niegdyś fryburski, dziś bibliotekarz Krasińskich, autor znakomitego studyum psychologicznego o Mickiewiczu, dziś pochłonięty wydawaniem spuścizny literackiej i korespondencyi po Zygmuncie Krasińskim. Konstantemu Górskiemu, wahającemu się między twórczością, jako liryk i nowelista, a krytyką, w krytyce samej między krytyką sztuk pięknych a literacką, zawdzięczamy studyum o Karpińskim. Teatr ocenia stale F. Koneczny.

Obok historyków literatury i estetyków stanął **Karol Estreicher,** po lwowskiej i warszawskiej wycieczce w Krakowie osiadły, i po pracach o teatrze polskim, po przyczynkach do biografii Pola

i innych, olbrzymiem wydawnictwem „Bibliografii Polskiej“ zasłużony. Piewsze jej tomy obejmowały wiek XIX, następne przygotowały główne dzieło, wyliczenie wszystkich druków polskich XVI do XVIII wieku, doprowadzone dotąd do litery K; dzieło nieocenionej korzyści dla każdej pracy z dawnej literatury; niniejszy zarys gorliwie się z niego zasilał. Nie jest to bowiem suche wyliczenie tytułów i wydań; przy każdym autorze czy dziele podana cała literatura o nich, poruszone wszelkie wątpliwości, powydobywane z przedmów i tekstu ciekawe szczegóły, tak że nabiera się pojęcia i o dziele samem, co przy nadzwyczajnem rozproszeniu dawnych ksiąg polskich studya znacznie ułatwia.

Z historyków sztuki, po Ambrożym Grabowskim, Kremerze, Łepkowskim, po dziele Niemca, Essenweina, o pomnikach krakowskich (1866 r.), zasłużył się Włodzimierz Łuszczkiewicz badaniem zabytków architektonicznych, szczególniej kościelnych, zdejmowaniem planów, odtwarzaniem całości; jeździł on w tym celu po całej Polsce.

W Krakowie samym przystępowano do restauracyi, dawniej jeszcze biblioteki jagiellońskiej, potem Sukiennic i tumu maryackiego; dziś przychodzi kolej na Wawel. Miłośnicy zabytków i miasta wydają „Rocznik Krakowski“ z cennemi rozprawami fachowemi (Kopery, dyrektora muzeum narodowego, R. Lepszego z historyi nie tylko sztuki złotniczej i t. d., lecz i z życia i kultury miejskiej; Kutrzeby z dziejów handlu i mieszczaństwa) i popularyzują w mniejszych wydawnictwach dzieje miasta i zabytków jego; bracia Cerchowie i dr. Kopera wydają pyszne formą „Pomniki Krakowa“.

Szersze badania podejmuje Maryan Sokołowski, od przedhistorycznych czasów do nowszych sięgając, głównie historyą rzeźbiarstwa i malarstwa dawnego, stykami z Bizancyum i sztuką ruską, wpływami zachodnimi (od Norymbergii i Pragi) zajęty.

Jerzy Mycielski bada malarzów polskich za granicą, np. Lubienieckich; przedstawia w pięknej książce „Wiek malarstwa polskiego“, uprzystępnia nam obcych, np. Van Dyka: szeroki podkład historyczny, smak i znawstwo w rzeczach sztuki nadają tym studyom znaczenie wybitne.

Lwów nie pozostaje w tyle, mianowicie co do ścisłej wiedzy. Między historykami jego zaważył Ksawery Liske nadzwyczajną energią; większych dzieł sam wprawdzie nie napisał, ale żywem słowem umiał cały zastęp młodszych pracowników zespolić, około

wydawnictwa lwowskich „Akt grodzkich“ i nadzwyczaj cennego „Kwartalnika Historycznego“, czasopisma, rozprawami i recenzyami ruch wiedzy historycznej popierającego.

Z licznych spółpracowników i uczniów należy wymienić prawnika Oswalda Balzera, nadzwyczaj czynnego, autora pomnikowej „Genealogii Piastów“, wielu cennych przyczynków do historyi prawa polskiego (trybunału i t. d.), podejmującego obszerne wydawnictwa konstytucyi sejmowych i innych źródłowych publikacyi; Aleksandra Semkowicza, redaktora „Kwartalnika Historycznego“; Ludwika Finkla, autora „Bibliografii historyi polskiej“.

Ze starszej generacyi najwybitniejszą siłą jest **Ludwik Kubala** specyalnością jego wiek XVII; w znakomitych monografiach (o Ossolińskim) i szkicach (nadzwyczaj barwnych, przewyższających mocą słowa i plastyki szkice Szajnochy) do znajomości dziwnych tych czasów i ludzi najbardziej się przyczynił; pod ich wpływem powstało „Ogniem i Mieczem“.

Historyą Lwowa specyalnie zajmuje się **Władysław Łoziński**, dawną świetnością miasta, stosunkami jego handlowymi, dziejami jego sztuki czy jego patrycyatu, ale jest to nie tylko historyk obyczajowości, lecz i belletrysta niepospolity (jego „Madonna Busowiska“ to jedna z najlepszych naszych nowel, a nie jedyne to jego dzieło, celuje on i w popularnych opowiadanich, np. o Hanuszu Bystrym i innych); jego też zasługą powstał „Przewodnik naukowy i literacki“, jako dodatek do „Gazety Lwowskiej“, jedyny lwowski miesięcznik, dziś pod redakcyą Adama Krechowieckiego; tu drukował Bronisław Zawadzki ciekawą rzecz o literaturze galicyjskiej, drukuje się korespondencya B. Zaleskiego (wydawana staraniem syna, Dyonizego); liczne monografie, np. ks. Sygańskiego historya Nowego Sącza, najobszerniejsza nasza monografia miejska, i wiele innych przyczynków. Ossolineum zaprzestało wprawdzie wydawnictwa swej Biblioteki, łoży za to koszta na monografie i na wyczerpujący katalog swych rękopisów; wielce zasłużony dyrektor jego, dr. Wojciech Kętrzyński, nieznużony szperacz za zabytkami historyki średniowiecznej i wydawca ich niepospolity; kustosz, Aleksander Hirschberg, po monografiach o Łaskich przeszedł do niezmiernie ciekawych i ważnych dziejów Samozwańców i opublikował wiele pierwszorzędnego materyału.

Historyę kościoła polskiego, od najdawniejszych czasów, bada kanonista lwowski, prof. Abraham; na razie głównie XV wieko-

wi, dziejom jego kultury, wpływów włoskich i bazylejskich, oddał się ks. Jan Fijałek, niezmiernie czynny; najcenniejsze monografie, o Jakubie z Paradyża, Pawle z Brudzenia (nie z Brudzewa, jak go wyżej fałszywie pisaliśmy) jemu zawdzięczamy; najbardziej cenimy w nim swobodę badania, brak uprzedzenia i stronniczości, np. w traktowaniu dziejów kościoła wschodniego. Nie moglibyśmy tego powtórzyć o pracach dr. A. Prochaski, poświęconych wiekowi XV i XVI, ultrakatolickich i ultramonarchicznych, przysparzających jednak wiele materyału i niejednego nowego punktu widzenia; poblizkim czasom oddaje się Papée (Kazimierzowi Jagiellończykowi) i zmarły przedwcześnie A. Lewicki.

Nad historyą Lwowa dawnego, nad związkami z Wołoszczyzną pracuje archiwaryusz lwowski, dr. A. Czołowski; liczne źródłowe publikacye (wielotomowe Aktów grodzkich XV wieku; dyplomataryusza lwowskiego) rzucają pożądane światło na oryginalne stosunki dawnej czerwonoruskiej ziemicy, na której rozmaite narodowości, wyznania, ustroje państwowe się stykały i ścierały.

Historyę Jezuitów w Polsce, na tle nadto obszernem, opracował ks. Załęski, autor historyi masoństwa.

W historyi literatury i w filologii polskiej (zaniedbywanej w Krakowie, gdzie dopiero Lucyan Malinowski lukę zapełnił i cały szereg uczniów przygotował) zajaśniał we Lwowie **Antoni Małecki.** W wykładach, nie spisywanych niestety, obejmował on całokształt literatury; rozprawy poświęcał postaciom Morsztyna i Frycza; monografia jego o Słowackim (wydał i listy jego do matki i pisma pośmiertne) była u nas pierwszą, znakomitą, wyczerpującą, wzorową pracą tego rodzaju, oceniającą i poszczególne utwory i *facultée-maitresse* pisarza, uwydatniającą szczegóły, lecz nie gubiącą się w nich. Jego gramatyka polska przełamała lody: przed Małeckim gubiła się ta gramatyka co najwyżej w płonnem filozofowaniu o języku lub pełzała na samych nizinach szeregowania faktów codziennego użycia; on pierwszy u nas skorzystał z postępów filologii słowiańskiej, z prac Miklosicha, powiązał z nimi historyę języka i wykreślił jej tory. Gdy katedrę lwowską złożył, nie wykonał dzieła, któregośmy się po nim spodziewali: badając życie średniowieczne, wdał się w szczegóły, odwodzące go od dziejów literackich coraz bardziej, do początków narodu, do kwestyi lechickiej, do studyów heraldycznych (tu zajął odrębne od Piekosińskiego

stanowisko) i ekonomicznych; na tem polu zdobywa Nestor naszego piśmiennictwa coraz nowe zasługi.

Uczeń jego, Roman Pilat, z monografiami, nie licznemi ani obszernemi, cennemi krytycznem opracowaniem nowego materyału, organizujący Towarzystwo imienia Adama Mickiewicza, które wydało nie tylko szereg tomów „Pamiętnika“, z najcenniejszymi przyczynkami do genezy i historyi pomysłów i dzieł wieszcza (Tarnowskiego, Spasowicza, Nehringa, Chmielowskiego i wielu innych); przystąpiło ono do znakomitego, iście pomnikowego wydania jego dzieł, rywalizującego z pomnikami ze śpiżu i kamienia, jakie Warszawa i Kraków wystawiły — a w końcu, w duchu poety, który najniechętniej o sobie samym mawiał, przekształciło się w Towarzystwo literackie, pielęgnujące w swoim „Pamiętniku“, w rozprawach i recenzyach, całość dziejów literatury narodowej.

Uczniowie Pilata, Heck, Bruchnalski, Czarnik, Gubrynowicz, Pini, i inni, monografiami, np. o Zimorowicach i Szymonowicu Kornelego Hecka, który świeżo w Krakowie wydawnictwo, założonego przez Wisłockiego „Przewodnika Bibliograficznego“, objął; wydaniami—Wilhelm Bruchnalski tomy Mickiewicza, wzorowo opracował—wzbogacają dzieje literatury; Br. Gubrynowicz około „Pamiętnika Literackiego“ się zasłużył, ponosząc trudy redakcyjne; Tadeusz Pini literaturę XIX wieku i najnowszą i samoistnie bada i zręcznie popularyzuje.

Do uczniów uniwersytetu lwowskiego, zawdzięczających mu wszystko, co umieją, należy i autor niniejszego zarysu, filolog z powołania, historyk literatury z musu; do profesorów uniwersytetu E. Porębowicz, romanista, świetny tłumacz arcydzieł literatury całego świata, który po raz pierwszy „Boską Komedyę“ — po mniej udałych próbach Korsaka i Stanisławskiego — godnie spolszczył, w „Don Żuanie“ (Byrona) z hr. Baworowskim szczęśliwie zawodniczy, skarby poezyi ludowej, północnej, prowansalskiej, naszej poezyi przyswaja; historyk sztuki, K. Bołoz - Antoniewicz; czynny i ruchliwy filozof, Kazimierz Twardowski, badaniom psychologicznym i eksperymentalnym głównie oddany i inni.

W gronie Lwowian zajęli wybitniejsze miejsce, ruchliwością czy uzdolnieniem, dwaj Izraelici. Dr. Henryk Biegeleisen, zadziwiający szybkością i energią pracy, zerwał się, po kilku monografiach i po wydaniu pism Mickiewicza i Słowackiego, na wystawienie olbrzymiej „Historyi literatury polskiej“; w trzech sporych tomach

(z licznemi, nieco krzykliwemi ilustracyami) do końca XVI wieku (!) ją doprowadził, uwzględniając badania najnowsze, wplatając w tekst słowa i myśli obce, nie przetrawiwszy ani zharmonizowawszy należycie szczegółów tysiącznych, gubiąc się w nich, nie trafiając do równowagi i spokojnej, wszechstronnej oceny; pole było dla niego nadto odległe i nadto obszerne; na razie to kompilator, nie zawsze szczęśliwy.

Wielkie uzdolnienie wyróżnia natomiast W. Feldmana, wydającego od kilku lat modernistyczną i radykalną „Krytykę“ w Krakowie, dokąd się ze Lwowa przeniósł, autodydakta, radykał, a wyrosły w najzacofańszem otoczeniu żydowskiem, małomiasteczkowem, którego tajemnice i walki w dramatach („Cudotwórca“, „Sądy Boże) i powieściach wystawiał. Jego „Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu“ (1902, dwa tomy, trzeciego, o krytyce spółczesnej, jeszcze niema), napisane świetnie, objektywności sądu zrzeka się z góry; tendencyjne, obniża jednych nadto, drugich (Prusa i in.) zbyt wywyższa; bada zato dzieła i idee i wiąże je w całość organiczną, nie troszcząc się o formułki estetyczne, sięgając wszędzie w sam głąb rzeczy i myśli; że z lubością traktuje „najmłodszych“, że nie wszyscy, w tej historyi umieszczeni, tem samem już i do historyi należą, nie czyni ujmy bystrości i trafności sądu, u bojownika, walczącego w pierwszym szeregu, broniącego się — wobec dzisiejszych separatystycznych zakusów nowego ruchu, syonizmu — od dwu frontów. Krytyka jego staje się sama sztuką. U pokrewnego mu I. Stena („Dusze spółczesne“, 1902) schodzi całkiem na impresyonizm, nie bada nawet formy i myśli, oddaje tylko wrażenia. Dzieło Feldmana, to trwały i cenny nabytek literatury.

Nierównie wyżej, niż Sten, stanął inny Krakowianin, Adolf Neuwert - Nowaczyński, w studyach, pisanych z nadzwyczajną ciętością — do satyry zdradza on pociąg głęboki, istny bicz boży na filistrów i nadludzi (kawiarnianych), czego, choćby w „Zwierciedle Małpiem“, dowiódł świetnie, a satyrę świeżo i na scenę w „Walcu Molskiego“ przeniósł: nieraz wcale nie przekonywa, za to porywa werwą, stylem imponuje, w sądach niezależny odczuwa trafnie zalety i wady dzieł, ale zbyt paradoksami szafuje. Ci trzej uczą własnym przykładem, jaką krytyka literacka być winna, jeżeli estetyczne wrażenia nie tylko tłumaczyć, ale i wywoływać zamierza, wpatrzeni w najlepsze wzory obce, francuskie, krytyki twórczej, rzucają suchość profesorską i powierzchowność dziennikarską, grzechy pierworodne dawnej naszej krytyki, tendencyjnej do tego zbyt często, niesprawiedliwej i krótkowidzącej, dziś na nowe tory popchniętej. W ich ślady wstępują Lwowianie, W. Presser, B. Merwin.

Do starszego pokolenia wybitniejszych krytyków - felietonistów, należy jeszcze Kazimierz Bartoszewicz (teraz felietonista „Słowa Polskiego“), któremu niejedno cenne studyum literackie, np. o Bałuckim, o aktach babińskich zawdzięczamy; zasłużył się on i ogłaszaniem bogatej spuścizny historycznej po ojcu i publikacyami przygodnemi; walczył z obojętnością publiczności w wydawnictwach peryodycznych; zbierał też zewsząd perły humoru polskiego, dawnego i nowego, od Reja do Wilkońskiego.

Tak więc bujnie rozwija się życie na polu badań historycznych i literackich, jak i na polu krytyki i publicystyki. Ospałość umysłowa starła się dawno, czego liczne wydawnictwa fachowe; czasopisma specyalne, filologiczne, pedagogiczne, prawnicze i inne; prosperujące znakomicie uniwersytety ludowe, dowodzą. Nie rozszczepiają ani osłabiają ruchu i życia tego nowe waśni narodowe, wyznaniowe, społeczne; ani Rusini ani syoniści ani socyaliści nie zagrażają na seryo, owszem, wzywając do odporu, budzą nowe siły. Również rozwija się sztuka — Akademia sztuk pięknych krakowska zaważyła w rozwoju naszego malarstwa, za Matejki niegdyś, potem za Fałata; teatr krakowski stoi wysoko, prowadzony znakomicie przez Stanisława Koźmiana, stańczyka, Egeryę Badeniego, publicystę znakomitego, tylko historykiem — mimo „Roku 1863“, źle ułożonego — nie jest; potem przez estetę i modernistę Tadeusza Pawlikowskiego, brata niegdyś satyryka i wydawcy liberalnego organu krakowskiego, „Kraju“, Mieczysława; wreszcie przez Kotarbińskiego, gdy Pawlikowski do nowego teatru lwowskiego swe zasoby materyalne i wymagania estetyczne przeniósł, walcząc o samą sztukę na opornym gruncie lwowskim.

Prowincya więc, najbardziej zacofana, wysuwa się, mimo zaniedbania ekonomicznego i innych niepomyślnych warunków, coraz energiczniej na czoło i przodownictwo, a wyróżnia się od innych dzielnic tem, że nie w jednem ognisku skupia się jej ruch.

Kraków, jeszcze przed pół wiekiem miasto wspomnień i grobów, ciche i senne mimo całej swej kultury i tradycyi, przoduje dziś w ruchu modernistycznym i reprezentuje na zewnątrz najpoważniej naukę polską; Lwów, przed pół wiekiem stojący kilku ludźmi i jedną, od założenia swego mało ruchliwą instytucyą, z rozpa-

noszonym żywiołem napływowym, obcym—dziś rozbudzonem życiem umysłowem, umiejętnem, skupiającem się w licznych towarzystwach i wydawnictwach, zdobywa zasługi, jakich za najświetniejszych czasów dawniejszych miasto handlowe i przedmurze przeciw inkursyom nie dorobiło się nigdy. Od dwu miast głównych szerzy się ruch i na mniejsze, Tarnów, Tarnopól, Stanisławów i Drohobycz, gdzie tworzą się kółka i grupy, mnożą wydawnictwa peryodyczne, a Macierz polska rozrzuca między ludem tysiące egzemplarzów swych książek, np. dziesięciocentowego „Pana Tadeusza"!

Na ziemi galicyjskiej spotykają się od wieków światy słowiańskie, zachodni i wschodni, dwie narodowości, dwa obrządki, dwie kultury; stąd wynika znaczenie tej ziemi, jako pola najwdzięczniejszego dla badań etnograficznych, antropologicznych, a nawet archeologicznych. Podejmowano je też tutaj od dawna, ale ożywiły się one teraz pod wpływem Akademii (i Rusini, np. prof. Szaraniewicz, jej członek, i inni, brali w nich udział); znakomite wykopaliska, sięgające czasów scytyjskich (posąg z łożyska Zbrucza „Światowit", może nie słowiański, kumański raczej; skarb michałkowski) i bogaty materyał ludowy do badań i porównawczych wywodów same pobudzają.

Archeologią zajęli się Sadowski, Poznańczyk, rozkopujący grodziska, cmentarzyska i jaskinie, i Demetrykiewicz; w ludoznawstwie odznaczył się **Oskar Kolberg.** Należy on do dawniejszej generacyi, ruszał w tory Wacława z Oleska czy Wójcickiego jeszcze, zbierając pieśni ludowe i ich melodye, lecz niebawem rozszerzył program, ogarnął wszystko, co „ludowość" stanowi, chatę, ubiór i pożywienie, pieśni, bajki i język, wierzenia, przesądy i gusła, i co sam uzbierał, wędrując po kraju, i co wyczytał w dziennikach, kalendarzach i dawnych broszurach. Tak powstały zbiory, wydawane pod tytułem „Lud", w nieskończonej ilości seryi i tomów obejmujące Krakowskie, Sandomierskie, Wielkopolskę, Kujawy, Mazowsze, Pokucie, Chełmszczyznę—tylko Śląska (gdzie L. Malinowski materyały zbierał) i Prus nie uwzględnił; sięgnął nawet do Litwy i przyczynił się do olbrzymiego zbioru melodyi litewskich, wydanego r. 1900 kosztem Akademii, a za głównem staraniem muzyka-kompozytora Noskowskiego i prof. Baudouina de Courtenay. Akademia ogłasza i inne zbiory, antropologiczne i etnograficzne, nie tylko polskie, jak Świętka „Lud nadrabski", ale np. Federowskiego

„Lud białoruski" (i czarnoruski, bardzo obfite i staranne); we Lwowie istnieje towarzystwo ludoznawcze i wydaje w czasopiśmie „Lud", prócz materyału surowego, studya i szkice naukowe.

St. Zdziarski bada z zamiłowaniem wątki ludowe w literaturze pięknej, przyczem i poza granice polszczyzny sięga; jego „Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku", acz tematu nie wyczerpał, jest pierwszym na szeroką skalę podjętym zakusem na tem polu; nęcą go też szczególniej poeci, jak B. Zaleski i M. Gosławski, w których twórczość pierwiastki ludowe się wplatają. Muzeum Dzieduszyckich, najbogatsze w okazy etnograficzne, wydaje bogato ilustrowaną „Huculszczyznę" (Włodzimierza Szuchiewicza, dotąd dwa tomy, równocześnie i jako publikacya Towarzystwa Szewczenki, małoruskiego).

Specyalność historyi galicyjskiej wreszcie uprawiał, oprócz Zawadzkiego, Schnür - Pepłowski, publicysta, przerzucający się na pole dziejów r. 1848, kampanii węgierskiej i innych wspomnień, z Austryi przed- i pomarcowej.

W porównaniu z rosnącem z roku na rok bogactwem umysłowego życia Galicyi, zasuwa się coraz bardziej w tył Poznańskie, zubożone wychodźtwem wybitnych sił, uczonych, literackich (Kasprowicz, Przybyszewski), publicystycznych (Rabski); wystawione na najcięższą walkę z górującym żywiołem obcym, rozporządzającym olbrzymimi zasobami i wszechpotęgą państwową; w tej nużącej walce codziennej zużywa ono najlepsze swe siły. Kórnik, choć właściciela zmienił, mecenasuje po dawnemu literaturze; dyrektor jego, Zygmunt Celichowski, wydawca nieznużony, acz przeciążony i inną pracą, nie tylko literacką; zawdzięczamy mu dalszy ciąg Tomicyanów i publikacye rozmaitych skarbów biblioteki kórnickiej. Dalej rozwija swą czynność Towarzystwo Przyjaciół Nauk, po przewodniczących Stanisławie Koźmianie i Auguście Cieszkowskim dziś przez historyka kościoła (dziejów Unii), ks. biskupa Likowskiego, prowadzone, z kustoszem zbiorów muzealnych, Bolesławem Erzepkim, ruchliwym, szczęśliwym zbieraczem i wydawcą cennych rzeczy filologicznych i literackich, odkrywającym nam po raz pierwszy całkowitą spuściznę poetów Stanisławowskich, na razie Zabłockiego. Zbiory Towarzystwa obejmują i galeryę obrazów i wykopaliska przedhistoryczne, uwzględniane w bogato ilustrowanych publikacyach jego; w „Rocznikach" przeważają nieraz przyczynki lokalne, np. o dziejach Gniezna. Nowe bogate zbiory powstały w Rusku (hr. Z. Czar-

neckiego). Wyłącznie historyi prowincyonalnej poświęca się TowarzystwoNaukowe w Toruniu, wydające miejscowe materyały historyczne. Między kanonikami kapituły gnieźnieńsko-poznańskiej znachodzimy pracowników naukowych, ks. Korytkowskiego, autora cennego dzieła o arcybiskupach i prałatach dyecezyi, i in.; o budzącem się życiu naukowem wśród duchowieństwa świadczy korzystnie „Przegląd Kościelny“ ks. Okoniewskiego. W historyi pracowali głównie Kazimierz Jarochowski, w tym samym duchu, a nawet zakresie, — prócz cennej monografii o literaturze poznańskiej, — w jakim swój zawód rozpoczął; Kantecki Klemens żywo i barwnie różne epizody (sumy neapolitańskie i in.) i postaci (ojca króla Stanisława) wystawiał; pułkownik W. Zakrzewski przysłużył się wydawnictwem Kodeksu wielkopolskiego, do XIV wieku sięgającego, co dziś dalej prowadzić zamierzają; po Dominiku Szulcu, broniącym niefortunnie kamieni (runicznych) mikorzyńskich, archeologią zajmował się dr. Köhler; językiem polskim ks. Malinowski, wracający do kreskowania *a*, i dr. Wł. Łebiński, dziś całkiem oddany publicystyce, jako redaktor, po Fr. Dobrowolskim, „Dziennika Poznańskiego“ nie stroniący od zakusów wszechsłowiańskich; dr. Bobowski, umiejętny wydawca zbioru pieśni polskich religijnych; dr. Danysz, któremu, prócz innych rzeczy, bardzo ciekawe studyum o Komeńskim w Lesznie i jego stosunkach i planach z Leszczyńskimi i Krzysztofem Opalińskim zawdzięczamy; ks. dr. Warmiński, autor znakomitej pracy o Dominikanie Samuelu i bakałarzu Seklucyanie, wodzirejach luterstwa w Poznaniu r. 1543.

Jako historyk literarury i filolog, niespożyte położył zasługi **Władysław Nehring,** profesor wrocławski, spółpracownik „Archiwum filologii słowiańskiej“; wydawał on najcenniejsze dawne zabytki, np. kazania gnieźnieńskie (najlepsze studyum o pomnikach staropolskich wydał po niemiecku), a studya i szkice literackie poświęcał dawnym i nowym postaciom, Morsztynowi (Psyche), Kochowskiemu, Krasickiemu, Mickiewiczowi, Krasińskiemu, Słowackiemu — trafna analiza estetyczna i myślowa, uwzględnianie prądów obcych, obszerne tło, włączające i literatury słowiańskie, czeską i ruską, znamionują każdą z jego prac.

Wobec drobnych zasobów prowincyi ani teatr, ani publicystyka należycie rozkwitać nie mogą; kierunek i publicystyki i społeczeństwa samego pozostał ultrakatolicki, zachowawczy aż do lękliwości przeciw każdemu wolnemu słowu i sądu; liberalny „Przegląd

Poznański“ (Rabskiego) upaść musiał — tem radykalniejsze prądy budzą się jednak u dołu. Za to postępuje uświadomienie narodowe, zdobywa klasy, nie tylko miejskie, ale i wiejskie — chłop wielkopolski staje na tej arenie, na której szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo, dla drobnej liczby, roztrwonionych zasobów, słabej energii, sami na zwycięstwo liczyć nie mogą. To uświadomienie ludu, mimo zaciętego oporu szkoły i urzędu, a nawet czasami i duchowieństwa samego, kierowanego od Wrocławia przez Niemców, robi postępy walne i na Śląsku; zmieniły się czasy; ze skromnego posiewu pierwszych działaczów rosną coraz bogatsze plony, czasopisma polskie liczą tysiące odbiorców („Katolik“ Bytomski do 25,000), i ruch coraz się wzmaga; występują poeci ludowi i budzą miłość języka ojczystego, unikając gwary ludowej; większych talentów dotąd jednak nie było.

Na Śląsku austryackim niema przeszkód, stawianych od rządu — na przeszkodzie stoi głównie brak sił, szczupłość środków, ale posłowie, nauczyciele (Miarka, Cieńciała, ogłaszający wiele materyału ludowego), księża (ks. Londzin), krzątają się raźnie około potrzeb duchowych. Na innych ukrainach, w Prusiech Wschodnich (między Mazurami protestantami) i Zachodnich (z resztkami kaszubskimi, które dalej na Zachód, na Pomorzu, zupełnie wymierają) w walce strasznie nierównej siły się bardzo chwieją, niezawsze udaje się zdobyte stanowisko — a takiem jest już wydawanie dziennika dla ludu — utrzymać dłużej; wpływy duchowieństwa niegyś wszechmocne, zwalcza teraz „Gazeta Grudziądzka“ (30,000 egz.).

Przez wychodźtwo i obieżysasów tworzy się dyaspora polska daleko poza kresami; dawniej wsiąkali nieliczni wychodźcy bez śladu w otaczające tłumy obce; dziś, w olbrzymiem centrum Berlinie, na czerwonej ziemi Westfalii, nawet za oceanem w Ameryce, szczególniej północnej, łączą się i organizują coraz liczniejsi wychodźcy, starają się o utrzymanie cech narodowych, zwracają się w poezyi emigracyjnej (ludowej) z tęsknotą do ojczyzny, zakładają nie tylko szkółki, ale i kościoły, wydają czasopisma; przyszłość okaże, czy w walce o byt to pielęgnowanie ideałów ojczystych przejdzie i na generacyę młodszą, czy zdoła i ona utrzymać swą narodowość. Czasopiśmiennictwo na obczyźnie jest zresztą jeszcze dosyć prymitywne; w amerykańskiem wyróżniał się H. Derdowski, Kaszub, co, w kraju będąc, gwarę rodzimą w poezyi napoły humorystycznej uprawiał, gdy np. opowiadał o panu Czorlińscim, co do

Pucka po sece jachał, i o innych frantach - Kaszebach. W ślady jego wstępuje Aleksander Majkowski, opisując w niezgorszym wierszu, „jak w Koscerznie koscelnygo obrele abo pięc kawalerow a jedna jedyno brutka, w osem spiewach". Kaszubom poświęcali nasi badacze, ks. Pobłocki, Ramułt, Biskupski, Nadmorski, Smolski (publicysta), Parczewski liczne prace, głównie filologiczne, rzadziej etnograficzne; dla dziejów dyecezyalnych najczynniejszy ks. Kujot.

Innymi torami kroczy życie umysłowe Królestwa, t. j. Warszawy, monopolizującej, drugi Paryż, to życie;—miasta prowincyonalne, nawet Łódź, bogata w obce siły i zasoby, o rozwoju bajecznym, amerykańskim, odrębności czy samoistności nie zaznaczają. Wobec braku życia politycznego i zanikającego ruchu ściśle naukowego prądy literackie i artystyczne, krytyczne i społeczne zawładnęły publicznością i publicystyką, miesięcznikami i tygodnikami, nawet organami codziennymi, chociaż najpopularniejszy z nich „Kuryer Warszawski", o charakterze tak lokalnym, że poza rogatkami warszawskiemi wartości jego nie docenisz należycie, wszelkich walk i prądów unika.

W latach siedemdziesiątych na gruncie warszawskim rozegrała się właściwie walka między „młodymi" a „starymi", chociaż pierwsze jej strzały w Galicyi, we Lwowie, w artykułach Chłędowskiego, ucznia obcego uniwersytetu, Pawlickiego i innych padały. Wychowańcy Szkoły Głównej — niema w dziejach przykładu drugiego, żeby tak krótkotrwała instytucya, tylko siedem lat istnienia licząca, wydała tak znakomity posiew, zaznaczyła się tak głęboko w dziejach umysłowości — wyrzekli się wszelkiego uczestnictwa w ruchu zbrojnym, a gdy kraj ochłonął, stanęli w imię postępu, wiedzy, wolności myśli, do boju. Zacofanie było straszne; mścił się teraz trzydziestoletni brak wyższego wychowania, studyów uniwersyteckich; postęp nauki i myśli europejskiej był olbrzymi, a o nim niewiedziano w kraju, rozmarzonym i sennym stającym bezradnie wobec przykrej i niemiłosiernej konieczności; sama przecież reforma stosunków włościańskich wywoływała przewrót olbrzymi. I wzięła ta młodzież stanowczy rozbrat z tradycyą porywów i wystawiła przeciw niej zasadę odradzania się przez rozwój cywilizacyjny; najgłośniejszy i najwymowniejszy jej rzecznik, Aleksander Świętochowski, autor słynnego manifestu „My i Wy", formułował jeszcze w r. 1882, gdy siła nowego prądu już się znowu wyczerpywała, program jego w tych słowach: *„marzenia*

o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić dziś winny *staraniom* o samodzielność wewnętrzną; samodzielność ta zaś może być tylko wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materyalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzacyi społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki nierozbudzone". Program „pozytywistów" warszawskich stykał się więc miejscami z programem stańczyków krakowskich; różnił się za to zasadniczo łamaniem, burzeniem, wszystkiego, co zastarzałe, tradycyjne; ślepą wiarą w hasła najnowszej nauki zamiast wyznaniowego konserwatyzmu.

Najbardziej wojowniczym organem pozytywistów był „Przegląd Tygodniowy"; najbardziej zacięte walki toczyły się w latach 1871 — 1874. Młodzież, kształcąca się na dziełach obcych, wypowiadała walkę poglądom tradycyjnym na religię, na świat i na dzieje własne, na wszystkie kwestye aktualne; w imię trzeźwości i pracy organicznej burzyła ołtarze romantyczne i szranki patryarchalne i biczowała obskurantyzm i zacofanie, na każdem polu; ubóstwiała rozum i pracę i postęp. Bożyszczami jej byli Anglicy, Francuzi i Niemcy: historyk - determinista Buckle, kultowi jednostek przeciwstawiający znaczenie mas; przyrodnik Darwin, dopełniający kręgu ewolucyonizmu przez niewyłączanie z niego człowieka osobnym aktem tworzenia; pozytywista Comte, chociaż nudnego, ciężkiego, rozwlekłego Francuza znano raczej tylko z jego popularyzatorów; Renan, oblekający wywody Niemca (F. D. Straussa) w szaty najponętniejszego wysłowienia; strasznie przecenieni materyaliści niemieccy, dziś zapomnieni, Büchner, Moleschott i Vogt. Szerzeniom nowych, „trzeźwych" poglądów oddawali się wojowniczy, wymowni przodownicy w tej walce, Świętochowski, Ochorowicz i inni; wywoływali u przeciwników, zagłuszonych i nieśmiałych, bo zaskoczonych z nienacka, im mniej treściowe, tem złośliwsze i jadowitsze repliki; walki programowe obniżały się nieraz do zaczepek i wyzwisk osobistych. Powoli stygnęły zapały, lecz i ta burza, jak każda inna, oczyściła powietrze; do zaśniedziałości i zardzewiałości dawnej nikt nie miał odwagi powracać jawnie i otwarcie. Wynik ostateczny był nieco połowiczny; i „pozytywiści" nie zawładnęli ani krajem, ani młodzieżą nawet; szczególniej po r. 1880 uwidoczniało się coraz bardziej, że zakrzyczeni, oszołomieni „zachowawcy" nie stracili przecież gruntu pod nogami, że odzyskali niemal stracone pozycye; popłacały hasła najbardziej

nawet stronnicze i wsteczne, np. antysemityzm; po drugiej stronie hasła coraz radykalniejsze, przemycane głównie z Cesarstwa, od socyalistycznych aż do najskrajniejszych, między młodzieżą coraz liczniejszych znachodziły wyznawców. Znacznie później dopiero, w ostatniem dziesięcioleciu, i te hasła, z natury swej całkiem kosmopolityczne, ustępują nowemu ruchowi, przeczącemu kosmopolityzmowi z zasady, walczącemu pod sztandarem demokracyi nacyonalnej.

W zapasach tych umysłowych, odegrały, prócz nauk społecznych, a przedtem przyrodniczych, w które przez jakiś czas jedynie wierzono, filozofia, historya, krytyka, publicystyka rolę najgłówniejszą. **Henryk Struve,** filozof Szkoły Głównej, idealista-realista, zwracający się z lubością do podstaw narodowych, szukający odrębnych cech filozofii polskiej, uczniom Wundta, admiratorom Haeckela, przesadzającego Darwina i darwinizm, imponować na razie nie mógł; głuchły i głosy tych, którzy poważali się krytykować autorytet Buckla; pozostało jednak wielką zasługą Struvego obudzenie zajęcia dla dociekań filozoficznych; obszerny jego „Wstęp do filozofii“ doczekał się trzeciego wydania; pojawiają się wydawnictwa peryodyczne filozoficzne („Przegląd“ Weryhy), biblioteka filozoficzna (tłumaczenia arcydzieł), prace Mahrburga, Massoniusa, Wł. M. Kozłowskiego (filozofa - publicysty, autora książki „Co i jak czytać“ i wydawcy „Poglądu na świat“).

Jeszcze większy ruch zapanował w dziedzinie historyi, leżącej w Królestwie dawniej odłogiem, chociaż przystęp do niej łatwiejszy, niż do filozofii, wymagającej przygotowania i uzdolnienia, nie zawsze będącego udziałem zwłaszcza naszych publicystów, szczególniej prawowiernych.

Od badania faktów zewnętrznych, czem do niedawna wyczerpywała się u nas historya, przeszedł **Adolf Pawiński,** historyk Szkoły Głównej (obok Plebańskiego), uczeń Waitza w Getyndze, jak Smolka, do intensywnego badania dziejów wewnętrznych. Miał on poprzedników i w kraju, np. ks. T. Lubomirskiego, historyka stosunków włościańskich, ale przewyższył ich ruchliwością nadzwyczajną, metodą wydoskonaloną, pogłębieniem. Zwrócił on się — a jako dyrektor Archiwum korzystał z jego niewyczerpanych zasobów pełną ręką — ku badaniom ekonomicznym i prawnopaństwowym; w „Polsce XVI wieku“, wydawnictwie olbrzymiem, dokonywanem i z pomocą innych (A. Jabłonowskiego dla ziem ruskich),

badał ilość ludności, rodzaj jej prestacyi i wszelkie inne stosunki; szczególniej pociągały go dzieje Batorego, badał skarbowość jego czasów, kreślił w znakomitym szkicu jego chwile ostatnie, albo jego łowiectwo; dalej ustrój i wpływ sejmików ziemskich, instytucyi, pomijanej przez historyków naszych milczeniem, skupiających uwagę na sejmie walnym, gdy instrukcye sejmikowe właśnie obowiązywały i posłów i sejm koronny; w ustroju niby federacyjnym rzeczypospolitej sejmiki te ważny stanowiły czynnik. Podejmował kwestye specyalne, np. o Ostrorogu; jego „Młode lataZygmunta Starego“ są nieprześcignionym wzorem analizy psychicznej i kreślenia strony obyczajowej.

Pokrewny kierunek uwydatnił się i w pracach Tadeusza Korzona, Władysława Smoleńskiego i Aleksandra Rembowskiego. Korzon wyłożył „Dzieje wewnętrzne za Stanisława“; w kilkutomowym dziele wykazał liczbami i tabelami, jakie były zasoby krajowe i jak się one wzmogły za Stanisława, jak bogate były wyniki tej pracy cichej, organicznej. Innemi dziełami dowiódł jednak Korzon, że nęcą go i osoby; pomijamy jego studya o Staszycu i o Lelewelu, ale „Dola i niedola Sobieskiego“, żeby o innych zamilczeć, tak bogate w szczegóły, malownicze, charakterystyczne, że czyta się je, jak powieść zajmującą — najpiękniejszy to pomnik, dotąd wzniesiony marszałkowi i hetmanowi wielkiemu koronnemu: autor urywa na koronacyi.

Specyalnością Smoleńskiego są czasy Stanisława Augusta: przełom w narodzie, wyjście z odrętwienia saskiego, wielki proces obyczajowy odrodzenia duchowego. Szereg barwnych szkiców, Kuźnicy Kołłątajowskiej i samemu Kołłątajowi, lożom wolnomularskim i księdzu Markowi, Komisyi edukacyjnej i opinii publicznej poświęcił autor; doprowadził dzieło Kalinki, „Ostatnim rokiem sejmu wielkiego“ do końca; oceniał prace innych historyków i najostrzej zarzuty przeciw „szkole krakowskiej“ sformułował; wydobywając najcenniejsze materyały, korzysta z nich z wielkim taktem i umiarkowaniem.

W przeciwieństwie do niego Szymon Askenazy bada dyplomatyczną stronę dziejów XVIII i XIX wieku; stylista niezrównany, w antytezach zamiłowany, charakteryzujący ludzi i programy, ideały ich i praktyki z nadzwyczajną dosadnością, łączy przymioty francuskiego essayisty z gruntownością niemiecką: całości, jak i Smoleński, dotąd nie stworzył, ale każde jego studyum czy przy-

czynek, od elekcyi Augusta III i pojedynku Tarły aż do kampanii dyplomatycznej r. 1831 (nierównie mniej znanej, niż wojskowa), przedstawia ludzi i czasy w nowem, osobliwszem oświetleniu; wzrok jego nie ogranicza się na korespondencyi szyfrowanej, wydobywanej z archiwów, lecz dociera do przyczyn ostatnich, do uogólnień wielkich; daru spostrzegawczego i wysłowienia dowcipnego mógłby mu najzdolniejszy powieściopisarz pozazdrościć. Aleksander Rembowski, ostatni magister Szkoły Głównej, oddał się studyom prawnopaństwowym i historycznym; wszelkie plany reformy, pomysły polityczne w dawnej Polsce, od Modrzewskiego począwszy, rozmaite strony dawnego ustroju państwowego, nawet rokosze, znalazły w nim sumiennego badacza, posługującego się chętnie metodą porównawczą, obznajmionego gruntownie, na czem u nas często zbywa, i z literaturą obcą i z dziejami postronnemi; od wielu lat pojawia się rzadko praca historyczna, wydanie pamiętników i t. p., którychby w „Bibliotece Warszawskiej“ nie omówił: z sumienniejszym sprawozdawcą nie spotykaliśmy się nigdy, chociaż z własnym sądem najczęściej się wstrzymuje. W dzieje konstytucyjne nikt się u nas głębiej nie wmyślił.

Do tego wytrawnego grona należą z młodszych J. K. Kochanowski, piszący popularniej (o Kazimierzu Wielkim, o Witoldzie i t. d.); Krakowianin Sobieski, zajęty korespondencyą olbrzymią Jana Zamojskiego i inni; z dawniejszych pułkownik K. Górski, uprawiający historyę wojskowości polskiej.

Dzielna siła **Stosława Łaguny** zeszła nie spożytkowana do grobu; w kilku monografiach (np. „Dwie elekcye“, jeszcze z roku 1872), w kilku znakomitych recenzyach (Piekosińskiego, Balzera i innych) i w pracy redaktorskiej przy „Ateneum“ rozproszył on skarby wiedzy, przenikliwości, jasnego wykładu. Kontrastem jego— Aleksander Kraushar, produkujący niesłychanie szybko, przelatujący od jednej ciekawej kwestyi do drugiej, polujący na najrzadszy materyał, niby dyletant, i jako poeta i jako historyk, ale z piersi bolejącej wydobył strofy silne i piękne, a z dziejów tyle zapomnianych postaci odtworzył, że złożyły się na bogatą galeryę. Kogoż tam niema? swoi i obcy (Burboni i Carnot); literaci i uczeni; szalbierze (Czary na dworze Batorego) i warchoły (Olbrycht Łaski); mordercy (Brezianka, Pasek) i zdrajcy (Ościk); ofiary terroryzmu religijnego (Unrug) i rewolucyjnego (Lubomirska, Miączyński); awanturnicy, Arciszewski czy Łuba; dawne pamiętniki i relacye;

sprawy miejskie i ekonomiczne; sprawy żydowskie (Historya Żydów w Polsce; Frank i Frankiści); posłowie i agenci (Repnin, Albert Sarmata, Barszcz - Barss) mieszają się dziwnie; najbardziej pociąga go Warszawa, jej pomniki i pamiątki, jej towarzystwa uczone i szkoły (Siedmiolecie Szkoły Głównej). Najobszerniejsza jego monografia to „Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk, 1800 — 1832“, którego dotąd trzy tomy, do r. 1819 sięgające, ogłosił, czerpiąc z protokołów jego posiedzeń, z jego publikacyi, ilustrując je wizerunkami członków, budynków warszawskich, przyjęć oficyalnych. Można się spierać o luźność budowy, o podawanie materyału *in crudo,* ale nie sposób nie podziwiać tej ruchliwości, nie zazdrościć szczęśliwej ręce i jej odkryciom.

Czem Kraushar w Warszawie, był Antoni J. (lekarz kamieniecki, Rolle) na Podolu i Ukrainie; dyletant, zwabiony ciekawością podań, żałujący butwiejących lub rozproszonych archiwów, jeżdżący po prowincyach południowych, obeznany z żywą tradycyą, z osobami i miejscowościami, co wyczytał lub usłyszał, czy o Malczewskim czy o pani Delfinie Potockiej, o Stachu z Zamiechowa czy o „bardach“ polskich, Hulewiczu czy Tomaszewskim, czego się doszukał po Niemiryczach, po Chmielniczeńce i tak dalej wstecz aż do XVI wieku sięgając, to wszystko opowiadał, zawsze bez pretensyi, a czasem i bez krytyki, za to zajmująco i żywo: to „obrazy ukraińskie“, niby litewskie Chodźki, i także coraz nowemi seryami wydawane; życie kresowe, „ruinę“, hajdamaczczyznę opisał jak najbarwniej — z jakimiż to oryginałami nie zapoznawał on czytelnika: od filozofów domorosłych i mistyków (Grabianka) aż do rozmaitych awanturników i warchołów; ileż to wspomnień uratował on od zagłady! i syn teraz w ślady ojca wstępuje, dziejom starych grodów i rodów oddany.

Żywą tradycyę z tych samych stron skupił Bobrowski w swoich wspomnieniach, w pierwszej chwili, jako zbyt niedyskretne, okrzyczanych; malują one społeczeństwo szlacheckie, od niedobitków XVIII wieku, panów i podpanków aż do chłopomanów kijowskich; galerya jego portretów bardzo osobliwa, są i literackie wielkości, np. Rzewuski, przeważają prowincyonalne; brak nam podobnie wydatnego źródła dla dziejów innych ziem i prowincyi.

Uzupełniają je najrozmaitsi; cały wiek XIX, a nawet i czasy dawniejsze obejmuje Eug. Heleniusz, kuszący się o historyozofię, zniżający się jednak i do prostej *silva rerum* staroszlacheckiej; bliż-

szym czasom poświęcił barwne wspomnienia i studya mieszkający we Lwowie Franciszek Rawita Gawroński, zasłużony i jako nowelista, opowiadający i o Sadykbaszy i o r. 1863 na Rusi. W inne czasy i strony sięgają dwa pamiętniki zasłużonych pasterzy naszych, nierówne zresztą co do wartości i obszerności, biskupa Krasińskiego, urywający rychło, i Szczęsnego Felińskiego, bogaty w szczegóły niesłychanej drastyczności, wstrząsający głęboko.

Na granicy między pamiętnikarzami a powieściopisarzami stoją Aleksander Wybranowski, Przyborowski Walery (głównie powieściopisarz), Berlicz Sas, Suffczyński i inni. W artystycznym obrobieniu szkiców historycznych celuje nad Krausharem i Rollem, a sięga Kubali i Szajnochy, Maryan Dubiecki; jego „Obrazy i Studya historyczne“, z małymi, nie najlepszymi wyjątkami, należą do wieku XVII, niegdyś zaniedbanego prawie, dziś pociągającego bujnością tła i charakterów i przygód, romansistów, historyków, literatów; z XVII wieku czerpie też, głównie ze stosunków polskoruskich, Adam Darowski, czynny i jako publicysta; z tego i z XVIII wieku Kazimierz Pułaski i inni.

Ruch naukowy warszawski posiada cechy obce galicyjskiemu. Pomijamy uwzględnianie dziejów wychowania (niwy, od czasów Łukaszewicza, mimo prac Galicyan, Karbowiaka i Majchrowicza, leżącej odłogiem), gdyż jubileusz uniwersytetu jagiellońskiego wywołał szereg publikacyi, J. K. Kochanowskiego, dr. Bielińskiego, Aleksandra Jabłonowskiego, o dziejach Akademii zamojskiej, wileńskiej, kijowsko-mohilańskiej. Rozstrzyga dążność popularyzowania nauki, ułatwiania pracy samoukom; taki np. „Poradnik dla Samouków“, w czterech sporych tomach obmyślający cały kwestyonaryusz nauk (historycznych, filozoficznych, społecznych i t. d.), charakteryzujący całkowitą literaturę ich, jest zupełnie oryginalnem przedsięwzięciem.

Warszawski ten ruch popularno - naukowy jest nacechowany coraz liczniejszemi tłumáczeniami, dzieł Spencera, Tylora, Hettnera i t. d.; wydawnictwami zbiorowemi „książek dla wszystkich“ (Arcta), wypisami z literatury („Złota Przędza“ i „Obraz literatury“ Chmielowskiego i t. d.); oparł się on, prócz inicyatywy prywatnej, np. przedwcześnie dla literatury zgasłego B. Natansona, o nadzwyczaj pożyteczną instytucyę, o Kasę imienia Mianowskiego (rektora Szkoły Głównej), która w znacznie skromniejszych rozmiarach, niby Akademię w Warszawie wyręcza, chociaż sama impulsu do badań i pra-

cy naukowej nie daje, tylko gotowe prace czy wydawnictwa krajowe wspierać może; przeważają też w szeregach tomów, jakich wydanie umożliwiła zupełnie lub częściowo, tłumaczenia z obcych literatur i rzeczy popularne; rzeczy oryginalne, w całej produkcyi warszawskiej ustępują obecnie na plan dalszy, ponieważ coraz to więcej brak uczonych specyalistów. Przeważają encyklopedye, ogólne i fachowe, od teologicznej i pedagogicznej aż do rolniczej, i wypełniają się braki naszej literatury zawodowej.

Do najcenniejszych wydawnictw warszawskich należy „Słownik Geograficzny ziem polskich“, wielotomowy, wydanie Sulimierskiego, dokończone przez Br. Chlebowskiego, znanego chlubnie i na polu krytyki i historyi literatury (w studyach o Kochanowskim, Janie i Piotrze, o Reju, o Szymonowicu, Twardowskim, Pasku i t. d.)— śledzono tu dzieje każdej miejscowości na podstawie źródłowej i wyprzedzono ogromnie dawną pracę Lipińskiego i Balińskiego. Dalej pomnik biograficzny, „Album zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX“, wydawany nakładem M. Chełmońskiej (dotychczas dwa wielkie tomy, około dwustu życiorysów mieszczące), opracowany bardzo sumiennie, a zarazem poczytnie. Nie wspominamy o bibliotekach wyborowych, dawniejszej, wydawanej pod redakcyą P. Chmielowskiego, mieszczącej w sporych tomach arcydzieła obcej i naszej literatury (W. Potockiego, Naruszewicza, Zabłockiego, Górnickiego, A. Morsztyna i t. d.); nowszej, w dwustukilkudziesięciu numerach, nowe i dawne, obce („Don Kiszot“ i t. d.) i nasze, powieści, poezye, studya, szkice, zawierającej a przystępującej teraz do przedruków dawniejszej naszej literatury, zaczynając je od Rejowego „Żywotu poczciwego człowieka“.

Równocześnie pobija Warszawa Galicyę miesięcznikami i tygodnikami. Ilustrowane w Galicyi („Strzecha“ i inne) nigdy się utrzymać nie zdołały, w Warszawie, prócz „Kłosów“ (już nie wychodzących) i „Tygodnik Ilustrowany“ i „Wędrowiec“ od dawna prosperują. Z miesięczników najstarszy, „Biblioteka Warszawska“, programowi swemu nie sprzeniewierzył się nigdy, chociaż redakcye się zmieniały; w latach 1870—1890 zastój pewien dawał się odczuwać: kierunek silnie zachowawczy (aż do pisowni) odznaczał np. czasy Plebańskiego; podrywało znaczenie „Biblioteki“ „Ateneum“ pod redakcyą Chmielowskiego, Pawińskiego, Łaguny; dział belletrystyczny pozostawiał w obu miesięcznikach wiele do życzenia. Po r. 1890, pod nową redakcyą Wł. Bogusławskiego, podnio-

sła się „Biblioteka“ znacznie, właśnie dzięki działowi belletrystycznemu; wystarczy wspomnieć, że tu się drukowały takie powieści, jak „Połanieccy“, „Fermenty“, „Dołęga“, „Pan Balcer“ Konopnickiej. „Ateneum“ tymczasem, po zmianie redakcyi, widocznie upadało i dopiero pod redakcyą Ignacego Chrzanowskiego wracało do dawnego znaczenia, gdy je nagle sami wydawcy (Spasowicz i inni) uśmiercili (r. 1901). Dziś „Biblioteka“ — wydawcą jej Krasiński, wnuk poety, spuścizną dziada gorliwie zajęty — wiekiem i tradycyami sędziwa, doborem coraz nowych sił odświeżana, czoło publicystyki niepodzielnie zajmuje.

Z tygodników „Prawda“ pod redakcyą Świętochowskiego najdonośniej występowała — dopiero w ostatnich latach, gdy kredyt pozytywistów dawno się poderwał, zmalał jej wpływ. Do liczby tygodników, wydawanych przez naszych postępowców, przybyło świeżo „Ogniwo“ przy udziale Stempowskiego i Krzywickiego. Organy codzienne — odcieni między nimi obcy nie zawsze się dopatrzy — są liczne, od bezbarwnych do antysemickich; obok nich zdobyła się Warszawa na rozmaite fachowe, teatralne, muzyczne i t. d., a w nowej „Książce“ stworzyła pierwszy, na razie miesięczny, przewodnik bibliograficzny i organ krytyczny zarazem, dostępny wszystkim, byle literackim, kierunkom.

Krytyka posiada w Warszawie wielu przedstawicieli, chociaż nie wielu wybitnych. Wytrawnym i wytwornym krytykiem jest Wł. Bogusławski, który jednak coraz wyłączniej krytyce teatralnej (dawniej w „Kuryerze Warszawskim“, dziś w „Bibliotece“ i w „Tygodniku Ilustrowanym“) się oddaje; styl i smak wykwintny, sąd trafny, bez uprzedzeń jakichkolwiek, chociaż nieraz podmiotowy bardzo, cechowały jego artykuły, np. o Prusie, świetną rzecz o „Bez Dogmatu“ i tyle innych. Starszy od niego, Kazimierz Kaszewski, znawca (i tłumacz) arcydzieł klasycznych, jest sędzią oględnym, łagodnym.

Między młodymi wyróżniają się Ignacy Matuszewski (redaktor „Tygodnika Ilustrowanego“), autor znakomitego studyum o „Słowackim i Nowej Sztuce“, wykazujący wszystko, co łączy twórczość wieszcza z estetyką najnowszą, z Młodą Polską, z Wagnerem i Nietzschem: szeroki podkład porównawczy cechuje tę pracę, jak i poprzednie autora („Dyabeł w poezyi“; „Swoi i obcy“). Cezary Jelenta (Hirschband) łączy krytykę z filozofią i poezyą; i jego rzecz o Słowackim, acz nieco przesadna i nieuchwytna, świadczy o nadzwyczajnem wzmożeniu się znaczenia poety; świeżo wznowił „Ateneum“, ale je prawie wyłącznie literaturze pięknej poświęcił.

Są krytycy z wybitnemi cechami partyjnemi, np. Antoni Sygietyński, apostoł naturalizmu niegdyś („Powieść spółczesna we Francyi“), nie tylko w teoryi, ale i w powieściach własnych, dziś raczej referent fachowy; Teodor Jeske - Choiński, antysemita, dziś „neokonserwatysta“, niegdyś postępowiec, typom i ideałom belletrystyki pozytywnej dość nawymyślać nie mógł; Józef Tokarzewicz (Hodi), sam powieściopisarz, jak Sygietyński i Choiński, nieraz nader subjektywny. Objektywniejszymi są Józef Kotarbiński, aktor, dziś dyrektor teatru krakowskiego, więc głównie na prace dramatyczne baczący, chociaż i o „Beniowskim“ i o „Panu „Tadeuszu“ pięknie pisywał; St. Kozłowski, oceniający „Trylogię“ aż nadto sumiennie; W. Gostomski, czuły na pierwiastek narodowy; H. Galle, nieraz zbyt ostry w swych sądach; A. Drogoszewski, bardziej zrównoważony, wytrawniejszy i oględniejszy, i inni; kobiety berła krytycznego nie dzierżą, wyjątkowo Zapolska krytykę dramatyczną (w „Słowie Polskiem“) uprawiała.

Krytyki pisuje, co żyje; autorowie sami schodzą na to pole, np. Karczewski, Kosiakiewicz, Józefat Nowiński, piejący hosanna Sienkiewiczowi, aż do ekstazy się posuwając; najzdolniejszy między młodymi, przypominający najlepsze siły krakowskie, to Antoni Potocki (Jerzy Grot), nie krytyk, lecz twórca raczej całości estetycznej i organicznej, w studyum o Konopnickiej i o Wyspiańskim, trzeźwem w zamiarze, entuzyastycznem w wykonaniu, autor krótszych szkiców, równie znakomitych, i wytwornych nowel („Martosia i my“ i in.).

Krytyków z działu sztuk pięknych przerósł wszystkich Stanisław Witkiewicz, sam artysta, polemista, nie ustrzegający się od skrajności w wymaganiu od sztuki nie tematów i treści, lecz sztuki-techniki przedewszystkiem, wywołujący więc nieraz ostrą opozycyę, o nadzwyczajnej bystrości sądu i siły odczuwania; jemu zawdzięczamy świetne studyum, jedyne w swoim rodzaju, o Mickiewiczu, jako koloryście, i znakomite inne, o Kossaku, Gierymskim. On i Jasieński, apostoł japonizmu, budzą nowe, głębsze pojmowanie sztuk pięknych, wojując z filisterstwem; Witkiewicz sam staje się apostołem i stylu narodowego, na razie Zakopiańskiego.

Krytycy - recenzenci zaprzęgają się i do felietonów. Wielu krytyków i autorów od felietonów zawód literacki pozaczynało, np. Bogusławski, Litwos - Sienkiewicz, Prus - Głowacki (rubrykę tę i dziś jeszcze prowadzący), Krzywoszewski (w felietonach paryskich) i inni. Całkiem na felietony i krytykę teatralną rozprasza swe siły Władysław Rabski (Poznańczyk), redaktor niegdyś „Przeglądu Poznańskiego“, autor dramatyczny („Asceta“, na temat miłości, zbudzonej w ascecie - księdzu i zwalczonej przez niego; „Zwyciężony“, wystawiony na walkę między zasadami a oportunizmem i w niej, dla kobiety, ulegający) — od lat kilku w „Kuryerze Warszawskim“ felietonista. Felietonów wierszowych, Baniek mydlanych, w tymże „Kuryerze“ poeta prawdziwy, Kazimierz Laskowski, dostarcza.

Krytycy - recenzenci i felietoniści uprawiają i historyę literatury. Zawodowych jej przedstawicieli niema bowiem w Warszawie; jedyny, profesor uniwersytetu, Tadeusz Wierzbowski, historyk z powołania, tylko materyały do dziejów literatury gromadzi, zbieracz i szperacz nieznużony, oddający wielkie przysługi opisywaniem i wydawaniem rzadkich druków; najobszerniejsze jego publikacye dotyczą dziejów (Uchańsciana) i bibliografii XVI wieku. Przygodnie próbowali sił swych na tem polu najrozmaitsi, i poeci (Faleński w pięknem studyum o Szarzyńskim i Trenach) i krytycy i publicyści.

Wszystkich przerósł wydatnością i metodycznością pracy **Piotr Chmielowski,** uczeń Szkoły Głównej, walczący niegdyś w szeregach pozytywistów, potem całkowicie dziejom literatury, spółczesnym i dawniejszym, i bieżącej krytyce beletrystycznej oddany, szczególniej jako redaktor wieloletni w „Ateneum“. Metodyczność i trzeźwość, z suchością i chłodem graniczące, przeniósł pozytywista na pole literackie; żelazną siłę pracy systematycznej, nie opuszczającej żadnej godziny na marne, zastosował do olbrzymiej produkcyi historyczno - krytycznej, i pytamy zdziwieni, gdzież znalazł czas, żeby to wszystko przeczytać, gdzie czas, żeby to wszystko napisać? Żadna powieść, utwór dramatyczny czy liryczny ostatniej ćwierci wieku nie uszły jego uwagi, o każdej wydał swój sąd — a że sądy bywały trafne, pokazało się, gdy mógł bez zmian zebrać w jednej książce, co w ciągu owej ćwierci wieku o Sienkiewiczu pisywał; książka - składanka obok podobnej składanki Tarnowskiego utrzymać się mogła niezgorzej; uznano ją

za najlepszą rzecz o Sienkiewiczu. Składane roboty u niego częste; tytuł, zapowiadający niby całość, zawodzi, gdyż to zbiór luźnych artykułów, wyjątkowo na cienką nitkę nanizanych (np. historya dramatu polskiego). Chmielowski pracuje w tym samym kierunku nieznużenie dalej; dowodzą tego choćby najnowsze publikacye, „Dramat polski doby najnowszej“ (1902). Sędzia to bardzo wymagający, pięknością czy oryginalnością formy go nie podkupić; stąd jego sceptycyzm wobec modernizmu; pozytywista i altruista nie może się z wygórowanym indywidualizmem, egotyzmem, mistycyzmem pogodzić, i sąd jego o Wyspiańskim, Rydlu i innych, bywa ostry. Ogółem nie odznacza się on ani wrażliwością na piękno ani formą ponętną. Trwalszą wartość mają też jego studya, zwrócone ku przeszłości, badające ją najintensywniej w ciągu jednego wieku, 1760 — 1860. Przygotowanie filozoficzne, oczytanie olbrzymie, nadają dziełom, studyom i szkicom, o Adamie Mickiewiczu czy o Kraszewskim, o Krasickim czy o naszych powieściopisarzach (szczególniej o Rzewuskim i Sztyrmerze) lub o naszych autorkach (szczególniej o Żmichowskiej), o walce liberalizmu i obskurantyzmu na Litwie i Rusi, czy o dziejach naszej krytyki znaczenie stałe. Spokój i wstrzemięźliwość tonu, rzetelne docieranie do dna prawdy, obmyślenie głębokie przedmiotu, wszechstronne jego zbadanie zalecają każdą z tych prac. Przeszedł Chmielowski i do całokształtu dziejów naszej literatury: wydał go w sześciu tomikach, którym „Zarys literatury najnowszej“ (w każdem nowem wydaniu — r. 1898 wyszło już czwarte — coraz bardziej rozszerzany) za dopełnienie służy; dwie trzecie tej pracy przypadły na lata 1800 — 1864; szczególniej bogaty w szczegóły tom piąty, z których nieraz w tym Zarysie korzystaliśmy.

Najnowsze dzieło autora, dla uczczenia jego 35-letniej działalności wydane („Dzieje Krytyki Literackiej w Polsce“, 1902), staranniej opracowane, nie wyczerpuje tematu, szczególniej co do czasów dawniejszych; w nowszych rozprasza się może zbyt na luźne sylwetki krytyków, głównie nieraz wypisami z ich własnych dzieł wypełniane; mimo to po raz pierwszy odtwarza ono główne kierunki myśli krytycznej polskiej, starając się zachować ową przedmiotowość, wyświecaną właśnie przez najnowszych adeptów z dziedziny i sztuki i krytyki, uzasadnić ją i obronić.

Na takiem tle występują dobitniej różne postaci, od Nestora naszych krytyków — bo, mówiąc o Kazimierzu Kaszewskim, najlepszym u nas znawcy i miłośniku świata greckiego, trudnoż od Homerowych epitetów się wstrzymać — począwszy, aż do krytyka-publicysty, Stanisława Krzemińskiego, pełnego ducha obywatelskiego: tylko najnowsi, Potocki, Feldman, Sten i inni, zbyci pobieżną wzmianką; osobne ekskursy poświęcono naszym teoryom powieści i dramatu; miejscami wypada sąd autora wcale ostro.

Zamiłowanie do nowszej literatury odznacza Ferdynanda Hösicka, biografa Słowackiego i Szopena, którzy się w życiu raczej odtrącali, chociaż tyle mieli spólnego. Ale jego biografia Słowackiego nie jest „psychologiczna", jak tytuł zapowiadał, raczej anegdotyczna, wyczerpała w trzech obszernych tomach szczegóły życiowe — chyba jeden Mickiewicz w dziele syna równie obszernego doczekał się przedstawienia; teraz na Szopena kolej przychodzi. Mimojazdem uprzystępnia Hösick i prozę polską Klaczki i felietony Litwosa-Sienkiewicza i wspomnienia dawnej Warszawy; szkicom swym i studyom nadaje formę ponętną, belletrystyczną.

Do dziejów starszych zwcaca się R. Plenkiewicz, zasłużony pedagog; jego inicyatywie zawdzięczamy jubileusz Kochanowskiego, t. j. uświęcenie jego wydaniem pomnikowem dzieł, w którem góruje najobszerniejsza biografia, na jaką się u nas dotąd dla pisarza dawnego zdobyto. Pomijam innych pożytecznych pracowników, np. zasłużonego pedagoga i krytyka, dbałego o poprawność języka G. Bema, aby wymienić Ignacego Chrzanowskiego, redaktora „Ateneum", ruchliwego, jako wydawca, popularyzator, krytyk, studyującego zwłaszcza satyrę i satyryków polskich (ostatnie studya o Naruszewiczu i Piotrowskim), pracownika o wykształceniu fachowem, jakich Warszawa coraz mniej liczy, o wiedzy rozległej, sądzie trafnym, nieuprzedzonym.

Językoznawstwu poświęcają się w Warszawie A. A. Kryński, wydawca „Prac filologicznych" i autor najlepszej szkolnej gramatyki polskiej, J. Karłowicz, G. Korbut. Karłowicz, Kryński i Niedźwiedzki wydają „Słownik języka polskiego", zapełniając lukę, dotkliwie odczuwaną od dawna — po Lindem i słowniku wileńskim (Orgelbranda) obywaliśmy się przez pół wieku, byle czem, a raczej niczem, jeśli pracę biskupa Krasińskiego o synonimach polskich pominiemy. Karłowicz sam wyzyskuje bogactwo gwar polskich w osobnym słowniku gwarowym. Zasłużył on się nadto wydawnictwem „Wisły", organu ludoznawczego, i szkołę stworzył, bo i rosyjska „Żiwaja Starina" i czeski „Lid" i lwowski „Lud" „Wisłę" sobie za przykład wzięły. Tu też należy „Księga Przysłów" S. Adalberga, obejmująca po raz pierwszy systematycznie, nadzwyczajne ich bogactwo polskie; prace St. Ciszewskiego, od zbierania bogatego materyału etnograficznego („Krakowiacy") przechodzącego do studyów porównawczych w dziedzinie etnografii; prace znakomitego etnologa i publicysty zarazem, L. Krzywickiego, czującego się, jak w domu, czy między Kurpiami czy Algonkinami, myśliciela bystrego, oryginalnego, nie zadowalającego się popularyzowaniem wiedzy zagranicznej, lecz posuwającego ją naprzód (w „Kursie Systematycznym Antropologii", szczególniej w jego części drugiej, o „Rasach Psychicznych", 1902).

Warszawianin (uczeń Szkoły Głównej), Baudouin de Courtenay, pracował po za krajem, w uniwersytetach rosyjskich i innych, pisywał też głównie w obcych językach; oryginalny badacz, zwracał się z zamiłowaniem raczej ku ogólnym, psychologicznym podstawom i prawom, niż ku historycznym, konkretnym objawom życia językowego. H. Łopaciński (Lubicz), skrzętny badacz i zbieracz rzeczy ojczystych, głównie zabytków dawnego piśmiennictwa, ale i rzeczy ludowych, aż do przemysłu domowego, złożył szczególniej w „Pracach Filologicznych" liczne, cenne przyczynki. G. Korbut zarówno nad językiem (obok Krasnowolskiego i innych), jak nad literaturą (np. o M. Wiszniewskim) pracuje.

Przedstawia jednak Warszawa i liczne przykłady sił nie zużytkowanych należycie, jak Łaguna; i Józef Przyborowski zszedł po długiem a pracowitem życiu do grobu, nie wyzyskawszy ani zbiorów Zamojskich ani własnych, chociaż gruntowną wiedzą spółczesnych przewyższał; Plebański przynajmniej z historyka na wydawcę „Biblioteki Warszawskiej" i wskrzesiciela zapomnianych poetów XVII wieku przeszedł. Inni, Wł. Korotyński, Z. Wolski, kryjąc się, jakby umyślnie, z wynikami swych poszukiwań i zbierań, nie biorą przykładu np. z E. Majewskiego; ten, chociaż nie fachowiec, zaprzągł się ze znakomitym skutkiem do pracy słownikarskiej, ludoznawczej, archeologicznej; prowadzi dalej (po Karłowiczu) „Wisłę", wydaje „Światowita", rocznik dla archeologii (z bogatym działem ilustrowanym) i honor Warszawy na tem polu ratuje.

Osobne stanowisko zajął Zygmunt Gloger, uczeń Szkoły Głównej, już od ławy szkolnej zbieracz rzeczy dawnych i ludowych

i popularyzator ich szczęśliwy. Najbardziej przysłużył się wydawnictwem „Encyklopedyi Staropolskiej Ilustrowanej“, niewyczerpanej skarbnicy informacyi o dawnych ludziach i czasach, ubiorach i zabawach, życiu i mieszkaniu, urządzeniach politycznych i t. d.; z iście synowskim pietyzmem, z wiedzą bogatą, z ciepłem słowem kreśli on te szczegóły, o które powieść nasza historyczna tak często potrąca, a o których czytelnik przeciętny zwykle bardzo niejasne miewa wyobrażenia. I w innych pracach („Pieśni ludu polskiego“ i t. d.) występuje on, jako głęboki znawca i miłośnik rzeczy ojczystych, i umie dzielnem piórem wzbudzać ku nim zajęcie. Ostatnie jego dzieło, „Dolinami Rzek, Opisy podróży wzdłuż Niemna, Wisły, Bugu i Biebrzy“ (1903) i urozmaiceniem treści, krajobrazów, sylwetek etnograficznych, przygód zbieracza śladów po „stacyach krzemiennych“, i ciepłem uczuciem ku wszystkiemu, co swojskie, się odznacza, a ważnego działu ilustracyi nie przepomina.

Badaczy rzeczy ojczystych spotykamy i między duchowieństwem, choćby w dalekiej prowincyi; taki np. ks. Józef Rokoszny w Sandomierzu, po nieodżałowanym ks. Ludwiku Piotrowskim i tradycye sandomierskie i dawne księgi zbierający i, co ważniejsza, dzielący się chętnie z wynikami poszukiwań. Osobno wymienić należy ks. Zygmunta Chełmickiego, czynnego w publicystyce, po misyach zamorskich, zasłużonego wydawnictwem „Biblioteki dzieł chrześcijańskich“, obejmującej rzeczy obce i własne.

Rzeczy litewskie nie doznają w Warszawie opieki; jedyny A. Mierzyński, profesor Szkoły Głównej, pracami nad archeologią i mitologią litewską tradycye Narbutta podtrzymuje; i na tem polu zastępuje Kraków Warszawę. W litewskiem społeczeństwie samem odzywają się między młodzieżą silnie separatystyczne tendencye; hasła narodowościowe, panujące dziś wszędzie, rozbudzane nawet między Żydami (przez syonizm, zakreślający coraz szersze koła i w Królestwie), musiały i na Litwę oddziałać, t. j. na Żmudź, gdzie jedynie żywioł litewski jest silny. Młodzież odwraca się więc od polskiej mowy i kultury, pielęgnuje własną.

Traci więc i na rdzennej Litwie element polski grunt pod nogami; jeszcze bardziej daje się to odczuwać w obrębie Kraju Zachodniego. Dwory po wsiach, zaścianki, ludzie wykształceńsi zachowali tryb dawny niezmieniony, lecz po miastach, gdzie element żydowski przeważa, zmienia się ten tryb coraz widoczniej, nawet

w Wilnie, nie mówiąc o mniejszych i dalszych; brak wydawnictw peryodycznych, osłabienie ruchu umysłowego, życia duchowego — mimo pracy jednostek — objawiają się coraz silniej w swych skutkach.

Obok Warszawy Petersburg swą polską publicystyką i wydawnictwami na nowo zdobył pozycyę, którą niegdyś, przed rokiem 1848, posiadał. Nie mówimy tu o pisarzach pochodzenia polskiego, którzy się zupełnie zruszczyli, jak noweliści Jasiński lub Barańcewicz, lecz o gronie, około „Kraju“ zsolidaryzowanem. Pomijamy Czesława Jankowskiego (poetę, rzeźbiącego z nadzwyczajnym kunsztem swe arabeski, monografistę powiatu Oszmiańskiego), redaktora beletrystycznego działu „Kraju“, i głównego redaktora, E. Pilca, aby zatrzymać się na najwybitniejszej postaci Polaków petersburskich, **Włodzimierzu Spasowiczu,** który, acz się dziś do Warszawy przeniósł, całą czynnością i życiem do sfery petersburskiej ciąży. Należy on właściwie do dwu literatur, do rosyjskiej i polskiej. Dzielny profesor prawa, potem adwokat wymowny — o fachowej jego pracy tem łatwiej zamilczymy, skoro ona głównie w języku rosyjskim się wyrażała, i jako polityk-publicysta (aż do ostatniej pracy, podjętej razem z E. Pilcem, rosyjskiej, lecz przetłumaczonej na polskie, „Oczerednyje woprosy w Carstwie Polskom“, 1902) i jako krytyk-historyk literatury, ruskie i polskie tematy opracowywał; przeważały jednak znacznie polskie. Nie napisał niczego równie obszernego, jak „Historyę literatury polskiej“, doprowadzonej do r. 1863, głównie poezyi poświęconej (przynajmniej w XIX wieku), albo jak ocenę działalności „Margrabiego“; studya o Puszkinie lub Lermontowie, albo ocena Kawielina im nie dorównają; z pamiętników wydawał tylko polskie, Matuszewicza dla Litwy XVIII, Bobrowskiego dla Rusi XIX wieku; zaczął nawet zawód literacki tłumaczeniem łacińskich dziejopisarzów krajowych (dla wydawnictwa Wolffa). Upływa pół wieku tego zawodu; nie poruszamy tu jego strony politycznej, zasad i przekonań — o nie Spasowicza najczęściej i najzawzięciej napastują; zaznaczamy tylko występy w literaturze. Cechuje je świeżość, brak szablonów literackich, samoistność sądu człowieka głęboko myślącego, bardzo wykształconego, o najszerszym widokręgu umysłowym, któremu — o co u nas tak trudno, wszelka zaściankowość obca, ocierającego się ciągle o wielki świat (myśli i wiedzy), wol-

nomyślnego, demokratę, więc z góry przeciw Polowi np. uprzedzonego. Każde jego studyum literackie, czy Hamleta lub Wallenroda, czy Szylera i Getego lub Połanieckich i Dołęgi dotycze, pomija kwestye filologiczne, bada zato same jądro myśli i treści, z dzieła nie tylko autora, lecz społeczeństwo i epokę charakteryzuje. Jego historya literatury polskiej, przed czterdziestu laty napisana i rozmiarami nie wielka, przewyższała wszystkie inne, głębokością i trafnością sądu, całością ujęcia, wykładem zajmującym i żywym; coraz nowe jej wydania polskie (tłumaczenia Bema) dowodzą najlepiej jej niezachwianej powagi.

W Petersburgu wyróżnia się Stanisław Ptaszycki, badaniami nad dawną literaturą, odnawianiem Reja („Wizerunku“ i „Psałterza“) i gałęzi długo zaniedbanej a ważnej, powieści ludowych, wielce zasłużony; prace jego są tem cenniejsze, że uwzględniają z zasady i inne literatury słowiańskie, czeską i rosyjską. Wymieńmyż spółpracownika „Kraju“, Belmonta-Blumenthala, poetę celującego w wierszu satyrycznym, epigramatycznym, znakomitego tłumacza (on pierwszy Oniegina Puszkinowego w godną oryginału szatę polską przyodział), nowelistę — on pierwszy u nas typ młodziutkiego „schyłkowca“, o rozigranych nerwach, a braku woli, i ofiarę jego nieszczęśliwą subtelnie wystudyował („W wieku nerwowym“), talentu widocznego jednak dalej nie kształcił. Uczonych księży akademii duchownej (ks. Simon i inni) pomijamy. Rozproszonych po zachodnich guberniach pracowników (w Wilnie), zbieraczy (hr. Tyszkiewiczów lub Czapskich; najbogatszy, Stańkowski zbiór medali i książek, przewieziono do Krakowa—podobnie zbiory Przeździeckich do Warszawy) nie wymieniamy, jak i wołyńskich lub podolskich, chociaż np. archiwum w Sławucie, jak i w Nieświeżu, pracę wydawniczą na nowo podejmuje; wydawnictwa to zresztą ściśle historyczne.

Największa zmiana zaszła z dawną emigracyą; jeżeli ona kiedyś „narodem w miniaturze“ słusznie się zwała, zeszła ona dziś raczej na kolonię polską; nie rzucając nawet murów paryskich, rozproszona ona przecież i łączy się chyba w celach humanitarnych i dobroczynnych, podtrzymując, nieraz z mozołem, dawne fundacye i instytucye, nie wywierając jednak żadnego już wpływu na kraj, który niegdyś literaturą emigracyjną żył właściwie. Czas i zmiana stosunków zdziałały swoje; śmierć przetrzebiała rychło szeregi, później amnestya nowe w nich czyniła szczerby, już nie

wypełniane, nawet po wypadkach r. 1864. Zresztą już nie Paryż sam przyciągał — a po r. 1870 jeszcze bardziej dawny urok dla nas utracił — osiedlano się, kto do kraju wracać nie mógł lub nie chciał, we Włoszech (Lenartowicz), Szwajcaryi (Miłkowski), Dreźnie (Kraszewski). Dogasali w Paryżu B. Zaleski, Cypryan Norwid, uczeń Słowackiego w poezyi, Nazarejczyków w sztuce, mistyk i symbolista, o głębokim religijnym podkładzie, słowo z czynem utożsamiający, Towiańczyk zapoznany za życia, jak Słowacki, goniec przyszłej, narodowej sztuki, obrońca jej przeciw Klaczce, wymagający natchnień czystych, czerpiący chętnie z podań pierwotnych o Kraku lub Wandzie, nie dający obrazów wykończonych, budzący raczej nastroje w czytelniku, dosnuwającym z siebie, czego nie wypowiedział poeta — głębszy i poważniejszy od Siemieńskich, Gaszyńskich, Goszczyńskich, szydzących z „niezrozumiałego“; dopiero dziś, jak i dla „Króla - Ducha“, nastaje dla niego pora zrozumienia, i nie rażą nas nawet dziwaczne, od mistrza przejęte wywody słowne, piękności od po - jęków, jak Polski od boluskały; spuściznę bogatą, zapomnianą lub wcale nie znaną, dziś dopiero uprzystępniają nam na nowo.

Miejsca dawnych nie zajęli już nowi przybysze, ani Z. Kaczkowski, ani inni; czynność Towarzystwa literackiego wyczerpała się, „Bibliotekę Polską“ oddano Akademii krakowskiej, utrzymującej tu stacyę naukową; „Bulletin polonais“ zasila głównie Gasztowtt tłumaczeniami „Pana Tadeusza“; kolonia sama liczy więcej artystów-malarzów, niż literatów. Najczynniejszym jest Władysław Mickiewicz; nie tylko dla Francuzów skreślił biografię ojca, ale z nadzwyczajnym pietyzmem zebrał w czterotomowem dziele polskiem wszystko, co z papierów i wspomnień po ojcu ocalało, wydał jego korespondencyę i pisma francuskie. Obok niego wymieniamy Stanisława Rzewuskiego, kosmopolitę, piszącego po francusku swe dramaty historyczne, a po polsku swe powieści, jakby je z francuskiego tłumaczył, np. „Hr. Witolda“ ze świata arystokratycznego sfrancuziałego raczej, i jego etyki osobliwej. Rozległe pole, z nierównem powodzeniem, uprawia K. Waliszewski: od polskiej pracy archiwalnej, około czasów Jana Sobieskiego i stosunków francuskopolskich, albo od walki Potockich i Familii przeszedł do monografii i biografii historycznych, pisanych po francusku i z francuska, niby felietony, o Piotrze Wielkim i Katarzynie II, o Marysieńce i o literaturze rosyjskiej — rzeczy dowcipne, zgrabne, nieraz bar-

dzo trafne, nawet (psychologicznie) głębokie, ale nie wyczerpujące przedmiotu, ujmujące go z jednej strony, raczej anegdotycznej, i nie dozwalające zawierzać szczegółom; zwłaszcza Marysieńką, obniżającą jej bohatera do roli kobieciarza, wielki niesmak wywołał, chociaż cudzoziemców, nawet kompetentnych, wykończeniem pastelowem portretu bardzo zajął.

Liczba Polaków, piszących po francusku, nie jest najmniejsza; taki Wyżewski np., artykułami „Wyzewa“ w „Figarze“ i tłumaczeniami uprzystępniający Francuzom literaturę polską, głównie Sienkiewicza, albo antropolog i etnolog Zaborowski, badający początki słowiańskie i in.; dawniej odznaczył się, jak niegdyś jeszcze A. Cieszkowski, i Michał Wołowski, celnemi pracami z dziedziny ekonomii politycznej.

Na polu historycznem wyróżnia się Kazimierz Stryjeński, opracowujący w monografiach postaci XVIII wieku; na polu beletrystycznem pani Poradowska, opowiadająca Francuzom o społeczeństwie polskiem, już nie owe duby smalone z fabryki pp. Cherbouliez i X. de Montépin; hr. Wodziński, poddający dusze polskie i ich marzenia bezpretensyonalnej krytyce w swej powieści, i inni.

Emigracya tem bardziej na znaczeniu straciła, że się do jednego centrum nie wiąże, żyje we Włoszech, Anglii (niegdyś Sewer, dziś Wierzbiński stąd nowelle pisuje), Danii (Stanisław Rożniecki dawne dzieje bada i „myłki pamięciowe“ Paska poprawia). W Szwajcaryi, obok Jeża, obok Muzeum Raperswilskiego, bogatego w rzeczy polskie, najbardziej w emigracyjne, zasilanego niegdyś hojnie przez równie ofiarnego, jak skromnego radykała, Katona w życiu, antykwaryusza w narzuconym przez okoliczności zawodzie, H. Bukowieckiego ze Sztokholmu, należałoby wymienić Bolesława Limanowskiego, który się tu z Galicyi przeniósł, radykała, jednego z najgłębszych u nas badaczy dziejów nowego ruchu społecznego — ale wymienianie jego dzieł zawiodłoby nas na pole socyologiczne, i tu musielibyśmy znowu wyliczać kierunki, autorów, dzieła, od Dunajewskiego i Bilińskiego, ministrów skarbu, aż do najnowszej pracy konstrukcyjnej, śmiałej, acz nieco przedwczesnej, Kazimierza Gorzyckiego „Zarysu historyi społecznej Państwa Polskiego“, prac A. Szelągowskiego, Kaz. Rakowskiego (publicysty, próbującego sił i w dramacie i powieści historycznych na tle poznańskiem i r. 1848) i innych.

Zebraliśmy, nie wyczerpaliśmy — nadzwyczajną liczbę imion pracowników i tytułów dzieł na dowód, jak potężnieje u nas ruch naukowy i krytyczny, jak się przejmuje nowemi metodami i ideami, jak się nie zaskorupia już, trwożny i oględny, jak to dawniej bywało.

Uwzględnia on w pierwszym rzędzie i teraz jeszcze rzeczy polskie, ale sięga i po za nie, nawiązuje do ruchu europejskiego, wychodzi z dawnego izolowania, z patrzenia na rzeczy nasze wyłącznie z pod kąta swojskiego, dąży do trafniejszej i ogólniejszej oceny. Nie zaciera jednak cech narodowych, owszem stara się je uwydatnić i styka się na tem polu ze sztuką i literaturą piękną, wyrażającemi, z coraz większą samowiedzą, ducha narodowego. O ile tego nasi malarze i rzeźbiarze, a w ostatnich latach i muzycy, dopinają, nie nam o tem sądzić; jak się unarodowienie poezyi, dramatu i powieści, z siłą niemal żywiołową, mimo wszelkich zboczeń chwilowych, wyraża, przedstawiamy w następnych rozdziałach.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

KIERUNKI LITERATURY NAJNOWSZEJ. JEJ POEZYA.

Wyczerpanie chwilowe poezyi; epigonowie romantyzmu, Sowiński, Asnyk, Faleński. Marya Konopnicka. Przypływ nowej fali poetyckiej; modernizm; Tetmajer, Kasprowicz i inni.

Zdawało się, szczególniej między r. 1860 a 1880, nie tylko u nas, jakoby pora poetycka dla ludzkości stanowczo minęła; wiek węgla i machin, nauk przyrodniczych i społecznych, materyalizmu i walk ekonomicznych, ścierał i rozwiewał marzenia i ułudy, burzył ołtarze romantyczne, bojował w imię analizy, ścisłości, pracy organicznej; poezyę chyba tendencyjną, uznawał, szerzącą kult światła, siły, prawdy, burzącą przesądy, ujmującą się za wydziedziczonymi, chociaż już publicystyka, mównica, szkoła nierównie ściślej i dzielniej i skuteczniej temuż celowi służyły. Huk młotów zagłuszał więc poezyę, i zdawało się, że zatrzasną się niebawem podwoje sztuki za ostatnim poetą.

Do tych zjawisk ogólno europejskich przystąpiło u nas i domowe, polityczne bankructwo romantyzmu, klęski i pogrom jego, rany, jakie po nim leczyć wypadało, jeśliśmy krwią spłynąć nie mieli. Więc nie chciała młodzież słyszeć o poezyi, o kulcie piękna i ideału, szydziła niemiłosiernie ze spóźnionej romantyczności;

w słynnym artykule („Przeglądu Tygodniowego“ z r. 1867), „Groch na ścianę“, wydrwiła „czułych śpiewaków róży, makolągwy i gila, karmiących się lazurem i esencyą liliową“, potępiła w artykule ks. Krupińskiego (popularyzatora Comte'a) „Romantyzm i jego skutki“. Pozytywiści, jak Asnyk śpiewał, „przypasali miecz Darwina, mściwi, groźni i zajadli, i do gaju Apollina na drzemiących wieszczów wpadli“ i tryumfowali, że odtąd „poezya zdradziecka umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie“, i ludzkość „nie będzie roiła o cudach dziwacznie“. Było też to dwudziestolecie najjałowszem dla poezyi, uprawianej po dawnemu; nie znajdowała po prostu słuchaczów; wiersze liryczne ukazywały się chyba po czasopismach, z osobnymi zbiorami mało kto występował. Lecz nie umarła poezya, przetrwała mrok zwątpień i świeżym ogniem wybuchła.

Prawdziwe talenty nie zrażały się zresztą nigdy obojętnością powszechną, tacy epigonowie romantyzmu, jak Sowiński, Faleński i Asnyk, którzy zawód poetycki jeszcze przed r. 1863 pozaczynali. Najmniej między nimi był zrównoważony, najbardziej romantyczność rozwichrzoną przypominał Podolanin, **Leonard Sowiński,** demokrata z urodzenia i przekonań, jak niegdyś Goszczyński, chłopoman, jak jego koledzy kijowscy, wielki czciciel Tarasa Szewczenki (tłumacz jego Hajdamaków), silny i namiętny. Zaczął od wyśpiewywania wrażeń odmiennych, z podróży włoskiej, od dzieł sztuki chrześcijańskiej; od „Widziadeł“ o ciernistym zawodzie poety; od „Satyry“, potępiającej zepsucie, zarozumiałość rozumu i wiedzy, materyalizm, ale potępiającej w słowach gwałtownych i opieszałe sługi kościoła („Kurzawo brudna Bożego domu, Oprawcy ducha!“), w imię krzyża, poświęcenia i wcielania królestwa Bożego w czyny. Sile nawoływań nie odpowiadała jednak plastyka wykonania; raziło to szczególniej w „Satyrze“, rozprawiającej się z bohaterami myśli, Hoene - Wrońskim; sztuki, Michałem Aniołem; czynu, Napoleonem, półbogiem w wyobraźni, nędznym w swych natchnieniach kainowych; gardzącej tem bardziej kapłanami, których dziełem „pustki w gruzach sterczącej wiary i społeczeństwa skrzepłe sumienie“, i poetami, pasącymi się dymem hołdów; przeciwstawiała im kornych sług piękna, owego Fra Angelico, lub owego bohatera, co „piersią własną, w sukmanę strojną, miłością ludu kmiecego zbrojną“, przykrył rodzinne progi. Bezwzględniej,

niż w tej „Satyrze“, natchniętej przecież ideałem chrześcijańsko-społecznym, dążącej do „szczytności“, rozprawiał się poeta w „Fragmencie Powieści“ z kobietą i miłością, oskarżając je, ilu to „nadziejami wielkich za młodu“ znieprawiły i złamały; spowiedź to osobista, namiętna więc i wybuchowa, pisana krwią i łzami.

Sowiński, targany niepokojem, płynącym z niezadowolenia sobą i ludźmi, próbował sił swych na wszystkich polach; najcenniejszą rzecz stworzył w dramacie „Na Ukrainie“, z wichury r. 1863, wydanym r. 1873. Pofolgował tu nienawiści przeciw „panom“ (przecież i znany wiersz o „psubratach - arystokratach“ jest jego słowa), wystawił tu rozmaite typy, trwożliwych, nieopatrznych, jeśli nie gorszych; dalej antypatye społeczne, szczególniej w „Prologu“ do tego dramatu, rozgrywającym się o dwadzieścia lat wcześniej, mieszczącym straszne dzieje i wyrzuty straszniejsze; antypatye narodowe, antagonizm między Polakami a Rusinami; szlachetne tendencye młodzieży z jednej i drugiej strony; zakorzenialość przesądów, kastowości, nieufności wzajemnej u starszych; łatwość poddawania się podszeptom obcych lub własnej wygody; lekkomyślność, ale i rzetelne poświęcanie siebie samego, a oddał to wszystko z wielkim temperamentem. Nie całość dramatyczna to, lecz luźne sceny, nieraz bardzo silne i piękne; język zbyt jednostajny, autorski, nie charakterystyczny; sama świeżość tematu, zżycie się z nim, wstrząsający epilog, wymowa gwałtowna i tendencya szlachetna, a przytem silny zmysł krytyczny, którego żadne frazesy i hasła przeciw rażącej prawdzie nie otumanią, wznoszą ten dramat wysoko, i mimo braku prawdziwej sceniczności (co się i przy wystawieniu w Krakowie okazało) sztuka wzrusza głęboko.

Nie on jedyny na tem polu tworzył, a chociaż ołówkowi Grottgera moc słowa polskiego dotąd nie dorównała, mamy o tem i wiersze, epiczne, Aurelego Urbańskiego; próby dramatyczne, symboliczne i nie symboliczne, miejscami naiwne, ale o rwącej sile, Rusina, Pereświta, talentu lirycznego, wprowadzonego świeżo i całkowicie do literatury polskiej, z iście ukraińskim smętkiem, a namiętnością; były również próby Maskoffa; liczne przedtem opowiadania, od Bolesławity jeszcze aż do dni naszych, — nie wspominając o pamiętnikach i szkicach historycznych albo dziełach i zbiorach dokumentów, polskich i rosyjskich, wydawnictwach Selima, Kubali, Berga, Gillera, Gawrońskiego i t. d., poświęconych tym czasom i dziejom. Sowiński najpierw, a na swej ograniczonej scenie i najpełniej wystąpił, wszystkie momenty najsprawiedliwiej ocenił, złudzeń żadnych nie żywił.

Mniej wiodło się mu w epice, w „Grafie Jaroszu“, o miłostkach pańskich, i w „Prażniku“, obrazku ludowym o bardzo silnym kolorycie lokalnym, podolskim; obszerny romans prozą, „Na rozstajnych drogach“ (1886) zaciekawiał sylwetkami osób, jakby żywcem z pamiętników Bobrowskiego wyjętych, księżną „Brykabrak“, bijącą się z córką, grafem - kozakiem Petruchą, ekspedagogiem i kutwą Czubem, parami niedobranemi, ale osoby główne i dalszy wątek romansu (na włoskiej ziemi) naiwną melodramatycznością zrażają — dziwne, jak na Sowińskiego, potępienie agitatora Horna, odruch może własnego krytycznego zmysłu.

Do sarkań na materyalizm nowoczesny wracał w lirycznych wierszach, zwątpiałych, gorzkich, we „Fragmentach Satyrycznych“ przeciw wiekowi naszemu, który zostawi po sobie „stos węgli, martwych ksiąg i kłamstwa nowy krój i wielki grób w ostygłem potomności łonie“; napaści jego na miałką, bezduszną, pozorną naukę mogli pozytywiści warszawscy na swój karb przenosić. Ale gorycz i zwątpienie nie wystudziły w nim wiary; i on się do stóp krzyża rzucał i ku szczytom sumienia lot pieśni skrzydlatej zwracał. Temperament, siła, aż do szorstkości, były; brakowało prostoty, harmonii, rzewności, a ponieważ czasy poezyi nie sprzyjały, mijała i jego bez wrażenia i uznania — niedoceniono go, a raczej nieoceniono wcale [1]).

Równy niemal los przypadł w udziale **Felicyanowi Faleńskiemu,** chociaż większa sprzeczność dwu poetów dzielić nie może: wielki artyzm, temperament spokojny, sceptycyzm pogodny, coś z ducha antyku, odznaczają Nestora poetów warszawskich, dalekiego od burzliwości, namiętności i sarkazmów Sowińskiego. Zna on i podziwia Kochanowskiego i Szarzyńskiego i wślad za nimi „sobie śpiewa, nie komu“ i wyróżnia się od „nieznacznego“ (banalnego) tłumu. Gdy Sowinski zawsze sobą zostaje, wciela się Faleński z lubością we wszelkie możliwe typy poetyckie, naśladuje i tłumaczy z nieporównaną łatwością Petrarkę i Wiktora Hugo, Dantego i „Stary Testament“; Orlanda (wyjątkami) w cudownym

[1]) Jego obszerny „Rys dziejów literatury polskiej“ jest kompilacyą, pouczającą tylko tam, gdzie mówi o spółczesnych.

wierszu naszej literaturze przyswoił, igrając z trudnościami włoskiej oktawy (dla Polaka), trafiając w ton rycersko-awanturniczo-drwiący oryginału.

Taka sama wielostronność wzorów i wpływów cechuje jego dramaty, nie dla scenicznych efektów układane, nie wymaganiom etycznym hołdujące, psychologiczne zato, o wytwornym dyalogu, wzorujące się i na Szekspirze i na Kalderonie, lecz chłodne i retoryczne; tendencyi, przystosowania do potrzeb chwili bieżącej unikał, jak wszędzie, tak i tutaj, i tem na wielką niełaskę u pozytywistów zasłużył; w jednym z tych dramatów, nie najlepszym, „Królowa“, poświęca siebie i swe uczucia dla sprawy wiary i ojczyzny Jadwiga, zaślubiająca Jagiełłę. Tym samym artystą wytwornym, panującym nad własnem wzruszeniem, unikającym pospolitości nie mniej, jak patetyczności, władającym świetnie słowem i rymem i popisującym się nim nawet w zwalczaniu wszelkich trudności, jest Faleński w zbiorkach swoich poezyi, wychodzących pod różnymi tytułami, ze znacznymi przerwami czasu, od pierwszego, od „Kwiatów i kolców“ jeszcze z r. 1856, odpowiadających coraz wyższym wymaganiom estetycznym autora. Stronienie od sentymentalności, od wszelkiej uczuciowości wyradza się u niego w pewien chłód: przeważa refleksyjność, porwać czy olśnić czytelnika poeta nie zdoła. Istny Proteusz poetycki i w nowelli humorystycznej i w farsach scenicznych największe może sukcesy u tłumu odnosił.

Popularnością i sławą cieszył się, między wszystkimi poetami jedyny, El...y **(Adam Asnyk);** i jego wykoleiły wypadki r. 1864 i zżył on się odtąd z Krakowem i w liberalnej jego publicystyce wytrwale pracował. Epigon romantyzmu, przejął się żywo Słowackim, którego kult właśnie między młodzieżą po raz pierwszy silnie się szerzył, Słowackim-satyrykiem z „Grobu Agamemnona“ i mistykiem, o czem jego „Sen Grobów“, pełen sprzeczności i niejasności, najwymowniej świadczy. Później przeważały tony dowcipne i sceptyczne, od Heinego i Musseta nawiane; one to, niby dla tendencyi, drwiącej z uczuć i miłości, największą mu zjednały wziętość. Drażliwie czułej duszy-mimozie poety właśnie one najmniej odpowiadały; wesołość ich ukrywała smutek, płynący z wewnętrznego rozdarcia, z sprzeczności jawnej między marzeniem - ideałem a rzeczywistością, przybierającej coraz ostrzejsze kształty, gdy materyalizm ide-

om i ideałom hardo urągał, a myśliciel - poeta ani odwagi, ani woli nie miał, by czoło mu stawić.

Marzyciel łagodny ukojenia, a raczej złagodzenia tego smutku i rozterku doznał dopiero na łonie przyrody, oto wyśpiewał poeta osobliwszy urok Tatr, odczuł całą potęgę ich ogromu i grozy, nocy przepaści i odmętu rozpasanych żywiołów; pojęcie ewolucyi doprowadzało go do panteizmu, do zlewania się z przyrodą, do zapominania o swem odosobnieniu, o swej bezsilności. Więc pożegnał Asnyk satyryczne i mistyczne dźwięki, roztoczył obrazy przyrody, ale się w niej nie rozpłynął; znalazłszy opokę pod nogami, schodzi z pod Wysokiej między ludzi i lud i nowe cele, uspołecznienia narodu, szerzenia światła i prawdy, poezyi wymierzał. Nimi to i filozoficznością swojej poezyi odróżnia się Asnyk najznamienniej od Faleńskiego; zaś dzieli z nim czar słowa i kunsztowność formy, unika pospolitości; głęboka rzewność, uczuciowość, wyschłe niemal u Faleńskiego, biją żywym zdrojem u Asnyka. One to sprawiają, że nie gubi się on w abstrakcyach ewolucyjnych i filozoficznych, że odczuwa silnie, co go z własną ziemią i bracią wiąże, gdyż każdy na własnej tylko niwie zakwita silnie i szczęśliwie, tam tylko „kształt i barwę właściwą przybiera, na czas dojrzewa i na czas umiera“.

Liryk czarujący formą, imponujący poważną, głęboką myślą, coraz wyżej ku światłu dążący, większych kompozycyi nie stworzył, chociaż i w dramacie, jak Faleński, nie z wiele większem powodzeniem, sił próbował. Fars nie pisał; komedyjka „Gałązka heliotropu“ za to szczerym się wdziękiem odznacza, lecz on po wyższe wawrzyny sięgał, tragedyi historycznej, w „Cola Rienzi“ (prozą), w „Kiejstucie“ (wierszami; jest to historya Wallenroda, syna Kiejstutowego, na pierwszej etapie „zdrady“, jeszcze mniej fortunnej, niż późniejsza mistrza wielkiego) i w innych. Deklamacya piękna, tendencye szlachetne ratują te utwory; autor unikał wszystkiego, co poziome i brudne, więc nawet „Przyjaciół Hioba“ pogodnie zakończył: artysta, przeciw któremu świat i przyjaciele się sprzysięgli i własna, kochająca żona ostyga, zdobywa napowrót i miłość żony i oklaski świata (w rzeczywistości takiemu Grabbemu np. toż samo się nie powiodło wcale). Społeczną stworzył komedyę w „Braciach Lerche“, w dziejach rodziny niemieckiej na ziemi wielkopolskiej, gdzie w walce narodowościowej staje Stefan Lerche po stronie uciemiężonych, gdyż nie zechce do ciemięzców należeć

i sprawie służy, która przykuwa cierpieniem swem miłość jego; szlachetność jest wybitną cechą i bohaterów i autora.

Nie wojownicza to natura, — złamało ją życie; co ukochał, co tyle czcił, zdeptane w pyle padło bez sił; rozpacz i hańbę widząc po drodze, stanął w trwodze, widział klęski duchów i ciał, więc obłąkany boleścią chodzi we łzach i trwodze i nie wie teraz, w co wierzyć ma, jak dzień swój przeżyć w ciemności sam. Odzywają się więc i tony ironii dotkliwej na lutni jego: potrzeba śmiać się narówno z wami, wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać, potrzeba śmiać się, śmiać się i umierać; lecz nie ugrzązł ani zastygł on w tej ironii, gdyż hasłem jego, wbrew naszym pesymistom, było: trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe. Więc tylko mimochodem pieśń jego gromem wstydu obojętnych pali, że, w nikczemności pędząc żywot marny, płazowe szczęście, nie wielkość, obrali i jałmużną pogardy płaci ich rodowi, szczęsnemu, cierpliwemu i karnemu; uczy za to stałości (miejmy odwagę, nie tę jednodniową, tchnącą szałem); nie każe zrywać — wobec pozytywistów na nieśmiały protest się zdobywając — z ideałami, z ołtarzami przeszłości, którym winniśmy cześć:

Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią...
Lecz nie przestańmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość.

I cicha, smutna rezygnacya kryje się pod jego wierszami; lecz spokój i równowaga jego są pozorne raczej, i napróżno je w nas i w siebie wmawia, duch nie z tego świata; zbyt łatwo znowu zapominamy my o złotych jego słowach, „nie marzmy o łatwym cudzie“, o życzeniach jego „rozumu, niezgiętej woli, prawdziwej duchowej siły i serc czystości — i z naszej skromnej mogiły dzieci się będą uczyły, jak żyć w przyszłości“. Nie na spółczesne, na następne dopiero pokolenie wywarł Asnyk wpływ wielki; ono naśladuje kunsztowną formę i przejmuje się jego ideami; bądźcobądź przedstawia on najwyższe artystyczne wcielenie epoki pozytywistycznej.

Ptaków małego lotu, to onieśmielonych szyderstwem pozytywistów, to zrywających się do pieśni na ich nutę, sławiąc pracę, postęp i wiedzę, było w tych latach wiele, najrozmaitszych, z miasta

(Ordon-Szancer i Miron - Michaux) i ze wsi (Marya Bartusówna, nauczycielka ludowa), studentów i synów obywatelskich, i próbowali oni tonów najrozmaitszych, lirycznych i satyrycznych (w tonie Heinego i Musseta, szczególniej Miron), epicznych i dramatycznych; naśladowali przeważnie, nieudolnie, Słowackiego, jak rozwichrzony romantycznie Buława (Władysław Tarnowski w „Poezyach Studenta“), wcześnie zgasły Maryan Kochanowski (w „Pośmiertnych i Ostatnich Poezyach“), Bogumił Aspis, wyższy od nich sztuką, próbujący sił na najrozmaitszych polach; Karol Świdziński, poeta tendencyjny, jak Bolesław Czerwieński, i inni. Nawracano i na dawne tory, choćby gawędziarskie, np. Stefan z Opatówka — Giller — w „Krótkiem curriculum vitae Matyasza, co zwan był Kobeżnikiem“.

Kuszono się nawet o odtworzenie i połączenie w sztuczną całość baśni ludowych: Wojciech Dzieduszycki, filozof - estetyk, badacz dziejów pierwotnych (jako geograf i archeolog), a prócz tego działacz polityczny i mówca znakomity, obszerną, bo dwutomową „Baśń nad baśniami“ ułożył, gdzie w dwunastu pieśniach bajeczne dzieje kilku pokoleń, niby Kraszewski w „Anafielasie“, wyśpiewał, czerpiąc treść, o babie Jadze i jej pasierbach, o Żywie i synu Piaście, o Lechu i Czechu morskim, z pseudopodań i pseudobajek (Glińskiego). I nie brak takich pseudoepopej, prasłowiańskich nawet albo historycznych, „Borys“ Julii Terpiłowskiej albo „Kniaziowie Różyńscy“ Bronisława Komorowskiego, i ciągną się one do naszych dni, pojawiając się nieraz po wielu latach dopiero, np. Lumira „Gwiazda Wschodu“, „poema dramatyczne słowianopolskie“, poświęcone „Polakom, Czechom, Rusom i wszystkim braciom słowiańskim“, wystawiające walkę rodzimego pogaństwa z napierającą falą chrześcijańskogermańską, którego drukowanie jeszcze Kraszewski odradzał.

Z nierównie większą pewnością mógł wiersz epiczny liczyć na powodzenie, jeśli się z satyrą i ironią łączył. Satyrę uprawiali przygodnie nawet romantycy, choćby Gaszyński (wierszem i prozą) albo Syrokomla, lecz teraz pojawili się satyrycy z powołania; pisma humorystyczne, polityczne, jak lwowskie „Szczutek“ i „Śmigus“, krakowski „Dyabeł“; niepolityczne, jak „Kolce“ i „Mucha“, warszawskie (z nieporównanym ilustratorem Kostrzewskim), satyryków - humorystów i potrzebowały i płodziły; jeden z nich, Liberat Zajączkowski (od „Szczutka“) przeniósł się do Wiednia i jego

humorystyki bardzo podkasałej, którą dziś „Bocian“ w Krakowie piastuje.

Najwybitniejszymi humorystami w wierszu (proza liczyła znakomitszych) byli **Rodoć** (M. Biernacki), Włodzimierz Stebelski (Rusin) i **Włodzimierz Zagórski,** Lwowianie, tragiczną śmiercią, samobójswem, czy w szpitalach warszawskich życie kończący. Rodoć celował w felietonach humorystycznych, listach wierszowanych, charakterystykach filistrów (Pan Karol), lecz z latami ubywało mu werwy i zacięcia; do późniejszych wydań swych pism nie włączał nawet najjadowitszych wycieczek przeciw klerykałom i konserwatystom; uczuciowość ukrywana wybuchała i w lirykach, przejściom osobistym poświęconych. Stebelski, wiecznie niedolą gnany i od niej złamany, wzorował się niby na Berwińskim jeszcze i „Don Żuanie“ poznańskim; powieść jego o artyście — nieudałym amancie, w tym tonie utrzymana. Zagórski - Chochlik, jeden z filarów Szczutka i jego typów (Goga, Gogątek i innych), nie tylko Florcia (Ziemiałkowskiego) i Koło polskie zwalczał, lecz z lwowskiego bruku barwne a żywe opowiadania czerpał, z satyrycznemi tendencyami („Pamiętniki starego parasola“; „Wilcze plemię“ i inne — potem w nowellach z mniejszem powodzeniem sił próbował); później filozoficzno - pesymistyczne nastroje w pieśniach „Króla Salomona“ wyrażał, w namiętność „Pieśni nad Pieśniami“ z goryczy „Koheletu“ czy Eklezyastesa bardzo nagle i niespodzianie wpadając; nie musiał ten pesymizm być tak straszny, skoro głos niewieści rozwiać go mógł. I rozkoszuje jego Salomon w szale zmysłowym, ale i w nim nie ginie: drogę do Boga znachodzi w tęsknocie do Niego, najpiękniejszym hymnie, jaki się z pióra liryka wylał.

„Król Salomon“ z oboma tonami, pesymizmu i zmysłowości, i z owym wspaniałym hymnem „Tęsknoty“, to najznaczniejsze Zagórskiego dzieło; nie dorównają mu ani liryki jego ani transskrypcye ballad burszowskich Scheffela i innych Niemców. Był to mistrz słowa i formy, mianowicie sonetem władał znakomicie i w sonecie też jego budowę określił; zajmowały go nawet głębokie, muzykalno-rytmiczne studya nad wersyfikacyą polską.

Wszystkich spółczesnych poetów, młodszych i starszych, zaćmił największy talent poetycki drugiej połowy XIX wieku, **Marya Konopnicka.** Nie odrazu weszła ona na drogę właściwą; i ją znęciły syrenie dźwięki pozytywizmu, i ona tendencyi hołdowała

i sztukę - deklamacyę do wymagań aktualności przystosowała. W pierwszych występach poetyckich raziło i romantyczne naśladownictwo Słowackiego i służba hasłom nowym, i zdawało się jej, że „pieśń nasza — to ludów wrzawa, huk młotów i turkot maszyn, nie ta łzawa słodka melodya niebieskich ptaszyn“, a modlitwa nasza „to nie to mgliste, tęskne za lepszym światem wzdychanie — to wiekuiste, łączne miłości z wiedzą działanie“ (coś niby „romans dwuch komórek, w pacierzowym tkwiących rdzeniu“). Lecz już w tych pierwszych jej występach było i coś więcej nad hasła i tendencye: ona miała serce i patrzała w serce, i pieśń jej, chodząc po ziemi i łzy zbierając, zawsze leciała skrzydłami drżącemi, gdzie duch omdlewa i tęskni i płacze, kędy niedola zasiada u progu i nie czczym frazesem zostało jej godło:

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku;
Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną, czy w walce gasną —
Lecz z tobą płakać, człowieku!

Ta głęboka sympatya dla niedoli ludzkiej—i jeszcze po wielu latach odczuła ona rzewny głos Ady Negri i spolszczyła cudownym wierszem jej Niedolę - Burzę (r. 1901) — i dziwnie czułe przywiązanie do ziemi rodzinnej, do krain, „kędy na dnie progu świt we łzach cały, długo wyprasza się Bogu, by mu patrzeć nie kazał na stary ból świata“ — niby daleki odgłos Brodzińskiego — rychło ją wzniosły nad pozytywizm i tendencye; nie darmoż fale poezyi jej potrąciły pierwsze wrażenia z przyrody ojczystej, jakie w Tatrach odniosła.

Na razie cofnęły się były te obrazy wobec retorycznych wierszów „Do Kobiety“ i „Do Braci“, wobec miękkiego zwątpienia i kobiecotkliwego bolu, wobec dręczących pytań „Dlaczego i Czemu“, rozsadzających jej pierś, wstrząsających błękity swym protestem, i coraz skarżyła się ona, nie za siebie, ale za te „twarze blade i serca złamane, i w każdej ludzkiej piersi jakąś ranę i w każdem oku jakąś łzę tajemną“ i latała ona, „jako ptak zraniony, nizko nad ziemią tą, co w bólach kona“, a jeżeli się wzniosła, to z nowym wyrzutem:

O Panie, przebacz mi, tyś Bóg, tyś wielki...
Łzy ludzkie cóż są? — ach, rosy kropelki,
A przecież wszystkie masz je policzone...
Co? policzone? — co? i — nieotarte?

Lecz ani się gubiła poetka w tych „naiwnych rekryminacyach", jakie jej krytyka zachowawcza wyrzucała, ani zaciągała się ostatecznie pod chorągiew coraz modniejszą pesymizmu, i dziwną była jej wiara niezłomna, uparta, że ludzkość „znajdzie prawdę i Boga", to przekonanie, że „z ciemnic więzienia, ze stosów męczeństwa myśl ulatuje żywą i skrzydlatą, by śpiewać hymny zwycięstwa".

W programowych niby jej wierszach, zapełniających pierwsze serye jej poezyi (z r. 1881 i 1883), było jeszcze nadto sztuczności, napuszonych tyrad i frazesów; większa nierównie prostota, niewymuszona, głęboka a rzewna, przemawiała już z ówczesnych jej pieśni ludowych, z cyklów „Z łąk i z pól", „Na fujarce", „Łzy i pieśni", gdzie ujrzały oczy poetki „lud nasz posępny i cichy i nędzne chaty"; to ona „rodzinnych swoich pól zna wymowę — łzy i ból". I tu nie brakło przecież owych nawoływań i owej dydaktyczności: uściskiem bratnim przyciągnijmy blizko pierś ludu skrzepłą; owych skarg, że nic „sennych chat, gdzie lud, gdzie brat, rozbudzić nie może"; owych zwątpień: a kiedyż my doczekamy takiej zorzy, takiej doli, że nam wzejdą złote kłosy na tej naszej czarnej roli?

Tak tworzyła ona szereg „Obrazków" z czarnej doli chłopskiej: Wolnego Najmitę, któremu wolno, gdzie chce — z głodu umierać; pytała, *Co pocznie* nędzarka, podrzucająca niemowlę; *Czy zginie* dziewczę wiejskie na bruku miejskim; pytała, O bracia, czy w was wcale niema winy, że słonka Jaś nie doczekał; uczyła, że nie Przed sądem, ale do szkoły stawać dzieciakowi, jeśli nie ma zbłądzić i t. d.

U Syrokomli (prócz „Lalki"), u Lenartowicza nie było jeszcze takich „Obrazków" z takim zgrzytem i dysonansem, z aktem obwinienia przeciw społeczeństwu; dopiero teraz różowe ułudy sielanki wiejskiej rozwiały się na zawsze; nie wesołeż to „Obrazki" z naszej wsi wesołej, wsi szczęśliwej. Wrażenie psuje tylko ta zbyt natrętna, zbyt widoczna tendencya; ale pozbędzie się rychło tej domieszki niepoetycznej poetka, szybując coraz wyżej i coraz wznioślej. Również nie udawały się próby dramatyczne, jeśli miano takie dyalogowanym fragmentom „Z przeszłości", o różnych ofiarach ciemności, przesądu i gwałtu, nadawać wolno.

W trzeciej seryi „Poezyi" (z r. 1887), mieszczącej i świetne przekłady z Heinego, Heysego i innych poetów, najpiękniejsze, najrzewniejsze tony znowu z fujarki sielskiej się dobyły, czy w „Dzwonach", co chłopskim trumnom w drogę żałosną dzwonią, czy „kiedy mi przyjdzie zagrać w polu dziewczynie, da! dana!", czy w onej niezrównanej pieśni o tęsknocie, co nie puszcza poetki za wiatrem, czy za bystremi wodami w świat daleki, na kraj świata, bo „mi cię żal, ty chato, pod tą lipą rosochatą, pod tym sadem pełnym rosy, pod błyskami jasnej kosy".

Ale motywy sielskie nie wypełniały twórczości; to odrywało ją wzburzone uczucie poetyckiej parafrazy „Wojny" Grottgerowej— sztuka Konopnickiej lubuje się stale w „transpozycyi" wrażeń, obraz i rzeźbę ona na słowa przełoży, jak nikt inny; to próbowała sił w luźnych oktawach „Imaginy", epopei symbolicznej, niedośpiewanej dotąd, rozgrywającej się w sennych marzeniach Lucyla, tęskniącego za ideałem, za Imaginą, przybierającą jednak rysy coraz bardziej ziemskie: oktawy Imaginy z obrazami pysznymi miały tylko przygotować poetkę do opanowania misternej, nowej formy. Przeszła do prozy i w nowelach, jeszcze wyłączniej, niż w wierszach, tematy sielskie obierała, dusze proste a głębokie, czy Wojciecha, wiarusa Napoleońskiego, co w znajdka Antka zapały swe napolijońskie przelewał; czy Banasiową, co do dzieci umierać ściągła i wstyd jej i markotno, że nie umiera; czy starą matkę, co wszystko synkowi na pochów własny, nie szpitalny, wydała, co nic dla siebie nie schowała; Hankę z „Pod prawem", dopowiedzenie obrazku „Czy zginie?"; dzieci, zasądzone o kradzież „z włamaniem" i *Przed sądem* tym nie ma już owej, dawniejszej wymarzonej wyrozumiałości; staruszkę - pątnicę U źródła, dla której mistycyzmu niema żadnych tajemnic na świecie; głupiego Franka, co „Miemcom" i tę modrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki sprzedawać każe; Mendla Gdańskiego, co się „w to miasto urodził", za swego, nie za obcego, się uważał, aż mu nagle „umarło serce do tego miasto".

I coraz silniej wyodrębniała się jej indywidualność poetycka, pomiędzy pesymistami i erotomanami naszymi; i mężniała jej pieśń wbrew owym parnasistom zniewieściałym i coraz donioślej rozlegał się jej głos. Na wierszach jej uczono się znowu czcić i cenić poezyę.

Symbolizmowi epoki spłaciła dań w dyalogach „Prometeusza i Syzyfa“: jak każda głębsza alegorya, i ta o lotnym duchu *Excelsior* i o tępym niewolniku pracy fizycznej, różnie da się zastosować, gdy np. Syzyf duma: „mówi (Prometeusz) „bracie“ — piękna to rzecz, ale nie jest prawdziwa... ile razy ci tam w górze pomocy naszej potrzebują, to nam mówią: bracie; nie dowierzam ja ci, ptaszku“, albo znowu Syzyf komunę paryską ci przypomni — a te cudowne słowa o nowym, piątym żywiole, bolu, co ma sił i treści za tamte, za wicher jęku i łez morze i ogień męki i ziemię mogilnych prochów — na tej co stanie, wieczne jest, a co łzy napoją, żywe jest, a co ogień męki wypali, twarde jest, a co jęk wyśpiewa, miliony zmocni. Uderza nadzwyczajna siła tej prozy poetyckiej, prozy Krasińskiego.

Powoli wyczerpują się dawne motywy, przybywają nowe, od wrażeń pod obcem niebem, ale i na obczyźnie pozostaje poetka na wskroś polską. Więc wzmaga się — w czwartej seryi „Poezyi“ z r. 1896 — nuta tęsknoty za krajem, nie rozpaczliwej, namiętnej, (obcej kobiecie), lecz rzewnej: nigdy o was nie zapomnę, pola moje przefaliste, lasy moje przeogromne, wody moje bystre, czyste; wzmaga się siła plastyczna i talent malarski, kreślący coraz nowe obrazy, z dalekich stron, z niezrównanym wdziękiem; wzmaga się poczucie obowiązku (ja com winien sobie) i wlewa go poetka w przyszłego człowieka: niech się uczy, jak ma uczcić „dolę kmiecą i zgrzebną sukmanę“, jak ma nosić „zbroję ducha nieśmiertelną, co się zowię wolą, cnotą, a za oręż stoi“.

W chram samego piękna wdziera się poetka w cyklu „Italia“ (1901). W „Sonetach Włoskich“ rywalizuje z „Krymskimi“ w sile i malowniczości wyrazu; i tu nie brak tęsknej nuty; pod niebem auzońskiem, wobec madon włoskich, z których jedna „iśćby mogła między pola nasze, między nasze płoty, a nie zlękłoby się nawet ptaszę, nie zlękłyby się i sieroty“ i pogląda ona „na liche i zapadłe chaty, na czarne, uciszone bory, na cierniem zarosłe ugory“.

Dzieła sztuki, „W Sykstynie“ i indziej, natchnęły te obrazy o liniach klasycznych, pełnych blasku słonecznego; szum morza „rozperlił toń jej myśli na dźwięki i głoski“ i nadał im rytm boski; coraz nowe widoki czy myśli, Nad Ticinem duch Barbarossy, w Zatoce Baji postać Cycerona, to garibaldczyk jakiś, to mnich w Zakrystyi na Murano, lub stary ksiądz w Bagnasco — w marmurze tego

słowa na wieki wykuci, słońcem południowem prześwietleni na zawsze.

Spółcześnie pisało się, rozpoczęte r. 1892, do dziś nie zakończone całkowicie, największe dzieło poetyckie naszych czasów, jedyne godne stanąć za „Panem Tadeuszem“ i „Królem - Duchem“, „Pan Balcer w Brazylii“. Literatury świata znają wszelkie możliwe epopeje, rycerskie i heroiczne, fantastyczne i symboliczne, mistyczne i religijne, narodowe i żeglarskie, mieszczańskie nawet — nie znały epopei ludowej; Konopnicka ją utworzyła, a utworzyła tak, że pierwszych, największych dosięgła. Epopejom północnym szczęście nie przyświeca tak, jak południowym; ich bohaterom laury zwycięskie skroni nie wieńczą — i „Pana Tadeusza“ nagle urwać wypadło i rzucić zasłonę na straszny rok klęski. Więc walka tragiczna, o siłach strasznie nierównych, wypełnia cudowne strofy i tego eposu ludowego i wychodźczego zarazem.

Niesłusznie biadano, że poetka oderwała chłopa naszego od gleby rodzinnej, że puściła go w wielki świat, w niezwykłych warunkach go postawiła: że na własnej ziemi chłopa tego mogła pełniej, realniej, wszechstronniej wyobrazić. Ależ, jeżeli „Pan Tadeusz“, nabrzmiały tęsknotą, w uśmiechu z poza łez skrytych, nieutulonych pisany, tem samem ów czar nieśmiertelny wywierał, któremu się nie oprzesz, toć i „Pana Balcera“ gna takaż sama żywiołowa tęsknota, przez Sawanny i Andy, ku morzu, za morze ku zagrodzie, ku łanom i ruczajom, gdzie przez błonia słychać, jak na Anioł Pański dzwonią i aż od Częstochowy zalatują echa; żadne zmiany zwykłej doli wiejskiej, walki czy o kawał chleba, czy o miedze, czy o dziewuchy, nigdyby tła wielkiej epopei nie zapełniły.

Febra wychodźcza, *febris* — nie *aurea*, lecz *terrestris*, zatrzęsła organizmem ludowym, jak daleko polskie niwy, już niewdzięczne, niegościnne temu ludowi, się rozległy; nie bada Konopnicka, co się na to złożyło, co z tego będzie, ale pyta o przejścia samej duszy mazurskiej w owych strasznych opałach, gdzie wszystko, i dal niezmierzona, i klimat zabójczy, i wąż przyroda zaprzysięgły zgubę obcym wlazom. Stajemy od pierwszej strofy poematu między wychodźcami na okręcie, płyniemy przez dalekie morza; nowość, niezwykłość przedstawia się jeszcze nieraz i z okrasą uśmiechu, humoru, tak rzadkiego u Konopnickiej gościa, lecz gdyśmy nareszcie na ląd ów wyrojony i wyśniony wysiedli, zasępia się,

raz na zawsze, a coraz groźniej, to niebo obce nad tą gromadą naszą, topniejącą strasznie w uściskach chorób, nędzy i głodu; srogo, nieludzko zawiedzeni, gdy się siły wyczerpały, rzucają oni wszystko i gnani strachem panicznym, niedobitki, potem już tylko szkielety, nie ludzie, w nadludzkim wysiłku, a zawsze korni i ufni, podtrzymywani wiarą — cudem brną przez lasy, stepy i rzeki, do morza, do morza, „i jedna tylko moc porusza nimi: iść a iść, póki nie dojdą swej ziemi", chyba, aby złożyli kości na niej, którą rzucili dla faty morgany, wabiącej nadmiarem żyznych pól, wydatnej pracy. Opowieść tej zgrozy włożyła poetka w usta „pana" Balcera, z waszeci, kowala; nową trudność tem sobie stworzyła, bo należało tę powieść utrzymać w tonie, nie książkowym, autorskim, lecz odpowiadającym szczerej a prostej myśli, wiedzy dziecinnej, uwagom naiwnym, choć trafnym mędrca wiejskiego.

I dokonała autorka cudu prawdziwego, i płyną jej oktawy w ustach Balcera, jedna piękniejsza od drugiej, i w najżywszych barwach skrzą się opisy przejść i miejsc, jakich sama ani doznała, ani widziała autorka, dziwną intuicyą odgadła, z nadzwyczajną siłą wykonała; mnożą się obrazy nieśmiertelne, burzy, czy na oceanie czy w lesie podzwrotnikowym, i ognia na morzu i stepie i spustoszeń śmierci — zaraz i targań głodu i rozpaczy, na tle dziewiczych lasów i spiekłych stepów zamorskich.

Nie mniej bujna galerya żywych osób, sylwetek chłopskich, od mistyka Horodzieja, patryarchy niby słowiańskiego, wodza duchowego, rozmodlonego, tej gromadki, aż odlatuje sytemu trudów, duchem zasłuchanemu w dzwony, dusza - gołąbek ku ojcu niebieskiemu — do poleszuka Łucia, urządzającego się po domowemu wśród błot amerykańskich, do filuta Opacza i tylu innych. Nad mrowiem postaci — i niemieckie scharakteryzowane krótko, lecz misternie — góruje Pan Balcer, sprytem i duchem, siłą i wolą, wiedzą i zdolnościami i krystalizuje się w nim wszelka cnota Słowianina, bez jego słabości.

I, znowu niesłusznie, skarżono się na poetkę, że jej epopei brak bohatera, „a w każdej epopei wątek i bohater być muszą i są od czasów co najmniej Homera"; gdzież bohater Pana Tadeusza? Robak, ginący w X pieśni, nie występujący w innych z ukrycia? czy Pan Tadeusz może, dziecko raczej, niż mocarz? Tam Litwa szlachecka, z przyrodą i ludźmi, tu lud wychodźczy, a potem wygnańczy — bohaterami, nie ta lub owa osoba, jak i w „Iliadzie" nie Achil, znikający na liczne pieśni zupełnie, lecz Grecya — heroiczna — bohaterem. A co najważniejsza, ani na chwilę nie utyka akcya i powieść, ciągleśmy z naszymi bohaterami w ruchu, od pierwszej strofy, kiedy muskularny kowal — a styl jego równie żylasty, jak pięść — „stanął na owym pokładzie; na pewnych nogach i szeroko w kroku" aż do ostatniej — bez nużących dygresyi i epizodów nieciekawych, ciążących na tylu sławnych epopejach.

Mylił się więc Asnyk, gdy biadał, że „przeminął czas tęczowej powieści, niezrozumiałym już się stał orężny szczęk epopei dla znikczemniałych smutnych ciał bez męstwa i bez nadziei!". Z postaci najzwyklejszych, z przejść codziennych — cóż niestety częstsze, niż takie wychodźtwo i takie jego zmarnowanie — wskrzesiła Konopnicka epopeę bohaterską, acz ludową; uderzyła, wedle rady jej Syzyfa, „człowieka o Zeusa — jeśli człowiek wytrzyma, to będziesz miał z tego taką jasność, że to ha!" I niczego nie brak tej epopei; jest inwokacya, acz późna:

Zaś wymaluję lud ten i wypiszę
Aż do ostatka tułaczów tych drogi...
Mar, z których każda wspominania żąda
I śniadą twarzą skroś fali przegląda,
A ja, na mary owe patrząc z góry
I jęku głosów miawszy pełną duszę...
... ile chwycić i unieść mam mocy,
Tyle ich fali wyrywam i nocy,
Lecz one, wisząc u piór moich końca...,
Wołają: Ty nasz zbawca, Ty obrońca,
Ty imię nasze zachowasz na ziemi,
Iż wygładzone nie będzie z pod słońca...

są porównania, choćby i chłopskie, jak np.

Nie tak słonecznik obraca łodygi,
Gdy słońce nad nim podstąpi pod Raka,
I nie tak na wiatr latają w krąg śmigi,
Gdy młynarczyki popuszczą wiatraka;
Nie tak cygany wiercą mamałygi,
Kocieł nad ogniem zwiesiwszy u haka;
Jakem ja kręcił te łby kędzierzawe...

są walki nadludzkie i z chorobami i z głodem i z murzynami, kiedy rozszalały od bolów, zawodów, wściekłości lud:

Tak jednym wichrem i w jednym rozpędzie
Lecim mordować, bić, co się nawinie...
Niech się zapada świat! niech wszystko ginie!...
Zmizerowani krzywdami i głodem,
Jak piorunowa pędzim nawalnica,
Kto ranny, nie wie nawet, że ma ranę,
A wszystkie twarze, oczy, krwią pijane —

drogę zastępuje im ksiądz z krzyżem w ręku... dopieroż my tu w płacz, jak w te organy... dopieroż hukniem razem litaniją, jakby zawieja zerwała się sroga dusz, co gdzieś w niebo lecą pod gwiazdami: Kirye eleison, zmiłuj się nad nami! A cóż powiedzieć o języku, pełnym archaizmów i prowincyonalizmów, cudownie pięknym, cudownie silnym, wyrazistym, typowym; skaz niema na nim żadnych, skaz, jakich może w szczególe opowiadania, nie stłumiającego zawsze sentymentalności kobiecej, i w zwrocie myśli, nieraz dla „Pana Balcera“ nadto górnej i wyszukanej, wykazaćby się dało, gdybyśmy na słońcu plam szukać chcieli.

Lecz nie wywodzi się ta epopea od „Pana Tadeusza“, błogi jego spokój, jasne promienne obrazy rażą od tej łuny krwi i pożogi, od tych przejść wstrząsających, rozdzierających serca, i nie „aleksandrynami“ jego poważnemi, lecz wartką oktawą „Beniowskiego“ i „Króla - Ducha“, barwami z palety Słowackiego, tonami marszu pogrzebowego Szopena, lśnią i brzmią te strofy. I nic, prócz może jakiego przeczulonego rozjęku, nie zdradza pióra kobiety, i zawstydzeni ustępują poeci, których przenosi poetka wyobraźnią i siłą iście męską, widokręgiem szerokim, wiarą niezłomną.

Brak na lutni Konopnickiej struny erotycznej. Pisała wprawdzie i ona wiejskie zalecanki i tworzyła repliki pełne wdzięku do „Szwajcaryi“ mistrza, lecz wobec rozpanoszenia się, to jawnie bezwstydnego, to lubieżnie ukrytego, erotyki w poezyi nowej i najnowszej — jakby ludzie innych myśli, trosk, uciech nie znali — bije od wierszów Konopnickiej ta rzewność i świeżość, jaką przyroda łąk i lasów nas wita, gdy rzucamy wąskie ulice i ciemne komnaty, pełne odoru wstrętnego i perfum ckliwych. I mogliby znowu koledzy-poeci brać przykład od poetki.

Nie wyczerpuje się tem dorobek literacki Konopnickiej; jaśnieją w nim jeszcze znakomite przekłady czy mistycznych zachwytów „Hanusi“ Hauptmana czy rycerskości „Cyrana de Bergerac“ Rostanda; jaśnieją jeszcze bardziej studya krytyczne, o Mickiewiczu czy o „Krzyżakach“, o Asnyku czy o B. Zaleskim, o studyach Klaczki renesansowych czy o Lenartowiczu. Krytyka to nie profesorska; nie uwzględnia trwożliwie wszelkich dat, fakcików, dziełek; nie pyta o metrykę, paszport, filiacyę; daje się tu i owdzie nawet zbyt unosić potężnemu tchnieniu poetyckiemu; są to wzory nieprześcignione krytyki syntetycznej, twórczej, sięgającej intuicyjnie w sam głąb natur, pokrewnych natchnieniem; lecz i subtelnej analizy im nie brak (np. w owej miażdżącej krytyce podkładów myślowych, z których „Duch od stepu“ powstał).

I znowu olśniewa poetka świetnością swej prozy, silnej i jędrnej zarazem i tak rytmicznej nieraz, że się aż w wiersze układa czy prosi. A wybiera ona i dla tych studyów wzory i rzeczy, od których jakieś światło bije — nigdy nie wodzi nią prosta ciekawość, studyum byle jakiego zajmującego zjawiska.

Najbardziej przyciągają ją te „proste, mierne dusze“ — gdy o nich myśli, to się sercem kruszy i wielkiem ludzi kochaniem przejmuje; nie zaślepia jej jednak to kochanie, umie ona wybuchnąć i w najostrzejsze skargi: o rodzie ludzki, o plemię Kaina! w gniewie ty jesteś i w pomście poczęty, Z dziada na ojca, a z ojca na syna siew starych zbrodni upada przeklęty, I własna matka ziemia cię przeklina... takich obrazów nie brak i w „Panu Balcerze“ nawet. Lecz nie nienawiść jej pieśnią, i właściwe drogi swej twórczości określiła trafnie, na nie niegdyś wkraczając:

Przez pola puste, przez czarne te role,
Po nad któremi dzień wschodzi przyszłości,
Idę i rzucam siew bratniej miłości
Dla tych, co słabi, i dla tych, co prości...
Ja ducha mego, ja krew moją sieję,
Ja pragnę wstrząsnąć tą ziemią zoraną,
Jak grzmot wiosenny, aż jutro z niej wstaną,
Ludzie, godniejsi piastować to miano...
... mój kamień mogilny
Mieć będzie napis: braterstwo i zgoda.

Szlachetność tej pracy, ożywczą tej poezyi siłę, górność jej natchnień, swojskość jej ducha uczczono też godnie, gdy w świeżym jej obchodzie jubileuszowym zespoliły się wszystkie stany, płci i wieki, od drobnej dziatwy począwszy, dla której ona tyle słów pięknych a mądrych znalazła.

Jeżeli poezya ludzi przeanielić zdolna, to tylko taka, jak Konopnickiej; testamentu Słowackiego ona — najgodniejszy wykonawca; nieść przed narodem światła kaganiec—nikt z nowych poetów, tak jak ona, nie potrafił — serc królowa, co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę i na błyskawic pełnem nosisz czole znamię geniuszu, który jest kometą na ciemnem wieków i narodów niebie!

Obok Asnyka i Konopnickiej stawiano **Wiktora Gomulickiego** na czele nowej poezyi, nie dla ilości produkcyi, lecz dla misternego wykonania i dla nowej treści; on to „przeniósł sielsko - szlachecką dotąd poezyę polską w nowożytne ognisko życia i flamandzkim swym pendzlem nadał jej charakter miejsko - mieszczański". Gomulicki to poeta Warszawy, nawet w nowelach (drobnych rozmiarami, misternych w wykonaniu, choćby takie „Pod parasolem", z samego dyalogu uwite) i w romansie historycznym („Miecz a łokieć", z czasów rokoszu Zebrzydowskiego, potrzeby Chocimskiej i początków Warszawy — stolicy) z jej dziejów i stosunków czerpiący, chwałę śpiewający „grodu swawolnego, lecz dobrego". Bynajmniej nie pesymistycznie, chociaż przyzna, że wśród miejskiej mgły, wlokącej się brudno po ziemi, trudno „znaleźć drogę do nieba"; ani też tendencyjnie, chociaż bogaczowi, nieczułemu na nędzę, bardzo energicznie sumienie roztrząsa, a z innego skupigrosza szydzi: cóż zyskał za serca martwotę, za dni w mroku pędzone i ciszy? do wygodnej trumny wieko złote! a wszystkim w uszy i serce kładzie:

Niechaj ofiary biorą od was wszędzie,
Miłość i roskosz, piękno i uciecha,
Lecz wprzód — niech głodnych pośród nas nie będzie!

Dla niego ma miasto „upojenia, jakich nie dają wiejskie wczasy, gdy się ulica rozpłomienia, szumią koronki, atłasy, idziesz, niesiony ludzką falą, jakbyś sen roił gorączkowy, świat ci biesiadną zda się salą i ze krwią bije szał do głowy"; jemu „z każdego głazu dramat ludzki huczy, oto jestem". I takich dramatów i sielanek

miejskich pełno u niego, najpiękniejsza owa „El mole rachmim", kiedy „żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką, a goście i ciekawi zalegli podwórko — i miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni... zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia... żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną", ale pod wpływem słów chazena (kantora) do oblubienicy-sieroty i pieśni za umarłych, płynącej spokojnie, potem rosnącej w moc i rwącej się coraz namiętniej, aż do szału rozpaczy, już „nie raził mnie strój Icka ani Icka imię, i stałem się, jak człowiek, co na jawie marzy... podwórko, nie, to była już kwietna dolina kędyś u stóp Libanu" i t. d.

Nawet poza Warszawą zajmują go miasta, czego dowodem obszerna, żartobliwo-ironiczna „Pieśń o Gdańsku" z obrazkami z Sopót i Kaszubii; w Warszawie samej oddał się nawet lokalnym badaniom i o każdej kamienicy staromiejskiej opowiadać umie, wedle aktów czy wedle tradycyi. Wzroku mu jednak mury i dachy nie tamują; w powieściach społecznych szerokości swego widokręgu nieraz dowodził; pisuje i artykuły literackie, zbiera i ogłasza rzeczy zapomniane, np. spuściznę poetycką po Zanie.

Mówiąc o Gomulickim, nie sposób przemilczeć o Or-ocie (Arturze Oppmanie, dzisiejszym redaktorze „Wędrowca"), młodszym o lat dziesięć od Gomulickiego, o liryku, już do Młodej Polski się liczącym, który, prócz wyśpiewywania smutku - tęsknoty za życia wiosną, „tętniące prostą nutą staroświecką pieśni, mieszczańskie dziecko poświęcał dziecku mieszczańskiemu". Or-ot rzadziej do starych dziejów myśl zwracał; częściej nasuwała mu się Warszawa z emerytami, bakałarz jej, pan Baltazar Podbipięta, z surdutem tabaczkowym i umiłowaniem klasyków łacińskich; trzy boginie, schodzące się o czwartej na kawę z plackiem i plotkami, dziaduś przy kominie, opowiadający o lempererze i legionach: facyaty staromiejskie i ich lokatorowie odwieczni; lecz nie wprowadza on ich w akcyę, zadowala się samymi obrazkami. Siłą słowa, głębokością myśli, polotem wyobraźni bez porównania niższy od Gomulickiego, rzewny, szlachetny i szczery, nigdy namiętny; rysów dla charakterystyki „Młodej Polski" nie od niego też zapożyczamy.

Nowy ten kierunek naszej poezyi objawia się widoczniej już około r. 1890, a w pięć — sześć lat później staje w całym rynsztunku do walki, przeciw krytykom, potępiającym tę poezyę w czambuł, nie mogącym jej odczuć, przeciw publiczności, odwykłej od wier-

szów, przeciw brakowi owej nici sympatyi, jaka była dawniej, między ogółem, głuchym teraz dla poezyi, a poezyą, wzamian obojętną na pragnienia tego ogółu. Na jej pojawienie, cechy i losy złożyły się wpływy najrozmaitsze, rodzime, a jeszcze więcej obce.

Jak niegdyś, w odrodzeniu poezyi romantycznej, barwny step ukraiński i ciche lasy i jeziora litewskie, tak ożywiły nową poezyę Tatry i sioła nasze, kujawskie czy krakowskie, i niemi dopiero stanęła ona na ziemi własnej, i nowemu Anteuszowi sił coraz nowych przybywa. Już Seweryn Goszczyński wierszem „Sobótki“ i prozą „Dziennika podróży do Tatrów“ z poezyą ich i ludem zapoznawał, ale „Tatromania“ wybuchła dopiero w pół wieku później. Przyczyniali się do niej i lekarze, Chałubiński, w Warszawie kult Zakopanego szerzący; i krytycy - malarze, najbardziej, cięty Stanisław Witkiewicz, słowem i ilustracyami dzieła swego „Na Przełęczy“, energiczną propagandą stylu i zdobnictwa „zakopiańskiego“ (razem z Matlakowskim): znaleźli się i entuzyaści, którzy z zakopiańskiego osobny styl polski wyprowadzali i go aż sukniom damskim narzucali; sprawę Morskiego Oka rozdmuchano r. 1902 do niebywałych rozmiarów.

W tatromanii przodowała poezya. Hasło dał cykl Asnyka, „W Tatrach“ (r. 1879) — pomijamy bowiem zapomniane rzeczy Steczyńskiego, Maniewskiego i jeszcze dawniejsze innych — chociaż właściwych opisów przyrody i wrażeń tatrzańskich w sonetach i wierszach jego mało, chociaż przeważały roztrząsania filozoficzne i alegorye: poczucie kojące łączności z ziemią ojczystą, gojącą dobrotliwie rany, spędzającą z duszy palący ból życia, mającą dla swoich dzieci zawsze miłością promienne oblicze; albo zanurzanie się w źródle wiecznie — żywem, poruszającem wielkie koło bytu, uczucie się jednem łańcucha ogniwem, rozciągniętego przez otchłań błękitu. Za Asnykiem Konopnicka „W Górach“ swój talent odnalazła, chociaż całkiem jeszcze w retoryce zastrzęgły.

Najwyżej stanął Franciszek H. Nowicki, w „Tatrach“ (1886), naśladując i zawodnicząc z „Sonetami Krymskimi“, wyolbrzymiając, jak i Mickiewicz czynił, wrażenia i obrazy przyrody, splatając z nimi rzeczy uczucia i myśli, np. sonet, poświęcony Siklawie, kończył:

Siklawo! ty, huk gromom wyrwawszy zuchwale,
Wiecznie w jedną głębinę staczasz się kipiąca,
Gdy rozbijasz wyjące z rozpaczy swe fale.

Tęsknoto! ty, żrąc ogniem, skradzionym u słońca,
Wiecznie strącasz łzy moje w jedną głąb bez końca,
Gdzie na nutę odwieczną serce płacze żale.

I on ma nieodstępnego „towarzysza podróży“, ból swój, goniący za nim w swobodę gór; o społeczeństwie i tu nie zapomina, słów mu jędrnych a gromkich nie skąpi, imponujący między młodymi siłą wyrażenia; od dawna umilkł. Na Nowickim staje cały legion innych: Kazimierz Tetmajer, Podhalanin, od młodości w Tatry zapatrzony, tradycye dziada wznawiający, i Rydel, Kasprowicz i inni, aż do W. Wolskiego i t. d.; jak o ukraińskiej czy litewskiej, tak i o szkole tatrzańskiej mówić możemy. Całkiem do niej należy syn tej ziemi, malowniczej a twardej i niewdzięcznej, Władysław Orkan, liryk, dramatyk i nowelista, nie wahający się przemawiać do nas w malowniczem, charakterystycznem narzeczu wirchów i turni, gdzie „śmierzć“ głodowa czyha na ludzi, gdzie bohaterom jego („Komornicy“; „W Roztokach“) tylko „zczeznąć“ przyjdzie. Minęły dobre czasy, my ich nie zaznali—słonko jaśniej świeciło, chleb się ludziom darzył — teraz ucisk i nędza; rozpaczliwe ich obrazy kreślą jego powieści, odsłaniając „nagą duszę“ chłopską, dramat „Skapany świat“, o macosze i pasierbach, o nieszczęsnem weselisku i zachłanności okrutnej; obrazek sceniczny „Noc“, z pasterzami, przesądami, strachami. Zżył się Orkan z jałową ziemią tą i z szarym jej ludem, nie oszczędza nam żadnego jej smutku i żalu, przygnębia nas tą masą cichych cierpień, jakich świadkami te skały nieużyte.

Obok Orkana, odtwarzającego z wielką siłą i plastycznością nie idylle, same katastrofy, jakto gazdowie - kapitaliści wyzyskują ostatnich biedaków - komorników, staje Stopka, etnograf tego Podhala, biograf niezapomnianego Sabały, Homera - Zagłoby tych gór, powtarzający pysznym językiem Sabały klechdy i anegdoty tych stron; i pojawiają się po raz pierwszy próby gwarowej, góralskiej literatury.

Lecz nie od Tatr tylko, i od równin, od Krzemionek i Bronowic, czy od Gopła lub Wisły, motywy ludowe — ale cóż motywy, raczej sam język, myśl i instynkt chłopski, jaskrawa barwność krakowszczyzny, smętność cichych wielkopolskich łanów, mazowieckich lasów poszumy przepoiły czy przewiały lirykę nową, a jeszcze bardziej nowy dramat i powieść.

Lud odgrywa rolę, jakiej literatura dawniejsza, choćby Lenartowicza, zupełnie nie znała; już Konopnicka pożegnała się z marami sielankowemi, wiecznie uśmiechniętemi; może nawet nadto jednostronnie tylko czarną dolę tego ludu wyśpiewała; teraz wkracza lud, jaki jest, niedzielno-barwny i codzienno-szary, rolny i fabryczny, zamożny i nędzarz, do literatury z własną mową i myślą, ze łzami i uśmiechem, tradycyami i nadziejami, przymiotami i przywarami. I uludowia się nasza poezya niesłychanie głębiej, niż to dawniej bywało, i braci się istotnie z najmłodszymi, a oraz i najstarszymi, z ostojami narodu, z widoczną przyszłością jego, kiedyż z pola „uszli magnaci, szlachta i mieszczanie".

Ludowa nuta jednak nie wyłączna w tej poezyi i nie zlewają się z nią inne w pożądany akord. Góruje, już nieco zbyt podszarzany pesymizm, ów dawny wyjałowiony, z romantyzmu, od miotań bezsilnych, rozpaczliwych, do rezygnacyi buddystycznej, do unicestwienia, nirwany, schodzący; rzucający odwieczne zagadnienia na wiatr, zrzekający się ideałów, bluźniący im lub szydzący. Tylko skok jeden dzieli ten pesymizm od zmysłowości: pogrążyć się w niej, zapomnieć dla niej o bożym świecie, żyć a raczej gnić dla niej, skoroż innych rozkoszy niema: to nęci młodych, i wysadzają się na sofistyczne jej obrony i przesadzają w wyrafinowaniu jej obrazów. Erotyzm dźwięczy tu aż nadto natrętnie, więc w końcu przykro; instynkt, pociąg, namiętność przerodziły się w szał, wyuzdanie, manię chorobliwą — w śnie i na jawi trapi ta zmora nie jednego z poetów, zawładnęła wyobraźnią i uczuciami i, jak nałogowiec do wódki, wraca on do „kobiety" i wmawia w siebie, słabość woli maskując, jakiś fatalizm erotyczny, jakąś nienawiść żywiołową obu płci, jakieś rozdarcie pierwotnej androgyny i nieziszczalne, zawsze daremne pragnienie złączenia się napowrót: wymysł Platonowy w krew i ciało przyoblekając, zwodząc głupich i maluczkich, idących naiwnie na ten lep, szerząc kult chorobliwy samej choroby, gardząc zdrowiem ducha i ciała.

Inne tory prowadzą od pesymizmu do marzeń, do umyślnego rozpajania się ich haszyszem, do odtrącania gniewnego rzeczywistości; z rozkoszą odbijają od jej brzegów i krążą po morzu omijając przystanie, lub nadgwiezdne noclegi odbywają. Albo uprawiają poezyę refleksyjną, filozoficzną, chociaż tendencyjnej unikają, zdyskredytowanej, czy na zawsze? I coraz częściej hołdują sztuce dla sztuki, i fala powracająca — jak dalekośmy od piasków pozytywizmu! — porywa ich na morze pięknej formy, choćby... bez treści istotnej.

W tym rozgardyaszu — a namnożyło się u nas poetów o wiele więcej, niż np. w sąsiedztwie, gdzie wyłącznych poetów, pisujących tylko poezye, nie dramaty czy powieści, coraz mniej—wszystkie możliwe tony się odzywają; brak na razie wybitnego zwrotu ku religijności; co u nas religijne pozory przybiera, legendy czy *Dies irae,* od każdej prawowierności dalekie i rezolutnie, nie Bogu, lecz grzechom się kłania, wywołując ów dawny satanizm (lucyfer — zło tryumfuje nad dobrem; on tylko życiem, myślą, ruchem, postępem, walką) i uwielbienie grzechów, jakiemu jeszcze w XVI wieku włoscy sektanci i u nas się oddawali — ale nie w wierszach.

Coraz częściej też podstawiają się tej poezyi symbole i alegorye. Sztuka, w szkole naturalizmu niedawnego zbyt wychłodzona i wyschła, pchnęła się odruchową siłą kontrastu w nierealność; realizm zbytni, jednostronny wywołał dążenia zaświatowe, mistyczne; rzucają więc poeci wiotkie mosty nad przepaści, łączą brzegi dwu światów, naszego i nieziemskiego, duchowego, astralnego; pogłębia się niezmiernie sztuka, lecz... ulatnia się treść; chcąc oddać słowami i barwami, co chyba dźwiękiem napomknąćby można, zacierają wszelkie granice wyrażalnego. Nie wystarczają im więc słowa i rysy, jasne, określone; rozlewność, mglistość wyrazu i obrazu im wdzięczniejsza; słowem, jak muzyką, budzą raczej nastroje, wymagają od słuchacza dosnucia, dośpiewu, i poezya traci obowiązującą niegdyś jasność, dostępność, przestaje być udziałem ubogich na duchu, staje się ezoteryczną, nie dla profanów, dla adeptów tylko kabały poetyckiej.

Rwą więc stare formy, sadzą się na dziwaczne sploty wyrazów, wyginają zwrotki w niemożliwe, pozbawione rytmu układy i rzucają w końcu wiersz dla prozy jakiejś miarowej. I ulatuje prostota, naturalność z tych wierszów — przeładowane myślą, jej nie wyrażające, a częściej bezmyślne, chociaż myśl udające, każą się podziwiać, jak obrazy „secesyi" lub jej ornamenty, których dziwaczność jedyną nieraz bywa zasługą.

Związek między sztukami pięknemi dziś widoczniejszy, niż kiedykolwiek; przy wierszu Kasprowicza i rzeźbie Flauma, przy obrazie Okunia i halucynacyi Przybyszewskiego pytamy mimowoli, czy zapożyczyli jeden od drugiego pomysłu czy też bezwiednie w jednym pomyśle się zetknęli? Różnica między secesyonistą

a sztukmistrzem słowa polega raczej na tem, że ów technice swej poprostu nie podoła, nie opanowawszy jej tajemnic, że pomysł dobry w szkicu, w wykonaniu tylko zmitręży, gdy ten właśnie techniką, wykończeniem swoich cacek błyszczy. Od Wagnera i muzyki znowu przyjęło się powtarzanie niby „leitmotiwu“: dla uwydatnienia i wzmacniania nastroju zdanie czy wiersz, nieraz bez wszelkiej potrzeby, nieraz z lekką odmianą coraz wtaczają; to nęcą zabawki alliteracyi; to urywają się słowa — niby trącanie z lekka w struny. Granice między zmysłami się znoszą, barwy dźwięczą, sennie lub krzykliwie; głos mięknie i zgrzyta, zapach słuch trafia. Szafuje się bez braku kaskadami światła, falami dźwięków, splotami ciał, orgiami barw i kształtów; — potworne wizye, obrazy przerażające filistrom sen odejmują.

Podziwiają oni coraz nowe wyrafinowanie sztuki, doszukiwanie bogatych, niezwykłych rymów, najmisterniejsze układy zwrotek, przepych słów, unikanie płaskich, zwykłych, tworzenie nowych, wyławianie starych i gwarowych. I rosną wymagania myśli coraz odmiennej i wzbogaca się forma i język. Więc obok ubóstwiania przyrody-wszechmatki, prałona, z którego wychodzimy, aby w niem się znowu unicestwić; obok panteistycznych zakusów; obok nuty ludowej, coraz silniej dźwięczącej; obok molocha erotyzmu, pożerającego swoich czcicieli, staje poezya filozoficzna, alegoryczna, symboliczna; poezya marzeń, przeczuć i nastrojów, oddźwięków; poezya, bujająca po mitach indyjskich i egipskich, po zaświatach, w prabycie, fantastyczna, mglista, przesadna. Nie zapiera się ona poetycznej, idealnej tęsknoty, lecz góruje w niej jałowy smutek, gorzki ból, nadmiar cierpienia i przypominają się nieraz zjadliwe słowa Morawskiego w liście do romantyków z r. 1827. Lecz wyzwalają się z nich w imię mocy, snów o potędze, o zapasach tytanicznych, nadludzi i hegemonów; nowi ci zbawcy - wieszcze odmienni jednak zupełnie od tytanów mesyanizmu. Egotyzm, odnoszenie wszystkiego do siebie wyłącznie, wypowiadane jawnie lub tające się skrycie, główną ich sprężyną się staje; jednostka o społeczeństwie, a raczej o zjadaczach chleba i słyszeć nie chce, przeaniela się sama, zamiast cierpienia za miliony lub ich ukochania, odpycha ich od siebie, przedrzeźniając Nietzschego, dumna z cech antyspołecznych.

Ekonomii nie zachowuje żadnej, rozrzutna bogactwami; gdy spotykamy strofę (u Staffa):

Morze rozpęka rozziewem zachłannym,
Grzmi rozpęd wichrów w fal podniebne skoki,
Pięście bałwanów zamachem orkannym
Druzgocą w wodzie odbite obłoki,

ani przypuszczamy, że tu tylko mowa o „odjeździe w marzenie“, z papierosem w ustach, na sofie. Przesada ta razi: ogłuszające fanfary (np. w strofach kunsztownych „D-mol“) o rzeczach marnych. Nie zachowuje się miary nawet w języku: chwali się tej poezyi rezolutne sięganie do gwar i starożytności, zawodniczenie niby z Matlakowskim, którego proza nabrzmiała niezwykłościami, ale zgadzając się na *wirchy* i *turnie,* na *swarnych* i *żleby,* nie rozumiemy, dlaczego *płomię* miałoby być lepsze, niż *płomień,* a *haście,* niż *chaszcze?* a już wcale nie rozumiemy np. takiego wiersza: a po brózdach czarnych wszerz przez *ugorny drętwy scież* śmierć wędruje do ogniska i t. d. (z „Opali“ Edmy Mierz). Skarykaturował to raz bardzo trafnie A. Lange: ułożył wiersz do „brzanki“, ale słów jego i u Karłowicza nie odszukasz i wiersza, chociażeś Polak, nie zrozumiesz.

Lecz dalecyśmy od niezadowolonego „ględzenia“. Imponuje nam liczba i siła tych talentów; nie wiemy na razie, jaki ta ewolucya przybierze w końcu kierunek, nie wątpimy jednak i teraz o szczerości jej natchnień i prawdzie wynurzań. Męty widocznie już opadają; płaczliwy pesymizm umilka na całej linii, kwasy zwątpienia, zgorzkniałości, rozczarowania przed użyciem jeszcze, sceptycyzmu przed życiem, ulatniają się; pragnienie siły, czynu, nowej syntezy, po orgiach zbytniej analizy, niedowierzającej niczemu i nikomu, wytwarza się coraz dobitniej; opary błota zmysłowego wiatr halny zdmuchnął; a co się wyłania, widzimy z sonetu Staffa:

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde, stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykuwać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne—serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieodporne,
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne.

Bo lepiej giń, zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

I nie puste to frazesy, a chociaż melancholia i smutek ofiar swych nie wypuszczają, chociaż oczy błądzą po bezbrzeżnej pustce, w dali milczącej modrosinej, przybiliśmy już do nowego lądu, przemawia do nas już nie dusza, co „jest z operetki aryą, którą śpiewa człowiek, cierpiący na zęby“ (Wł. Perzyński); ani „suchotniczy anemii czar, co stopą senną depce łąki zielone w żywicznej ustroni“; ani „oczy moje, jak lustra, dziwnie obojętne na wszystko, co zoczywszy odbiją w swej toni“ (Jan Pietrzycki), to raczej sztuka zdrowa i rodzima, o formach doskonałych, o języku cudownym — jak blednieje język nawet Asnyka wobec byle którego z naszych „dekadentów!“

Umyślnie użyliśmy obcego terminu, gdyż nowe te prądy nie tylko z wirchów i lasów, zawiały one do nas i z obcych sfer i stref. Wyprzedzili nas Francuzi i Belgowie; ich parnasiści i symboliści; dekadenci i mistycy; Baudelaire; Verlaine; Maeterlinck i Anglik O. Wilde; przyłączyły się nuty północne, Strindberga spowiedź głupca, pomruki muzy niemieckiej i przechwałki Nietzsche'go, burzliwe protesty nihilizmu, czy przez Tołstoja czy przez Krapotkina wzniecane.

Jak nad początkami romantyzmu naszego Szyler i Gete, Herder i Jean Paul, Szekspir i Byron panowali, wywodzą i dzisiejsi adepci Młodej Polski od Francuzów i Germanów myśli i formy, symbole i natchnienia, i nigdy nie było większej spójni, łączności duchowej, między polskim a obcym światem umysłowym; nigdy nie przyswajaliśmy sobie tak gorliwie ani z taką sztuką płodów obcego piśmiennictwa, jak dziś. W dziełach Miriama, Kasprowicza, Langego, tłumaczenia z francuskiego, czeskiego (Zeyera, Vrchlickiego), duńskiego, holandzkiego i t. d. przeważają własne utwory; ze studyum nad Maeterlinckiem i Belgami rozpoczął Miryam teoretyczną kampanię, skuteczniejszą, niż jego publicystyczna w „Życiu“ warszawskiem. „Młoda Polska“ wytworzyła sobie organy specyalne; warszawskie „Życie“ Miryama odżyło w krakowskiem „Życiu“ Szczepańskiego i Przybyszewskiego, po części i w „Krytyce“ Feldmana, a przeniosło się teraz do „Chimery“ warszawskiej Przesmyckiego (Miryama), arystokratycznej, artystycznej, ezoterycznej, szatą i treścią. I rośnie liczba jej adeptów; dosięgliśmy już z nimi do „połowy wielkiego sta“ czyli do kopy i w tłumie tym, nieraz bardzo jednolitym, śpiewającym na jeden ład, powtarzającym siebie samych, drukującym z nadzwyczajnym pośpiechem, żeby nic z nastroju nie uronić, nadzwyczajnie wiele, trudno się dokładnie rozejrzeć, uchwycić rysy indywidualne, nie mieszać *Qui Amant* z *Anima lachrimans,* jednego *Dies Irae* z drugiem, Chrystusa z Legendami, Rokitę z Borutą czy Arfem. Brak tylko kobiet — po rychłym zgonie Zawistowskiej chyba „A. M-ski“ (tłumaczka „Lujzyad“ i innych rzeczy), a przedewszystkiem „D-Mol“ (Maryla Wolska) w pięknych, nieraz zbyt rozśpiewanych, strofach wierszem i prozą, z silną obrazowością, wrażenia z dziejów (Kleopatra), z przyrody i z życia duszy - mimozy, tęsknotę za czemś nieziemskiem, niejasnem, za światłem i ideałem oddaje; udział kobiet tu słabszy, niż w noweli i romansie, ale mnożą się już i ich nazwiska, egzaltowanej nadto Komornickiej, Arnszteinowej, Ostrowskiej (Mierz), tonącej w wizyach i mrokach „Opali“ i innych.

Niepodobna odmówić zasług „Młodej Polsce“; pomijamy pierwszorzędne jej siły, już teraz w dziejach literatury zapisane; fakty świadczą, że przełamała ona obojętność publiczności, że zrehabilitowała poezyę, podniosła smak czytających, wstrząsnęła nimi, że poruszała nowe kwestye, próbowała nowych form, odświeżyła język: otóż i z języka Mickiewicza natrząsali się niegdyś klasycy, od pińczuków i barbarzyńców łając i tylko samych siebie na wieki ośmieszając; że z niejednym Zoilem „Młodej Polski“ to samo się nie powtórzy, zawdzięcza on tylko krótkiej pamięci naszego, chyżo naprzód pędzącego czasu.

Jeśliby nic innego nie zdziałali, już się im wdzięczność należy i uznanie; skarg na niezrozumiałość, na uchylanie się od haseł społecznych i pracy organicznej, na naśladownictwo obcych, na orgie zmysłowe i rozpaczliwy pesymizm, na powtarzanie się i przesadę, czasem i częściowo słusznych, uogólniać się nie godzi. Nigdy nie zapomnimy, że oni odwojowali dziedzinę poezyi, że odwiązali ją od pręgierza tendencyi, od katechizmu życiowego dla *vulgus profanum,* że oddali ją sztuce. Śledzić jednak rozwój każdego

z wybitniejszych jej przedstawicieli, byłoby tem bardziej przedwczesne, skoro ten rozwój trwa dalej, ostatecznych nie dotarł kresów: zadowolimy się wymienieniem kilkunastu, opuszczając kilkudziesięciu.

Na czele siłą talentu staje **Jan Kasprowicz,** którego rozwój najbardziej w sprzecznościach się gubi. Czas jakiś zdawało się, że to „ludowiec", że wspomnień skarbem bogatym są dla niego:

szare chaty, nędzne chłopskie chaty!
jak się z wami zrosło moje życie,
jak wy proste, jak wy bez rozkoszy!

w liryki, wiersze epiczne, skoro nazwiska ballad już się nie godzi używać („Z chłopskiego zagonu" i dodane do „Anima lachrymans"), w dramaty wnosił on zawsze, co „Z Chałupy" wynosił. Jego „Świat się kończy", to sukces naturalizmu czy weryzmu polskiego ze wsi wielkopolskiej, gdzie słabość Mięty, nędza Cierpika, lichwa Wróbla, porywczość Walka splotły się w taki węzeł, że go tylko mordami i samobójstwami rozerwiesz.

Do motywów wielkopolskich przybyły tatrzańskie, w „Tańcu zbójnickim", niby apoteozie Janosika, tatrzańskiego Dobosza; w dramacie historycznym „Bunt Napierskiego", gdzie najlepiej udały się burzliwe narady i kłótnie gazdów i baców, gdy główna figura zbyt chwiejna i na bieg akcyi zbyt mało wpływa. Ale nie wytrwał Kasprowicz przy ludzie i pracy społecznej u podstaw; nauczył się rychło cenić tylko tę poezyę, która o absolut zarywa, i pożegnał nie na żarty tłum:

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie...
Przyszedłeś ku mnie ty, płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemiężcom złorzeczy:
Ty wrogu ducha, stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy,

i ulatywała od niego poezya jego tam, gdzie:

myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
czystość poświęceń, rycerskie porywy,
modły zachwytne...

a drogę wskazywała mu Miłość, lecz nie idealna, spokojna, zrównoważona — walka to niecna, szamotanie się namiętne, a daremne, daremny protest:

jakto, nad wszystko, co duch czysty spłodził,
i co się stało dążeniem szermierzy,
maż być silniejszym ów symbol słabości,
Kobieta?

i miłość ta, zmysłowa, lubieżna, trapi go odtąd, jak zmora, wciska się w poematy religijne nawet, wszystkimi ich porami. Bo i tematy religijne, wcześnie, już w tercynach „Chrystusa", tu jeszcze z nastrojem społecznym, z tłustymi fabrykantami i bankierami i z głodnymi najmitami, potem bez niegoż, opracowywał i właśnie oba ostatnie jego dzieła, „Moja Pieśń Wieczorna" (zawierająca, prócz „Pieśni", sceny dyalogowane „Na Wzgórzu Śmierci", „Dies Irae", „Salomę") i „Salve Regina" (z „Hymnem św. Franciszka z Asyżu", „Judaszem" i „Maryą Egipcyanką") całkiem im poświęcone. Na Golgocie Kasprowicza uchodzą jednak Alethej i Szymon z Kyreny przed głosem rozpaczy Zbawiciela—straszny głos, w mej duszy ciemno i straszno; a „Dusza wygnana z raju", po chwilowem wahaniu, wraca do Lucyfera, by spłonąć przy jego całunkach, nieśmiertelności zadać kłam w rozkoszy i błagać go namiętnie:

Powróć, zwycięski panie, ze swym promieniem,
Który mi jednem świeci przeświadczeniem...
Że w życia odmęty
Synowie boży nie wniosą spokoju,
Że nie przekształcą kałuży
W czyste, krwią grzechu nieskalane rzeki!

Na tę samę nutę nastrojona ponura „Pieśń Wieczorna", wzywająca kary za naszą winę, że „dawno już przeszedł czas, gdzie miłość i spokój nie były ogniem trawiącym, ani zabójczą tęsknicą, ani kamiennem, ślepem przerażeniem"; „Święty Boże Święty Mocny" kończy u stóp Szatana, nie Boga, upajającego się wielkością stworzenia — a pośród nas tu głód i mór i zniszczeń dymiące dni. I szalona wizya „Dies Irae" zna tylko jedno ukojenie: na wszystko mrok nicości nieprzebyty spłynął.

Najwyuzdańszym szałem namiętności unosi się „Salome“ nad głową ściętego i inaczej, niż u Wilde'a, miota nią jedno ostre uczucie i burzy jej krew do żaru. Nawet św. Franciszka lubieżne mary niepokoją; nawet Maryi Egipcyance „szczęściem warga się śmieje, zcałuj to szczęście najprędzej“, choć ją wzgardzone łzy dławią i srom się za nią wlecze, ale, nim u stóp krzyża to brzemię, nadto wielkie na jedno serce człecze, złoży, głuszy śpiew jej „hymn najwspanialszy, który cnotę zrównywa z grzechem — on cudotwórczy hymn Śmierci“. Dalecyśmy od wszelkiej prawowierności; Syn Ziemi staje się Synem Grzechu, Bolu i Rozpaczy; rzuca „Ginącemu światu“ zgrzyty swej hardej dumy i rozpaczy nieukojonej w oczy.

Uczucia, targające piersią, umie poeta wyrazami, pełnemi zgrozy, jakiejś dzikiej, żywiołowej muzyki, przelewać w serca słuchaczów; jego wizye przerażają, a słowa żrą i palą; przerażeni, zakrywamy głowę przed tymi ciosami, przed żarem tych skarg i wyrzutów — jednego nie użyczyły mu muzy, powabu i wdzięku; surowe, ostre, chropawe tony dobywa on ze swej liry, niby z piersi pierwotnego człowieka, buntującego się przeciw wszystkim konwenansom i fałszom, uosobienie swej gleby kujawskiej.

Zupełnie od niego różny **Kazimierz Tetmajer,** władający powabem, wdziękiem, czarem formy, nadużywający może tej władzy i pieszczący się własnemi słowami, syn przytem gorzkiego pesymizmu, piewca hymnu do Nirwany; z „bezbrzeżnego“ pesymizmu „bezdeni“ rzucał się w wir zmysłowości i nie może dosyć opiewać piękności nagich ud, albo oddaje się marzeniom. Więc „melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie są treścią mojej duszy“, melancholia — duszą jego duszy; nawet w Tatry dąży za nim „błękitne zadumanie“ i przeczy on nawet możliwości szczęścia:

Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
Tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,
Nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył;

więc ironia psuje każde uczucie, klątwa poety, klęska jego żywota, i nic go z niej nigdy nie wyrwie. Odurza się on na chwilę szałem zmysłowym, jak Faun jego, ścigacz smukłokształtnych ud, ścigacz Nimf nagich, zwykły pić roskosz z ich ciał, jak wino z czar; śpiewa Hymn do miłości, która jest szczęściem szczęścia, poręczą, mostem,

lekarstwem, zbawczynią ludzi; lecz na dnie tej czary miłosnej chyba męty jakieś, bo odwraca się i poeta i Faun jego do najczystszej z czystych, do jasnoczołej pani ros, co przez świat przeszła, by zostawić mu tęsknotę nadziemskiego snu.

To uduchowienie, opuszczenie błota zmysłowego, stanowi znamię ostatnich jego poezyi (seryi czwartej, z roku 1900, przeciw dawniejszym, od roku 1891); inne teraz wizye go zaprzątają, kraina Ciszy, Przestrzeni i Światła, widziana kiedyś we śnie, i ręce wznosi z błaganiem: wiedźcie mą duszę, gdzie jest milczenie ciche, wielkie, gdzie jest spokojnie; on wierzy w byt przyszły, w nieśmiertelność duszy; zło życia w nim obudza tę wiarę, jak w Zagórskim. W fantazyi lirycznej „Qui amant“ traci teraz jego cudna pani i jej otoczenie wszelkie wyraźne kształty i rysy, rozwiewna, eteryczna.

Nie wyczerpuje się jednak w egotyzmie natchnienie Tetmajera; pomijamy utwory młodzieńcze, z nutą społeczną i patryotyczną, odbijające tak gromko od nirwany i budyzmu; pomijamy utwory tatrzańskie, pisane nawet narzeczem podhalskiem („Pieśń o Jaśku zbójniku“ — pendant do Kasprowiczowej pieśni; „List Hanusi“), należy się za to wzmianka próbom powieściowym i dramatycznym. Nowela o „Księdzu Piotrze“, obrazek słoneczny, szczeropolski, chwyta za serce; „Otchłań“, spowiedź gorącej miłości, szalejącej z bolu zazdrości i zwątpiałej rezygnacyi, pisana prozą, prosząca się o wiersz; i mniej udatne rzeczy większe, „Anioł Śmierci“ i „Panna Mery“, jako romans coś z czasów Indiany i Consuelo, wyborna tylko w rysach satyrycznych, w aforyzmach mechesa Hammerszlaga. „Sfinksem“ hołdował Tetmajer dreszczom i nastrojom Maeterlinckowym, w „Zawiszy Czarnym“ o dramat historyczny z jeszcze mniejszem powodzeniem się kusił, niż tam o romans. Liryczne partye dramatu najpiękniejsze, szczególnie miłość do ojczyzny, zbudzona niby nagle dotknieniem się jej ziemi, wyrażona wymownie i sceny góralskie; zato osoby główne, swoje i obce, nie z XIV czy XV wieku, lecz modne z modnymi zwrotami, nerwozą i erotomanią; akcya bardzo słaba.

O wawrzyny dramatyczne kusi się i **Lucyan Rydel.** W lirykę swoją nie wnosił on nuty osobistej: misterna technika, śliczne wysłowienie, czyniły z niego parnasistę raczej, niż dekadenta; formie jego wierszów nigdy niczego nie zarzucisz; treści zato nowość zbytnia nie odznacza, czy wdzięki Wenery czy przyrody opiewał.

Silnie dźwięczała w niej nuta rodzima, tęsknota za wsią polską, trapiąca go nawet nad zieloną Sekwaną, tęsknota nie urojona, nie dla formy, ale szczera, głęboka; z lubością kreślił obrazy tej przyrody; nie dzielił nigdy zwątpień, ironii, sarkazmów rówieśników — przekleństwo łzom lejącym się próżno, gdy burza wre dokoła, marzeniom, gdy spłonął dach nad głową i trzeba go budować, ale i bladej małoduszności.

Jak w liryce, tak i w dramacie różnych nut próbował, za Maeterlinckiem w „Matce“ kazał przeczuwać córce zgon matki, tajony przed nią, i w wizyi umierać; w „Dies Irae“ splatał szereg wizyi okropnych w duchu apokalipsy, lecz zgrozy nie wywołał; zato „Zaczarowanem Kołem“ oczarował widzów i czytelników. Oczarował ich językiem, mistrzostwem jego doskonałem, charakterystycznem, czy długie oracye makaroniczno-panegiryczne wojewodzie recytować każe, czy dyabłów rubasznych wprowadza, czy pannę sentymentalną à la Rousseau, czy Maciusia - poetę natury, czy szepty tajemnicze wodne, czy Leśnego Dziadka przestrogi i nauki i dokonał poeta cudu artystycznego. I treść i pomysł oryginalne — zetknięcie się z „Dzwonem Zatopionym“ Hauptmana może całkiem przypadkowe; świat realny, z czasów saskich, więc ciemny i przesądny, spleciony z fantastycznym; ludzi, których unosi własna namiętność, żądza sławy u Wojewody, miłość występna u młynarki, wprowadza ona w „Koło Zaczarowane“ i nie wyjdą już oni z niego — uwiązł ptaszek za pazurek, cały zginie, brzmi drugi tytuł „Potęgi ciemności“; szatani ci, to uosobione pokusy. Bardzo zręcznie spleciona intryga: wojewoda czuje się pewnym, bo niewinnego na śmierć nie zasądzi nigdy, więc ułożą dyabły tak sprawę, że niewinnego winnym osądzić musi i tak paktu dopełni. Dramat zyskałby tylko na skróceniu; nadto wiele wtłoczył weń poeta folkloru i jego szczegółów; zawodniczenie Maciusza z Kusym tak samo całkiem niepotrzebne, jak i anegdoty o Piotrowej macierzy lub o sromotnym pojedynku dyabła z babą lub opis piekła; sama figura Maciusza nadto pretensyonalna.

Tem znakomitsze inne typy wiejskie, o ów krwawy ślub zaczepione, i drwal niewinny i organista głupio-zarozumiały i Maryna, szalejąca z miłości, i Jasiek, któremu ona już się sprzykrzyła. Ze wszystkich baśni ludowych, jakie u nas dotąd udramatyzowano, Grabowskiego, Sarneckiego i innych, „Koło Zaczarowane“ najlepsze, prawdziwą poezyą i ludowością jedyne owiane. Ostatni dramat, „Jeńcy“, z walk wendyjskich, mniej się powiódł.

Siłą temperamentu i słowa, mniej sztuką i formą odznacza się **Andrzej Niemojewski,** zapalony demokrata, zwalczający w imię szczerych haseł ludowych z innymi Warszawianami narodowy odcień demokracyi naszej, odcień „Słowa Polskiego“. I u niego gra nuta ludowa, gwałtowna nuta Kasprowicza, nie sielankowa Rydla, w wierszu opisowym i w dramacie. Ton „Branki“ jego, jak wicher, porywa, ze swym refrenem: Jezus Marya, wódki Żydzie, toż to idzie! toż to idzie! wyziewy i okrzyki karczmy, z łzami matek i dziewuch, z milczeniem starych, z zawadyacką butą młodych, kryjącą rozpacz chyba albo rezygnacyę, wszystko to zbite w kłębek, migoce przed oczyma, wzrok pali i serce rozdziera, a nie brak i finału, w stronę dworu: hej, ty panie, jasny panie, jakże straszny żal cię bierze... gdzież ten wawrzyn dziś niestety? kiedy wieszasz, czcisz portrety, więc z win przodków, panie jasny, zdaj rachunek i z krwi własnej...

Nuta społeczna, Rydlowi zupełnie obca, jak parnasistom i dekadentom wogóle, dominuje u Niemojewskiego; on pierwszy zstąpił do „Podziemi“, do fabryk, między lud roboczy i zawojował dla poezyi nową dziedzinę. Obrazki jego, wierszem i prozą, („Listopad“) przejmują dreszczem; tendencyjne one, ironią zaprawne, smagają i chłoszczą do krwi i piorunującym głosem odbijają od wymuskanej poezyi alków. Dźwięczy w nich straszna skarga (o Wisło, my dotąd nie lepsi w upadku), na panów, co „w kieszeniach swą ojczyznę wiozą do Monaco“ — wszyscy uszli, tylko lud roboczy pozostał i ze swym krzyżem na ramionach kroczy.

Oprowadza on nas po piekle dni teraźniejszych, np. w hucie stajemy nad robotnikiem, co chwilkę znużony usnął i padł ofiarą natychmiast:

> Grzmią walce, wre hala, drżą gmachu posady,
> Pomyka ognisty wąż dalej,
> Śród wrzasków nieludzkich przypadły gromady,
> Wzrok stanął mu słupem, na wargach krwi ślady...
> Odejdźcie, trup leży wśród hali.

i takich obrazów coraz przybywa i prześladują cię one aż do stóp krzyża u wzgórza, ginącego w dymów toni, a śród tumanów grzmi i chichoce burza fabryk, jak ukryty chór szatanów. Z życia siel-

skiego i dramat „Familia“ wyjęty, o Skibie - Learze, mszczącym się wedle rady familijnej na krzywdzących go dzieciach—podpaleniem i mordem.

Z fabryk i niw przeniosła się ironia Niemojewskiego do sfer obywatelskich — co za pyszny obraz jego „Majówka“ na Wiśle i za Płockiem, u sióstr - panien na wsi z ich płaczem i śmiechem — i artystycznych: „Listy szalonego człowieka“, wymowna bardzo historya modelki Bronki, ofiary „sztuki dla sztuki“, bezmyślnego w ustach miernoty frazesu; dlaczegoż mają to być listy *szalonego* człowieka, skoroż on chyba jedyny trzeźwy i spokojny w tym wirze egoizmu, szopek i blichtru?

Przerzucił się Niemojewski w świat fantastyczno-alegoryczny i legendowy, jakby mu rzeczywistość zbrzydła do reszty. Zaczął „Bajką“, o licencyacie (nowym Fauście), którego pragnienia młodości i szczęścia podniecają, życie zaś gnębi, aż u spokojnej śmierci ukojenia poszuka; wyżej wzniósł się „Rokitą“—dyabłem (dziś bardzo modni dyabli, Boruta, Kusy i cała ich koligacya szlachecka i chamska): syn Złego, co się w myśli darmo utopił, i Niji, którą uczucia zawiodły, goni za marą piękną i jasną, w piekle zoczoną; wychodzi na świat uszczęśliwiać ludzi — niegdyś aniołowie to chyba robili, ale my dziś Lucyfera czcimy; osiedla się — w wieku Faustów i Twardowskich, w w. XVI,—między nimi, lecz nie może z nimi wyżyć; podrażniony coraz radykalniej sobie poczyna, aż w końcu nagłą ucieczką do piekła salwować się musi, bo i dyabłu, skoro poczciwy, skoro nie świętoszek, nie konserwatywny, na ziemi nie wybyć, wypłoszą go, choćby mżonkarze nasi, ze swoją wiarą i nadzieją — bez miłości; lecz Rokita wróci, mimo przestróg i wycia dyabląt. Na ten męski, silny hymn przyszłości jest nastrojone całe dzieło.

Najgłośniejszemi stały się „Legendy“ Niemojewskiego, bo prokuratorya lwowska swą konsfikatą najdzielniejszą im sprawiła reklamę. Jakby odżyły w Niemojewskim, dziwnym atawizmem, rodzinne tradycye aryańskie, zamierzchłe dawno: o co Kasprowicz w wierszu, o toż pokusił się on w prozie i poszedł nawet dalej, do całkiem ludzkiego wytłumaczenia rzeczy całkiem nadludzkich, wymykających się zupełnie naszemu pragmatyzmowi, w ślady Tetmajera i Kasprowicza, Renana i Straussa. Pomieszane tu istotne legendy (o skowronku i cierniu) z wymysłami autorskimi; niektóre z nich bardzo poetyczne, wzruszają istotnie, zato nieudało się kompletnie filisterskie uzewnętrznienie kusiciela, marnego polityka,

a legenda wstępna, o którą to najbardziej na autora się rozsrożono, chociaż wiersze Kasprowicza nierównie więcej bluźniercze i sceptyczne, jest całkiem zbyteczna, niczego nie wyjaśnia. Z „Legend“ bije głównie rozrzewnienie i miłość, ta sama nuta społeczna, dominująca w każdym niemal utworze naszego ludowca, bez dawnej jego burzliwości.

Tego silnego temperamentu nie posiada, za to większą sztuką odznacza się **Stanisław Rossowski,** wprzągnięty we Lwowie w jarzmo dziennikarskie, potem w pedagogiczne, rzewny i melancholijny, daleki od zgrzytów i ironii Niemojewskiego, piewca „Róż Jesieni“, zdobywający się wyjątkowo na silny wyraz, w przyrodzie szukający ukojenia, aż spoczął wzrok jego na ostatniej jej karcie, gdzie znalazł bezdenny jar, w którego czarnej głębinie miłość, zdrój życia, jasność i żar, wszystko bez wieści przeminie, ni ruchu, światła, ni żaden szmer; zmrok tylko, ległszy na szczycie, spoglądać będzie w otchłanie sfer, ciekaw czem było to życie — finał, nadto częsty u naszych modernistów.

I on przeszedł, jak Niemojewski, do dramatów symboliczno-alegorycznych i w nich sił próbował z lepszem powodzeniem, niżeli w dramacie historycznym („Nawojka“, z dziejów Krakowa i uniwersytetu, o dziewczynie co, żądzą wiedzy parta, za chłopca się przebrała i na jakie niebezpieczeństwo się wystawiła); najbardziej w „Circe“ -- rozkosz bogów wypycha w świat nowoczesny rozkosz dawną, zmysłową, po uśpieniu dwutysiącoletniem, aby zmysły i radość budziła, lecz próżne jej starania; świat zezwierzęciał zupełnie, odarł rozkaz ze wszystkiego wyższego, boskiego, splugawił ją obrzydliwie, i doświadcza tego Circe w wędrówkach po ogródkach, tingeltanglach, między ludem fabrycznym i skrwawiona, zdeptana, umknęłaby do swojej Eei, gdyby nie wezwanie Zbawiciela — nasi duchowni kazali tu dyabła położyć— aby rozkoszą przeanielała ludzi-zwierzęta. I jego nowele odznaczają się, prócz tonu rezygnacyi, uwielbieniem szczęścia familijnego, tak obcem zresztą naszym dekadentom.

Najwyłączniej lirykiem pozostał poeta-filozof, **Jerzy Żuławski.** Przyrodę szwajcarską kreśli on wprawdzie nieraz wymowniej, dokładniej, niż Kasprowicz; lecz i u niego przeważają nuty zwątpienia i rozczarowania. Bóg jego włada tylko światem górnym, Lucyfer dolnym: rycerzami jego wszystko, co wzrośnie nad motłoch spodlony, kto w głuche wieków zasłuchany szumy śni, kto

tęskni i tworzy, pragnie lub gardzi. Albo oczekuje nad Gangesem pojawienia się lotosu, aż na jasną światła miesięcznego szarfę z kwiatu wybuchnął z wonią duch - dziewica i schodziła doń odtąd na dźwięk pieśni, z dala, lecz opuściła go na zawsze, skoro ją poznał. Walka między duszą a ciałem, od kiedy niezmącona pogoda grecka bezpowrotnie zniknęła, trwa ciągle; dziś poznała dusza grubość murów swego więzienia, na wielkie porywy już się nie odważa, ale drżą znowu pióra w skrzydłach ptaka - duszy; „W Nocy Zwątpień", „Na Stepie Życia" budzi się jakiś „Świt Nowy". Pogardza on mądrością zdawkową, podsycającą, nie zaspokajającą, głód poznania; pogardza rzeczywistością; ubóstwia marzenie - poezyę, twórcę - poetę, wszechwładnego; światu ginąć każe, podnosi króla-ducha, władnącego królestwem pieśni, zbroją czarnoksięską odzianego, i niema nadeń mocarza na ziemi.

Nastroje odtwarza i prozą, w „Opowiadaniach"; a tematy wierszów i prozą w szkicach, „Prolegomena", oddaje (np. rozmowę człowieka z szatanem), gdzie i Przybyszewskiemu wawrzyny splata i filozoficzne rozprawki pisze; Spinozę, człowieka i system, w obszerniejszej książce spopularyzował. Abstrakcya zabija w nim często poetę.

Lirykiem, jak i Żuławski, był i jeden z najmłodszych, **Leopold Staff,** Lwowianin, nim się w epika przedzierzgnął. Od dekadentów dzieliło go stale pragnienie potęgi i czynu, siła, gardząca kwileniem pesymizmu, i nikt o nim nie śmiałby powiedzieć (Sterling), co o tylu „młodych" jest prawdą:

> Idziemy drwiący, cisi, obojętni,
> Burza w nas huczy zwątpienia ogromem,
> I morze pragnień konających tętni;

nie ugrzązł on ani na chwilę z nimi w bagnach zmysłowości i, gdy o kobiecie śpiewał, matkę i jej posłannictwo wielbił, szczytnie a górnie. Z dekadentami dzielił tylko, a raczej ich wszystkich przewyższał czarem słowa, przepychem wiersza i tym odrazu zwrócił na siebie uwagę. Po „Snach o Potędze", po licznych wierszach, oryginalnych (cykl „Matka") i tłumaczonych, wystąpił z tercynami „Mistrza Twardowskiego, pięcią śpiewów o czynie". Mistrz Twardowski, bohater z Krzemionek raczej tytularny, przypomina nieco „Rokitę" Niemojewskiego, czasem i miejscem: i on chce ludzi

uszczęśliwić, i on budzi trybem swoim nieufność i nienawiść, i jemu Krzysię zabijają, i on przed tłumem uchodzi. Lecz wplata się inny motyw: posiadł Twardowski eliksyr przeciw nędzy i bolu, nim chce świat uszczęśliwić; widok spodlonych tłumów, łaszących się teraz do niego tak, jak go przedtem napadały, natchnął go inną myślą: walka nieodzowna; tylko w pasowaniu się dojrzewa człowiek, inaczej gnije, więc ginie z nim tajemnica cudotwórczego płynu, czegoby Rokita, jeśli go dobrze znamy, nigdy nie uczynił. Porywa język, nie zadowala całość, rozwlekła, rezonerska, są jednak śliczne ustępy, mocne myśli, np. końcowa, „nie ten jest mocarzem, co dzieła dokona, lecz ten, co się oślepić nie da jego czarem i czyn, stworzony przez się, wziąwszy na ramiona, nie ugnie się pod jego tłoczącym ciężarem. Ten jest mocarzem, który, dźwignąwszy świątynię, potrafi ją zniweczyć trawiącym pożarem, widząc, że słońce złotym blaskiem w nią nie płynie". Grzmiące frazesy oślepiają nieraz autora — do czynu właśnie nie przychodzi w tych śpiewach o czynie; równie szkoda, że banalnemu Twardowskiemu koniecznie na Fausta awansować każą, nie tylko Staff, ale i Antoni Miecznik (w „Misteryum bytu ludzkiego"). Twardowski, jak Pasek i Radziwiłł Panie Kochanku, są u nas stanowczo przecenieni — w te miechy zużyte trudno nowe wino wlewać.

Obok Staffa budzi oczekiwania, wielką siłą wyrazu, szczerością uczucia, fantastycznością obrazów, wielką erudycyą z nich mówiącą, rozmaitością tonów, Krakowianin, Tadeusz Miciński, który debiutował ładną nowelą („Nauczycielką"), potem całkiem wierszom lirycznym i epicznym się oddał.

Między najmłodszymi wyróżnił się **Gustaw Daniłowski** poematem alegorycznym „Na Wyspie", o kraju słonecznym *dolce far niente,* gdzie sztukę dla sztuki uprawiają, syci i zadowoleni, żyjący z pracy lądu, jemu dnie trudu, sobie niedzielne zostawiwszy, odciąwszy się od jego znoju dostatkiem i próżnowaniem. Lecz nie zabili wszelkiej tradycyi o dawnej łączności, i odżyła ona w piersi pieśniarza, Dajmona, i odtrącony dla propagandy, któraby spokój Wyspy zakłócić mogła, z topniejącą gromadką spółczcicieli zatraconego ideału rusza on na statku przez morze, nie dbając o przeszkody, wiatry przeciwne, rozbicie. Czy dopłynie? Nie, jeśli sądzić wolno z wzruszającej powieści „Z minionych dni", osnutej niby na motto z „Maryi": na co dobroć się tu przyda, gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci, gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się

nie uda! Nie powieść to, lecz fragmenty powieściowe, których należycie autor powiązać i objaśnić nie mógł; ale postaci: Wiktora i Maryni - Laodamii, daremnie swego Meleagra wzywającej i najbrutalniej o tajemnicy śmierci rozczarowanej; dziecka ich, ginącego, jak rodzice, w pogoni za kwiatem paproci; lekarza, sarkastycznego apostoła rezygnacyi i miłości i nadziei przeciw nadziei — owiane są czarem nadzwyczajnym, sercu mówią nieskończenie wiele. W nowelach p. t. „Nego“ protestował gorąco przeciw rutynie i wązkim morałom i widokom.

Od wszystkich wymienionych, starszy jest wiekiem i zasługą, **Zenon Przesmycki,** Miriam, wydawca niegdyś „Życia“ warszawskiego, w którem modernizm pierwsze kroki stawiał, dziś wytwornej „Chimery“, gdzie już niepodzielnie panuje.

Przesmycki i **Antoni Lange,** który w ostatnim czasie na pole dramatów historycznych („Wenedzi“; „Atyla“) się przerzucił, mogą uchodzić i za doktrynerów czy estetów nowego ruchu i za pionierów jego; oni to stworzyli tłumaczeniami, szczególniej Miriam, w którego dorobku literackim tłumaczenia, od Maeterlincka do Rimbauda, znacznie nad oryginalną twórczością przeważają, łączność z ruchem zagranicznym.

Mistrzem formy jest Miriam, nikt nad niego strofy wycyzelować nie potrafi; tłumacz niezrównany, wykwintny; we własnych poezyach dźwięczy, prócz bujań i marzeń wyobraźni, tęsknot i bolów, uwielbienie przyrody; tu się i nuta rodzima zaplącze. Był on „dzwonnikiem nowej świątyni“, „pierwszy który odczuł nadchodzący nowy moment, wiosenny poezyi — pierwsze jego utwory, to okrzyk że poezya zamilkła, później ubóstwienie poezyi i wezwanie do pieśni“, twierdzi o nim Lange, a wezwanie to w najponętniejsze przyodział formy: „po nad ziemskim lecąc globem, w brylantowych skrzę się rosach, wonne róże na mych włosach, z moich ramion spływa bluszcz, nad otwartym stanę grobem, pocałunki śląc namiętne i uwiodę cienie smętne w lazurowych kraje puszcz... do mnie, do mnie, tu do łona... spłyńcie roje smętnych mar, ja otwieram swe ramiona, pocałunkiem zmyję pleśnie...“. Ale i u niego pesymizmu nie brak ani walk prometejskich i ich męczarni, ani groźby ostatecznej: sto granic, kresów, śmierci, końców, zgonów ludzkości, co pyłkiem jest w bycie, o najjaśniejszych idei rozżarze przyjść może straszny ten dzień... nic nie zostanie, cała wieków praca stać się tem musi, czem była w początku — prochem. Z kółka czeskiego przy uniwersytecie wyniósł Miriam znajomość literatury czeskiej, której kult (Zeyera np.) u nas szerzy.

Podobne tematy uprawia i liryka Langego, kochająca się w spiętrzonych trudnościach rytmu i rymu: „nie lubię rzeczy łatwych, lubię łamać granit... biały wiersz, cud nad cudy... oto, co dziś mnie nęci... tak, bo rym się bez trudu w poezyę ularwi, poezya dziś ze swych wyżyn zeszła w nędzę dolin, i dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin, jest tralala na wszystko, formuły, algebra, w legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg, i rymy leją gładko, niby wodę z cebra, a łatwo tak, jakby to był walc lub oberek... więcej jest takich, co, jakoby chrząszcze, brzęczą, rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen“. Cóż za dziw, że nowości żądni, nie tylko za biały wiersz, ale i za prozę rytmiczną chwytają.

Lubowanie się w sztuce dla sztuki nie przeszkadza jednak modernistom naszym w „zniżaniu się“ do poezyi ludowej; w dorobku poetyckim nawet Langego, Arntszajnowej, Rossowskiego, Or-ota— nie mówiąc już o Rydlu, Tetmajerze, a przedewszystkiem o Kasprowiczu, znajdą się nieraz znakomite „ballady“ ludowe i liryki, np. „Piosnki“ Rossowskiego w zbiorku „Psyche“ z pogodnie smętnym nastrojem; Mazurki i Oberki Or - ota, wierszującego i baśni ludowe; „Grajek“ Arnsztajnowej, słyszący około siebie „takie granie, taki śpiew“, jak Maciuś w „Kole Zaczarowanem“; „Powieść o płanetniku“ Langego i t. d.

Całkiem w tonach sielskich, zdawało się, jedyny **Kazimierz Laskowski** (El) się zanurzył, przeciw szkole tatrzańskiej niby mazowiecką tworząc, wyśpiewując „Z chłopskiej piersi“ i „Z pod serca“ to szopkę, to krakowiaki i mazurki, to cały opis wesela chłopskiego, od zmówin i zrękowin aż do oczepin i chrzcin, w usta drużby je wkładając; pisywał on prozą nieważne obrazki szlacheckie, dziś w „Kuryerze Warszawskim“ felietony rymuje — najwyżej wzniósł się w „Pogrzebie“, niby parodyi „Wesela“ Wyspiańskiego, czepiającej się niektórych motywów (jest i Złoty Róg nawet), a choćby i postaci, lecz ciekawej i trafnej, nie tylko w samej sobie, dla znakomitego odtworzenia duszy i gwary chłopskiej, jak i dla idei przewodniej, głębokiej, nie tylko w alegoryi — bajce o matce, jej dwu synach, nierównej jej ku nim miłości i co za katastrofa z tego wynikła; malarz - panicz, rozentuzyazmowany dla ludu, na wsi fatamorgany się pozbywa: zgoła inny, inny świat, ten świat chłopski, świat realny... jakby inne serce biło... jakże różnie patrzym w świat...

co innego mówił szkic, nie zastąpi prawdy nic — oto *leitmotiv* utworu, obniżającego marzenia Wyspiańskiego, bo chłop „co ukochał, to i ma... krzyż przy drodze, w polu pług, ktoś tu na fujarce gra... ale to nie złoty róg", a konkluzya: bo bez chłopa niema wioski, a bez wioski niema nas—ale jakżeśmy dalecy od Lenartowicza i idyli! Świeżo zaczął wielkie dzieło; dośpiewa nam „Pana Tadeusza".

Mimo nadpływania coraz nowych sił przerzedzają się w końcu szeregi liryków „Młodej Polski"; Lange, Rydel, Tetmajer i inni zwracają się — nie Lenartowicze ani Syrokomle — coraz energiczniej ku innym działom poezyi, uprawę kwileń pesymistycznych i tęsknych nastrojów pozostawiając Słońskiemu, Mirandoli, Sterlingowi, Kazimierzowi Lewandowskiemu, opiewającemu śmierć fiołków i wdzięki fryn najpospolitszych, i in.

Wrzawa, wzniecona poezyą „Młodej Polski", nie zagłuszyła jednak wszelkich innych tonów; uprawiają nawet gawędy, rzeczy epiczne i satyryczne, jak za dawnych, dobrych czasów. Np. Włodzimierz Wysocki odezwie się, jak niedobitek jaki szkoły ukraińskiej, i niby na nutę Pola czy Syrokomli zaśpiewa o „Laszce" i bojach tatarskich i jak to pan Zdzisław z Tymkiem Czałym o jej rękę ubijać się będą, albo o „Oksanie" i jej przerwanym romansie z paniczem i jak ona ostatnią skazańcowi odda przysługę — ależ dalekośmy od Ostapa Bondarczuka; zato brzmi w innych opowiadaniach tem ostrzej satyra na szlachtę, przybierając całkiem nutę demagogiczną.

Wyżej wzniósł się **Józef Stanisław Wierzbicki,** urodzony na Podolu (siostrzeniec dr. A. Rollego) i jego tradycye w „Hance" wyśpiewujący; w obszerniejszym poemacie, „Rajgrodzki", opisuje jedną z owych cichych tragedyi, upadek starego domku, którego Rajgrodzki nie przeżyje, w jego zgliszczach zginie; i tu pobrzmiewa, jak u Wysockiego, silniej nuta chłopomańska; po wierszach lirycznych, w których zagadnienia społeczne często przebijają, przeszedł Wierzbicki w ostatnich „Rapsodach" (1901) do „ballad", czerpanych z walk Słowian pomorskich, kreślonych z siłą.

Całkiem w przeszłość zapatrzył się Leopold Starzeński w „Gawędach starego myśliwca" (1900 r.), gdzie, wstępując niby w ślady Pola („Rok Myśliwca"), uciechy łowieckie, obrazy przyrody górskiej w „Rykowisku", stepowej w polowaniu na dropie, satyryczne wycieczki przeciw nowomodnym strzelcom i sportom, przeciw stosunkom galicyjskim, uwielbienie dla ostatnich przedstawicieli dawnego myśliwstwa (Kazimierza Wodzickiego, znakomitego ormitologa zarazem) — wierszem i prozą uprawia, w formie, dziwnie rodzimej.

Jako przeciwnika wymienimy modernistę, świat zwierzęcy również, ale tylko w formie kunsztownej bajki wprowadzającego, Jana Lemańskiego, powołującego więc do życia przestarzałą formę Góreckiego jeszcze i Niemcewicza, jeszcze bardziej rozwlekłego, niż oni, nie żachającego się epopei zwierzęcej haseł najmodniejszych i form (klucz od bramy lwu!) użyczać, zdradzającego poprzez krótką fabułę i długie satyryczne wycieczki, liryczny, uczuciowy nastrój. Forma więc stara, świat jednak, myśli i hasła, nowożytne, i sama ta sprzeczność bawi. Że się tu „mydlarzom, łykom, filistrom" cięgi dostają, nie dziw, lecz pesymizmu i gorzkiej ironii Szczedrina Lemański nie dosięgnął i „tryumfująca (nad Prawdą „w klasycznym mundurze", t. j. nagą) świnia" albo „Karaś idealista" zostawiają daleko za sobą i wstydliwą owcę - gąskę i zakochanego azora i towarzystwo czworonożne przy bombce.

Całkiem romantykiem starej szkoły jest **Kazimierz Gliński** (Mieczysław Gliński uprawia w najlepsze lirykę dekadencką). Zaczął on zawód poetycki od liryk i ballad i dziś jeszcze ich nie rzuca, w „Spiżowych dźwiękach" (1902 roku) wrażenia arcydzieł naszej poezyi wyraża, do turniejów poetyckich stawa, ale bardziej go nęcą, prócz powieści, romans i dramat historyczny, w romantycznym, nie realistycznym duchu uprawiane. Więc pisze „Cecorę", gdzie więcej historyi, niż romansu, i „Imc. Pana Filipa z Konopi", tylko romans, choć ten sam wiek i ta sama szlachta, z nadto sentymentalnym bohaterem z łaski Syrokomli, co zająca (bo ów Filip z Konopi nigdy czem innem nie był) w szermierza przedwczesnego altruizmu przerobił; hula ten Filip (bez filipa w głowie — wedle innego, nie gorszego przysłowia) po świecie, i z grozą odtrąciłby go od siebie Pasek i Zagłoba; główną romansu zaletą jest fabuła romantyczna.

Równie wymarzone postaci, liryczno - romantyczne, przewijają się i w jego dramatach, w „Żydach" np., gdzie naturalnie bajka o Esterce i wymiłowanym przywileju Kazimierza Wielkiego dla Żydów główną rolę odgrywa, bajka, tak zakorzeniona, jak owa o złamaniu przysięgi przez Warneńczyka; dramat sam tylko kilka piękniejszych, silniejszych scen daje. „Żydów" wyprzedziły inne

dramaty, „Anna Firlejówna“, mogąca w niehistoryczności rywalizować z „Filipem z Konopi“, z konwencyonalnymi wybuchami zemsty, cygańskimi, nie polskimi, z fabułą całkiem romantyczną; albo „Almanzor“, bohater mauryjski, którego szczęście opuszcza, gdy go żeniaczką, nie orężem, dobywać się kusił; albo „Bolesław Śmiały“, gdzie najmniej romantyczności, bo konflikt jest wywołany starciem władzy świeckiej i duchownej; duchowna w końcu zwycięża, król musi opuścić kraj.

Nie brak żadnej z tych sztuk efektów, najczęściej podniosłych scen lirycznych, czasem, np. w „Almanzorze“, nawet wielkich scen ludowych; brak im tylko istotnego życia dramatycznego. Dlatego też zaliczyliśmy poetę do liryków i pieśniarzów, chociaż on się tylokrotnie do przeszłości zwraca, i pierś jego „oddycha ośmiu wieków tchnieniem“. Z liryki jego, choć poeta z większą prawdą, niż inni, skarżyć się może przed Bogiem, „że mi tak bardzo smutne dałeś życie“, chociaż nie brak tonów zwątpienia, zgrzytu niedowiarstwa, niepewności męki — bije jakaś „młodość powrotna i zapach róż świeży“ i hasłem jego zostaje: sto złudzeń przeżyć lepiej, niż skonać z rozpaczy. Więc wychowaniec romantyzmu, na Słowackim formę wyrobiwszy, śpiewa o ziemi rodzinnej, ukochanej nad wszystko, o młodości i miłości, o smutku i tęsknocie i zawsze na szczere zdobywa się słowa, bez efektów, bez zbytniej sztuczności; oddaje nawet szczęśliwie tony ludowe; poezyę ukochał głęboko a szczerze.

Nie przeszkadza to mu jednak, zupełnie jak i Faleńskiemu, do pisywania i fars najpospolitszych („Hop, hop!“ i inne) — nawet ostatnia jego „komedya historyczna“, wzięta z cyklu „Panie Kochanku“, jak i „trylogia“ Kraszewskiego (u nas albo „Pasek“ albo „Radziwiłł“, jakby innych tematów nie było), jest właściwie tylko farsą, jak rezolutna Baśka zdobywa prawa serca. I ułatwiają nam zarówno romantycy, Asnyk, Faleński, Rossowski i Gliński, jak i moderniści, Tetmajer, Rydel, Kasprowicz i Lange, przejście do dramatu, chociaż dramat, mimo wszelkich wysiłków, proroctw przedwczesnych i zachwytów przelotnych, tej oryginalności i bujności, tej rodzimości i wielostronności talentów, jakie naszą poezyę w porównaniu z europejską cechują, bynajmniej wykazać nie może.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

DRAMAT.

Warunki rozwoju. Dramat historyczny, Józef Szujski i Adam Bełcikowski. Komedya, Narzymski, Lubowski i Bliziński; Sarnecki, Zalewski, Bałucki i inni. A. Świętochowski. Dramat modernistów, historyczny, symboliczny, ludowy. Dramat ideowy, St. Wyspiański. St. Przybyszewski.

Innymi torami, niż poezya liryczna i epiczna, kroczyła dramatyczna; ci sami pozytywiści i „organiczniki“, co ołtarze romantyzmu obalali, witali w komedyi, jak i w powieści, dzielnego spółpracownika w kruszeniu przesądów, w szczepieniu nowych idei, i, kiedy inne działy poetyckie na wymarcie skazywano, kwitły dramat i powieść w najlepsze i do dziś się rozwijają, w ciągu nigdy nieprzerwanym, ale nie z równym wynikiem. Gdy bowiem powieścią literatura polska godnie obok innych europejskich staje, gdy ilością i rozmaitością talentów lirycznych między innemi się wyróżnia, brak jej do dziś wielkiego dramatu narodowego i dramatyka takiego, jakich epików czy liryków posiada. Czemuż ten brak przypisać? alboż to tylko przypadek?

Może i nie: nie tylko nasza, ale i inne literatury słowiańskie dotychczas nie wydały wielkiego dramatu. I rosyjska tylko romansem stoi; dramatu ani Ostrowskij nie stworzył, najbardziej dramatyczny ze wszystkich jej autorów; o czeskiej i chorwackiej nie-

ma co i wspominać. Epiczna rozlewność pisarzów słowiańskich, we wsi sennej, nie w ruchliwem mieście wykołysanych, walczy przeciw wymaganiom scenicznym; ich dramaty bywają dyalogami i kronikami, gubią się w słowach i szczegółach, brak im akcyi, jednolitości, napięcia, a braku tego nie powetują poetyczne piękności scen poszczególnych, dowcip i finezya słowa; osoby znakomicie scharakteryzują, lecz nie potrafią w czynie ich wystawiać, akcyę energicznie rozwijać i skupiać. Przez całe stulecia nie sprzyjały zewnętrzne warunki rozwojowi, a raczej samym początkom teatru, bez którego dramatu nie będzie — i Szekspir i Molier byli aktorami i dla aktorów pisali, których u nas nie było; do życia miejskiego i dworskiego szlachta nagiąć się nie dała, żyła niby samopas, po dworach i dworkach, więc miejsca dla teatru nie było zupełnie. Gdy nakoniec, za wzorami obcymi, teatr powstał i działać zaczął, zadowalano się zbyt łatwo — nie na tem polu jedynie — produkcyą obcą, łatwo dostępną; repertuar mógł się przez czas wcale długi obywać bez sztuki rodzimej, występującej raczej okolicznościowo, dla celów oficyalnych.

Istotnego zajęcia dramatem i sceną u nas nie było; mniej u nas teatromanów nawet, niż w Rosyi; jedyny chyba Bogusławski stanowił nadzwyczajny wyjątek.

Znakomitych artystów wydała dopiero druga połowa wieku; najznakomitszy dawniejszy, Bogumił Dawizon, później tylko na scenie niemieckiej pracował, jak i dzisiejszy Emanuel Reicher w Berlinie, chociaż o występach na scenie polskiej myśli. Największy talent dramatyczny, Słowacki, łączności ze sceną niemiał żadnej. Niekorzystne inne warunki oddziaływały i na teatr, bardziej nawet na teatr (i dramat), niż na jakąkolwiek inną gałęź sztuki. Muzyka i dramat są najpóźniejszym dorobkiem kultury słowiańskiej, nie tylko u nas, chociaż dramat właśnie u nas największe przeszkody miał do zwalczania.

Usiłowań jednak nie brakło; najniewdzięczniejszą nawet specyalność, dramat historyczny, uprawiano najgorliwiej, co przy naturalnem zwracaniu oczu ku przeszłości narodowej z góry, samo się narzuciło. Tymczasem tu właśnie piętrzyły się trudności; dzieje polskie — jak i słowiańskie wogóle — nie są nadto bogate w sytuacye dramatyczne. O pierwotnych, najbardziej znaczących, o katastrofach, które Mieszków i Bolesławów na tron wynosiły i strącały, wiemy najmniej; najdawniejszy kronikarz zbywa je krótkiemi słowy lub milczeniem; późniejsi jego tekst chyba rozwadniają — fantazya niema o co zaczepić swych kreacyi, materyał to zbyt ubogi, pole zostawiane całkiem dowolności, domysłom, wirującym w próżni. W późniejszych, oświetlonych dostateczniej czasach, brak właściwych dramatycznych zawikłań dotkliwy; więc coraz ku Halżce z Ostroga lub Barbarze lub Zborowskim dramat historyczny błędne kroki zwraca. Oto Zborowscy — cóż to za temat? że tam jedna głowa niesforna z rusztowania spadła, i cóż z tego? w Niemczech, Francyi lub Włoszech nikomuby nawet na myśl nie przyszło, podobny temat dramatyzować, przecież to nie Wallenstein, nie Marat, nie Gibellin jaki, albo Cola Rienzi; ubyło jednego warchoła, dziesięciu przybyło i darli się na sejmie, i, zamiast krzykaczom groźnie w oczy spojrzeć, ten, co sprawiedliwość wymierzył, jakby sam siebie się uląkł i niby się usprawiedliwia; z takich materyałów ani charakterów ani dramatów nie ulepić. Skłonni do łez i rozczulań, królowi w ramię wpadają, hamując bieg sprawiedliwości, np. Żółkiewski za rokoszu: bardzo się im ta miłość chwali, ale nie była ani mądrą — przyszłość dowiodła — ani dramatyczną; zawsze wszystko kończy się połowicznie, a raczej wcale się nie kończy, ani wojny, ani rokosze, ani plany, choćby najprostsze, ani awantury, choćby najśmielsze. Są wielcy ludzie i wielkie poświęcenia, ale ani frazesów, ani akcesoryów dramatycznych nie znają, jakby dusza słowiańska stroniła od teatralności i pozy, od imponowania, jakby samo poczucie spełnionego obowiązku jej wystarczało.

Popłacały starorzymskie frazesy za Kościuszki, lecz po nim samym pozostał tylko jeden i tego on nie wypowiedział i nie silił się na wielkie słowa, kiedy kuszące oferty napoleońskie odrzucał. Jak trzeba historyę „poprawiać“, żeby np. temat o Barbarze udramatyzować istotnie! konflikt czy katastrofa zdawały się niechybne, ale wobec miękkich natur polskich straciły one rychło na ostrości i wszystko skończyło się, jak zawsze, ku zadowoleniu ogólnemu, nieraz z bardzo dotkliwą szkodą dla państwa i porządku; ogień bywa słomiany, np. votum Jana Kazimierza; nałóg, inercya po chwilowym wysiłku wracają w swe prawa. Nawet przeciwieństwa wyznaniowe ostrych konfliktów nie wydały: z Łyszczyńskiego nie wykrzeszesz Husa, Savonaroli czy Giordana Bru-

na, podłość delatora i sędziów głupota wcale się do dramatu nie nadają; rzezi św. Bartłomieja ani morderstwo Kuncewicza ani tragedya toruńska nie dorównają w niczem. Przeciwieństwa stanowe również do starć nie wiodły, ostatni bunt chłopski jeszcze z r. 1035 datuje, a Tęczyńskiego zabójstwo to pospolita burda uliczna, nie dramat krwawy; nawet walki szlachty z tronem toczą się miękko, giną u nas nie Karole czy Gustawy, tylko rokosze i idee, potęga i zasoby państwowe. Kierował się więc Słowacki bardzo trafnym instynktem, kiedy swe kroniki dramatyczne w dal zamierzchłą cofał, gdzie wymysłów nikt nie sprawdzał. Dopiero wiek ostatni bogaty w zapasy tragiczne, u Barszczan i Horsztyńskich, ale te nie na każdą scenę się nadawały.

Niwę dramatu historycznego, zanim się jeszcze komedya społeczna urodziła, uprawiali najgorliwiej **Józef Szujski** i **Adam Bełcikowski.** Liczne pamiętniki, wprowadzające w tryb domowy przodków (choćby Pasek), pełniejsze oświetlenie dziejowe budziły rychłe a wielkie oczekiwania; już K. Wł. Wójcicki zapowiadał z pewnością blizkie narodziny dramatu historycznego, w r. 1843; ale lata upływały, i luźne próby Przeździeckiego, Odyńca, Szajnochy nie sprawdzały tych oczekiwań; autorowie sami rzucali rychło pole niewdzięczne.

Inaczej Szujski. Mniemał się być stworzonym na poetę i przez całe życie, nawet jako zawołany historyk i działacz polityczny, nie wyrzekł się nęcącej pokusy, i acz w końcu ochłódł w zapale, jeszcze w jubileusze, Kopernikowy i Długoszowy, z poematami dramatycznymi występował. Ale — *quantum mutatus ab illo!* cóż tu z dawnego Szujskiego zostało! Na pytanie Kalimacha, gdzież ta wiara, ta potęga, co ręce ku modlitwie skłania, odpowiada u niego Długosz:

> a gdzieżby? w pokorze, w zapomnieniu o sobie,
> w miłości za sobą świata, ludzi, kraju,

innemi słowy: po trzydziestu, w rozwoju europejskim najbardziej decydujących latach traktuje nas Szujski receptą z „Bożej Czeladki“ Kraszewskiego, wywietrzałą już 1851 roku! Cofnął się więc, zacieśnił myśl strasznie, a formy nie poprawił, siły słowa i akcyi nie wyrobił większej.

Młodzieniec zaczął zawód dramatyczny „Zborowskim“ w roku 1857. Z tematami zmieniał i formy; od naśladownictwa Szekspira, z nadmiarem akcyi i charakterów, przechodził do form deklamacyjnej tragedyi Szylerowej i francuskiej, z ograniczoną ilością osób działających i akcyą bardziej skąpą, z tem bujniejszym dyalogiem; studyował dramat starożytnych i spolszczał Arystofanesa, szukał formy u Kalderona i Wiktora Hugo — własnej jednak nie znalazł. Poezyę, polot wyobraźni, krępowały sumienność historyka, rozwaga działacza politycznego: wmyślał się on w swoje tematy, aby z nich zawsze nie obrazy, ale naukę zaczerpnąć, przestrogę wyłożył, gdzie tego nie znachodził, chłódł natychmiast, nie dawał się porywać świetności efektu; refleksya zabijała twórczość, zamiast nią kierować.

Swobodniej poruszał się w tematach z dziejów obcych, w Wallasie, Sawonaroli, Neronie; w domowych psuł stale historyk koncept poety. Poeta przeprowadził jako tako w „Zborowskim“ ideę porządku i ładu do zwycięstwa, lecz sumienie historyka kazało doczepić niby epilog, osłabiający ponownie ów tryumf pozorny; do tego tematu wracał dwukrotnie. Opracował naturalnie i Halżkę z Ostroga i Dymitra z Maryną, nie lepiej, niż poprzednicy; najbardziej pociągała jednak historyka epoka przełomowa dziejów polskich, potęga jaśniejąca na zewnątrz, dozwalająca Władysławowi pieścić się z planami tureckich wojen, a słabość wewnętrzna, ujawniona tak strasznie a rychło w wojnie domowej. Nęcą go więc Władysław, Kazanowski, Ossoliński, królewięta, ale pomysłu głębokiego przeprowadzić nie umie; wszystko, co powie, szlachetne i mądre, lecz nie dramatyczne; sceny niektóre, epizodyczne, wykonane bardzo ładnie, np. owo bawienie się pacholąt w Rzeczpospolitą, całości niema. Co najdziwniejsze, że historyk paktuje łatwo z poetą, nie zabrania mu w szczegółach wymysłów bardzo problematycznych, nadto sentymentalnych — ogółem chorują postaci Szujskiego na hipertrofię szlachetności; dobre to dla Felińskiego i deklamacyi patetycznej, lecz nerwu dramatycznego nie posiada. Brak dramatyczności, konsekwencyi, jedności akcyi zabija dramaty Szujskiego, pominąwszy wiersz i język ich ciężki, na scenie; działają te dramaty o wiele korzystniej na czytelnika, niż na widza — właśnie głębokością myśli, trafnością sądu, prawdami historycznemi, od jakich się roją.

Niemal równocześnie z Szujskim rozpoczął i Adam Bełcikowski zawód dramatycznego pisarza. Zdolność jego poetycka jest o wiele znaczniejsza, o wiele mniej krępują go więzy historyczne, język i wiersz i bardziej są potoczyste i na większą się siłę zdobywają, lecz i jemu nie było danem święcić większych tryumfów. I on nie wiązał się wyłącznie do tematów swojskich; zaczął nawet od obcych, od „Huniadego“, owej krwawej tragedyi familijnej, której Maciej Korwin cudem uszedł—w prozie. Od prozy przeszedł do wiersza białego, naturalniejszego w dramacie, lecz niebezpiecznego, bo, dla braku właściwej rytmiczności języka, nadto się do prozy zbliża; prozę zatrzymywał w jedynej komedyi społecznej (galicyjskiej, „Protegujący i protegowani“) i w komedyach historycznych, gatunku powszechnie zaniedbywanym, i tu właśnie wcale udatne rzeczy tworzył. Tak np. „Obaj Radziwiłłowie“: stary kanclerz Olbrycht, świętoszek i intrygant, jako dziewosłęb kuzyna, samby najchętniej rękę nadobnej Potockiej posiadł, lecz odkosza się nabawił. Albo w „Królu Don Żuanie“ walczą dawne sułtanice, hrabina Kozel i Madame de Teschen, aby nową, poświęcającą się chętnie, faworytkę królewską, Warszawiankę Duval, kochającą nie króla, lecz Augusta, z wpływów i względów wysadzić. Za przykładem Małeckiego i Wołowskiego, 1902 r., znowu prozą, udramatyzował poeta Pana Paska z ordynatem Myszkowskim.

Od komedyi wracał stale do tragedyi i kroniki dramatycznej. Nieraz znachodził tematy obce, dalekie a efektowne, np. z historyi bizantyńskiej, ale nie Teodorę samą, z Sardou i Wildenbruchem, lecz Focyusza, któryby niegodne jarzmo Teodory chciał zrzucić i Belizaryusza do podniesienia rokoszu, choćby we Włoszech, nakłania; własna matka, żona Belizaryusza, krzyżuje te plany, i matkobójca, zawiedziony w nadziejach, wraz z matką ginie. Mniej zaciekawia „Francesca di Rimini“ i inne.

Bardziej pociągały go tematy swojskie: największe osiągnął poeta powodzenie „Mieczysławem II“ i „Bolesławem Śmiałym“. Ów Mieczysław — jeśliż już Mieszkę tak nazywać mamy — budzi mimowoli ciekawość: skąd ten nagły, straszny upadek? państwo Chrobrego, ciążące nad Zachodem i Wschodem, odrazu w zawisłość niemiecką popada, roztrwania olbrzymie zasoby — któż zawinił? Nie Mieczysław, całkiem niesłusznie Gnuśnym przezwany; dzielność jego zaświadczają przecie spółcześni. Zdrada w łonie rodziny

sprowadza katastrofę: aby nad bratem - zdrajcą się pomścić, uniża się Mieczysław, ale to uniżenie i upokorzenie głębokie pozbawia go na zawsze spokoju, trapi go sumienie, duma ciężko zraniona; zagłusza on te głosy w trunku, lecz wizya karzącego ojca pozbawia go zmysłów do reszty, i z nim ginie młode państwo, gdzie jeszcze z resztkami dawnego pogaństwa świeże chrześcijaństwo walczyć musi. Jest to może najlepszy utwór Bełcikowskiego; wyróżnia się z pośród innych mową zwięzłą a barwną, akcyą energiczną, ma się wizyę innych ludzi i czasów, nie majaczenie jakieś i mżenie.

Z Bolesławem Śmiałym wstąpił autor w dawne, Korzeniowskiego jeszcze, ślady; nie pogłębił jednak konfliktu, nie pomyślał o tem, aby, jak to później Gliński uczynił, starły się potęgi świecka i kościelna, Henryk a Grzegorz; uprościł konflikt w stylu naszej średniowiecznej legendy: biskup, rzecznik sumienia i moralności za społeczeństwo, jedyny występuje przeciw okrutnikowi i gwałtownikowi, a gdy nie skutkują napomnienia, mści klątwą zniewagę moralności; król rozsrożony, nie znoszący oporu, zabija biskupa, ale moralnym skutkom klątwy oprzeć się nie zdoła, idea zwycięża, opuszczają go właśni zwolennicy albo upadają; dumny, chociaż złamany, sam rzuca wreszcie kraj i do dalekiego klasztoru uchodzi — tam spotykają go, wysłani do Włoch, by klątwę znieśli; jak u Korzeniowskiego, tony mistyczne i namaszczone, skruchy i pokuty, zagłuszają w końcu inne.

I jeszcze dalej wstecz, niby za przykładem Słowackiego, cofnął się autor, aż stanął „U kolebki narodu“ i w licznym szeregu innych, motyw o Wandzie i motyw o Koronie Lechowej (walkę ze smokiem) opracował. Dla widowisk popularnych Sobieskiego i Kościuszkę udramatyzował. Wszystkie jego dramaty są zbudowane bardzo poprawnie, logicznie, regularnie; język ich zawsze szlachetny; bohaterowie upadają w konfliktach moralnych, ofiary Nemezis dziejowej, mszczącej wszelkie wykroczenia, albo tylko pod zbiegiem fatalnym okoliczności zewnętrznych; nie chodzi mu o naukę i przestrogę, o tendencyjne zabarwianie tematów, przystosowanie ich do wymagań polityki; przeważają więc poetyckie, romantyczne żywioły.

Mimo tych przymiotów nie osiąga trwałych, głębokich wrażeń; brak bohaterom jego temperamentu, siły wybuchowej i żywiołowej — wymyśleni oni i wymarzeni raczej, niż głęboko odczuci;

fantazyi jego brak tego bogactwa, któreby nam zupełną wizyę przeszłości odtworzyło; nie zastąpi go rozwaga, umiejętna, chłodna. Taż rozwaga cechuje i estetyczne i literackie prace zasłużonego autora; zstępuje on nie tylko do ubiegłych wieków, wyławiając ciekawsze ich pisma i kierunki, ale i w ocenie produkcyi doby najnowszej kieruje się smakiem i taktem, wypowiada sądy przychylne a zrównoważone.

Szujski i Bełcikowski to tylko koryfeusze szeregu, liczebnie bardzo silnego — produkcya dramatów historycznych nie ustaje ani na chwilę, choćby do najnowszych księcia Druckiego - Lubeckiego. Mało z nich jednak ukazuje się na deskach scenicznych; jeszcze mniej wytrzymuje ogień krytyki, a wszelkie sukcesy bywają jednodniowe, np. dramatów Wincentego Rapackiego, znakomitego artysty, w którego rodzinie talenty są jakby dziedziczne; i syn jeden nowelom się oddaje. Jego „Wita Stwosza“ przyjęto niegdyś z istotnem uniesieniem, ale z każdem nowem dziełem uniesienie to malało, mimo silnych efektów scenicznych, języka namiętnego, akcyi energicznej — coraz widoczniej stawało się aktorskie traktowanie sceny i efektów, coraz bardziej melodramatycznych, coraz mniej prawdziwych; w długim szeregu tych dramatów, w „Koperniku“, „Acernie“, „Odsieczy Wiednia“, „Pro honore domus“, „Figliku Stańczyka“ i t. d., nie powtarzał się już efekt bujnej deklamacyi „Wita Stwosza“.

Od dramatów historycznych przeszedł Rapacki do romansów i nowel historycznych, traktując wszelkie możliwe tematy, i Hanzę niemiecką i dopowiadając do „Ogniem i Mieczem“ „Grzechy Królewskie“, o „Kostce Napierskim“. Fantazya poetycka, jak i w dramatach, rozpościera się tu nadto, kosztem prawdy historycznej i prawdopodobieństwa. Inni, np. Gorczyński, o wiele słabsi, dyskredytowali chyba dramat historyczny; jeszcze inni, wyjątkowo raczej tę gałęź uprawiali, np. Józef Kościelski, znany mecenas literatury i sztuki i sam ich znawca niepospolity, w „Arryi“ (rzymskiej), we „Władysławie Białym“, wcale efektownym dramacie miłości (Anny i ziemi swej), odwodzącej od walki ambitnej o tron piastowski; Karol Brzozowski w „Maleku“ z tematów wschodnich; Aureli Urbański, niezgorszy autor w komedyi lekkiej i farsie, przyciężki w patryotycznej, jak i w „Wataźce“ i „Kseni“; Michał Wołowski (dyrektor teatru), „Towarzysza Pancernego“ z Paska dobywając; Bronisław Grabowski, jeden z nielicznych slawistów warszawskich, zasłużony popularyzator rzeczy słowiańskich, tłumacz gorliwy, próbujący sił swych w oryginalnych dramatach, historycznych i ludowo - fantastycznych, i inni.

Między młodszymi pojawiał się na scenach najczęściej Stanisław Kozłowski: jego „Wójt Albert“ wyszedł z konkursu, opromieniony sławą, niby „Wit Stwosz“ Rapackiego, lecz po wystawieniu na scenie sława ta wydmuchana skląsła odrazu; ani język wiersza, ani treść nie czyniły zadosyć nieco wyższym wymaganiom; na razie został poeta przy wieku XIV i po wystawieniu walki krakowskiego, butnego niemieckiego mieszczaństwa (i biskupa Muskaty), z potęgą rodzimą, Łokietkową, udramatyzował, mniej poetycznie, niż K. Gliński, „Esterkę“, t. j. ów temat, romansistów naszych, Bronikowskiego i Bernatowicza, ba, nawet Tadeusza Bułharyna, znanego — z bardzo szpetnej strony — rosyjskiego powieściopisarza i publicysty, o miłostkach Kazimierzowych, wcale dowolnie; potem na obce niwy się zwrócił i z czeskiej „Taborytów“ przejął, nie zdobywszy się wcale na oddanie ich ducha i czasu; nieco lepiej powiodło mu się z „Turniejem“, jednym z rzadkich u nas dramatów renesansowych o artystach: malarz wydobywa ze spółzawodnika tajemnicę jego powodzeń, nęcąc go pięknością żony, aby się pozbyć od razu podwójnego rywala; nie wzniósł się jednak nad poprzedników, nawet nie nad efektowny „Posąg“ W. Szymanowskiego, z Moną - lwicą florencką i jej nieszczęśliwym mężem - rzeźbiarzem, rozbijającym w końcu posąg-żonę. „Dyana“ Kozłowskiego przedstawiła życie pod Blachą, wesołego, hulaszczego księcia „Pepi“, jakby Poniatowskiego nigdy inne myśli, prócz o wawrzynach na polu galanteryi, nie nachodziły; tu chyba tylko anegdotyczna, obyczajowa strona czasów pruskich dobrze oddana.

Inni wcześnie milkli, np. Gadomski niegdyś, stworzywszy „Larika“, broniącego ojczyzny przeciw Rzymianom i ginącego w nierównej walce; dziś Józefat Nowiński, po „Białej Gołąbce“, dramacie również ze sfer artystycznych wziętym, jak „Posąg“ lub „Turniej“, nadto lirycznym dyalogu raczej, niż dramacie.

Nierównie większem powodzeniem cieszyła się komedya. Gdy w dramacie historycznym głównie Szekspir i Szyler rej wodzili, a brak właściwej dramatyczności i odczucia ducha czasu szczegóły antykwarskie i bujna deklamacya zastępować musiały, w komedyi sztuka nowoczesna francuska, sztuka tendencyjnu, *à thèse*, Augiera, Dumasa - syna, Sardou, zapanowała wszechwładnie. Najpierw

u **Józefa Narzymskiego;** czego, jako publicysta, żądał, ażeby autor dramatyczny był i myślicielem, moralistą, agitatorem, ażeby chłostał podłość, ostrzegał przed zgubnymi prądami, budził i wyszlachetniał dusze, pchał bryłę świata silnemi ramiony: to jako autor wypełniał, szczególniej w dwu niegdyś głośnych komedyach, w „Epidemii“ i w „Pozytywnych“; dalszemu rozwojowi rychła śmierć przeszkodziła. Napiętnował w tych komedyach epidemię gry giełdowej, gorączkę rychłego zbogacania się, wyżerającą wszelkie moralne zasoby indywiduów i społeczeństwa; i tych pozytywistów, którzy z wszelkiemi mżonkami zarazem pozbyliby się i wszelkich ideałów, uznaliby tylko cele materyalne, służąc tylko hasłom praktyczności, trzeźwości wyziębiliby wszelkie uczucia, obniżyli poziom moralny. Szlachetnym zamiarom patryoty - publicysty nie odpowiadało równie znakomite wykonanie; żyły komicznej Narzymski nie posiadał, był satyrykiem i moralizatorem; nie grzeszył i uczuciowością, brakło więc jego utworom polotu i ciepła; odzywa się z nich suchość czy oschłość, zbytnia posępność.

Wyżej stanął **Edward Lubowski,** nie utrzymywał się jednak na tej wysokości, schodząc między prostych farsistów. Jego „Nietoperze“, „Sąd honorowy“, „Pogodzeni z losem“, „Karyery“ i t. d. karciły ostro, satyrycznie, co mu się zdrożnem wydawało, naszą opinię publiczną, dającą się byle komu za nos wodzić, usiłowania rozmaitych gasicieli ducha, karyerowiczostwo i t. d., i znowu przeważała tendencya satyryczna, ustępowało żywsze uczucie, komedye ośmieszały, karciły, potem bawiły tylko; najczęściej dostawało się wszelakiej hipokryzyi, umyślnej, gorszącej i niewinnej, nawet i w „Jacusiu“, nie mówiąc o „Sądzie honorowym“, demaskującym obłudników i innych.

Ulubieńcem publiczności został **Józef Bliziński,** a względy jej zdobył złotym swym językiem, złotem sercem i złotym humorem; po Fredrze to najznakomitszy nasz komedyopisarz. Zrósł on się zupełnie ze sferą, którą wystawiał, szlachecką; mieszczan tylko wprowadzał takich, co do szlachectwa się pięli, Kiksów - Kiksiewiczów, zbogaconych na arendzie czy hotelu, gwałtem córki za prawdziwych panów wydających; innych klas ani znał, ani uwzględniał. Długoletni wsi mieszkaniec przejrzał na wylot swoich „dilektów“; ich dobre w gruncie serce; ich rażący brak logiki i konsekwencyi — jego rejent, smakując w pieczystem, napada gwałtownie na Zosię w „Panu Tadeuszu“, odmawia jej serca, boć ona rzeziom w kurniku

nie przeszkodzi; ich lekkomyślność; ich życie nad stan nieopatrzne; ich ratowanie pozorów samych; ich safandulstwo, słabość woli i charakteru—jak łatwo zdobywa Pawłowa „Marcowego Kawalera“! Z takich ludzi silnych konfliktów dramatycznych nie wykrzesać, więc omijają te komedye wszelkie wiry i rafy i lądują szczęśliwie w przystani; autor taki sam optymista, jak jego figury. Poza sceną wloką „Rozbitki“ łańcuch upokorzenia czy nieszczęścia przez całe życie; u Blizińskiego upija się łyk — pan młody przed samym ślubem na śmierć i zrywa tem związek nienaturalny, a familię ratuje *deus ex machina,* syn, robiący świetną partyę, nieśmiały wobec swego anioła o złotych piórach, aby go o interesowność nie posądzano.

Bliziński unika stale „dramatów“, chociaż każda z jego sztuk, z większą może racyą, „dramatycznie“ kończyćby się miała, bo i „Przezornym Mamom“ nie wiodą się rzeczy tak gładko i, gdy „Chleb ludzi bodzie“, pokutują zato niewinne ofiary Geldhabów, a „Mąż od biedy“ staje się parawanem dla wszelakich wykroczeń przeciw szóstemu przykazaniu, i „Pan Damazy“ nie znalazłby testamentu, któryby od naiwnej Tykalskiej interesowana żona - wdowa dawno była wyłudziła. Możnaby się więc nieraz spierać z Blizińskim o prowadzenie akcyi, ale i krytyka, cóż dopiero widza, rozbraja jego humor i serce. On nie umie złych ludzi przedstawiać, nawet rejenta i wdowę z „Pana Damazego“, nawet bardzo niesympatyczne w gruncie osoby „Rozbitków“ ratuje jakiś rys charakteru, odezwanie się poczucia godności czy serca i nie dozwala nam ich potępiać. A cóż dopiero jego osoby „dodatnie!“ ta idyliczna para Dawnowskich albo ów nieprzepłacony Damazy, szlagon, który się skrzywdzić nie da, o głosie strasznie donośnym i ruchach nadto wyraźnych, o sercu miękkiem jednak i uczuciu delikatnem, pod powłoką wcale gruboskórną! A jaka młodzież jego złota, głęboko sympatyczna — choćby ów syn rejenta, pozytywista niby warszawski, w gruncie romantyk starej daty, za pierwszym pociągiem serca, instynktownie się rzucający, ku przerażeniu ojca-niepozytywisty.

I komedye Blizińskiego — historyczne, jak „Zemsta“ Fredry; malują one obywateli — do miasta Bliziński wcale nie zagląda, Żyda i chłopa nie zna — już po wywłaszczeniu, ale w nałogach patryarchalnych, anormalnych w życiu nowoczesnem, wkorzenionych od wieków, i ani się ich pozbyć. Na każdym kroku, mimo wszel-

kiego optymizmu, wykazuje Bliziński głębokie znawstwo serc i umysłów swej braci; przytem posiada on komizmu siłę wielką i tworzy postaci, epizodyczne choćby, lecz ich nie zapomnieć, np. owego Brylańskiego z „Przezornej Mamy“, którego od żony, niby bliźniaka syamskiego, nic odłączyć nie zdoła, albo owej Pawłowej, niańki-tyranki „Marcowego Kawalera“. Tendencyi, idei żadnych nie przedstawiał; gdzie się na moralizatora umyślnie sadził, jak np. w „Chwaście“, wyjałowiającym nasz grunt społeczny, powodzenia nie znachodził, wiernego mu, póki same obrazy życia szlacheckiego przedstawiał.

Szczególną zaletą komedyi jego jest język, szczero - polski, wypieszczony; żadne jego tajniki nie były Blizińskiemu obce, który przy końcu życia, pełnego zawodów, badaniom językowym, nad czystością jego, nad przysłowiami jego, z miłością się oddawał — a mowę tę znał on we wszystkich odcieniach, jego Pawłowa np. to skarb prawdziwy dla etnografa, toż to niby Sabała, choć na równinach i w spodnicy.

Obok Narzymskiego, wcześnie zgasłego; Lubowskiego, który się do każdej, nawet w końcu do ibsenowskiej komedyi, seryo czy nie seryo naginał; Blizińskiego, nie naśladującego nikogo, o tendencye nie pytającego, ten świat szlachecki, z którego wyszedł, malującego, z humorem i uczuciem, jakiego ani Narzymski, ani Lubowski nie posiadali, — popisywali się liczni spółpracownicy. Najwytworniejszym był Zygmunt Sarnecki, obracający się z zamiłowaniem w świecie wyższym („Zemsta Pani Hrabiny“ i t. d.), pisujący komedye salonowe, a obok nich i taką „Febris aurea“, z pysznym Lutnickim, Panem Damazym schodzącym na psy, z dorobkiewiczem Gałdzińskim, z pytaniem: dukaciku, kto cię rodzi, praca i cnota, czy lichwa i występek? Sarnecki, zamiast siły rozwijać, zszedł na dramatyzowanie bajek ludowych („Szklanna Góra“, treść i motywy z „Bajarza“ jeszcze czerpiąc) albo utworów powieściowych: najlepiej wypadły mu „Harde Dusze“ z „Bene Nati“ Orzeszkowej; zasłużył się też, jako wydawca „Echa Muzycznego“ i tłumacz wielu rzeczy, Rostanda i t. d.

Najwięcej powodzenia miał **Kazimierz Zalewski;** komedye jego, „Przed Ślubem“, „Małżeństwo Apfel“ i inne, wykazywały talent satyryczny, obserwacyę znakomitą, zmysł sceniczny; od Francuzów, jak i Lubowski, przeszedł on do naśladowania Ibsena, dawał niby zagadki publiczności do rozwiązywania i tematy poważne („Jak

myślicie?“, „Syn“, „Prawa serca“ i inne), schodził jednak stale i na pole najzwyklejszej farsy, chyba pieprznością („Oj mężczyźni, mężczyźni“) się odznaczając, albo do melodramatów, dla teatrów ludowych i przedstawień niedzielnych, o szwaczkach warszawskich i t. d.; na polu farsy miał niebezpiecznego konkurenta w Zygmuncie Przybylskim, autorze „Wicka i Wacka“ i tylu innych fars pociesznych.

W farsie celował przez długie lata **Michał Bałucki** i utratę dawnej popularności w końcu życiem przypłacił. Zaczął on, jako powieściopisarz (Elpidon), i powieści i nowel nie rzucał on nigdy, chociaż powodzenie „Radców pana Radcy“ do sceny go odwabiło. Jak Bliziński światek szlachecki, on maluje mieszczański, szczególniej krakowski, chociaż „Pipidówka“ jego i na partykularzu się mieści. Życie krakowskie znalazło w nim najwierniejszego rysownika, nie dawne, wielkich wspomnień pełne, ani nowe, artystyczne, ale owo szare, przeciętne, na plantach z emerytami, karmiącymi wróble chlebem, a dziatwę łakociami, na rynku z kumoszkami, na linii A - B z grubemi rybami i drobnym narybkiem, z tuzami politycznymi, finansowymi, miejskimi, z różnymi letkiewiczami, karyerowiczami, nicponiami, z parentelą ich męską i żeńską, protektorami i protektorkami.

Pierwsze jego występy nowelistyczne budziły większe zajęcie: „Młodzi i Starzy“ było studyum obyczajowem, z podkładem romantyczno - idealistycznym, z powodu świeżych starć wywołanem, lecz już pierwsza komedya („Radcy pana Radcy“ z r. 1867) zapowiadała przyszłego farsistę, któremu ani o prawdopodobieństwo akcyi, ani o subtelniejsze cieniowanie charakterów, ani o język literacki nie chodzi, który ma jeden cel, karykaturą charakterów, dosadnością języka, graniczącą z trywialnością zabawiać salę, komicznemi sytuacyami, epizodycznemi figurami, że się od śmiechu trzęsiemy. Sypałyż się z rogu tej naszej Amaltei dramatycznej krotochwile i farsy i bawiły chwilowo niewybrednych, tylko z efektami melodramatycznymi, z rewolwerem i trucizną (np. „Flirt“), z czego się chyba uśmiano, a on na seryo bombę puszczał, z tendencyami nowemi nie umiał się sprawiać; powoli szczuplało koło jego wielbicieli, i coraz obojętniej przyjmowano jego obrazki sceniczne i coraz daremniej walczył on przeciw tej fali zapomnienia, grożącej mu pochłonięciem jeszcze za życia. Wszystko to rzeczy lekkie, rzucone tylko z gruba, niewykończone, element ich satyryczny, niby

narzucony, w uwagach i szczegółach, nie w całości się ujawnia; szare postaci, szara akcya — nic nie wzruszy, nie wstrząśnie, a coraz bardziej wszystko się powtarza, szarzeje. Wyżej stawały utwory powieściowe, liczące się ostrzej, z nędzą i blichtrem galicyjskim, przeciw klerykalizmowi walczące, sobkostwo i niezaradność mieszczan Pipidowskich dotkliwie chłoszczące; lecz i tu szwankowała nieraz akcya, a charakterów się nie pogłębiało.

Z farsami Bałuckiego, grubemi i płaskiemi nieraz, konkurowali nie tylko Przybylski i Zalewski; talent dramatyczny dziedziczył w rodzinie Fredrów i po ojcu hr. Jan Aleksander o wawrzyny sceniczne się kusił—lecz ani w życiu, ani w sztuce, chociaż warunki, zdawało się, były wszystkie po temu, nic większego, całego, nie zdziałał i o tej niemocy sam aż nadto był przeświadczony, więc nie wysilał się na nic innego, prócz jednoaktówek, bluetek, żartów scenicznych, które i na obce sceny drogę znachodziły. A kolegów miał licznych, hrabiów (np. Koziebrodzkiego), nawet i aktorów (Stanisława Dobrzańskiego), lecz cały ten dział traktujemy umyślnie jak najkrócej.

Dramat ludowy pozbywał się powoli szablonu konwencyonalnego, chłopków rozśpiewanych i roztańczonych, przytupujących dziarsko, z szopek chyba, nie z życia wziętych. Najlepsze rzeczy dawał Galasiewicz, krocząc w ślady „Emigracyi Chłopskiej“ Anczyca, w „Ciarachach“, „Ławie Czartowskiej“, „Wspólnych winach“, gdzie i język chłopski wierniej oddawał i, bynajmniej nie zaślepiony w ludzie, wad jego nie ukrywał, a mimo to przymioty głębokie i cechy trwałe wykazywał: przeważał jednak u niego element komiczny, tragicznych nie wyławiał i sentymentalnymi, melodramatycznymi wcale nie gardził, np. we „Wspólnych winach“, pan wydziedziczony i chłop - dziedzic rozrzewnieni sobie w ramiona padają.

Obok niego Staszczyk, Świderski i inni sił próbowali; tylko dramat miejski, przedmieszczański, najmniej znachodził miejsca; farsa lokalna, z takiem powodzeniem po wielkich miastach zagranicznych uprawiana, u nas, na warszawskim czy lwowskim bruku, kwitnęła i kwitnie słabo. Sztuki ludowe za to, widowiska niedzielne, cieszą się wielkiem powodzeniem, szczególniej osnute na podkładzie historycznym, czy o Sobieskim pod Wiedniem, czy o Kościuszce — wielkiego jednak wyboru niema.

Jak powieść, tak i dramat się specyalizuje, rozgląda po świecie, bada różne warstwy — specyalność taką uprawiał, złamany wcześnie życiem i nędzą, sam aktor wędrowny, Szutkiewicz, autor „Popychadła“ i innych, słabszych rzeczy scenicznych, autor powieściowy zarazem, w „Jednym z wielu“ i innych te same postaci z życia naszych paryasów sztuki dramatycznej wystawiając; skoro się za to pole najbliższej obserwacyi wychylał, nie dopisywały mu siły.

Gorliwych naśladowców znajdują obcy, Ibsen, Praga, Sudermann, Hauptman, Bècque i inni, górujący w przekładach nad naszym repertuarem własnym, zdobywającym się raczej na przedrzeźnianie ich tematów i sztuki. Brak u nas ciągłości, wysiłków stałych; jak często pojawia się sztuka, zapowiadająca nową siłę, cóż kiedy ta zapowiedź nigdy się nie sprawdza; tak było z „Leną“ Jasieńczyka (Karczewskiego), co się potem na powieść ludową i krytykę przerzucił; z „Minowskim“ Mańkowskiego; z „Jakubem Warką“ Zglińskiego, chociaż nadto melodramatycznym.

Oprócz tego pojawiały się w naszym repertuarze liczne komedye Stanisława Graybnera (najlepsza może „Maruder“, człowiek innych zapatrywań i czasów) i pani Mellerowej („Fałszywe blaski“ i inne), nie przechodziły one jednak z repertuaru do literatury, zdjęte raz z afisza nie wracały na scenę. Wszystko to pomijamy.

Zupełnie odosobnioną jest twórczość **Aleksandra Świętochowskiego** (Okońskiego). Pierwszym dramatem, „Niewinnymi“, zdawało się, wkraczał i on na tory dramatu czy komedyi *à thèse,* lecz z każdym następnym wycofywał się coraz bardziej od ubiegania się o sceniczność, i z licznych jego rzeczy późniejszych tylko niektóre jeszcze wystawiano, żadna do stałego repertuaru nie weszła — z wielką stratą dla sceny i publiczności, opędzających swe potrzeby produkcyą obcą i tandetą domową; publiczność, rozbawiona farsami marki paryskiej, choćby firmy Sardou lub Rostanda, nie ocenia piękności i zalet dramatów Świętochowskiego; tylko czytelnik do nich zawsze wraca — pomimo wszelkich braków tak zwanej sceniczności i innych, jakie im wyrzucano. Niepospolite to utwory i zostaną na zawsze w literaturze, kiedy o innych, bardzo scenicznych i bardzo mile witanych, ani bibliograf nawet nie wspomni. Z Asnykiem wysuwa się Świętochowski na samo czoło literatury polskiej w okresie jej pozytywistycznym.

Talent Świętochowskiego jest wybitnie publicystyczny, stylowy; w dziełach jego, jak u Krasińskiego, poruszają się idee, nie ludzie i czasy. Wcześnie zasłynął pozytywista warszawski, w gorących walkach między starymi a młodymi niosąc sztandar; z pod jego świetnego pióra wychodziły owe artykuły programowe, „My i Wy“ i inne, którymi się upajała młodzież postępowa, które jątrzyły do krwi naszych zachowawców. Chociaż pierwszy ferwor minął, stawał Świętochowski zawsze na strażnicy społecznej i Poseł Prawdy (tygodnika, który do niedawna wydawał) w *Liberum Veto* zwalczał nielitościwie wszelkie safandulstwo i sobkostwo, szowinizm i kastowość, uprzedzenia wyznaniowe i stanowe, przesądy i atawizmy, a zwalczał je owym stylem brylantowym, ciętym, pełnym świetnych antytez, dowcipu, jakiemu polszczyzna naszych najwytworniejszych stylistów rzadko dorównywa, nigdy go nie przewyższa. Zalety stylu i myśli przeniósł Świętochowski i do swoich dramatów i (mniej licznych) nowel.

Styl ten, błyszczący dowcipem a raczej ironią i finezyą nadzwyczajną, święci prawdziwe tryumfy w dyalogach, gdzie przeciwnicy, gracze o równej sile, odrzucają sobie na przemiany argumenty, lekkie docinki, uszczypliwości dotkliwe. Niesposób zapomnieć takiej szermierki na słowa, np. ekskochanki i jej eksuwodziciela w „Ojcu Makarym“, albo odbijania, jak w palancie czy lawn - tennisie, owych rzutów zręczności i dowcipu w „Pięknej“ lub w „Aspazyi“ lub w dyalogu - noweli „On i Ona“. Za prostotą, niewymuszonością, nie ubiega się nigdy ten dyalog, i można go słusznie o przerafinowanie oskarżać, lecz przypomina on pierwszorzędnych stylistów świata, francuskiego Woltera i rosyjskiego (Hercena) albo Courriera, pamflecistę, podkopującego monarchię burbońską i orleańską skuteczniej, niż wszelka opozycya.

Myśl Świętochowskiego, to myśl spółczesna tych filozofów i przyrodników, na których dziełach wzrósł. Determinista, zaprzeczy wolnej woli człowieka, pokaże, jak on bez świadomości winnym się staje, bo winnym stać się musi; darwinista, w świecie ludzkim te same żądze i namiętności uznaje, co i w zwierzęcym, więc jego samicę - Piękną oblegają samce, chciwi połowu, i jeśli go nie odnoszą, nie zasługa to jej zasad ani stałości, ani wierności, ślubowanej mężowi: to tylko na ten raz rzecz się nie udała; wobec „pięknej“ brzydka kobieta nawet racyi bytu nie posiada — walczyć na talenty, umysł, serce to próżna rachuba; lepiej odrazu samobójstwem

przed upokorzeniem strasznem się cofnąć. Nie inne są i jego idee społeczne: jako gorący ich rzecznik występuje autor i w obrazach ze świata starożytnego, staje się wyznawcą uczłowieczenia kobiety, uznania praw jej myśli, skruszenia więzów wszelkiej niewoli. W takiej „Aspazyi“ rażą jej hasła nowoczesne; już ona marzy o zabezpieczeniu renty na starość, na razie tylko dla obywateli ateńskich, a Eurypides jego to nie tylko nowoczesny pesymista, ale dźwięczy w słowach jego już ta nuta, na której niebawem Strindberg - Przybyszewski waryacye wygrywać będą; przecież już jego Eurypides twierdzi, że świata naprawić nie podobna, bo ta maszyna odrazu źle zbudowana, najwadliwszą zaś jej sprężyną jest kobieta, co swą przewrotną miłością, jak rdzą, przeżera najtwardsze serca męskie — ale Aspazya zbija go słusznie: rzuć klątwę, Eurypidesie, na arystokratyczną rozpustę, z której zepsutych piersi wyssałeś tę niezdrową gorycz... wierzę tobie, że znasz tylko przebiegłe żmije, boś innych w gnijącym zbytku nie widział. Są to anachronizmy umyślne, chociaż i przypadkowych (np. o amerykańskich ananasach— w starożytności!) nie brak; nie Świętochowskiemu po utartych drogach chodzić, a chociaż on w szczegółach historyę depce, trudno o piękniejszą wizyę wyrafinowanej kultury ateńskiej, niż sceny w domu Aspazyi, z Sokratesem, olśnionym jej wdziękami, z kobietami - ptakami burzy, z sofistami, podtaczającymi świat starogrecki, ze świetną nad wszelki wyraz obroną Peryklesa, gdy zbija zarzuty o bezbożność kochanki: brylant czystej wody, oprawa jego godna Platonowego Krytona. Czytając te rzeczy, a znając opinię o nich naszego ogółu, wspomnisz mimowoli a smętnie o paraboli ewangelicznej, o rzucaniu pereł!

Świętochowski występuje w obronie praw indywidualnych albo w walce z hipokryzyą wszędzie, np. w trylogii „Ojca Makarego“ celibat gromi z piorunującą wymową, a politykę kolonizacyjną państw europejskich na wybrzeżach Afryki piętnuje z przerażającą dosadnością. Najciekawszem dla niego zagadnieniem pozostają walki duchowe i w całym szeregu obrazów epiczno - dramatycznych kreśli on pochód „Duchów“ przez dzieje ludzkości, od jej pierwotnej dzikości, gdy się nieprzyjaciół pożera, a kobietą wspólnie włada, poprzez barbarzyństwo i rozwydrzoną kulturę starożytnego świata aż do nowych czasów. Wykończone dotąd z tego pochodu myśli, postępu, miłości trzy obrazy: we wstępie retorycznym uosobiono potęgi kosmiczne, rzucające hasła przyszłego rozwoju;

w następnych obrazach znachodzimy parę ludzi o jednem nazwisku, w owych trzech stadyach, walczącą i ginącą stale w imię nowych haseł, jakie się dla miłości indywidualnej, międzyplemiennej i ogólnoludzkiej z biegiem czasu z powszechnej dzikości wyłaniają. Wysmagana przytem, w dwu pierwszych obrazach, z zaciętością iście wolterowskiego *Ecrasez l'infâme,* teokracya, w zaczątku swym i progresie; w trzeciej wystawiono, z jaką pogardą, a raczej obojętnością sfery rządzące przyjmują nowe hasła (chrześcijaństwa), jak tylko niewolnicy i kobiety do nich się garną. W dramacie o „Aurelim Wiszarze" napiętnował Świętochowski „godziwość" środków, jakich się konkurencya dla uduszenia niebezpiecznego człowieka chwyta i niewytrawność robotnika, dającego się od byle szui podbechtać: socyalistą nie jest Świętochowski!

Zdawałoby się, że wobec takich idei niema wcale miejsca w tych dramatach dla par gruchających. Jest tymczasem gorzej. Erotyzm jest niemal dominującą nutą w Świętochowskiego dramatach, a niebrak go i w nowelach jego („On i Ona" i in.). Nie myślimy się spierać o zasadę Duchów, skoro przynajmniej w ostatnim obrazie powstrzymał się autor od romansu między bohaterami, chociaż przypuszczamy, że w rozwoju ludzkości głód może więcej, niż miłość, zaważył; razi jednak to ciągłe wplatanie w porę i nie w porę, to lubowanie się w obrazach erotycznych. Jak „Piękną", tak i „Reginę" oblegają samce; i Wiszar żyje tylko dla niej, chucią bestyalską, lecz on przynajmniej z Afryki przybywa. W „Aspazyi" jeszcze najmniej erotyzmu, ale rozwiozłość starożytna w trzecim obrazie „Duchów" aż nadto szeroko traktowana. Nadmiar ten erotyzmu nie zastąpił jednak braku prawdziwego, lirycznego, sercowego uczucia.

Jak encyklopedysta francuski, nie grzeszy niem i pozytywista warszawski; wyrozumował on swoje idee i postaci; serca w nie nie wlał; one żyją tylko z łaski jego *esprit'*u, okazy ciekawe, warte poznania, stworzone na chłodno i chłodem nas przejmujące. Czcimy i cenimy mistrza słowa i stylu — a zasługa to wobec naszej domorosłej bezstylowości i lekkomyślności, potęgującej się w używaniu słowa do błędów i grzechów przeciw językowi, nadzwyczajna; imponuje nam myśliciel jasnością, konsekwencyą swoich poglądów, nie wzrusza nas poeta: abstrakcyom jego brak krwi. Od jego kreacyi dramatycznych odbijają dziwnie niektóre nowelistyczne, gdzie właśnie głęboką sympatyę ku rozmaitym upośledzonym, których

my sami krzywdzimy, wyrażał: nowele o Capeńku i t. d., które autor niepotrzebnie epigrafem tendencyjnym zaopatrzał. O jego filozoficznych i estetycznych pracach nie wspominamy, jak i roli publicystycznej nie tykamy.

Na dziele Świętochowskiego leżą więc i głębokie cienie — popularnem ono nie będzie nigdy; dla tłumów niczego tam niema; ale myślący, wykształcony czytelnik zawsze do nich wracać będzie. Nęci go szeroki widokrąg, tak rzadki u nas, zapatrzonych w swoje cztery ściany, jakby poza niemi świata bożego nie było — Świętochowski to kosmopolita duchem i treścią swych dzieł, jak np. Goethe; wabi go świat klasyczny, jak Goethego, chociaż ani Achileidy, ani Ifigenii, człowiek zbyt spółczesny, nie wykuwał — wizyę tego świata ma nie mniej jasną; nic doskonalszego nad jego krótkie rzeczy antyczne, sceny i bajki. I „Aspazya" jego, mimo wprowadzenia haseł „organiczników", tchnie pogodą i spokojem antyku, pięknością jego linii, słonecznością jońskich wybrzeży, a dykcya jej prawdziwie klasyczna, jakbyś ustęp z Symposyonu odczytywał — „kawior dla pospólstwa", szczególniej dla naszego.

Jak nad komedyą Narzymskiego, Lubowskiego, Zalewskiego panowały wpływy francuskie, później ibsenowskie, tak odezwały się, w osłabiałem echu, hasła dramatu modernistycznego, jeżeli jednym mianem kierunki najróżnorodniejsze ogarniać wolno. Maeterlincka, Schnitzlera i Wolzogena publiczność nasza nie tylko w tłumaczeniach, ale i w naśladowaniach ze sceny, witać mogła. Jak dawniejsi, Lubowski i Zalewski, płaszczyki Ibsenowskie swoim figurom narzucali, zapowiadał się podobnie na jego drogach nowy talent, Bog. Jaksa Ronikier, i naturalizmowi i pesymizmowi i innym izmom hołdujący, lecz sukcesy „Nieszczęśliwych", „Czy warto" i innych dramatów obniżały się z każdym nowym, aż opadł autor na poziom melodramatyczno - kryminalistyczno - naiwny, na sensacyjność najpośledniejszego gatunku; z niej, zdaje się, on się nie podniesie; przerzucił się świeżo na inne pole, noweli *à la Maupassant,* podkasałej, i wziął się do redagowania niegdyś tylko humorystycznego a teraz i „towarzyskiego...." „Kuryera Świątecznego..."

Silny talent dramatyczny objawila pani (Śnieżko) **Zapolska,** chociaż to talent może więcej reżyserski, niż poetycki; ma ona zmysł budowy sztuki — co u naszych największych nawet bardzo chroma — zna i oblicza efekty sceniczne. Zaczęła od powieści i nowel naturalistycznych, obniżając wielkie koncepcye i metodę

Zoli do koncepcyi „Kaśki Karyatydy“, służącej ze wsi, zdrowej i młodej, z krwią burzliwą, którą temperament i lowelasy lwowscy najpodrzędniejszej marki, traktujący wybraną sińcami, w błoto wdeptali.

Pociąg do teatru i szkoła paryska odwabiły ją od romansu i noweli, chociaż ich całkiem nie zarzuciła, do dramatu i wystawiła ona szereg ciekawych sztuk; taka jej „Małka Szwarcenkopf“ zaimponowała zewnętrzną znajomością świata żydowskiego, chociaż od „Lejby i Siory“ u nas nie nowy temat wykształconej, a rzuconej w świat najgrubszych przesądów i uprzedzeń dziewczyny. Melodramatyczności, na którą „Małka“ choruje, nie było w „Żabusi“, którą już tak stworzono, tak jej w główeczce i serduszku (Warszawka bez słówek zdrobniałych się nie obejdzie) ułożono, że i męża i przyjaciela zdradzać musi: kreacya znakomita, pełna życia i prawdy, podczas gdy świeże pendant do niej, „Mężczyzna“, zbyt typ jeden, kobieciarza czy babiarza, nie mężczyzny uogólnia; inne rzeczy, np. „Życie na żart“, w szczegółach bardzo trafne, w fabule bardzo zajmujące, w części satyrycznej (o młodzieży złotej, o życiu lwowskiem) znakomicie oddane; obserwacya jej gubi się jednak nieraz w zbyt drobnych szczegółach, tak było i w powieściach, które z osobnej sfery wzięte pod innym nazwiskiem ogłosiła.

Talentów dramatycznych a raczej występów obiecujących, nieco przybyło. Daniel Zgliński po „Jakubie Warce“, zbyt bogatym w melodramatyczne efekty, niejasnym nieco, Ibsenowskim, zamilkł rychło; Tadeusz Konczyński zainteresował „Otchłanią“, chociaż całkiem niesłusznie posądzano go o zużytkowanie świeżej wtedy katastrofy finansowej lwowskiej; była to rzecz przypadku, nie umysłu. „Otchłań“ pochłania Podosockiego cynika, polującego na bank, na zagarnięcie wszelkich wpływów, ujęcie w swoich rękach steru spraw, finansów, polityki może i dyskredytującego wielkie dążenia niecnymi, podłymi środeczkami, oddającego się przytem rozpuście cynicznej, zdemaskowanego przez Katona - Hanusza, własnego teścia. Epizody doskonałe, dyalogi krótkie, charakterystyczne; całości szkodzą jednak nierówności w głównym charakterze, melodramatyczność wielu scen, teatralne nadto „czarne“ osoby i ich pognębienie.

Następny dramat, „Kajetan Orug“, wcale nie był postępem; Orug to niby Wokulski, jest i Lalka, chociaż rzecz kończy się inaczej, wcale nie lepiej — zdradzając miejscami naiwność nadmierną.

Ciekawszą jest powieść, „Śladem tęsknoty“, studyum natury artystycznej, zachowującej się niby Goethe w Sesenheim. Stefan Krzywoszewski po powodzeniu „Ogrodniczki“ o większe się rzeczy („Małe dusze“) kusi. Maciej Szukiewicz próbował tematów Sudermanowskich w „Ułudzie“, lecz zwrócił się, spaliwszy na ołtarzu Maeterlincka tajemniczo - nastrojowy „Kwiat pleśni“, jak Tetmajer „Sfinksa“ albo Rydel „Matkę“, ku dramatowi symboliczno - alegorycznemu, w „Arfie“. Arf wyraża pochód wybranych ku ideałom, przerwany — zawsze na chwilę, nigdy na zawsze — odstępstwem od drogi, zwabieniem się na szatańskie ułudy zmysłowe; myśl sama dosyć pospolita, od Fausta wszystkich trapiąca, w mniej pospolite, lecz nie bardzo wyraźne kształty odziana; zmysł dla motywów i scen ludowych wykazywał już fantastyczny „Śnieg“ z Mrozem i Zawieruchą, Szymonem i Magdą.

Powszechną zwrócił uwagę J. Kisielewski dwoma dramatami ze światka krakowskiego, artystycznego i studenckiego, w zetknięciu ich z filisteryą. „W Sieci“ wystawia Julkę, malarkę młodziutką, talent oryginalny, kompromitującą całą swą przyszłość wyjściem za mąż za kochającego ją wprawdzie, zresztą dla jej sztuki najobojętniejszego „mydlarza“: ona zrzeka się ideałów, nie będzie o głodzie i chłodzie marzyć i tworzyć obok ukochanego Jerzego, poety w duszy i życiu, ona nie wstanie, aby wydobyć się z sieci, którą w domu przezorna mamunia ją oplątała; spotyka się z Jerzym na maskaradzie, aby *es wär so schön gewesen, es hat nicht sollen sein* z nim przez czasy i liczby odmieniać; pyszne typy epizodyczne; energiczny protest młodości i sztuki przeciw banalnej prozie życiowej i starczej zgryźliwości.

Inną katastrofę w „Karykaturach“ wystawił: młody Relski zawiązał sobie nieopatrznie życie; jego ułuda trwa krócej jeszcze, niż u Szukiewiczowego Kiryłły (w „Ułudzie“), bo też kontrast tu jeszcze większy, między człowiekiem wykształconym, wyższych aspiracyi pełnym, a dziewczyną najprostszą — lecz pozostanie on, jak Kiryłło, sam na sam ze zwichniętym na zawsze losem; karykaturami są i koledzy jego i on sam, i tohu — wabohu schadzek studenckich, nadludzi, ludowców, artystów *in spe* i t. p. oddane przepysznie, jak i drugi okaz mieszczańskiej rodziny — mydlarzy. Lecz „Sonata Cierpienia“ nie powiodła się: taki tu stek okropności, coś niby z „Upiorów“ — córka śpiewaczka traci tu głos, jak tam syn rozum — zdublowanych zbrodniami z „Rosmersholmu“, nieszczęścia-

mi zewsząd, że widocznie przeibsenował autor, i sądu o jego uzdolnieniu — „W Sieci“ i „Karykatury“ wziął on z najbliższego otoczenia—wydawać nie można, mimo całego uznania dla plastyki jego figur i zręczności w prowadzeniu dyalogu.

Mniejszą jest sztuka Julii Wójcickiej, kroczącej w „Dyletantach“ i „Psysze“ torami Kisielewskiego, wzorującej ten sam światek pseudoartystyczny, w walce z otoczeniem i brakiem rzeczywistego talentu, ukrytego tam, gdzie go nikt nie dostrzegał, wydmuchiwanego na próżno u innych; światek początkujących nawet gimnazyalistów. Również dramat Kaweckiego, poczęty z najbliższej obserwacyi; dopiero przyszłość okaże, czy autora stać i na coś więcej, niż na brutalno - realistyczne, karykaturalne niemal udramatyzowanie anegdotki życiowej („Dramat Kaliny“): pomysł sam świetny (budowanie dramatu życiowego dla sztucznego), lecz miejscami nadto naiwnie przeprowadzony.

Jeżeli niektórzy porzucili dramat (np. Wł. Rabski i inni), zato przybywa mu sił coraz nowych; nie wymienialiśmy wszystkich, np. Rittnera i t. d., o innych niżej, przy powieści, wspomnimy, np. o Sewerze; wyżej mówiliśmy o próbach dramatycznych, historycznych i ludowych, Tetmajera i Kasprowicza, Niemojewskiego i Orkana, Rydla i Rossowskiego, W. Feldmana, którego najnowszy dramat, „Cień“, psychologiczny, z dyalektyką Biörnsona, powodzenia nie zdobył — a szereg ten wypadałoby przedłużyć Świeżawskiego dramatami ludowymi („Kusiciele ludu“), bardzo nie wybrednymi co do techniki, okupującymi ten brak tendencyami ludowca; baśniami dramatycznemi i patryotycznemi Friedberga i t. d. Wszystko to początkujący; między starszymi wypadałoby wymienić Alfreda Nossiga, nie dla libretta do „Manru“, lecz dla oryginalnej produkcyi dramatycznej i powieściowej, rozpoczętej dawno we Lwowie, witanej, póki autor z tendencyami syonistycznemi się nie zgłaszał, ignorowanej umyślnie i stale. Autor, pracujący i na niwie publicystycznej (artykułami i dziełem cenionem o socyalizmie, w języku niemieckiem, w którym teraz i na polu dramatycznem sił próbuje), nie zerwał mimo to stosunku z literaturą polską, do której alegorycznymi i społecznymi dramatami („Ludzie pracy“, satyryczne, o ludziach bez pracy, ze świata *où l'on s'ennuie)* i powieściami społecznemi („Jan Prorok“, ze stosunków galicyjskich, z r. 1881) należy. Odznacza się on nadzwyczajną wielostronnością, ceniony może więcej, przynajmniej ogólniej, jako rzeźbiarz.

Najznakomitszym z całej „Młodej Polski“ jest malarz i poeta, **Stanisław Wyspiański,** wyrosły w tradycyach Krakowa, na gruncie jego sztuki (pod okiem Matejki) i jego wspomnień. O malarstwie jego, oryginalnem, nie przymilającem się pobieżnemu wzrokowi filistra, odstraszającem go raczej, nęcącem głębią i samoistnością pomysłu i stylu, może dałoby się niejedno powtórzyć, co i dla poezyi jego charakterystyczne. Jest to epik i dramatyk; jako epik, przynajmniej w rapsodach o Bolesławie Śmiałym, całkiem podążył za „Królem Duchem“, z którego oktawami, z jego kolorytem bajecznym (części niewydanych przez poetę za życia), z jego wizyami świata słowiańskopolskiego, narzucającemi się naszej wyobraźni, jako realne, i z rozwiewnemi marami jego wyobraźni współzawodniczyć może, ale o wiele oryginalniejszym jest jego „Kazimierz Wielki“, jedyny w swoim rodzaju, odgrywający się w r. 1869, gdy zwłoki królewskie odkopywano na Wawelu. W początku poematu towarzyszy nam znowu Słowacki; jak jego Her, Armeńczyk, ścigający widmo Sławy - Polski, nie zaczerpnie wody letejskiej, podobnie i Kazimierza od źródlisk rzeki niepamięci odwodzi jakiś głuchy jęk i szmer; zapomnieć — byłoby zawinić, więc choć palony strasznem pragnieniem, choć dusza łaknęła „być jako dziecko czystą i niewinną, nie znać, co będzie, i nie znać, co było“, wraca do trumny wawelskiej i widzi wdzierającą się doń zbłąkaną, bezpańską czeladkę, z Matejką i Szujskim na czele; nie rozumie na razie ich skarg i smętków, pyta się zdziwiony, jakąż to chwałę wskrzeszać, gdzie zapadła, któż sławę ich pohańbił i podeptał, gdzie króle nasi, następcy dziedziczni, jakie ofiary miłości przepadłe; lecz przemawia do niego jęk: bądź wskrzeszon, stań się, duchu; więc woła on naród na wiekowe wiece i przypatruje się mu. Smutny ogarnia go widok; naród ten tak się w swą przeszłość weśnił, schodził we wszystkie grobowe piwnice, tak ich ten grób, te trumny weselą, że jakby innych radości nie znali, tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą, w najświetniejsze się szaty przybierali— co gorsza, tylko wtedy oni i zgodni i ofiarni. Zresztą rozrywają ich kłótnie, nawet wodze narodu, a raczej samozwańczy jego prorocy rozstajne wskazując mu drogi, wzajem się w słowie jęli lżyć i winić, aż wyrośli na olbrzymie duchy trwogi — wtedy zerwało się widmo królewskie do czynu, ugodziło młotem w mówcę, a naród obaczył się wolny od szarpania się swoich bogów.

Pełniej wyraził się poeta w dramatach. I tu nie schodził on między ludzi wyfraczonych i wyróżowanych, nęcili go pierwotni, bajeczni, jak mistrza jego, Słowackiego, a że z polskich niw mitycznych wiele wycisnąć się nie da, sięgnął do świata greckiego, naturalnie nie do „Aten“ Świętochowskiego, lecz do „Iliady“, którą rysunkami (do tłumaczeń Rydla) opatrywał, do mitów heroicznych, o Meleagrze, o Laodamii: mity, które spółczesnego romantyka najrychlej zwabią: przecież Laodamia i Protezylas to pierwowzór ultraromantycznej „Lenory“! Lecz pogodę i słoneczność grecką zamącił on tęsknotą, przeczuciami, nastrojami modernizmu, i łamią się proste linie klasyczne w mrocznej i namiętnej, w sennej i tęsknej, księżycowej nocy, i uczucia ludzi przeczulonych, pozbawionych wszelkiej równowagi dla nadmiaru boleści czy szału, walczą z posągowymi kształtami, z formą im właściwą. Na kontraście tym zyskują postaci mitów prastarych, nowem życiem duchowem natchnione; jak „Aspazya“ Świętochowskiego, tak i „Laodamia“ Wyspiańskiego dają łudzącą, idealną wizyę świata starogreckiego.

Polskiego artystę ciągnie jednak wszystko ku swoim. Jeszcze przed „Meleagrem“ próbował autor sił w „Legendzie“, nowem obrobieniu w szeregu długim wszelakich Wand. I tu wniósł on powiew modernizmu, i starego Kraka i córkę dziewicę naszymi nerwami obdarzył, trwogami i przeczuciami, niespodzianemi u samej kolebki narodu — lecz może bardziej nęciło go malowanie owych czarów podwodnych, świata rusałek i topielic, potęg żywiołowych, tajemniczych, uroczych, jak niksy Boecklina. Rosły mu coraz bardziej skrzydła i z coraz potężniejszym wzlotem unosił się on nad rzeczywistością, nad światem naszym lub nam blizkim.

W „Klątwie“ posągowe niemal formy tragedyi klasycznej wypełnił ludem z Bronowic; winnych ściga fatum gniewne, i trwoga klątwy i jej skutków matkę występną wraz z dziećmi, bo zgrzeszyła z księdzem, płomieniom wydaje.

Ze wsi przerzucił się nagle do obozów i rozstrząsał wewnętrzne sprawy naszego 1831 r., w „Lelewelu“ przeciwstawiając dwie siły, fanatyka - idealistę, demagoga, z frygijską czapką, i arystokratę - dyplomatę, marzącego o tronie: lecz wobec tych dwu osób wszystkie inne całkiem ustępują, i nuży rozwlekłość dramatu. Zato skupił się w świetnej jednoaktówce, w „Warszawiance“, przeraźliwie smutnej, nie dlatego, że narzeczony Maryi ginie, że ona przeczuwa i odczuwa wieść o zgonie jego i sprawdzi ją, choć nikt jej słowami tego nie wyzna—ale smutna tem, że ci wodzowie, i dzielni i do poświęceń się rwący, we własną sprawę nie wierzą, i niema serca w ich piersi lub zbladło ono i tak się trzęsło, jak liść olchowy — jak u Wenedów niegdyś; i więcej tu tragiczności w tych szczupłych ramach i głębsze oświetlenie wypadków, z samego wnętrza ludzi, niż w tyradach „Lelewela“.

„Legion“ to dramat najfantastyczniejszy, i pomysłem i wykonaniem; wizye to apokaliptyczne o znaczeniu wieszcza-ducha, wyolbrzymiałem nadmiernie, jakby poeta tą siłą niezłomną, której w Chłopickim nie odnalazł, stokrotnie obdzielił nie piewcę „Pana Tadeusza“, lecz Konrada-mesyanistę, Konrada-Towiańczyka, kierującego nawą ducha polskiego, ku odrodzeniu.

A jeżeli i ta łódź, wiedziona przez fale straszne, nie dotrze do brzegu? gdzież szukać siły? w ludzie, z nim się zlewać—to nadzieja ostatnia. Rzeczywiście zaczynamy się z ludem bratać, nawet na tej ziemi, gdzie widmo Szeli i „rabacyi“ jeszcze nie zaklęte na zawsze. Jakżeż wygląda to bratanie? Odpowiedź daje „Wesele“, które poetę, znanego dotąd głównie w kółkach artystów krakowskich, szarpanego przez krytykę malarza, poetę, co na scenie nawet „Warszawianką“ silniej stanąć nie zdołał, odrazu sławnym i popularnym zrobiło. Dobry to znak, że nam, pieszczonym zwykle przez własnych poetów, dzieciom zepsutym, nielitościwa ta satyra strawić się dała.

Słowacki, co naród swój po swojemu, ale namiętnie kochał, chłostał strasznymi cięgami i kadłub szlachecki i pawia narodów — nie inaczej Wyspiański. Już w „Kazimierzu Wielkim“ i zapatrzenie w trumny i przechwałki próżne i niesforne rady wprost wyrzucał; teraz użył broni zjadliwej, ironii gorzkiej i nikogo nie oszczędził. Z niesłychaną niedyskrecyą obrał świeży fakt, ślub druha-poety z dziewczyną wiejską, fakt nie pierwszy w Krakowie zresztą, i z tego faktu wysnuł fantastyczne obrazy, przybierające coraz większe rozmiary, jakich może autor sam w początku nie przypuszczał. Prawdę mówią sobie z otwartością rubaszną i osoby same i jeszcze ostrzejsze wypowiada autor samem przeprowadzeniem tematu. Długi czas nie zawiązuje się żadna akcya, choć ruch szalony: w izbę na scenie wpadają z przyległej pary tańczące i nietańczące, by na chwilkę wytchnąć, wrażeniami się podzielić, poflirtować; przesuwają się w ciągłej zmianie ludzie z miasta, poeta, dziennikarz, pani

radczyni z córeczkami, i ludzie ze wsi, z księdzem, Żydem i dziadem, i tu już sypią się owe ostre przycinki i o panach, co nie chcą chcieć, i o tej komedyi bratania, pociągającej na razie, bo nowej i barwnej — no, pan się narodowo bałamuci, panu wolno, pan to przecie jutro zrzuci. Czy nie kończył się na tem pierwotny pomysł? lecz dał się autor unieść zapalnej swej a lotnej wyobraźni. Nie pora to wprawdzie Dziadów, jesienna, ależ i w zapusty możnaby sprosić gości zaświatowych, których bieda, piekło dręczy, których duch się strachem męczy i do wyzwoleństwa się rwie; prozaiczne weselisko nie starczy autorowi, chce on poetyczności dla was i chce ją rozdmuchać (prawi jego Żydóweczka - modern), poeta jego w lot to podchwytuje, zgadzają się państwo młodzi i nawet chochoła — słomianego z sadu zapraszają; skoro północ zacznie bić, do nas tu na izbę przyjdź, sprowadź jeszcze, kogo chcesz.

Duchy, które teraz przychodzą (akt drugi), wychodzą niby ze wnętrza tych osób, którym się zjawiają, ucieleśniają na chwilę najtajniejsze ich strachy, pożądania, myśli. Poecie zjawi się bohater jego myśli, niby Zawisza Czarny; dziennikarzowi Stańczyk — rozmowa obu najznamienniejsza, najbardziej gryzącą ironią zaprawna; gospodarzowi—sam Wernyhora, z obrazu Matejki i z tragedyi Słowackiego zstępujący na jaw, bo przybliżył się czas. Ale gdy Stańczyk, Szela i inni nikną bez śladu, zostawił Wernyhora ważne rozkazy gospodarzowi: rozesłanie wici, zgromadzenie ludu przed kościołem, nadsłuchiwanie tententu i wręczył mu złoty róg; gospodarz, po narodowemu, zasnął, kiedyby właśnie najpilniej czuwać i krzątać się należało; wygodny, z siebie na Jaśka ciężar rozkazów zrzucił i nastąpiło, co u nas niezawodne — w ostatniej chwili zabrakło tego, co najważniejsze. Wrócił Jasiek, naród w gorączkowem, osłupiającem oczekiwaniu, z zapartym oddechem, każdy szmer uchem łowi — lecz nie ozwie się róg, od którego miał się wzmódz taki duch, jaki nie był od lat stu, bo Jasiek go zgubił, gdy za czapką z pawiem piórem, co ją wicher unosił, w lesie się chylał. I skamienieli wszyscy wsłuchani w ton, który już nie nadejdzie i z letargu wyrywają ich powoli nuty ciche, spokojne, wsi wesołej, wsi szczęśliwej — nic nie słysom, nic nie słysom, ino granie, ino granie, i zwiędły chochoł przygrywa im i szydzi: miałeś, chamie, złoty róg, miałeś chamie, czapkę z piór — ostał ci się ino sznur. „To tak w każdym z nas coś woła—jakaś historya wesoła, a ogromnie przez to smutna".

Alegorya poetycka to nie program polityczny; od męża stanu, nie od poety, wymagamy wskazania dróg i celów; poeta wypełnił zadanie, jeśli wzruszył słuchacza, zatrząsnął łańcuchem długich rozmyślań, jeśli porwał nas w górę, skąd komedyę - maskaradę u dołu, tłum rozbawiony, bezmyślny, wielkich dzieci rozglądamy: tego zadania dopełnia „Wesele". Owszem, moglibyśmy spytać, czy i ono jeszcze nie łudzi, czy nie realniejsza jego parodya ów „Pogrzeb" (Laskowskiego), gdzie artysta Stanisław, chłop od głowy, od nóg szlachcic, rozczarowany pyta: czy ten lud już nic nie kocha, czyż w tej chacie nic nie bije, czyż pierś chłopska—pustka, step?— gront przed wszyćkiem, woła tu Kacper przez sen — ziemię kocha, co mu rodzi chleb, krzyż przy drodze, w polu pług, co mu dano to i ma — ale to nie złoty róg!

Mimo tych zastrzeżeń krytycznych, nie sposób nie podziwiać oryginalności i śmiałości pomysłu i wykonania. Scenki, mimo swej lapidarnej stylizacyi, wrażają się w wyobraźnię; widzimy te fizyonomie i te stany psychiczne, mimo wszelkiej oszczędności rysów i szczegółów; kontury są ostre, wyraziste, nieraz aż na karykaturę zakrawają (postać „Nosa"); myśl głęboka, patryotyczna, boleje nad tem, że nas bawią malowanki, zapóźne żale i swary, biadania nad winami niepopełnionemi, nawołuje do czynu, abyśmy się nie dali znowu uśpić graniem Chochoła, a nadewszystko wznosi się ten język, z chłopska rubaszny, silny, zdrowy, rodzimy. Ale poeta trafia na „śpiących rycerzów" i nie zbudzi ich do czynu cud — złoty róg, ale powiodą ich tony najmarniejsze, najcodzienniejszego, trywialnego tańca Miłości i Śmierci, rzępolonego przez Chochoła.

Zasadnicze rysy „Wesela" (i „Kazimierza Wielkiego") powtarzają się i w „Wyzwoleniu" (1903 r.); ta sama faktura, przesuwanie się cieni czy figur z jasełek czy komedya *del'arte,* brak akcyi, nadmiar symbolów; ten sam pesymizm, jeszcze bardziej zgorzkniały; protest wymowny przeciw poezyi i poetyzowaniu doli i roli narodowej, przeciw wszelkim zakusom samobójczym, przeciw apoteozie śmierci i przeszłości. Jak Kazimierz między politykami wiecowymi, występuje „Konrad" między aktorami na scenie narodowej; tłoczą się około niego statyści i protagoniści, przedstawiciele stanów, warstw i haseł najrozmaitszych, aż do poezyi modernizmu, kryjącej straszne nic pod najzdobniejszym szychem — niby maski, niby upiory z „Dziadów"; rej wodzi między nimi Geniusz roman-

tyzmu polskiego, zapatrzony w przeszłość, w Wawel i groby jego, wiodący do niego, „byście, nikczemność widząc ciała, ujrzeli okiem żywem kres, śmierć, która cudu działa“; czar jego słów pryska pod nawoływaniem Konrada, bijącego w głowę jego słowami, niby młotem: „złudo wielkości, oto chcesz ująć nas sidłem piękna, co zamarło i zgasło, i jęk chcesz obudzić w piersi naszej, a nie wołanie radości; kochanku ruin i zapadłych uroczysk chwalco... piewco dróg błędnych i stróżu labiryntów wodzisz... w sklepiska, skąd wyjścia niemasz, jeno ogniki świecące próchnem (autor używa prozy w przemowach, a wierszów w „dydaskaliach“) — poezyo precz, jesteś tyranem!“ I wyzwala się Konrad z jej pętów w imię czynu — chcę ludzi, ludzi, woła, lecz znajduje tylko aktorów i wszystko udane i miota się bezsilny, opuszczony, na scenie, z której wydobyć się nie może; Hestia, co mu od ogniska rodzinnego płonącą podała pochodnię i płonącym uczyniła go aniołem, czynów i dzieł jego nie określa, chybaż więc one takie, jak wszędzie indziej, jak u innych, rzeczywiste, nie wymarzone. „Tu dramatowi temu koniec, lecz myśl, ten chybki, lotny goniec, po za ten dramat polatuje“. Nie poezya to, a raczej sugestya; dośpiewaj sobie czytelniku czy widzu, coby autor miał czy chciał powiedzieć.

Obok tej poezyi modernizmu i neoromantyzmu, niepokojącej a trudzącej, bo się z nią czytelnik za bary brać musi, błyskotliwej a rozwiewnej, nerwowej a pełnej dysonansów zgrzytliwych, nie zaniemiała jednak dawniejsza, pogodniejsza, mimo swych łez i tęsknoty, prostsza, rzewniejsza. Szata jej nie mieni się przepychem i nieraz wcale nawet niepokaźna, ale przemawia w niej poezya łagodna, kojąca, nie trwożąca i wzburzająca.

Z liczby takich pieśniarzów, których głos w krzykliwym nieraz i niesfornym gwarze dziatwy Apolinowej czasem ginie bez śladu, wymienię przedwcześnie zgasłego Aleksandra hr. Pinińskiego („Poezye“, 1903), talent wybitnie liryczny, trawiony tęsknotą, szlachetnych dążności pełny, nie tracący wiary w dobro i sprawiedliwość; wymienię dalej „Sonety morskie i północne“ Maryusza Zaruskiego (1902), kroczące niby w ślady sonetów jeszcze Mickiewicza i Pola, ale już dla samego wyboru tematów, u nas tak rzadkich (aż od morza lodowatego do samego równika), ciekawe i cenne.

Znalazły się tu rzeczy nadzwyczaj różnej wartości, wielkiej i małej. Np. owe „Poezye“ (1901), z którymi wystąpił nagle znany od dawna powieściopisarz (Wincenty Kosiakiewicz); rozpacz

dni długie krwawą żarła mu paszczęką, nękała duszę męską bezsilności męką, aż wylała się w prostej, kojącej piosence, jeśli gorycz i zwątpienie zatrutych i zawiedzionych uczuć zdolne do takiej „piosenki“. Albo „Strofy“ Józefa Nawrockiego (1903), skarżącego się na „niewyśpiewane pieśni moje — ptaki moje w piersi uwiązane, zawszeż się tak rwać będziecie — wy nie wyśpiewane“; „Poezye“ Józefa Wiśniowskiego (1901 r.), bez wybitniejszej cechy indywidualnej, próbujące różnych tonów, nawet historycznych i t. d. i t. d. Lecz wróćmy od tej poezyi jeszcze na chwilę do dramatu.

Dla samej siły kontrastu staje przeciw ultranarodowemu „Weselu“ — przetłumaczone na obce języki byłoby ono po prostu niezrozumiałe — przeciw Wyspiańskiemu, wrastającemu każdą fibrą w ziemię - matkę, w lud - brata, kosmopolita **Stanisław Przybyszewski,** w którym się polskość dotąd nie zrodziła, chociaż już w polską szatę swe pomysły obleka. Nie od dramatu i nie od słowa polskiego on zaczął. Przeszczepiony z ziemi kujawskiej na grunt obcy, przejął się w Berlinie, w obcowaniu z artystami ponurej Północy, z Strindbergiem czy Munchem, z Młodymi Niemcami; w orgiach (fantastycznych, wizyonerskich, nie realnych); w nadzwyczajnem podniecaniu nerwów muzyką szopenowską, szałem erotycznym, nadużywaniem alkoholu— wszelkimi zarazkami dekadentyzmu i modernizmu, Nietzschem i Tołstym, satanizmem i anarchizmem, pogardą filistra i jego etyki i, skopawszy nogami głupie sumienie (ów organ szczątkowy świata moralnego, poczucia obowiązków) i wstrętną rzeczywistość, wzniósł się nadczłowiek, wstrząsł posadami świata, zaczął burzyć dla samego burzenia — aby ugiąć się przed kobietą i znieważał ją, aby płciowość na ołtarzu ludzkości wystawił, rozpasał wyobraźnię i nadzwyczajną moc słowa, aby kręcił się w zaczarowanem kole „Astaroty“. Wszystkie jego poematy prozą, powieści i dramaty nastrojone na jeden ton i nużą w końcu mimo nadzwyczajnej błyskotliwości formy, paradoksalnych aforyzmów, zawrotnych głębi przepaści, odsłaniającej obok naszej samowiedzy i woli — pęcherzy nadętych, które nam jako tako pływanie po fali życiowej umożliwiają, nie realnych zresztą — jakiś „drugi mózg, który zupełnie inaczej myśli, który sobie ze mnie kpi, cały mój rozsądek wywraca“, tę drugą duszę, nagą, ukrytą poza świadomością, niespokojną, męczącą się i szarpiącą wiecznie. I życie jest złem, dziełem szatana i wyraża się najpełniej w stanie chorobliwym, w ekstazie, w nerwozach; wstrętny

jest człowiek zdrowy, trzeźwy— bydlę, pijące wodę i chodzące w jarzmie, które sobie sam narzucił. Czytając te rzeczy, przepyszne w szczegółach, z wizyami nadzwyczajnemi, niepokojące i burzące, nie odpędzisz przykrego uczucia, jakie gnębi trzeźwego w towarzystwie opiłych, zdrowego w szpitalu maniaków, Saula między prorokami, nie wiedzącego, czy oni wieszczą nową ewangelię na seryo czy tylko z filistra okrutnie drwią. Odmienił Przybyszewski słowa ewangelii: nie znalazłszy uznania między obcymi — chyba Strindberg jedyny ocenił duszę subtelną ze śladami geniuszu, marzącą o najwyższej sławie, odstąpiwszy z nienawiścią od niego — wrócił do swoich i między swoimi znalazł adeptów, kornych czcicieli, ślepych naśladowców i nałożył swe piętno nawet na umysły nadzwyczajne; czego pod „Czarnem Prosięciem“ nie dokonał, w Krakowie, Lwowie i Warszawie synagogę szatana zbudował. Ale czar naszego Mefista już pryska, zaczadzone głowy trzeźwieją tem bardziej, skoro mistrz sam w dramatach na nieco odmienne tory wkraczać poczyna, o związku między winami a karami bąkając.

Pisał on po niemiecku, i śladów niemczyzny nie wyzbyła się odrazu jego polszczyzna; pierwsze jego prace, z pominięciem studyów estetyczno - psychologicznych o północnych malarzach i pisarzach — wątku powieściowego nie miały wcale lub mało; były to analizy, wylewy, samobiczowanie owej nagiej duszy, wyznania boleśne na temat żywiołowej roli kobiety we wszechświecie i nieskończoności bolu, cierpienia, z których się światy odradzają; tak było w „Vigilien“ i „Totenmesse“. Potem nastąpił romans o Falku, „Homo sapiens“ — tytuł chyba ironiczny, skoro o *homo insipiens* mowa, ale dzieło samo bynajmniej nie ironiczne; włożył w nie autor nadto własnych przejść i własnych myśli — t. j. trylogia „Na rozstaju“, „Po drodze“, „W Malstromie“: tłumaczenia na polskie dokonywał autor sam, ale to nie tłumaczenie dosłowne, raczej przeróbka. Historya zawsze ta sama: zdeptanie serc, poświęcającej się, naiwnej, wierzącej Marit, uwiedzenie narzeczonej przyjaciela, Izy, sprzeniewierzanie się i jej i wracanie do niej z siłą niepohamowaną, wstręty przytem, doznawane od Olgi. Z tego błędnego kółka nie wyrwie się bohater, szamocący się ciągle z samym sobą, w niesłychanej rozterce instynktów, popędów z odziedziczonem sumieniem zawsze upadający, zawsze robiący to, czego nie chciał, i zdobywający się na szumne tyrady, aby sobie i bliźnim oczy zamydlać, o musie jakimś, który mu po trupach kroczyć każe, o nadczłowieczeństwie,

bez sumienia i litości, jak natura, srogiem, wspaniałem, dobrotliwem. I nie chodzi o szczegóły zewnętrzne; całe światło skupione na stanach i aktach duszy samej; powieści te to znowu tylko analizy psychiczne, jak przedtem „Wigilie“, jak „De profundis“ potem, rozdzierający jęk duszy, niezdolnej się oprzeć popędom, wizyom, przeświadczonej o swej niemocy i agonii: para kazirodcza kończy samobójstwem. W „Dzieciach Szatana“ przekształca się satanista Gordon w anarchistę; najwięcej tu opowiadania, ale najsłabsza to powieść, najmarniejszy bohater, plwający na własne dzieło zniszczenia — dla zniszczenia, wyższy od bohaterów podobnego romansu Dostojewskiego tem, że ma choć samowiedzę swojej dętej wielkości.

Odtąd zwrócił się Przybyszewski ku dramatom, pisując obok nich już tylko studya, o Słowackim czy o Kasprowiczu, albo alegorye i wizye, „Nad Morzem“ czy „W Godzinie Cudu“ — w stylu strasznie nierównym, egzaltowanym, wybuchowym, w obrazach gwałtownych niesfornej wyobraźni, lubującej się w nadziemskich widziadłach, czarnych słońcach, miastach skalnych, stapiający w jedno barwy i zapachy, głosy i dotknięcia. W dramatach temat znowu ten sam, w „Dla Szczęścia“ przypomina bardzo Mlicki Falka, Helena ową Marit, a Olga Izę; „Złote Runo“ i „Matka“ osnute na wiarołomstwie, lecz nastąpiła znacząca zmiana — owo zdeptane sumienie, to wąż, który kąsa stopę po nim depcącą, nie opuści jad jego organizmu, czyny popełnione bezwiednie niemal mszczą się okropnie. Moralność tryumfuje więc na całej linii, lecz zwycięstwo to Pirrusowe, ono nie orzeźwia ani wytrzeźwia, tylko do dawnych bolów dodaje nowe, tak dojmujące, że samobójstwo wywiera urok nieprzeparty. I tak karze złośliwa natura za grzechy, które sama w serce wszczepiła; karę wymierza sobie serce samo za własne złe podszepty; sprawiedliwości boskiej czy ludzkiej niema, jest tylko niezmienny porządek rzeczy, a kto go przełamie, na śmierć skazany. Dramaty zbudowane wcale efektownie, chociaż przeładowane dyalogami, a nie wszystkie ich postaci odpowiadają wysokiemu mniemaniu autora o sile; „Matka“ wprowadza temat Klitemnestry-Egista i Oresta; młodzieniec, wracający do domu, domyśla się powoli strasznej prawdy i opuszcza ten dom, wrogi mu odtąd; w skróceniu byłby dramat zyskał na sile; nastroju Maeterlinckowskiego próbował autor w „Gościach“, gdzie za winy dawne i wyrzuty ciągłe ostateczny rachunek się wypłaci i my przybliżanie się katastrofy ciągle odczuwamy. Do naśladowców Przybyszewskiego należała

i własna żona, Norweżka Dagny, której szkice prozą na polskie tłumaczył.

W takich to przeciwieństwach gubi się dramat polski, unarodowiający się u Wyspiańskiego, ezoteryczny u Przybyszewskiego, gubiący się w abstrakcyach Niemojewskiego, Rossowskiego i Szukiewicza, próbujący społecznego gruntu u Konczyńskiego i Kisielewskiego, u Zapolskiej i Wójcickiej, obwieszający się historycznymi łachmanami w „Jeńcach“ Rydla (z przeszłości „wendyjskiej“ i walk słowiańskich z Niemcami) i w „Zawiszy“ Tetmajera. Przyszłość jego nie jasna: góruje eklektyzm...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

POWIEŚĆ,

OD KRASZEWSKIEGO DO SIENKIEWICZA.

Na wychodźtwie: Kraszewski i Jeż. W kraju: powieść społeczna i tendencyjna, Zacharyasiewicz i Pług, Lam i Jordan, Morzkowska i Orzeszkowa. Prus i Sienkiewicz.

Z komedyą społeczną walczyła o lepsze powieść w szerzeniu poglądów postępowych i w zwalczaniu przesądów, a na czele jej stał przez długie zawsze jeszcze lata **Józef Ignacy Kraszewski,** który po śmierci czy zamilknięciu Korzeniowskiego i Kaczkowskiego, Sztyrmera, Rzewuskiego i Żmichowskiej rywala nie znachodził. Opuściwszy kraj, zbywszy się ostatecznie klopotów redaktorskich, gospodarczych, urzędowych, oddał się z olbrzymią, wręcz nieprawdopodobną rzutkością umysłu a wydatnością, pracy literackiej, uprawiając obok niej i muzykę, nie zaniedbując rysunków i malarstwa i prowadząc olbrzymią korespondencyę. W kilkanaście dni wykończał całe tomy powieściowe — złośliwi powtarzali dawne koncepty o maszynce do pisania; obok tego pochłaniał, co wychodziło, nie tylko w polskim języku; w korespondencyach setnych, rozrzucanych po dziennikach i tygodnikach, zdawał sprawę z ruchu artystycznego i belletrystycznego zagranicznego, szczególniej nie-

mieckiego, gdy w Dreźnie osiadł na stałe. Praca to była fenomenalna: trzeba sięgać do literatur obcych (francuskiej) lub do starożytności, żeby dla podobnie wytrwałej, wszechstronnej, obfitej a długoletniej przykład odnaleźć, a zdobywał się na nią człowiek fizycznie coraz ułomniejszy, trapiony dotkliwemi cierpieniami, któremu życie chorobą, praca lekarstwem się stała. Nie zawsze odnachodził Kraszewski w pracy tej drogi właściwe, podejmował się rzeczy, obcych jego organizacyi umysłowej, np. odegrania roli politycznej; wrzenie warszawskiej pracy redaktorskiej i emigracyjnej nie odrazu się uspokoiło, następowały najrozmaitsze próby, to kierowania z Drezna lwowskim dziennikiem politycznym, to współpracownictwa w krakowskim organie postępowym („Kraju"), a gdy się rzeczy nie kleiły, wydawał sam przeglądy roczne, „Rachunki", z życia politycznego i społecznego ziem polskich. „Rachunki" te, jak i cała działalność polityczna Kraszewskiego nabierają rysów, charakterystycznych dla całego wychodźtwa: obok naturalnej nieznajomości, a nieraz i umyślnego nieuwzględniania stosunków i potrzeb dzielnicowych ferowanie wcale surowych wyroków, przywłaszczanie sobie roli jakiejś Pityi politycznej — z tytułu oddalenia i bezparcyalności, żółciowość i zgryźliwość wobec nieuznających tej powagi; stronnicze napady na jednych (Krakowian — Stańczyków, Szujskiego, Popiela), zbytnie pobłażanie innym, np. ziemianom poznańskim. Lecz uczuł Kraszewski niebawem sam niewłaściwość takiego mieszania się i mentorowania i zwijał swe polityczne placówki, kusił się potem o wydawnictwo organu niepolitycznego, ale w końcu, pochłonięty coraz intensywniejszą pracą belletrystyczną, i to zarzucił.

W pracy tej po roku 1864 Kraszewski na razie jakby się rozszczepił; inne rzeczy pisywał Bohdan Bolesławita z motto *All is true,* inne I. J. Kraszewski. „Katastrofa" i to, co ją poprzedziło, wytrąciły z równowagi umysł nadmiernie wrażliwy: w podnieceniu gorączkowem ujrzał się Kraszewski w obozie czerwonych, solidaryzował się z nimi, miotał się na obojętnych i zimnych; niebawem brał górę zmysł rzeczywistości, ostudzały się zapały, wracała zdolność krytyki, i ten sam, któremu imponowały demonstracye uliczne, bratanie się stanów, sympatye rewolucyonistów obcych, który nie skąpił ostrych porównań, zaczepek i oskarżań, a wielbił ducha - rewolucyonistę, przeradzał się w białego, w stańczyka niemal i protestował już tylko — i słusznie — przeciw potępianiu całej emigracyi

w czambuł, odmawianiu jej przytułku i chleba, on, co sam zawsze był gotów do poświęcania sił, czasu i środków, aby ulżyć obcej niedoli; stanowisko jego nie odbiegało w końcu daleko od stanowiska „straży pożarnej" krakowskiej, gasicieli ducha — oddalał się głównie w kwestyi religijnej postępowiec, zwalczający, ile sił stało, dogmat nieomylności; potem raziło go zbyt trwożliwe uchylanie się z wszelką „polakieryą", owe wygórowane obawy narażania się komukolwiek i gdzieśkolwiek.

Powieści Bolesławity, im namiętniej pisane, tem bardziej chromają w układzie i szczegółach; szkice to raczej, rzucane w gorączkowym pośpiechu na papier, w urywanych zdaniach, w urywkowem opowiadaniu i charakterystyce fragmentarycznej; przewijają się na ich kartach i propaganda czynu, i masowe ruchy uliczne i rozgorączkowanie młodzieży i chwiejna bierność i nieporadność starszych; są typy najrozmaitsze — sięga autor nawet do dawniejszych pokoleń i przeprowadza dzieje całej rodziny na tle analogicznych wypadków. Wszystkie te powieści, ciągnące się do r. 1875, bez większej wartości literackiej, ciekawe, jako oznaka czasu, jako przyczynek do psychologii ludzi i autora.

Od powieści Bolesławity przedostał się namiętniejszy ton i do powieści społecznej Kraszewskiego, i zdawał się wracać dojrzały autor do usposobień satyrycznych, w jakich niegdyś „Cztery wesela" i podobne rzeczy pisywał. Nie były to już jednak chwilowe uniesienia kapryśnego pióra artysty, pokłóconego z jałowością i ospalstwem duchowem braci herbownej, uniesienia, któreby znowu w apoteozę dawnej patryarchalności odmieniać się mogły; autor pogłębił swą znajomość owych kół, zasiadał przecież sam z Wołyniakami w komitetach włościańskich, obserwował z dala rolę stańczyków, obszarników, polityków na posadzkach Burgu, z blizka paniczów rozmaitych, goniących z resztkami ojcowizny po rozmaitych badach, typy polskiego hrabiego za granicą. I urośli mu oni do typów w jego „Morituri", jednej z najlepszych jego powieści: wyborowi między nimi, owi książęta Brańscy, z godnością chyba tylko umierać umieją; przeważna część tylko lekkomyślnie trwonić potrafi, wierzy tylko w bogaty ożenek lub miejsce zyskowne; zna się na kartach, koniach i metresach; ceni tytuły, ordery i koligacye; odurza się frazesami zdawkowymi o roli i powołaniu szlachty, gotowa do zdrady własnych przekonań, do ustępstw i kompromisów najbezecniejszych za byle cenę, pogardzana i wyśmiewana przez

własnych braci, pod maską cynizmu ukrywających resztki dumy rodowej i godności ludzkiej. Stan, jako taki, zmarniał, racyi bytu nie ma, wyginąć musi; z niedobitków salwują się ci nieliczni, co przesądy zawiesiwszy na kołku, jęli się oburącz pracy, owi *Resurrecturi,* raczej wymarzeni w teoryi, niż zaobserwowani w rzeczywistości; dlatego też ustępuje nowa powieść dawniejszej pod względem wyrazistości, realności, konsekwencyi. Czasy Bożej Czeladki minęły na zawsze; wyczerpywała się jednak i bezpośrednia obserwacya, Kraszewski sztukował ją coraz bardziej fantazyą i pamięcią.

Nie zadowalał się apostolstwem nowych haseł, kreśleniem figur z jednego stanu, obrazowaniem przejść i transformacyi rozmaitych Siekierzyńskich. Chcąc rywalizować z romansem francuskim, spopularyzować książkę polską, budzić zajęcie ogólne, nie wahał się wkraczać na niwy, uprawiane przez romans sensacyjny i policyjny pp. Gaboriau i spółki, i zapełniał swe karty najrozmaitszemi figurami intrygantów, fałszerzów, rycerzów przemysłowych, demimondek, graczów, hipokrytów; opuszczał światek polski i bujał nad Sprewą i Dunajem; właśnie za granicą natrafiał nieraz na najciekawsze, najchorobliwsze okazy dusz polskich, np. owe „Chore dusze“ nad Tybrem, prototypy Płoszowskiego, rozprożniaczone i przeczulone, jak on, dla byle katarku żołądkowego wytaczające proces Opatrzności, zrezygnowane ze wszystkiego i zrozpaczone na zawsze, chociaż byle wąsik lub zgrabna nóżka ze wszystkich smutków i pesymizmów ich wyleczy. Nie zawahał się nawet przedstawiać dziejów rodzin polskich w ten sposób, że gałęź, osiadła w Gdańsku, wydała ludzi zamożnych, porządnych, pożytecznych; ci zaś, co w kraju zostali, zbankrutowali moralnie i materyalnie.

Po r. 1870 zajął w twórczości Kraszewskiego romans historyczny bardzo wybitną rolę. I to tylko było nawrotem do pierwszej miłości, do romansów historycznych z lat wileńskich jeszcze, do których go i później nieraz ciągnęło. Zmieniło się teraz zupełnie stanowisko; tendencye zarzucił; zaciekawiały go czasy i ludzie. Więc te, które znał najlepiej, z tradycyi rodzinnej, z pamiętników (które ogłaszał, Ochockiego i innych), ze studyów, które na szeroką skalę podejmował; jego „Polska w czasie trzech rozbiorów“, dzieło trzytomowe, jest najpoważniejszem ich świadectwem i wynikiem; znakomita monografia o Krasickim, chociaż bardziej człowieka, niż pisarza uwzględnia, to inny tegoż dowód.

I tak urósł szereg licznych powieści z czasów saskich i Stanisławowskich. Jeżeli historyk Röpell „Pamiętnikom Soplicy“ Rzewuskiego wartość dokumentalną przyznawał, należy się ona w równej mierze i powieściom Kraszewskiego. I on nie wytaczał spraw pierwszorzędnych, właściwie historycznych; jak Rzewuski, i on trzymał się na uboczu od duchów - wodzów epoki, nie zapoznawał nas z Konarskim czy Kołłątajem, Chreptowiczem czy Zamojskim, Tyzenhauzem czy Czartoryskim; omijał nawet wystawianie na pierwszym planie Augusta Mocnego, syna grubasa i wiotkiego stolnika litewskiego, czy ministrów wszechpotężnych, Bryla, Fleminga, Ponińskiego. Wymyślone intrygi (nieraz nawet bardzo nieprawdopodobne, jak np. owa na tle aryańskiem, z podziemnymi kurytarzami i kaplicami) zapełniały te karty, ale czy o Hrabinie Kozel była mowa, czy kawał literata w Warszawie Poniatowskiego wystawiać należało, czy życie na dworze hetmańskim w Białym Stoku, imponował autor znawstwem epoki i ludzi, ich myśli i mowy, i każda, najmniejsza nawet z tych powieści, odchyla jakiś ciekawy, znaczący szczegół tych czasów. Prawda, nie przedstawił on nigdzie ich całości; zbyt nęciło go samo wystawianie rozpasania, rozbestwienia moralnego owych czasów, zbyt często wystawiał on kontrast świętego partykularza i sodomy warszawskiej. Zbyt często nęcił go też książę Panie Kochanku.

Nadzwyczajna popularność tego bezmógowca nie najpochlebniej o nas świadczy. Jak Sienkiewicz zgrzeszył przeciw przeszłości, starego błazna Zagłobę na czoło szlachty ówczesnej wysuwając, podobnie od dawna pokutuje między nami, niby trup wyschły Sicińskiego w Upicie, ów najgłupszy z Radziwiłłów. Kościuszki nikt dotąd w romansie czy dramacie nie wystawił należycie, Panie Kochanku zato przedrzeźnia się coraz rozumowi z powieści i sceny; widzieliśmy go i strzelającego do liter z abecadła i przyjmującego pana stolnika w Nieświeżu, siedzącego bez spodni na beczce wina i kapiącego od dyamentów i złota, w posiadaniu dwunastu apostołów i żyjącego na kredyt obcy, rozbijającego się po nietrzeźwu z Albeńczykami i umierającego samotnie; świeżo jeszcze niepokoił trupa K. Gliński „Baśką“, wymuszającą fortelem na księciu zezwolenie na śluby małżeńskie.

W komedyach wystawił jego i Kraszewski; dramatyczne jego popisy (jak i liryczne) wogóle rzadkie; najlepszy z nich „Miód kasztelański“, komedya kontuszowa, jeszcze z r. 1860 datująca. Najtraf-

niej przedstawił on Radziwiłła w „Ostatnich chwilach księcia Wojewody“, porzucił blichtry konwencyonalne i nieciekawą prawdę odsłaniał.

Powodzenie owych romansów historycznych, z bezprzykładną ilością figur coraz nowych, nie zbyt pogłębionych co prawda, ujętych jednak żywo i barwnie (aż do stronników Trzeciego Maja, wcale nie schlebionych) i przykład niemiecki („Przodków“ G. Freytaga, zstępujących od pradziejów w Ingu i Ingrabanie aż do prusko-polskich stosunków XVI wieku) skusiły Kraszewskiego do wystawienia olbrzymiego cyklu powieści historycznych polskich, od prasłowiańskiej „Starej Baśni“ aż do XVIII wieku. Tylko taki *chalkenteros,* jak Kraszewski, mógł się tej pracy podjąć i wykonać ją w dwudziestuośmiu powieściach o siedemdziesięciudziewięciu tomach.

Lecz właśnie ta robota w dorobku literackim Kraszewskiego przedstawia pozycyę najwątpliwszej wartości. Świetne oczekiwanie rodził wstęp, owa idyla starosłowiańska „Starej Baśni“ — tłumaczona, i słusznie, na inne języki słowiańskie, najbardziej poetyczna apoteoza ludu cichego, rolniczego, gościnnego, patryarchalnego; ciąg dalszy dopisywał coraz mniej. Słabły siły; nie wystarczało i znajomości głębszej odległych czasów i ludzi, psuł wykonanie efektowniejsze zadawniony pesymizm, nurtujący, jak słabość niewyleczona, organizm autorski; bez głębokiej miłości owej przeszłości, rzewnego zatopienia się w niej, rzecz taka nigdy się udać nie może; nie zastąpi ich sucha, antykwarska i kronikarska metoda autora i każda nowa powieść przynosiła chyba coraz nowe rozczarowanie, omijanie stron świetnych, ludzi wielkich, jakby lubowanie się w kreśleniu scen ujemnych.

Jak w społecznych, sięgał i w historycznych romansach Kraszewski wyjątkowo do obczyzny: klasyk z zamiłowania, tłumacz np. Plauta w więzieniu magdeburskiem, Rzym chyba obierał i czasy Cezarów; właśnie jego „Rzym za Nerona“ (1865) jedna z najlepiej skomponowanych i najstaranniej wykończonych powieści, przyczem unikał autor własnych refleksyi, moralizacyi, porównań, niszczących zazwyczaj wszelką iluzyę, których romans historyczny najbardziej wystrzegać się winien, chociaż przeciw tej kardynalnej zasadzie grzeszą nawet najwięksi, np. Tołstoj w „Wojnie i pokoju“, i mniejsi, np. Gomulicki w „Mieczu a łokciu“, cytujący, jak

w dysertacyi uczonej, późniejszych pisarzów i krytykujący siebie samego.

Ów pospiech w wykonaniu, ową robotę maszynową wyrzucano Kraszewskiemu stale, ależ pieszczenie się kilkuletnie z jednym tematem, przegładzanie każdego zdania *à la Flaubert* nie zgadzało się wcale z organizacyą artystyczną Kraszewskiego; metoda ortopedyczna, stosowana do jego powieści, nie wychodziła im na dobre. Nadmiernie wrażliwy i nadmiernie ruchliwy skupiać się zbyt ani umiał, ani chciał; rzucał od niechcenia, pospiesznie, sylwetki i epizody i nie zawsze je należycie spoić potrafił; ale wprawa mistrzowska, niby owego sławnego czy osławionego *Fà presto* w malarstwie, bogactwo myśli i obserwacyi, śledzenie tętna czasu, sprawiały, że każda, i najmniej oszlifowana, i najbardziej surowa bryła jego powieści, piętno Kraszewskiego nosiła, piętno indywidualności potężnej, bogatej, myślącej: głębsza nauka czy myśl w każdej zawarta; każda z jego wybitniejszych postaci nadaje się do uogólniań, ot choćby ów Floryan Małdrzyk herbu Wąż („Na tułactwie“), gdzie już samo nazwisko jest charakterystyczne, człowiek nie z kruszcu, lecz z sera, dobry na Lasocinie, marniejący coraz bardziej w nieszczęściu.

W każdej sprawie zabierał Kraszewski głos natychmiast: ledwie zaczęły się rugi pruskie, i już odezwała się jego „Czarna Godzina“ i nie obszedł on się teraz tak gładko ze szlachtą wielkopolską, jak niegdyś w „Rachunkach Bolesławity“. Do ostatniej chwili, póki nabrzmiałe i skostniałe palce pióro utrzymać mogły, nie schodził on z placówki, z obserwatoryum społecznego.

I nie było przesadą, gdy w Krakowie r. 1879 obchodzono z nadzwyczajną uroczystością jego jubileusz, pierwszy obchód tego rodzaju u nas. Nie był Kraszewski geniuszem sztuki czy myśli, chyba za geniusza pracy wyobrazić go sobie możemy; chociaż go nęciły obce sprawy i dzieła (zamiłowanie Dantego np.), z setek jego dzieł i pism, z milionów wierszów drukowanych wszystko do kraju i spraw jego, choćby pośrednio, się odnosiło, nawet „Rzym za Nerona“ nie bez takiej myśli pisał. Przekonań jednolitych, któreby od kolebki do grobu wyznawał, nie miał — tylko głupcy się nie zmieniają, jeszcze przed Bismarkiem Puszkin twierdził. W ciągu niemal sześćdziesięcioletniej pracy, której tor tylko w r. 1863 się załamał, popadał on w coraz nowe sprzeczności i z samym sobą i z otoczeniem; nie byłoby trudno, układając własne jego zeznania,

białego i czerwonego, ultramontanina i postępowca, arystokratę i ludowca, wyznawcę sztuki dla sztuki i sztuki dla propagandy idei, marzyciela i pozytywistę, slawofila i nieprzejednanego wroga slawofilstwa, z niego urobić; mogliby do niego rościć prawa Rzewuski (Henryk) i Jeż, Veuillot i Büchner, prerafaelita i naturalista — tylko słowa i prozy się nie puszczał; jak muzyk i malarz nad dyletanta się nie wzniósł, tak i w wierszu wyjątkowo mu się powodziło, mianowicie w rzewnych skargach, łzami i goryczą nabrzmiałych. Łodzią duchów sterować nie mógł, gdyż na przewodnika powołanym nie był; płynął z biegiem, nigdy mu się nie opierał; z nim jednak omijał rafy i mielizny; z wszelkich ostateczności i krańcowości wycofał się zawsze i, gdy myślano już, że jest pogrążony w matni stronnictwa czy doktryny, on gdzieś daleko znowu głowę wychylał swobodny.

Więc napadali na niego po kolei i młodzież i starcy, postępowi i zacofani, biali i czerwoni. Cechowała go nadzwyczajna wrażliwość na każdy nowy powiew czy prąd, choć ten go w tył rzucał, to naprzód popychał; starał się wszystko sobie przyswoić, a innym wyłożyć, od ludzi do tendencyi, od najdawniejszych do najświeższych. Istotą swoją należał jednak do spółczesnych, do otoczenia, i powieściom o kraju, a szczególniej o jego młodzieży postępowej, o emancypantkach („Szalona"), pisanym bez ich naocznej obserwacyi. po roku 1863, brak świeżości, powietrza rodzinnego, które dawniejsze odznaczało — chyba że o Polakach na obczyźnie prawią; tym łatwiej cofał się teraz w czasy coraz dawniejsze. Potężnych, wstrząsających dzieł nie stworzył wcale; nie od święta ani od parady pisał; zaspokajał on potrzeby dnia. Jego to zasługą książka polska wszędzie dostęp znachodzić poczęła, w salonie i na poddaszu; on budził u całych pokoleń zamiłowanie do czytania polskiego; on gallomanię czynem najskuteczniej zwalczył; jego chleb, może i razowy, ale pożywny, ciastka francuskie wypierał. Rewolucyonistą w prozie, jak Mickiewicz w poezyi, wcale nie był, ale ojcem prozy polskiej możnaby go nazwać; trzebaby porównać stan tej prozy, kiedy zaczął pisać, a kiedy z pola strudzony schodził, bo na zmianę ku lepszemu nikt tak nie wpłynął, jak on właśnie.

On budził wytrwale umysły; on niósł przed narodem oświaty pochodnię; światło jej mogło nieraz przyćmiewać się bardzo — nigdy nie zagasło; każdą nową siłę witał on pierwszy, najchętniej,

i na stare lata jeszcze, np. Konopnicką; nigdy się nie zaskorupił, ani w teoryi, ani w tendencyi; eklektyk, wybierał, co go nęciło, z każdego ruchu, poglądu, myśli. Fantazya jego nie szybowała nigdy w lotach nadgwiezdnych, ziemi i rodziny trzymał się ściśle; dzieło jego — Omnibus, nie dla smakoszów i znawców, on nastarczać wszystkiego ledwie zdążał, on, jak ta sól Wieliczki, którą się odrazu czystą dobywa, nie wyczerpana. Nie wiele po niej dla wykwintniejszych podniebień; w codziennym trybie, dla wszystkich, nic jej nie zastępowało. Czas, jak te dzieła ożywiał, tak je grubą warstwą pyłu nałożył; w olbrzymiej spuściźnie nie wiele znakomitych rzeczy, jest ich jeszcze najwięcej między dawniejszymi; jak z pożytecznymi działaczami bywa, gdy pora ich przeszła, rychło się o nich zapomina — i dzisiejszym jednak nie tylko dla języka, dla wielości figur, trafności rysów, miłości swojszczyzny polecać go należy

Żadnego chwiania i wahania się nie zaznał nigdy **T. T. Jeż (Zygmunt Miłkowski)**, wykuty z jednej bryły, to też wielu nie koniecznie miły, pisarz, który pisma swe i poglądy własnem życiem pieczętował, życiem ciekawszem nieraz, więcej awanturniczem i poświęcenia a hartu pełnem, niż bohaterów powieści jego. Jeż to pisarz bez porównania więcej tendencyjny, niż Kraszewski, w tematach powieści dużo mniej pomysłowy (udają mu się właściwie tylko opowiadania z rodzinnych stron i dziejów rodzinnych) i nierównie niższy, jako artysta.

Życie upływało mu w walce ustawicznej z losem i nędzą, w Londynie czy na Bałkanie; późno chwycił się pióra, może otoczenie literackie w Konstantynopolu, gdzie się z Berwińskim, Brzozowskim, Zmorskim i Jabłońskim stykał, najbardziej na obudzenie żyłki autorskiej wpłynęło. Przedtem pisywał chyba artykuły polityczne — tych nie porzucał do ostatniej chwili, np. nawołując i prostując drogę do zgody z Rusinami w Galicyi (1902 r.), albo korespondencye, ale właśnie te barwne opisy z Dobrudży, Bułgaryi, Konstantynopola, umieszczane w Dobrzańskiego „Dzienniku literackim" lwowskim p. t. „Wyjątki z pamiętników włóczęgi" (1856 i 1857 r.) zjednały mu imię rozgłośne; szczęśliwy debiut powieściopisarski z sympatycznym „Wasylem Hołubem" (1858) pseudonim spopularyzował tem bardziej.

Z długoletnich wędrówek po Turcyi i Serbii, z kampanii węgierskiej przedtem, odbytej z honorem, wyniósł Jeż tematy, literaturze polskiej dotąd obce. Dziś, kiedy u Bułgarów J. Wazow (tłu-

maczony i na polskie), u Kroatów A. Szenoa i in. czasy niewoli tureckiej, ruchów chłopskich i t. d. opisują, zapominamy, że pierwszy między Słowianami nasz Podolak ciekawe te i barwne i pouczające tematy historyczne uprawiał, że on Bułgarom i Serbom dawał pierwsze dobre próby ich rodzimego romansu historycznego. Kraje przewędrował wdłuż i wszerz, lud i obyczaje i mowę poznał znakomicie, patryota i demokrata spółczuwał tym ruchom; tak powstały jego historyczne powieści, sięgające od czasów „Asana“ i powstania bułgarskiego przeciw Bizancyum, od XII wieku, poprzez walki z półksiężycem XIV wieku, poprzez „Uskoków“ (najpiękniejszą z tych powieści), „Narzeczoną Harambaszy“ i t. d. aż do początków XIX wieku („Dachijszczyzna“) i do walk węgierskich roku 1848; jego „Szandor Kowacz“ (pierwszy czasowo z tego cyklu) przedstawiał Madyara, wyrosłego między Serbami, wynarodowionego, który dopiero w odgłosie walki narodowej poczucie rodowe odzyskuje.

Mniej szczęśliwe są podobne powieści z dziejów polskich, „Za Króla Olbrachta“, „Dersław z Rytwian“ i inne, chyba gdzie mowa o stosunkach i stronach ruskich, np. „Z burzliwej chwili“, wznosi się autor do opisów barwniejszych i scen efektowniejszych.

Obok tych nieco egzotycznych, historycznych powieści — i one nie obywały się bez tendencyi — pracował Jeż systematycznie i wytrwale na polu powieści społecznej, ściśle tendencyjnej. Wybierał, w czasach jeszcze pańszczyznianych, chłopa na bohatera swych powieści, aby w nim człowieka ukazać, np. w pierwszej ucieka Wasyl Hołub w step przed uciskiem pańskim, ale w bitwie daszowskiej jemu jeden z tych panków życie uratował; w „Historyi o pra-pra dziadzie“ wystawiony dzielny chłop, który nobilitacyi nie przyjmuje, chcąc zostać między swoimi, tracący przez to uznanie szlachty; w „Historyi o pra - prawnuku“ harmonia pożycia między dworem a gromadą wystawiona na tle stosunków, jakie u Miłkowskich istotnie panowały: nawet Żyd wciągnięty w ową atmosferę, i w karczmie odprawiają boruchy za panem Naczelnikiem, jakby za jakim patryarchą izraelskiego rodu. Posiew wprawdzie zawiódł wszelkie oczekiwania — dlaczego, kto zawinił, o tem i w „Hryhorze Serdecznym“ czytać można — podobnych tematów nikt u nas zresztą nie tykał, specyalność to Jeżowa, słabe echo dawnego chłopomaństwa. O sentymentalnej idealizacyi nie było tu nawet mowy,

chłop występował realny, z przymiotami i przywarami, ale szanowało się w nim człowieka, a przygotowywało obywatela.

Jeszcze ważniejsze zadanie czekało Jeża między bracią. Z domów szlacheckich, z wychowania ówczesnego wychodzili próżniacy, letkiewicze, niewieściuchy, wyrodki wszelkiego rodzaju — kobiety nielepsze, przeczulone, sentymentalne, najczęściej gąski, czasem kukułki i sowy; w obywatelstwie samem najdotkliwszy brak poczucia obowiązków. W nawoływaniu do obowiązku, przykładami z życia, satyrycznymi i idealnymi, wyczerpywał się Jeż; o zachowanie miary mu nie chodziło; niełatwo o potworniejszą karykaturę, niż np. młodego księcia pana z „Ofiar“, słonia chyba czy hipopotama, któremu piękną, bogatą pannę narzucają; cóż może być śmieszniejszego nad wiece szlacheckie, tym razem z Litwy, o gotowości wojennej, w r. 1831, w „Drugiem przykazaniu“. Szereg tych utworów bardzo długi; podniesiono tu wszelkie kwestye, od emancypacyi kobiet począwszy; tu należą „Pamiętniki starającego się“, „Pani Komisarzowa“ i t. d.

Wszystkie te powieści szwankują pod względem kompozycyi; gdyby istniała szkoła powieściopisarska, możnaby na niejednej z nich, np. na „Ostapku, kartach z dziejów emigracyi“ uczyć, jak się powieści pisać nie godzi. Wady kompozycyi, przemowy od autora, dygresye, rozrywające i wątek i psujące wszelką iluzyę, wynagradza żywość opowiadania i dobitność stylu: jakgdyby się autor zaprawił na literaturze rosyjskiej, tak lubuje się w dosadnych zwrotach, w alegoryach — nie mających z klasycznemi nic spólnego, w nieceremoniowaniu się z obrazem i wyrazem. Celuje w satyrze; uczuciowość nie jego działem, gruchania gołębiąt nie wyrazi, a przecież np. w takiej „Historyi o pra - prawnuku“ głęboko wzruszyć potrafi. Sam się z tego spowiada: „poświęcić majątek, czas, życie, rozum, dla wszczepienia w ogół szlachetności przekonań, to mi ideał, który warto bohaterstwem zaczczycić, ale nie idealizowanie jakichś miłostek, salonowych lub alkowianych intryg i artystycznych rojeń“.

Brak samodzielności; sobkowskie instynkty; nie szanowanie narodowej godności, gnuśność — i wszelkie inne wykroczenia przeciw „Dziesięciorgu społecznemu“, oto tematy jego wycieczek satyrycznych, obrazów powieściowych, przez lat czterdzieści. Teraz, kiedy zasłużony starzec, czcigodny, osiemdziesiątki w rzeźkiem zdrowiu, fizycznym i umysłowym, dobiega, wyczerpuje się inwen-

cya i satyra, wstają w pamięci dawne czasy, dzieciństwa Saracejskiego, szkoły Niemirowskiej, późniejsze z „centralizacyi“ londyńskiej, o Daraszu czy Worcelu i kreśli je autor z dziwną drobiazgowością w kolumnach „Tygodnika Ilustrowanego“ czy „Słowa Polskiego“.

Belletrystyka emigracyjna, jeżeli nie o własnych, tułaczych losach rozprawiała, jak np. w świeżo wydanym romansie Chodkiewicza, zmarłego przed laty, rolę mentora czy satyryka mimowoli przybierała; nie łatwo było w kraju jej dogodzić, splin emigracyjny karcił może nieraz zbyt obcesowo, zbyt mało liczył się z warunkami, niecierpliwił i srożył. Tem spokojniej toczyły się fale belletrystyki krajowej; reprezentowali ją, żeby o mniejszych, zapomnianych, np. o Władysławie Sabowskim (Skibie), pisującym nie bez humoru o „Kanarkach rozmaitych“ i t. d., albo o kobietach, np. Emmie z Kurowskich Puffke, dzielącej z Pauliną Wilkońską popularność poznańską, nie wspominać, Jan Zacharyasiewicz i Adam Pług.

Jan Zacharyasiewicz wprowadził nową nutę do powieściopisarstwa krajowego, mieszczańską. Występy jego sięgają daleko poza rok 1864 wstecz; rówieśnik to Kaczkowskiego, dzielił z nim tryb wychowania gimnazyalnego i prześladowania polityczne — dwoma nawrotami odsiadywał więzienie dłuższe, skąd wynosił oczytanie w niemiecczyźnie, zniemczenie na razie języka i upodobanie w małostkowości, sentymentalizmie i marzycielstwie niemieckiem. Jeżeli mimo to dopiero tutaj go wymieniamy, usprawiedliwia nas wziętość, jakiej nabył właśnie w latach 1865 — 1880; potem gwiazda jego, nigdy pierwszej wielkości, bladła wobec słońc, pojawiających się na horyzoncie polskim, Prusa i Sienkiewicza, doszczętnie; imię jego cieszyło się już tylko tradycyjnym rozgłosem, pojawienie nowej powieści czy zbiorku nowel, godzących nieraz zbyt wyłącznie w prostą humorystykę *Quiproquo* i innych przypadków, nie wywoływało więcej żywszych oczekiwań; szczególniej zwrócili się przeciwko niemu najmłodsi, o wiele ostrzej nawet, niż przeciw Kraszewskiemu, posądzającgo o wsteczność i inne zbrodnie, ponieważ im do ładu nie wtórował; wyrzuty te widoczną stronniczością nacechowane.

Wyszedł Zacharyasiewicz ze sfery miejskiej, galicyjskiej i wcześnie zaczął, zapalony demokrata niegdyś, niby radykał czy socyalista w oczach wystraszonej szlachty, stosunki społeczne, jako

tło do powieści, dobierać; tu zdobył sobie może najrzetelniejsze zasługi. Po kilku próbach, wykazujących, jak zasklepić się może, zaskorupieć i wyziębić dla wszystkiego prócz swego fachu „Uczony“, niegdyś entuzyasta; albo niecność Tartuffe'a galicyjskiego w „Sierocie wielkiego świata“; albo potrzeby oświaty narodowej i kto je zaspokajać winien — zdobył on większy rozgłos powieścią „Na kresach“ w r. 1860. Jak Zacharyasiewicz pierwszy, w „Bożem Dziecięciu“, dzwonił na gwałt dla potrzeb oświaty, tak, w ćwierć wieku przed Bismarkiem i komisyą kolonizacyjną, wykazał w powieści topnienie ziemi wielkopolskiej, kresowej, przechodzącej do rąk obcych, potęgę niemiecką i opieszałość czy bezradność wobec niej polską — przed nim tylko Paulina Wilkońska na podobny temat w małym „Obrazku Poznańskim“ się odważyła. Piekącą właśnie wtedy, około r. 1862, kwestyę ruską w Galicyi obrał za tło „Świętego Jura“, a w następnych powieściach coraz inne, również niewesołe tematy poruszał: w „Marcyanie Kordyszu“ rozdźwięk między górnymi wzlotami fantazyi a marną rzeczywistością życia, w „Zakrytych kartach“ sprzeczność między zasadami na pokaz a postępowaniem, w „Złotym interesie“ spustoszenia gorączki złota; tylko w „Czerwonej Czapce“ (czyli „Nemezys“) wystawił na tle galicyjskiem hofratów - polenfresserów, których synowie kierują się na wzorowych obywatelów krajowych, ku zgrozie wszelkim Minnom i Laurom i ich tatkom.

Obok tych powieści społecznych, ciągnących się do r. 1875, nie zaniedbywał Zacharyasiewicz innego działu i potem wyłączniej mu się oddał, sprawom sercowym, ku uciesze tkliwych panienek. Marzyciele i marzenia — prawdziwych namiętności unikał — ideały i wizye we śnie i na jawie, cierpliwa wytrwałość nieuznanej czy wzgardzonej, rwanie się za ułudami dalekiemi i wracanie korne do zapoznanej ofiary serca, jak w „Wiktoryi Reginie“, wynagrodzonej za to ręką hrabiego — oto konflikty i tematy owych powieści, „Mąż upatrzony“, „Milion na podaszu“, „Zakazane owoce“, „Widoki familijne“, „Opinia parafialna“ i t. d., między któremi „Wiktorya Regina“ choć mniemaną tęgością charakteru się wyróżnia.

Cechą tych powieści Zacharyasiewicza było lubowanie się w kreśleniu stanów duszy, rozwoju psychologicznego, w malowaniu drobnych rysów, drobnych nieraz charakterów. Ale zamiłowanie autora do swego drobnego światka i nas porywa; on kocha maluczkich i chętnie z nimi obcuje, chociaż tyradami humanitarnemi nie szafuje;

stała ta mieszczańska, dickensowska obserwacya, w kontraście żywym do Kraszewskiego, który pod lupę niczego nigdy nie brał, jednała autorowi sympatye czytelników.

Mniej udawały się powieści historyczne z czasów Stanisławowskich; najlepsza między nimi najkrótsza, „Konfederat“, o mieszczaninie - patryocie, dobywającym obcych papierów szlacheckich, aby módz tylko walczyć w szeregach barskich: nie było w nich miejsca dla powolnego przekształcania się charakteru, jakie się w zetknięciu z realnością dokonywa — ulubiony Zacharyasiewicza temat, przyczem wiele iluzyi odpada. Tej szkoły życiowej nie wystawiał jednak nigdy w owych grubych, nieraz aż karykaturalnych rysach Jeżowych: wybuchów namiętności i sarkazmów zbytnich nie dopuszczał jego temperament chłodny; bladością sylwetek a rozwlekłością akcyi i dykcyi grzeszą najbardziej jego powieści, choćby ostatnie, np. „Tajemnica Stefanii“, naturalnie miłosna.

Żywiej występował drugi dzisiejszy Nestor piśmiennictwa warszawskiego, **Adam Pług** (Antoni Pietkiewicz), po zawodzie pedagogicznym redaktor „Kłosów“ warszawskich, potem „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“ i felietonu „Kuryera Warszawskiego“, jedyny, który uniknął gromów, jakich Kraszewskiemu, cóż dopiero Zacharyasiewiczowi, „pseudopostępowcom“ najmłodsi nasi nie skąpili. Prawda, zbytnio się on nie eksponował nigdy, i jego dorobek literacki objętością nie dorównywa wcale okazałemu pocztowi liczb u tamtych. Rówieśnik to jeszcze i przyjaciel Syrokomli, chociaż litewskie strony wcześnie na kijowskie zamienił; wiązał się potem z „Gwiazdą Kijowską“ i w szeregi chłopomaństwa wstępował. To demokratyczne zacięcie nie opuściło jego prac wierszem i prozą, z życia ludu i z kontrastów stanowych czerpanych, ciągnących się od r. 1847 jeszcze — ale w późniejszych latach czynność redaktorska głównie mu siły pochłaniała.

W szóstym dziesiątku, przed uwłaszczeniem, gdy kwestya chłopska nie schodziła ze stołu, tendencyjne pisywał powieści, wierszem i prozą, w „Dzieciobójcy“, „Marcinie Futorniku“, w „Duchu i Krwi“ (1859 r.), akcie oskarżenia przesądów arystokratycznych, uwielbienia szlachetności serc i myśli u niższych i ludu; „Piastunka“ była obrazem bezwzględnego poświęcenia kobiety z ludu dla rodziny szlacheckiej. Te kontrasty społeczne, mniej jaskrawie, przeniósł i do innych sfer, w „Oficyaliście“ i w „Bakałarzach“, między panów, nieraz grubo niesprawiedliwych dla swych oficyalistów, i kreśląc smutny stan nauczycieli prywatnych, z których bytu i nowsi powieściopisarze (Stanisław Grudziński „Pod szczęśliwą gwiazdą„; Józefat Nowiński „Świat i marzenie“) niejedno efektowniejsze wynieśli opowiadanie. I powieści Pługa grzeszą nieraz rozwlekłością w opowiadaniu i dyalogu, przesadzają w liryzmie i sarkazmach. Najpiękniejszą pozostanie idyla drobnoszlachecka, zaściankowa, „Sroczka“.

Zresztą występowali z powodzeniem gawędziarze, Berlicz Sas (hr. Strutyński), opowiadający najwymowniej o ludziach „Ze starego autoramentu“, w „Mozaice“ o panu Mokosieju Denisku, co ze sługami „komediju ihraje“ i na kurhany szeptów słuchać chodzi, z tradycyi rodowych, sięgajac i w najświeższe czasy i konflikty, bez większej sztuki, po domowemu, z szlachetną tendencyą; albo Bodzantowicz - Suffczyński, wybierający „zawsze ich“, bohaterów barskich i kościuszkowskich, zarzucający nieraz całkiem formę powieściową.

Gawędziarzem w gruncie był i **Jordan** (Julian Wieniawski), z satyrycznem zacięciem w „Wędrówkach delegata“ (Towarzystwa Kredytowego między bracią szlachtą dla nowego otaksowania posiadłości): satyra i humorystyka to jeszcze bardzo prymitywna, po Blichtrowach, Łgarzewach i Kuflewach siedzą, piją i procesują się Pływalski, Pieniacki, Szczujski i t. d.; w późniejszych jego utworach — a przeszedł Wieniawski nie bez powodzenia i na scenę komiczną — satyra mniej zgryźliwa, humor większych praw nabywa, obserwacya dokładniejsza, obfitsza; komedye jednak nad farsy nie wznoszą się wiele, ze śmiechem zdrowym, dobrodusznym, pogodne.

Nierównie wyższym talentem wyposażyła natura **Jana Lama,** kronikarza niegdyś „Gazety Narodowej“, potem z jej redaktorem, Dobrzańskim, co niedziela staczającego boje w kronikach „Dziennika Polskiego“. W tej pracy dziennikarskiej, urozmaiconej przez konfiskaty c.-kr. prokuratoryi, wyszafował Lam nieoględnie swój talent, chociaż zdobywał się obok niej na skupianie siły twórczej, najpierw w krótszych obrazkach, potem w pretensyonalnych nieco powieściach. Najudatniejsze, najkomiczniejsze, jedna z pereł humoreski polskiej, to „Panna Emilia czyli wielki świat Capowic“, przerażenie, z jakiem Wencel Precliczek, wzór c.-kr. urzędnika, córkę na konszachtach z „powstanckim“ łapie; całe otoczenie tej biurokracyi na partykularzu oddane znakomicie. Już

„Koroniarz w Galicyi“, temat pokrewny, był znacznie słabszy. W większych powieściach, „Głowach do pozłoty“ i t. d. rozwadniał nadto Lam i rozprowadzał przebłyski swego talentu satyrycznego, i fabuły nie były najszczęśliwiej obmyślane i idei zasadnicze nie zbyt ważne; do ruchu politycznego i społecznego w Galicyi w latach 1870 — 1880 znamienne są tam przyczynki i nie wtajemniczonego w te dzieje nie bardzo one wzruszyć potrafią.

O wiele niżej, jako powieściopisarz, próbujący sił w historycznym, społecznym, satyrycznym romansie stanął jego kolega-dziennikarz, Józef Rogosz, tworzący szybko, łatwo, bez trwałych sukcesów.

Z autorek - kobiet, coraz liczniejszych, uprawiała pani Walerya Marrené - Morzkowska niwę, na której już Zacharyasiewicz pracował, tematy erotyczne w coraz nowych waryacyach, w „Auguście“, „Mężu Leonory“ i t. d. Talent jej niewyczerpany, głębokich tragedyi i konfliktów jednak unika; z czasem dochodzi autorka do coraz bardziej pesymistycznych wywodów, pokazuje, jak niemiłosiernie Świat Rzeźbiarz z charakterami i aluzyami się obchodzi, chociaż romans względnie szczęśliwie się kończy, Numa przy Pompiliuszu zostaje, ależ jak oskubano oboje! Pani Morzkowska przeszła od powieści na pole folkloru i popularyzowania nauki.

Najwyżej wzniosła się **Eliza Orzeszkowa.** Losy jej autorstwa podobne są nieco do losów Konopnickiej. Nie dane było obiem zabłysnąć odrazu wielkim talentem; zamiast przedmiotowości, uczucia, poezyi, zdawało się, że gruba nieraz tendencya zapełniać będzie ich karty, zabije ich zdolności; gdy poetka za organicznikami i ludowcami dążyła, pochłaniała powieściopisarkę walka o emancypacyę kobiety. Małem dzieckiem już objawiała ona popędy artystyczno - twórcze, uprawiała z siostrzyczką udramatyzowanie rozmaitych tematów; zwykły tryb wychowania i życia córki obywatelskiej zagłuszały chyba te próby i zajęcia; miały one dopiero odżyć, gdy panna Pawłowska za mąż wyszła. Były to lata przełomowe na Litwie; uwłaszczenie włościan poruszało umysły, wychodziły na jaw sprzeczności, łączyli się jedni i drudzy, w imię stanowych interesów czy w imię sprawiedliwości i ludzkości. Za emancypacyą włościan i za katastrofą polityczną poszły nowe: zniesienie pańszczyzny obniżyło strasznie wartość dóbr i stopę życia szlacheckiego; darmochy wszelkie ustały, „dusze“ należały do siebie, nie do panów, i każdą ich robotę należało opłacać; dawna patryarchalna gospo-

darka wyprowadzała chyba z torbami, a do innej, postępowej, nie nawyknięto jeszcze.

Dowodzi to zasobów kulturalnych szlachty, że ona tę katastrofę, spotęgowaną inną, przetrwała, ale najfatalniej odbił się przewrót na kobietach. Wychowane dawnym trybem, z „talentami“ towarzyskimi, żadnych nie posiadały, o samoistności marzyć nie mogły, a tu wymykały się wszelkie widoki wyjścia za mąż, jedynej karyery dla córki obywatelskiej, skoro nie tylko wobec zniesienia pańszczyzny życie coraz trudniejszem, założenie nowego ogniska domowego coraz ryzykowniejszem się stawało, lecz poprostu całe okolice z młodzieży męskiej się wyludniały.

W takich warunkach chwyciła Orzeszkowa za pióro i po próbach, ogłoszonych i nieogłoszonych, wydała w przeciągu paru lat (1869 — 1872) kilka obszernych romansów i nowel - powieści i wysunęła się od razu na czoło piszących, wywołała entuzyazmy i najsurowsze oceny. Nie o artystyczną stronę tych dzieł walkę toczono, szło o rzecz samą — znaczne braki techniczne tych powieści w niczem nie uszczupliły ich olbrzymiego wrażenia, niektóre z nich stawały się niby ewangelią w nowej walce i działały za granicą równie silnie; „Marty“ używały niemieckie emancypantki poprostu, jako środka agitacyjnego. Powieści biły przeciwko tradycyjnemu unieruchomieniu kobiety, stworzonej na to, aby cierpliwie, poszcząc i odprawiając wotywy, czekała na upragnionego Adonisa, który ją przed ołtarz zaprowadzi, aby potem przy nim wieku dokołatała, bez względu na to, że Adonis się bydłem albo łotrem odsłoni: to nazywało się w teoryi uświęceniem ogniska domowego; hasła jej były: kochajcie i wytrwajcie. Orzeszkowa wystawiła przeciw tej teoryi fakty: a jeśli się niema nikogo do kochania? a jeśli wytrwać nie można?

Dziewczę, któremu „dobre wychowanie“ oczu na świat nie otworzyło, nieświadome, niewinne, wyszło za „Pana Grabę“, który jest też tylko niewinnym produktem modnego wychowania; od dzieciństwa wkładano mu w serce miłość blasku i próżności, a siły sposobiono do próżniactwa, matka, dama światowa, na wybryki synka groziła mu filuternie, oj, ty figlarzu! a ojciec, filozof użycia, wtajemniczał go chyba w tę filozofię, i stał się z niego szuler, nikczemnik i do niego przykuta na całe życie osoba czysta, szlachetna, wzniosła, a gdy śmie się świętemu ojcu Innocentemu poskarżyć i o poradę pytać, nwymyślają jej od buntowania się przeciw woli Bożej. „Wac-

ławie", tak samo wychowanej, pod wpływem zawodu otworzyły się wcześniej oczy; nim się w kajdany niegodne zakuła, zerwała z narzeczonym, a gdy ją bogata krewna za sprzeciwianie się jej zamiarom matrymonialnym wydziedziczyła, zarabia własną pracą na utrzymanie matki i swoje, jako nauczycielka; staje się pożytecznym, godnym członkiem społeczeństwa; z towarzyszek jej jedna zakłada introligatornie, te zaś, które nie miały siły czy odwagi dla torowania sobie drogi własnej, giną fizycznie lub moralnie. Ale obu powieściom szkodziła rozwlekłość („Dziennik Wacławy", to cztery tomy!) i widoczna przesada, np. w malowaniu pana Graby, którego dosyć oczernić nie mogła autorka, aby tem pełniejszym blaskiem odbijała jego ofiara. Tem skuteczniejszą była „Marta". Krytyka mogła wzruszyć ramionami na ten fakt z kroniki policyjnej, nie układający się w żadne ramy estetyczne; dla spółczesnych był to czyn społeczny, wyzwolenie, wypowiedzenie tego jawne, co wszystkim myślącym od dawna ciążyło. Marcie, wychowanej znowu, jak tamte bohaterki — Orzeszkowa odmienia przez wszystkie przypadki i liczby swój temat — szczęśliwej żonie i kochającej mateczce, mąż nagle umiera, żywiciel; ona niebawem, bez środków do życia, rzuca się na wsze strony, dawałaby lekcyi muzyki, francuszczyzny, rysunków, niczego jednak dobrze nie posiada, chwyta się w końcu najmarniejszego zarobku, ale i z niego ani sama wyżyje, ani wyżywi i wyleczy córeczki chorej; ze wstrętem odpycha wstrętne propozycye i, oszalała z bolu, bez pamięci, instynktowo, chwyta za obce pieniędze i uciekając, ginie pod kołami. Tak samo Monika („Na dnie sumienia"), chodzi, załamując ręce, po tym Bożym świecie i rozpaczliwie woła: nic nie umiem, poszukując darmo pracy, gdy jedynaczka wypieszczona i ojca i narzeczonego odrazu straciła; autorka przedstawia ojca takiej familii, jako karyatydę, dźwigającą całą gromadę osób i odzywa się do nich: a zleźcież niedołęgi i pochodźcie choć trochę o własnych siłach, lecz dodać musi: a dlaczegożeś niedołęgo nie nauczył ich chodzić na własnych nogach?

Nie wymagała Orzeszkowa rzeczy nadzwyczajnych, nie burzyła ołtarzów, nie odrywała kobiety od familii, sawantek nie chciała (żadnej też do swoich powieści nie wprowadziła nigdy), ale oburzała się przeciw zaślepieniu umyślnemu, przeciw silnym, dbałym o „świętą nienaruszalność słabości niewieściej", bo im z tem wygodnie; przecież już mistrz krakowski, Andrzej

Glaber twierdził r. 1535, jakoby mężczyźni, bacząc, iż rozum płci panieńskiej „ku nauce i wyrozumieniu wszelkiej rzeczy ostry a prędki, więcej niż otroczy (gdyż nawet dzieweczki rychlej się imują mówić, niżli chłopeczkowie), przeto oni, bojąc się swej sławy utracić, aby białe głowy rozumem ich nie przechodziły, chcąc wiele umieć, bronią im czytania pisma głębokiego, chyba modlitw a paciorków". Wołała więc głównie o poprawę, pogłębienie wychowania, nie dla jakichś zachcianek emancypacyjnych, lecz dlatego, że tylko wykształcona prawdziwie kobieta zostanie dzielną pomocnicą męża-obywatela; tylko ona zaszczepi głębsze myśli i uczucia w nowem pokoleniu; dlatego nie wahała się wystawiać co raz ofiar zgubnego wychowania, a winę tego kładła nie tylko na karb rodziny, ale powoływała do odpowiedzialności i całe społeczeństwo. Na to śmiałe apostolstwo idei humanitarnych obruszano się tem bardziej, że po drodze chłostała ona wszelką hipokryzyę niemiłosiernie; że dostawało się i zewnętrznym oznakom nabożeństwa („modląc się... potrzebowała koniecznie widzieć malowane świętych twarze"); że dowodziło się, iż wiara bez miłości prowadzi do oschłego, nielitościwego, nierozumnego ascetyzmu. Niechęć konserwatystów towarzyszyła jej odtąd stale.

Taką była pierwsza faza twórczości Orzeszkowej, całkiem tendencyjna, obracająca się w dosyć ciasnem kółku tych samych pojęć, stosunków i ludzi, które dotąd jedynie znała. Przesiedliwszy się do Grodna, widziała się otoczoną nową szarą niedolą — uderzyła ją najpierw moralna i materyalna nędza żydowstwa, zapychającego nasze miasteczka. I wystąpiła Orzeszkowa znowu, jako wymowna rzeczniczka, pokazywała wybijające się przez lodową skorupę wieków poniżenia i spodlenia, pędy odrodzenia i wystawiała z lubością obrazki poetyczne z życia tradycyjnego, ze szczególną siłą, np. w noweli o „Silnym Samsonie" — krawcu nędznym, opromienionym przecież w oczach własnych i obcych rolą Samsona, którą raz odegrał, podobnie, jak Urbanowa (w noweli Konopnickiej), nie zapomni nigdy o purpurowej szacie Heroda, co jej Jaśka raz okryła.

Z romansów jej żydowskich, ważniejszy i znamienniejszy, niż „Eli Makower", gdzie się chrześcijanie z Żydami stykają, jest „Mair Ezofowicz", gdzie Żydzi szybowscy tylko z sobą żyją. Obznajmiwszy się z trybem wychowania żydowskiego, przerażona fanatyzmem średniowiecznym, nienawiścią wyznaniową i rasową, w ja-

kiej po chederach hodują się przyszli pobożni chusyci, przez ciemnych mełamedów, na wrogów zawziętych gojów, synów tej samej ziemi, wystawiła w młodym, szlachetnym Meirze, ograniczonym jeszcze do literatury własnej, do wpływów Majmonidesa, protest przeciw tej zaślepionej jednostronności, niesprawiedliwej, pożerającej w nienawiści najlepsze siły. Temat więc niby ten sam, który Niemcewicz przed sześćdziesięciu laty w „Lejbie i Siorze“ opracował, ależ jak odbiegła od suchości „klasyka“ plastyka i poezya Orzeszkowej; z jaką siłą skreślona była namiętna, rwąca się do światła, tęskniąca za innym światem dusza bohatera; jak bogatym, miejscami natchnionym, zawsze podniosłym był język, jak bogate w szczegóły malowidła!

Zajęły autorkę te dzieje żydowskie tak silnie, że dla nich ekspatryowała się niby; ona, co nigdy do przeszłości polskiej nie sięgnęła, zwróciła się ku czasom rzymskim i wydobyła z nich między innymi krwawą sielankę, o Mirtali, Żydówce, wahającej się między Rzymianami a własnem plemieniem i jego bohaterem, Jonatanem; w gminie stają przeciw sobie zwolennicy fanatyka Szamaja i łagodnego Hillela, a otacza ją zawiść i nienawiść i pogarda Rzymian.

Nie powodziły się jedynie — równie jak Kraszewskiemu („Szalona“) — wycieczki w świat młodzieży spółczesnej, odzywającej się już na hasła kosmopolityczne, z cesarstwa płynące, idącej między lud, przywdziewającej czerwoną bluzę robotniczą, oddającej się propagandzie nowych idei, straconej dla własnej ziemi, kochającej wszystko, prócz najbliższych, obojętnej na rzeczy ojczyste, pochłoniętej rzeczami „ważniejszemi“, egzaltującej się dla mżonki, oschłej zresztą albo nawet pod płaszczem górnych haseł służącej własnej próżności, mściwości społecznej. Same tytuły tych powieści, np. „Bańki mydlane“ lub „Widma“ pouczają o stanowisku autorki, kreślącej te postaci, jak Kraszewski lub Turgieniew swoje, raczej z wyobraźni, niż z bezpośredniej obserwacyi. Nie poznała się w nich młodzież.

Życie miejskie nastręczało jej głębokim sympatyom ku wszelkim upośledzonym coraz nowe tematy, od zaniedbanych dzieci („Z różnych sfer“) aż do owej znakomitej „Jędzy“ — niesłusznie tak przezwanej, tylko dlatego, że sobie na nosie grać nie pozwalała, ofiarnej, dobrej, pracowitej, cichej, na którą jednak to szczęście spada, co tak rzadko innych bohaterów Orzeszkowej nawiedza.

Już ta nowela, bez wszelkiej tendencyi pisana, swoją szczerością podbijająca czytelnika, świadczyłaby o nadzwyczajnym talencie realistycznym autorki. Świadczyły o nim najlepiej nowe jej powieści wiejskie, o obserwacyę chłopa, o miłość przyrody silnie oparte.

I tu nie dosięgła autorka od razu wyżyn. Pisywała je ona już dawno, przed wszystkiemi innemi, i wróciła do nich na nowo. Zaczęła od takich, gdzie tendencya jeszcze może i przeważa, np. „Niziny“, z doradcą prawnym, podłym wyzyskiwaczem ciemnego tłumu, z ofiarami jego, matką nieszczęsną, któraby tak rada chorego syna - żołnierza blizko siebie zatrzymała. Coraz wyżej jednak porywała ją poezya przyrody i coraz głębiej śledziła uczucia dusz prostych, dobrych; w „Dziurdziach“ wystawiła z nadzwyczajną siłą owę Pietrusię, hożą i dobrą, na którą nierozum, zawiść, fatalny zbieg okoliczności piętno czarownicy nakłada; jak ona się daremnie temu opiera i jak ginie, niewinna całkiem, ofiarą strasznego obłędu, okultyzmu sielskiego.

Jeszcze ciekawsze i głębsze studyum „Chama“, rybaka, co przygarnął Frankę, wietrznicę miejską, co nie odepchnął nieszczęśliwej, gdy skuszona dawnem życiem jego samego znowu opuściła i znędzona strasznie wróciła kornie, aby się znowu buntować całą swą niesforną, zepsutą z gruntu naturą przeciw pobłażaniu i dobroci niewyczerpanej męża. Od chłopów rozejrzała się Orzeszkowa między zaściankami, żyjącymi, jak chłopi, lecz wynoszącymi się nad nich tradycyą odwieczną, gardzącymi nimi stale.

Na konflikcie serca i dumy oparta powieść „Bene Nati“, jedna z najlepszych, cudowna przedewszystkiem i opisami przyrody i zwięzłością, wstrzemięźliwością słowa, tak u niej niezwykłą, i świetną charakterystyką postaci, Osipowiczów i ich koligatów, aż do dziewosłęba z wytrzaskaną gębą i jego mazgaja - klienta: Salusia pokochała Jerzego, „szlachcianka“ — chama, ale nie dopuści rodzina, by za niego wyszła, rodzinę i siebie na wieki skompromitowała; i podda się Salusia ciągłym namowom i wyrzutom, ale serce jej pęknie.

Odtąd bierze Orzeszkowa rozbrat z Żydami, mieszczanami, chłopami i zaściankami, chyba przygodnie, w nowelce czy obrazku, do nich wróci, jak i do samej przyrody się uda, ukochawszy głównie świat roślinny, nieznużona jego obserwatorka. Pozatem odda się całkiem światu szlacheckiemu, z którego wyszła, którego podstawy

głęboko zachwiane, przyszłość groźna, odstępcy coraz liczniejsi. I coraz natarczywiej budzą się pytania, co będzie, jak niebezpieczeństwu zaradzać, czy mają nasze hasła siłę ożywczą, nie strupieszałyż one, czy miejsca ich nie winny zająć inne, ponętniejsze, wygodniejsze; czy opłaci się jeszcze nużąca robota, bez widoków lepszej przyszłości? Tym pytaniom są poświęcone jej romanse i nowele, od najobszerniejszego „Nad Niemnem“, do ostatniego, „Ad astra“, pisanym do spółki z p. Romskim (pseudonim).

Długi ich szereg, nie równa ich wartość; linia ich spuszcza się od jednej wyżyny, „Nad Niemnem“, dosyć nizko, aby się znowu wznieść w natchnionych dytyrambach przyrody i kraju w „Ad astra“.

„Nad Niemnem“, epopea teraźniejszości litewskiej, jak „Pan Tadeusz“ jej przeszłości, nastrojona smętnie, nie beznadziejnie jednak; splecione w nich dzieje i tradycye zaścianku, Bohatyrowiczów, szlachty, Korczyńskich, arystokracyi, Różyców. Sfer arystokratycznych unikała Orzeszkowa, chyba w celach satyrycznych zwróciła się do „Czółno Don Don Pompalińskich“, przypominających jednak dawną jej manierę z „Pana Graby“ i „Dziennika Wacławy“ rozwlekłością i jaskrawością stylu. „Nad Niemnem“ celuje opisowością, krajobrazy oddane z taką wirtuozyą, tyle ciepła w nie włożono- że ustępują chyba tylko obrazom puszczy białowieskiej z „Ad astra“; z równą dokładnością skreślone najrozmaitsze typy od zblazowanego nieco artysty - arystokraty aż do pełnego życia i sił Bohaterowicza, co rękę pięknej i bogatej panny osiągnie — a obok nich najrozmaitsi, kobiety - histeryczki, utrapienie własnych i obcych nerwów, mężczyźni zrezygnowani, złamani losem, podtrzymujący machinalnie ład zewnętrzny i w nim zaskorupieni, młodzi, rwący się przeciw temu składaniu rąk. I wyłania się gorące napomnienie skupiania sił — gromada rzecz wielka — i trzymania się ziemi - matki, w imię świętych tradycyi, mimo wszelkich drągów, kładzionych w szprychy wozu (i Orzeszkowa posługuje się z lubością mową alegoryczną, jak Jeż lub Szczedrin).

Odtąd temat przywiązania do swego i swoich będzie zasadniczym; odzywa on się wymownie w zbiorach nowel i szkiców pod tytułami: „Pierwotni“, „Melancholicy“, „Iskry“, „Chwile“ (tu najmniej). „Pierwotni“ to ci, którzy dla egoizmu wyrzekają się wszystkiego, kosmopolici, dla własnej wygody depcący, co się z najpierwotniejszymi, brutalnymi instynktami nie zgadza; „Melancholicy“ to rozczarowani, znachodzący sens życia i ujście przed groźnemi widmami śmierci i unicestwienia w miłości bliźniego; „Iskry“, zasypane od lat wielu popiołem z rozmaitych „pasztetów życiowych“, przypadek jakiś, wspomnienie, obrazek, melodya, wydobywa i rozdmuchuje, i w ich świetle dochodzą bohaterowie do poczucia tego, czego się wyzuli, ci złamani przez życie, zobojętnieli dawno, i odwracają się z przerażeniem od pustkowia, które dotąd życiem nazywali; „Chwile“ uniesienia, zapomnienia zdziałają, na coby się życie całe nie zdobyło.

Z takich to pierwotnych, melancholików, kosmopolitów, łowców zachłannych wszelakich „pasztetów“, co odrzucili i myśl o malowanych czerepach i cerowanych skarpetkach (o przynależności jakiejś do ludu, ziemi, rodziny; o sumieniu, honorze, obowiązku) wychodzą bohaterowie ostatnich romansów Orzeszkowej, tendencyjnych, jak jej pierwsze, w obserwacyę bezpośrednią nie bogatych, nieraz znowu rozwlekłych i jaskrawych, nawianych nawet literaturą, nie zawsze życiem samem.

„Dwa Bieguny“ powtarzają, w Gronowskim i Sewerynie, Płoszowskiego i Anielę z „Bez Dogmatu“, tylko Seweryna to nie bierna ofiara splinu i nudów sybaryty - arystokraty, rozprózniaczonego od samego wychowania: świadoma obowiązków, poświęci im miłość jałową Gronowskiego i odda się owocnej pracy, budząc u młodego pokolenia uczucia, snując nici tradycyi.

„Australczyk“ Roman zbogacił się za granicą, lecz bogactwa nie wypełnią mu próżni istnienia, i wróci on do swoich, do Darnowa; tam przejęli się Tołstowską chyba ewangelią pracy fizycznej, Bożej: on ich nie rozumie zrazu, i romans kreśli przełom, jakiego w nim ich przykład dokonywa. Darwid goni za złotem runem milionów; nowożytny „Argonauta“ celu dopiął, lecz po drodze owej zaniedbał rodzinę zupełnie, stał się jej obcym, jak ona jemu, każde z nich ugania się, za miłością występną, za użyciem o każdą cenę, za pieniądzem, za najnowszymi wymysłami obcymi; serce Darwida wysycha, żyje jeszcze miłością ku najmłodszej córce, i, gdy mu ją śmierć odbiera, nie widzi Darwid celu dalszego życia; gdy tamci nie rozumieją wcale jego tęsknoty i pragnień, ginie on samobójstwem.

W „Ad astra“ uczony poświęcił się zupełnie badaniom i nauce; z wyżyn jej i ewolucyi światowej spogląda z lekceważeniem i litością na czepiających się w Krasawcu wszelkich ułud dawnych, ale i on samemi abstrakcyami, zdobyczami myśli nie wyżyje; i u niego odzywa się boleśnie organ szczątkowy serca i daremnie odgania on owe pokusy, trapiące go najbardziej w chwilach reakcyi i apatyi; nawraca go romantyczka, która cel życia w miłości swoich i swego, na pysznem tle przyrody, znalazła.

Tory powieści Orzeszkowej są dziwnie jednolite; poczęły się w tendencyi i nie wyrzekły jej się nigdy. Sztuka jej rozwijała się powoli, jak i jej widokrąg; obejmował on na razie otoczenie najbliższe; pytania wstrząsały autorką samą, nie od fantazyi, lecz od życia ku swym powieściom kroczącej; pytania te dotykały małżeństwa, rodziny, wychowania, losu kobiet. Powoli obejmował widokrąg coraz nowe okolice i widoki, miejskie, żydowskie i sielskie; tendencye humanitarne, opieka nad słabymi, uciemiężonymi przez niedolę, przesądy, zacofanie; gorąca miłość bliźniego, przemawiały z nich coraz śmielej i wymowniej.

Rosnące niebezpieczeństwo zwróciło baczność autorki ponownie i ostatecznie ku sferom najbliższym, tracącym coraz grunt pod nogami, materyalny, przez straszne uszczuplenie ojcowizny; idealny, przez straszne zubożenie, wyczerpanie się siły odpornej; nowi przybysze zabierają ziemię, nowe idee głowy i serca — cóż będzie? I nachodzi nieraz zwątpienie autorkę, ale otrząsa się ona rychło: temperament to męski, wojowniczy, nie darmo zawsze w pierwszym szeregu występowała. I hasła jej ożywcze, słowa mądre a ciepłe, rada zdrowa i rozumna. I długo czerpać będą z jej powieści pokrzepienia i otuchy wszyscy znużeni, wątpiący.

A sztuka jej? Nie wypiera się kobiety i jej słabości. Więc chętnie idealizuje, nawet Jerzego może z „Bene Nati“, nie mówiąc o heroinach i ostatniej (z „Ad astra“); więc retoryka, patetyczność, deklamacya raziły wręcz w utworach początkowych, w owych zwrotach autorskich, morałach i niby dopiskach; nawet w scenach miłosnych w retorykę wpada stale — otrząsa się z niej w niewielu dziełach zupełnie; więc wielkich obrazów, silnych konfliktów nie tworzy, brak jej dziełom rozmachu czy powiewu epickiego. Za to obserwuje, bada, pilnie, uważnie; nie gubi się w drobnostkach; jest realistką, ale od wszelkiego poziomego naturalizmu daleka, nie skala niczem wyobraźni, nie ubliży uczuciu — u naszych autorek rozumie się to samo przez się, tylko u Niemców najwyuzdaniej autorki pisują.

Charaktery tworzy dzielne, silne, skupione — maluje i przeciwne udatnie. Uwielbia przyrodę, widoki jej nadniemeńskie, z życia łąk i pól, albo białowieskie, należą do najpiękniejszych krajobrazów naszej literatury. Litwinka ona, jak Mickiewicz lub Syrokomla Litwini; wrosła silnie w swą ziemię, z niej czerpie sił i soków; wyrosła wysoko, znana i ceniona za granicą, w Rosyi i u Niemców, kiedy o Sienkiewiczu było jeszcze głucho, a Kraszewskim imponować nie mogliśmy. Z Orzeszkowej i Konopnickiej dumną być może nasza literatura, im równia nie każda literatura, choć wielka, posiada; społeczeństwo szlacheckie, które takiego demokratę, jak Orzeszkowa, wydało, nie zmarniało.

Humorem nie obdarzają muzy autorek; przymiot to męski, niedostaje go w uczuciowych dziełach Orzeszkowej, jak go ogółem w naszej literaturze nowej — inaczej całkiem było w dawnej, jowialnej — niewiele; posiada go „Pan Tadeusz“, obcy on Słowackiemu.

Na humorystę o wysokiej skali kierował się długi czas, tak przynajmniej się zdawało, **Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).** I to pozytywista, jak wszyscy znakomici uczniowie Szkoły Głównej, Świętochowski i inni; i on wprzęga się rychło do pracy dziennikarskiej, jako kronikarz ceniony i wytrwał aż do końca na tem stanowisku, na tem obserwatoryum społecznem, ręki od pulsu społecznego nie odrywając, ciągle licząc, zbierając, badając liczby i fakty, nie pobłażając swoim dilektom, coraz wyżej swe ideały społeczne stawiając. Od kronikarza zawodowego do humorysty przeskok nie był nagły i z humorystycznemi nowelami i opowiadaniami wystąpił on na pole belletrystyki. Pisarz to nie zbyt płodny; dopiero późniejszy dorobek literacki obejmował dzieła większe, i całe lata je przegradzały. Obserwacya humorysty rozpraszała się wszędzie, pyszną humoreskę, z owym fatalnym „Taty szlug“ („Na pograniczu“) utworzył nawet na tle przemytnictwa; bohaterami jego bywały dzieci i podlotki; awansowały na nich i zwierzęta, przemądry Kurta, tak dzielnie - śpiący i przez sen nawet filozofujący, koniki; ożywiała się cała przyroda, nawet chmury i wiatry natrząsały się u niego z nieporadnych i opuszczonych. „Przygoda Stasia“ i krótki tryumf pana sędziego z ojcowstwa mogły jeszcze całkiem za humorystyczne uchodzić; w innych już tylko

poszczególne figury czy epizody humorystycznemi bywały (np. w pretensyonalnych nieco „Duszach w niewoli"); jeszcze w innych ulatniał się całkowicie humor, nasuwały się i dopełniały ciche, tem bardziej dojmujące tragedye, np. w „Antku", nie do roli stworzonym, naturze raczej artystycznej, czego nie tylko jego wyroby ręczne, lecz jeszcze bardziej wizya wójtowej dowodzi; albo w skazanej na śmierć przedwczesną, ofierze lekkomyślności ojcowskiej, „Anielce" i jej nieszczęśliwym piesku. Przeciwnie, niż u Orzeszkowej, nie istnieją dla niego krajobrazy; przyrodę zna tylko w bezpośrednim stosunku do człowieka, osobnego zmysłu dla niej, jak i Dickens lub Dostojewskij, wcale nie posiada. Pochłania go całkowicie człowiek, miłość bliźniego, sympatya ku małym, antypatya ku możnym, niepomnym przykazań boskich i ludzkich. Więc konflikty takie, jak fabrykanta, wyzyskującego robotników i dotkniętego srogą karą losów („Powracająca fala"); konflikty, a raczej brak wszelkiej łączności między dworem a chłopem; między sferą rozprożniaczoną a pojmującą życie seryo; między postępem a rutyną i wstecznictwem.

W kreśleniu tych walk nie zawsze nawet miarę artystyczną zachowa, skupi światło i cienie nie równomiernie. Przekonanego rzecznika postępu, nie uznającego kompromisów, prawd dotkliwych nie skąpiącego, witają z uniesieniem młodzi i dla tendencyi wybaczają mu wszystkie niedobory, wyolbrzymiają idei i postaci i ich znaczenie.

Pierwszy donośny tryumf, to tryumf „Placówki" i jej Ślimaka. Nazwisko bohatera fatalne, i on sam nie lepszy, ale za to prawdziwy, ten chłop słowiański, między Niemcami, posiadającymi już przyległe grunty, czyhającymi na jego spłacheć, niezbędny im dla przeprowadzenia racyonalnej melioracyi. I po dobremu i na udry idąc wyzuliby go za pieniądze z ojcowizny, ale Ślimak nie ustąpi, a gdyby jego upór osłabnął, upór baby zwycięży. Przymioty jego, chyba nieporadność, atawistyczny brak energii, potrzeba spoczynku nieodzowna w najniestosowniejszej chwili, niespokojne rzucanie się na wsze strony w razie przypadku; już baba jego i ruchliwsza i sprytniejsza i wygadana, i tylko respekt przed jego kułakiem każe się jej hamować. Zawiśli oni od przyrody, matka - ziemia ma ich całkiem we władzy, instynkt każe się im jej trzymać do ostatniego wysiłku. Jakżeż marniejsi od nich ci z dworu, letkiewicze, próżniacy, apatyczni; o ileż nieszczęśliwsi te popychadła wiejskie,

idyotka Zośka z dzieckiem, nad którem się chyba Maciek pastuch zmiłuje, nędza nad nędzą jeszcze dotkliwszą. Była to na długo najlepsza powieść chłopska, ale jednostronna, jak gorączka emigracyjna niebawem pokazała.

„Placówka" to raczej nowela. Pierwszy wielki romans to „Lalka", z chybionym bohaterem i nie ciekawym problemem. Wokulski - inżynier, dobijający się o rękę krasawicy - arystokratki, z powodu marnej pannicy ginący dla tych zadań, do których całe życie dostrajał, to romantyczny chochoł, nie synteza nadzwyczajna, kreacya znamienna, jak Płoszowski czy Judym, to nie typ, lecz słabeusz, i bardzo się dziwimy, że taki dzielny Rzecki nie poznał się lepiej na ptaszku nizkiego bardzo lotu, Rzecki, o wiele od niego, Wokulskiego, sympatyczniejszy, tęższy, wyższy, chociaż były żołnierz z kampanii węgierskiej ponad subjektostwo w sklepie Minclowym nie wyszedł. I „Lalka" wcale nie ciekawa, ot sobie konwencyonalna. Szczegóły, epizodyczne postaci czytelnika zachwycają. Jako całość, jeszcze mniej następny, jeszcze obszerniejszy romans, „Emancypantki", zadowolić może; o kompozycyi nawet i mowy niema; zato pyszny typ kobiecy, owa Madzia, nie inteligencyą, lecz sercem wyższa od wszystkich i dlatego im obca, jeden z najpiękniejszych, najgłębszych typów kobiecych, jakie kiedykolwiek powieść polska stworzyła. I znowu epizodyczne obrazy, z nadzwyczajną nieraz drastycznością skreślone, odszkodują nas za całość, przeciw wybrykom emancypacyi ostro skierowaną.

Jednolitością kompozycyi odznacza się dopiero „Faraon", z dziejów — staroegipskich, rywalizujący z Ebersem, zostawiający daleko za sobą „Uardę" i inne, wysmażone w tygielku profesorskim pseudoromanse. Powieść nadzwyczaj zajmująca awanturami swojemi i zyskałaby nawet, jeśliby autor mniej erudycyą szafował, liczenie miesiącami egipskimi nam podarował, jak i owe przypiski o autentyczności tekstów przytaczanych, niby ostrzegające czytelnika, że wszystko inne to blaga. Ale „Faraon" to powieść nie tylko zajmująca, ma ona podkład głęboki,—tacy bowiem, jak Faraon, bywali, siedzieli na tronach nieraz; niedaleko chodząc, pierwszy samozwaniec mógł był za model służyć, letkiewicz, kobieciarz przedewszystkiem, energiczny, wojowniczy, odczuwający — przed innymi — konieczność radykalnych reform, krępowany istniejącym „boskim" porządkiem, zżymający się na autorytet obcy, ciążący mu dotkliwie, postanawiający się z niego bądźcobądź zrzucić i ginący w nierównej,

przedwczesnej walce, z winy, a raczej nieopatrzności własnej. Lecz ofiara jego nie bezowocna; ci sami, co w imię zagrożonego porządku jego zwalczali i zwyciężyli, zaczną wykonywać, co on zamierzał, nie tak nagle i hałaśliwie, lecz nie mniej radykalnie; ofiara postępu ginie, postęp tryumfuje. Ten szlachetny optymizm Prusa nadaje tej powieści, nie licującej pozornie z całym jego trybem, od przeszłości wszelkiej odwróconym, piętno osobliwsze, czyni ją niby alegoryą, niby hymnem na cześć prawdziwego postępu, nie wstrzymanego żadnymi kruczkami, zboczeniami, katastrofami.

Powieść polska dokonała już była kilka zwrotów. Za Kraszewskiego i Zacharyasiewicza zabarwiał mianowicie społeczną, idealizm — bohaterowie jej mogli błądzić, a nawet ginąć, satyryczne przebłyski mogły się pojawiać, niejedna scena tchnąć realizmem, mimo to nie zapierał się autor idealizowania i bohaterów i faktów, kierunków, jakie przedstawiali, i rozmów, jakie toczyli; i autor nie taił się z jawną niechęcią przeciwko temu wszystkiemu, czego nie chwalił, nie rozumiał, nie doceniał, rozmaitych przejawów życia i myśli, np. ruchu emancypacyjnego i pozytywnego; stąd ta stronniczość Kraszewskiego, np. w kreśleniu „Szalonej“, stąd oburzenie „młodych“ przeciwko „pseudopostępowcom“, niedowierzanie ich bohaterom i ideałom. Za Jeża i Orzeszkowej była ta idealizuiąca powieść całkiem tendencyjną; tylko wrodzony Orzeszkowej artyzm i zmysł prawdy wzbijał się nieraz wysoko ponad wszelkie programy i dydaktykę dla społeczeństwa; tworzył, bo odczuwał, piękno; realistycznym z zasady nie był. Takim stał się dopiero u Prusa; ale od tendencyi i Prus nie wolny, chociaż u niego ona raczej ukryta, nie narzuca się ani bróździ coraz, jak u poprzedników; ona zabarwia tylko, rozpływając się sama, ową falą obserwacyi z jej rozpędem ku realizmowi.

Na wyżyny obrazowości i artyzmu wznosi się ta powieść u **Henryka Sienkiewicza.** I on zaczął, uczeń Szkoły Głównej, jak koledzy, od pracy dziennikarskiej od felietonów i kronik w „Gazecie Polskiej“, gdy pierwsze jego debiuty powieściopisarskie, „Humoreski z teki Worszyłły“ i powieść ze studenteryi kijowskiej, „Na marne“, uwagi ogółu nań nie zwróciły. **Litwos,** obok kronik, zaczął ponownie, od r. 1875, nowele pisywać i one to zdobyły mu pierwszą popularność, na razie między młodymi.

W nowelach tych („Szkice Węglem“ i inne), mimo na ogół pesymistycznego ich nastroju, uderzała łatwość, z jaką się autor na

rozmaitych polach poruszał, czując się wszędzie, jak w domu; uderzała pewność i zamaszystość rysunku, a soczystość słowa, odbijająca od bezbarwności naszych „idealistów“, Kraszewskiego czy Zacharyasiewicza, od rubaszności Jeża, od wielomówności autorek. Ta siła słowa, szczerość uczucia, humor znakomity nadawały czy „Staremu Słudze“ i „Hani“, czy ustępowi z „Pamiętników nauczyciela poznańskiego“, czy niezrównanemu „Bartkowi Zwycięzcy“, nadzwyczajnego uroku; przeważały nuty tęskne i wyrzuty, w „Janku Muzykancie“, w losach Rzepowej; nawet Bartek, co się pod Gravelotte tak odznaczył, strasznie zmalał w domu; wyrzuty te godziły ostatecznie w inteligencyę, trwożliwą, sobkowską, nieopatrzną, obcą ludowi i nie umiejącą z nim iść.

Nie ugrzązł jednak autor w owym tanim pesymizmie organicznika i postępowca; wyrwał go był z niego sam wyjazd do Ameryki, skąd świetne „Listy z podróży“, docierającej do Kalifornii, Litwos pisywał, otrząsnąwszy się z brukowego życia warszawskiego, filisterskiego. Po długiej nieobecności wrócił on wprawdzie do dziennikarstwa, wziął znowu do rąk „chochlikową lutnię“, ale do taczki kronikarskiej już się nie dał zaprządz. Próbował sił w dramacie („Czyja wina“; „Na jedną kartę“), bez powodzenia; coraz bardziej uwydatniało się przeobrażenie byłego postępowca i pozytywisty w konserwatywnego szlachcica; ku szlacheckim ideałom, ku dawnej świetności, od obecnej szarzyzny i marności, ku bohaterom od otaczających liliputów odrywało go coraz bardziej.

Szkice Kubali dolały oliwy do ognia; już r. 1880 pojawiła się nowela historyczna, „Niewola Tatarska“, w której Imp. Zdanoborski o regulusowej swojej wytrwałości opowiadał — nie zwrócono na nią uwagi, chyba krytyka postępowa odmówiła autorowi zdolności do... odtwarzania przeszłości!... Ależ nie krytyki rzeczą, przepisywać autorowi, co ma a czego niema robić — wie o tem tylko autor.

W maju r. 1883 zaczęło się w odcinku „Słowa“ warszawskiego i „Czasu“ krakowskiego pojawiać „Ogniem i Mieczem“; w krótkich odstępach potem dalsze części trylogii, „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“. Były to właśnie czasy zupełnej prostracyi romansu historycznego, owego bastarda romansu i historyi (owej „prawdziwej“ kawy figowej), to obrażającego poczucie prawdy, to schodzącego na suchą kronikę, i nie Kraszewskiego stać było na ożywienie martwej formy. Powodzenia więc nowej powieści nikt nie wróżył,

litowano się nad nieopatrznem przeliczaniem się z siłami, nad płochym zamiarem wskrzeszania spopielonej przeszłości, nad marnowaniem sił daremnem.

Przepowiednie jednak krytyczne sprawdzają się nieraz, jak meteorologiczne, t. j. na wspak. Zajęcie powieścią rosło z dnia na dzień, przybierało niesłychane u nas dotąd nigdy rozmiary, rozgorączkowało poprostu czytelników, zasypujących autora listami, prośbami, wskazówkami, radami; zapał, wzniecony „Ogniem i Mieczem“, przetrwał nawet „Potop“ i „Pana Wołodyjowskiego“, przekroczył szranki literatury polskiej, udzielił się zagranicy, która trylogię, mimo jej przerażających rozmiarów (po cztery, sześć i trzy tomy) z radością wita. W czemżeż polega tajemnica tego niesłychanego sukcesu u nas i obcych?

Dotychczasowy nasz romans historyczny grzeszył przedewszystkiem wyborem tematu i opracowaniem jego. Romans historyczny, toć to epos, a epopei nie wypełnią nigdy losy różnych filistrów i dusigroszów czy fircyków i pędziwiatrów XVIII wieku — takimi zaś bawili nas przeważnie Kraszewski i Rzewuski. Trafny instynkt odwiódł Sienkiewicza całkiem w inne strony, w wiek XVII, jedyny u nas bogaty w najdramatyczniejsze przejścia, w kataklizmy niesłychane, w awantury heroiczne, utrzymujący się w duchu i tonie epicznym.

Poprzednicy zadowalali się czasami Poniatowskiego głównie, rzadziej saskimi; ale z münchhauzyad Panie Kochanku, ze strzelania do bab kukających Starosty Kaniowskiego, nawet z krwawych szałów hajdamackich nie sposób romansu wykrzesać, wątku tu starczy chyba na szkice czy nowele *à la* „Pamiętniki Soplicy“, i nie wyczerpuje się bynajmniej życia staropolskiego kruczkami adwokackimi, cięciami szerpentyną, libacyami alkoholicznemi, liweryą bandy albeńskiej, biczowaniem wielkopiątkowem. Tem bardziej nęci wyobraźnię artysty ów czas między r. 1648 a 1683, pełny głębokich upadków i wielkich wzlotów, heroizmu i podłości, klęsk niesłychanych i niespodziewanych tryumfów, zdrajców i męczenników; zagłuszany nieustannym szczękiem broni, grożący na przemiany ostatecznym upadkiem Rzeczypospolitej i pocieszający zupełnym rozbiciem wszystkich jej wrogów.

Na bujnych, bogato zaludnionych polach Ukrainy, gdy pług polski coraz głębiej w stepy się wżerał, fortuny wielkopańskie coraz

olbrzymiały, a wychodźtwo z przeludnionej Wielkopolski czy Mazowsza nowe etnograficzne stwarzało warunki, powstaje od razu groźne widmo upadku państwa szlacheckiego, a gdy je zażegnano spustoszeniem, ruiną Ukrainy i hekatombą miliona ludzi, wznosi owa hydra swe łby jeszcze groźniej od Północy, nie napotyka już jednolitego oporu, i niebawem widzimy cara Aleksego w Wilnie, Karola Gustawa w Krakowie, Jana Kazimierza z drobną garstką wiernych na wygnaniu, szlachtę z Radziwiłłami i Opalińskimi w łykach u najeźdcy.

Ale *fortuna variabilis, Deus mirabilis* woła Szymon Starowolski przed Szwedem; nie był jeszcze porażony szpik pacierzowy narodu, nie wysuszyłyż go czasy saskie i budzi się ten naród z chwilowego letargu; jednem uderzeniem prawicy roztrzaskał chciwego łatwej zdobyczy Rakoczego, zrzucił obce jarzma, spojrzał aż od Danii Szwedom w oczy, a Litwę wyswobodził i sam inwazyą Moskwie zagroził.

Klęskom i tryumfom ukraińskim poświęcił Sienkiewicz pierwszą część trylogii; następną walkom szwedzkim, nie wciągając do niej drugiej północnej potencyi; oblężenie Zbaraskie w owej, w tej Częstochowskie, osią powieści. W trzeciej oblężenie Kamienieckie: gdyż z osłabienia Rzeczypospolitej, z niesforności wewnętrznej, rokoszowej, uniemożliwiającej czynną akcyę na zewnątrz, skorzystał Tatar, zapuszczający swe zagony aż do Wisły niemal, jak w wieku XIII, skorzystał Turek, chcąc raz uprzątnąć zawadę polską; twierdza, którą Bóg sam zbudował i samby zdobywać winien, pada w jego ręce i wznoszą, stały u nas przy każdem niepowodzeniu, okrzyk: zdrada!

Więc coraz nowe bitwy i oblężenia wypełniają karty trylogii, i zdawałoby się, że sztuka artysty nie uchroni czytelnika od znużenia a nawet zniechęcenia. Stało się inaczej, dzięki nadzwyczajnemu talentowi twórczemu, igrającemu z przeszkodami, piętrzącemu samowolnie trudności, ażeby je tem pewniej pokonać. Atawistyczny chyba animusz rozochocił Sienkiewicza do kreślenia bojów, jakie przodkowie z równą fantazyą sami toczyli; wyobraźnia jego nie wyczerpana, nie powtórzy nigdy tych samych rysów czy szczegółów; każde jego oblężenie odmienne; każdy jego pojedynek nawet inny, czy między Zagłobą, podszytym tchórzem, a olbrzymem Burłajem, czy między równymi graczami na szable, Bohunem a Wołodyjowskim się odbywa; każda ucieczka swój właściwy ma przebieg,

czy to Zagłoba z Heleną przez morze płomieni się ratują, czy Skrzetuski między trupami w moczarach brodzi i lasami do króla umyka, czy Basia do męża ucieka przez stepy. Nic się nie powtarza; odmieniają się ludzie, krajobrazy, czasy, ale na całym przeciągu olbrzymiego dzieła nie ustaje ów rozmach epiczny, właściwa tajemnica powodzenia trylogii nawet u obcych, którzy surmy bojowe mimowoli w niej słyszą.

Nie Walter Skot to z opisywaniem turniejów, więzień, ucieczek, ze zbójcami, rycerzami, damami, z chłopem anglosaskim, żołdakiem miejskim, przekupniem żydowskim; ani to Dumas z wyperfumowanymi muszkieterami, ze strojnisiami Ludwikowymi, intrygami pałacowemi, zazdrosną grą kardynałów i królowej: wielka burza dziejowa rozszalała się w trylogii, w jej wściekłym podmuchu nie ostać nikomu, wszystko porywa, druzgoce; jeśli trafem szczęśliwym nie zapadniesz w jakie ustronie, nie przetrwasz burzy. Od takiego tła płomiennego i krwawego — a zapowiadał je wymownie ponury prolog — odbijają efektownie i drobne przejścia, potężnieją namiętności, urastają ludzie do rozmiarów posągowych, epicznych; olbrzymią falą porywa ów potop dziejowy wszystko i przewala się niewstrzymany przez kraje i lata.

Wobec takiego tła nie trzeba było wcale wysuwać jeszcze jakichś historycznych osobistości na pierwszy plan; „Jarema“ znika już w pierwszej części trylogii; o innych bohaterach głównych, spółcześni nic nie wiedzą albo wspominają ich pobieżnie, kobiety wszystkie wymyślone. Nie krępowały więc autora żadne względy, on liczył się z kilku faktami, Zbarażem czy Zborowem, zresztą był absolutnym panem swych postaci. I to im wyszło na dobre.

Wszystkie one, jak i całe tło, nadzwyczaj są malownicze i plastyczne; sztukę tę wykazywały już dawniejsze próby, teraz podniosła się ona do idealnych rozmiarów; więc w opisach przedewszystkiem, w zewnętrznej malowniczości nikt Sienkiewicza nie przewyższył; widzisz i słyszysz jego walki, narady, uczty, czy u Janusza Radziwiłła, czy na zapustach Chreptyjowskich; domy i jary; ubiór i minę; ruch masowy czy jednostki opisze on i przedstawi, jak żywe, bo myśli samymi obrazami i tak je na papier przelewa. Posiadł on wszystkie skarby języka; umyślnie nie archaizuje, mimowoli trafia w sposób myślenia i mówienia owych ludzi. Każdy z nich przemawia swoim właściwym językiem — kunszt, obcy naszym dawniejszym powieściopisarzom; kto się nieco w powieść wczytał, odgadnie ze słów samych, czy je mówi błazen - pieczeniarz Zagłoba, czy potulny a chciwo - przebiegły Rzędzian, czy ów łycar kozacki, Bohun, ze swą tęskną nutą ludową, czy krewki Wołodyjowski, czy ów sentymentalny seladon - żołnierz, czy rezolutna Basia, czy namiętny Tatarzyn; nikt u nas nie charakteryzował subtelniej tylu postaci tylu językami. I nikt tylu prawdziwych nie wystawił.

Mógł ich Kraszewski liczyć więcej, ależ jak słabo wrażają się one w naszę pamięć; z Sienkiewiczowych żadnej nie zapomnisz. Sztuką kontrastów włada on znakomicie i przez te światła i cienie uwypukla każdą postać; tracą one natychmiast na wyrazistości, skoro same światła na nich skupia, jak na Skrzetuskim czy na Oleńce; w nadmiarze tego światła zacierają się rysy indywidualne, po których człowieka jedynie poznajemy. Oto Podbipięta, Litwin, uparty, małomówny, wzdrygający się fizycznie na uprzykrzone gadulstwo koroniarza, lgnący do niego mimo to, olbrzym wzrostem i siłą, z duszą niepokalaną dziecka, z żarem rycerza krzyżowego, ciężki na ciele i myśli, stały i niewzruszony. To znowu grzeczny kawaler, gracz na szable niepospolity, pełen animuszu, zwinny, drobny raczej, śmieszy nas i wąsikami i zalotnictwem niepoprawnem. Jego przeciwnik z całkiem innego kruszcu ulany: otwarty i skryty (Wołodyjowski niczegoby ukryć nie potrafił); szczery, korny i hardy, namiętny; słodki i mściwy; wróg Polaków, bo tak wypadało, im stokroć bliższy, niż chamom, którym przywodzi. Albo Zagłoba, zdaleka niby Falstaff, stary, gruby, facecyonista, pieczeniarz, egoista, tchórzem podszyty, łgarz, warchoł jakich mało, ale bieda i trwoga dobywają z niego i animuszu rycerskiego i niewyczerpanych zasobów przebiegłości, sztuczek i figlów; starzejąc się, nawet pozory powagi patryarchalnej przybierze; drastyczna komika słów jego, wzorowanych na Pasku, na innych spółczesnych —Sienkiewicz zna ich wszystkich — ratuje każdą sytuacyę; w opisy o grozie tragicznej wplata ów kontrast — nutę jasną, wesołą, świadczącą o niewyczerpanych zasobach optymizmu, animuszu, buty szlacheckiej.

Tak dokonywa się w naszych oczach moralne odrodzenie Kmicica - Babinicza, z wywołańca i bandyty przez szereg nadludzkich niemal pokus i prób do oczyszczenia klejnotu dążącego. Niesłychane bogactwo postaci, nawet drugo- i trzeciorzędnych, wyrazistość ich ruchów i mowy; malowniczość i plastyczność opisów; tło

nadzwyczajne; przygody i przeprawy aż nadto romantyczne zapewniły trylogii owo powodzenie niesłychane, które od jednego razu zdyskredytowany zupełnie romans historyczny do nowego życia powołało.

Trzy części trylogii nie są równej wartości. Najwyżej stoi bezprzecznie pierwsza — nie tylko dla nowości wystąpienia. Jest ona najbardziej epiczną, nie waha się nawet autor środków stylowych prawdziwej epopei używać; w niej tłoczy się najwięcej, najciekawszych postaci, kontrastów, faktów. „Potop“ rozwlekłością niepomierną nuży: są tam już tylko sceny niezapomniane, od owej uczty Radziwiłłowskiej począwszy przez perypetye oblężenia Częstochowskiego. Najbardziej zacieśnia się interes w „Panu Wołodyjowskim“: sam tytuł charakterystyczny dla dzieła, sielanki historycznej dwu ludzi na tle kamienieckiem, nie wielkiego malowidła dziejowego, jakiem były poprzednie; zato najlepiej skomponowany i pełen scen nadzwyczajnego czaru, od jaskrawego tła tem bardziej odbijających.

Rozmaite czyniono Trylogii, głównie „Ogniem i Mieczem“, zarzuty. To oskarżano autora o jednostronnne uwzględnianie samych bojów, jakby one wyczerpywały życie narodowe — ależ na Rusi rzeczywiście wtedy tak było, nie z winy Sienkiewicza przecież. Oskarżano go o niesprawiedliwe szafowanie światłami i cieniami, jakby kosztem kozaków i czerni wywyższał Lachów — samym Bohunem, ba i Chmielnickim, mógłby się Sienkiewicz przeciw tej stronniczości obronić; najelementarniejsza sztuka epiczna nie dozwala przecież zbytniego poniżania przeciwnika, a jeśli on nie docenił wszystkich momentów, rozstrzygających w owej krwawej waśni, toć i nie jego było zadaniem zastąpić pracę wyczerpującą historyka — gdzież zresztą ten historyk, któryby bez uprzedzeń, bez stronniczości do kreślenia tych walk nie przystępował; czy może Kostomarow lub Kulisz?

Innym nie dawały spać reminiscencye mniemane z „Trzech Muszkieterów“ — ależ najbardziej znaczące to chyba liczba ta sama — albo od Szekspira nawet, trzebaźby tylko dowieść, że Podbipięta Francuz, a Zagłoba Anglik; to znowu żalono się na usterki chronologiczne i geograficzne, jakby one w powieści cośkolwiek znaczyły; to znowu na osobistości, np. na Jaremę i na ową imponującą scenę u krzyża, jedną z najbardziej wzruszających, — ależ magnat mógł wtedy jeszcze żywić, choćby przemijająco, podobne

uczucia, dowodem nieco później Sobieski; to nawet zarzucono, że w owem starciu na słowa Skrzetuskiego i Chmiela argumenty ich nie odsłaniają całej prawdy — ależ wzajemne inkryminacye mają zawsze na celu zgnębienie przeciwnika, nie wyłuszczenie prawdy, którego kiedyś, gdzieś, inni dopiero dokonają.

Trylogia ma pewne błędy, w kompozycyi, w szczegółach, w oświetleniu. Grzechem było przeciw przeszłości błazna Zagłobę przedzierzgać w sam kwiat rycerstwa polskiego, w jego wyrocznię, w uosobienie jego powagi i miłości ojczyzny. Kozak Bohun i Tatarzyn Azya przypominają bohaterów romantycznych, z „Agaj - chana“ Krasińskiego i z „Tarasa Bulby“ Gogola: obaj rozkochani w Laszce, dla niej ginący i usychający — nie taka była to rasa i nie takie były to czasy; kozak i Tatarzyn to nie kobieciarze przecież, nie podwiązkowi rycerze; ale efektowni oni nadzwyczaj właśnie w tym kontraście, chociaż kosztem prawdy historycznej osiągniętym. Umyślnie czy nie, wyeliminował autor zupełnie stronę religijną, która w tych walkach niepoślednią odgrywała rolę. Chmielowi i Bohunowi był obrządek obojętnym, kozacy na szczupłość rejestru zgodzić się nie mogli, lecz w głupią czerń rzucili oni hasło religijne; czerń wierzyła ślepo, że bat'ko Bohdan krasną chorągiew z archangełom rozwinął za stare błahoczestje i gnała naprzód, zawalać okopy cielskami, przekonana, że każda ofiara jeszcze tego samego dnia do raju wejdzie; strach Boży bije Lachy — otrąbiano w obozie kozackim; groza nie oszczędzała Rusinów - unitów; wieszano księży; Żydów przemocą--daremnie— nawracano.

A podobnie i w „Potopie“ przemilczano sprawę wiary, protestantyzm Radziwiłłów, tryumfy aryanów i kalwinów polskich, witanie ich uniesione króla tegoż wyznania, zdradzanie ojczyzny w imię religii. W tych i innych szczegółach czuł się Sienkiewicz widocznie krępowanym i wolał lukę zostawić, niż ją byle jak zapełniać; ponieważ nie mógł wszystkiego wypowiadać, więc słusznie wielu rzeczy nie tykał wcale.

A że Polska nie tylko bojami żyła; że w Krakowie i Poznaniu dyabła dbano o to, co się na Ukrainie dzieje, nie mogło to wpłynąć na opowiadanie, które się właśnie tylko na Ukrainie toczy. I nie stracą nigdy na wartości te jaskrawe wizye dzielnej, hartownej, cudownej przeszłości.

Odczuwał Sienkiewicz potrzebę skąpania się, po brudach i mętach codziennego trybu, w owym odmładzającym zdroju ofiar i poświęceń innych czasów i ludzi — pisał on je dla pokrzepienia własnego ducha i w tym samym celu myśmy je czytali; aureolą bohaterstwa opromienił on tę szlachecką przeszłość, więcej zdziałał dla jej spopularyzowania, dla wydobycia z niej ożywczej treści, niż którykolwiek inny z naszych pisarzów dramatów i powieści. Poprzedników miał tylko w „Panu Tadeuszu“, który poetę też od mętów i kwasów chwili leczył i chronił, i w „Śpiewach historycznych“, które również wznosić i krzepić miały umysły stroskane, zwątpiałe, niepomne dawnej chwały.

Prawo kontrastu wywołało u autora reakcyę; od burzliwej fali walk i katastrof, od bohaterów z siłą woli niemal nadludzką, od tłoku postaci, zgiełku czynów, szczęku broni, jaskrawości barw, widoków coraz nowych, niebezpieczeństw coraz innych, zwrócił się poeta ku szkicowi psychologicznemu, zgłębieniu jednego osobnika, „rozszczepianiu włosów“. Bohaterem „Bez Dogmatu“ jest dekadent, neurastenik, znużony odprysk znużonego rodu, wykluczony siłą stosunków ze zwykłego trybu życiowego szlachty innych krajów, skazany na bezczynność z góry, oddający się zajęciom najnieproduktywniejszym, bo zawsze tylko dyletanckim, zawsze tylko dla zabicia nudy i czasu, czy się odda zachciankom artystycznym, czy zakusom umiejętnym, filozoficznym i religijnym — jeśli nie machnie ręką na wszystko i w koniach, kartach czy kobietach jedynego poważnego celu życia nie upatrzy.

Z rodu, pędzącego od kilku pokoleń takie denerwujące życie, wyszedł Leon Płoszowski; wychowany za granicą, młode siły i lata strawił, żadnego punktu oparcia nie zdobył, stracił wszelką możliwość wydobycia się z życia sennego, próżniaczego, nabawił się w kuchni cudzoziemskiej kataru żołądka, ciągłej autoanalizy, zdawania najdokładniejszej sprawy o sobie sobie samemu i przerafinowania estetycznego mimozy, odczuwającej ze wstrętem wszelką gminność i płaskość; oddany kaprysom i śnieniu, zaniedba ostatnią sposobność, by stać się człowiekiem i wydobyć się z zaczarowanego koła snobizmu, blagi i nudy, kultu próżniactwa; gdy już za późno, gdy nie odstanie się więcej, czemu nie zapobiegł, póki mógł, jak dziecię uparte, bo głupie, wzdrygać się będzie przed koniecznością nieuniknioną, i wszystko, co najnaturalniejsze, najpospolitsze, najstraszniej go trapić i razić będzie, póki tego życia bez celu

i sensu, bez dogmatu, kula rewolwerowa nie przerwie. Pamiętnik jego nas z nim zapoznaje. Prawdziwem mistrzostwem było czytelnika przez trzy tomy raczyć takiem mininum faktów, a maximum rozmyślań i analiz i nie zbrzydzić mu tej rudery ludzkiej i tej wiwisekcyi ciągłej każdego pół- i ćwierć uczucia—na całe uczucie żaden Płoszowski się nigdy nie zdobędzie; właśnie to malowidło duszy zjednało Sienkiewiczowi najpierw, przed trylogią, uznanie zagraniczne.

Dla naszej powieści było to nadzwyczajną nowością; takiej subtelnej, nielitościwej, ciągłej analizy psychicznej ona nie znała — dawna nasza „psychologiczna“ powieść obszerniejszych obserwacyi nie podejmowała nigdy. Postać sama polskiej ziemi wcale obcą nie była. Płoszowski, natura wyposażona talencikami, pozbawiona zato woli, chwiejna, żadnymi zewnętrznymi karbami nie ujęta, więc rozpryskująca się na wsze strony, aż się nigdy już skupić nie potrafi, skazany z góry na to, by za jaką Klarą Hilst po koncertach się włóczyć, jak Turgieniew za p. Garsias, lub w Monako od jednej Laury Davis do drugiej przechodzić; wmawia on w siebie miłość ku Anielce, lecz wtedy dopiero, kiedy Kromicką została, i rozpacza zamiast dziękować niebiosom, że najnierówniejszej pary nie sprzęgły w jarzmo; byłby od jej chłodu po pierwszych trzech miesiącach uciekł, lecz teraz życie jego nabiera jakiegoś celu, i gdy śmierć Anielki i tę zabawkę, odrabiania tego, co się odrobić nie da, przerywa, ustaje ostatnia racya, dla której taki Płoszowski żyje.

W kreśleniu „Płoszowskiego“ zetknął się Sienkiewicz z „Hrabią Augustem“ („Notatki i wrażenia“, wydał Aleksander Mańkowski, 1890 roku); najobszerniejszą tegoż ocenę dał Kazimierz Kaszewski w „Bibliotece Warszawskiej“ (1891 r.), a możnaby ją dosłownie powtórzyć i o „Bez Dogmatu“; należałoby tylko nazwiska kobiece pozmieniać, Anglika zamiast Kromickiego, Augusta zamiast Leona, pomieszanie zmysłów zamiast kuli rewolwerowej wprowadzić. Ale Płoszowski i hr. August, idą obaj od „Oniegina“ Puszkinowego; Tanię odtrąca zblazowany Oniegin, gdy sama mu miłość wyznaje, a interesuje się nią dopiero, kiedy została bohaterką salonową i prawdopodobnie zginął Oniegin, jak Płoszowski lub August; lecz Oniegin to jeszcze romantyk, płaszcz Byronowski w malowniczych składkach na nim zwisa, tamci już dekadenci.

Podobnych kobieciarzów odtwarzał i Turgieniew; „Graf Rak“ Kaczkowskiego, zresztą od Płoszowskich wyższy, w słabości swej „babiej“ również ich przypomina; tak mści się kobieta za wzgardę, jaka właśnie u Słowian „babom“ w udziale przypadła od wieków. Mańkowski zresztą i w dramacie ibsenowsko-psychologicznym, z większym, niż Sienkiewicz, powodzeniem sił próbował („Dziwak“ i inne).

Sienkiewicz swojego Płoszowskiego generalizuje; spycha osobiste jego konto na jakąś „nieproduktywność słowiańską“, chociaż jego „geniusz bez teki“ tylko do tych ludzi należy, co z siedmiu dni tygodnia powszednie skreślili, siedząc na terasach, dyskutując o sztuce, literaturze, kobietach, obcy temu życiu u dołu, przewalającemu się, jak morze, tej realnej walce o byt, o kawał chleba, życiu pracy mrówczej, potrzeb zwierzęcych, chuci namiętnych, wysiłków codziennych. Wyodrębniwszy się od tego życia, poza jego nawiasem, zniechęceni do wszystkiego, zużyją w końcu bogate środki, by sobie i innym życie do reszty popsuć, nie uznając, prócz kodeksu towarzyskiego, żadnych dogmatów, prócz szlifowania paznokci, żadnych obowiązków.

Gdy Płoszowskiemu brak poprostu organu czy instynktu życiowego, nadmiarem zdrowia i siły, ruchu i woli wetuje bohater „Rodziny Połanieckich“, wszelkie biadania nad nieproduktywnością słowiańską; od szlachcica - schyłkowca przeszedł Sienkiewicz do szlachcica - przemysłowca. Nauki pozytywizmu warszawskiego nie poszły więc w las, i, chociaż późno trochę, zerwał się autor na skreślenie i wyidealizowanie swego „organicznika“.

Powieść przyszła nie w porę—byłaby, jako kontrast, do „Morituri“ jeszcze się zeszła i spółczesności swej z roku 1895 nie dowodziła wstawkami modnych haseł neochrystyanizmu, slawofilstwa i innych teoryjek. Mimo rozmiarów najmniej to znaczące z dzieł Sienkiewicza, chociaż i tu niebrak pysznych postaci, od owego egoisty i sybaryty starego, poświęcającego się wszystkim i wszędzie na słowa, a samemi poświęceniami innych, np. córki, żyjącego (typ niegdyś przez Fredrę już stworzony), albo owej dziecinki, Litki, rozwiniętej chorobliwie, zazdrosnej o swego przyjaciela, owych artystów, owych pań z towarzystwa i t. d., dowodzących znowu niesłychanego mistrzowstwa w kreśleniu coraz nowych, coraz odmiennych postaci. Marynię wyidealizował; martwą nieco Anielę Płoszowskiego, chorującą na owo zimno, ów brak temperamentu u kobiet polskich, na które się już znawcy XVI i XVII wieku, Stanisław Łaski i Jędrzej Morsztyn uskarżali, ożywił, chociaż i Marynia nadzwyczaj w sobie skupiona, nie działa, czasowi i losom wszystko zostawiając, za dumna, by nawet o męża walczyć, choć głęboko dotknięta. Połaniecki jej chyba nie godzien, rychło nieco znużony jednostajnością, pewnością posiadania skarbu, więc go lekkomyślnie tracący, skutkami przerażony, wracający pokornie — czy na długo? Jak w stałość jego miłości, wyrozumowaną bardziej, niż wyczutą, wierzyć się nie chce, można i o jego praktyczności powątpiewać i pytać, czy go i tu jednostajność i pewność w końcu nie znużą, czy nie pofolguje on fantazyi i temperamentowi właśnie tam, gdzieby je najsilniej hamować należało. W końcu może i zbytnią rozwlekłość wytknąćby można, dorzucanie coraz nowych słów i rysów, które w gruncie niczego nowego nie dodają: i tu byłoby mniej—więcej.

W odstępach pisywał autor nowele, humorystyczną ze sfer artystycznych warszawskich („Ta trzecia“, znakomita) i inne; pisywał nowe „Listy z podróży“, tym razem z Afryki i celował znowu sztuką malowniczego i plastycznego zarazem oddawania każdego wrażenia; przygotowywał powoli nowe dzieło. Bo Sienkiewicz to artysta nadzwyczaj sumienny: jak do trylogii przewertował wszystkich historyków, pamiętnikopisarzów, całą spółczesną literaturę, oddawał się teraz archeologii i topografii rzymskiej, studyom nad klasykami, badaniom dziejowym.

Rzym nęcił go zawsze, klasyków uwielbiał od młodości, odczytywał ich coraz, więc kusiło go zmierzenie się z ziomkami i z obcymi, z Kraszewskim i Bulwerem, w wystawieniu obrazów antyku, zmysłowości jego orgii, artyzmu jego wybrańców. To jedna strona wizerunku; sam zmysł kontrastu, tak silnie u niego wyrobiony, wywoływał przeciwstawienie: Neronowi, histryonowi na tronie, panu świata, który się dlań w cyrk przeobraża, on sam jego reżyserem i aktorem, póki wygwizdany pseudoartysta nie uśmierci Cezara - starca, ubogiego, wątpiącego, prostaczka, któremu niegdyś cały świat w udziale przypadnie.

Powiew neochrystyanizmu, coraz bardziej w Europie i Ameryce odczuwany, mógł go tylko w tej myśli utrwalić. I, jak niegdyś przed trylogią opowiadanie Zdanoborskiego w świat wypuścił, tak wysłał na zwiady „Pójdźmy za nim“, i poklask, jaki zyskał, do „Quo

Vadis“ tem raźniej go pobudził. Romans ten to jedno z największych powodzeń, jakie nie literatura polska, lecz literatura całego świata zapisać może; sama Anglia i Ameryka spotrzebowały w parę lat dwa miliony egzemplarzów, we Francyi dosiągł on r. 1900 cyfr, jakiemi ani Zola ani Ohnet poszczycić się nie mogli, tłumaczenia na trzydzieści kilka języków, próby udramatyzowania, włoskie i francuskie, goniły jedne drugie; typy, np. Petroniusza, stawały się przysłowiowymi na bulwarach paryskich, tak niechętnych przeciw wszystkiemu, co niema marki paryskiej. A tajemnica tego powodzenia?

Złożyły się na nie i warunki zewnętrzne, prócz wartości dzieła samego. Przyszło ono w czas, kiedy publiczność znużyła się doszczętnie naturalistycznemi brutalnościami i psychologicznemi analizami, kiedy zapragnęła znowu wielkich obrazów, porywających efektów, myśli podniosłej. I dostarczył jej nasz autor, czego żądała, i nie wytłumaczymy powodzenia jego ani samą chęcią odmiany, zaskoczeniem niespodzianem, tendencyami reakcyjnemi; jak trylogią krzepił Sienkiewicz serca ziomków, tak podawał on teraz, w formie bardziej kunsztownej, niby w amforze o cudnych kształtach klasycznych, napój orzeźwiający dla wszystkich, którzy zwycięstwa dobrego nad złem, sprawiedliwości nad uciskiem, miłości nad nienawiścią pragną czy oczekują, bez względu jakiej są oni narodowości czy wyznania.

Sztuka artysty dosięgła zenitu. Znowu imponowała nadzwyczajna łatwość i bujność tej niewyczerpanej wyobraźni; jeżeli myślisz, że nie podobna nowej orgii odmalować, nowych zapasów w cyrku wystawić, następne opisy przekonają cię, że niemasz nic niemożliwego dla Sienkiewicza - malarza. Przeciwstawia on Rzymowi Cezarów, okrutnemu i lubieżnemu, rozwiozłemu i cynicznemu, szalejącemu w zbytkach i ucisku, pijawce i pasorzytowi świata, — Rzym podziemny, Rzym miłości bliźniego, gardzący światem i światowością, nie uznający niewolnictwa ani poniżenia kobiety, nie brzydzący się pracą ręczną, zapatrzony w życie przyszłe, głęboko wierzący, aż do ekstazy i mistycyzmu — rosa boska na spiekłe łono ludzkości.

Te przeciwieństwa wyraża cały romans i każda jego osobistość, i nabierają one krwi i ciała, jakich nie widzimy w licznych, słynnych powieściach Newmana, Farrara i innych. Najznakomitsze owe dwie pary, jedna uzmysłowiająca antyk, umierający w piękności, sybarytę, estetę, stoika, Petroniusza *arbiter elegantiarum*, najbardziej wyrafinowany produkt kultury starożytnej, wraz z Euniką, upostaciowanym jej wdziękiem zmysłowym, tęskniącą do tego swego ideału męskiego, za nim bez wahania w ciemne wrota Hadesu zstępującą. Druga para, Winicyusz i Ligia, urocza jasnowłosa Słowianka, z królewien północnych, on Rzymianin srogi, brutalny, z instynktami zwierzęcymi, nizkimi, nie umiejący, nie chcący się hamować; otóż przeobrażenie, jakiego powoli pod wpływem nowej wiary doświadcza, jak zeń opadają te chuci i instynkty, jak ze swoją oblubienicą do nadziemskich dąży i tęskni przestworów, zrezygnowany, pokorny, miłosierny, bo sam miłosierdzia pragnący.

Obok nich, cóż za galerya portretów, od Cezara, Poppei i Tigellina aż do tłumów najniższych, katów i niewolników. Oto Ursus, oddany królewnie swego rodu, broniący jej, jak niedźwiedź rozsrożony, najpierw przed chuciami Vinicyusza, potem przed kopytami żubra — w niesłychanym, nadludzkim wysiłku, od którego cyrk oniemiał, oddech się zaparł, bijące serce pierś rozpierało.

Chrześcijanin Glaukus, korny, litościwy, z przebaczeniem na ustach, nawet gdy na sprawcę mąk okrutnych zwisając patrzy, lecz Crispus klnie i z krzyża matkobójcę i prześladowcę spółwyznawców. To znowu ów Grek, potworny w swej podłości, szpieg, donosiciel, wszystko wiedzący, ów złośliwy, tchórzliwy, opasły nikczemnik Chilon, a przecież odzywa się i w nim sumienie na widok owych nieszczęsnych, i przypadnie on do ziemi, posypując nią głowę, klnie Nerona, i od prześladowcy, teraz Pawła, sam Szaweł, teraz wyznawca i męczennik, chrzest na śmierć straszną przyjmuje. I tłoczą się obrazy ręki mistrzowskiej, coraz inne, kontrastem swym coraz bardziej wzruszające, i nie wiesz, co podziwiać, czy barwne szczegóły, rysy plastyczne, mowy charakterystyczne, typy przepyszne, czy wzniosłość idei, architektoniczną piękność całości.

Z nadzwyczajną miłością i znawstwem wykończony właśnie świat gasnący, wdzięk i kultura antyku, Petroniusz i Eunice; artystycznie oni bardziej pociągają, niż Winicyusz i Ligia. Sumienność historyka czy archeologa wprowadziła niektóre szczegóły zbytnie, jak już w trylogii ustępował czasem poeta uczonemu, niepotrzebnie; protestantów dotknęło boleśniej upośledzenie Pawła wobec

Piotra. I myślał świat, że nie opuści Sienkiewicz tak rychło tych czasów i dziejów, że znęcą go Mark Aureli czy Julian Apostata, że zapomni o swej Północy, o kraju Ligii i Ursusa. Ale Sienkiewicz nam zawsze niespodzianki gotował.

Wrócił do swoich, i znęciły go czasy naszego szarego jednostajnego średniowiecza, nie urozmaiconego podaniami, literaturą, sztuką, niemego więc — lecz czyż autor nie czarnoksiężnikiem, co zaklętym moc słowa i ruchu przywróci? I nie zawahał się w wyborze tematu: jeden, najdramatyczniejszy ustęp z dziejów odwiecznych bojów między światem słowiańskim a germańskim, kiedy po jednej stronie ufność w dobrą sprawę, kipienie sił młodych, gorące pragnienie odwetu, z chęcią nowych grabieży do boju stanęły, kiedy na polach grunwaldzkich kości, czyja lepsza, rzucano. I znowu wybrał autor postaci, o których dzieje nic nie wiedzą, które są nam dziś bardziej poufałe i blizkie, niż wszystkie rzeczywiste.

Temat leżał długo odłogiem, chociaż różni się oń kusili, nawet Kotzebue niegdyś, sławiąc Henryka z Plauen; u nas tylko krótkie wiersze polskie i epopeje łacińskie Grunwaldowi poświęcano, Kochanowski sprzeniewierzył się temu tematowi dla Warny, podobnie jak i polityka polska tradycyi grunwaldzkich się wyrzekła, zapatrzona na Wschód i Południe; genialny malarz uprzedził literaturę, gdzie chyba barwne dzieje Szajnochy o wielkim królu i większej królowej uczyły; powieść Kraszewskiego, mimo scen efektownych, nie zrobiła wrażenia wielkiego. Trudności napotykał Sienkiewicz znaczne, całkiem inne, niż w utworach poprzednich. Dla trylogii miał gotowe wszystko w swych źródłach, mógł pełną ręką czerpać ze spółczesnych; czytał ich listy, mowy, kazania; miał ich portrety, literackie i malarskie, miał gotowe patrony, wedle których kozakom gniewy Tuhaj Beja przedrzeźniać albo sentymentalnemu Szkotowi swoję Krzysię adorować kazał. Podobnie z „Quo Vadis“; o Petroniuszu mógł się z własnego jego dzieła, o każdym innym z tysiącznych źródeł pouczyć. Pasek i Horacy, Tacyt i kronikarze ukraińscy, apokalipsa i Morsztynowie byli mu źródłami. Teraz inaczej: sztywna łacina Długosza zakrywała linie polskie pod gęstemi składkami togi klasycznej, rzucała obce, nienaturalne światło na te posągi o średniowiecznej nieruchomości; brakło wszelkich źródeł w języku narodowym, pouczających o mowie i myśli ówczesnej. I te trudności przezwyciężył Sienkiewicz.

Już w trylogii tryumfowało jego uzdolnienie językowe, zdolność wyrażania wszelkich cech i odcieni mowy ówczesnej, osiągnięta samym szykiem słów, doborem stosownym, acz miernym, słówek łacińskich, używaniem zwrotów i terminów dawnych. Najtrafniejsza kombinacya zwróciła go teraz ku skarbom gwary ludowej, mianowicie zakopiańskiej, którą oddawna w ustach Sabały podziwiał: przy nadzwyczajnym konserwatyzmie naszego języka mogła mu dzisiejsza gwara ludowa zastępować przeciętny typ językowy około r. 1400. Tak powstał język, którym nasi w „Krzyżakach“ rozmawiają.

I ludzi tworzył autor na podobieństwo dawniejszych, więc znowu przeważa, jak w trylogii i romansach spółczesnych, sama szlachta, którą jedynie Sienkiewicz przedstawia i wyraża, wyjątkowo po komparsów skądinąd sięgając. Większego uwzględnienia domagało się teraz duchowieństwo, dla roli swej dominującej nie tylko w naszem średniowieczu; typów jego liczniejszych nie przedstawiał dotąd Sienkiewicz, w trylogii występował tylko Kordecki w Częstochowie, natchniony z góry i mistycznie w niebo wpatrzony, w innych jej częściach, może i ze szkodą dla prawdy historycznej, duchownych, jako w bitwach i oblężeniach (prócz epizodycznego ks. Jaskulskiego, zerkającego w procesyi z muru na lichą pukaninę kozacką) nie wprowadzał.

W „Krzyżakach“ wystawił galeryę znamiennych odcieni duchowieństwa średniowiecznego, od owego szlachcica - opata, gwałtownego, hulaszczego, otoczonego wagantami i igrcami, ufnego w swą siłę i zasoby, składnego raczej do miecza, niżli do brewiarza; przez ks. Wyszonka, pokornego sługę Bożego, cichego, gorliwego w nabożeństwie, stroniącego od zgiełku i zabaw, nie od ludzi, pełniącego z przejęciem obowiązki kapłańskie; aż do soli ziemi naszej, do owego wizyonera i mistyka, Kaleba, płonącego w miłości nadziemskiej, przesłańca ks. Marka.

Mieszczanie i chłopi występują znowu przygodnie; na pierwszym planie rozpiera się szlachta polska, może nadto, jak na wiek XIV, wyłącznie. Ale znowu nie właściwi jej przedstawiciele, magnaci mało- i wielkopolscy, co Węgierkę, Loisównę, na tronie utrzymali i za Litwina wyswatali i Szkołę Główną dźwignąć pomogli, lecz ów drobiazg bezimienny, ci Gradowie i inni, niby przesłańcy późniejszych dopiero tłumów z Woli i rokoszów; możnaby nawet

pytać, czy takie wysunięcie owego drobiazgu na pierwszy plan — dalecyśmy przecie od sejmikowania i warcholstwa późniejszego — nie narusza właściwej cechy tych czasów. Za to uchwycił autor nadzwyczaj trafnie—i najgłębszy badacz nie uczyniłby tego lepiej— znamienne rysy tej braci, jej głód ziemi i jej gotowość wojenną. Jesteśmy w samych początkach owego dziejowego prosesu, który naszych rycerzów we włodarzów przemienił, szlachtę zbogacił, a Polskę zubożył; głód ten przybiera osobliwsze formy: ziemi jeszcze podostatkiem, raczej brak rąk do karczunku i uprawy; nie sama ziemia, lecz chłop osiadły i niewolny bogactwo pańskie stanowią. I tą kolonizacyą i gospodarką skrzętną nabrzmiał sam romans, i słyszymy niemal ów stuk nieustanny siekier, przetrzebiających lasy odwieczne, gotujących nowe sadyby, nowe gniazda dla coraz rozrastających się „gniazdowiców".

Rodami szlacheckimi stoi ziemia, więc obok dbałości o gniazda czuwanie nad rodem, by nie wygasł i nie szczezł, czujność na poły pogańska, jakby przodkowie wymagali koniecznie od potomków pieczy grobowej, jakby wygaśnięcie rodu dopiero ich całkowicie umarzało. Stąd więc ta obawa Grada Maćka o Zbyszka, na którego głowie ród polega, i wymieniłby on swą siwą za tę młodą, jeśliby sędziowie dopuścili. Obok głodu ziemi i dbałości o ród, popycha i pobudza żądza sławy, pojmowanej bardzo materyalnie, w formie sutego obłowu, czy to z drogich materyi i tkanin i złota zachodnich kupców, czy to z rumaków, niewolników broni specyałów wschodnich. A z żądzą zdobyczy i sławy idzie nieodzownie w parze lekceważenie, pogarda śmierci: w przeddzień egzekucyi rozmawiają najspokojniej Zbyszek i Maciek; Maciek chwali się, że kupił nowe sukno, że nie spadnie głowa Zbyszkowa tam, gdzie już mieszczańska spoczęła, i dziękuje mu Zbyszek za tę delikatność! Więc do miecza skorzy, ale nie tylko w zwadzie karczemnej, jak to później bywało, lecz i na granicach przeciw wrogowi, i, gdy się miarka cierpliwości przebierze, rozbrzmi Polska jednem „Na koń" od końca do końca, i ze stutysięcy ust „Bogurodzica-Dziewica" do nieba się wzniesie.

Niebezpieczeństwo grozi zaś straszne, chociaż bez trwogi i troski w bój dawno oczekiwany, upragniony tylokrotnie, wyruszają. Niebezpieczeństwo nie od dzisiaj dopiero, przed stuleciem już wyłoniło się, gdy zakon Gdańsk sobie ubiegł; ugody i zawieszenia

broni zalepiały po wierzchu rysy, chociaż fundamenty coraz bardziej się rozchwiewały; nadszedł wreszcie dzień sądu, już nie przed legatami papieskimi i węgierskim królem - Niemcem. Zakon, dumny poczuciem swej siły, ufny w pomoc europejską, zasilającą w imię wiary i Maryi zbójeckie szeregi, o nawracanie pogan dbałą, gdy tylko o ukrzepienie przewagi teutońskiej chodziło; niewyczerpane jego skarby, niezwalczony jego oręż — lecz nie w ziemi korzenią się jego zasoby, nikt nie podtrzymuje zakonu, ani chłop, wyssany fiskalizmem pruskim, ani szlachta krajowa, odsuwana hardo od spółudziału w rządach. Więc w samych Prusiech ciążą sympatye tubylców ku Polsce i jej porządkom, tak było w XIII wieku, tak ponowi się to w rozstrzygającej chwili w roku 1454, i odezwie się jeszcze raz ostatni, choć napróżno, po traktacie welawskim.

Nie zapuścił więc rozrosły dąb krzyżacki zbyt głęboko swych korzeni, obali go burza od Polski: tę siłę i tę słabość uwydatnił Sienkiewicz znakomicie, choćby w owych pomrukach chłopstwa pruskiego przeciw grabieży zakonnej; nie zawahał się wplatać i haseł nowoczesnych; stopniując nasze oczekiwania, wyładował nakoniec wzburzone do żywego uczucie w sądnym dniu bitwy i, jak finał Berestecki, rozbrzmiewa efektownie nad „Ogniem i Mieczem", podobnie „w wielkiem pobiciu" i olbrzymim jego rozmachu napięcie wszystkich sił narodowych zenitu dosięga.

I znowu, jak „Ogniem i Mieczem", nie przedstawiają „Krzyżacy" tylko zbioru anegdot, epizodów i awantur średniowiecznych, jakieby Walter Skot równie dobrze lub jeszcze lepiej, oparty o jeszcze głębsze studya archeologiczne, strzegący się wszelkich anachronizmów, jak ognia, opisał. Już sam tytuł, obcy, chociaż rzecz w Polsce się dzieje, nadaje całości tło i znaczenie, wyższe od wszelkich indywidualnych, przemijających przygód; takiż gwałtowny podmuch epicki, jak w „Ogniem i Mieczem", porywa i tu wszystkich i pędzi ku ostatecznemu kresowi.

Osobistości historyczne występują tu jeszcze rzadziej i krócej, niż w trylogii: Jadwiga sama, jak wizya niebiańska, na ciemnem tle tumu gotyckiego, Jagiełło w kilku tylko ustępach; sztuka artysty polega właśnie na tem, że w wyobraźni naszej, jak w Zbyszkowej, ta wizya się nie zatrze. I znowu imponuje nieskończony szereg postaci, tym razem bardziej jednostajnych, bez sprzeczności

wszelkich, owych wielkich dzieci, ciekawych wszystkiego, co obce, jaskrawe, nowe, od powolnego, rozmyślnego, przebiegłego i nieubłaganego w końcu Maćka aż do wybuchowego, nieposkromionego Zbyszka; do owego Juranda, właściwego bohatera duchowego tej epopei, z wrącego mściciela ciężkiej krzywdy, własnej i narodowej, przemieniającego się w apostoła miłości, utracającego z rozkazu nieludzkiego mnicha - rycerza wzrok doczesny, aby nadziemski odzyskać i do Jerozolimy niebiańskiej z padołu tego dążyć.

Obok Juranda Danusia jego, poezya wcielona ziemi polskiej, mistyczna, powiewna; sama przyroda, zdaje się, opłakuje jej zgon, i nie przeboleje jej Zbyszek; aleśmy nie w wieku sentymentów, więc nie traci rubaszniejsza Jagienka, nie cofając się przed niczem— przecież spółcześnie i kobietę - zbója powieszono, mimo płci i rodu szlachetnego — nadziei, że wróci go ziemi i zdobędzie jego serce— przez zmysły.

I żyją wszystkie te osoby własnem życiem; nie są to manekiny, na których tym razem średniowieczne zbroje i szaty pozawieszano; chociaż zmyślone, nie historyczne, burzy się w nich wszystkich krew bohaterska, poczucie siły, młodzieńcze wzloty — tężyzna to świeżego narodu, prącego ku celom wysokim, nie zgnuśniałość starcza szlachty późniejszej, zadowolonej jedynie utrzymaniem złotej wolności i jej poręczycielki, anarchii. Sami Krzyżacy występują mało; tem bardziej czuć ich wrogie siły, obecność niebezpieczną, czyhającą na każdym kroku, i piętrzą oni złość na złość, nienawiść na nienawiść, zwyrodnieli, własnych zadań i celów dawno się zaparłszy, zawada wszelkiego rozwoju: jak ciemna chmura gradowa, ciążą oni na horyzoncie, przygniatając ruchy i myśli, aż zerwie się burza, pochłonie zakon, i odetchnie ludzkość.

Epizodów olśniewających, jak orgie Neronowe, pożar Rzymu, hekatomby ludzkie w „Quo Vadis“, nie mają „Krzyżacy“: ani czasy ani ludzie, ubodzy na duchu, silni na ciele, ani szare i ciemne strony północne po temu; nie zatrą się w pamięci tylko sceny, pełne życia, jak owe karczemne zwady; uroku, jak ów pogrzeb Danusi, lub owa królowa w tumie, uosobienie niebianki; grozy, jak oślepienie Juranda; majestatu, jak finał potężny; nieraz nawet powiedzielibyśmy może, że dzieje się nadto wiele, że i tu

mniej — byłoby w końcu więcej. Potęgą swej wyobraźni i mocą swego słowa uprzystępnia nam poeta dawne czasy i ludzi; upadają pod jego zaklęciem szranki, dzielące nas od nich, przebywamy z nimi, jak z żywymi, blizkimi, i toczy się opowiadanie, nie jak baśń stara z zamierzchłych dni, lecz jakoby coś bieżącego, dotykalnego. I nikt przed nim dotąd nie dawał nam takiej pełnej wizyi tych czasów i dziejów.

„Syntezy“ Sienkiewicza tu nie dajemy; byłoby to i zarozumiałem i przedwczesnem, gdy autor jest jeszcze w pełni siły i wieku, gdy się od niego wielkich rzeczy zawsze jeszcze spodziewamy. Tu stwierdzamy tylko nadzwyczajną popularność jego, jakiej nikt z żyjących, mało który ze zmarłych dostąpił — powoli jednak, w sferach różnych, ta popularność zaczyna się zszarzać, a chociaż każde publiczne wystąpienie Sienkiewicza gromkiem echem się odzywa, czy to on hymn pochwalny językowi ojczystemu śpiewa, czy od udziału w kampanii antiagielskiej się wymawia, wpływy jego na pokolenie młodsze widocznie maleją; uwagi krytyczne, nieraz nawet nieprzychylne, nieraz niesłuszne, brzmią dysonansem coraz wyraźniejszym w chórach tryumfu i uwielbienia. Sympatye młodych i najmłodszych zwracają się ku innym pisarzom i kierunkom.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

POWIEŚĆ NAJNOWSZA.

Rozmaitość jej kierunków. Sieroszewski i Szymański. Reymont. Żeromski. Weyssenhoff. Nasze powieściopisarki. Zakończenie.

Realistyczną stała się powieść u nas pod piórem Prusa i Sienkiewicza, ale realizm ich inny od spółczesnego, francuskiego. Literatura polska, jak angielska, jak rosyjska, zmysłom i chuciom nie służy, wstrzemięźliwa, czysta— więc, jeśli Sienkiewicz drastycznych rzeczy, np. w „Rodzinie Połanieckich“, dotyka, nie będzie ich z Francuzami, Niemcami, Włochami, rozwałkowywał, nie pominie ich wprawdzie milczeniem, ale w ich kałuży czy błocie ani na chwilę nie zastrzęgnie. Prus chyba w „Faraonie“ tylko zmysłowości folguje, przy czem temat egzotyczny, oryentalny, za wymówkę mu służy; w polskich unika, jak Sienkiewicz, wszystkiego co wstrętne, nieczyste; zmienił się ten charakter, niestety, od Przybyszewskiego, przedtem od Zapolskiej, nie na długo jednak.

Wspominaliśmy już o naturalizmie pani Zapolskiej w jej „Kaśce Karyatydzie“, „We krwi“; był on tylko naleciałością obcą, naśladownictwem Zoli, i to niezdarnem, bo obserwowaniem najdrobniejszych, nic nie znaczących szczegółów, nie wznoszącem się nigdy do syntezy albo symbolu: znaczenie poddasza warszawskiego czy ciupki lwowskiej i pod mikroskopiczną obserwacyą w *Ventre*

de Paris albo *Au bonheur des Dames* nie urośnie nigdy; tak samo, gdy przyszła moda na sugestyę, „Janka“ pani Zapolskiej aż do Paryża za studentem uciekła i tam zmarniała.

Nieco oryginalniejszym był już realizm Sygietyńskiego; jego „Wysadzony z siodła“ np., dzieje butnego szlachcica, schodzącego na popychadło u córki - kokoty i żebrzącego posady portyera u jej uwodziciela - amanta, nie pozostawia pod względem drastyczności szczegółów fizycznych nic do życzenia, tem bardziej szwankuje psychologia; do tego pisuje Sygietyński mało, w ostatnich dziesięciu latach np. wydał tylko „Wrażenia“, szkice nowelistyczne, i oddaje się coraz wyłączniej krytyce i muzyce.

Realizm i naturalizm, ale reporterski, cechuje liczne romanse Artura Gruszeckiego. Mistrz to w odnajdywaniu coraz nowych, dotąd nietkniętych tematów, na ziemi i pod ziemią, w Warszawie i na prowincyi, w salonach i na turfie, na Śląsku i w Węgrzech, w Galicyi i na Mazowszu. Pierwsze jego powieści, tendencyjne, ze sfer ziemiańskich („Tuzy“, cukrownicy na prowincyi) aż do wielkopańskich („Rugiwojscy“), nie przedstawiały wiele nowego; to samo kreślili dawniej i lepiej Korzeniowski i Kraszewski. Dopiero od „Hutnika“ i „Kretów“ wpadł Gruszecki na właściwy swój tor, za mistrzem Zolą. Ciężkie życie w hutach, wobec wyziewów trujących cynku, cięższe w kopalni węgla, głęboko pod ziemią zagrożone wodą i ogniem, wybuchem gazów i załamaniem się brył, uwidocznił on w szeregu postaci, hutników i górników, wystawionych do tego na zdzierstwo nieludzkie przedsiębiorców, Żydów, sztygarów; nie oszczędził nam żadnej okropności w pożyciu „sularza“ Uracza i jego rodziny nieszczęsnej, znarowionej, w tragedyi Pakosza i Butnego u Grotków; wszelkie szczegóły bytu górniczego, urządzeń kopalni, aż do wpływu, jaki ta denerwująca praca na ludzi wywiera, aż do ich wizyonerstwa, przesądów, gwałtowności, oddane z największą troskliwością, na podstawie autopsyi i notatek. Tak samo wystudyował autor „Szachrajów“ na giełdzie warszawskiej, Żydów i Niemców, Strauchfelda, Salinau i innych, kroczących za milionami po drodze, usłanej trupami łatwowiernych ich ofiar, Danborskich i innych. W każdej aktualnej kwestyi zabierał on głos: walkę polskiego z żywiołem niemieckim, na Śląsku, przedstawiał nieraz, w „Szarańczy“ i w „Zwyciężonych“: ze zwyciężonych na razie mogą wyjść kiedyś zwycięzcy, silni swą solidarnością, chociaż wrogowie przemagają ich stokroć wpływami, zasobami materyalny-

mi i umysłowymi, całą potęgą państwową, eksploatowaną w celu wynarodowienia.

Nawet poza Karpaty sięgnął Gruszecki, w „Millennium“ Węgrów, znęcających się nad Słowakami; między Słowakami — Węgrzy u niego wszyscy na jedno kopyto — rozróżnia on ostrożnych, biernych, przedajnych, od młodzi gorącej, szarpiącej się do niewczesnego czynu. Gdy „Dla Miliona“ kreślił, udał się do Borysławia, Drohobycza i Schodnicy, wszystko podpatrzył, obliczył, złożył i z lekką zmianą nazwisk albo i bez niej, swoich Floryańskich, Krausbergów i Van Haechtów wystawił. Wobec tej gonitwy za aktualnością i dokładnością schodzi artyzm u niego całkiem na bok; autor zadowala się byle jaką fabułą konwencyonalną i doprowadza ją, byle jak, do końca, albo raczej urwie ją, wystrzałem z pistoletu czy spadnięciem cegły na głowę.

Stale bywa tło o wiele ciekawsze, niż sama fabuła i jej bohaterowie; miewa też Gruszecki świetne pomysły, chociaż nie wyzyskuje ich należycie, np. owego „Nowego Obywatela“, Polaka, nie licującego już z żywiołem rodzimym, więc oskarżającego ten żywioł o nieszczerość, o brak serca, gdzie sam tylko brakiem wychowania i ogłady grzeszy. Albo jak sprzągnięcie owej pary, syna Strauchfeldów i córki Danborskich się mści i t. d. Specyalizacya taka reporterska prowadzi w końcu do tego, że p. W. Gąsiorowski dał nam „Pigularza“, t. j. powieść o farmaceutach i subjektach, jakby każde studyum fachowe, każda „ankieta“ musiała się koniecznie powieścią wyładować.

Do naturalistów zaliczają, dla jaskrawości kolorytu i dla niewybredności wyrażeń, **Adolfa Dygasińskiego;** nadto realistyczne obrazki sielskie („Dramata Lubądzkie“; istotne dramaty chłopskie i t. p.) usprawiedliwią, jako tako, tę nazwę. Dygasiński to typ bardzo ciekawy, niezwykły; od nauki i pozytywizmu — najgorliwszy jego wyznawca — od popularyzowania wiedzy, od zakusów czysto pedagogicznych, wyzwoliły go i w końcu poezyą czystą natchnęły — zwierzęta! Inni bydlęcieją między ludźmi, on się idealistą między wilkami i psami, zającami i mysikrólikami odrodził. Przyrodnika, jakim się stawał, do przyrody, do Nadnidzia jego, do chłopów nie tylko, ale do pilnej, sympatycznej obserwacyi życia zwierząt nęciło, nie dla prostych celów dydaktycznych — *haec fabula docet* — lecz dla „godów życia“ samych, dla orzeźwienia siebie samego w odmładniającym stoku Żywy i Krasopani.

Więc przed Kiplingiem jeszcze sięgnął do tajników bytowania Butnych i Azorów, odczuwał ich walki i troski, smutki i radości i, co w księdze przyrody wyczytał, tem nas obdarował, życiem wróbli pod strzechą i kaczek na stawie, wiecznie przestraszonych zajęcy i wron, staczających z jastrzębiem walki.

W obserwacyi doli chłopskiej zastąpią go, i lepiej i wyraziściej, inni; nikt nam nie zastąpi naszego Brehma — nowelisty. Opisywał on nawet zwierzęta przedpotopowe, np. pana „Jędrzeja Piszczalskiego“, z pysznemi sylwetkami bytu szlacheckiego przed uwłaszczeniem, z jego pieczeniarzami i gracyalistami, z fantazyą i animuszem Panie Kochanku *en miniature.* W ostatnim, symbolicznem dziele, hymnie, wyśpiewanym dla przyrody, dla słońca i miłości, wrócił, już nie do personifikacyi, ale do apoteozy tej przyrody, i, gdy „Gody życia“ wyśpiewał, śmierć mu pióro z rąk wytrąciła.

Był czas, kiedy z Dygasińskim **Klemens Junosza** (Szaniawski) o wawrzyny w obserwacyi doli chłopskiej i szlacheckiej walczył, Junosza, którego życie jeszcze cięższą, smutniejszą dolę, niż Dygasińskiego, przedstawia, w pośpiesznem, nadsilnem tworzeniu dla kawałka chleba. Więc płodność jego zatrważająca; więc o pogłębieniu i stylizowaniu utworów niema nawet mowy. Ale i Junosza odwojował sobie specyalność, gdzie go również nikt tak łatwo nie wyręczy — Żydów „pająków“, ich moralności i strategii, ich rzadkich upadków i stałych tryumfów. Żyd, sama sól szlacheckiego bytu, tylko bywał gościem, na scenie i w powieści, epizodem, karykaturą; wyjątkowo, w celu ściśle społecznym, zajmowali się nim Niemcewicz i Orzeszkowa; jeszcze bardziej wyjątkowo zstępowali w szczegóły tego życia, dla niego samego, Orzeszkowa i Zapolska, jeżeli pominiemy literaturę żargonową, chociaż o polskich Żydach traktującą, lecz, dla obcego języka, z literatury polskiej się wyłączającą — literaturę żargonową znał u nas jedyny Junosza — i prace Żydów - autorów, Feldmana głównie. I Junoszę właściwie zajmuje nie Żyd sam, Żyd chederu i bożnicy, kahału i talmudu, w chałacie i patynkach, hussyt czy purec, lecz Żyd - pijawka i Żyd - nędzarz, w zetknięciu z „Czarnem Błotem“ i z jego mieszkańcami, od kwilenia w kolebce aż do spacerów pod kolumnadą karlsbadzką. I rzucił on na papier nieskończony szereg tych postaci, od Łaciarza, przekonanego o jedynej prawdzie, że, jeżeli żyć chce, to spać nie może, a jeżeli spać, to mu się życia wyrzec wypadnie, aż do owych

Gancpomaderów, Zwanzigów i Kaltkuglów, koniokradów, przemytników, podrabiaczów wszystkiego, od paszportów do antyków; lichwiarzów, spekulantów i giełdowców. Powija się im noga; to chłop zrozpaczony pięścią Chaskiela uśmierci, to sąd nieraz zwinnemu działaczowi przez całe lata w próżni szamotać się każe; to inne nieszczęścia na maruderów się obalą — ale gros armii kroczy zwycięsko po trupach chłopskich i szlacheckich do tryumfu, do wyłowienia ostatniej kopiejki ze skurczonej dłoni chrześcijańskiej. I w pochodzie tym subtylizują się pokolenia: Gancpomader w siedem lat dopiero na wartości rubla się poznał, wnuk jego zato już trzyletni w lombard grywa; i wytwarzają się filozofowie, jak Uszer Engelman, uczący ziomków, by zbyt silnie nie zdzierali; i dobrodzieje ludzkości, odpłacającej się im grubą niewdzięcznością, gdy z sieci Pająków wydobywać się stara.

Na cały ten świat, tak nam obcy, a tak dla nas ważny, spogląda Junosza, właściwie bez powziętego z góry hasła antysemickiego; może to i nie jego jedynie wina, jeśli z tych niezliczonych, powtarzających się szkiców, noweli, powieści, tendencya przeziera. Spółczucia z szlachcicem - Syzyfem, uginającym się pod nieznośnem brzemieniem owych wiecznych, groźniejszych od trąby archanioła pytajników: skąd? jak? kiedy?; z chłopem, wyzyskiwanym koncertowo; z Żydem-biedakiem samym, przecie nie dla wszystkich gody życia zastawione — nie wypiera się Junosza nigdy, i przez śmiech, rubaszny, dowcip, płaski, czuć te łzy zatajone. W głębie psychologiczne on nie wchodzi, fabuł nie splata, ale postaci żydowskie, ekonomskie, szlacheckie, albo choćby ów nauczyciel łaciny w „Czwartym“ i do umoru śmieszne i do łez poruszające.

Do wielkich kreacyi, o rozmiarach iście epicznych, wzniósł się naturalizm, wszechstronne, dokładne odtwarzanie życia samego, w dziełach **Wł. St. Rejmonta.** Talent dojrzewał nadzwyczaj szybko, w sześciu, siedmiu latach wybił się na sam przód naszego powieściopisarstwa. Powodzenie zawdzięczał Rejmont szkicom z życia trup wędrownych, które znał, jak najlepiej, i z pod strzech wieśniaczych, z których sam wyszedł. „Komedyantka“ jego nie jest tylko zbiorem wzorków z trupy nieśmiertelnego „Samego“, „Capińskiego“; historyę bohaterki dopowiadają „Fermenty“ i trwa długo, nim panna Janka Orłowska wyburzy się do ostatka z fermentów młodości, tęsknoty, niezadowolenia z płaskiem otoczeniem artystycznych popędów, nim żona niesforna, matka przykładna sfilistrzeje do

tyla, że towarzysz jej były ze sceny i wielbiciel nielada splunie i w świat ruszy na chłód i głód, byle daleko od niej i od jej atmosfery. A gdybyż „Fermenty“ kończyły się typami, jej i najbliższych, np. Grzesikiewiczów, z którymi zżyć się nie może; ależ stacya kolejowa, Bukowiec, z której w świat ucieka i do której złamaną przywiodą napowrót, obfituje w tyle innych typów, maniaków — ojciec jej przynajmniej umysłowo nieuleczalny, ale ów Zwierkowski np. — histeryczki, mamusie, siostrunie i t. d., obfituje opowiadanie w tyle epizodów, pogrzeb Rochowej np., a zapełnione tylu przepysznymi obrazami, lasu, jazdy sannej, od której aż oddech zapiera, że nie sposób nie podziwiać tego piętrzącego się aż nadmiar bogactwa, tej niewyczerpanej siły twórczej autora.

Nadmiar tej fantazyi, obserwacyi, pamięci rozsadził nawet wiązanie następnej wielkiej powieści, „Ziemi obiecanej“. Tłem jej „nasz Manszester“, Łódź, jej życie przemysłowe, jej milionerzy, Niemcy i Żydzi, nasi dyrektorowie - dorobkiewicze i nasze ofiary wyzysku. Gdy w „Bawełnie“ Kosiakiewicza sama fabryka, jej urządzenie, praca fabryczna są na pierwszym planie, u Reymonta rasy i narodowości, semicka, niemiecka, polska, owa trójka, Moryc, Baum i Borowiecki, a za nimi cała fala innych, łotrów wielkich i małych, lwic i samic najrozmaitszych, przewala się w rozpędzie epicznym, porywa nas przez wszystkie fazy i szczegóły życia łódzkiego, od buduarów milionerek do piwiarni nocnych, od orgii z szampanem do opatrywania chorego chłopca na polu — w tym wirze głów, barw, głosów, ruchów, planów, podłości, słabostek, namiętności gubią się niemal rysy podstawowe; pasorzyty - epizody rosną kosztem całości w nieskończoność; *lodzermensch* Borowiecki przestaje nas zajmować swoją niesumiennością, bezczelnością, słabością woli w gruncie, samą żądzą użycia, górującą nad wszystkiem, wreszcie ostatecznem przeobrażeniem w filantropa, z nudów i przesytu, zagłuszony owym rozgardyaszem piekielnym, ginący w olbrzymim, barwnym, jaskrawym aż nadto obrazie. Wrócił jeszcze raz Reymont do Capińskiego *et consortes* i uroczą Lili, odbijającą od tła najpospolitszego, najpoziomszego, niemal przeanielił, okupując tę przesadę sylwetkami jej otoczenia, jedną pocieszniejszą i tragiczniejszą nad drugą; ale to chyba ostatni hołd u ołtarza Talii prowincyonalnej złożony.

Coraz bardziej nęcił go lud, występujący u niego dotąd epizodycznie (np. ów niezrównany opis pogrzebu i stypy w „Fermen-

tach") lub w nowelach, z których najznakomitsza „Sprawiedliwie", zepsuta przy końcu niepotrzebnie efektami melodramatycznymi. I wystąpił, jak w epopei łódzkiej, tak teraz w epopei chłopskiej, „Chłopi" — najpełniej obraz życia wiejskiego roztaczając, na jaki się dotąd literatura, nie tylko nasza, zdobyła.

Ten pociąg do ludu, tak znamienny dla naszych poetów, tryumfujący u Wyspiańskiego, nurtujący niegdyś w Sienkiewiczu, nim się w Homera szlacheczczyzny przerodził, stał się osobliwszym tytułem chwały dla Reymonta. Dać nam poznać wieś, ciche jej dramaty i groźne konflikty, na tle przyrody w cudownych jej opisach, z całą powagą i wszystkiemi słabostkami naszych Piastów, nie, jak dotąd najczęściej bywało, z punktu widzenia ekonomskiego czy łyków, niemogących się chamowi dosyć wydziwić, lecz z wnętrza wsi samej, w jej własnem oświetleniu, z najgłębszem wniknięciem w psychę chłopską, w rozmiarach, a nieraz i w stylu homerowym (np. w opisie Zaduszek, może nawet nieco fantastycznie wyolbrzymionym) — oto niespożyta zasługa Reymonta. Nie schodząc do tworzenia w gwarze wiejskiej, nie waha się nawet w opisy i słowa swoje wplatać terminów chłopskich, i „kiej" i „nikiej" i „se" i t. d.; w rozmowach swych bohaterów skrupulatnie ich język zachowuje — ale również głęboko przejął on się ich uczuciami, sposobem myślenia, poglądami na świat. Więc nie tylko w Bronowicach schodzą do ludu, i w Warszawie potrafią go wyczuć i oddać— bez tendencyi, takim jak jest. Siłę Reymonta stanowi obserwacya, czysto epiczna, on patrzy i pisze obrazami, pełnymi życia — las sam żyje u niego, nie tylko ludzie; humor mu nie obcy, chociaż częściej satyrą pióro jego trąci; studyuje dusze, lecz w analizy psychiczne wyjątkowo się wdaje, uczuciowość zato mu obca, na razie przynajmniej.

Tego mistrza realizmu nie dosięgają inni, chociaż znacznie dawniej na polu literatury się dosługujący i również pewne sfery wyłączniej studyujący. Taki Maryan Gawalewicz np. wielkie miasto, Warszawę, obrał, próbujący dawniej najrozmaitszych tematów, nawet z dramatami występując i legendy Matki Boskiej do ilustracyi Stachiewicza dopisując. „Dwa pokolenia", „Mechesy", „Szubrawcy", „Warszawa" wreszcie, to dla niego najbardziej znamienne w całym, na liczbę bardzo bogatym dorobku literackim. To przemysłowców - Niemców w dwu pokoleniach wystawi, jak się asymilują z tubylcami, jak z własnemi cnotami cnoty otoczenia się

kojarzą, albo jak obce przywary i miejscowych jeszcze dobierają; przechrztów znowu ze wszelkimi antagonizmami, nowymi i dawnymi; opinię publiczną i jacy szubrawcy ją u nas wyrabiają; życie warszawskie, po redakcyach, knajpach, salonach — lecz tu właśnie szczegóły raczej, choćby obojętne, niż treść samą, wyraził. Wobec nadzwyczajnej jędrności stylu Reymonta czy Żeromskiego odbija jego rozwlekłość, jego ciągłe powtarzanie się; brak mu rzewności, głębokości, mocy, jego obrazy ciekawią, nie wzruszają, nici sympatyi między bohaterami a czytelnikiem nie nawiązują się; ale obserwacya bystra i prawdziwa, nie waha się przed dotkliwą ironią np. w kreśleniu świata literackiego.

Obok tej wielkomiejskiej galeryi tworzył oddawna Wincenty Kosiakiewicz swoją małomiejską, swoich „Gąsiorkowskich" i niezliczonych innych, „Łatkowskich" i t. d., „W małem miasteczku", z prawdą, humorem, uczuciem — nie wytrwał jednak w wązkiej tej sferze, którą zresztą wcześnie i na świat dziecięcy — niegdyś też jego specyalność — rozszerzył; próbuje teraz głównie nowel społecznych, nieraz wcale obszernych, np. „Plama"; albo artystycznych, choćby z życia cyrkowego, obcego. I jego zrobiła miłość zawiedziona poetą; poezyami, wytwornemi wcale co do formy, tętniącemi głębokiem uczuciem, goryczą, rozczarowaniem, bolem nieudanym, świeżo nas zadziwił.

Z felietonistów przeszedł niedawno w szereg powieściopisarzów Stefan Krzywoszewski („Zmierzch"; „Pani Julia"), nie darmo on na mistrzach stylu, na Francuzach, wyćwiczony, i żywo odbija od naszej domorosłej szarzyzny werwa, giętkość, barwność jego prozy — większych rzeczy dotąd nie stworzył, po nad francuski temat trójkątu małżeńskiego nie wyszedł na razie, ale obrobił go wcale nie szablonowo: figury artystycznej kolonii polskiej w Paryżu odżyły pod jego piórem, a i na domowym gruncie obserwować umie; i w dramacie społecznnym („Małe dusze") sił próbuje.

Właśnie od jego stylu odbija styl A. Konara, patrzącego na świat przez szary pesymizm i piszącego, jak widzi. Znamienny rys spólny jego kreacyi powieściowych, opuszczanie się jego bohaterów a raczej bohaterek, nie ich proste ofilistrzenie się, jak w „Fermentach" Reymonta, lecz spadanie z wyżyn rojeń czy sukcesu nieraz aż na samo dno życia; tak ginie, po dniach tryumfu artystka-śpiewaczka w „Jesieni", tak wszystkie trzy „Siostry Malinowskie",

gdy z cudzych piórek wyleniały, sroczkami się okazały i dobrze jeszcze, kiedy po starciu ułudy młodości i sentymentu uczciwość i dbałość matki rodziny ich fochy i dąsy przeważy; tak „Panny“ staczają się w grób czy na ulicę. Warszawę zna Konar i z niej motywy swe pesymistyczne, z zabarwieniem satyrycznem, czerpie, z jej światka mieszczańskiego, i w dramacie („Gąsiennice“) wzorki brał.

Od realistów co do obserwacyi, romantyków co do fabuły, bardzo niewybrednych co do wysłowienia, czasem wręcz niepoprawnych, roją się nasze odcinki po dziennikach i książki po czytelniach, nie należą jednak do literatury rzeczy hr. Wincentego Łosia, pisane z przerażającą łatwością, sklecone byle jak, ciekawe tylko typami z wielkiego świata, do którego sam autor należy; więcej nierównie temperamentu i prawdy mają powieści Abgar Sołtana (Abgarowicza), z życia szlachty podolskiej, z dokładną znajomością tego wesołego, hulaszczego światka („Klub Nietoperzy“ i t. p.); Kazimierz Rojan, spłodziwszy w krótkim przeciągu czasu, dziesiątek tomów, z życia towarzyskiego, lwowskiego („Dusze artystyczne“, ze strasznie dowolną „psychologią“, z „kawałami“, na które dziś czytelnika właściwie się już nie bierze, np. w „Muszce“ i in.) zdaje się zamilkł na razie.

Już to u nas wszystko na opak; milczą ci, którzy mają coś do powiedzenia, taki Ignacy Dąbrowski lub Wacław Berent; po świetnem wystąpieniu, zarzucili obaj na długi czas pióro; dopiero roku 1902 milczenie przerywają. Wacław Berent wystąpił był z bardzo realistycznym „Fachowcem“: bohater jego, student, dał się wziąć na lep utyskiwaniom nad brakiem wykształconego robotnika; rzuciwszy więc studya, poszedł do fabryki i, choć „gryfu“ niema, wytrwa przy warsztacie i z inteligenta stoczy się powoli na robotnika-pijaka; nadzwyczaj ciekawy i subtelny autoreferat psuje się chyba tem, że ostatnich jego kart taki robotnik nie mógł już dopisać. Po latach wypłynął Berent w „Chimerze“, jako modernista najczystszej wody: jego „Próchno“ samym tytułem sferę oznacza, artystów-schyłkowców, muzyków, malarzów, dziennikarzów, aktorów, trapionych głodem sławy, sceny, kobiety, albo fizycznym, chorych na brak woli albo na suchoty, na nadmiar autoanalizy, rozdmuchiwanie swych uczuć; wykolejeni z równowagi umysłowej, jeden drugiego coraz bardziej pogrąża, straszy, dręczy; szydzą ze świata, z siebie, aż kończą samobójstwem — jest tu i Nietzsche i Przybyszewski, wszelakie grzechy miłości i wyuzdanie zmysłowe na tle alkoholicznem, są wizye i symbole, ale jest i nadzwyczajny wysiłek umysłowy, styl błyskotliwy, kontrasty i paradoksy rażące, charakterystyki tych dekadentów świetne, a całość głębokim bolem, szczerym niepokojem własnym przejęta — czujesz prawdę tych bolesnych wyrzutów, zgrzytów sumienia, skarg namiętnych.

Ignacy Dąbrowski zwrócił uwagę studyum swem, „Śmierć“, pamiętnikiem ostatnich dni suchotnika, ważącego się między bezbrzeżną rozpaczą a złudną nadzieją, myśli co go trapią, „taktyki“, jakiej w obec lekarzów czy przyjaciół używa, głębokie studyum psychologiczne, przejęte miłością i głęboko wstrząsające; potem dawał tylko krótkie rzeczy i jakby się od słowa całkiem odwrócił, w czynie altruistycznym zadowolenia moralnego jedynie szukając; ostatecznie jednak wrócił do noweli („Szukamy Cię“).

Między debiutantami najmłodszymi na polu noweli realistycznej wymieniamy i Jana Augustynowicza, który w „Księdzu Procie, historyi ludzkiej“ przeciw kardynalnej u nas zasadzie („Głupcze, o księżach dobrze mów“, woła Słowacki) zgrzeszył i sylwetek wcale nie ponętnych ani budujących duchowieństwa parafialnego nie mało wystawił — nie poskąpił nam jednak i typów dodatnich; obszerniejszy zbiór nowel postępem nie był. Dalej Orsyd, kochający się nadto w samych nierównych tonach, Orwicz, przedstawiający artystów i i.

Ze znaczeniem Reymonta zrównał się, a raczej prześcignął je **Stefan Żeromski.** Sztuka jego bynajmniej nie epiczna; on nigdy mas w ruch nie wprawia, nawet najobszerniejsze dotąd, „Ludzie Bezdomni“ (o świeżo drukujących się „Popiołach“ wstrzymujemy się od sądu), rozpada się na szereg szkiców nastrojowych, nieraz tylko wybuchów liryzmu, nie posuwających naprzód opowiadania, przerywających je, nie przedstawia więc epicznej całości. Poprzedziły je nowele i szkice. O fabułę mało chodziło; autor nie opowiada, opisuje z nadzwyczajną drobiazgowością — lecz nie byle co, tylko co charakterystyczne, przyrodę, nie dla niej samej, ale dla dostrojenia jej do stanu dusz swoich wybranych. Nie pogardzi realizmem, choćby najwstrętniejszym — ale czytelnika nigdy nim nie urazi, bo odczuwa się niezbędność tego rysu czy obrazu. Pesymista on na pozór straszny, zgorzkniały; znęca się nad bohaterami swymi, prześladuje ich, nielitościwy, ale i ten pesymizm nie razi, podkład jego bowiem nie szyderstwo, nienawiść czy zawiść, lecz głęboka miłość bliźniego, ból nad rozdarciem tego świata, nad

niemożliwością służyć ideałom zarazem i szczęściu własnemu. W imię tych ideałów nie zna on żadnych kompromisów, im poświęci wszystko — wdzięczność i przywiązanie synowskie, miłość wybranego dziewczęcia. Doktor Piotr wrócił do kraju; stary ojciec dla niego jednego żył, nawet ludzi krzywdził, aby mu środków niezbędnych dostarczać, jest teraz u szczytu szczęścia; ale w tej chwili rzucił syn próg gościnny, skoro się domyślił, na czyj koszt to się chował, i wyjechał znowu za granicę, obarczony przekleństwem ojcowskiem, aby jak najrychlej pieniądze te zwrócić. Doktor Judym, acz z sercem rozdartem, rzuci swe wielkie szczęście, bo wie, że onoby go krępowało w spełnianiu obowiązków. Jakżeśmy dalecy od wszelkich idyl Kraszewskiego i Orzeszkowej, Jeża i Sienkiewicza!

Demokrata to z przekonania, nie na pokaz tylko swe zasady noszący; mózg i serce już ma tak nastrojone; inaczej myśleć, czuć ani potrafi. Więc roznamiętnia go wszelki widok wyzysku, niesprawiedliwości, ucisku — ale nie wybuchnie on nigdy krzykiem, skargami, wyrzutami: jego Piotr i słówka nie traci; żona pocztmistrza („Ananke") rzuca męża, idzie z dziećmi w świat na najstraszniejszą nędzę, bez giestu niemal: ona i na chwilę zostać nie może przy spodlonym, choć on się tylko dla niej i dla tych dzieci spodlił; dusza jej czysta, dotknięcia brudu nie zniesie — ucieka przed niem wdal; i Judym nie kwili żałośnie: z zaciśniętemi ustami, by rykiem bolu nie zdradził, idą oni w świat, *pełnić obowiązek.* To pełnienie — *obowiązku,* bez handelków i szachrajstw ze szczęściem, światem i z sobą samym, proste, bezmyślne niemal, tego uczy nas Żeromski, tego nie uczył nas żaden powieściopisarz przed nim, nas, którym taka nauka więcej potrzebna, niż komukolwiek innemu, którzyśmy na wszystko, tylko nie na Katonów stworzeni, stałem pobłażaniem sobie i innym, najbardziej sobie szkodzący. I dlatego bije, mimo bezbrzeżnego smutku, wiejącego na nas z tych kart wymownych, w nich źródło prawdziwego pokrzepienia serc; gorycz to, ale gorycz uzdrawiająca, dla żołądków, zepsutych cukierkami wzajemnej admiracyi, ustępstw, miłości, pobłażania.

Ten sam temat, który Ibsen we „Wrogu Ludu" opracował, obrał i Żeromski w „Ludziach bezdomnych". Że prawdziwy przyjaciel ludu (inni powiedzą — kusiciel ludu i pod tym też tytułem Świeżawski ludowców na scenę wprowadził) musi być człowiekiem bezdomnym, tego domyślił się bohater Ibsenowski na końcu swej

karyery, gdy już zapóźno, gdy omotany swą rodziną na rękach i nogach — sam musi być człowiek, woła *post festum;* doktor Judym od tego hasła zaczyna, i nie zrazi go zdziwienie i sarkazmy kolegów, i prowadzi on walkę w zakładzie kąpielowym, a gotuje się do nowej w kopalni. Anioł, nie kobieta, przechodzi przez jego drogę, miłość usypia w nim czujne sumienie na chwilę, gotowo ono do kompromisu, ale przypadek je budzi; odkąd zaś p. dyrektora kopnął nogą do stawu, niema już dla Katona powrotu, i myśmy dumni z tego, chociaż ani się nam wierzyć chce, że nas nie tylko na mazgajów Płoszowskich i filistrów Połanieckich stać, ale że i lwy Judymy między nami się rodzą—a jeżeli nas wzrok nie myli, to i w Joasi dostrzegamy czegoś więcej, niż gąski i trusi, niż Anieli i Maryni. Judym to jedyny prawdziwy ideał, jaki nasza belletrystyka najnowsza wydała; nie Borowiecki to, ani Połaniecki, ani Floryański. Że go szewcowa rodzi — a któż z nas bez winy?

To co do zasad — a wykonanie? Że budowa całkiem luźna, że się rzeczy pozornie wcale nie wiążą, np. rozdziały o bracie i bratowej, albo ów pamiętnik Joasi, że się w innych opowiadanie wcale nie posuwa — bardzo słusznie, ależ to rzeczy takiej cudowności, że żadnej byśmy dla planu, dla całości, nie poświęcili; pamiętnik, niestety, pisał Żeromski, nie zdobyłaby się na niego żadna Joasia. Wszystkie opisy przyrody są pierwszorzędnej piękności. Styl niesłychanej jędrności, daleki od rozlewności Reymonta i Sienkiewicza; jego refleksye, wybuchy, opowiadania i opisy, to nie woda letnia naszych powieściopisarzów, lejąca się bez końca, to ekstrakt jakiś czy kwas siarczany, żrze i pali, burzy, nie uspokaja; dla większej wyrazistości nie obawia się autor wprowadzać prowincyalizmów, wzbogacać mowę, broniącą się napróżno od wlazów. Ale o treści i formie powtórzyłbym, co Mickiewicz o Goszczyńskim powiedział; znać wpływ Dostojewskiego i Tołstego — największy jednak wywarło życie, posępne, na smutne naprowadzające myśli, lubujące się niemal w zgrzytach, okropnościach, znajdujące ukojenia, poza ludźmi, na łonie przyrody, w którą się wpatrzył i wsłuchał artysta, z której wydobywa jedyne obrazy niezmącone, jasne.

Na przeciwległym krańcu, w życiu i sztuce, znalazł się **Józef Weyssenhoff,** ale z dzieł jego, malowanych w słońcu, choćby elektrycznem, do których treści zaczerpnął z najwykwintniejszego towarzystwa naszego, należąc sam do niego, wieje na nas większy

chłód i smutek, niż od czarnych, błyskawicą postrzępionych chmur, zalewających rozpaczliwe widoki Żeromskiego. Pominąwszy rzeczy mniejsze, wrażenia turysty i t. d., dwoma powieściami, „Pamiętnikiem Imp. Podfilipskiego“ i „Sprawą Dołęgi“ zdobył Weyssenhoff ogólne, rzetelne uznanie, choćby już dla subtelnej ironii, tak niezwykłej u nas, przyzwyczajonych do grubszych efektów; w „Podfilipskim“ odczuwał tę ironię i gruboskórny czytelnik. Sam Podfilipski, założyciel do istniejących od dawna na świecie fakultetów nowego „polskiego“ (czytaj „Polaczków“), nie bawił się w pamiętniki, ale wielbiciel jego cichy za niego je spisał i niedźwiedzią mu oddał przysługę, bo mimowolnie oświecił tę postać, której zawdzięczaliśmy podniesienie turfu, towarzyskości, europeizmu, jednem słowem, propagandę kultury między barbarzyńcami i wstecznikami; lecz teraz zaczynamy na nią z podejrzeniem i niedowierzaniem spoglądać; mimo to ujęlibyśmy się nawet za nim i nie chcemy go za autorem o łajdactwa (z Falbanką i Kutyłowiczem) pomawiać. Otóż ta *fine fleur* kosmopolityzmu, tak godnie reprezentująca naród w Monaco i na bulwarach, rozsiewa tyle mądrości życiowej, tak dyskretnie filtruje w nasze tępe łby prawdziwe pojęcia o patryotyzmie, sztuce, wierze, pracy społecznej i t. d., że uciekamy, zatykając nos i uszy.

„Podfilipski“ nie był zresztą powieścią, skomponowany luźnie, jak „Ludzie Bozdomni“. W prawdziwej powieści, w „Sprawie Dołęgi“ ironia mniej dotykalna i wrażenie tem samem o wiele głębsze; z Podfilipskim prędko się sprawisz, chociaż my się i z szujami ceremoniujemy — ależ towarzystwo warskie z augurem, z hrabią Karolem na czele! Wszystko to, „pustokwiaty“, jak jedną z heroin w „Wojnie i Pokoju“ słusznie przezywają; owocu z nich nie będzie, i próżno Dołęga— też *lucus a non lucendo* — do akcyi ich wzywa; pochodzić około własnych interesów albo pobawić się w dyplomacyę i dać się na dudków wystrychnąć, życie z elegancyą i szykiem zmarnować, pozować we wszystkich postawach, na nic innego się nie zdobędą. W tym tonie zabójczej ironii utrzymywana też cała powieść, i nie wiemy, dlaczego Weyssenhoff dysonansem ją kończy, owym figlem, jakie nerwy rozigrane księciu Andrzejowi płatają, wyciągającemu ręce do „ziemi“, jakby Ślimak z „Placówki“.

A drugi figiel, to owe odwiedziny księżniczki Halżki u Dołęgi, taki niesłychany wybryk przeciw wszelkiej *tenue,* że trzeba całej

powagi pana inżyniera, aby tej scenie choć pozory *correct'u* zachować; — jemu choć nerwy nie grają, bo mogłaby się zabawka gorzej, niż z Hellówną, skończyć. Nie wiedzieć, co w tej powieści więcej podziwiać, czy naturalność, niewymuszoność tonu, niedostępnego nie tylko naszym literatom, ale i *Ohnetom* i *Ouidom e tutti quanti,* wprowadzającym na scenę lub do powieści niemożliwych arystokratów i magnatów; czy bystrość obserwacyi; czy sztukę nadzwyczaj dyskretnych cieni i półcieni, uwypuklających każdą postać; czy prawdziwość ową, zdzierającą zasłony równo z Podfilipskich, jak i z Warskiego towarzystwa. Judymowi w czarnej, burzliwej nocy gwiazdeczka błyszczy — przed Karolami i Andrzejami tylko próżnia i nicość, Okopy świętej Trójcy leżą tutaj obok Waru.

Literaturę naszą odznacza wybitnie narodowy charakter, nie tylko w głównem, w ujęciu tematu i w zasadach podstawowych, ale i zewnętrznie, w samym wyborze tematów, czerpanych z naszego otoczenia, z naszej przeszłości: tak było dawniej, i dziś się to nie zmieniło; „Quo Vadis“, „Myrtala“, „Faraon“, „Rzym za Neronów“, to tylko wyjątki. Z dalekich krajów jeden jednak splótł się z życiem polskiem nierozerwalnie, Sybir, i nasze wycieczki borealne znachodzą oddźwięk w literaturze dosyć wcześnie, nie tylko w pamiętnikach Kopecia, Felińskiego, ale nawet w „Anhelim“ i w „Brankach“ Deotymy.

Najnowsza belletrystyka uchwyciła ten wdzięczny temat, w szkicach i nowelach najpierw **Adama Szymańskiego,** potem i **Sirki (Wacława Sieroszewskiego).** U obu temat niby ten sam, wykonanie najodmienniejsze. W szkicach Szymańskiego nie żyje Sybir własnem życiem; nasi to, Maćki, Mazury, Srule z Lubartowa, Hanusie na tle sybirskiem, pożerani tęsknotą za swoimi, za krajem. Nowość tematu zapewniła Szymańskiemu powodzenie; lecz zamilkł on na długo po dwu tomach „Szkiców“.

Inny całkiem talent Sieroszewskiego, silny, zrównoważony, nerwów i histeryi nie zna; więc rzucony nawet między Jakutów, nie złamie się ani ugnie, spojrzy grozie w oczy, weźmie się z nią za bary i wyjdzie tryumfujący. W długoletnim pobycie poznał Sieroszewski kraj i ludzi: etnograficzne dzieło, „Dwanaście lat w kraju Jakutów“, świadczy znakomicie o talencie spostrzegawczym poety - etnografa. Stąd zaczerpnął treści do swych nowel, „W matni“, „Na kresach lasów“, „Czukcze“, „Brzask“ i stworzył

ową nowelę etnograficzną, której dotąd nie mieliśmy, ubodzy nawet we właściwe i własne opisy podróży, skoro lekarz warszawski, Tripplin, najhojniejszy ich dostawca, nie z autopsyi pisywał.

W obrazach Sieroszewskiego i przyroda sybirska i tubylcy jej oddani z epiczną dokładnością i przedmiotowością; nie ukrywa autor poza jej grozą, poza zabójczem tchnieniem jej mrozów, majestatyczności i piękności rozlanych jej wód, szumiących jej lasów, a z pod dzikiej pierwotności jej plemion, wobec spustoszeń ospy i głodu, z pod nieufności i nienawiści, przebijają się pędy ludzkiego uczucia, poświęcenia i miłości bez granic. I pozostał Sieroszewski malarzem egzotycznej przyrody, w „Risztau“ wprowadził nas na szczyty kaukaskie — a dokonał przytem, tak mimochodem, i krytyki ewangelii o pracy ręcznej i rolnej Tołstego, i nie wytrzymała ona tej krytyki— w powieściach najnowszych, chińskich, zaznajamia nas ze światem, którego, po dziełach Lwowianina Boyma, po odezwach polskich Bogdychana Do Imcp. Nicefora Czernichowskiego w Mandżuryi i XVII wieku, pióro polskie nie tykało.

Na pierwszy plan wysuwa się w szkicach Sieroszewskiego zawsze przyroda sama, w nieskończonej odmienności widoków, od tundr zlodowaciałych do rozkosznych gajów kaukaskich; ludzie niemal tylko sztafażem na tle oryginalnem egzotycznej przyrody. Lecz i oni nabierają osobliwszego znaczenia: nie zadowala się autor rzutem ich pobieżnym, zgłębia i te głowy naiwne i te serca czułe, pod korą barbarzyństwa, uprzedzeń, nieufności, usprawiedliwionej aż nadto, i uwydatnia nam dramaty wstrząsające w walce z przyrodą i ludźmi, różnice społeczne, namiętności burzliwe. Z tubylcami mieszają się jego rodacy; co z tego zetknięcia wynika, jak ułudy humanitarne nieubłagana rzeczywistość rozwiewa, jak się myśl i serce przekształca, odda on równie dosadnie. Pokaże nam nakoniec rozmaite typy nasze, europejskie, jak się w najbliższem życiu między sobą modyfikują, jak odzywają się w nich tęsknoty, dążenia, których nie zaspokoi nigdy, ani przyroda sama ani praca ręczna, pozostawiająca ducha marzeniom, rwącym coraz bardziej od idyli egzotycznej w świat myśli i ludzi czynu, między swoich.

Gdy tak najnowsza powieść społeczna i obrazy przyrody zostawiły daleko za sobą i artyzm i wartość ideową i oryginalność „Połanieckich“ i „Listów z podróży“, historycznej powieści nikt z nowszych na wyżyny trylogii, „Quo Vadis“ i „Krzyżaków“, a nawet „Faraona“, wydźwignąć nie zdołał. Potęga artyzmu i realizmu

Sienkiewiczowego wlała wprawdzie nowe życie w formy, jak się zdawało, ostatecznie przestarzałe; wzrosło zamiłowanie do nich, dzieła, poczęte nawet samoistnie, jeszcze przed pochodem tryumfalnym Trylogii, niezawisłe od niego, teraz dopiero na widok publiczny się odważyły.

W krótkich odstępach pojawiły się prace Kaczkowskiego, stawiającego nadto wysokie żądania, krytykującego w ich imię wcale ostro „Ogniem i Mieczem“; lecz jego własnym pracom, mimo sumienności i obszerności studyów przygotowawczych, mimo rozległości widoków, brakowało rozmachu epickiego, jawnej wizyi przeszłości, porywających wyobraźnię i uczucie obrazów i konfliktów. O romansach historycznych Kazimierza Glińskiego i Wiktora Gomulickiego już wyżej wspominaliśmy.

Najpłodniejsi na tem polu—**Adam Krechowiecki** i **Teodor Jeske-Choiński.**

Krechowiecki (redaktor „Gazety Lwowskiej“ i jej „Przewodnika naukowego i literackiego“, próbujący sił i w dramacie), natura artystyczna, człowiek wysokiej kultury, sferę, którą z obserwacyi i spółżycia zna, „Naszych najmłodszych“, artystów i arystokratów, w „Jestem“ malarskiem i in. prawdziwie kreśli; w romansie historycznym od wieku XVII zaczął („Starostą Zygwulskim“, t. j. Dyabłem Stadnickim) i po wycieczkach w średniowiecze z Maćkiem Borkowicem („Szary Wilk“, z nadmiernie nagromadzonemi okropnościami) i „Fiat lux“ (rzeczą okolicznościową, o Jadwidze i Jagielle, z powodu jubileuszu ich uniwersytetu) do XVII wieku wrócił. Zamiast trylogii dał tetralogię, chociaż ani na Ukrainę, ani w szwedzkie, ani tureckie walki głęboko nie wstępował; sprawy pruskie i wyznaniowe, Kalkstein i Łyszczyński, czasy Michała i Sobieskiego, całkiem go pochłonęły. Jak w „Krzyżakach“ zakon, tak w tetralogii jego („O tron“) wielki kurfirst w Królewcu ową potęgę przedstawia, zagrażającą bytowi Rzeczypospolitej, konsekwentną, nieubłaganą, mściwą, kryjącą się z zamiarami do czasu. Łyszczyński, alumn niegdyś jezuicki, potem ateusz mniemany, jego siostra, konkurent jej niefortunny i o to na Łyszczyńskich się mszczący, wystudyowani wcale głęboko; niektóre figury epizodyczne, np. ów drab - bohater lwowski, Atelmaier, życiem tryskają — mieszczańska to replika Zagłoby, bardzo udatna; lecz w całości przeważa nieraz historya, podlewana tylko owym sosem romantycznym;

i sam temat główny, Kalkstein-Łyszczyński, ani fortunnie wybrany ani najlepiej związany.

Choiński od krytyki do romansów przeszedł. Najwymowniejszy to i najbezwzględniejszy rzecznik konserwatyzmu a przeciwnik pozytywizmu — możeby go nawet za silne mrozy czy nizki stan Wisły odpowiedzialnym czynił, wynika to przynajmniej ze „Złotego Runa“: bohater jego to podlec, póki w Büchnera wierzy, chociaż przyczyn podłości nie w Büchnerze, tylko w „Polaczku“ upatrujemy.

W szkicach i krytykach rozbijał w puch (wraz z Ładą- ks. Gnatowskim) pozytywistów, ich literaturę i ich ideały, w romansach i dramatach własne wystawiał, bez osobliwszego powodzenia, nawet ze świata żydowskiego, coś na modłę „Uriela Akosty“, aż społeczne dzieje rzucił, a dawnym i obcym się poświęcił. Powziął on bądź co bądź myśl niezwykłą; z cyklami Kraszewskiego czy Freytaga zawodnicząc, zamierza wystawić przełomowe chwile dziejów ludzkości europejskiej, od przejawów chrześcijaństwa na tle rzymskiem aż do nowszych czasów. Wykonał on dotąd, nie bez powodzenia, kilka ustępów owej epopei: „Gasnące słońce“ upadek starożytności zapowiada, uginanie się jej na zewnątrz pod strasznym naciskiem barbarzyństwa, a rozsadzanie wewnątrz przez nową wiarę — „Ostatni Rzymianie“; potem w nagłym nieco przeskoku, ze stulecia V w XI, „Tyara i Korona“, o Kanosie, o Grzegorzu i Henryku; potem, bliżej, nowele prowansalskie, z czasów i motywów trubadurskich. Autor studyuje owe epoki wcale sumiennie, opowiada nieraz zajmująco, lecz efektów wyzyskać nie umie, ślizga się nieco po powierzchni, tonów właściwych z materyału nie dobędzie, do rozmaitości sytuacyi i osób dostroić się nie zdoła — głównie zaś, nie udaje się mu wiązać należycie fabuły powieściowej z historyą, oboje toczy się obok siebie, historya przeważa zupełnie nad powieścią.

Specyalny rejon dziejowy wymierzył sobie Władysław Gąsiorowski, czasy napoleońskie, które u nas, mimo „Pana Tadeusza“, stale pomijano. Zaczął był Gąsiorowski pod pseudonimem Jana Mieroszewicza zawód belletrystyczny rzeczami satyrycznemi („Zginęła głupota“, później „Zięć firmy Fajnbund i Sp.“), oryginalnemi, jak „Pamiętnik nowonarodzonego“ albo owem fachowem studyum o „Pigularzu“, lecz nowelami i obszernemi powieściami („Rok 1809“) do „Hurraganu“ się dobiera; wystudyował epokę aż do drobiazgów i z rozmachem epickim, wikłając fabułę po romantycznemu, ją przedstawia: lecz nie o Korsykanina, idzie mu o Poniatowskiego, Raszyn i t. d.

Bliższe czasy traktują nasi powieściopisarze wyjątkowo; nowsze katastrofy nieraz dostarczają motywów, ale opracowanie bywa mało albo wcale nie literackie; najnowsze stosunki, stan umysłów młodzieży galicyjskiej odtwarzali Alfred Nossig i Wilhelm Feldman; unieśmiertelniono nawet ugodowców warszawskich i ich akcyę; w „Podniebiu“ E. Paszkowski wystawił propagandę ideową publicystów warszawskich, ludzi z poddasza, z wielką werwą, acz nieco stronniczo. Inne rodzaje powieści nie kwitną; dla powieści symbolicznej czy alegorycznej wierszów się chwytają; proza „Godów Życia“ Dygasińskiego, niektórych utworów Przybyszewskiego, do wyjątków należy; Arfów, Circe, Twardowskich w formie dramatyczczy w tercynach układają.

Humorystycznej powieści nikt umyślnie nie uprawia, nawet nowele humorystyczne należą u nas do rzadkich; przeważa satyra, np. u Zygmunta Niedźwiedzkiego, nienawidzącego filistrów, przedrzeźniającego ich nielitościwie (choćby np. wystawiając skrofulicznego redaktora i jego frazesy wobec kobiet Zulów, tryskających zdrowiem i siłą), wyładowującego zawody i żale swe w cięgach po grubej skórze i odpowiedniej moralności „mydlarskiej“, przypominającego nieco Guy de Maupassanta. Humorem chyba starsi, Bałucki (najczęściej i najniewybredniej), Prus i Sienkiewicz celowali.

Niezmąconą pogodą ducha, płynącym stąd humorem i niedostępnym odeń optymizmem górował nad wszystkimi jedyny, malujący w „słońcu“, **Sewer (Ignacy Maciejowski).** Bardzo późno zabrał się on do literatury, „Obrazami Anglii“, gdzie długie lata przebywał, nim w Krakowie, a raczej na wsi pod Krakowem osiadł, nawet dramaty z życia angielskiego (np. „Pojedynek szlachetnych“, jedna z naszych pierwszych prac konkursowych) zjednały mu sławę, do tematów angielskich wracał i w ostatnich nowelach nieraz. Ani Londyn ani Kraków nie były jego terenem; że on potomek nieodrodny tych, których stary Bielski próżno do życia miejskiego nakłaniał, okazały jego (przeważnie nowele, rzadziej) obszerne powieści, poświęcone ludowi krakowskiemu, Żydkom nawet „nad Rudawą“, jego dramat, „Marcin Łuba“, jeden z najlepszych całego repertuaru „sielskiego“. W dramacie przedstawia wstrząsający konflikt: do związku przeciw ojcu-wyzyskiwaczowi stanie własny syn,

wykształcony ludowiec, w obronie gminy, pokona ojca kutwę, który się sam zabije; ale nie zyska, a raczej postrada ufność tych, którym względy synowskie poświęcił. Lecz już „Dla świętej ziemi“, inny obrazek dramatyczny, wypadł pogodniej, chociaż namowy bogacza mogły poskutkować, a Antek i bez pieniędzy wrócić; ta nuta wesoła, pogodna brzmi coraz donośniej w prozaicznych powieściach; nie żeby Sewer nie widział, żeby przeczył nędzy i nieszczęściu i występkom; cóż z tego, on wybiera same tematy „bajecznie kolorowe“. Lud i przyrodę ukochał i przeciw minorowym tonom naszej spółczesnej literatury życie ze strony godów, nie pogrzebów wystawiał.

Obok chłopka nęcili go artyści — wydawał przecież przez kilka kwartałów „Życie“ krakowskie naszym modernistom; więc „U progu sztuki“ i w innych i wędrownym komedyantom po Szutkiewiczu i Reymoncie się przypatrywał. Od ludowego i artystycznego tematu wyjątkowo w dalsze się sfery wymykał, np. gdy koleje Żyzmy, swego Żydka z Nad Rudawy wystawiał, ale w kantorach i redakcyach nieswojsko mu było, stąpał po gruncie obcym wcale niepewnym krokiem. Głęboko wstrząsły nim przejścia ciężkie, zawody i katastrofy, przyjaciela, Szczepanowskiego, i z innej strony, niż Gruszecki („Dla miliona“), w wielkim romansie „Ponad siły“ wystawił nieznużonego pracownika - idealistę na owem tle „naftowem“, poświęcającego wiedzę, siłę, środki dla stworzenia krajowi olbrzymich, zyskownych przedsięwzięć i upadającego pod brzemieniem nad siły. I to romans „historyczny“ — przewijają się w nim ciągle znane osobistości, od ministra prezydenta do parlamentaryuszów i geszefciarzów. Postać to nadzwyczaj sympatyczna, właśnie tym optymizmem, dalekim od wszelkiej sentymentalności, podbijającym urokiem świeżości, młodości, ufnej w siły, w szczęście, wierzącej w ideały — chyba w szkole angielskiej, życiowej raczej, niż literackiej (bo Dickensa i innych wcale nie naśladuje), pozbył się pesymizmu, autoanalizy, przesądów stanowych: czasami jednak idealną strunę aż nadto przeciągnął, np. w dramacie „Duch Czasu“, bohaterkę wystawiając egzaltowaną, raczej Judymowi do pary, niż poczciwemu, ale nie dalekiemu „dziedzicowi Będzińskiemu“, który do swej hrabiny powróci.

Zarzuty, które niegdyś powieści, jak i całej literaturze naszej czyniono (jeszcze przed dwudziestoma laty), jakoby nadto mało była ludową, nadto szlachecką, wobec dzisiejszego jej rozwoju zupełnie zamilkły; Reszetnikow, Uspieńskij, Złatowrackij, Gorkij — im wszystkim możemy przeciwstawiać pierwszorzędne, nieprześcignione talenty, Orkana i Dygasińskiego, Reymonta i Sewera — w Żeromskim i Kasprowiczu krystalizuje się najczyściej pierwotna natura polska, bez wszelkiej domieszki szlacheckiej. Starych torów powieściowych, idealizujących, romantycznych, szlacheckich, trzymają się nie autorowie nasi, tem bardziej nasze autorki; w powieści o wiele znaczniejszy ich udział, niż w dramacie i poezyi. O nowelach Konopnickiej i romansach Zapolskiej; o Orzeszkowej i Morzkowskiej już wspominaliśmy; obok nich staje długi szereg nazwisk i pseudonimów: od przedwcześnie zgasłej Kazimiery Chłędowskiej, natury wysoce artystycznej, nerwowej, nerwowe bohaterki z wielkim kunsztem kreślącej, aż do również przedwcześnie zgasłej Maryi Paprockiej lub Ludwiki Godlewskiej, poprzez nowele i powieści Kowerskiej, Suszczyńskiej, Walewskiej; Estei, Hajoty, Ostoi; Wandy Grot - Bęczkowskiej, Wójcickiej, Jeleńskiej. Mimo rozmaitości talentów i kierunków nie wahamy się skupiać osobno nasze autorki; skupienie takie nie jest przypadkowe ani dowolne. Mniejsza z tem, że historycznych romansów nie pisują; że przeważnie nowelę uprawiają; spólne mają one zbyt łatwe idealizowanie, mianowicie bohaterów; świat męski znają za mało i nie mogą się weń wmyślić, autor mężczyzna maluje kobiety trafniej, przyznają to panie same; do mężczyzn zaś, kreślonych u naszych autorek, my się rzadziej przyznawać możemy. Wpadają więc łatwiej w przesadę; grzeszą nieraz patosem, deklamacyą, sentymentalnością; główna ich wada — jednostronność: amory, erotyzm, uwicie gniazdka rodzinnego, na tem kończy się ich świat, męski zaczyna. Niedbałość w kompozycyi, rozwlekłość i wielomówność, brak artyzmu, nieraz i nadzwyczajna banalność, powszedniość fabuły i wystawienia—bywają grzechem ich pierworodnym. Na pociechę naszę stwierdzamy, że w innych literaturach bywa gorzej, że do tych braków przybywają inne, gorsze, np. cynizm wyuzdany.

A pociesza nas i jeszcze coś innego: autorki nasze, jakby w ślady Orzeszkowej wstępując, chociaż nieraz „Połanieccy“ u nich dominują, bronią najskuteczniej haseł rodzimych, tradycyi i ogniska; nawet „feministki“ nasze nie burzą niczego, żadnej „emancypacyi“ nie hołdują; to nie ich wina, że dochodzą tylko do wyznań, np. w takim rodzaju „demoralizowaliśmy i ogłupialiśmy anioły - kobietki przez wieki, a teraz one nas demoralizują i ogłupiają... dla

człowieka wyższego, który w teoryi przyznaje kobietkom człowieczeństwo, są w praktyce kurki, koliberki, kotki i t. d."; że ze słów tych nie brzmi tylko „silna nuta rewindykacyi" jakiejś osobliwszej „etyki żeńskiej", dowodzi fakt, że w całej Europiej zaczyna się i u mężczyzn budzić sumienie wobec dotychczasowego upodlenia kobiety.

Naczelne miejsce w falandze naszych autorek zajmuje **Marya Rodziewiczówna,** niewyczerpana w pomysłach, produkująca z nadzwyczajną łatwością, okupująca braki stylu i kompozycyi nie tylko szlachetną tendencyą. Żywi ona kult silnych natur, trudu i obowiązku, i jej „Dewajtis", ów Litwin wrosły w ziemię, jak ów dąb-olbrzym, zjednał jej odrazu serca. Podobnie wyidealizowała ona bohatera „Szarego Prochu", zniemczałego na poły Litwina-Australczyka; nim ostatecznie z rodziną zerwie, jeszcze raz ją pan Lorenz odwiedzi, na ten szary proch z politowaniem patrzy, lecz budzą się w nim instynkty przynależności, poświęcenia i ofiarności, i pozostanie Wawrzys między swoimi, jeden z ich przodowników. Satyry używa rzadko: najbardziej nad obywatelstwem galicyjskiem rozsrożyła się w „Lwie w sieci".

Emancypacyi nie sprzyja, owemu wywracaniu świata na opak, nadmiernej żądzy wiedzy u kobiet, mających strzedz świętego ogniska domowego, rodzinnego (ciocia Skarszewska w „Kądzieli"). Poczciwość tendencyi przebija w tych i wielu innych powieściach, gdzie obok mężczyzny, pełniącego obowiązek społeczny, wynoszącego ziemię, tonącą mu już pod nogami, znowu na wierzch, kreśli obraz kobiecej miłości, cichej, pokornej, zrezygnowanej, w końcu tryumfującej, naśladując niby Zacharyasiewicza („Ona", „Róża Jerychońska", „Klejnot" i t. d.). Że jej bohaterowie i bohaterki (np. ekonomówna Kazia z „Wrzosu", z wiejskiej dziewczynki we wzór *grande dame* warszawskiej odrazu przeobrażona) cudów dokazują i doświadczają, mniej razi, póki, jak Dewajtis i inni, ziemi się trzymają, z ludźmi i rzeczami znanymi, na gruncie poleskim i litewskim się stykają, wytrwałej pracy około zagród i serc oburącz się imają, swoją mową, ze wszelkimi jej prowincyalizmami, się wyrażają. Lecz ten zmysł rzeczywistości opuszcza natychmiast Rodziewiczównę, skoro się w obce jej sfery wielkopańskie przenosi i o „Błękitnych", o Magnacie, Kwiecie Lotosu albo o awanturach ultraromantycznych (w „Ryngrafie") rozprawiać zaczyna. Właściwą jej dziedziną pozostanie na zawsze wioska litewska z tradycyjnem w niej

życiem, z pielęgnowaniem dawnych cnót i haseł, których żadne modne nie zastąpią; wycieczki w stosunki i światy fantastyczne, snucie niesłychanych awantur nigdy się jej nie udaje; nawet z konfliktu w „Nieoswojonych Ptakach" (niedobranej parze z artystą cyganem) dobrze nie wybrnęła.

Najdzielniej włada piórem **Ostoja,** noweli nie przekracza; styl jej jędrny, męski; w idealizacye się nie bawi, pesymistycznie nastrojona nie łudzi nas obrazkami kolorowymi, patrzy prawdzie życiowej śmiało w oczy, realistyczne i naturalistyczne kreśli szkice różnych ludzi zmarniałych, doli zwichniętej, np. w „Królowej", samobójstwem opłacającej iluzye, niepogodzonej z losem. Daleko pozostają za nią Esteja i Hajota, ciekawe chyba, gdy obce ziemie (afrykańskie nowele Hajoty, romanse amerykańskie Estei) z wrażeń własnych odtwarzają, nie wznosząc się ponad banalność na własnej niwie, chociaż Esteja w kilku większych powieściach, „Mgławicach" i in. i męskim talentom dorównywała. Obszerne powieści Kowerskiej, Suszczyńskiej i Walewskiej tendencyą braki, kowencyonalność fabuły i stylu okupywać muszą; Walewska przypomina Gruszeckiego traktowaniem rzeczy aktualnych, stosunków polskoniemieckich i t. d. Z życia nauczycielek wydobył „Jan Świerk" powieść spółczesną „Z szarej przędzy" — doświadczenia nauczycielki we wsi ruskiej, zacofanej strasznie, i podkrakowskiej, napełnionej już ludem fabrycznym, nieufność, jaką tu i tam zwalczać musi, jak miłość powszechną zaskarbia, w pamiętniku jej wyłożone bardzo sympatycznie, ciekawo, pouczająco — i tu doplątała się jednak sentymentalno-egzaltowana miłość dziedzica, odepchnięta przez nauczycielkę; stosunki z księdzem, z dworem, z radą szkolną okręgową, z towarzyszami pracy przedstawione bardzo realnie.

Exterus (L. Godlewska) perypetyom miłośnym całkiem się oddała, chociaż ostrej krytyki się nie wyrzekła, szczególniej w „Dobranych Parach" szydząc z mężczyzn, łapiących się na „Siostry Malinowskie" tem bardziej, im więcej sami wykształceni i do wyższego życia dążą, pokutujących ciężko za zawód czy nieposłuszeństwo instynktowi, którym się kierują różni najpośledniejszego gatunku epuzerowie i najlepiej na tem wychodzą; najwymowniej wykazuje ona krótkowidztwo tych, którzy owem fatalnem trojakiem b *(belle, bonne, bête)* u kobiety się zadowalają i albo piekło sobie gotują albo ustępując, zsuwając się coraz niżej, bez wiedzy

i woli, wszelkich zasad i ideałów się wyprzysięgając, w błocie zagrzęzną.

Marya Paprocka, zmarła jeszcze przedwcześniej, kreśliła owe przejścia panny, z pensyonatu czy klasztoru w świat wstępującej, jej złudzenia i rozczarowania.

Trudno o silniejsze kontrasty, niż te, jakie literatura polska XIX wieku przedstawia. W wiek ten wkraczaliśmy po zupełnem utraceniu bytu politycznego, bez poczucia swej odrębności, nie wytworzywszy nawet bogatej literatury samoistnej, któraby poczuciom tym wyraz dawała. Frazesu o przetopionym już w obce bryły narodzie nie ukuł „serwilistyczny“ Albertrandi, unosił się on nad poczuciem ogółu w roku 1802, gdy go po raz pierwszy Dmochowski użył. Zdawało się, że głucho będzie po narodzie.

Tymczasem pracowaliśmy i pracujemy nieznużenie, tak, że po utracie bytu politycznego, nie wyrobiwszy literatury narodowej przedtem, póki państwo narodowe istniało, stworzyliśmy teraz dopiero taką literaturę. Utraty owego bytu nie zrównoważy literatura, sztuka, umiejętność nigdy, i to nam utrudnia nadzwyczaj samą naszą pracę, stawia nas z góry w warunki najniekorzystniejsze; mimo to jednak napełnia nas i otuchą. W gronie narodów politycznem nie zabieramy głosu sami, nie mamy w niem odrębnych przedstawicieli, a mimo to podnosi się głos nasz coraz donośniej na szerszej arenie. Zawdzięczamy to naszej sztuce — o której w tej książce nie było mowy — i naszej literaturze, której rozwój staraliśmy się przedstawić.

Niezrażona przeciwnościami podjęła ta literatura pracę wieków ubiegłych; zasilona nowymi sokami wydała z siebie niebawem pędy olbrzymie, strzelające ku niebu romantycznemu, nieśmiertelnie wielkie i piękne. Pragnienia jej i proroctwa mesyańskie zawiodły — nie u nas zresztą jedynych — potoczył się rozwój świata innymi torami; mimo to, nie utraciły znaczenia jej ideały i jej służba tym ideałom. W niej wyrosła nasza literatura górna.

Znamionuje ją nadzwyczajna ilość, wartość, blask talentów; nawet tak ekskluzywne literatury, jak francuska i włoska, i tak dalekie nam, jak amerykańska, wcielają coraz obficiej płody jej mię-

dzy swoje. Znamionuje ją nie tylko świetność, lecz i idealna czystość jej szat: nie zdołały jej zabrukać nawet szały erotyzmu modernistycznego, na grunt nasz przeszczepionego — czystość ta z pruderyą niewczesną nic nie ma spólnego, nie wyklucza bynajmniej realizmu i naturalizmu. Znamionuje ją służba gorliwa ideałom społecznym i narodowym, altruizmu, miłości bliźniego, podporządkowania interesów osobistych ogólnym, zacierania dawnych błędów i grzechów. Znamionuje ją coraz silniejsze przejmowanie się sprawami, już nie narodowemi tylko, lecz wręcz ludowemi, demokratyzacya idei i ludzi. Jako najswobodniejszą, najzupełniejszą wyrazicielkę naszej spólnej pracy umysłowej, cenimy literaturę swoją wyżej, niż inne narody swoje, a za służbę jej niepokalaną winniśmy jej wdzięczność, której wyrazem, niezupełnym i nieudolnym może, jest i ta książka.

PEDAGOGICZNA Biblioteka Wojewódzka w Białymstoku

KONIEC.

SPIS OSOBOWY

(TOM PIERWSZY NIE OZNACZONY).

Abraham Jan, II, 324.
Adalberg S., II, 345.
Albertrandy, Jan II, 9.
Aleksy św., legenda o nim, 43.
Anczyc Władysław Ludwik, II, 408.
Anonim (około r. 1565), 187.
Antigamerat, 15.
Askenazy Szymon, II, 335.
Asnyk Adam (El..y), II, 356.
Aspis Bogumił, II, 359.
Augustynowicz Jan, II. 483.

Baka Józef, 373.
Balcer Oswald, II, 323.
Baliński Karol, II, 251.
Baliński Michał, II, 222.
Bałucki Michał, II, 407.
Bamberg, Oto z Bambergu, 7.
Bandtkie Jan Wincenty, II, 11.
Bandtkie Jerzy Samuel, II, 12.
Baranowicz Łazarz, 215.
Barbara, królowa, w literaturze, 96.
Bardziński Jan Alan, 326.
Barszczewski Jan, II, 223.
Bartoszewicz Julian, II, 219.
Bartoszewicz Kazimierz, II, 327.
Baryka Piotr, 247.
Bazylik Cypryan, 151.
Bełcikowski Adam, II, 400.
Bem Antoni Gustaw, II, 330.
Bentkowski Feliks, II, 11.
Berent Wacław, II, 482.
Bernatowicz Feliks, II, 31.
Berwiński Ryszard Wincenty, II, 244.
Biegeleisen Henryk, II, 325.
Bielawski Józef, 419.
Bielowski August, II, 205.
Bielski Joachim, 146.
Bielski Marcin, 145, 185.
Birkenmajer Ludwik, II, 320.
Birkowski Fabian, 219.
Bliziński Józef, II, 404.
Bobowski Mikołaj, II, 345.
Bobrowski, II, 337.
Bobrzyński Michał, II, 318.
Bochnia, Adam z Bochni, 69.
Boczyłowic Jakub, 250.
Bogufał, 10.
Bogurodzica (pieśń), 10.
Bogusławski Władysław, II, 340.
Bogusławski Wojciech 446; II, 11.
Bohomolec Franciszek, 441.
Bona, romans o Bonie, 278.
Borkowski Józef, II, 205.
Borkowski Leszek II, 205.
Borowski Leon, II, 57.
Brodnia, Wacław z Brodni (Ubogi), 41, 46.
Brodziński Andrzej, II, 17, 49.
Brodziński Kazimferz, II, 49.
Bronikowski Aleksander, II, 36.
Broscyusz Jan, 224, 281.
Bruchnalski Wilhelm, II, 325.
Brückner Aleksander, II, 325.
Brudzeń, Paweł Włodkowic z Brudzenia (nie Brudzewa), 26.
Brudzew, Wojciech z Brudzewa, 26.
Brzozowski Karol, II, 402.
Brzozowski Stanisław, II, 222.
Budny Bieniasz, 277.
Budny Szymon, 115.
Budzyński Wincenty, II, 196.
Bujnicki Kazimierz, II, 301.
Buława Ernest (Tarnowski), II, 222.
Bułharyn Tadeusz, II, 224.

Cedrowski Jan, 369.
Cegielski Hipolit, II, 222.
Celichowski Zygmunt, II, 222.
Celtis Konrad, 35.
Cenowa, II, 216.
Chęciński Jan, II, 264.
Chlebowski Bronisław, II, 339.
Chłędowski Kazimierz, II, 322.
Chłędowski Walenty, II, 205.
Chmielowski Benedykt, 379.
Chmielowski Piotr, II, 342.
Chodakowski Zoryan Dołęga, II, 22.
Chodkiewicz Aleksander hr., II, 14.
Chodźko Aleksander, II, 121.

Chodźko Ignacy, II, 290.
Chojecki Karol Edmund, II, 196.
Chołoniewski Stanisław, II, 222.
Chotomski Ferdynand hr., II, 18.
Chróściński Wojciech Stanisław, 381.
Chrzanowski Ignacy, II, 320.
Ciekliński Piotr, 195.
Cieszkowski August, II, 230.
Cinciała Andrzej, II, 216.
Czacki Tadeusz, II, 6.
Czahrowski Adam, 191.
Czajkowski Antoni, II, 248.
Czajkowski Michał, II, 195.
Czarnecki Zygmunt hr., II, 200.
Czarnik, II, 325.
Czarnków, Janko z Czarnkowa, 18.
Czartoryska Izabela ks., II, 3.
Czartoryski Adam ks., II, 3, 200.
Czartoryska (Wirtemberska) Marya ks., II, 31.
Czartoryski Adam Kazimierz ks., 448, 451; II, 6.
Czechowic Marcin, 47, 115, 156.
Czerwieński Bolesław, II, 359.
Czubek Jan, II, 321.
Czyński Jan, II, 192.

Daminaeus, 163.
Daniłowski Gustaw, II, 389.
Dąbrowski Ignacy, II, 483.
Decius Justus Jodocus, 62, 74.
Dembowski Edward, II, 220.
Dembowski Leon, II, 192.
Deotyma (Łuszczewska Jadwiga), II, 308.
Długosz Jan (Longinus), 30.
Dmochowski Franciszek Ksawery, 454, 458.
Dmochowski Franciszek Salezy, II, 124.
Dobrzański Jan, II, 210.
Dowkont Szymon, II, 224.
Drużbacka Elżbieta, 398.
Drzewiecki Karol, II, 264.
Dubiecki Maryan, II, 338.
Duchińska Seweryna (Pruszakowa), II, 309.
Duchiński Franciszek, II, 309.
Dyalogi szkolne, 242.
Dygasiński Adolf, II, 476.
Działyński Tytus, II, 213.
Dzieduszycki Jerzy, 275.
Dzieduszycki Maurycy, II. 211.
Dzieduszycki Wojciech, II, 359.
Dziekoński Józef Bohdan, II, 248.
Dzierzkowski Józef, II, 298.

Ehrenberg Gustaw, II, 246.
El..y (Asnyk), II, 355.
Erzepki Bolesław, II. 325.
Estreicher Karol, II, 321.

Faleński Felicyan, II, 355.
Falimirz Stefan, 85.
Feldman Wilhelm, II, 326.
Felińska Ewa, II, 304.
Feliński Alojzy, II, 15.
Feliński Szczęsny, II, 400.
Fijałek Jan, II, 324.
Filleborn Seweryn, II, 248.
Finkel Ludwik, II, 323.
Fiol Swajbold, 64.
Fortunat, 153.
Fredro Aleksander, II, 27, 260.
Fredro Andrzej Maksymilian, 255.
Fredro Jan Aleksander, II, 450.
Frowin, 15.
Frycz Andrzej (Modrzewski), 75, 135.

Gabryela (Żmichowska Narcyza), II, 304.
Gadomski Jan (Łada), II, 480.
Gallus, 7.
Gałka Jędrzej, 32.
Garczyński Stefan, wojewoda, 420.
Garczyński Stefan, II, 121.
Gaszyński Konstanty, II, 196.
Gawalewicz Maryan, II, 480.
Gawiński Jan, 329.
Gawłowicki Szymon, 322.
Gdacyusz Adam, 213.
Gielniów, Władysław z Gielniowa, 44.
Giller Stefan, II, 359.
Gizewiusz Herman Marcin, II, 216.
Glaber Andrzej, 65, 84.
Gliński Kazimierz, II, 393.
Gloger Z., II, 345.
Głowacki Aleksander (Prus Bolesław), II, 451.
Godebski Cypran, II, 19.
Godlewska Ludwika (Exterus), II, 495.
Gołębiowski Łukasz, II, 232.
Gołuchowski Agenor, II, 333.
Gołuchowski Józef, II, 124.
Gomulicki Wiktor, II, 370.
Goniędz, Piotr z Goniędza, 109.
Gorczyczewski II, 13.
Górecki Antoni, II, 17, 127.
Górnicki Łukasz, 87, 194.
Górski Jakub, 139, 164.
Górski Konstanty, II, 321.
Górski Stanisław, 165.
Gościecki Franciszek, 389.
Gosławski Maurycy, II, 72.
Goszczyński Seweryn, II, 78, 126.
Grabowiecki Sebastyan, 189.

Grabowski Ambroży, II, 209.
Grabowski Michał, II, 288.
Grabowski Tadeusz, II, 321.
Grochowski Stanisław, 191.
Groddeck Gotfryd Ernest, II, 4.
Grodziecki Adam, 297.
Grotkowski Jan, 302.
Groza Aleksander, II, 240.
Gruszecki Artur, II, 475.
Gruszczyński Jan, 191.
Gubrynowicz Bronisław, II, 325.

Hahn Wiktor, II, 325.
Haller Jan, 73.
Hasilina, 35.
Heck Juliusz Korneli, II, 325.
Heidenstein Reinhold, 235.
Helcel Antoni Zygmunt, II, 208.
Herbest Benedykt, 130.
Hirschberg Aleksander, II, 323.
Hirszband Napoleon (Jellenta Cezary), II, 432.
Hodi (Tokarzewicz Józef), II, 433,
Hoene-Wroński, II, 183.
Hoesick Ferdynand, II, 344.
Hofman Karol, II, 193.
Hofmanowa Klementyna (z Tańskich), II, 34, 194.
Hozyusz Stanisław, 65, 120.
Hube Romuald, II, 220.

Ilnicka Marya, II, 310.

J... Antoni (Rolle), II, 337.
Jabłonowski Aleksander, II, 338.
Jabłonowski Jan Stanisław, 383, 391.
Jabłonowski Jan Aleksander, 383.
Jabłonowski Józef Aleksander, 383.
Jabłonowski Stanisław, 383.
Jadwiga królowa, 19.
Jagodyński, 329.
Jan Łodzia, biskup, 18.
Janczar (Michał Konstantynowic), 77.
Janicius Clemens, 70.
Jankowski Czesław, II, 421.
Jankowski Placyd (Dycalp), II, 301.
Janocki Jan Daniel, 431.
Jański Bohdan, II, 193.
Januszkiewicz Eustachy, II, 194.
Januszowski Jan, 139.
Jaraczewska Elżbieta, II, 33.
Jarochowski Kazimierz, II, 274.
Jasieńczyk Maryan (Karczewski Wacław), II, 432.
Jełowicki Aleksander, II, 194.
Jemiołowski Mikołaj, 221.
Jenike Ludwik, II, 433.
Jerlicz Joahim, 221.
Jeske-Choiński Teodor, II, 489.
Jeż Teodor Tomasz (Miłkowski Zygmunt), II, 435.
Jocher Adam, II, 222.
Juniewic, 373.
Junosza Klemens (Szaniawski), II, 477.
Jurkowski Jan, 235, 246.
Juszyński Hieronim, 432, II, 42.

Kaczkowski Zygmunt, II, 291.
Kadłubek (magister Vincencius), 7.
Kajsiewicz Hieronim, II, 193.
Kalimach Filip, 34.
Kalinka Waleryan, II, 199, 317.
Kaliński Jan Damascen, 320.
Kallenbach Józef, II, 321.
Kamieński Henryk, II, 186.
Kamiński Jan Nepomucen, II, 65.
Karbowiak Antoni, II, 432.
Karłowicz Jan, II, 334.
Karmanowski Olbrycht, 344.
Karpiński Franciszek, 437.
Kasprowicz Jan, II, 380.
Kaszewski Kazimierz, II, 340.
Kazimierz Wielki, 16.
Kętrzyński Wojciech, II, 411.
Kiliński Jan, 467.
Kinga św., 10.
Kirkor Adam Honoryusz, II, 542.
Kisielewski Jan August, II, 415.
Kiszka Lew, 215.
Kitowicz Andrzej, 466.
Klaczko Julian, II, 197.
Klemens Junosza, II, 477.
Klonowic Sebastyan Fabian (Acernus), 132, 192.
Kłodziński Adam, II, 205.
Kmita Jan Achacy, 196.
Knapius Grzegorz, 220.
Kniaźnin Franciszek Dyonizy, 439.
Kochanowski Jan, 178.
Kochanowski Jędrzej, 196.
Kochanowski Mikołaj, 197.
Kochanowski Piotr, 319.
Kochowski Wespazyan, 348.
Kolberg Oskar, II, 328.
Kołłątaj Hugon, 452.
Komornicka Marya, II, 434.
Konar Alfred, II, 481.
Konarski Stanisław, 402.
Konczyński Tadeusz, II, 410.
Kondratowicz Ludwik (Syrokomla Władysław), II, 233.
Konopnicka Marya, II, 360.
Kopczyński Onufry, 463.
Kopeć Józef, 466.
Kopernik Mikołaj, 26.

Korczewski Wit, 103.
Kordecki Augustyn, 317.
Korsak Julian, II, 240.
Korsak Rajmund, II, 19.
Korytyński, 391.
Korzon Tadeusz, II, 335.
Korzeniowski Józef, II, 262, 279.
Kosiakiewicz Wincenty, II, 481.
Kościelski Józef, II, 402.
Koszyczki, Jan z Koszyczek, 84, 86.
Kotarbiński Józef, II, 327.
Kozłowski Stanisław Gabryel, II, 403.
Kozłowski M. K., II, 421.
Koźmian Andrzej Edward, II, 214.
Koźmian Kajetan, 468; II, 14.
Koźmian Stanisław, II, 321.
Krajewski Aleksander, II, 412.
Krakowowa Paulina, II, 418.
Krasicki Ignacy, 419.
Krasiński Zygmunt hr., II, 170.
Kraszewski Józef Ignacy, II, 271, 427.
Kraszewski Kajetan, II, 421.
Kraushar Aleksander, II, 336.
Krczek Franciszek, II, 421.
Krechowiecki Adam, II, 489.
Kremer Józef, II, 208.
Kromer Marcin, 103, 120, 161.
Kropiński Ludwik, II, 33.
Krosno, Paweł z Krosna, 67.
Krowicki Marcin, 110, 118.
Kryński A., II, 334.
Krzycki Andrzej (Cricius), 70.
Krzywicki Ludwik, II, 345.
Kubala Ludwik, II, 323.
Kurpiel, II, 321.

Lam Jan, II, 441.
Lange Antoni, II, 390.
Laskowski K., II, 391.
Lelewel Joachim, II, 140.
Lenartowicz Teofil, II, 252.
Leszczyński Andrzej, 307.
Leszczyński Stanisław, król, 377, 400.
Lewestam Henryk Fryderyk, II, 432.
Libelt Karol, II, 213.
Limanowski Bolesław, II, 413.
Linde Samuel Bogumił, 454; II, 38.
Lipnica, Szymon z Lipnicy, 48.
Liske Ksawery, II, 322.
Lubieniecki Krzysztof, 200.
Lubieniecki Stanisław, 208.
Lublin, Biernat z Lublina, 81.
Lubomirski Jerzy, 124.
Lubomirski Stanisław Herakliusz, 256, 359.
Lubomirski Tadeusz ks., II, 422.
Lubowski Edward, II, 404.
Lutosławski Wincenty, II, 319.

Łaguna Stosław, II, 336.
Łaski Jan, protestant, 108.
Łaski Stanisław, 75.
Łętowski Julian (Książek Władysław), II, 400.
Łoziński Walery, II, 400.
Łoziński Władysław, II, 323.
Łubieński Stanisław, 225.
Łukaszewicz Józef, II, 213.
Łuszczkiewicz Władysław, II, 322.

Maciejowski Ignacy (Sewer), II, 491.
Maciejowski Samuel, 79.
Maciejowski Wacław Aleksander, II, 411.
Magelona, 153.
Magnuszewski Dominik, II, 266.
Majer Józef, II, 208.
Majewski Erazm, II, 345.
Majewski Skorochód Walenty, II, 38.
Majorkiewiez Jan, II, 221.
Malczewski Antoni, II, 73.
Malinowski Lucyan, II, 325.
Malinowski Mikołaj, II, 222.
Małecki Antoni, II, 267, 324.
M-ski Adam, II, 421.
Mańkowski Aleksander, II, 463.
Marcinkowski Antoni, II, 13.
Marrenè Walerya (Morzkowska), II, 442.
Maricius Simon, 141.
Massalski Tomasz, II, 37.
Maskiewicz Samuel, 270.
Mateusz z Krakowa (Stadtschreiber), 26.
Matuszewicz Marcin, 392.
Matuszewski Ignacy, II, 340.
Mazanowscy Antoni i Mikołaj, II, 321.
Mecherzyński Karol, II, 208.
Meluzyna, 153.
Miaskowski Kacper, 347.
Michaux Aleksander (Miron), II, 359.
Miciński Tadeusz, II, 422.
Mickiewicz Adam, II, 56, 94.
Mickiewicz Władysław, II, 349.
Miechów, Maciej z Miechowa (Miechowita), 74.
Mierosławski Ludwik, II, 192.
Minasowicz Józef Dyonizy, 409.
Miniszewski Józef Aleksander, II, 419.
Młodzianowski Tomasz, 219.
Mochnacki Maurycy, II, 192.
Modrevius (Fricius) Andreas, 75, 139.
Molińska Julia, II, 214.
Molski, II, 13.

Moraczewski Jędrzej, II, 213.
Morawski Franciszek, II, 65, 102.
Morsztyn Jarosz, 320.
Morsztyn Jędrzej, 286, 352.
Morsztyn Stanisław, 355.
Morsztyn Zbygniew, 295, 308, 355.
Muczkowski Józef, II, 208.
Murzynowski Stanisław, 102.
Mycielski Jerzy, II, 322.
Myszkowski Piotr, 170.

Nabielak Ludwik, II, 422.
Naborowski Daniel, 344.
Narbutt Teodor, II, 222.
Naruszewicz Adam, 428.
Narzymski Józef, II, 404.
Nehring Władysław, II, 330.
Nidecius Patricius Andreas, 133.
Niedźwiecki Zygmunt, II, 422.
Nemcewicz Julian Ursyn, 445; II, 22, 32.
Niemojewski Andrzej, II, 385.
Niemojewski Stanisław, 270.
Niesiecki Kacper, 379.
Norwid Cypryan, II, 251, 365.
Norwid Ludwik, II, 251.
Nowaczyński Adolf, II, 326.
Nowicki Franciszek Henryk, II, 372.
Nowiński Józefat, II, 403.
Nowopolczyk Wojciech (Novocampianus), 141.

Ochorowicz Julian, II, 422.
Odymalski Walenty, 322.
Odyniec Antoni Edward, II, 265.
Ogiński Kazimierz, 385.
Okolski Szymon, 267.
Oleśnicki Zbygniew, 30.
Olizarowski Tomasz August, II, 239.
Opaliński Krzysztof, 332.
Opaliński Łukasz, 253, 278, 330.
Opeć Baltazar, 80.
Oppman Artur (Or-Ot), II, 371.
Orkan Władysław, II, 373.
Orzechowski Stanisław, 76, 118, 135.
Orzeszkowa Eliza, II, 442.
Osiński Ludwik, II, 16.
Ossoliński Józef Maksymilian, II, 3, 12, 42.
Ostoja, II, 495.
Ostroróg Jan, 32.
Otton, cesarz (powieść), 153.
Otwinowski Erazm, 154.
Otwinowski Samuel, 208.
Otwinowski Waleryan, 208, 326.

Padura Tymko, II, 84, 204.
Pajgert Adam, 259.
Pajgert Józef, II, 205.
Paprocki Bartosz, 148.
Paradyż, Jakub z Paradyża, 26.
Parkosz Jakub, 27.
Pasek Jan Chryzostom, 272.
Pauli Żegota, II, 322.
Paweł (Pauli) Grzegorz, 114.
Pawiński Adolf, II, 334.
Pawlicki Stefan, II, 323.
Pawlikowski Mieczysław, II, 327.
Pawlikowski, II, 472.
Perzyński Włodzimierz, II, 477.
Petrycy Sebastyan, 251.
Piasecki Paweł, 261.
Piekarski Krzysztof, 279.
Piekosiński Franciszek, II, 318.
Pielgrzymowski Eliasz, 311.
Pilat Roman, II, 325.
Pini Tadeusz, II, 325.
Piotrowski Gracyan, 431.
Piotrowski Jan, 169.
Piramowicz Grzegorz, 463.
Plater Włodzimierz, II, 220.
Plebański Józef Kazimierz, II, 340.
Plenkiewicz R., II, 344.
Pług Adam (Pietkiewicz Antoni), II, 440.
Pociej Hipacy, 215.
Poczobut-Odlaniecki, 170.
Podbereski Romuald, II, 411.
Pol Wincenty, II, 227.
Polikarp, mistrz, dyalog o śmierci, 51.
Poncyan, 86.
Poniński Antoni, 395.
Porębowicz Edward, II, 325.
Potocki Antoni, II, 341.
Potocki Ignacy, 454.
Potocki Jan, II, 37.
Potocki Stanisław, 454; II, 43.
Potocki Wacław, 317, 323, 335.
Prochaska A., II, 324.
Pruszcz Piotr Jacek, 155.
Przesmycki Zenon (Miryam), II, 390.
Przeździecki Aleksander hr., II, 411.
Przybylski Jacek, 458.
Przybylski Zygmunt, II, 466.
Przybyszewski Stanisław, II, 423.
Przypkowski Samuel, 208.
Pszczółka Mikołaj (z Błonia), 29, 38.

Rabski Władysław, II, 342.
Raczyński Edward hr., II, 213.
Radziwiłł Albrycht Stanisław, 273.
Radziwiłł Mikołaj Krzysztof (Sierotka), 166.
Radziwiłł Udalryk, 409.

Radziwiłłowa Franciszka (z Sanguszków), 397,
Rakowiecki Ignacy Benedykt, II, 38.
Rapacki Wincenty, II, 402.
Rautenstrauchowa Łucya (z Gedrojciów), II, 33.
Rej Mikołaj, 80, 89, 100, 104, 146.
Reklewski Wincenty, II, 17.
Rembowski Aleksander, II, 335.
Reymont Władysław, II, 478.
Rodziewiczówna Marya, II, 494.
Rodoć, II, 360.
Rolle II, 337.
Romanowski Mieczysław, II, 242.
Rossowski St., II, 387.
Rożniatowski Abraham, 322.
Rybiński Jan, 190.
Rydel Lucyan, II, 383.
Rysiński Andrzej, II, 411.
Rzączyński Gabryel, II, 411.
Rzewuski Adam Wawrzyniec, II, 421.
Rzewuski Henryk hr., II, 283.
Rzewuski Wacław, 410.

Sanok, Grzegorz z Sanoka, 34.
Sapieha Aleksander, II, 9, 38.
Sarbiewski Maciej Kazimierz, 221.
Sarnecki Zygmunt, II, 406.
Sarniecki Stanisław, 164.
Seklucyan Jan, 87, 100, 118.
Sękowski Józef, II, 224.
Semenenko Piotr, II, 411.
Semkowicz Aleksander, II, 323.
Siarczyński Franciszek, II, 412.
Siemieński Lucyan, II, 206, 210.
Sienkiewicz Henryk (Litwos), II, 454.
Sienkiewicz Karol, II, 193.
Siennik Marcin, 152.
Sieroszewski Wacław, II, 487.
Skarbek Fryderyk hr., II, 36.
Skarga Piotr, 125,
Skimborowicz Hipolit, II, 411.
Słota? 50.
Słowacki Euzebiusz, II, 419.
Słowacki Juliusz, II, 129.
Smoleński Władysław, II, 335.
Smolik Jan, 190.
Smolka Stanisław, II, 318.
Smotrycki Melecyusz, 214.
Sokolnicki, 46.
Sokołowski Maryan, II, 322.
Sokołowski Stanisław, 124.
Solikowski Jan Dymitr, 137.
Sowiński Leonard, II, 353.
Sowizdrzał, 236.
Spasowicz Włodzimierz, II, 377.
Staff L., II, 388.
Stalmach Paweł, II, 470.
Stanisławska Anna, 361.
Starowolski Szymon, 262.
Staszic Stanisław, 449; II, 8, 11, 37.
Stebelski Włodzimierz, II, 466.
Sten Jan, II, 326.
Stoiński (Statorius) Piotr, 108, 188.
Struve Henryk, II, 334.
Stryjkowski Maciej, 148.
Surowiecki Wawrzyniec, II, 38.
Sygietyński Antoni, II, 341, 475.
Szajnocha Karol, II, 211.
Szaniawski Józef Kalasanty, II, 47.
Szancer Władysław (Ordon), II, 359.
Szarzyński Mikołaj, 189.
Szaszkiewicz Marcyan, II, 204.
Szczeniowski Tytus, II, 301.
Szczepanowski Stanisław, II, 320.
Szelągowski Adam, II, 455.
Szlichtyng Jerzy, 209, 296, 351.
Sztyrmer Ludwik (w tekście fałszywie Leopold!), II, 302.
Szujski Józef, II, 319, 398.
Szukiewicz Aleksander, II, 455.
Szukiewicz Maciej, II, 415.
Szymański Adam, II, 487.
Szymonowic Szymon, 177, 230.

Ścibor, 56.
Śniadecki Jan, II, 4, 9.
Śniadecki Jędrzej, II, 4.
Świdziński Karol, II, 219.
Świętochowski Aleksander (Okoński), II, 409.
Świnka Jakub, 13.

Tarnowski Jan, 111.
Tarnowski Stanisław, II, 320.
Terpiłowska Julia, II, 359.
Tetmajer Kazimierz, II, 382.
Tetmajer Włodzimierz, II, 414.
Tomaszewski Dyzma, II, 14.
Towarzystwo Przyjaciół Nauk, warszawskie, II, 8.
Towiański Andrzej, II, 112.
Tragedya żebracza, 159.
Trembecki Jakub, 308.
Trembecki Stanisław, 433.
Trentowski Bronisław, II, 453.
Trepka Ostafi, 104.
Tretiak Józef, II, 321.
Tripplin Teodor, II, 455.
Trzecieski Andrzej, 153.
Twardowski Kacper, 239.
Twardowski Samuel, 314.

Tylkowski Wojciech, 220.
Tymowski Kantorbery, II, 18.
Tyszyński Aleksander, II, 221.

Uchański 65, 107.
Ujejski Karol, II, 255.
Unrug Zygmunt, 369.

Walewski Antoni, II, 317.
Wapowski Bernat, 74.
Warszewicki Krzysztof, 163.
Warszewicki Stanisław, 125.
Wasilewski Edmund, II, 246.
Wereszczyński Józef, 148.
Wergeryusz Piotr Paweł, 111.
Weyssenhoff Józef, II, 485.
Węgierski Tomasz Kajetan, 434.
Wężyk Franciszek, II, 17, 208.
Wielhorski, 448.
Wieluń, Jeronim z Wielunia, 83.
Wieniawski Julian (Jordan), II, 441.
Wierzbicki J. S., II, 392.
Wierzbowski Teodor (nie Tadeusz!), II, 342.
Wietor Jeronim, 83, 85.
Wilczyński Albert, II, 299.
Wilkońska Paulina, II, 303.
Wilkoński August, II, 299.
Wilkowiecko, Mikołaj z Wilkowiecka, 160.
Wilkowski Kacper, 207.
Windakiewicz Stanisław, II, 321.
Wisłocki Władysław, II, 330.
Wiszniewski Michał, II, 207.
Wiszowaty Andrzej, 209.
Witkiewicz Stanisław, II, 341.
Witkowski Stanfsław, 328.
Witwicki Stanisław, 281.
Witwicki Stefan, II, 127.
Wójcicki Kazimierz Władysław, II, 217.
Wojciech św., 10.
Wojciechowski Tadeusz, II, 318.
Wojkowski Antoni, II, 214.
Wolan Andrzej, 117, 141.
Wolski Marcin, 145.
Wolski Włodzimierz, II, 249.
Woronicz Jan Paweł, II, 19.
Wróbel Walenty, 84.
Wujek Jakub, 124.
Wybicki Józef, 467.
Wydźga Jan Stefan, 272.
Wyrwicz Karol, 456.
Wysocki Włodzimierz, II, 417.
Wyspiański Stanisław, II, 417.

Zabłocki Franciszek, 443, 459.
Zaborowski Tymon, II, 18.
Zacharyasiewicz Jan, II, 438.
Zagórski Włodzimierz, II, 360.
Zahorowski Tomasz, 22.
Zakrzewski Wincenty, II, 319.
Zaleski Józef Bohdan, II, 81, 89, 123.
Zalewski Kazimierz, II, 406.
Załuski Andrzej Chryzostom, 407.
Załuski Józef Andrzej, 407.
Załuski Paweł, 398.
Zamojski Jan, 168.
Zan Tomasz, II, 57.
Zapolska (Śnieżko) Gabryela, II, 413.
Zbylitowski Andrzej, 190.
Zbylitowski Piotr, 328.
Zdziarski St., II, 329.
Zdziechowski Maryan, II, 321.
Zieliński Gustaw, II, 241.
Zienkowicz Leon, II, 127, 193.
Zimorowic Józef Bartłomiej, 232.
Zimorowic Szymon, 232.
Zmorski Roman, II, 250.

Żarnowiec, Grzegorz z Żarnowca, 117.
Żebrowski Jakub, 326.
Żeligowski Edward (Sowa Antoni), II, 268.
Żeromski Stefan, II, 483.
Żmichowska Narcyza, II, 304.
Żółkiewski Stanisław, 271.
Żuławski Jerzy, II, 387.
Żydowski, 363.
Żygliński Franciszek, II, 247.

43585

SPIS RZECZY.

Str.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. KLASYCYZM WARSZAWSKI.

Nowy wiek i jego widoki. Oznaki życia. Puławy. Wilno; Śniadeccy. Krzemieniec; Czacki. Warszawa; Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Kierunki i przedstawiciele literatury: w poezyi (Koźmian) i w dramacie (Feliński); Woronicz. Niemcewicz. Fredro. Romans. Historya; sympatye słowiańskie; Lelewel; historya literatury. Istotne zasługi „klasyków" 1

ROZDZIAŁ JEDENASTY. POCZĄTKI ROMANTYZMU.

Brodziński. Mickiewicz w Kownie i Wilnie; ballady i romanse; Dziady. Sonety. Konrad Walenrod. Naśladowcy. Szkoła ukraińska: Gosławski, Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Padurra. Walka z klasycznością 46

ROZDZIAŁ DWUNASTY. LITERATURA NA WYCHODŹTWIE. ADAM MICKIEWICZ.

Emigracya. Mickiewicz. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego. Dziadów część trzecia. Pan Tadeusz. Towiański i Towiańszczyzna. Otoczenie jego: Garczyński. Zaleski. Znaczenie Mickiewicza. Goszczyński, Witwicki i inni 91

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. JULIUSZ SŁOWACKI.

Dzieła młodzieńcze. Na wychodźtwie w Szwajcaryi, Włoszech i Paryżu; tragedye i „Beniowski". Mesyanizm i „Król Duch". Znaczenie Słowackiego 129

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Próby młodzieńcze. „Nieboska" i „Irydyon". Filozofia polska, Hoene - Wroński i następcy; Krasińskiego filozofia: „Przedświt" i „Psalmy przyszłości". Inni pisarze emigracyjni; publicyści; Hoffmanowa; Czajkowski; Gaszyński. Młodsza generacya: Chojecki; Kalinka; Klaczko 170

Str.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. LITERATURA W KRAJU.

Stan umysłowy i warunki rozwoju w Galicyi, w Poznańskiem, w Królestwie i t. d. Ożywienie badań historycznych i ludoznawczych. Wybitni poeci; epicy: Pol, Syrokomla i inni; lirycy: Ujejski, Lenartowicz i inni; dramatycy: Fredro, Magnuszewski, Romanowski. Prozaicy: Kraszewski i Korzeniowski, Rzewuski i Chodźko, Kaczkowski i inni. Kobiety autorki, Gabryella i Deotyma. Tłumaczenia. Wyniki ogólne 201

ROZDZIAŁ SZESNASTY. LITERATURA NAJNOWSZA (1864—1903); JEJ TŁO; PROZA HISTORYCZNA.

Rozwój umysłowy w Galicyi, w Poznańskiem i w Królestwie. Historya, dzieje literatury i krytyka 313

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. KIERUNKI LITERATURY NAJNOWSZEJ. JEJ POEZYA.

Wyczerpanie chwilowe poezyi; epigonowie romantyzmu, Sowiński, Asnyk, Faleński. Marya Konopnicka. Przypływ nowej fali poetyckiej; modernizm; Tetmajer, Kasprowicz i inni 352

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. DRAMAT.

Warunki rozwoju. Dramat historyczny, Józef Szujski i Adam Bełcikowski. Komedya, Narzymski, Lubowski i Bliziński; Sarnecki, Zalewski, Bałucki i inni. A. Świętochowski. Dramat modernistów, historyczny, symboliczny, ludowy. Dramat ideowy. St. Wyspiański. St. Przybyszewski 395

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY. POWIEŚĆ, OD KRASZEWSKIEGO DO SIENKIEWICZA.

Na wychodźtwie: Kraszewski i Jeż. W kraju: powieść społeczna i tendencyjna, Zacharyasiewicz i Pług, Lam i Jordan, Morzkowska i Orzeszkowa. Prus i Sienkiewicz 427

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY. POWIEŚĆ NAJNOWSZA.

Rozmaitość jej kierunków. Sieroszewski i Szymański. Reymont. Żeromski. Weyssenhoff. Nasze powieściopisarki. Zakończenie . . 474